

PAUL SCOTT

KLEJNOT KORONY

Część pierwsza PANNA CRANE,

A więc proszę sobie wyobrazić krajobraz równinny, teraz w ciemnościach, a przecież dla dziewczyny biegnącej w jeszcze mroczniejszym cieniu pod murem Ogrodu Bibighar nadal zawrotnie rozległy, tak ogromny jak krajobraz, który wiele lat przedtem objawił się pannie Crane, gdy stanęła u wylotu uliczki na skraju terenów uprawnych — gdzie indziej, ale też na tej aluwialnej równinie pomiędzy górami na północy i płaskowyżem na południu.

Ten krajobraz kilka godzin temu, po deszczu, zanim szybko się ściemniło, wchłonął całą barwę z widma zachodzącego słońca, aż wszystko zajaśniało czerwonym odbłaskiem — brunatnożółte ściany domów w starym mieście (już i tak zabarwione krwawą przeszłością i niepewną teraźniejszością), płynąca woda rzeki, stojąca woda zbiorników, połyskliwe rżyska i zorana ziemia dalekich pól, nawierzchnia szerokiej głównej szosy. Jest to krajobraz prawie bez drzew, poza zielonymi szpalerami wśród białych bungalowów dzielnicy administracyjnej. Na horyzoncie fioletową rozmazaną linią rysują się wzgórza.

Opowieść będzie o gwałcie, o wydarzeniach, które doprowadziły do gwałtu i które nastąpiły potem, i o miejscu, gdzie to się stało. Są osoby, akcja, miejsce akcji — pełny kontekst. Jednakże opowiedzieć tego się nie da w oderwaniu od ciągłości ludzkich losów.

W związku ze sprawą Bibighar aresztowano kilku podejrzanych i wszczęto śledztwo. Procesu sądowego nie było. Ludzie mówią, że jakiś proces jednak się odbywał. W istocie — mówią — sprawa, która zaczęła się 9 sierpnia 1942 roku w Majapurze, doprowadziła do gwałtownego starcia dwóch narodów. Owo starcie zresztą było nie pierwsze i jeszcze nie ostatnie; te narody dalej trwały w uścisku imperialnym tak subtelnym i od tak dawna, że już nie wiedziały, czy się nienawidzą, czy kochają, ani też co je trzyma w uścisku, co spletało nici ich odrębnych przeznaczeń.

W roku 1942, to znaczy w roku, w którym Japończycy pokonali armię brytyjską w Birmie, a Gandhi zaczął nawoływać w Indiach do buntu, Anglicy w swoich

9

majapurskich siedzibach musieli przyznać, że przyszłość nie zapowiada się pomyślnie. Ale stawiali czoło niedobrym czasom już przedtem, uważali więc, że i teraz, kiedy przynajmniej wiedzą, w jakiej są sytuacji, dadzą sobie radę i że na razie nie ma celu roztrząsać słuszności polityki i rządów kolonialno-imperialnych.

Lubili mówić o tym w klubie — temat ten miał pierwszeństwo przed wszystkimi innymi — toteż gdy usłyszeli, że panna Crane, kuratorka szkół misji protestanckiej w okręgu, zdjęła ze ściany swego gabinetu portret Gandhiego i już nie zaprasza pań hinduskich na podwieczorek, tylko zamiast nich podejmuje młodych angielskich żołnierzy, byli zarówno wdzięczni jej, jak rozbawieni. W czasach pokoju każdemu wolno wyznawać poglądy tak różne i

zwariowane, jak mu się żywnie podoba, w czasie wojny wszelako należy zwierać szeregi i gdyby w ogóle miała powstać kwestia, kto po czyjej jest stronie, no to panna Crane wreszcie się zadeklarowała.

Niewiele osób wiedziało, że wtorkowe podwieczorki w bungalowu Edwiny Crane skończyły się z inicjatywy samych hinduskich pań. Panna Crane podejrzewała, że to mężowie odwiedli je od cotygodniowych wizyt u niej, nie dlatego że portret Gandhiego zniknął ze ściany, tylko przez ostrożność, żeby owych wizyt w roku takich napięć politycznych nie uznano przypadkiem za podlizywanie się władzom. Najbardziej bolało ją to, że żadna z pań nie raczyła wyjaśnić powodów, jakimi się kierowała. Po prostu jedna po drugiej czy też po dwie przestały przychodzić i gdy spotykała je na bazarze albo w drodze do podlegających jej szkół misyjnych, podawały preteksty zgoła nieistotne.

Z żalem myślała o tych paniach, bo zawsze zachęcała je do szczerości, wcale jednak nie było jej przykro na myśl o portrecie pana Gandhiego. One miały usprawiedliwienie, pan Gandhi nie miał. Uważała, że ten człowiek postępuje obrzydliwie. Rzeczywiście czuła się zawiedziona. Przez lata całe śmiała się z Europejczyków, którzy twierdzili, że nie należy mu ufać, a oto teraz pan Gandhi nieomal wyraźnie zaprasza Japończyków do Indii, żeby pomogli mu uwolnić kraj spod panowania brytyjskiego! Jeżeli panu Gandhiewi się zdaje, że Japończycy będą lepszymi władcami, to można tylko przyjąć, że stracił rozum albo, co gorsze, że odsłania ciemny aspekt swojej filozofii niestosowania przemocy i tym samym całą tę filozofię pozbawia jakiegokolwiek sensu. Najwidoczniej Japończycy mają stosować przemoc za niego.

Tak więc panna Crane, nagle nieufna w stosunku do Mahatmy i rozczarowana odsunięciem się hinduskich pań (doznawała podobnych rozczarowań już nieraz), zaczęła się zastanawiać, czy nie zdziałałaby więcej, żyjąc wśród rodaków i starając się, żeby doceniali Hindusów, niż żyjąc wśród Hindusów na dowód, że przynajmniej jedna Angielka podziwia ich i szanuje. Wnikliwe rozpatrzenie jej działalności — musiała przyznać — wykazałoby, że najlepiej potrafiła się dogadać z Eurazjatami, a to chyba potwierdza fakt, że sama jest ni tym, ni owym — nauczycielką w gruncie rzeczy bez kwalifikacji, pracownicą misji nie wierzącą w Boga. Hindusi nigdy w pełni jej nie akceptowali, od większości

10

Anglików raczej stroniła. Kryło się w tym trochę ironii. Hindusi — rozmyślała — może by mnie traktowali poważniej, gdybym nie była przedstawicielką organizacji, z której dobrodziejstw chętnie korzystają, ale wobec której niełatwo pozbywają się dawnych podejrzeń. Z drugiej jednak strony, gdybym nie pracowała w misji, to przecież w żadnym razie — co do tego nie miała wątpliwości — nie zaczęłabym Hindusów podziwiać, bo nie wiedziałabym, jak bardzo ich kochają i szanują własne dzieci, ani też nie zaczęłabym tak ostro krytykować ludzi mojej rasy, nie troszczących się o przyszłość tej dziatwy i obecne warunki w domach jej rodziców. Nigdy nie powstrzymałam się od wygłaszania uwag krytycznych. Możliwe, że to był błąd. Anglicy biorą uwagi krytyczne zanadto do siebie.

Jednakże panna Crane należała do pokolenia, które (choć niezupełnie z przekonaniem) trwało przy pewnych prostych zasadach praktycznego działania. Jeszcze nie jest za późno — powiedziała sobie — na to, by naprawić błąd czy też spróbować go naprawić. Pomyślała o młodych żołnierzach brytyjskich, coraz licznie napływających do Majapuru, przeważnie prosto z Anglii. Napisała do szefa sztabu garnizonu, odbyła z nim rozmowę i zaofiarowała się, że będzie podejmować po kilkunastu tych chłopców podwieczorkiem co środą między piątą a pół do siódmej po południu. Szef sztabu podziękował jej za wielkoduszność. Szkoda — powiedział — że więcej osób nie rozumie, czym jest tutaj dla młodego Anglika możliwość oddychania atmosferą angielskiego domu bodaj przez parę godzin raz na tydzień. Panie z dzielnicy garnizonowej, jakkolwiek wymachują chorągiewkami, są raczej pełne uprzedzeń do brytyjskich szeregowców. Dosłownie tak, co prawda, szef sztabu tego nie ujął, ale jakoś dał to do zrozumienia. Z jego sposobu bycia i wysławiania się panna Crane odgadła, że sam zaczynał karierę wojskową od szeregowca. Wyrzcił też nadzieję, że nie będzie musiała żałować swojej gościnności. Młodzi żołnierze, chociaż oczernia się ich na ogół niesprawiedliwie, rzeczywiście bywają hałaśliwi i niezdarni, w razie jednak jakichkolwiek zastrzeżeń czy trudności wystarczy zadzwonić do niego. Panna Crane uśmiechnęła się wtedy i powiedziała, że nie była chowana pod kłosem i często słyszy, jak mówi się o niej w Majapurze: stara cwaniara.

Żołnierze, którzy zaczęli przychodzić na podwieczorek, mówili z akcentem przedmieść Londynu, ale — z wyjątkiem niejakiego Barretta — wcale nie byli niezdarni. Nawet bardzo zręcznie dawali sobie radę z cienką białą angielską porcelaną. Nie byli też zanadto hałaśliwi ani zbyt nieśmiali. Podwieczorek zawsze kończył się w nienagannie swobodnym, spokojnym nastroju. Później panna Crane stała na frontowej werandzie i machała im ręką na pożegnanie, gdy odchodzili alejką przez jej ładny, dobrze utrzymany ogród. Za furtką zapalali papierosy, po czym zgodną gromadą ruszali z powrotem do koszar, trochę postukując butami po twardej nawierzchni jezdnii. Panna Crane pomagała staremu służącemu, Hindusowi, sprzątać ze stołu i wycofywała się do sypialni, żeby przeczytać sprawozdania, odpisać na listy z zarządu misji, i oczywiście — ponieważ podwieczorki dla żołnierzy odbywały się w środy, a czwartek był dniem jej inspekcji w szkole pod odległym o osiemdziesiąt pięć mil Dibrapurem, gdzie

II

następnie zostawała na noc — zapakować neseser i wyszukać puszkę karmelków dla tamtejszych dzieci. Przy tych wszystkich czynnościach znajdowała czas na rozmyślanie o swoich żołnierzach.

Bardzo polubiła zwłaszcza jednego chłopca, który przychodził regularnie co środa. Nazywał się Clancy. Był tak zwanym w sferach mieszczkańskich jej pokolenia „dżentelmenem samym z siebie”. Siadał przy stole ostatni,

wstawał pierwszy, pilnował, żeby ona mogła skosztować swego keksa i żeby jej najpierw podano cukiernicę. Zawsze pytał ją o zdrowie i udzielał najjaśniejszych odpowiedzi na pytania o szkolenie, sporty i wspólne życie w koszarach. I mówił do niej „panno Crane”, podczas gdy wszyscy inni żołnierze zwracali się do niej: „pszpani”. Ona ze swej strony pamiętała nazwisko każdego i zawsze je poprzedzała uprzejmym „pan”. Wiedziała, że szeregowcy nie znoszą, by kobiety mówiły im tylko po nazwisku. Ale Clancy, chociaż jego też tytułowała, był dla niej po prostu Clancym. Ładnie się nazywał, Clancy dla przyjaciół albo Clance.

I — jak zauważyła z zadowoleniem, — koledzy go lubili. Nie mieli mu za złe ani nie wyśmiewali jego rycerskości wobec niej. Sprawiał wrażenie urodzonego przywódcy. Budził respekt. Przystojny chłopak, w wojskowej koszuli i szortach wyglądał lepiej niż inni. Tylko jego akcent i ręce — z paznokciami połamanymi, zawsze trochę brudnymi od smarów po ćwiczeniach z bronią — świadczyły, że jest jednym z tego stada.

Czasem, gdy żołnierze już odeszli i myślała o nich nad swymi urzędowymi papierami, robiło jej się smutno. Było przecież możliwe, że niektórzy z nich — szczególnie Clancy, bo jest bystrzejszy niż inni, może więc mieć ważniejsze zadania — polegną na polu bitwy. Smutek, chociaż innego już rodzaju, ogarniał ją również na myśl, że pewnie oni wszyscy śmieją się po cichu z niej i z tych jej herbatek.

Panna Crane była inteligentna i spostrzegawcza, o czym w zarządzie misji dobrze wiedziano. Jej zdrowy rozsądek i zdolności organizacyjne wynagradzały za nią jej braki, co raczej nie kwalifikowało jej na pracownicę misji chrześcijańskiej: agnostycyzm na przykład i sympatię do Hindusów, właściwie równoznaczną z postawą antybrytyjską. „

Edwina Crane spędziła w Indiach trzydzieści pięć ze swoich pięćdziesięciu siedmiu lat życia. Urodziła się w roku 1885 w Londynie, w średnio zamożnej rodzinie mieszczańskiej. Po śmierci matki prawie całe dzieciństwo i młodość strawiła na opiece ojca, zagubionym, nieszczęśliwym dyrektorem szkoły prywatnej, który tak polubił butelkę i własne towarzystwo, że nieliczni przyjaciele jego domu stopniowo się odsunęli, a i ze szkoły zaczęło ubywać coraz więcej uczniów. Umarł pewnego lata za panowania Edwarda VII, pozostawiając dwudziestojednoletnią Edwinę bez grosza, z kwalifikacjami — jak jej się wydawało — tylko na pannę do towarzystwa albo gospodynię. Zapach wędnącego kwiecica lip odtąd już zawsze był dla niej zapachem śmierci. Gdy dostała pierwszą

12

posadę — guwernantki rozpieszczonego bachora — uważała, że szczęście się do niej uśmiechnęło, chociaż jej podopieczny nazywał ją Bocianicą i raz w dziecięcej sypialni próbował ją zgorszyć popisując się swą przedwczesną męskością.

Tylko że ona się nie zgorszyła. Często musiała obsługiwać nie panującego nad pęcherzem ojca. W późniejszych fazach jego choroby, a i przedtem znosić pijacką dokuczliwość, gdy posuwał się do uświadamiania jej w sprawach, o których jeszcze nie miała pojęcia, albo kpił z jej długiego nosa, nieciekawej powierzchowności i słabych nadziei na małżeństwo. Po wytrzeźwieniu wstydził się, ale brakowało mu odwagi, żeby się przed nią ukorzyć. Rozumiała to; właśnie dlatego nauczyła się cenić odwagę innych i usiłowała, nie zawsze skutecznie, okazywać odwagę sama. Pod niejednym względem ojciec był dla niej jak dziecko. Gdy umarł, płakała, po czym otarła łzy i sprzedała większość pozostałych rzeczy, by zapłacić za przyzwoity pogrzeb. Nie przyjęła ani pomocy materialnej od bogatego wuja, który za życia ojca trzymał się z daleka, ani pociechy moralnej od ubogich kuzynów, którzy też pojawili się dopiero na wieść o pogrzebie.

Więc ten malec wcale jej nie zgorszył. Tak samo jak niczym jej nie zachwyił. W samotności przy ojcu zaczęła już wierzyć, że oboje znaleźli się poniekąd na uboczu, wybrani do dźwigania specjalnego krzyża, jakim było dla nich pijaństwo i pożądana nędza, ale w bogatym domu swych niepijących chlebobodawców też widziała sporo nieszczęścia. W rezultacie cały świat, jaki знаła, stał się dla niej tragicznie mały akurat wtedy, gdy mógłby się przed nią otworzyć. I dlatego zapragnęła znaleźć sobie miejsce w jakimś świecie nie znanym, świeżym, nowym, jeśli nie radosnym, to przynajmniej interesującym. Dlatego zgłosiła się do pewnej pani, która szukała panny do towarzystwa i opieki nad dwojgiem małych dzieci na czas podróży powrotnej do Indii. Owa pani, błada i wyraźnie wątłego zdrowia, ale jak się okazało, pełna niespożytej energii, wyjaśniła, że jeśli będzie zadowolona z osoby, którą przyjmie, to w Indiach zatrzyma ją ewentualnie jako guwernantkę. Jeśli zaś nie będzie z niej zadowolona, ułatwi jej znalezienie podobnej pracy u rodziny wyjeżdżającej z Indii do kraju albo sama opłaci jej powrót. Poczuli do panny Crane sympatię, więc panna Crane została wybrana spośród innych kandydatek.

Podróż minęła przyjemnie. Pani Nesbitt-Smith traktowała pannę Crane jak członka rodziny, a dzieci, niebieskooka dziewczuszka i niebieskooki chłopaczek, mówiły, że ją kochają i że chcą, by mieszkała z nimi zawsze. Gdy statek przybił do Bombaju, major Nesbitt-Smith, który czekał tam na nich, też traktował ją jak członka rodziny. Ale w drodze z Bombaju na placówkę majora w Pendżabie majorowa stopniowo odsunęła się od niej, a po przyjeździe na miejsce zaczęła ją traktować może niezupełnie jak służącą, ale w każdym razie jak ubogą krewną na łaskawym chlebie, chwilowo przydatną. To było pierwsze spotkanie panny Crane ze snobizmem społecznym w koloniach, zgoła niepodobnym do snobizmu w kraju, bo komplikowały go nieraz sprzeczne wymogi solidarności i zwierzchnictwa białych. Chlebobodawcy pocztytywali sobie za obowiązek przyznawać jej pozycję, jakiej by nie przyznali Hindusce nawet najszlachetniejszego rodu, ale

jednocześnie uważali, że muszą trzymać ją na jednym z najniższych szczebli drabiny swego zamkniętego społeczeństwa — zaznaczając to wyraźniej poza domem niż w domu, gdzie oczywiście była czymś lepszym od służby tubylczej. Panna Crane, nabierając poglądów coraz bardziej liberalnych, potępiała zgodnie ze swym dochodzącym do głosu sumieniem przejmowanie się kwestią, kto jest kim i dlaczego. W dodatku to bardzo utrudniało życie. Przypuszczała, że nieraz pani Nesbitt-Smith staje wobec zbyt raptownej konieczności zdecydowania, jaki przybrać wyraz twarzy, gdy z nią rozmawia, i zapewne z powodu swej dezorientacji często ma twarz niemal zbolałą, znękaną tym, że w ogóle musi się do niej odzywać.

U Nesbitt-Smithów przepracowała trzy lata. Miała silny organizm, rzadko więc chorowała nawet w tym niezdrowym klimacie. Przywiązała się do dzieci. Otoczona służącymi zawsze gotowymi grzecznie wypełniać jej polecenia, pokonywała nieśmiałość, którą zwykle odczuwała w domu. Indie, jak gdyby wynagradzając to, że w pierwszych tygodniach były dla niej obce, a nawet straszne, wkrótce okazały się pełne uroku, którego nie potrafiła określić, ale który przemawiał jej do serca. Przyjaciół miała niewielu i nadal czuła się odizolowana od poszczególnych osób, teraz, jednak uświadamiała sobie poczucie wspólnoty. Wykiełkowało ono, jak wiedziała, z ujmowanego w słowa tylko czasami, a przecież nawet bez słów uporczywego nawoływania do klanowej solidarności, nieodzownej w tym układzie społecznym, który już zrozumiała i potępiła. Potępiać go nie przestała, była jednak dość uczciwa, by uznać, że to jest dostatecznie realne, jakkolwiek ponure źródło pociechy i ochrona. W Indiach nie brak powodów do lęku, dobrze więc mieć poczucie bezpieczeństwa, wiedzieć, że pani Nesbitt-Smith, chociaż niekiedy może ją lekceważyć, stanie w jej obronie wraz z innymi takimi paniami, jeśli będzie jej groziło cokolwiek spoza czarownego kręgu przywilejów, na którego obwodzie ona żyje. Wiedziała, że Indie pełne wynagradzającego uroku są tylko Indiami białych. Ale to już jakieś Indie i przynajmniej jakiś początek.

W tym okresie zakochała się. Niestety, nie w młodszym kapelanie wojskowym, który od czasu do czasu odprawiał nabożeństwo w miejscowym kościele protestanckim (niestety, bo to byłby mariaż możliwy dla niej, tak możliwy, że pani Nesbitt-Smith w chwilach dobrego humoru zartobliwie próbowała ją wyswatać). Zakochała się beznadziejnie, skrycie w jakimś poruczniku Orme, urodzonym jak Apollo, dobrotliwym, delikatnym i wesotym jak bohater romantycznej powieści, i tak nieświadomym jej zainteresowania czy też obojętnym, jak tylko mógł być przystojny młody oficer na placówce wojskowej obfitującej akurat wtedy w ładne, dobrze sytuowane młode panny, spośród których mógł wybierać. Zakochała się beznadziejnie, bo nie miała żadnej szansy, i skrycie, bo w jego obecności ani się nie czerwieniła, ani nic jej nie leciało z rąk. Nawet pani Nesbitt-Smith, gdyby zadała sobie tę fatygę i zaczęła obserwować reakcje guwernantki swoich dzieci na obecność mężczyzny tak wspaniale pod każdym względem obdarowanego przez naturę jak porucznik Orme, nie posądzałyby jej o jakieś zakazane przez tradycję

14

afekty. Sama panna Crane zresztą zastanawiała się, czemu **nie** płonie rumieńcem i niczego nie upuszcza. Gdy porucznik Orme był gdzieś blisko, tylko trochę zasychało jej w ustach i serce jej biło. Najwidoczniej — doszła do wniosku — moje uczucie jest zbyt silne, zbyt dojrzałe, żebym zachowywała się jak roztrzepana, głupia dzierlatka bujająca w obłokach.

Porucznik Orme, mając jak zwykle szczęście, został odkomenderowany na stanowisko adiutanta pewnego generała i nadal jako kawaler do wzięcia wyjechał, ku szalonemu rozczarowaniu prawie dwudziestu ładnych i tyłuż nieładnych panien, a także ich matek. Żadna z nich — wierzyła panna Crane — nie mogłaby się domyślać, jaki cień rzucił jego wyjazd również na jej życie. Tylko dzieci, te dwie najbliższe istoty ludzkie, zauważyły, że jej sposób bycia się zmienił. Wlepiły w nią swe niezmiennie niebieskie, ale już starsze, protekcyjnie domyślne oczy i pytały:

— Co się stało, panno Crane? Panią coś boli, panno Crane?

I tańczyły wokół niej śpiewając:

Stara Crane
ma zły dzień!

Gniewała się, dawała im klapsy i odprawiała je, rozwrzeszczane, w cienistą zieleń i blask słońca, by szukały pociechy u starej aji, którą, jak wiedziała, lubiły bardziej niż ją.

Przed następnym okresem upałów pułk majora Nesbitt-Smitha odkomenderowano z powrotem do kraju.

— Ja z dziećmi pojedę pierwsza — podsłuchiwała panna Crane słowa pani Nesbitt-Smith w rozmowie z przyjaciółką — i oczywiście Crane pojedzie z nami.

Pani Nesbitt-Smith często nazywała ją po prostu „Crane”, chociaż przy dzieciach zawsze mówiła „panna Crane” i w rzadkich momentach serdeczności zwracała się do niej nawet po imieniu, jak wtedy na przykład, gdy z migreną leżała w zaciemnionej sypialni pod chłodnymi powiewami pankha, a ona, klęcząc przy łóżku, przygotowywała kompresy z wody kolońskiej.

Przez wiele dni po rozejściu się wiadomości o rychłym powrocie pułku do kraju panna Crane całą uwagę poświęcała wykonywaniu swoich obowiązków. O poruczniku Orme stanowczo przestała marzyć już jakiś czas przedtem, a nic nowego nie nastąpiło, by zaprzątnąć jej głowę. On — powiedziała sobie — był złudą, urojeniem, które w żadnym razie nie mogłoby się dla mnie urzeczywistnić. Teraz, kiedy uwolniłam się od tego urojenia, widzę wyraźnie, jakie puste są, zawsze były, tory moich myśli, jak bardzo łaknę czegoś, co by je zapełniło. Czym je zapełnię w kraju, w Anglii? Troską o te dzieci, chociaż one rosną, dorostają niezależnie ode mnie? O jakieś

inne dzieci i jakąś inną panią Nesbitt-Smith? O ich domy, które będą inne, a przecież takie same? I tak wciąż z roku na rok, jako Crane, panna Crane i czasami, coraz rzadziej, aż w końcu nigdy — Edwina?

Pod wieczór, od godziny piątej — gdy dzieci po podwieczorku przechodziły

15

na czas zabawy i kąpeli pod* chwilową opiekę aji — do siódmej, gdy należało dopilnować, by grzecznie zjadły, zanim pójdą spać, panna Crane przed kolacją spożywaną samotnie albo, jeśli okoliczności na to pozwalały, razem z państwem Nesbitt-Smith była wolna. Przeważnie spędzała te krótkie dwie godziny w swoim pokoju, kąpała się, wypoczywała, czytała i czasami pisała listy do znajomych guwernantek, takich jak ona, które przeniosły się ze swymi chlebobdawkami na inną placówkę czy też wróciły do Anglii. Ale teraz jakoś nie mogła usiedzieć w domu. Wkładała więc sznurowane buciki i z otwartą parasolką wychodziła na spacer uliczką, przy której stał bungalow Nesbitt-Smithów. Uliczkę ocieniały drzewa rosnące w coraz większych odstępach, a za ostatnim bungalowem dzielnicy administracyjnej zaczynały się tereny uprawne. Czasem szła w drugą stronę, w stronę bazaru garnizonowego. Za bazarom stał dworzec, a za dworcem rozciągało się miasto krajowców, gdzie była tylko raz. Pojechała tam wtedy z gromadką roześmianych pań i ich lęklivych towarzyszek w powozach, pod eskortą panów, żeby zwiedzić świątynię hinduską, która ją przeraziła, podobnie jak przeraziło ją całe to tubylcze miasto: brud wąskich uliczek, paskudna nędza, dźwięki zgrzytliwej, pełnej dysonansów muzyki, zapchłone psy, kaleki, żebracy, konający z głodu, tłuste, białe święte byki, przechodnie w łachmanach, mężczyźni i kobiety, dziwnie niechętni Anglikom w porównaniu ze służbą domową i innymi krajowcami zatrudnionymi na placówce wojskowej.

Tamtego dnia, gdy nagle stwierdziła, że kwestionuje perspektywy przyszłości, i gdy jak obraz w szeregu luster coraz mniejszych, aż w końcu za małych, żeby go dojrzeć, zobaczyła ten rząd dzieci, panów i pań Nesbitt-Smith i panien Edwin Crane — wyszła o piątej na spacer w stronę pół. Ale u wylotu uliczki stanęła nagle bojąc się iść dalej. Słońce, dosyć wysoko na niebie, jeszcze przygrzewało, musiała mrużyć oczy patrząc spod runda kapelusza i bawełnianego baldachimu parasolki na horyzont płaskiej, rozległej, ogromnej równiny Pendżabu. To chyba niemożliwe — pomyślała — że za tą daleką, daleką granicą ciągnie się już inny świat, są wzgórza i puszcze, i łańcuchy gór ze szczytami wiecznie białymi od śniegu, i źródła rzek. To chyba niemożliwe, że za tą równiną rzeki wpadają do oceanu.

Poczuła się skarłała, uboga duchem, przytłoczona straszliwą wagą ziemi, powietrza i niepojętych przestworzy, w których wrony zataczając kręgi trzepotały znojnje skrzydłami, żeby się utrzymać w górze. I przez chwilę doznawała wrażenia, że dotyka jej ciężkim palcem jakiś bóg; nie ten swojski, miłosierny, dodający otuchy Bóg, do którego machinalnie zazwyczaj się modliła, ale jakiś inny, nieznany, ani dobry, ani zły bóg, który nie stwarza ani nie niszczy, nie trwa we śnie ani na jawie, po prostu istnieje i daje światu odczuwać swój ciężar.

Wiedząc, że takie kobiety jak ona skłonne są szukać oparcia, jeśli już nie ucieczki, w religii, nazajutrz pod wieczór poszła w odwrotnym kierunku i przy kościele protestanckim skręciła za murek, w szeroką żwirowaną aleję między grobami ludzi, którzy zmarli daleko od ojczyzny, ale którym, gdyby się obudzili w tym cudzoziemskim miasteczku wiecznego spoczynku, chyba byłby pociechą

16

widok kościoła, cmentarza i zielonych, specjalnie posadzonych drzew — widok tak bardzo angielski. Weszła do kościoła bocznymi drzwiami, usiadła w tylnej ławce i zapatrzyła się w ołtarz, w okno z witrażem prawie już ciemne, widywane co niedziela, gdy przychodziła tu z państwem Nesbitt-Smith.

Bóg tego kościoła był znajomym, łaskawym, wyrozumiałym bogiem. Miała Go w sercu, ale nie w duszy. Wierzyła w Niego, Pocieszyciela, ale nie Odkupiciela. To był istotnie bóg społeczności, ale nie tej ciemnoskórej, walczącej o życie pod ciężarem nieba Pendżabu, tylko społeczności białej, uprzywilejowanej, w której swoje miejsce, chociaż skromne, miała też i ona. Zastanowiła się, kim jest dla Niego — Crane, panną Crane czy Edwina? Dla Syna Bożego chyba jest Edwina, ale dla gniewnego Boga może być jedynie Crane.

— Panna Crane?

Zaskoczona dźwiękiem czyjś głosu, obejrzała się. Podeszedł do niej kapelan, niemłody człowiek z różowym nosem, ostro zarysowanym, i charakterystyczną frędzlą siwych włosów na nieproporcjonalnie dużej głowie. Nazywał się Grant — po angielsku „ześlij” — co wywoływało w kościele powściągliwe uśmieszki, gdy intonował modlitwę: „Ześlij, o Panie w niebiesiech...” Uśmiechnęła się i teraz pomimo zażenowania tym, że zastał ją tak, a więc że zdradziła się jako kobieta w potrzebie nie tyle wypoczynku, ile pociechy. Nieładna dwudziestokilkuletnia panna o długiej, trochę końskiej twarzy, przesiadująca w pustym kościele, przecież łatwo daje się określić. W kilka lat później zaczęła to wspominać jako chwilę, w której nabrała pewności, że czeka ją staropanieństwo.

— Odpoczywa pani po codziennym znoju — powiedział pastor Grant melo dyjnym głosem kaznodziei.

Przytaknęła i spuściła oczy.

— Może w czymś mogę pomóc, moje dziecko? — dorzucił już naturalnie.

Ni stąd, ni zowąd zebrało jej się na płacz, bo dzieckiem nieraz w. przyplynie czułości nazywał ją ojciec, gdy był trzeźwy. Ale się nie rozplakała. Od czasu śmierci ojca nie uroniła ani jednej łzy i chociaż miała kiedyś w życiu rozplakać się znowu, ów moment jeszcze nie nadszedł.

Głos jej nie drżał. Ośmielona tym odpowiedziała.

- Myślę, że zostanie tutaj. — Zobaczyła zakłopotanie kapelana, który rozejrzał się po kościele, jak gdyby

zaczęło się dziać coś, o czym nikt go nie uprzedził, ale o czym ona, panna Crane, wie i dlatego uważa, że warto tu zostać. — W Indiach — wyjaśniła — chociaż Nesbitt-Smithowie wracają do kraju.

• Rozumiem. — Kapelan zmarszczył brwi, może dlatego, że nie powiedziała: „państwo Nesbitt-Smith”. — Nie powinno być z tym kłopotów, panno Crane. Wystarczy zwrócić się do pana pułkownika Ingleby i jego małżonki. Wiem, że cieszy się pani dobrą opinią. Majorostwo Nesbitt-Smith wyrażają się o pani w samych superlatywach.

Przyszłość była ciemnością — pustkowiem. Światelko małe jak łąpek szpilki pełgało pośrodku i wydawało się, że to już wszystko, co zostało E.dwiny Crane.

17

— Chyba bym chciała — spróbowała panna Crane wypowiedzieć myśl, której dotychczas nie sformułowała — przeszkolić się do pracy w misji.

Kapelan usiadł przy niej i razem patrzyli na witraż wschodniego okna.

• Nie — dodała — nie, nie po to, by głosić Słowo Boże. W gruncie rzeczy nie jestem religijna. — Zerknęła na niego. Nie odrywał wzroku od witraża. Chyba nie przejął się tym zwierzeniem. — Ale są szkoły, prawda? — zapytała. — Chciałabym się przygotować do tego, by uczyć w szkole misyjnej.

• Aha, rozumiem. Uczyć dzieci nie nasze, tylko naszych ciemnoskórych braci w Chrystusie?

Przytaknęła. Poczula, że brak jej tchu. Zwrócił się teraz do niej i zapytał:

• Widziała pani tutejszą szkołę dla tych dzieci?

• Tak, widziałam tę przy dworcu, ale... tylko z zewnątrz. — odpowiedziała.

• Rozmawiała pani kiedyś z panną Williams?

• Kto to jest panna Williams?

• Nauczycielka. Ale raczej nieprawdopodobne, żeby ją pani знаła. To na pół Hinduska. Chciałaby pani odwiedzić tę szkołę?

• Bardzo.

Kapelan skinął głową i po chwili, gdy już okazał, że się głęboko zastanawia, obiecał:

— A więc załatwię to. I jeżeli się pani nie rozmyśli, sam napiszę do naczelnego inspektora w Lahaurze... Co nie znaczy, żeby mogła pani dobrze się zorientować, widząc tylko szkółkę panny Williams. — Potrząsnął głową. — Nie, panno Crane. Na tym polu odnosimy nieduże sukcesy, jakkolwiek większe niż katolicy czy baptyści. W całych Indiach oczywiście jest mnóstwo szkół różnych wyznań i wszystkie służą oświecaniu tych, których chyba możemy nazywać poganami. W sprawie szkolnictwa Kościoł i misje zawsze wskazują drogę. Rząd, powiedz mi sobie szczerze, nie bardzo się kwapi do rozpatrzenia płynących z tego korzyści. Tak samo chyba nie kwapią się Hindusi. Ta szkoła tutaj, na przykład. W naj lepszym razie garstka dzieci. W święta w ogóle uczniów nie ma, to znaczy w święta hinduistów i muzułmanów. Dzieci przychodzą, pani rozumie, głównie ze względu na čapati, które im się daje. W czasie ostatnich zamieszek tę szkołę podpalono, ale to było, zanim pani tu przyjechała.

Okazało się, że panna Crane mówiła o innej szkole — mieszczącej się w okazałym budynku, wyposażonej z funduszków prywatnych, szkole chrześcijańskiej imienia Josepha Wainwrighta, dla dzieci eurazjatyckich, synów i córek żołnierzy, pracowników kolei i niższych urzędników państwowych, których krew połączyła się z krwią ludności tubylczej. Szkoła misyjna panny Williams stała na skraju miasta krajowców, biedny prostokątny budynek pośrodku dziedzińca bez, trawy, kryty dachem z blachy falistej, oznaczony jedynie krzyżem, niezdar- nie namalowanym na żółtej sztukaterii nad drzwiami. Panna Crane wstydzi-

18

ła się przyznać do swojej pomyłki, gdy pan Grant przywiózł ją dwukołową bryczuszką, pomógł jej wysiąść i podał ramię. Weszli na dziedziniec przez wyrwę w murze, w której może kiedyś, przed ostatnimi zamieszkami, była furka.

Żeby tu z nim przyjechać w południe, musiała prosić o pozwolenie panią Nesbitt-Smith i wyjaśnić, dlaczego chce się zwolnić zamiast jak zwykle o tej porze udzielać lekcji małym Nesbitt-Smithom. Chlebobdawczyni popatrzyła na nią z politowaniem i wykrzyknęła:

— Boże Świąty! Crane! Cóż to za pomysł?! — Po czym dorzuciła, chyba rzeczywiście przejęta, co było wruszające, więc też o wiele bardziej zaniepokoiło pannę Crane niż sam ten wybuch: — Chcesz żyć wśród czarnych i mieszańców, odciąć się od swoich? Poza tym, Edwino, my wszyscy jesteśmy serdecznie do ciebie przywiązani.

Panna Crane uznała, że postępuje głupio, wcale nie mając pewności, czy impuls, pod wpływem którego to robi, wytłumaczyła sobie w sposób właściwy. Już sam fakt, że szkołę misyjną pomyliła ze szkołą eurazjatycką, świadczy, jak dalece nie ma pojęcia o tym, co się dzieje tuż przed jej nosem, jak mało wiadomo jej i osobom jej

pokroju o życiu tego miasteczka, któremu przecież są coś winne za swoje przywileje. Jeżeli nawet nie wiedziały — rozmyślała — gdzie jest ta szkoła misyjna, to czyż mogą mieć nadzieję, że przyczynią się do rozkwitu innych takich szkół albo że będą zasługiwała na to, by one mi coś dały.

Drzwi szkoły były otwarte. Dolatywał śpiew dzieci. Gdy podchodzili do drzwi, śpiew ucichł. Pan Grant szepnął, że te odwiedziny nie są niespodziewane, i przepuścił pannę Crane przodem. Weszła przez próg prosto do klasy. Nauczycielka stojąca na katedrze podniosła obie ręce.

— Dzieci, wstańcie! — poleciła.

Dzieci w kilku rzędach ławek przed katedrą wstały. Na tablicy widniało zdanie: „Witamy pannę Crane, mera.”

Nauczycielka znów podniosła ręce i zabrzmiał chór śpiewnych dziecięcych głosów.

— Witamy, panno Crane.

Usiłując podziękować, panna Crane czuła, jak język przywiera jej do podniebienia. Odwiedziny kandydatki na nauczycielkę zostały uznane za odwiedziny ciekawskiej mem-sahib. Stała przerażona zobowiązaniem, jakie to na nią nakłada, przerażona duchotą tej klasy o pobielanych ścianach, rzędami dzieci, zapachem palącego się krowiego łajna, który bił w otwarte drzwi i okna z podwórza na tyłach, gdzie niewątpliwie przyrządzano owo zsyłane przez. Boga ćapati. I przerażała ją panna Williams w szarej bawełnianej bluzie, długiej brązowej spódnicy i czarnych bucikach zapinanych na guziczki, dziewczyna młodsza od niej, śniada jak te najbardziej nieznośne z Europejki, te mieszkające w Indiach przez całe życie, tylko że śniadość panny Williams oznaczała na pół indyjskie pochodzenie, wobec którego ona się nauczyła odczuwać pewną zgrozę.

Panna Williams zeszła z katedry. Przy biurku na katedrze stało tylko jedno

19

krzesło. Zaproszona, panna Crane usiadła, kajŚciliń stóhął obólc. PrzedliUj dokonał prezentacji:

— Panno Crane, to jest panna Williams.

Ale nie powiedział: „Panno Williams, to jest panna Crane.” Siadając panna Crane spróbowała uśmiechnąć się do tej dziewczyny, przeprosić bez słów za jego uchybienie; cóż, kiedy wargi miała spieczone i uświadomiła sobie, że wyraz jej twarzy jest zupełnie taki, jaki widuje często na twarzy pani Nesbitt-Smith. Ten wyraz zastygł, gdy wreszcie z konieczności popatrzyła na dzieci i stwierdziła, że stanowi dla nich niepojęty, jedyny przedmiot ciekawości, nabożnego szacunku, może lęku. Jej odświętna biała muślinowa suknia (włożyła ją tego dnia, żeby wyglądać jak najgodniej), wykończona falbanką u dołu, ale bez żadnych innych ozdób poza guziczkami z masy perłowej na plisowanym karczku poniżej wysokiego kołnierzyka; sztywny słomkowy kapelusz z płaskim denkiem, nasadzony prosto na upięte włosy; zamknięta parasolka z białej bawełny z różową podszewką, prezent od pani Nesbitt-Smith na ostatnią Gwiazdkę — wszystkie paradne fatalaszki society, do której nie należała, nieznośnie ją teraz kępowały.

Na polecenie panny Williams mała dziewczynka w luźnym kitlu wyglądającym, jakby był uszyty z worka, bosa, ale — dla zaznaczenia, że dzień jest uroczysty — z kwiatami wplecionymi w warkoczyk, podeszła, dygnęła i podała pannie Crane bukiet. Panna Crane wzięła ten dar z jej wyciągniętej rączki. Chociaż znów spróbowała powiedzieć „dziękuję”, najwidoczniej wyszło to niezrozumiale, bo dziewczynka spojrzała na pannę Williams niepewna, czy obrzęd wręczenia bukietu się skończył. Ani nie widząc tych kwiatów, ani nie czując ich woni, panna Crane wtuliła w nie nos. Gdy podniosła głowę, dziewczynka stała już na swoim miejscu w pierwszym rzędzie razem z innymi dziewczynkami.

— Myślę — powiedział pan Grant — że dzieci mogą usiąść, prawda, panno Crane? Później popiszą się piosenką czy też recytacją, którą panna Williams na pewno przerabiała z nimi dziś od rana.

Przez chwilę panna Crane wpatrywała się bezradnie w kwiaty, świadoma, że panna Williams i pan Grant patrzą na nią wyczekująco. Skinęła głową zawstydzona; nie potrafiła sprostać swej pierwszej publicznej powinności w życiu.

Dzieci usiadły, gdy panna Williams kazała im usiąść, i milczały. Panna Crane pomyślała, że wyczuły jej skrepowanie i tłumaczą je sobie jako niezadowolienie albo znudzenie. Zmusiła się, żeby spojrzeć na pannę Williams.

— Bardzo bym chciała — rzekła — zaraz usłyszeć tę piosenkę. — Po czym przypomniało jej się, że pan Grant powiedział „piosenkę czy też recytację”, więc dodała: — Albo ten wiersz. Albo jedno i drugie. Proszę, niech one się popiszą tym, co pani z nimi przerabiała.

Panna Williams odwróciła się do klasy i powiedziała swą rozwlekłą, dziwnie akcentowaną angielszczyzną:

— No, dzieci, co zaśpiewamy? Może piosenkę *Jest przyjaciel* ?

I padło słowo aćcka, dobrze, które panna Crane знаła, ale po którym nastąpił szereg wypowiedzianych szybko słów w hindustani, już nie do uchwycenia. Nawet

20

nie rozumiem dobrze tego języka — pomyślała — jakże więc mogę mieć nadzieję, że będę uczyć?

Dzieci ponownie wstały. Panna Williams zaczęła wybijać takt w powietrzu. Początek zaśpiewała sama, ułatwiając pannie Crane rozpoznanie, jaki to będzie hymn. Urwała, wybiła takt znowu, skinęła i po chwili wszystkie dzieci już śpiewały nieśmiało, nierówno, głosami nieprzywykłymi do osobliwej, stonowanej cudzoziemskiej gamy.

Jest przyjaciel małych dzieci nad błękitem nieba tam,
miłujący, łaski pełen, wciąż niezmiennie taki sam.
Przyjaciele tu na ziemi mogą zawieść, zdradzić nas. Ten
przyjaciel będzie godny swego miana po wszech czas.

Odpozynek tam dla dzieci nad błękitem nieba jest, z
dale od zamętu świata i od grzechu, i od teź. Miłujący
Zbawiciela, do Ojca wznoszący głos, każdy mały
pielgrzym spocznie tam na wieki już bez trosk.

Panna Crane przyglądała się im, gdy śpiewały. Były bandą małych obszar-pańców. W dzieciństwie szczególnie ten hymn lubiła i gdyby słuchała teraz dzieci angielskich śpiewających przy akompaniamencie fortepianu czy organów, tak jak kiedyś w nędznej szkole jej ojca, może by ją ogarnęło raptowne wzruszenie czy rozrzewnienie na myśl o utraconym świecie, pełnym czaru i pociechy. Ale ten śpiew tutaj nie podniósł jej na duchu ani nie rozrzewnił. Uprzytomniła sobie jakąś niedorzeczność i budził się w niej dziwny sprzeciw wobec koncepcji odciągania małych Hindusów od kultu ich własnych bogów do kultu Boga, dla którego ona sama śpiewała, gdy była dzieckiem, ale w którym teraz nic pokładała mocnej wiary. Jednocześnie poczuła, zrodzony nagle, gorący szacunek dla tych dzieci. Są głodne, biedne, pozbawione wszystkiego, bez żadnych życiowych szans, a jednak sprawiają przemożne wrażenie, że mają swoje miejsce na świecie — rzecz jasna, w Czarnym Mieście, nigdzie indziej — i ktoś je kocha. Ale miłość, jak ich rodzice wiedzą, to jeszcze mało. Głodu i nędzy samą miłością nigdy się nie pokona. Grunt, że w tej szkole dziecko za darmo dostaje ćapati.

I wtedy panna Crane pojęła: obecność jej czy jakiegokolwiek innej Angielki tutaj, siedzącej na krześle i z bukietem w ręku słuchającej, jak specjalnie dla niej śpiewają zdjęte bojaźnią, nieoświecone dzieci, da się usprawiedliwić tylko w jednym wypadku: jeżeli z tą obecnością łączy się poczucie obowiązku, który nakazuje popierać sprawę ludzkiej godności i ludzkiego szczęścia. Już nic wstydziała się swojej sukni, już, w głębi duszy nie bała się tego budynku szkolnego i za-

21

pachu palącego się krowiego łajna. Krowie łajno służy za rozpałkę, ciasno tu i duszno, bo brak pieniędzy na budowę szkoły dużej, przestronnej, a ta suknia to po prostu symbol jej, panny Crane, sytuacji i wynikłych stąd zobowiązań: ona nie może okazywać, że się boi, nie może bać się nawet w skrytości ducha, musi się starać emanować wdziękiem, godnością osobistą, być żywym dowodem, że gdzieś na świecie przecież błyska nadzieja lepszego losu.

Gdy śpiew się skończył, powiedziała jękając się, w hindustani:

— Dziękuję. To było bardzo ładne.

I zapytała pannę Williams, czy może zostać, kiedy dzieci będą jadły ćapati, a potem popatrzeć na ich zabawy i jeśli panna Williams ma czas, porozmawiać o pracy w szkolnictwie.

Tak więc panna Crane wyruszyła w swą długą i samotną, trudną, czasem niebezpieczną drogę, która po wielu latach doprowadziła ją do Majapuru na stanowisko kuratorki szkół misji protestanckiej w całym okręgu.

Chociaż usunęła portret Gandhiego, inny obraz, będący znacznie dłużej w jej posiadaniu, pozostawiła na ścianie nad biurkiem w pokoju, który służył jej jako sypialnia i zarazem jako gabinet.

Miała ten obraz od roku 1914 — swego piątego roku pracy w misji — kiedy to przeniesiono ją ze szkoły w Muzzafirabadzie, gdzie pomagała niejakiemu panu Cleghornowi, na stanowisko samodzielnej kierowniczki szkoły w Ranpurze.

Obraz dostała w prezencie pożegnalnym. Sam szef misji przewodniczył wtedy uroczystemu zebraniu, chociaż nie on, tylko pan Cleghorn wręczył jej ten prezent, gdy dzieci klaskały i wznosiły okrzyki na jej cześć.

W szufladzie biurka jeszcze przechowywała plakietkę przymocowaną pierwotnie do ramy obrazu. Pożłota zeszyła z plakietki, napis szerniał, spętał, ale nadal był czytelny: „Edwinie Crane w dowód uznania za jej odwagę od personelu i uczniów szkoły misji anglikańskiej w Muzzafirabadzie.”

Zanim dojechała do Ranpuru, oderwała plakietkę od obrazu, bo żenowało ją słowo „odwaga”. Przecież w czasie zamieszek nie zrobiła nic poza tym, że po zapędzeniu dzieci do szkoły stanęła w drzwiach i płynnie przemawiając w urdu — a były to zwroty, jakich by nie powtórzyła swoim zwierzchnikom — odwołała od wtargnięcia bandę raczej niezdecydowanych buntowników. Przynajmniej jej się wydawali niezdecydowani, chociaż później, zaledwie w dwie godziny później, oni czy też ich bardziej zawzięci koledzy spalili dom misji katolickiej nieco dalej na tej samej ulicy, napadli na komisariat policji i ruszyli do dzielnicy administracyjnej, gdzie rozpedziło ich wojsko zabijając jednego z prowodyrów i strzelając w powietrze. Przez cztery dni w njiasteczku trwał stan wojenny. Gdy przywrócono spokój, panna Crane z przykrością stwierdziła, że jest przedmiotem powszechnej uwagi. Odwiedził ją sędzia okręgowy w towarzystwie nadinspektora policji, żeby złożyć jej podziękowanie. Uznała za konieczne powiedzieć, że wcale

22

nie ma pewności, czy postąpiła słusznie — może byłoby lepiej, gdyby pozwoliła buntownikom spalić to, co

chcieli, modlitewniki czy krucyfiksy. A tak odeszli w jeszcze większym gniewie, spalili misję katolików aż do fundamentów, spowodowali wielkie zamieszanie.

Potem pan Cleghorn wrócił z urlopu, ciekaw faktów, bo słyszał tylko pogłoski. Wtedy postanowiła poprosić o przeniesienie, żeby móc prowadzić swoją pracę w atmosferze wolnej od wspomnień o tym incydencie, stawiając ją w fałszywej — jej zdaniem — sytuacji. Powiedziała panu Cleghornowi, że nie mogłaby niczego nauczyć dzieci, które w niej widzą jakąś papierową bohaterkę i niewątpliwie wszystkie patrzą na tablicę tylko jednym okiem, bo drugie wlepiają w drzwi z nadzieją, że znów się zaczną rozruchy i panna Crane je stłumi. Pan Cleghorn powiedział, że przykro mu będzie ją utracić, ale że rozumie i jeżeli rzeczywiście tak zdecydowała, sam napisze w tej sprawie do zarządu misji.

Gdy przysłało pismo o przeniesieniu, dowiedziała się, że dostała awans i ma objąć stanowisko kierowniczkę szkoły w Ranpurze. Zanim wyjechała z Muzza-firabadu, odbyła się uroczystość pożegnalna zakończona wręczeniem jej obrazu — większej i ładniej oprawionej reprodukcji niż ta, która wisiała za jej biurkiem w klasie. Obraz, *Klejnot Korony*, na pół historyczny, na pół alegoryczny, przedstawiał starą królową (dzieciom teraz bez wątplenia Wiktoria myliła się z osobą panny Crane) w otoczeniu postaci symbolizujących Imperium Indyjskie: książąt, ziemian, kupców, lichwiarzy, sipajów, rolników, służących, dziatwy, matek i niezwykle czystych, schludnych żebraków. Królowa siedziała na złocistym tronie pod karmazynowym baldachimem. Z obu stron stali jej adiutanci świecący i duchowi: generałowie, mężowie stanu i biskupi. Tron pod baldachimem ustawiono najwidoczniej na świeżym powietrzu, bo były tam palmy i niebo z promienistym słońcem wychylającym się zza rozdętych obłoków, takich, jakie w Indiach zwiastują deszczowy monsun. Ponad obłokami unosiły się anioły z modli-lewnie złożonymi dłońmi, zyczliwi świadkowie uroczystości. Wśród mężów stanu przy tronie jeden dosyć podobny do pana Disraeliego trzymał pergaminową mapę Indii, wskazując ją z wyraźną dumą, ale też i taktowną pokorą. Indyjski książę w asyście swojej świty siedł do tronu, żeby ofiarować królowej duży roziskrzony klejnot na aksamitnej poduszce. Dzieci w szkole myślały, że to jest właśnie ten, o którym mowa w nazwie obrazu. Panna Crane musiała im wyjaśnić, że ów klejnot tylko symbolizuje hołd, a klejnotem w koronie królowej są same Indie, odkąd przeszły w roku 1858 spod panowania brytyjskiej Kompanii Wschodnioindyjskiej pod panowanie brytyjskiej Korony — w rok po buncie sipajów¹, którzy będąc w służbie Kompanii (przybyłej do Indii w XVIII wieku) powstali i usiłowali w Delhi ogłosić królem pewnego starego księcia Mogoła — i że ten obraz został namalowany w roku 1877, gdy Wiktoria za namową pana Disraeliego przyjęła tytuł cesarzowej Indii.

¹ W 1857 r. bunt sipajów przekształcił się w powstanie wymierzone przeciw panowaniu Kompanii Wschodnioindyjskiej.

Wobec obrazu *Klejnot Korony* panna Crane doznawała uczuć mieszanych. Reprodukcję, już wiszącą na ścianie klasy szkolnej w Muzza-firabadzie, gdy tam wkroczyła jako pomocnica pana Cleghorna, uważała za rzecz użyteczną dla dzieci muzułmanów i hinduistów na lekcjach języka angielskiego. To jest królowa. To jest jej korona. Niebo jest niebieskie. To są obłoki. Mundur tego sahiba jest szkarłatny. Pan Cleghorn, wyświęcony członek Kościoła, zapamiętały archeolog i antropolog-amator, który wciąż sobie obiecywał, że napisze monografię miejscowego terenu i rozprawę o miejscowych obyczajach społecznych, oddawał się przede wszystkim pracy dla Kościoła i nauczaniu starszych chłopców w szkole średniej. Zaniedbywał przez, to młodsze dzieci, czego był świadom. Gdy w odpowiedzi na jego prośbę o stałą pomoc w szkole podstawowej przysłało mu z Lahauru pannę Crane, zachwyił się widząc, jak praktycznie ona wykorzystuje obraz, który dotychczas uważał tylko za coś, co wisi na ścianie ku ozdobie.

Lubił wypowiadać się na ten temat, ilekroć zastawał pannę Crane z gromadką dzieciaków patrzących szeroko rozwartymi oczami to na nią, to na obraz, zasłuchanych w jej cierpliwie wyjaśnienia.

— Och, znowu *Klejnot Korony*, panno Crane! — mawiał. — Wspaniale, wspaniale. Mnie by to nigdy nie przyszło do głowy. A więc nauczając języka angielskiego można jednocześnie wpajać umiłowanie tego, co angielskie.

Panna Crane wiedziała, że pan Cleghorn ma na myśli umiłowanie angielskiej sprawiedliwości, angielskiej dobroci czy — w każdym razie — dobrej woli. Wzruszała ją, chociaż często też irytowała, jego prostota. To był zacy człowiek, niezmordowany, pełen zainteresowań, miłośnierny. Mahometanizm i hinduizm, których przejawy wciąż jeszcze ją przerażały, jego bawiły tak, jak dorosłych mogą bawić wymyślne, zapamiętałe, ale nieszkodliwe zabawy dziecięce. Jeśli czasem wydawało jej się, że pan Cleghorn przechodzi obojętnie obok ludzkiej niedoli, to przecież wiedziała, że on na swój sposób żyje ku chwale bożej. Najlepiej służy się Bogu kształcąc i ćwicząc umysł — taki wyznawał pogląd. Brak mu było odwagi fizycznej — bał się psów, kiedyś okropnie zląkł się węża, nawet wezwał nocnego stróża, żeby tego węża zabił; i widziała nieraz, jak drgają mu mięśnie policzków, ręce się trzęsą, gdy w wioskach wychodziły im na spotkanie delegacje mężczyzn, którzy sprawiali wrażenie wściekłych, ale rzeczywiście przyjmowali ich zyczliwie. Miał jednak dużo odwagi cywilnej i to w nim podziwiała.

Potrafił walczyć aż do skutku o każdy grosz, jaki misja w jego pojęciu mogła wyłożyć na Muzza-firabad, i gospodarował tymi pieniędzmi rozsądnie. W lot dostrzegając niesprawiedliwość, wstawał się u sędziego ogólnego w sprawach, które jego zdaniem na to zasługiwały, doprowadzał do zawieszenia wyroku albo uniewinnienia. Pan Cleghorn — mawiał sędzia okręgowy — marnuje się w Kościele, powinien pracować w administracji.

Ale najbardziej nieustępliwie pan Cleghorn walczył o umożliwienie wyższych studiów chłopcom ze średnio zamożnych mieszczańskich rodzin Anglo-Hindusów, hinduistów, muzułmanów, sikhów. Jeśli tylko stwierdził, że

któryś z nich odznacza się inteligencją powyżej przeciętnej, uważał go za dziecię Boga, pobło-

24

gosławione wrażliwością i rozumem. Przede wszystkim badał, do czego chłopak* ma zdolności, a potem przekonywał zarówno jego, jak jego rodziców, że powinien obrać określony kierunek studiów.

— Młody Sankar Ram, na przykład — wyjaśniał pannie Crane nie bardzo pewnej, o którym Sankarze Ramie mowa — chce być urzędnikiem państwowym. Oni wszyscy chcą być urzędnikami państwowymi. Ale gdzież posada dla niego poza urzędem poczt i telegrafów? Powinien zostać inżynierem. Może nie ma tego we krwi, ale ma to w sercu i w mózgu.

Zaczynał rozpaczliwie, często na próżno, szukać środków, sposobów, okazji. żeby młody Sankar Ram mógł wyruszyć z Muzzafirabadu w wielki świat i uczyć się budować mosty. Pod tym względem — rozmyślała panna Crane — pan Cleghorn jest niezwykle duchownym, bo w dziewięćdziesięciu dziewięciu przypadkach na sto taki Sankar Ram okazuje się równie daleki od nawrócenia na chrześcijaństwo, jak kobiety hinduskie są dalekie od emancypacji. Zresztą w kwestii kobiet, czy to hinduskich, czy brytyjskich, pan Cleghorn był irytująco zacofany, na dobro kobiet zupełnie ślepy.

— Wy, niewiasty, panno Crane — powiedział kiedyś — niestety, a raczej na szczęście, jesteście stworzone do małżeństwa albo do służby bożej.

I w tym jedynym momencie spoufalenia, na jakie sobie kiedykolwiek wobec niej pozwolił, ujął ją za rękę i poklepał po dłoni, jak gdyby chciał pocieszyć wiedząc, że z pewnością nie do małżeństwa została stworzona.

Czasami panna Crane miała chęć wskazać mu obraz na ścianie, przedstawiający starą królową w całym majestacie, i powiedzieć: „No cóż, jednakże była kobieta u steru spraw państwowych.” Nigdy tego nie zrobiła, toteż ogarnęło ją wzruszenie, gdy po rozpakowaniu paczki z prezentem zobaczyła jeszcze jaskrawszą reprodukcję *Klejnotu Korony* — wzruszenie, bo z pewnością to sam pan Cleghorn, do głębi przekonany, że właśnie taki prezent pożegnalny będzie ceniła najbardziej, wybrał w sposób typowy dla siebie coś zgoła jej niepotrzebnego.

Ale w dwa dni później, gdy Joseph — młody wówczas biedny pomywacz z kuchni misyjnej, który na własną prośbę miał wyjechać z nią, panną Crane, jako jej służący — oddawał rzeczy na bagaż, pan Cleghorn, wprowadzając ją do przedziału pierwszej klasy dla pań. wręczył jej swój osobisty prezent. Ledwie pociąg ruszył w ponury krajobraz pogranicza, rozpakowała paczkę. Była to książka *Fabian Essays in Socialism* George'a Bernarda Shawa. Dedykacja brzmiała: „Przyjaciółce i koleżance, Edwinie Crane”, opatrzona podpisem: „Arthur St John Cleghorn”. i datą: „12 lipca 1914 r.”

Tę książkę panna Crane nadal miała w bibliotece w swoim pokoju w Majapurzfr.

Przerywając pracę przy biurku — a do przerw czuła się uprawniona z racji swego wieku, wieku aktywności, ale też i kontemplacji — podnosiła czasami wzrok na ten obraz i raptem stwierdzała, że długo mu się przygląda. Z biegiem

25

lat zaczął trochę ją wzruszać nastrojem przeszłości, minionej chwały, chociaż wiedziała, że chwały w tym, co przedstawia, nigdy nie było i że takie Indie w ogóle nie istniały na zewnątrz tej pozłacanej ramy. Obraz odwoływał się najwyżej do drobnomieszczańskiej czułości. A przecież miał w sobie jakąś niejasną godność.

Nasuwał jej myśli trudne do zanalizowania. W skromny, praktyczny sposób poświęciła życie na to, by udowodnić, że lęk jest złem, bo sprzyja uprzedzeniom, a odwaga jest dobrem, bo oznacza brak samolubstwa, i że złem jest również niewiedza, bo rodzi lęk, a dobrem jest wiedza, bo im więcej się wie o złożoności świata, tym wyraźniej widzi się znikomość własnej roli w tym świecie.

Może właśnie to — dumiała panna Crane — ta koncepcja, że osobiście nic się nie znaczą, koncepcja, która jak cienie tych obłoków zapowiadających deszcz stanowi podłoże jaskrawych barw obrazu, nadaje królowej i jej poddanym większy splendor. W postawie starej królowej na tronie widziała coś, co jak na ironię przypominało jej tamtą chwilę sprzed wielu lat, gdy sama siedziała na podium, strojna w biały muślin. Zawsze usiłowała w tej stylizowanej ilustracji hołdu i matriarchalnej troski odnaleźć przesłanie tchnące duchem godności niepompatycznej, takim, jakim tchnęła dla niej w dzieciństwie matka — morał, że trzeba odważnie przyjmować obowiązki nie ku własnemu wywyższeniu, tylko z samozaparciem pragnąc się przyczynić do tego, by na świecie było coraz lepiej i radośniej, by świat wreszcie się uwolnił od rzeczy bardzo złych, których na tym obrazie nie pokazano: od ubóstwa, chorób, niedoli, ciemnoty i niesprawiedliwości.

Otóż (gdy późno, ale chyba nie za późno zwróciła się w stronę swoich rodaków) zobaczyła w pewnym młodym człowieku, niejakim szeregowcu Clancym (choć on, młodzieńczo obcesowy i bardzo męski, lubił wysuwać się na poczesne miejsce, co nie uchodziło jej uwagi), iskierkę delikatności, instynkt samozaparcia. Clancy pilnował, żeby jej nie pominięto przy częstowaniu się keksem i przekazywaniu sobie cukiernicy. Może z tej racji, a także i dlatego (przyznawała to), że ten żołnierz z gminu był fizycznie jakoś podobny do uprzywilejowanego, urodzonego porucznika Orme (który poległ w czasie pierwszej wojny światowej i został pośmiertnie odznaczony Krzyżem Wiktorii), myślała o Clancym częściej niż o jego dosyć topornych kolegach.

Jest w nim delikatność — rozważała — na pewno jest. Świadczy o tym chociażby to, że on bardzo miło odnosi się do Josepha, służącego, i w języku urdu, który zna słabo, po żołniersku żartuje tak dobrodusznie, że stary uśmiecha się od ucha do ucha i zawsze wyczekuje jego wizyt. Świadczy o tym również jego przyjaźń z Barrettem, niezdarnym, tępym, nieinteligentnym brzydalem.

Istotnie to właśnie — przyjaźń z Barrettem — tak samo jak szczególna grzeczność wobec niej, stosunek do Josepha i nieopuszczanie ani jednego podwieczorku u niej, spowodowało, że zaczęła się zastanawiać, co właściwie rozumie pod słowem „delikatność” w przypadku Clancy'ego. Wiedziała, że tacy chłopcy jak Clancy często przyjaźnią się z chłopcami, nad którymi górują fizycznie i duchowo,

'26

gdyż zyskują na porównaniu z nimi. Wiedziała, że Clancy, wybierając sobie fajtlapę Barretta na tak zwanego „fagasa”, postąpił zgodnie z podstawową zasadą psychologiczną. Ale normalnie taki chłopiec wyśmiewałby się z Barretta, a broniłby go tylko wtedy, gdyby próbowali z niego kpić inni; natomiast Clancy — tego była pewna — nigdy Barrettwi nie dokuczał. I koledzy w obecności Clancy'ego nigdy z Barretta nie kpili. Biedny Barrett był prymitywem. W towarzystwie tych wesołych zuchów wyróżniał się jak strach na wróble wśród łanów młodej pszenicy. Panna Crane z początku uważała, że on rzeczywiście do nich nie pasuje, ale potem stwierdziła, że tamci nie widzą jego odrębności. Może to Clancy sprawił, że z czasem zaakceptowali go i przyjęli do swego grona. Z pomocą Clancy'ego Barrett wyrobił w sobie pewne cechy według nich nie odbiegające od normy i pod wpływem Clancy'ego oni już nie dostrzegają tych jego cech, które przedtem na pewno ich raziły.

Otóż Barrett pierwszy zwrócił uwagę na *Klejnot Korony*. Zaczęły się deszcze i trzeba było podawać podwieczorek w pokoju. Panna Crane udostępniła żołnierzom swój bungalow i nawet pamiętała o papierosach i o popielniczkach. Wolała, żeby palili, niż męczyli się nie paląc przez półtorej godziny, a potem, z widoczną ulgą, niezbyt dla niej zrozumiałą, zapalali papierosy już przy furcie w drodze powrotnej do koszar. Barrett pierwszy zainteresował się starą królową na tronie pod baldachimem. Podeszedł do obrazu i znieruchomiał, po swojemu, tępo zagapiony. Clancy, który zwykle przemawiał za nich obu, też tam podeszedł i powiedział:

— To się nazywa obraz alegoryczny, prawda, proszę pani?

Słowa „alegoryczny” użył nie bez dumy ze swego nabytego z trudem wykształcenia, czym podbił serce panny Crane, ale zarazem trochę ją zirytował, bo już chciała wyjaśnić Barrettwi: „To w gruncie rzeczy alegoria” — tylko że co by Barrett z tego zrozumiał?

- Tak, to jest alegoria — potwierdziła.
- Ładny stary obraz — pochwalił Clancy. — Bardzo ładny stary obraz. W tamtych czasach było inaczej, prawda, proszę pani?

Zapytała, co on ma na myśli. Odpowiedział:

— No, wszystko było jakieś prostsze, ustalone.

Przez chwilę się zastanawiała.

Raczej tak się wydawało większości ludzi. Ale chyba to jest prostsze teraz. Po tylu tych latach nie ma żadnych wątpliwości. Indie powinny uzyskać niepodległość. Kiedy wojna się skończy, musimy z nich zrezygnować.

• Och — powiedział Clancy, nadal patrząc na obraz, nie na nią — ja właściwie mówiłem o Bogu i w ogóle, i o tym, że wtedy ludzie wierzyli. Niedużo wiem o Indiach, tyle że z grubsza, co to jest Kongres i co mówi stary Gandhi. Gdyby mnie kto pytał, proszę pani, to Gandhi ma fioła.

— Ma fioła, a jakże — zawtórował Barrett.

Panna Crane się uśmiechnęła.

— Kiedyś wisiał u mnie również i jego portret. Tam. Jeszcze widać gdzie.

,27

Odwrócili się, żeby spojrzeć na to puste miejsce na ścianie, owalną plamę bledszej farby klejowej. Tylko tyle pozostało pannie Crane z podobizny uśmiechniętego Mahatmy w okularach, kogoś, w kim pokładała wiarę, którą teraz przeniosła na pana Nehru i pana Rajagopalacharię. Jej zdaniem oni rozumieli, że są różne stopnie tyranii, i gdyby mogli wybierać, prawdopodobnie woleliby jeszcze przez jakiś czas znosić tyranię imperialną, żeby nie tylko uniknąć poddania się tyranii totalnej, ale stawić totalizmowi opór. Patrząc na Clancy'ego i Barretta nagle sobie wyobraziła, że to są dwaj Niemcy, żołnierze z oddziału szturmowego uświadomieni ideologicznie, albo dwaj Japończycy, czciciele przodków, wierzący, że drogą do niebios jest śmierć na polu bitwy. Wiedziała, jakiego sama by dokonała wyboru. Był w tym wyborze — co pojmowała — ślad pradawnego instynktu, który nakazywał trwać w bezpieczeństwie zakłętą krew, było zrozumienie czarów, zawartych w chronieniu gatunku, jak również poczucie bezpieczeństwa przy chłopcu takim, jak na przykład Clancy, w razie gdyby biedny stary Joseph raptem wpadł w szal i wbiegł do pokoju uzbrojony, wściekły, groźny, żeby jej odpłacić za rzekome czy też prawdziwe krzywdy, które ona jako przedstawicielka rasy białej mogłaby dla niego symbolizować — bo w swej naiwnej wściekłości przecież by nie odróżniał jednostki od narodu.

Ale przypuszczała, że na jej wybór wpływa też coś innego: zarówno intelekt, jak serce nakazują jej stać po stronie takich chłopców jak Clancy. Tacy unoszą się na powierzchni swej ojczystej rzeki, chociaż może nie wiedzą, skąd i dokąd płynie; rzeki będącej moralnym nurtem historii; rzeki, w którą uprzedzenie ciska kłody i która musi albo je odrzucać, albo nieść z prądem do niewidocznego, bo wciąż jeszcze dalekiego morza doskonałej harmonii, aż ich szczątki, przesiąknięte wodą, zbutwieją i rozpadną się albo zginą jak zapalki w majestatycznym oceanie. Clancy, ostatecznie, to nie tylko Clancy czy Clance, ale także syn swojego ojca, potomek rodu swojego

ojca, Anglicy zaś, dopóki pozostają w Anglii, przecież zawsze — pomimo, a może nawet wskutek wrodzonej obłądki — starali się usuwać ze swej rzeki kłody uprzedzenia, tak samo jak każde inne europejskie plemię. Tym bardziej że są odosobnieni, że zajmują w Europie pozycję niezwykłą, utrudniającą dokonanie na ich wyspę inwazji militarnej, ale nie utrudniającą owego subtelniejszego wtargnięcia humanitarnych pojęć Europy klasycznej i renesansowej, pojęć, które wzbijają się w przestworza, latają jak ptaki wędrowne wszędzie tam, gdzie są wciąż na nowo mile witane.

Rzecz w tym — sądziła panna Crane — że Clancy potrafi dosłyszeć przynajmniej szelest, słabe echo tego potężnego łopotu skrzydeł na szlakach stuleci, i dlatego może powiedzieć po części ze smutkiem, po części z dumą, skoro życie dla takich jak on stało się oczywiście lepsze: „W tamtych czasach wszystko było jakieś prostsze, ustalone.” On czuje, chociaż tylko podświadomie, ciężar, jakim jest wolność myśli i uczynków, wyznawanie czy też negowanie wiary, ów wielki ciężar, jaki narzuca światu każdy akt wyzwolenia. Clancy w swojej względnej niewinności nadaje, religijne, a nie społeczne znaczenie obrazowi, który wywołał w nim tę refleksję, ale w końcu — doszła do wniosku panna Crane — wychodzi

28

na to samo. Bóg ostatecznie jest tylko symbolem, symbolem władzy najwyższej tutaj na ziemi, a Clancy zaczyna rozumieć, że sprawowanie władzy to rzecz niełatwa, zwłaszcza wtedy, gdy sprawując ją nie czuje się już przychylności niebios.

W tamtym roku deszcze spadły późno. Dotarły do Majapuru pod koniec czerwca. Młodzi żołnierze, zmordowani wyjątkowymi upałami, powitali pierwszą ulewę z radością, ale w połowie lipca już się uskarżali na wilgoć.

Panna Crane przyzwyczała się do ignorowania pogody. W okresach suszy nosiła kapelusze z szerokim rondem, suknie bawełniane lub wełniane i wygodne pantofle. W okresach deszczów nosiła bluzki i gabardynowe spodnice, kalosze, gdy to było konieczne, lekką pelerynę burberry i kask tropikalny pokryty ceratą. Po Majapurze i najbliższych okolicach jeździła na sfatygowanym, ale niezawodnym rowerze marki Raleigh. Samochód — dziesięcioletniego Forda — zachowywała na dalsze trasy. Dawniej jeździła tym Fordem nawet do Kalkuty, ale teraz już nie była go taka pewna. Wtedy, gdy musiała — rzadko, raz czy dwa razy na rok — załatwiać coś w Kalkucie, jeździła tam pociągiem, i to sama, bo Joseph, odkąd ukończył pięćdziesiąt lat — a w tym kraju przeciętna życia krajowców nadal nie przekraczała lat czterdziestu — czuł się zbyt stary, żeby jej towarzyszyć. Nie chciał się ruszać z Majapuru, więc udawał, że nie wierzy, by cokolwiek dobrze strzegł bungalowu przed złodziejami. Joseph robił zakupy, gotował, gromadził zapasy żywności i rozciągał nadzór nad sprzątaczką, dwunastoletnią dziewczynką z bazaru. W czasie upałów sypiał na werandzie, w czasie chłódów i deszczów — na łóżku połowym w składziku. Nadal regularnie co niedziela wieczorem pożyczał od panny Crane rower i jeździł do kościoła. Kościół — ten misyjny, a nie kościół Sw. Marii w dzielnicy administracyjnej — stał dość blisko bungalowu panny Crane i jeszcze bliżej Bramie Mandir, jednego z dwóch mostów przerzuconych przez rzekę, która oddzielała dzielnicę administracyjną od miasta krajowców.

Za Mostem przy Bramie Mandir, po stronie miasta krajowców, była świątynia Tirupatiego¹, gdzie w jednej z kaplic znajdował się posąg Śpiącego Wisznu². Po stronie dzielnicy administracyjnej, pomiędzy Mostem przy Bramie Mandir a drugim mostem, Bibighar, mieszkała ludność eurazjatycka w pobliżu swych miejsc pracy w składach, magazynach i biurach kolejowych. Linia kolejowa biegła wzdłuż koryta rzeki. Tory przecinały ulice prowadzące do mostów. Przed

¹ T i r u p a t i — Wisznu jako Pan Losu; otaczany szczególnym kultem w świątyni górskiej o tej samej nazwie (w pobliżu Madrasu w pld.-wsch. Indiach). Tirupati nazywany bywa również Wenkateśwarą — Panem Wzgórza Wenkata.

² Śpiący Wisznu — wg wierzeń indyjskich po każdym akcie zniszczenia wszechświata i przed każdorazowym jego odtworzeniem przestrzeń wypełniają wody, na których unosi się Wisznu — jako nie mówię śpiące na liściu lub jako czteroręki młodzieniec śpiący na splotach kosmicznego węża.

29

mostami więc od strony dzielnicy administracyjnej ustawiono szlabany; gdy miał przejechać pociąg, zamykano je i wtedy stanowiły jak gdyby barierę pomiędzy obszarem ludności europejskiej i obszarem krajowców. Na mostach robiły się zatory. Panna Crane, wracając do domu, nieraz musiała się zatrzymywać jak wszyscy inni, rowerzyści i piesi urzędnicy w drodze do zarządu okręgu po przerwie obiadowej, służba domowa z warzywami kupionymi na bazarze, krawcy spieszący do klientów: sahibów i ich pań, którym bardziej odpowiadały niedrogie usługi krawców z bazaru niż zakład krawiecki Darwaza Canda w dzielnicy garnizonowej, przekupnie ze skrzynkami na głowach, kobiety i dzieci idące, by żebrać czy zbierać odpadki, rolnicy w wozach ciągniętych przez bawoły z powrotem na północ do wiosek na równinie i nieliczni Europejczycy w samochodach, ktoś z dyrekcji banku, komendant policji, dowódca placówki, oficerowie, zarówno brytyjscy, jak indyjscy, w pomalowanych na żółto furgonetkach. Czasami widywała też w tym tłoku i witała lekkim ukłonem, chociaż na tym się to spotkanie kończyło, białą kobietę — podobno trochę pomyloną — która chodziła ubrana jak zakonnica, prowadziła przytułek dla chorych i umierających i którą Hindusi nazywali siostrą Ludmiłą.

Przez Most przy Bramie Mandir panna Crane jeździła do szkoły za bazarem Cilijanwala w mieście krajowców. Na swojej trasie mijała kościół misji, główną szkołę misyjną i za mostem świątynię Tirupatiego, a potem jadąc brudnymi wąskimi uliczkami — warsztaty bez ścian frontowych i bramę bazaru Cilijanwala, gdzie sprzedawano ryby, mięso, warzywa. Wjeżdżała w jeszcze węższą uliczkę starych, wałących się domów, z rynsztokiem pośrodku. Uliczkę zamykał wysoki mur, który otaczał szkołę. Łukowata brama w murze prowadziła na wąski gliniasty dziedziniec, miejsce zabaw dla dzieci. Skarlałe drzewa bananowe dawały trochę cienia tylko wczesnym rankiem i późno po południu. Czerwonawobrazową glinę, spieczoną słońcem, deptały bose nogi uczniów. Nawet w porze monsunu słońce po południu wysuszało i spajało na nowo tę nieomal betonową nawierzchnię.

Budynek szkolny był piętrowy, z werandą i z opatrzonymi w okiennice balkonowymi drzwiami nad jej dachem. Postawił ten dom co najmniej przed siedemdziesięciu laty pan Cilijanwala, pars, który przyjechał do Majapur z Bombaju¹ i zbił majątek na rządowych kontraktach budowlanych w latach dziewięćdziesiątych. Pan Cilijanwala zbudował koszary w dzielnicy administracyjnej, kościół Św. Marii, rezydencję komisarza okręgowego i — w przystępie filantropii — bazar pośrodku miasta krajowców. Nadal tak usposobiony, ofiarował kościołowi Św. Marii dom w zaułku przy bazarze i dopóki misja nie zbudowała szkoły bardziej okazałej naprzeciwko kościoła misyjnego, był to jedyny jej punkt oparcia na niepewnym gruncie nawracania. Po otwarciu większej szkoły w dzielnicy administracyjnej w roku 1906 misja przez kilka lat prowadziła w tym domu przytułek dla ludzi starych, chorych i umierających, ale gdy w szkole zaroilo

¹ Główne skupiska parsów zamieszkują Bombaj, gdzie też zdolali przejąć w swe ręce handel hurtowy i uzyskać kontrolę nad wieloma dziedzinami przemysłu (tekstylny, maszynowy, okrętowy, wytwórnie filmów).

30

się od dzieci eurazjatyckich i wiele dzieci hinduskich przestało tam chodzić, ponownie przeznaczyła dom w zaułku dla celów oświaty z nadzieją, że odzyska swój punkt oparcia, rzeczywiście utracony. Ludzie starzy, chorzy i umierający musieli czekać trzydzieści lat na przybycie siostry Ludmiły.

Szkoła przy bazarze Cilijanwala stała się drugą szkołą pod nadzorem panny Crane w okręgu Majapur. Trzecia była w Dibrapurze, nie opodal kopalni węgla. W pierwszej, największej, tej naprzeciwko kościoła Św. Marii w dzielnicy administracyjnej, panna Crane, współpracując z szeregiem kolejnych nauczycielek--Angiełek o kwalifikacjach do nauczania bardziej oczywistych niż jej kwalifikacje i o poglądach religijnych o ileż stosowniejszych, nadzorowała pracę nauczycielek Anglohindusek i uczyła angielskiego i matematyki starsze dziewczęta, Eurazjatki i Hinduski-chrześcijanki. Większość dzieci z tej szkoły przechodziła następnie do gimnazjum państwowego, którego założenie w roku 1920 sprawiło, że wpływ misji znacznie osłabł.

Do szkoły przy bazarze uczęszczały dzieci wyłącznie hinduskie. Ich nauczycielem był wysoki, szczupły, ciemnoskóry Tamil, pan w średnim wieku, F. Narajan (F., bo ochrzczony imieniem Francis, na cześć świętego Franciszka z Asyżu). Czasu wolnego od zajęć szkolnych miał sporo, a pieniędzy mało, więc dorabiał pisywaniem dla miejscowego tygodnika, wydawanego w języku angielskim, felietonów zamieszczanych w rubryce „Aktualności”. Ponadto oddawał przysługi swoim bliźnim, tak hinduistom, jak muzułmanom, jako pisarz listów. Władał świetnie językami urdu i hindi i gwara miejscową, znał pismo arabskie, urdu i dewanagari nie gorzej niż swe rodzinne pismo tamilskie i nauczył się pisma łacińskiego. W Europie — rozmyślała panna Crane — człowiek z jego uzdolnieniami mógłby zająć wysoko... raczej w handlu niż w szkolnictwie. Podejrzewała, bo Joseph czynił do tego aluzje, że pan Narajan sprzedaje chrześcijanom i postępowym hinduistom środki antykoncepcyjne. Nie potępiła go, tylko ją to bawiło — jego żona raz po raz zachodziła w ciążę i miał z nią czeredę hałaśliwych, niesfornych dzieciaków.

Tę swoją żonę, Mary Narajan, też ciemnoskórą, przywiózł któregoś roku z urlopu spędzonego w Madrasie. Mówił, że ona też jest chrześcijanką, ale panna Crane o tym wątpiła. W kościele nigdy jej nie spotkała, natomiast widywała ją nieraz u wejścia do świątyni Tirupatiego. Mówił, że ona ma już dwadzieścia pięć lat, ale o tym panna Crane wątpiła również. Nie zdziwiłaby się, gdyby się dowiedziała, że pani Narajan wychodząc za Francisca Narajana miała lat zaledwie trzynaście czy czternaście.

Państwo Narajan mieszkali na piętrze szkoły przy bazarze. Ich dzieci — jak dotąd trzy dziewczynki i dwaj chłopcy (nie licząc niemowlęcia przy piersi, którego płeć jakoś nie została podana do wiadomości) — zajmowały pierwsze ławki w klasie i były, jak panna Crane zauważyła, jedynymi, które przychodziły codziennie. W każdą niedzielę rano pan Narajan z dwojgiem najstarszych: synkiem Kriszną Johnem i córeczką Kamalą Magdaleną, wyruszał z domu do kościoła misyjnego riksą rowerową, którą woził ich tam niejaki Piotr Paweł Akbar

Hosajn, neofita, niezbyt pewnie pokonując rynsztoki pośrodku zaułka i jeszcze mniej śmiało przejeżdżając przez Most przy Bramie Mandir. Podczas nabożeństwa w kościele pan Narajan nie tylko się modlił, ale pomagał przy kweście. Żona — wyjaśniał — musi siedzieć w domu, opiekować się młodszymi dziećmi. Panna Crane przyjmowała tę informację również z powątpiewaniem. Może byłoby warto — myślała — stanąć przed świątynią Tirupatiego w niedzielny poranek, żeby zobaczyć, dlaczego nie ma pani Narajan w kościele misyjnym. Przypuszczała, że skuteczniej wzywa ją do modłów Wenkateśwara², bóg tej świątyni, którego posąg raz na rok wynosi się z sanktuarium nad rzeką, gdzie błogosławi on każdego, kto mu składa przepisana ofiarę.

Tylko że w niedzielę rano panna Crane była zajęta czymś innym. Czy słońce świeciło, czy padał deszcz,

jeździła na rowerze schludnymi, geometrycznie wytyczonymi ulicami w szpalerach drzew dzielnicy garnizonowej do kościoła Sw. Marii. Gdy padała, trzymała nad sobą otwarty parasol. Ów parasol stanowił przedmiot żartów całej społeczności. Podjeżdżając pod boczne drzwi kościoła, panna Crane wymachiwała energicznie tym baldachimem, żeby strząsnąć z niego wodę. Furkot słychać było w kościele i Anglicy w ławkach najbliższych drzwi tak samo się uśmiechali słysząc tę charakterystyczną zapowiedź wkroczenia panny Crane, jak przed laty inni Anglicy w innym kościele uśmiechali się, ledwie pan Grant zaczynał intonować „Ześlij, o Panie w niebiesiech...”

Dużo też uciechy mieli z tego, że panna Crane nierzadko przejawiała skłonność do zasypiania w czasie kazań, co zresztą czyniła bardzo dyskretnie. Siedziała nadal wyprostowana, zdradzały ją tylko opuszczone powieki. Z początku nawet mogło się wydawać, że do głębi przejęta obrazami wyłaniającymi się ze słów kapelana, zamyka oczy, bo pragnie w skupieniu oglądać owe obrazy oczami duszy. Powieki jej opadały, unosiły się i wkrótce znów opadały, by znów się unieść. Opadłszy za trzecim razem — raptownie, nigdy powoli, nigdy ociężale — już się nie unosiły. Panna Crane przebywała duchem gdzieś daleko i dopiero wtedy, gdy kapelan mówił: „W imię Ojca i Syna...”, a wierni wydawali zbiorowe westchnienie ulgi, nagle podrywała głowę i otwierała oczy. Wtedy też stawało się jasne, że kazanie przespała.

Jej zwyczaj gwałtownego potrząśnięcia parasolem (turkoczającym przy tym tak, jak furkotałyby skrzydła lądującego gniewnego anioła), jej twardy sen w czasie nabożeństwa, reputacja osoby aż nazbyt szczerej, wyraźna obojętność na przejawy łaskawości ze strony osób wysoko postawionych — wszystko to sprawiało, że Anglicy w Majapurze uważali pannę Crane za kobietę, której praca w misji raczej poszerzyła horyzonty, niż je zawężyła. Z pewnością Edwina Crane nie miała w sobie nic świętoszkowatego. Dość niechętnie żywiony do niej szacunek wzrósł, odkąd zasiadała w komitetach kobiecych i nie dawała się w nich zawojować. Po wybuchu wojny angielskie panie w Majapurze szybko uznały i zaspokoily

W c n k a t c ś w a r a — zob. przypis na s. 29. ' ' " ' < " ' V's!

n

potrzebę utworzenia komitetów wojennych. Był więc komitet robót szydełkowych i na drutach, komitet rozrywek dla żołnierzy, komitet opieki społecznej, komitet werbowania dziewczynek do skautingu, komitet Tygodnia Wojny, komitet nadzorowania pracy ochotniczek w szpitalu i w klinice Greenlawns, komitet kierowania działalnością społeczną pań dla dobra dzieci matek pracujących w Bri-tish-Indian Electrical i przy przedłużeniu szosy oraz budowie pasa startowego w Banijagańdzu.

Panna Crane, zaproszona z początku przez panią White, żonę komisarza okręgowego, do pomocy w werbowaniu skautek, teraz brała również udział w roztaczaniu opieki społecznej, zajmowała się ochotniczkami w szpitalu i matkami indyjskimi. Panie z komitetów mówiły o niej tonem, który komuś obcemu pozwoliłby się domyślić, że ona jest tylko nauczycielką misyjną, osobą stojącą na niskim szczeblu ich drabiny towarzyskiej, chociaż nie aż tak niskim, by jej nie uznawały. Wiedziały jednak, że naprawdę nic ma w ich tonie lekceważenia, i osobiście ją szanowały, jakkolwiek były zdania, że „zbzikowała na punkcie tubylców”.

Najtrafniej, zdaniem pań w Majapurze, określiła pannę Crane żona komisarza okręgowego.

— Edwina Crane — powiedziała pani White — najwyraźniej minęła się z powołaniem. Zamiast tracić czas w misjach, stawać na skrzynce i wykrzykiwać, jak niegodziwe jest brytyjskie panowanie i jakie straszliwe ciężary dźwigają ci, których jej Kościół nazywa naszymi czarnymi braćmi, powinna być w starym kraju przełożoną dobrej pensji dla pańienek.

Przed wojną panna Crane raczej nie obracała się w towarzystwie Europejczyków. Od czasu do czasu szła na kolację do kapelana i jego żony (to właśnie ten kapelan swoimi kazaniem sprawił, że zwrócono uwagę na skłonność panny Crane do zasypiania w kościele). Raz, na rok dostawała zaproszenie na przyjęcie ogrodowe u komisarza okręgowego i raz na rok w porze chłódów w jego bungalowie, gdy pani White „podejmowała wszystkich”. Jeszcze i teraz to były główne wydarzenia w jej życiu towarzyskim, ale odkąd działała w komitetach, powiększył się krąg Europejek gotowych zaprosić ją na kawę czy herbatę, czy bodaj przystanąć na bazarze, żeby z nią porozmawiać. Kolacje u państwa White, na których ostatnio bywała, jadała w gronie Anglików z wyższych ster i takich miejscowych osobistości hinduskich jak wdowa po sir Nellu Chatterjee, założycielu technikum¹ w Majapurze.

Na te uroczyste przyjęcia panna Crane wkładała brązową jedwabną suknię wieczorową z krótkimi rękawami, z dekoltem, który ukazywał ziemistą pulchność jej biustu i już sterczące w tym wieku obojczyki. Przystrajała suknię bukietem sztucznych kwiatów z fioletowego i karmazynowego aksamitu. Miała połyskliwe fildekosowe rękawiczki, długie do łokci, rozcięte na nadgarstkach tak, że mogła je

¹ W następnych tomach zachowana nazwa Technical College.

zdejmować z samych tylko opalonych, kościstych dłoni, palców cienkich, ale mocnych, z krótko obciętych paznokciami — palców, na których nigdy nie było żadnego pierścionka. Szpakowała włosy zaczesywała nad czołem luźniej i upinała w kok na karku nieco niżej niż zwykle. Pachniała, jak wiedzieli jej sąsiedzi przy stole, pelargonią i naftaliną, przy czym ten pierwszy zapach stopniowo słabł, a drugi się wzmacniał, dopóki nie wypili tyle

wina czy koniaku, że już ani jednego, ani drugiego nie czuli.

Ten galowy strój uzupełniała uszyta w domu brązowa satynowa torebka na podszewce z jedwabiu karmazynowego. przed kolacją i po kolacji przewieszona przez rękę, a w czasie kolacji leżąca na kolanach panny Crane. Brąz satyny nie pasował do brązu sukni. W torebce, którą otwierała rozciągając przewleczone przy obrębie jedwabny sznurek, panna Crane miała srebrną puderniczkę — stąd ten zapach pelargonii — zwyczajną batystową chustkę do nosa, kluczyk do stacyjki Forda, kilka brudnych banknotów rupiowych, terminarzyk, srebrny ołówek z czerwonym chwaścikiem i zieloną buteleczkę soli trzeźwiących. Na kolacjach u komisarza okręgowego pila wszystko, czym ją częstowano: sherry, białego burgunda, czerwone wino i koniak, zawsze więc przed powrotną jazdą do domu wachała sole trzeźwiące, żeby rozjaśniło jej się w głowie — tak zresztą mocnej, zdaniem pani White, że nie ma obawy, by „[Edwina Crane zmożona alkoholem zawiodła drużynę”.

Gdy wprowadzała Forda z powrotem do garażu z blachy falistej przy swym bungalowu, Joseph wychodził jej na spotkanie i gderał, że wróciła tak późno. W domu wypijała mleko, które czekając na nią już kilka razy odgrzewał, zjadała herbatniki wyłożone przez niego na talerz nakryty szydełkową serwetką, zażywała aspirynę, bo mówił, że to konieczne, i udawała się na spoczynek, odpowiadając „dobranoc” na jego: „Niech Bóg czuwa nad panią we śnie.” W sypialni powoli, ze znużeniem zdejmowała niewygodną długą suknię. Nazajutrz Joseph wietrzył tę suknię i chował znów do komody, gdzie trzymała swoje nieliczne ozdobne drobiazgi i zapasową bieliznę; czynił to z dumą. świadom faktu, że jego pani jest prawdziwą mem, chociaż jeździ na rowerze, nosi kask tropikalny i kalosze i ma posadę, która ją zmusza do zapuszczania się w smrodliwe zaułki pogańskiego miasta krajowców.

W połowie roku 1942 minęło siedem lat, odkąd panna Crane przyjechała do Majapuru. W tym czasie widziała przyjazdy i wyjazdy wielu Europejczyków. Państwo White, komisarz okręgowy i jego żona, byli tam zaledwie od lat czterech, to jest od roku 1938, kiedy to poprzednik pana White'a, popędliwy wdowiec nazwiskiem Stead, przeszedł na emeryturę rozżalony tym, że ostatecznie nie awansował na komisarza nadokręgowego czy też na stanowisko w Sekretariacie¹.

¹ Siedziba rządu prowincji w brytyjskich Indiach.

34

Państwo Poulson, zastępca komisarza i jego żona, przyjechali wkrótce po White'ach. Przyjaźnili się z nimi; w istocie White specjalnie prosił o skierowanie Poulsona do Majapuru. Ronald Merrick, okręgowy nadinspektor policji — młody, niezonaty człowiek, podobno czasami zbyt gorliwy w pełnieniu obowiązków służbowych, niesympatyczny, w klubie jednak mile widziany przez panny na wydaniu — przyjechał do Majapuru przed dwoma laty. Tylko sędzia okręgowy, który wraz z komisarzem i nadinspektorem policji tworzył triumwirat władzy cywilnej w okręgu, pracował w Majapurze tak długo jak panna Crane, ale to był Hindus. Nazywał się Menen. Panna Crane nie znała go osobiście. Menen należał do przyjaciół domu lady Chatterjee. Pani ta mieszkała niedaleko Mostu Bibighar, po stronie dzielnicy administracyjnej. Jej stary dom nazywano Domem MacGre-gora, bo zbudował go niejaki MacGregor, Szkot, na fundamentach pałacyku wzniesionego przez władcę w czasach, gdy Majapur był niezależnym państwkiem. Ów radza utracił tron w roku 1814, państwko zaanektowała Kompani;; Wschod-nioindyjska, włączając je do prowincji liczącej teraz dwadzieścia okręgów, wśród których zajęło ono drugą pozycję pod względem wielkości i znaczenia.

Lady Chatterjee przewodziła elicie hinduskiej w Majapurze, ale panna Crane prawie jej nie znała. Spotykała ją u komisarza okręgowego, nigdy jednak nie została zaproszona do Domu MacGregora, podobno jedyne, gdzie Anglicy i Hindusi rozmawiali jak równi z równymi, czy też przynajmniej Hindusi nie przejawiali wobec Anglików nadmiernej ostrożności, Anglicy zaś w towarzystwie Hindusów nie byli nadmiernie skrępowani. Panna Crane wcale nie żałowała, że nie bywa w Domu MacGregora. Uważała, że lady Chatterjee jest nazbyt zeuropeizowana i trochę się popisuje swymi koneksjami i intelektem; owszem, jest dosyć zabawna, żeby warto było słuchać tego, co mówi przy stole u komisarza okręgowego, ale już nie w salonie po kolacji, gdy panie siedzą przez jakiś czas same, a ona zadaje im pytania chyba tylko po to, by ukazać, jakimi parweniuszkami byłyby w Anglii albo jak dalece brak im kosmopolitycznego obycia za granicą, a potem milknie dostojnie, pozwalając, by zaczęły gawędzić o błahostkach, i bez słowa czeka na przybycie panów, kiedy to znów będzie mogła błyszczeć. Angielki lepiej czują się w towarzystwie lady Chatterjee, jeśli mają przy sobie mężczyzn. Wszystkie boją się jej — doszła do wniosku panna Crane — natomiast ona, chociaż się ich nie boi, na pewno ma się przed nimi na baczności i jest w takim samym stopniu ograniczona, tyle że na swój sposób.

Jeśli chodzi o pannę Crane, wydawało się, że lady Chatterjee nic bierze jej w ogóle pod uwagę. Może dlatego, że przy pierwszej ich wspólnej kolacji, pytając bez ogródek o jej stopień naukowy, dowiedziała się, że ta kuratorka nie ma nie tylko żadnego stopnia, ale w istocie żadnych nauczycielskich kwalifikacji poza pobieżnym przeszkoleniem, które przeszła przed laty w Lahaurze, gdy zrezygnowała z posady u państwa Nesbitt-Smith. Z drugiej strony powodem obojętności lady Chatterjee była również, prawdopodobnie niechęć do misji, misjonarzy i wszystkich osób z nimi związanych. Bo lady Chatterjee, chociaż zeuropeizowana, była hinduistką ze starej kasty Radżputów, władców i wojowników. Niewysoka, szczupła, o włosach szpakowatych, obciętych według mody europejskiej, siedzia-

ła na kanapie wyprostowana, w sari ciasno spowijającym jej ramiona, i ze swymi przenikliwymi, rozmigotanymi, niezwykle ciemnymi oczami, orlim nosem i bladą cerą — co świadczyło o wysokim pochodzeniu — wyglądała w każdym calu na kobietę, która urodziła się do sprawowania władzy i którą tylko bieg historii pozbawił jej możliwości.

Od kilku lat była wdową. Jej mąż, Hindus, starszy od niej, otrzymał tytuł szlachecki za swoje zasługi dla Korony i za filantropię wobec własnych rodaków. Lady Chatterjee — rozmyślała panna Crane — wyraźnie stosuje dalej taktykę tego zmarłego sir Nella, sprowadzającą się do zasady „Panu Bogu świeczka i diabłu ogarek”. Uważała, że to jest w niezbyt dobrym guście. Oboje państwo Chatterjee znali kiedyś sir Henry’ego Mannersa, w swoim czasie gubernatora prowincji, i jego żonę, a teraz lady Chatterjee co rok jeździ do Rawalpindi albo do Kaszmiru na dłuższy pobyt u lady Manners, także już owdowiałej; ostatnio mieszka u niej w Domu MacGregora ta panna Manners, Daphne, bratanica sir Henry’ego, raczej nieładna, grubokoścista dziewczyna, która pracuje ochotniczo w szpitalu w Majapurze. Niewątpliwie powiązania lady Chatterjee z angielskimi osobistościami, takimi jak stara lady Manners, nie mniej niż jej pozycja wdowy po sir Nellu w Majapurze, gdzie zasiada w zarządzie technikum i w komitecie szpitala kobiecego w mieście krajowców, sprawiają, że promineneci kolonii angielskiej okazują jej tak widoczne względy. Z komisarzem okręgowym i jego żoną jest po imieniu (z jego poprzednikiem, panem Steadem, nie była), zawsze w ich bungalowie serdecznie witana. Grywa tam w brydża, a pani White grywa w brydża w Domu MacGregora. Niezależnie od tego, że White’owie jako przedstawiciele rządu starają się okazywać dbałość o wszystkich ludzi żyjących w okręgu, czy to Brytyjczyków, czy Hindusów, na pewno łączy ich z wdową po sir Nellu szczerą sympatią i zrozumienie.

Tylko że — i to właśnie interesowało pannę Crane — w Domu MacGregora podobno tak samo gościnnie przyjmowani są Hindusi: adwokaci, nauczyciele, lekarze, radcy prawni, radni miejscy, wyżsi urzędnicy państwowi, wśród których niejeden należy do miejscowej Partii Kongresowej albo jest znany z poglądów jeszcze wyraźniej antybrytyjskich.

Jak często tacy goście w Domu MacGregora stają twarzą w twarz z Anglikami o poglądach liberalnych, panna Crane nie wiedziała. Nie wiedziała też, czy lady Chatterjee spodziewa się na drodze konfrontacji przygasić antybrytyjskie zapęły Hindusów, czy też podsyć radykalizm w tolerancyjnych Anglikach. Wiedziała tylko — subiektywnie rzecz biorąc — że sama lady Chatterjee nie odznacza się tolerancją. Przyznawała jednak, że nie potrafi wczuć się w intencje lady Chatterjee, przejawiając ową szczególną głuchotę i ślepotę wobec osoby, którą ją lekceważy.

Faktem jest, że panna Crane, poświęciwszy właściwie całe życie służbie w szkołach misyjnych, czuła się samotna. Po śmierci panny de Silva, starej nauczycielki w Dibrapurze, nie było nikogo w Majapurze, w całych Indiach, nikogo wśród Brytyjczyków czy Hindusów, kogo mogłaby uznać za pokrewną duszę, z kim

36

mogłaby rozmawiać długo i poufale. W maju 1942 roku, gdy już pan Gandhi zażądał, żeby Brytyjczycy zostawili Indie — jak się wyraził: „Bogu albo anarchii”, co oznaczało, żeby zostawili je Japończykom — i gdy już zdjęła jego portret ze ściany, stwierdziła, że bez hinduskich pań, które przestały bywać u niej na podwieczorkach, nie będzie w bungalowie zbyt pusto, ponieważ one widziały w niej tylko reprezentantkę czegoś, co w ich przekonaniu powinno być reprezentowane, nigdy natomiast nie widziały jej jako takiej. Pojęła też, że dla niej samej te podwieczorki były nie tyle zebraniem osób życzliwych, ile sprawą o doniosłym znaczeniu. Nikt w Majapurze nie wpadnie do niej ot, tak sobie, żeby pogadać, i do nikogo w Majapurze ona by nie mogła ot, tak sobie wpaść. Jeśli już do kogoś wpadała czy też jeśli już ktoś wpadał do niej, to na pewno nie z ludzkiej życzliwości. Teraz zamiast tych pań przychodzili żołnierze — w inny dzień tygodnia, co środa, nie co wtorek (tak jakby chciała zachować wtorki wolne, na wypadek gdyby te panie się rozmyśliły). Jeśli chodzi o żołnierzy, prawdopodobnie wywieszono w pułku zawiadomienie: „Ci, którzy chcą korzystać z zaproszenia na podwieczorki w środy po południu u panny E. Crane, kuratorki szkół misji Kościoła anglikańskiego (okręg Majapur), powinni się zgłosić do oficera oświatowego w swojej jednostce.”

Czasami panna Crane zastanawiała się, czy ta jej decyzja nie jest instynktownym szukaniem schronienia w starym, uprzywilejowanym, bezpiecznym kręgu białej społeczności. Nie mogła nie zdawać sobie sprawy z tego, że jej poglądy społeczne i polityczne, według kryteriów nowoczesnych nieco staroświeckie, są zanadto uproszczone. Rzeczywiście wykształcenia jej brakowało, dojrzewała powoli i dlatego — tak przypuszczała — przejęła pojęcia poprzedniego pokolenia, jak gdyby były najnowsze. Nie nadąza za wydarzeniami porywającymi za sobą ludzi młodszych, zostaje za nimi daleko w tyle. Niewiele chyba z obecnej polityki jest dla niej jasne. Ta poniekąd ciemnota tworzy przepaść, oddziela ją nie tylko od spotykanych u komisarza okręgowego młodszych liberalnych Anglików, z którymi trudno jej rozmawiać, ale i od lady Chatterjee, która nawet gdyby raczyła bodaj jakimś uchem posłuchać jej wypowiedzi o zagwarantowaniu Indiom niepodległości, co jest świętym obowiązkiem Brytyjczyków, niewątpliwie dałaby jakoś do zrozumienia, że już to wszystko dawno słyszała i że doprawdy nie warto wyciągać tego z lamusa.

Jestem — powiedziała sobie panna Crane — reliktem przeszłości; wykreśliła w myśli słowo „przeszłości”, ponieważ było zbyt cenne, i spojrzała na obraz przedstawiający starą królową. Zapatrzyła się w ten obraz czekając, żeby objawił się w nim jakiś prosty pewnik — coś, co może towarzystwo w Domu MacGregora straciło z oczu. Dziwny wydawał jej się fakt, że chociaż znajome hinduskie panie przestały bywać na podwieczorkach u niej, to

jednak przyjęcia w Domu MacGregora odbywają się nadal. Społeczność angielska najwyraźniej nie widzi w tych towarzyskich zebraniach nic niewłaściwego, a przecież wie, że jest teraz przyparta do muru, który Hindusi już chyba zaczynają cegła po cegle usuwać z za pleców Brytanii. Powinność, mówi się, nakazuje ludziom takim jak komisarz

37

okręgowy i jego żona trzymać rękę na pulsie, a gdzie lepsze po temu warunki niż w Domu MacGregora. Krąży na przykład pogłoska, że rząd zlecił komisarzowi okręgowemu sporządzenie w Majapurze listy członków Partii Kongresowej, których należałoby aresztować na mocy Ustawy o obronie Indii, gdyby Kongres głosował za rezolucją pana Gandhiego nawołującą do obywatelskiego nieposłuszeństwa. Zgodnie z taką rezolucją Brytyjczycy musieliby opuścić Indie, bo w przeciwnym razie znaleźliby się w sytuacji, w której nie mogliby tego królestwa bronić. Wojska brytyjskie na granicy Birmy z Asamem nie dostawałyby żywności, odzieży, broni ani posiłków z tej prostej przyczyny, że nie byłoby nikogo chętnego do pracy na liniach kolejowych, w urzędach poczt i telegrafów, w dokach, w magazynach, w bankach, biurach, w kopalniach, w fabrykach i innych zakładach produkcyjnych narodu, który Brytania wykorzystuje od lat ponad dwustu i który, ponieważ nie zdołała obronić Birmy, doprowadziła teraz do tego, że będzie musiał słuchać podżegaczy pracujących na rzecz, japońskich imperialistów.

Panna Crane lękała się takiego powstania Hindusów. Uważała, że jedyna nadzieja dla Indii, jej ukochanego kraju, leży w zjednoczeniu się wreszcie poddanych i władców w prowadzonej wspólnie na śmierć i życie wielkiej wojnie z totalizmem. Gdyby Partia Kongresowa w roku 1939 nie zrezygnowała z rządów w prowincjach, rozgoryczona tym, że wicekról wypowiedział wojnę w imieniu króla-cesarza Indii, nie zasięgając formalnie jej rady, i gdyby pan Gandhi nie uznał momentu największych niepowodzeń Brytanii za moment właściwy do wysunięcia żądań wolności politycznej, gdyby pozostawiono wszystko panu Nehru, który wyraźnie uważa, że z Gandhim jest tylko kłopot, i panu Rajagopalachariemu (byłemu szefowi rządu prowincji w Madrasie, chcącemu uzbroić i przeszkolić do walki z Japończykami cały naród), to teraz — panna Crane nie wątpiła o tym — byłoby zupełnie inaczej. W Delhi urzędowałaby rada ministrów indyjskich, lord Linlithgow byłby gubernatorem faktycznie niepodległego dominium i spełniłoby się wszystko, czego ona Indiom z całego serca życzy, a tę wojnę prowadzono by dalej nieugięte, rozważnie.

Nieraz panna Crane budziła się w nocy i leżała bezsennie, wsłuchana w bębnienie deszczu, niespokojna, świadoma narastających niebezpieczeństw, którym ludzie gotowi są stawić czoło, ale których nie rozumieją, więc właściwie im się nie przeciwstawiają. My rozumiemy tylko — rozmyślała — w jaki sposób je na siebie ściągamy i, niekiedy, jak można je odwrócić.

W tym wypadku niebezpieczeństw nie odwrócono.

W pierwszym tygodniu sierpnia panna Crane zaziębiła się, co nie zdarzało jej się często. Ponieważ wyznawała zasadę, że ze zdrowiem nie ma żartów, zadzwoniła do szkoły w Dibrapurze i przełożyła swoją wizytację z czwartku na sobotę. Potem wróciła do domu, położyła się na parę dni i wypociła przeziębienie. W piątek była już zupełnie zdrowa, nic jej nie dolegało. Toteż w sobotę rano,

38

8 sierpnia — tego dnia w którym Kongres miał głosować w sprawie rezolucji Gandhiego — wyruszyła Fordem do odległego o siedemdziesiąt kilka mil Dibrapuru.

Szkoła w Dibrapurze —* trzecia szkoła pod nadzorem panny Crane w okręgu Majapur — stała raczej na odludziu, przy szosie w połowie drogi z wioski Kotali do miasteczka Dibrapur na południowej granicy okręgu. Nie było tam żadnego kościoła ani Europejczyków. Tak zwaną kopalnię dibrapurską zawiadywała teraz administracja w Aligarhu w sąsiednim okręgu prowincji.

Większość uczniów tej szkoły misyjnej przychodziła z Kotali — trzy mile drogi szosą. Szkoła prowadzona przez okręgowy wydział oświaty w jednej z pobliskich wsi była odległa od Kotali o cztery mile. Misja przed laty postawiła szkolny budynek specjalnie w takim miejscu, by służył zarówno okolicznym wioskom, jak miasteczku Dibrapur. Gdy po rozszerzeniu rządowego programu oświatowego powstały szkoły podstawowe prowadzone przez wydziały okręgowe, szkoła misyjna nie utraciła wielu uczniów po prostu dlatego, że nigdy ich nie przyciągała. Dzieci z Kotali przychodziły nadal, bo miały bliżej. Dzieci z Dibrapuru — nieliczna gromadka — też jeszcze przychodziły, bo w szkołach misyjnych uczono angielskiego. Byli to przeważnie synowie — bardzo rzadko córki — sklepikarzy dibrapurskich, którzy w marzeniach widzieli swe męskie latorośle jako dostawców towaru dla rządu albo jako drobnych urzędników państwowych i zdawali sobie sprawę, ile warta będzie dla nich dobra znajomość angielskiego. Toteż co dzień dreptało szosą z oddalonego o trzy mile Dibrapuru kilku chłopców i dwie czy trzy dziewczynki, tak samo jak dzieci z Kotali z płóciennymi teczkami i drugim śniadaniem w metalowych pudełkach. W tej szkole misyjnej nie dawano ćapati; były tu tylko dobre chęci, nauka i lekarstwo na przypadłości żołądka.

Stojący od trzydziestu lat bez mata budynek szkolny wciąż wymagał jakichś remontów. Teraz, w lecie roku 1942, z pewnością należało go znów pobielić, ale oczywiście dopiero wtedy, gdy skończy się pora deszczów. Pilniejsza była naprawa dachu. Od początku lata myśli panny Crane w związku z tą szkołą zaprzętała wysokość kosztorysów, które co pewien czas otrzymywał nauczyciel, pan Čaudhuri, i funduszów, czyli, mówiąc brutalnie,

pieniędzy do wydania rui remont. Jak dotąd, żaden z miejscowych budowniczych nie podał panu Ćaudhuri emu ceny bodaj w przybliżeniu równąjącej się przeznaczonej na to sumie. Pan Ćaudhuri chyba nie miał głowy do interesów i nie potrafił się targować. Potrzebujemy — rozmyślała panna Crane — jeszcze pięćuset rupii. Potrzebujemy w istocie więcej, już nie na naprawę tego dachu, ale na nowy dach, a właściwie to na nową szkołę. Czasami nawet nie mogła się oprzeć wrażeniu, że potrzebny jest również nowy kierownik tej szkoły, zawsze jednak odpychała myśl o tym, niemiłosierną przecież, wywołaną osobistym uprzedzeniem. Fakt, że z takiego czy innego powodu nie może się z panem Ćaudhurim dogadać, nie powinien przysłańać jego niezwykłych kwalifikacji zawodowych.

Pan Ćaudhuri pracował w szkole dibrapurskiej prawie od roku. Jego poprzedniczka, leciwa panna de Silva, Eurazjatka z Goa, umarła przed rokiem. Po

.19

śmierci Mary de Silva panna Crane pojęła, że na całym świecie nie ma już nikogo, kto by ją nazywał Edwina. Gdy przed siedmiu laty przyjechała do Dibrapuru na pierwszą wizytację, ta starsza od niej kobieta, siwa, gruba, ociężała, o wyłupiastych czarnych oczach, ponurych i natarczywych, powiedziała głosem nie mniej ponurym i natarczywym:

- Dostała pani stanowisko, które ja chciałam dostać. Nazywam się Mary de Silva. Moja matka była czarna jak pani kapelusz.

- Ja nazywam się Edwina Crane — przedstawiła się panna Crane. I ściskając podaną jej krótką, grubą dłoń, silną jak ręka mężczyzny, wyjaśniła: — Nie wiedziałam, że pani chciała dostać to stanowisko. Moja matka nie żyje już od bardzo dawna.

- No, w takim razie, jeżeli nie masz nic przeciwko temu, będę ci mówiła per ty. Za stara jestem, żeby płaszczyć się przed nową kuratorką. I na początek, jeżeli również nie masz nic przeciwko temu. porozmawiamy o tym cholernym dachu.

Więc rozmawiały wtedy o dachu szkoły i o ścianach, i o studzience, którą należało przenieść w dogodniejsze miejsce. Potem zaczęły rozmawiać o dzieciach. Mary de Silva wyjawiała, że zamierza za wszelką cenę wysiać jednego z uczniów, niejakiego Balaracamę Rao, do gimnazjum państwowego w Majapurze.

- Jego rodzice słyszeć o tym nie chcą. Ale ja o tym usłyszę. Jak ty się na to zapatrujesz, Edwino?

- Na takie sprawy, Mary de Silva — odpowiedziała panna Crane — zapatruję się tak, jak doradza mi nauczycielka dziecka.

- No to znajdź w Majapurze przyzwoitą kwaterę dla panicza Balaracamy. W tym cały szkopuł. Jeżeli go przyjmą do gimnazjum, on nie ma gdzie mieszkać. Jego rodzice mówią, że nie mają tam żadnych krewnych. Bzdura! Hindusi mają krewnych wszędzie. Już ja to wiem. — Skórę panna de Silva miała nie bardziej śniadą niż tamta młoda panna Williams sprzed lat.

Panna Crane znalazła w Majapurze kwaterę dla Balaracamy i przez cały miesiąc, czy też raczej przez cały prawie czas swoich cotygodniowych wizytacji w Dibrapurze, namawiała rodziców chłopca, żeby go puścili. Gdy w końcu jej namowy odniosły skutek. Mary de Silva powiedziała:

— Nie będę ci dziękować. To był twój obowiązek. Tak samo jak mój. Ale chodź teraz do mnie i pomóż mi otworzyć tę butelkę rumu, którą oszczędzam od Bożego Narodzenia.

Więc panna Crane przeszła z Mary de Silva pół mili szosą do jej bungalowu, gdzie obecnie mieszkali państwo Ćaudhuri, i piła u niej rum, słuchała dziejów jej życia, opowiadała o sobie. Potem było wiele innych okazji do picia rumu i sokiemy cytrynowym — umiarkowanie, ale w ilościach dostatecznych, żeby zapanował nastrój wylewności i żeby panna Crane czuła, że tutaj, w saloniku Mary de Silva w Dibrapurze, po swej długiej tułaczce jest znowu w domu. Przez sześć lat jeździła do Dibrapuru co tydzień i nocowała u Mary de Silva.

— To nie jest konieczne, wiesz — powiedziała kiedyś panna de Silva — ale bardzo

40

miłe. Ostatnia kuratorka przyjeżdżała raz na miesiąc i nigdy nie zostawała na noc. To także było miłe.

Minęło sześć lat i pewnego dnia, gdy dach szkoły, raz już naprawiony, znów wymagał naprawy i gdy studzienkę w ogrodzie dawno przeniesiono w dogodne miejsce, a ściany budynku pobielono już dwukrotnie, panna Crane podjeżdżając pod szkołę zobaczyła, że drzwi są zamknięte na kłódkę. Pojechała więc dalej, do bungalowu Mary de Silva, gdzie zastała tę starą nauczycielkę w łóżku, spokojną, chwilowo samą, bo służący poszedł do Dibrapuru po doktora. Panna de Silva mamrotała coś do siebie. Gdy skończyła mamrotać to, co miała sobie do powiedzenia, przytaknęła i spojrzała na pannę Crane. Uśmiechnęła się.

— No, Edwino — powiedziała. — Uważam, że mogłabyś znów się zająć tym dachem. — Po czym zamknęła oczy i umarła tak, jakby ktoś po prostu odłączył baterię.

Panna Crane postarała się, żeby zmarłą Mary de Silva przewieziono szybko do Majapuru i żeby pochowano ją na cmentarzu przy kościele Sw. Marii. Nie przepracowującemu się panu Narajanowi poleciła poszukać kogoś na tymczasowe zastępstwo i dopóki nie znalazł, prowadziła szkołę sama. Napisała do zarządu misji o śmierci panny de Silva i o krokach, jakie podjęła, nie dopuszczając do przerwy w nauce, zanim misja mianuje odpowiednią nauczycielkę na stałe. Zarekomendowała przy tym niejaką pannę Smithers, z którą kiedyś pracowała w Biharze. Panny Smithers jednak nie przysłano. Najpierw uczyła dzieci kuzynka pana Narajana, zdrowo sobie popijająca, a potem przyjechał skierowany z Kalkuty pan Ćaudhuri z dyplomem bakałarza nauk podstawowych i bakałarza

nauk przyrodniczych, co było nie tylko dziwne, ale nawet podejrzane. W zarządzie misji, jak panna Crane się dowiedziała z listu, przyjęto owe dyplomy też ze zdumieniem, jednak bez podejrzliwości. Pan Ćaudhuri — napisano — nie jest chrześcijaninem, nie wyznaje żadnej religii. Zrezygnował z posady w jednej z wyższych uczelni rządowych i zwrócił się do misji z prośbą o zatrudnienie w charakterze zwykłego nauczyciela. Proponowano mu kilka szkół, których nie chciał objąć, aż nagle zwolniło się miejsce w Dibrapurze; gdy usłyszał, jaka to szkoła, oświadczył, że będzie dla niego „akurat dobra na początek”. List kończył się poufnym dopiskiem: „W Dibrapurze, oczywiście, będzie się marnował i zapewne nie zostanie tam długo. Przyjedzie z żoną, zechce więc Pani dopilnować, aby bungalow nieboszczki panny de Silva był odpowiednio przygotowany. O ile nam wiadomo, pan Ćaudhuri ma prywatne, bardzo jednak skromne środki utrzymania. Jak się Pani przekona, jest to młodzieniec powściągliwy, zgoła nie przejawiający chęci do wyjaśniania powodów, dla których zrezygnował z kariery akademickiej. Wystarczy nam jednak fakt, stwierdzony na podstawie rozmów z nim oraz zasięgniętych o nim informacji, że pragnie uczyć małe dzieci wiejskie, szczerze bowiem współczuje swoim rodakom z upośledzonych niższych warstw społecznych i uważa, iż ludzie wykształceni, tacy jak on, powinni częściej okazywać gotowość do poświęcania własnych interesów dla dobra całej ojczyzny. Wyraźnie też uważa, że powinien

41

pracować w takich szkołach jak nasze nie dlatego, że opieramy nauczanie na religii, ale dlatego, że ma on niskie mniemanie o szkołach państwowych, gdzie zatrudnia się, jego zdaniem, nauczycieli, którzy przywiązują większą wagę do polityki niż do szerzenia oświaty.”

Wszystko więc zapowiadało się dobrze, a przecież stosunki pomiędzy panną Crane i panem Ćaudhuri m od pierwszej chwili cechowało coś, co panna Crane uznała za rezerwę nieomal klasyczną — klasyczną, bo chyba oboje posądzała się nawzajem o obłudę, ukryte pobudki, zakorzeniony pod cieniutką warstewką liberalizmu uparty konserwatyzm, tak że każda ich rozmowa o czymkolwiek innym niż sprawy szkolne wydawała się jeśli nie dwuznaczna, to bez znaczenia.

Przez wiele tygodni panna Crane usiłowała przezwyciężyć tę rezerwę. Gdy zaczęła analizować swój stosunek do pana Ćaudhuriego, nie umniejszała znaczenia, jakie miał ból po utracie panny de Silva, wciąż żywej w jej pamięci. Ponieważ pan Ćaudhuri na pewno wiedział o jej cotygodniowych wizytacjach w Dibrapurze, nadal przyjeżdżała tam co tydzień i jak dawniej zostawała na noc w bungalowie, zmienionym teraz nie do poznania, umeblowanym przez pana Ćaudhuriego w stylu europejsko-indyjskim. Nie chciała, żeby ją źle zrozumiał, gdyby tego nie czyniła; jednocześnie zdawała sobie sprawę, że mógłby tak częste wizytacje uznać za brak zaufania do jego fachowości. Przyjeżdżała jednak z nadzieją, że znów będzie czuła się w tym bungalowie swojsko.

Wysoki, szczupły i sprężysty pan Ćaudhuri, o drobnych bengalskich rysach twarzy, był urodziwy, ale pannie Crane, chociaż, ten typ urody doceniała, wcale się nie podobał. Jego rysy, ostre i wydatne, świadczyły o sile, cała jednak twarz mówiła o słabości — czy może nie słabości, bo nawet słabość musi mieć jakiś swój wyraz, a oblicze pana Ćaudhuriego wyrażało tylko głęboką obojętność albo krnąbrną irytację. Jego uśmiech byłby może miły, cóż, kiedy nigdy nie rozjaśniał mu oczu.

Pan Ćaudhuri znał język angielski doskonale i chociaż modulował głos i zaznaczał rytm zdania na sposób typowy dla Hindusów, mówił płynnie, pisał bardzo poprawnie. Również bardzo dobrze uczył angielskiego. Pan Narajan wydawał się przy nim komediantem z bazaru. A przecież z panem Narajanem panna Crane mogła rozmawiać swobodnie i szczerze. Z panem Ćaudhuriem nigdy. W pewnym okresie, gdy była wyczulona na wrażliwość Hindusów znających angielski, którzy czasem odróżniali nawet najsubtelniejsze językowe niuansy, ale rzadko kiedy, jeśli już w ogóle, rozumieli zwykle, potoczne idiomy, uodporniła się na pokusę, żeby ich poprawiać, wykrzykiwać: „to niemądre!” albo: „to bzdura!” Teraz już od kilku lat nie zadawała sobie trudu liczenia się ze słowami i żałowała, że kiedykolwiek to robiła. Nie należy dobierać słów, bo wszystko, co się chce powiedzieć, zatracą spontaniczność. W końcu zniecierliwiała nienaturalność, jaką czuła w tej swojej układności. Gdybym zawsze wypowiadała się tak szczerze jak teraz — myślała — to wprawdzie przysparzałabym sobie wrogów, ale może bym też zjednywała sobie przyjaciół. Gdybym wcześniej w życiu zawodowym nauczyła się wypowiadać z pewnością siebie, może bym nabrała wewnętrznego przeko-

42

nia o swojej racji, które by się udzielało ludziom innej rasy, świadcząc, że jestem szczerą, więc godną zaufania. Wiedziała, że na to już za późno, a szczerść bez tego często wydaje się Hindusom zwykłą beznamiętną niegrzecznością Angielek, i tylko same Angielki tę swoją szczerść podziwiają. Z takimi ludźmi jak pan Narajan mogła pozwalać sobie na słowną szermierkę w żargonie spokojna o to, że jego nie zrani. W rozmowach z panem Ćaudhuriem stwierdziła, że znów ucieka się do delikatnych sformułowań, do wypowiedzi bardzo ostrożnych, a potem psuje cały efekt, jeśli w ogóle jakiś efekt osiąga, bo jednak wyrwywają jej się słowa niezamierzone. Powiedziała panu Ćaudhuriemu „bzdura!” na początku ich znajomości i od razu zrozumiała, że chwilowo zniechęciła go do współpracy. Od tamtej niefortunnej chwili poczynili niewiele kroków, żeby wyjść sobie naprzeciw. Przypuszczała, że gdyby pani Ćaudhuri była kobietą lepiej znającą życie, to może pozyskując sobie jej sympatię jakoś skruszyłaby lody, ale ta pani, chociaż odebrała średnie wykształcenie i przez wiele lat uczyła się indyjskiej muzyki klasycznej, przejawiała absolutną tępotę w sprawach przewrotnego świata i zapatrzona w męża, była bardzo staroświecką żoną.

Rano 8 sierpnia, zanim panna Crane wyruszyła Fordem do Dibrapuru, Joseph próbował odwieść ją od wyjazdu. Oznajmił, że będą rozruchy. Słyszał pogłoski. Powiedziała mu:

— Wciąż słyszymy jakieś pogłoski. Czy ciebie to powstrzymuje od wykonywania pracy? Oczywiście, że nie. Ja mam pracę w Dibrapurze, więc muszę tam pojechać.

Zaofiarował się, że będzie jej towarzyszyć.

— A kto wtedy zajmie się domem? — zapytała. — Nie, Joseph. Oboje mamy swoje zwykłe sprawy.

Rzeczywiście to była „zwykła sprawa” na całej trasie do Dibrapuru, dokąd panna Crane — z jedną przerwą po drodze na zjedzenie kanapek i wypicie kawy z termosu — dojechała o godzinie czwartej po południu. W wioskach ten i ów krzyczał: „Opuście Indie!”, inni domagali się bakszyszu. Jadąc powoli, tak, by nie potraćć krów i bawołów, psów, kur i dzieci, z uśmiechem machała ręką do wszystkich, bez względu na to, co krzyczeli.

W Kotali, ostatniej wiosce przed Dibrapurem, zatrzymała na chwilę samochód, żeby porozmawiać z kilkoma kobietami, których dzieci chodziły do szkoły pana Ćaudhuriego. Te kobiety nic nie mówiły o rozruchach. Sama też nie poruszała tego tematu. One przecież wiedzą lepiej, co w trawie piszczy. W Kotali panował spokój. Potem spotkała wracające ze szkoły dzieci z pustymi pudelkami od śniadania i płóciennymi torbami. Przeważnie były to dzieci ośmioletnie. Znów zatrzymała samochód i rozdała im część karmelków, które wiozła.

Wreszcie wjechała na dziedziniec szkoły. Tutaj rosły drzewa rzucające cień. Pana Ćaudhuriego zastała przy sprzątanii klasy.

— Są jakieś wiadomości? — zapytała raczej z nadzieją, że jeśli mają się za-

43

cząć rozruchy i nadchodzi już ów moment „za pięć dwunasta” może on się zdobyć na coś więcej niż uprzejmą zdawkową odpowiedź.

- Wiadomości? — powtórzył. — Jakie, panno Crane?
- O głosowaniu w Kongresie.
- Ach, o to pani chodzi — powiedział. — Nie, nie słuchałem radia.

W tak zwanej kancelarii szkolnej był radioodbiornik. Czasami służył panu Ćaudhuriemu jako pomoc przy nauczaniu. Włączyła radio, a gdy rozległy się dźwięki muzyki, wyłączyła je. To była muzyka europejska. A u Ćaudhuri ch słuchało się tylko klasycznej muzyki indyjskiej.

- Może jednak — zapytał pan Ćaudhuri — są wiadomości o naszym dachu?
- Nie, nie ma. Przejrzałam jeszcze raz kosztorysy i ani jeden nie jest dla nas możliwy do przyjęcia. Czy nie mógłby pan znaleźć kogoś, kto by to zrobił taniej?
- Próbowałem się dogadać ze wszystkimi, którzy w ogóle chcą mówić o takiej robocie. Jeżeli dłużej będziemy się namyślać, podwyższą nawet te niskie ceny. Ci ludzie przecież nie mogą pracować za darmo.

Już miała powiedzieć: „Tego nie wymagam, nie wymagam, żeby pracowali za darmo.” Tak powiedziała by panu Narajanowi. Teraz jednak ugryzła się w język. Panu Ćaudhuriemu tylko przytaknęła.

— Nie mogą. No, jedźmy już. Chciałabym się napić herbaty. — Ale i to za brzmiało szorstko.

Czekała już w Fordzie, gdy pan Ćaudhuri zamykał drzwi szkoły na kłódkę. Wsiadł i pojechali. W bungalowie nie było dla niej zaparzonej herbaty. Pan Ćaudhuri nie przeprosił jej, ale odpoczywając na swoim łóżku w pokoju gościnnym, słyszała, jak karci żonę za to niedopatrzenie. Wkrótce herbata została podana na werandzie. Pani Ćaudhuri nie usiadła z nimi. Uśmiechnięta, małomówna krążyła między kuchnią a werandą, przynosiła wszystko sama i gdy uznała, że już nic więcej im nie potrzeba, stanęła w cieniu drzwi cicho jak myszka, obserwując męża, na wypadek gdyby coś jeszcze należało podać, zmienić czy uzupełnić.

Właśnie to — tłumaczyła sobie często panna Crane — ta jego straszna feudalna postawa wobec żony sprawia, że trudno mi go polubić.

Ale to nie było to. Czasami wieczorem pani Ćaudhuri im śpiewała. W chwili gdy siadała po turecku na macie z sitowia, delikatnie podtrzymując tanpurę, była już inną kobietą; pewna siebie, z niezwykłym wdziękiem prostowała swe kościste ramiona tak, że nawet przypominała lady Chatterjee siedzącą na kanapie w salonie komisarza. Po dwóch pieśniach pan Ćaudhuri mówił:

— Wystarczy.

Wtedy wstawała, brała tanpurę i znikła w drugim pokoju. Panna Crane wiedziała, że państwo Ćaudhuri się kochają, że pan Ćaudhuri nie jest tyranem, że ta kobieta woli dawne obyczaje, bo są one zgodne z tradycją i stanowią wyraz wewnętrznej dyscypliny, pomagają osiągnąć i zachować spokój ducha.

Tego wieczora — 8 sierpnia — panna Crane doznając dziwnego uczucia, że jest to wieczór szczególny, przełomowy, zapragnęła rozruszać pana Ćaudhuriego.

44

x

jakoś przełamać tę jego powściągliwość. Byłoby jej łatwiej, gdyby cechował go tak staroświecki sposób życia jak jego żonę — wtedy stosunki między nimi układałyby się zupełnie inaczej. Ale pan Ćaudhuri był

zeuropeizowany. Ubierał się po europejsku w szkole i w domu, przynajmniej wtedy, gdy przyjeżdżała kuratorka. Jedli przy stole, siedzieli na krzesłach, rozmawiali o sprawach szkoły, o sztuce, o muzyce, nigdy jednak nie poruszali tematów politycznych. Na stole nakrytym po europejsku, obrusem, leżały noże i widelce i stały zwyczajne porcelanowe talerze. Do kolacji pani Ćaudhuri zasiadała razem z nimi, chociaż prawie się nie odzywała i właściwie nic nie jadła. Podawała służąca, która kolację ugotowała. Panna Crane czułaby się lepiej, gdyby ta służąca była niedotykalna \ ponieważ to by świadczyło o wyzwoleniu się Ćaudhuri ch spod rygorów kastowych. Cóż, kiedy służąca była braminką.

Kawę pili w pokoju frontowym, w którym dawniej ona i panna de Silva siadywały w trzcinowych fotelach, a teraz siadało się na niskich tapczanach i miało się pod stopami kaszmirski dywan. Pannie de Silva wystarczała lampa naftowa, pan Ćaudhuri zainstalował światło elektryczne, zasilane prądem z generatora na podwórku. Siedzieli w zgoła nietwarzowym blasku nie osłoniętej żarówki, wokół której pływały ćmy i inne owady dopełniając swego conocnego obrzędu, porwane pierwotną tęsknotą do czegoś, co może opalić im skrzydełka. W czasie pomiędzy kolacją i śpiewem pani Ćaudhuri odchodziła — zapewne do kuchni, żeby pomóc służącej C?y też żeby jej dopilnować.

W ten wieczór panna Crane, pijąc gorzką kawę, uświadamiała sobie głębiej niż kiedykolwiek przedtem brak życzliwości w milczeniu, jakie zawsze zapadało, ledwie została z panem Ćaudhuri m sama. Bardzo chciała posłuchać dziennika radiowego, ale poprzestała — w dowód, że przynajmniej pod jednym względem to jest normalny wieczór — na słuchaniu rechoczących wokół werandy żab, których niewidoczne bataliony wyległy po przedwieczornym deszczu.

Chciała też zapytać: „Panie Ćaudhuri, czym naprawdę jest ta szkoła dla pana?“, ale nie zapytała. Takie pytanie byłoby kwestionowaniem kursu, który obrał sobie ten człowiek, idąc z pewnością za głosem serca, nie tylko rozumu.

Jesteś głupia, Edwino Crane — skarciła się później w pokoju gościnnym — zmarnowałaś jeszcze jedną sposobność, bo serce już nie ma głosu, a rozum mówi to, co zdecyduje żołądek. Pan Ćaudhuri odpowiadałby na twoje pytania, gdybyś wiedziała, o co pytać i w jaki sposób. On jest z tego młodszego pokolenia, które, owszem, widzi to, co ja widzę, i pojmuję to, co ja pojmuję, ale ponadto widzi i rozumie różne inne rzeczy.

¹ Niedotykalność jest jednym z przejawów typowej dla Indii segregacji ludzi — zgodnie z ich statusem rytualnym — na kasty. Dla członków wyższych kast kontakty z wszystkimi, którzy parają się tzw. „nieczystymi profesjami“, są równoznaczne ze skażeniem rytualnym, należy się ich zatem wystrzegać. Praktyki niedotykalności, tj. oddzielanie kast najniższych (niedotykalnych) od reszty społeczeństwa hinduskiego, należą do centralnych tematów prawa obyczajowego.

Zasnęła. Obudziła się o czwartej, jak gdyby wiedziała, że o tej godzinie ludzie biali, tacy jak ona, może powinni czuć się na baczności. Właśnie o godzinie czwartej stary człowiek w okularach został obudzony i aresztowany i o tej też godzinie obudzono komisarza okręgowego w Majapurze, polecając mu wprowadzić w życie plany akcji zapobiegawczej, odstraszałającej. I ją, pannę Crane, parę godzin później zbudził z chwilowej drzemki pan Ćaudhuri wiadomością, że poprzedniego dnia w Bombaju Kongres głosował za rezolucją egzekutywy i że Mahatma Gandhi, jak również egzekutywa, są w areszcie, co niewątpliwie zapoczątkuje aresztowania w całym kraju.

O dziesiątej panna Crane udała się z Ćaudhuri m do szkoły na niedzielną lekcję religii. Przyszły tam tylko dzieci z Kotali. Wysłała więc Ćaudhuriego na rowerze do Dibrapuru. Wrócił przed jedenastą i powiedział, że w miasteczku zamyka się sklepy, krąży pogłoska o aresztowaniu trzech urzędników miejskich na rozkaz okręgowego nadinspektora policji w Majapurze i przewiezieniu ich do Aligarhu, a policjanci patrolują ulice, tłumy się gromadzą, grożąc zaatakowaniem urzędu pocztowego i komisariatu.

*

— Wobec tego — powiedziała panna Crane — zadzwonię do Majapuru, dowiem się, co tam słychać.

Odłożyła sprawozdania, które zestawiała. Telefon był w bungalowie Ćaudhuri ch.

- Nie zadzwoni pani — powiedział pan Ćaudhuri . — Sam już próbowałem. Najwidoczniej linia jest przecięta.
- Rozumiem. No cóż? Którś z nas musi odstawić dzieci do Kotali, nie będziemy narażać ich na to, co może się dziać tutaj. Ja to zrobię i już pojedę z powrotem do Majapuru. Pan niech wraca do domu, zajmie się żoną. Dobrze by też było, gdyby miał pan oko na szkołę, jeżeli to możliwe.

Pan Ćaudhuri rozejrzał się po tej nędznej szkolnej kancelarii, a potem skierował wzrok na pannę Crane.

- Nie ma tu nic do zabezpieczenia — powiedział — z wyjątkiem dzieci. Niech je pani zabierze samochodem. Pojadę za panią na rowerze. W razie gdyby pani spotkała jakichś złoczyńców, lepiej będzie, jeżeli mnie zobaczą.

- Och, nie widzę powodu do obaw. I przecież musi pan myśleć o żonie.

- Pani jest tutaj jedyną Angielką. Mojej żonie nic się nie stanie. Oni mogą równie dobrze przyjść i tutaj, kiedy skończą z urzędem pocztowym i z komisariatem, czy na co się tam uwzieli. Mogą przyjść z każdej strony, więc oboje odwieziemy dzieci do Kotali.

Panna Crane także się rozejrzała. Ten budynek szkolny zawsze jej przypominał tamten, do którego przed laty

wprowadził ją pan Grant. Ćaudhuri ma rację. Niewiele tu rzeczy wartych ocalenia poza samym budynkiem, zresztą tak samo lichym. Wątpiła też, czy tym razem wystarcząby stanąć w drzwiach, żeby nie wpuścić rozgniewanego motłochu. Spojrzała na Ćaudhuriego, wspominając Muzzaafirabad, gdzie była sama.

46

- Jest pan pesymista.
- Widziałem tych ludzi i słyszałem,;Cft.WldVllq*r'
- Na pewno telefon nie działa?
- Tak, na pewno.

Przez chwilę patrzyli sobie w oczy. Panna Crane pomyślała: Normalna rzecz w momentach uzasadnionego niepokoju... to ziarenko wątpliwości, lekka nieufność, mgliste posadzenie o mijanie się z prawdą. Jeżeli telefon jest odcięty, no to jest odcięty. Jeżeli nie, to może pan Ćaudhuri podniósł słuchawkę i nic słysząc natychmiast sygnału, wyciągnął wniosek zbyt pochopnie. Albo może pan Ćaudhuri wie, że telefon działa? Skłamał, bo chce mnie wyprawić w drogę do Kotuli.

- Dobrze — zgodziła się. — Myślę, że pan ma rację. Jakoś upchniemy dzieciarnię w Fordzie i proszę mnie eskortować na rowerze.
- Spodziewam się — powiedział — że jedno pani rozumie. Ja nie boję się tutaj zostać. Jeśli pani chodzi o ochronę tego budynku, zostaną i spróbuję zrobić, co się da.
- Może dadzą spokój, kiedy zobaczą, że tu nikogo nie ma — powiedziała.
- Tak właśnie myślałem.

Przytaknęła, wstała i zaczęła składać sprawozdania, schludnie, równiutko, tak żeby brzeg żadnej kartki nie wystawał. Ćaudhuri czekał. Zapytała:

- Niech mi pan powie szczerze, czy myśli pan, że tym razem to coś poważnego?
- Chyba tak.

Oni zawsze wiedzą — pomyślała. I po chwili: — To także normalna rzecz... nazywać ich „oni”, jak gdyby byli z innej gliny.

— Dobrze więc. Może pan już zwołać dzieci.

Skinął głową i wyszedł na tylny dziedziniec, gdzie dzieci się bawiły.

Włożyła sprawozdania do teczki, po czym przypomniała sobie o neseserze już spakowanym w bungalowie. Wysłała z kancelarii i przekrzykując dzieci, którym pan Ćaudhuri właśnie oznajmił, że lekcji nic będzie, zawołała.

- Mój neseser! Nie ma go tu. Jadę po niego i pożegnaj się z pana żoną.
- Wyprawiłem żonę do przyjaciół! — głośno odpowiedział pan Ćaudhuri. — pani neseser jest w samochodzie!

Zabrałem go po drodze z miasta.

- Dziękuję — powiedziała.

Wróciła do kancelarii po teczkę. Włączyła radio. Znów usłyszała tylko muzykę nadawaną z Rozgłośni Wszechindyjskiej, angielską muzykę dla sił zbrojnych. Ale zostawiła radio włączone, żeby grało, gdy zapinała rzemyki teczki. Było dla niej linią ratunkową. Jestem spokojna — myślała — odruchowo spokojna, taka jak w roku 1914, 1919, 1930, jak nieraz. W ciągu tych trzydziestu pięciu lat z górą przyzwyczaiłam się do nagłych alarmów. Ale też i boję się. W takich okolicznościach zawsze trochę się boję. I zawsze wstyd mi moich podejrzeń. Tym razem podejrzeń co do telefonu, co do neseseru.

— Panie Ćaudhuri! — zawołała stając w drzwiach. — Kiedy dzieci będą gotowe, niech pan przyjdzie z nimi przed dom. Ja tymczasem rozgrzeję silnik.

I w moim głosie — stwierdziła — jest... zawsze jest... ta władca, specjalna

47

nuta, obecna w głosach nas wszystkich, ilekroć zwracamy się do n i c h. Może jej nie słysząc, kiedy mówimy tylko o jakichś drobnych zmianach codziennego układu rzeczy, ale w chwilach napięcia brzmi jak komenda. No, ale — rozmyślała — my jesteśmy u steru. Ponosimy odpowiedzialność, mamy obowiązki. Teraz, na przykład, obowiązek nakazuje mi być w Majapurze, siedemdziesiąt mil stąd. W mieście zamieszki przybierają zwykle gorszy obrót niż na wsi.

Gdy wyprowadziła samochód z szopy przy szkole, pan D. R. Ćaudhuri, bakałarz nauk podstawowych i nauk przyrodniczych, już czekał z dziećmi tych biednych i tych nierzadko głodnych, bawiącymi się wokół niego.

W okresach niepokoju wiadomości czy bodaj pogłoski o rozruchach w miastach sprawiały, że z wioski natychmiast wyruszyli do miast ci, którym uśmiechała się perspektywa grabieży. O tym właśnie myślał pan Ćaudhuri mówiąc o złoczyncach na szosie pomiędzy Dibrapurem a Kotali. Panna Crane również wiedziała, że wyjazd z Dibrapuru jest teraz tak samo narażaniem się na kłopoty, jak ucieczką przed nimi.

Wyłaniała się kwestia jej dalszej jazdy tą ponad siedemdziesięciomilową trasą z Kotali przez, kolejne wioski do Majapuru. Tutaj, w południowej części okręgu, teren był raczej falisty, a przecież otwarty. Dobrze szutrowana szosa biegła wśród pól uprawnych, prawie bez drzew. Przynajmniej na większości odcinków można byłoby zawczasu dostrzec zbliżające się niebezpieczeństwo. Panna Crane z doświadczenia wiedziała, czego wypatrywać. W porze suchej, gdy *pobocza* pokrywał pył przypominający miałką kredę, to był tuman kurzu, który w miarę zbliżania się odsłaniał mężczyzn idących całą szerokością szosy. W czasie deszczu ukazywali się raptownie albo

zgoła nieoczekiwanie, bo kurzu nie wzbijali i nawet *i* daleka się widziało, że niektórzy mają kije. Wyruszyli z którejś wioski we trzech czy czterech, i ledwie przeszli kilka mil, było ich już dwudziestu. Gdy samochód, nie zwalniając, jechał prosto na nich, rozbiegali się w ostatniej chwili, ale mogli też obrzucić go kamieniami, jeśli przygotowali je sobie przedtem. Raz w życiu, w czasie zamieszek w roku 1919, panna Crane przejeżdżała pod takim gradem kamieni. Wtedy jednak samochód prowadził Europejczyk, młody, pełen determinacji policjant, którego przysłano jej na ratunek do oddalonej szkoły, gdzie była, jak się domyślił jej zwierzchnik, rzeczywiście uwięziona.

Może bym zdołała zrobić to samo co tamten młody policjant — rozmyślała — nacisnąć klakson i przejechać na łeb, na szyję? To zależałoby od wielkości bandy. Pan Čaudhuri nie umiał prowadzić samochodu. Nie wiedziała, czy to dobrze dla niej, czy źle.

O liczebności band decydowały trzy czynniki: charakter rozruchów w mieście, dający mniejsze lub większe możliwości rabunku, ogólny nastrój w okolicznych wioskach czy też liczba wieśniaków, którzy mieli dość czasu i ochoty, żeby skorzystać z takiej sposobności do napełnienia kieszeni, i wreszcie stopień kontroli, jaką udawało się rozciągnąć nad ludźmi naczelnikom wiosek i wiejskim policjantom.

48

Każda wioska miała swego stróża porządku, czyli ćokidara, na etacie państwowym i wraz z innymi wioskami swojej grupy na danym obszarze podlegała oddziałowi policji. W wiosce, gdzie posterunek był dobrze obsadzony, przechodząca banda kończyła swój marsz, bo skutecznie ją rozpędzano. Jednakże tam, gdzie policjanci woleli odwracać od niej wzrok albo wobec jej agresywności uważali, że roztropniej będzie zamknąć się w czterech ścianach, bez przeszkód szła dalej, coraz liczniejsza.

W Kotali pannę Crane z gromadką roześmianych dzieci w samochodzie i pana Čaudhuriego pedaującego na rowerze dość daleko z tyłu — powitali ćokidar, naczelnik wsi i kilku mężczyzn, którzy właśnie mieli wyruszyć po dzieci do szkoły. Posterunkowy z Garhwaru, następnego wioski na trasie, zawiadomił przez kogoś, że połączenie telefoniczne z komisariatem w Dibrapurze zostało przerwane, więc pewnie na wieść o aresztowaniu pana Gandhiego wybuchły rozruchy; mieszkańcy Kotali niech się mają na baczności, żeby uchronić swoje życie i mienie przed zbrojami i łobuzami. Wszyscy w Kotali, powiedział naczelnik, są oburzeni na posterunkowego w Garhwarze. Mówią, że dostał ostrzeżenie już wczoraj, jeżeli nie dawniej, tylko mu się nie chciało ich zawiadomić od razu. Gdyby wiedzieli wcześniej, nie puściliby dziś rano dzieci do szkoły.

Matki dziękowały panie "Crane za przywiezienie dzieci całych i zdrowych i poczęstowały ją herbatą. Piła na poboczu szosy, siedząc na krześle, które *dla niej przyniosły* i postawiły pod drzewem. Panu Čaudhuriemu też dały herbaty.

— Będę się modlić o deszcz — powiedziała im z uśmiechem. — Nic tak nie studzi ludzkich zapałów jak porządna ulewa. Jeżeli zacnie padać, nikt nie wytknie nosa z domu.

Pan Čaudhuri milczał. Dopił herbatę i odszedł, żeby porozmawiać z ćokidarem i naczelnikiem Kotali. Gdy wrócił, panna Crane kończyła pić drugi kubek. Była głodna, ale choć kobiety częstowały ją jedzeniem, odmówiła.

— Powinna pani wstrzymać się z wyjazdem, panno Crane — powiedział, wracając, pan Čaudhuri. — Tutaj ma pani samych przyjaciół, ze względu na dzieci. Niebezpiecznie jest jechać dalej.

Potrząsnęła głową. Odstawiła kubek na tacę, którą trzymała przed nią młoda dziewczyna.

- Nie — powiedziała. — Muszę jechać do Majapur.
- Oni tu zajmą się panią. Naczelnik będzie panią gościł u siebie.
- Bardzo uprzejmie z jego strony, doceniam to, ale muszę wracać.
- Więc niech pani poczeka godzinę czy dwie. Pojadę do Dibrapuru, rozejrzę się. Może to tylko burza w szklance wody. Jeżeli tak, mogłaby pani jeszcze dziś prznocować u mnie i wyruszyć do Majapur jutro rano. Wtedy telefon chyba już będzie działał.

- A jeżeli to nie jest burza w szklance wody?
- W takim razie nie powinna pani stąd wyjeżdżać. Powinna pani zostać tutaj, gdzie wszyscy są pani przyjaciółmi.

49

- W Majapurze też mam przyjaciół. I co ważniejsze, mam obowiązki. Wierzę w pana dobre intencje, ale naprawdę muszę wracać natychmiast.

- Nic pani nie jadła.
- Nie chce mi się jeść.
- Jednak przyniosę pani coś do zjedzenia.
- Nic bym nie przełknęła. Pan rozumie, w takich napiętych sytuacjach zawsze mnie trochę mdli. — Skłamała. W takich sytuacjach zawsze miała szalony apetyt. Ale gdybym została, żeby się najeść, pomyślała, może bym została i do jutra, tak jak on radzi.

Pan Čaudhuri rozłożył ręce na znak, że się poddaje.

- Wobec tego pojadę z panią — powiedział. — Jedźmy już. Zaprotestowała.
- Niech pan nie będzie niemądry, to naprawdę zbyteczne!

Ale puścił jej słowa mimo uszu. Znów odszedł do ćokidara i naczelnika. Otoczyło ją kilkoro dzieci.

Wyrecytowały, żeby jej zrobić przyjemność.

- Raz-dwa-trzy, zapnij mi trze-wi-czki! Roześmiała się i pochwaliła:
- Hardzo ładnie.

Pan Ćaudhuri odchodził szosą w stronę domu naczelnika. Obejrzał się i pokazał na migi, że zaraz wróci. Potem dostała od jednej z matek talerz nakryty serwetką. Były to apetyczne gorące ćapati. Znów stał na lacy kubek napełniony herbatą. Od innej kobiety dostała miseczkę pełną dalu i łyżkę. Pot wystąpił jej na czoło. Ludzie stojący wokół patrzyli, jak ona zaczyna jeść. Nie cierpię tego — pomyślała — zawsze tego nie cierpiałam... Gapią się na mnie zupełnie jak na jakieś stworzenie z zoo, zwierzę siedzące na krześle pod drzewem przy szosie.

- Widzi pan — powiedziała panu Caudhuriemu, gdy wrócił. — Jednak postawiły na swoim.
 - Z dobroci serca — wyjaśnił, jak gdyby powtarzał z nią lekcję, której nie odrobiła należycie — i dlatego, że są gościnne.
 - O tym to ja wiem. — Nie zdołała powstrzymać się oó zachnięcia. — Ale niechże mi pan pomoże zjeść te ćapati. Strasznie ich dużo.
 - Nie — powiedział. — Są dla pani. Proszę się postarać zjeść wszystko. Tej kobiecie byłoby przykro. Ja leż dostanę. Już dla mnie niosą. I zaraz potem ruszamy w drogę.
 - A co z panią Ćaudhuri? — zapytała.
 - Jest bezpieczna u przyjaciół. Poproszę, żeby ktoś stąd zawiadomił ją, ić jadę do Majapur.
- Po chwili podniosła oczy. Napotykając jego czujny wzrok, powiedziała:
— Dziękuję panu. — I dodała z niejakim trudem: — Bałabym się jechać sama.

W Garhwarze, następnej wiosce, pod drzewem banijana przy poboczu szosy siedzieli w kucki policjanci uzbrojeni w pałki. Nie opodal drzewa stała pobielona

50

świątynka hinduska. Kapłan obnażony do pasa siedział na przyzbie swojej lepianki i przyglądał się policjantom. Posterunkowy widząc, że nadjeżdża samochód, wstał i zaczął machać ręką, żeby go zatrzymać. Obowiązek służbowy — wyjaśnił pannie Crane w języku urdu, gdy już jej zasalutował i zerknął na pana Ćaudhurię. Musi ją ostrzec, że niebezpiecznie będzie jechać dalej. Kazano mu być w pogotowiu, bo zanosì się na rozruchy.

— Kiedy? — zapytała panna Crane, także w urdu.

Odpowiedział, że dostał rozkaz dziś wczesnym rankiem, a rozruchów spodziewano się już wczoraj.

— Należało więc od razu przekazać tę wiadomość do Kotali — powiedziała.

Owszem, przekazały wiadomość do Kotali. Sam z siebie. Kazano mu tylko być w pogotowiu, bo zanosì się na rozruchy. O zawiadomieniu nic nie mówiono.

• Należało zawiadomić Kotali już wczoraj — powiedziała panna Crane. I poprosiła, żeby był tak dobry i poinformował ją, jeśli wie, co się dzieje w Majapurze i na trasie pomiędzy Garhwarem i Majapurem.

• Nie wiem — odpowiedział. — Nie ma połączenia telefonicznego z Dibra-purem.

• Czy to znaczy, że kable zostały przecięte?

Możliwe. Ale tak samo możliwe jest jakieś przypadkowe uszkodzenie. Tylko dlatego, że poleconemu być w pogotowiu, bo zanosì się na rozruchy, przesłał wiadomość do Kotali i innych wiosek podległych jego posterunkowi. To znaczy, prosił ludzi w Garhwarze, żeby tam poszli z tą wiadomością. Żadnego z policjantów nie mógł wysłać, skoro ma być w pogotowiu. Zrobił to, co mógł. Niewiele zresztą można zrobić z taką garstką policjantów, jeśli rzeczywiście złączą się rozruchy. Tylu złych ludzi w wioskach. Policja będzie w wielkim niebezpieczeństwie. Może mem-sahib zechce powiedzieć inspektorowi-sahibowi w Tanpu-rze, że posterunkowy Akbar Ali w Garhwarze jest w pogotowiu zgodnie z rozkazem, tylko nie ma łączności.

— Więc myśli pan, że bez przeszkód dojedziemy do Tanpuru? — zapytała panna Crane.

Odpowiedział, że tego nie wie, ale wie, iż policja okręgowa w Tanpurze, której podlega pododdział Dibrapur, jest dzielna i nieustępliwa. Możliwe — dodał — że mem-sahib dojedzie do Tanpuru, niemniej jego obowiązkiem jest ostrzec ją przed grożącym niebezpieczeństwem i oczywiście on już nie odpowiada za obszar pd*za Tanpurem, za te wsie, gdzie źli ludzie może już się zbierają, żeby ruszyć na Tanpur albo nawet na Majapur, jeżeli w Majapurze też niespokojnie. Tak czy owak, inspektor Gowindas Lal sahib w Tanpurze na pewno jest w lepszej sytuacji niż on i powie jej, czy można jechać dalej.

Dojechali do Tanpuru o godzinie drugiej po południu. W tej małej mieścinie, biednej i brudnej, cuchnęło nawozem. Policja patrolowała główną ulicę w pełnej sile sześciu ludzi i zastępcy podinspektora. Sam podinspektor Gowindas Lal, którego nie zastali, próbował daremnie — jak się dowiedzieli — nawiązać łączność z komisariatem okręgowym w Majapurze i godzinę temu wyjechał z jednym po-

51

licjantem i trzema monterami z zarządu poczt i telegrafów, żeby znaleźć miejsce, gdzie przecięto kable pomiędzy Tanpurem i Majapurem. Linia telefoniczna pomiędzy Tanpurem i Dibrapurem też została przerwana, ale połączenie z Majapurem jest przecież najważniejsze. Pan Ćaudhuri powiedział zastępcy podinspektora, że postereunek policji w wiosce Garhwar również nie ma połączenia, oni jednak na trasie z Garhwaru do Tanpuru, a w istocie na całym odcinku od szkoły w Dibrapu-rze nie widzieli, żeby druty były poprzerywane. Zastępcza

podinspektora wyjaśnił, że chcąc zatelefonować z Garhwaru do Tanpuru albo z Tanpuru do Garhwaru trzeba najpierw połączyć się z centralą w Dibrapurze: linia została przerwana chyba gdzieś blisko centrali, może nawet cały tamtejszy urząd pocztowy leży w gruzach.

- Bezpiecznie jest jechać dalej? — zapytał pan Catidhuri.
- A bo ja wiem — odpowiedział zastępca. — Jeżeli inspektorowi sahibowi nie stało się nic złego, to będzie gdzieś na szosie i wam powie.

W samym Tanpurze rano zgromadził się tłum, ale inspektor sahib przekonał ludzi, że powinni się rozejść. Powiedział, że już jedzie wojsko z Majapuru, żeby utrzymać porządek. Sklepy są nadal zamknięte i chociaż to wbrew przepisom, przynajmniej ludzie siedzą w domach. W myśl ostatniego zarządzenia, jakie przekazano z Majapuru, trzeba w miarę możliwości rozpędzać tłumy, ale ich nie prowokować. Można by zmusić sklepikarzy do otwarcia sklepów, skoro jednak nie wolno prowokować, to już lepiej nie stosować przymusu. Dotychczas wszędzie panuje spokój, ale nie wiadomo, jak długo się taki stan rzeczy utrzyma, jeżeli inspektor sahib szybko nie wróci.

- Ale dajemy sobie radę, a jakże — zakończył tę relację, nagle po angielsku zwracając się do panny Crane.
- Zobaczymy się z inspektorem i powtórzmy mu to — obiecała.

Tylko że nie zobaczyli się z inspektorem. Pięć mil za Tanpurem leżała na poboczu szosa, nie opodal słupa telegraficznego ciężarówka, wywrócona do góry kołami, prawdopodobnie uprzednio tam zaparkowana. Jeżeli była to ciężarówka inspektora, on znalazł miejsce przecięcia drutów, ale nie zdążył ich naprawić. Wałły się skrzycone, splątane w rowie przy szosie.

- Powinniśmy zawrócić — powiedział pan Čaudhuri. — Uprawdzili inspektora Gowindasa Lala.
- I monterów — dodała panna Crane.
- Może właśnie ci monterzy go uprawdzili? Niejeden pracownik poczty i telegrafu to komunista.
- Ale monterów było tylko trzech, a on zabrał ze sobą policjanta i prawdorjd — dołnie miał broń. Musiał być ktoś jeszcze.
- I dlatego powinniśmy zawrócić, panno Crane.

Niebo zasłaniały chmury, ale deszcz wciąż jeszcze nie padał.

— Śmieszne — powiedziała. — Wczoraj, kiedy jechałam tą szosą, cicho tu było jak w grobie, bezpiecznie jak u Pana Boga za piecem. A teraz nagle druty telegraficzne poprzecinane, ciężarówki leżą wywrócone, inspektorzy policji znikają. To naprawdę bardzo niemądre. — Parsknęła śmiechem. — Nie, panie Čaudhuri, je-

52

żeli pan chce, odwiezę pana z powrotem do Tanpuru, ale potem od razu pojedę do Majapuru, bo już widzę zabawną stronę tego wszystkiego. Jeżeli jednak odwiezę pana z powrotem do Tanpuru, ludzie będą wiedzieli, że wracamy nie bez powodu, i wtedy rozejdzie się wiadomość o inspektorze. Jego zastępca może wpaść w taką panikę, że to przestanie być zabawne.

Pan Čaudhuri milczał. Po chwili westchnął i powiedział:

— Nie nadążam za pani rozumowaniem, panno Crane. Stanowi ono niewątpliwie przykład brytyjskiej flegmy. Pani jest szalona. I ja jestem szalony, skoro pozwałam pani jechać, nie mówiąc już o tym, że jadę z panią. Proszę tylko o jedno, jeżeli będzie gromada ludzi na szosie, niech pani mocno naciska pedał gazu.

Odwróciła głowę i znów popatrzyli sobie w oczy. Już się nie uśmiechała. Nic zirytował jej mówiąc, że jest szalona, i nadal widziała zabawną stronę sytuacji; ale nieoczekiwanie poczuła, że teraz oboje polegają na sobie wzajemnie z ową ufnością dwóch obcych istot, gdy przypadkiem znajdą się razem w trudnych okolicznościach, które mogą się okazać zabawne albo straszne.

I jeśli chodzi o pannę Crane, było jeszcze coś — uczucie doznawane niejednokrotnie przedtem, wywołujące dziwną drętwotę w ramionach i u nasady czaszki — uczucie, że ma pokonać przeszkodę, której w ciągu trzydziestu pięciu lat mimo wysiłku i dobrej woli właściwie nigdy nie pokonała; wbrew wszelkim zabiegom taka przeszkoda, czasem wysoka, czasem niska, wciąż pojawia się na torze myśli wysyłanych do mężczyzn czy kobiet o skórze innego koloru. Choćby była nie większa niż kamyk, zawsze hamuje, zamacą i myśli już nie są czyste.

— Dobrze, postaram się — powiedziała — naciskać pedał gazu, nie odrywać stopy.

I żałowała, że brak jej słów na wyrażenie panu Čaudhuriemu swego szacunku — szacunku głębszego niż respekt dla obszarpanych dzieci, który żywiła przed laty, głębszego, surowszego, bo respekt dla tamtych dzieci wpływał częściowo z litości, a to, co czuła teraz do pana Čaudhuriego, wpływało z zaufania, jakiego nagle można nabrać do kogoś, komu się nie ufało przedtem.

— A więc — powiedział pan Čaudhuri — jedziemy.

Wargi ma zaschnięte, zauważyła panna Crane. Boi się tak samo jak ja, ale może już oboje widzimy komiczną stronę tego wszystkiego. I wcale nie muszę rozmawiać z nim w jakiś specjalny sposób tylko dlatego, że jego skóra jest brązowa, czy dlatego, że nie rozumiem go. Ostatecznie on mnie też nie rozumie.

Włączyła znów silnik i po chwili zaczęła śpiewać. Ku jej zdumieniu pan Čaudhuri zawtórował. Śpiewali pieśń, której zawsze z przyjemnością uczyła dzieci. W całych Indiach — myślała — brązowe i eurazjatyckie dzieci, a także osoby dorosłe, umieją to zaśpiewać czy przynajmniej mogą przypomnieć to sobie, jeśli gdzieś posłyszają, i

wtedy pomyślą o pannie Crane mem. Śpiewała teraz, nie z sentymentem, tylko z radością, nie pobożnie, tylko zuchwale, prawie tak, jakby to był wesoły marsz. Gdy dośpiewali tę pieśń do końca, zaczęli jeszcze raz.

5.1

Jest przyjaciel małych dziątek
nad błękitem nieba t a m,
miłujący, łaski pełen,
wciąż niezmiennie taki sam,
tra la la, tra la la la.
Ten przyjaciel będzie godny
swego miana po wszech czas...

Przed nimi motłoch ustawił się w poprzek szosy

- Nie mogę — powiedziała, gdy podjechali bliżej.
 - Musi pani — powiedział pan Čaudhuri . — Dłoń na klaksonie, stopa na pedale. Niech pani naciska!
Wychylił się z okna samochodu, pokazując tym ludziom swą ciemną twarz bengalską i machając ręką, żeby zeszedli z drogi.
 - Szybciej — krzyknął do niej — szybciej! Pani zwalnia! Przyspieszać, naciskać klakson!
 - Przejadę kogoś! — krzyknęła. — Nie mogę! Dlaczego oni się nie rozstępują?
 - Więc niech ich pani przejedzie! Szybciej! I klakson!
- Zbliżając się do nich, przez chwilę myślała, że wszystko będzie w porządku, że oni się rozstępują. Ale zaraz zbili się znowu w zwartą gromadę. Najwidoczniej zobaczyli jej białą twarz. Mężczyzna na ich czele wymachiwał rękami, próbował zatrzymać samochód.
- Niech pani jedzie! — krzyknął pan Čaudhuri . — Niech pani zamknie oczy, jeżeli pani musi, ale niech pani jedzie dalej!
- Zacisnęła usta Čciała go usłuchać, ale nie zdołała. Nie mogła wjechać w zbitą gromadę żywych istot.
- Przykro mi! — zapiała i nacisnęła hamulec. Nie wyłączając silnika zatrzymała samochód w odległości może dwudziestu jardów od człowieka wymachującego rękami. — Oni nie mają zamiaru ustąpić, przejechałabym ich na śmierć. Przykro mi.
 - Niech pani się nie odzywa — powiedział pan Čaudhuri . — Teraz proszę już zostawić to mnie. Niech pani się nie odzywa. — Położył dłoń na przegubie jej ręki. — Niech mi pani zaufa. Wiem, że nigdy mi pani nie ufała, ale niech mi pani zaufa teraz. Proszę robić wszystko, co powiem. Cokolwiek by to było.
- Przytaknęła.
- Ufam panu. Zrobię wszystko, co pan powie. — W fizycznym strachu odczuwała jakieś rozradowanie, jak gdyby upiła się koniakiem u komisarza okręgowego. — Ale niech pan się nie naraża, dla mnie nie warto. Jestem stara, życie przeszło, nie udało mi się. — Parsknęła śmiechem. Tamci zbliżali się zuchwale. — Ostatecznie to na mnie się uwzieli, nie na pana. Jeżeli taki ma być mój koniec, dobrze.
 - Proszę, panno Crane — powiedział pan Čaudhuri . — Niech pani nie będzie śmieszna.
- Ci ludzie już otoczyli samochód. Stwierdziła, że nie rozróżnia ich twarzy. Wszy-

54

scy wyglądali jednakowo i bił od nich jeden połączony zapach alkoholu, czosnku, przepoconej bawełnianej odzieży. Większość była w białych zgrzebnych koszulach i w dhoti. Niektórzy mieli na głowach białe furazerki Partii Kongresowej. Wszyscy skandowali słowa, które, jak jej się wydawało, całe Indie skandowały od początku wiosny.

— Opuśćcie Indie! Opuśćcie Indie!

Pan Čaudhuri rozmawiał z prowodyrem. Prowodyr pytał, skąd on, pan Čaudhuri, wziął się w tym samochodzie z Angielką. Pan Čaudhuri, nie odpowiadając na to, usiłował go przekrzyczeć, wyjaśnić, że ona, panna Crane, jest starą przyjaciółką Indii, ba, jeszcze dzisiaj rano ocalała wiele dzieci indyjskich przed śmiercią z rąk policjantów, pijanych swoją władzą, i że teraz jest w drodze na tajne zebranie organizacji Partii Kongresowej w Majapurze, której zaufaniem się cieszy i której wysiłki, żeby obalić rządy Anglików, popiera całym sercem.

Prowodyr powiedział, że nie wierzy panu Čaudhuri emu. Że pan Čaudhuri jest zdrajcą. Żaden szanujący się Hindus nie jeździ z mem-sahib, nawet niepodobną do kobiety, zasuszoną w dziewictwie, bo żaden mężczyzna nigdy się na nią nie połączył. I zapytał, co pan Čaudhuri robi, jeżeli oni zdecydują się wyciągnąć mem-sahib z samochodu i pokazać jej, do czego są kobiety i co potrafią mężczyźni. Ale nie, tu prowodyr splunął na maskę Forda, szkoda siły i męskości dla takiego starego worka gnatów.

— Ona zna hindi — powiedział pan Čaudhuri — i rozumie te obelgi. Nie wstyd ci mówić takie rzeczy o guru, o nauczycielce czcigodnej jak sama pani Annie Besant, o poplecniczce Mahatmy?! Wielkie zło spadnie na ciebie i nasienie-twoje, jeżeli tkniesz ją choćby jednym palcem!

— No to tkniemy jednym palcem ciebie, bracie — powiedział prowodyr i po ciągnął za drzwiczki samochodu, których zamek panna Crane wciąż sobie obie cywała naprawić, ale załatwienie tego odkładała z miesiąca na miesiąc.

- Niech pani rusza — polecił pan Čaudhuri, gdy wyciągali go z samochodu. — Niech pani rusza

natychmiast. Mnie nic nie zrobią.

- Świnie! — wrzasnęła w urdu, z całej siły trzymając pana Ćaudhuri cgo za rękę. I bluznęła wyzwiskami, jakich użyła przed laty w Muzzaafirabadzie. — Synowie świń! Krowojady! Bałwochwalcy bez soków życia, parobcy wstrętni dla boga Siwy...

- Niech pani rusza! — krzyknął pan Ćaudhuri . Już wyciągnęli go z samochodu. Zatrzasnął drzwiczki kopnięciem, bo ręce unieruchomiło mu czterech ludzi. — A może pani słucha tylko białych ?! Dotrzymuje pani słowa tylko białym, takim jak pani?!

- Nie! — krzyknęła. — Nie, nie, nie!

Zwolniła hamulec, nacisnęła stopą pedał gazu, prawie blokując silnik, tak że samochód szarpnął raz i drugi, aż odrzuciło tych śmiejących się napastników od maski, a potem ruszył raptownie i musieli uskoczyć z drogi. Dwieście jardów dalej zatrzymała się jednak i obejrzała. Trzej mężczyźni biegli ku niej. Za nimi inni po-

55

pychali pana Ćaudhuriego między sobą. Któryś walnął go kijem w plecy. Krzyknęła:

— Nie! Nie! Panie Ćaudhuri !

Otworzyła drzwiczki, wysiadła. Ci trzej biegli z wyciągniętymi rękami, śmiejąc się głośno.

— Ach, mem-sahib, mem-sahib — zawołali i już wolniej podeszli do niej.

Przypomniała sobie coś, sięgnęła do samochodu po korbę. Stała na szosie i zaczęła groźnie tą korbą wywijać. Śmieli się jednak coraz głośniejszy, przybierali szydercze pozy, niby to się bronili, niby to ją zaczepiali, szczyrzyli zęby, podskakiwali jak małpy. Pan Ćaudhuri osłaniał głowę rękami. Kije grzmociły go, bach, bach, bach. Po chwili już opadł na klęczki, zniknął jej z oczu, zasłonięty przez swoich oprawców. Wrzasnęła:

— Diabły! Diabły!

Wciąż wymachując korbą przeszła parę kroków ku tym trzem, którzy z niej szydzili. Cofnęli się, niby to zaniepokojeni. Najmłodszy z nich sięgnął w swoje dhoti, jak gdyby chciał się obnażyć, i wykrzykiwał coś do niej. Ale raptownie odwrócił się i wszyscy trzej pobiegli do wołającego ich prowodyra. Inni stali nad panem Ćaudhurim, który leżał nieruchomo na szosie. Dwaj przeszukiwali jego kieszenie. Prowodyr wskazał samochód. Kilku z nich odeszło od pana Ćaudhuriego, ruszyło w jej kierunku. Instynktownie cofnęła się przed nimi, trwając jednak na pozycji przy samochodzie. Odepchnęli ją brutalnie, gniewnie, jak gdyby wstyd im było, że stchórzyli, nie usłuchali swego przywódcy i nie rzucili się na nią. Pochyleni, chwycili Forda za błotniki i stopnie i zaczęli nim huśtać, aż go przewrócili. Jeden z nich, zadowolony z takiego dowodu swojej siły, nabrał odwagi. Odszedł od samochodu, przyskoczył do niej. Zamierzył się. Walnął ją parokrotnie po twarzy, a potem pchnął prosto w rów.

Upadając, panna Crane straciła przytomność. Gdy się ocknęła, z wysiłkiem, na czworakach wygramoliła się na szosę. Samochód płonął, banda prawie już zniknęła w dali.

Panna Crane pokuśtykała do leżącego nieruchomo pana Ćaudhuriego. Ukłękła przy nim.

— Panie Ćaudhuri — powiedziała. Nie zdobyła się na to, by go dotknąć, bo miał twarz we krwi, otwarte oczy i okropną ranę z boku głowy. — Nie — powiedziała — nie, to nieprawda. O Boże, Boże, wybacz mi. Boże, wybacz nam wszystkim. — Zakryła twarz dłońmi i wybuchnęła płaczem jak nigdy, od wielu lat. Płakała długo.

Potem rękawem bluzki otarła oczy raz, drugi, trzeci. Poczula pierwsze ciężkie krople deszczu. Pelerynę zostawiła w samochodzie. Powiedziała, pełna udręki:

— Nie mam nic, żeby go zakryć, nic, nic.

Wstała i mozolnie zaciągnęła pana Ćaudhuriego na pobocze szosy.

— Nic nie poradzę — powiedziała jakby do niego, gdy tak leżał zbuczony krwią, bezwładny, już nie człowiek, tam gdzie go dowlokła. — Nic nie mogę zrobić, nic, nic. — W strugach deszczu odwróciła się i długimi niepewnymi krokami

56

przeszła obok płonącego samochodu, kierując się w stronę Majapur. Powtarzała: — Nic nie mogę zrobić. Nic. Nic.

W odległości stu jardów od samochodu przystanąła.

— Coś jednak mogę zrobić — powiedziała.

Wróciła do zmarłego pana Ćaudhuriego, usiadła przy nim w błocie na poboczu szosy i ujęła go za rękę.

— Tyle czasu potrzebowałam na to — powiedziała, myśląc nie tylko o panu Ćaudhuri m. — Szkoda, że to przyszło za późno...

Pan Poulson powiedział potem, że rozruchy w Majapurze zaczęły się dla niego z chwilą, gdy zobaczył starą pannę Crane siedzącą przy szosie w ulewnym deszczu i trzymającą za rękę martwego Hindusa. Tamtego dnia — dnia, w którym aresztowano członków okręgowej organizacji partyjnej Kongresu — w samym mieście Majapur panował spokój. Powstanie zaczynało się powoli. Można było nawet przypuszczać, że wrzenie ogarnie tylko

Dibrapur i okolice. Pan Poulson wyjechał samochodem z Majapuru po południu w towarzystwie jednego z inspektorów pana Merricka i z ciężarówką pełną policji. Chciał sprawdzić pogłoski o kłopotach w pododdziałach, z którymi nie mógł porozumieć się telefonicznie. Chociaż w wiosce Candgarh zastał inspektora policji z Tanpuru, trzech monterów i miejscowego policjanta uwięzionych na posterunku, to jednak dopiero gdy pojechał dalej i zobaczył najpierw spalony samochód panny Crane, a potem samą pannę Crane, pojął, że te zamieszki są rzeczywiście sprawą poważną.

Zamieszki, które panu Poulsonowi i kilku innym panom z początku nie wydawały się poważne, trwały, nie dając się stłumić, aż do końca sierpnia. W Majapurze każdy później opowiadał swoją wersję, ale we wszystkich tych wersjach pewne rzeczy się powtarzały. Zwłaszcza opowieść o pannie Crane, jakkolwiek szybko przeważała nad nią opowieść o zgwałceniu młodej dziewczyny, Angielki, w Ogrodzie Bibighar 9 sierpnia wieczorem, akurat wtedy, gdy panna Crane leżała już w malignie, chora na zapalenie płuc, w majaptirskim szpitalu ogólnym. Później jednak panna Crane znów stała się na krótki czas głównym przedmiotem uwagi, ponieważ nie mogła rozpoznać żadnego z aresztowanych tamtego dnia w Tanpuru. Zastanawiano się, czy ona rzeczywiście nie wie, jak wyglądali ci, którzy napadli na nią i zamordowali Hindusa, Čaudhurię, czy może jest taka uparta, zbyt gorliwa w swojej lojalności za wszelką cenę wobec tych parszywych czarnych.

Ale sprawa Ogrodu Bibighar nie straciła wagi. Wydawała się Europejczykom kluczem do sytuacji, w jakiej się znaleźli, najdobitniejszą przestrogą, że niebezpieczeństwo wyraźnie grozi im wszystkim, zwłaszcza kobietom. Po pewnym czasie wcale już nie było jasne, czy rozruchy przybrały na sile wskutek kroków podjętych przez władze w związku z wydarzeniem w Ogrodzie Bibighar, czy też tak samo by się rozpętały niezależnie od tego. Zdania były podzielone. Gdyby nie ów gwałt w Ogrodzie Bibighar i kroki odwetowe, rozruchy dałoby się stłumić

57

od razu albo w ogóle by do nich nie doszło — utrzymywali niektórzy i wierzyli, że Hindusi aresztowani na rozkaz komisarza okręgowego rankiem 9 sierpnia to właśnie ci, których aresztować należało, i że dopiero kolejna akcja władz wywołała zamieszki poważniejsze niż ekscesy, jakim położyły kres owe aresztowania. Inni natomiast uważając, że do rozruchów doszłoby tak czy owak i że sprawa Ogrodu Bibighar była tylko przejawem ogólnej perfidii, twierdzili, że członkowie podstawowej organizacji Kongresu, których pan White kazał aresztować nie mając wyboru, to po prostu marionetki, a prawdziwi przewodnicy zamierzonego p:~*ewrc;i ukry'i się * Jakich miasteczkach jak Tanpur i Dibrapur. Wówczas jednak nie można było w żaden sposób odróżnić przyczyny od skutku, chociaż ciąg wydarzeń, w jakie obfitowały następne trzy tygodnie, wymagał takiego odróżnienia, jeśli w pełni chciało się je zrozumieć.

Panna Crane wróciła ze szpitala do swego bungalowu na początku września, w pierwszym tygodniu spokoju, i jeszcze dwa tygodnie musiały minąć, zanim wzięła się na nowo w karby. Toteż dopiero w sześć czy siedem tygodni po wybuchu zamieszek w Majapurze, czyli w trzy czy cztery tygodnie po ich stłumieniu, znów jak dawniej w środę po południu otworzyła swój dom dla żołnierzy.

Wiedziała, że ci chłopcy pod pewnymi względami już. nie będą tacy, jacy byli przedtem. Ani w szpitalu, ani teraz w domu nie chciała słuchać o zamieszkach, a przecież słyszała, że na pomoc władzom cywilnym wezwano wojsko, ponieważ pan White w pewnej chwili stracił głowę i przekazał kontrolę nad Majapurem dowódcy miejscowej brygady. Słyszała też, jak Hindusi mówili, że w ciągu tych paru dni władzy brygadiera Reida działo się prawie tak źle, jak za władzy generała Dyera w Amritsarze w roku 1919. Wprawdzie nie było strzelania do nieuzbrojonych cywilów na chybił trafił, ale też użyto broni, w wyniku czego poniosło śmierć wiele osób, i ponadto — jeśli to prawda — zmuszano sześciu młodych Hindusów, podejrzanych czy też winnych gwałtu w Ogrodzie Bibighar, do jedzenia wołowiny¹. Wprawdzie nie było publicznej chłosty, jak za czasów generała Dyera, kiedy to podejrzanych o napasć na Angielkę ustawiono w trójkąt na ulicy i poddano takiej karze, ale krążyły pogłoski, że tych chłopców, przemocą 'nakarmionych wołowiną, również wychłostano i że już zniknęli w masie bezimiennych uwięzionych po procesach czy też. zgoła bez procesu.

W mieście krajowców — powtarzał pannic Crane uparcie pan Francis Nara-jan — policja konna przeprowadziła wiele akcji, wojsko nieraz strzelało, żeby rozprędzić tłum, ukarać rabusiów i podpalaczy. W całym okręgu, tak jak w wielu innych prowincjach Indii, połączenia kolejowe i telegraficzne były przerwane, poczta nie mogła funkcjonować, wszędzie dochodziło do rozboju, pładrowania magazynów, sklepów, domów, a nawet spichrzów rządowych, z wielką szkodą dla ludności — ubolewał pan Narajan — jeżeli w przyszłym roku plony zawiodą. Motloch napadał na posterunki policji, mordował policjantów. W jednej z gmin

¹ Niejedzenie wołowiny jest w Indiach znakiem pozwalającym oddzielić kasty wyższe od niedotykalnych i — generalnie — hinduistów od muzułmanów. Spożycie wołowiny jest w tej sytuacji równoznaczne z utratą kasty i niemożnością uczestnictwa w obrzędach własnej religii.

58

okręgu sędzieja Hindus podobno wciągnął na budynek sądu flagę Kongresu, zwolnił aresztantów, ukarał grzywną ludzi o poglądach liberalnych i umiarkowanych, bezprawnie pobrał i ukrył pieniądze, które powinny być wpłacone do kasy państwowej. Panna Crane podejrzewała, że ta opowieść jest apokryficzna, były jednak wyraźne dowody na to, że jeden z podwładnych Hindusów pana White'a popadł w niełaskę, chociaż gdy przywrócono porządek, był na godzinnej rozmowie u komisarza okręgowego i płakał.

Istotnie, panna Crane, stara przecież i doświadczona, nie mogła wierzyć we wszystko, co jej podawano jako niezbitą prawdę, ale zdawała sobie sprawę, że prości żołnierze, świeżo przybyli z Anglii, nagle odkomenderowani do pomocy władzom cywilnym w zdławieniu buntu w imperium kolonialnym, wiedząc o tym buncie niewiele, muszą o nim myśleć z oburzeniem (i wspominać przy tym ojczyznę, alarmy przeciwlotnicze, kolegów poległych na równinie pod Mandalaj). Teraz więc, kiedy to się skończyło, trudno im będzie zrozumieć, co zaszło i z jakiej przyczyny, i właściwie dlaczego Anglicy i Hindusi najwidoczniej już załagodili swój konflikt i znów są w zgodzie, z konieczności zjednoczeni.

Określenie „z konieczności” — panna Crane to także wiedziała — zawiera w sobie myśl będącą kluczem do sytuacji, myśl, że to dziwne odwieczne zjednoczenie ma dwie strony medalu: zarówno nienawiść, jak miłość. Ale panna Crane była zbyt zmęczona, zbyt często teraz odczuwała, jak przygniata ją ten klimat, ta ziemia, widok hordy brązowych twarzy i gromadki męskich białych — po prostu nie mogła zużywać resztek energii, jakie jej zostały po zapaleniu płuc, na rozwiązywanie problemów natury moralnej i dialektycznej. Żałowała jednak, że nie ma już tej energii co w czasach, których raptowny kres nastąpił na szosie za Tanpurem. Że w czasach, gdy miała jeszcze dość energii, nie wzięła jednego z tych żołnierzy na bok — myślała o Clancym — i nie powiedziała:

— Od lat, od osiemnastego wieku, przez cały dziewiętnasty wiek i dzisiaj, w dwudziestym, mówimy tam, w kraju, w Anglii, w Whitehall, że kiedyś nasze panowanie w Indiach się skończy. Bezkrwawo, spokojnie... jakimś doskonałym gestem, tak myśmy to sobie wmówili... na zasadzie równości, przyjaźni, miłości. Od lat, prawie od stu lat, lekturą Hindusów są dzieła naszych angielskich radykałów... naszych angielskich liberałów. To jest, rozumiesz, ziarno. Ziarno zasiane w wyobraźni angielskiej i wyobraźni indyjskiej. Z tego ziarna miało wykiełkować coś zdrowego i poważnego, pełnego godności, rozważi, dobroci, spokoju i mądrości. Bo te wszystkie cechy są przecież w nas: w tobie i we mnie, i w starym Josephie, i w panu Narajanie, i w panu White, i przypuszczalnie w generale Reidzie. Były także w panu Čaudhuri m. Od lat obiecujemy i od lat wynajdujemy sposoby, żeby odwiec dotrzymanie naszej obietnicy, aż to zaczyna się wydawać jakimś złowieszczym wykretem nawet mnie, a cóż dopiero Hindusom, którzy odczuwają, myślą i wiedzą to samo co ja. Tragedia polega na tym, że istnieje między nami ta drobna różnica koloru skóry, różnica, która przeszkadza nam widzieć się nawzajem przez nasze obustronne uchybienia, zająrzeć sobie

59

w serca. Bo gdybyśmy mogli zająrzeć im w serca, wtedy byśmy wiedzieli. Wiedzielibyśmy, że obietnica jest obietnicą i musi być dotrzymana.

Ale panna Crane nigdy nie powiedziała tego nikomu, nawet Clancy'emu. A nadszedł dzień, gdy Clancy zjawił się znowu na czele kolegów. Słyszeli, że ta stara panna Crane miała okropne przejścia, że wykazała odwagę i o mało nie umarła, więc bardzo chcieli ją rozerwać, wprawić w dobry nastrój tak, by zapomniiała o troskach, poczuła się dobrze wśród przyjaciół, dzielnych chłopaków, też mających już coś niecoś za sobą, wdzięcznych jej za te skromne przyjęcia w atmosferze, która trochę im przypomina rodzinny dom i tym samym daje poczucie bezpieczeństwa.

Przez cały jednak czas podwieczorku żaden z nich, nawet Clancy, nie spojrzął na starego Josepha. Gdy odeszli, pomagała Josephowi sprzątać, ale nie znalazła słów, balsamu na ranę zadaną dumie i ambicji tego Hindusa. Ostatecznie zostawiła Josepha przy sprzątaniu, weszła do sypialni, zdjęła ze ściany obraz przedstawiający królową i zamknęła go na klucz w komodzie, żeby tam czekał, dopóki nie będzie okazji, by zawiesić go na ścianie z powrotem, co zresztą nie wydawało się prawdopodobne.

Część druga DOM MACGREGORA

Dulija le ao
re niorc babul kc kaharwa.
Cali hiin sadžan ba kc des.
(O słudzy ojca mojego.
palankin piwnicścic mi.
Wyruszam do krainy ;
małżonka.) (Raga poranna).

Następnie jest obraz ogrodu, nie Ogrodu Bibighar, tylko ogrodu przy Domu MacGregora. Ostry blask słońca, mroczne, złożone cienie. Paleta zieleni nadzwyczajna: jaskrawy szmaragd, najbledsza zieleń cytrynowa, tony pośrednie, zieleń ochronna. Roślinność różnorodna, wieloraka, liście tak dziwnie plastyczne, że na ich widok czuje się w palcach mrowienie, liście młodziutkie o najdelikatniejszej tkance, liście wspaniale rozwinięte, liście kruche od starości, wszystko naraz w tej samej porze roku, ponieważ tutaj nie ma jesieni. W cieniach rozsnute są welony koloru indygo. szafirowe sny roślin, które usnęły, i wzbija się wcale nie przykry dla powonienia zapach nieuniknionego rozkładu tam, gdzie leż;) warstwy opadłych owoców z poprzednich lat, rozmiękły kompost, pokarm dla żywych korzeni pod tym ogrodem, grubych, rozłożystych, nieruchomych a wciąż głodnych.

Z domu dolatuje śpiew dziewczyny. Dziewczyna śpiewa ragę, pieśń panny młodej żegnającej się z rodzicami przed daleką podróż;) do nowego domu. S;| raga poranne i raga wieczorne, la jest do śpiewania rankiem. Rosa jeszcze nie zniknęła z ziemi. W ogrodzie jeszcze chłód. Czarna o niebieskawym połysku wrona z czerwono-żółtym dziobem sfruwa z dachu, żeby poszukać śniadania. Na trawniku rosa skrzy się w blasku słońca jak rozsypane kryształki.

Trawnik otaczaj;) krzewy bougainvillii. białych i czerwonych. Niektóre z tych krzewów to hybrydy, maj;) gałęzie upstrzone kwiatami w obu tych barwach. Gdzie indziej kwiln;) jaśminy i pasowe kanny. Dom stoi

pośrodku ogrodu. Zwartym batalionem zasłaniaj;) go przed światem drzewa pipal, gul mohar, tamarynda, kazuaryna, banijan.

Postawił tę siedzibę pod koniec XVIII wieku pewien książę, gdy zapalał namiętności;) do śpiewaczki uprawiającej muzykę klasyczną. Zbudowanie domu dla kobiety to kosztowny sposób ubiegania się o jej względy. Podobno książę odwiedzał swą wybraną co dzień rano i wieczorem, a ona 'nu śpiewała — może te same pieśni, które śpiewa teraz młoda Parwali. W końcu, zakochany już tylko w jej głosie, zadowalał się przysłuchiowaniem lekcjom śpiewu, jakich udzielała przyjętym za jego pozwoleniem uczniom. Szeherazada opowiadała baśnie, żeby odwlec godzinę swojego stracenia. Śpiewaczka śpiewała, żeby

63

ustrzec swą cnotę. Potem umarła i książę ją opłakiwał. Gdy sam umarł, ludzie mówili, że to z rozpacz. Dom stał opuszczony, zamknięty. Tak jak całe księstwo, popadał w ruinę. Władzę objął syn księcia. Niemęskie uczucie ojca do śpiewaczki budziło w nim pogardę. Nikomu nie pozwolił zamieszkać w jej domu. Zbudował w pobliżu inną siedzibę, Bibighar, gdzie trzymał swoje kurtyzany. Był sybarytą. Pełnymi garściami czerpał ze skarbcza pieniądze na własne przyjemności. Poddani przymierali głodem. Wkrótce jednak nowy władca utracił tron, ponieważ pewien Anglik zmarł otruty na jego dworze. Księcia uwięziono, księstwo zaanektowano, z czego poddani bardzo się cieszyli, dopóki czas nie zatarł wspomnień dawnego zła, pozostawiając zło teraźniejszości. Zrujnowaną siedzibę śpiewaczki odbudował czerwonolicy szkocki bogacz nazwiskiem Mac-Gregor, który żył w bojaźni bożej, faworyzował muzułmanów i lękał się świątyn. Podobno to on spalił Bibighar do fundamentów, uważając ten pałacyk za symbol bezwstydnego rozpusty. Zabili go później zbuntowani sipaje.

Jego żona jest tu najpierwszym duchem. Przychodzi ubrana według mody z tamtej epoki i staje na werandzie chwytając się z boku na bok, jak gdyby kołysała swoje martwe niemowlę. A niemowlęcia nie ma. Na rozdartym staniku ciemnieją plamy zaschniętej krwi. Nazywa się Janet MacGregor. Służący muzułmanin, niejaki Akbar Hosajn, poniósł śmierć w jej obronie.

MacGregor odbudował dom śpiewaczki na rozpadających się fundamentach ponad sto lat temu za pieniądze uzyskane — jak krążyły pogłoski — z łapówek. Dom jest kwadratowy z wykładanym płytami dziedzińcem wewnętrznym. Do okien w ścianach zewnętrznych słońce prawie nie dociera, bo ocieniają je łuki nad balkonami i werandami. Jest to budynek murowany, zdobny w sztukaterie, pomalowany kremową farbą, która zawsze żółknie. Z podjazdu wysypanego żwirem prowadzą do frontowego wejścia kamienne schodki. W łukach balkonów i werand wiszą zielone bambusowe rolety, które można spuszczać albo podnosić, w zależności od pory roku i pory dnia. Balkony zabezpiecza balustrada, werandy są bez balustrad, bo i po co zabezpieczenie na wysokości zaledwie trzech stóp od ziemi. Wzdłuż skraju werand stoją gliniane donice z krzewami, kwiatami i pnączami oplatającymi filary. Dogląda tych roślin posiwiała starowina w białej kamizelce i szortach khaki. To ogrodnik, Bhallu. Jest czarny, z opalenizną niemal fioletowy. Na zreumatyzowanych nogach ma guzy i żyłaki. Chodzi boso, chyba nie czując ostrego żwiru pod palcami stóp zrogowaciałych jak skorupa żółwia.

Właśnie tutaj na kamiennych schodkach potknęła się tamta dziewczyna, Daphne, gdy bez tchu przebiegała przez mrok z Ogrodu Bibighar. Potknęła się, upadła i na czworakach przebyła resztę drogi do schronienia i do swego miejsca w historii burzliwego okresu.

— Tak, pamiętam pannę Crane — mówi sędziwa lady Chatterjee. — lskie dawne czasy, a jednak nadal bardzo żałuję, że uważałam ją za osobę przeciętną.

64

No, ale spotykałyśmy się tylko u Connie i Robina White'ów na tych kolacjach nudnych okropnie; biedna Connie musiała je wydawać jako żona komisarza okręgowego. Zapraszała pannę Crane, żeby mieć przy stole dodatkową kobietę do wyrównania liczby pań i niezonatych panów.

Panna Crane nie była osobą w moim guście. Europejki poza paroma wyjątkami, takimi jak Connie White i Ethel Manners, nigdy nie były w moim guście. Te, które przyjeżdżają do Indii teraz, sprawiają wrażenie, że jeśli są w czyimś guście, to tylko swoich mężów, zresztą też nie zawsze. Na ogół to gęsi. W tamtych czasach jednak one wszystkie były jędzami. Myślałam kiedyś, że panna Crane też stałaby się jędzą, gdyby wyszła za mąż i musiała dbać o swoją pozycję. A tak brakowało jej obycia i tylko wydawała się jędzą. Mówiła mało, ale chyba dużo myślała. Otóż myśleć coś tam sobie po cichu wypada tylko mężczyźnie, natomiast w przypadku kobiety to jest wręcz niesmaczne. Niewiele kobiet posiada prawdziwy autorytet, więc moim zdaniem każda z nas, pozostałych, powinna mówić, co myśli. Innego sposobu nie ma, żeby świat mógł nas osądzać, jeżeli nie zaliczamy się do tej garstki szczęśliwych, którym wolno wyrażać siebie nie słowem, tylko uczynkiem. Na ogół możemy wyrażać siebie wyłącznie swoim językiem. To znaczy, w towarzystwie, w którym są również mężczyźni. Pogawędki z samymi kobietami nigdy mnie zbytnio nie pasjonowały. Ich wypowiedzi po kolacji, od chwili kiedy wychodzimy z jadalni, aż do chwili kiedy mężczyźni przyłączają się do nas, są zwykle czerce, tak że właściwie można by się w tym czasie zdrzemnąć czy też zadumać o czymś ponurym i chłodnym, o śniegu, na przykład.

Więc odfajkowałam pannę Crane jako miernotę, bo chociaż przy kawie gawędziła z damami zupełnie miło i inteligentnie, przy kolacji przeważnie siedziała jak trusia. Och, nie jak trusia, *tout court*! Wcale nie wydawała mi się nieśmiała, chociaż prawdopodobnie bała się mnie. Właśnie to jej milczenie, dosyć złowieszcze, nasuwało myśl o jędzy, ponieważ nie ma nic bardziej złowieszczego niż milczenie jędzy europejskiej. Tylko że milczeniu

prawdziwej jędry zawsze towarzyszą chytre zerknięcia albo wulgarne uśmieszki wymieniane z innymi jędzami. W pannie Crane takiej jędzowatości nie było. A potem przy kawie, to znaczy wtedy, gdy prawdziwe jędry wysuwają szpony, ona raptem okazywała się zdumiewająco zdolna do gęgania dowcipnie o niczym. To świadczyło, że jest gęsią, i dlatego uznałam ją za jedną z tych mętnych liberałek, biedaczkę, która boryka się z przeciwnościami losu, nawet z niesprawiedliwością, czy też po prostu ze zwyczajnym pechem, musi więc się ucześcić czegoś kojącego dla duszy i jednocześnie mobilizującego, czegoś takiego jak to jej niemądre pedałowanie na rowerze pod wiatr i w deszczu, żeby sprawdzić, czy wszystkie powierzone jej dzieci uczą się bezinteresowności i uspołecznienia, czy myją uszy i czy w szkole dostają względnie dobre posiłki.

Typową głupotę przejawiała tym (jeżeli to prawda), że zdjęła ze ściany portret Gandhiego, kiedy doszła do wniosku, że staruszek jest niegrzeczny, chociaż on, oczywiście, był tylko przebiegły. Anglicy zawsze szanują świętych, bardzo

65

jednak nie lubią przejawów ich bystrości. Ci Anglicy, którzy uważali Mahatmę za świętego, po prostu uwierzyli tysiącom, milionom Hindusów twierdzących, że on jest święty. No, ale świętość oznacza dla Hindusa coś zupełnie innego niż dla Anglika. Anglik automatycznie przyjmuje, że święty to ktoś, kto daje się umęczyć, kto rozumuje po swojemu, niezgodnie z logiką surowo praktycznego świata, ktoś, kto w istocie jest świętym *per se*. Anglik wymaga, żeby jego święci, niezależnie od doznawanych czasami pokus (do zwalczania których zaleca im się włosiennice), byli nieziemscy, stali już jedną nogą w niebiosach. Oczywiście niebiosy oznaczają dla Anglika przeciwieństwo ziemi. Bo Anglik, ze swą zwykłą pasją do schludności, do starannego przydzielania ludziom odpowiednich miejsc, oddziela materię od ducha. Natomiast dla Hindusa takie rozróżnienie nie istnieje. Dla niego świat materialny to złuda, a niebiosy to zatarcie własnej osobowości, bezpamiętliwość. Ja co prawda zawsze uważałam, że świat materialny daleki jest od złudy, i nigdy nie nęciła mnie myśl o bezrefleksyjnym pogrążeniu się w monotonnym zbiorowym błogostanie, czyli w tym, czym można by określić hinduistyczne pojęcie Boga. Fakt jednak, że w tej trudnej wędrówce przez złudę w bezpamiętliwość wszystko się liczy jako praktyczne, skoro wszystko jest spekulatywne.

No, ale wróćmy do Gandhiego. Hinduści nazywali go świętym, bo od trzydziestu lat był najbardziej czynnym hinduistą na widowni dziejowej. Europejczykom może się to wydawać paradoksalne, ale ostatecznie, gdy już dane nam są nasze ciała, przebycie drogi ze złudy w bezpamiętliwość wymaga ogromnej wytrwałości, zarówno fizycznej, jak duchowej i — jeżeli się pragnie skrócić tę wędrówkę bliźnim — znakomitej umiejętności przewodzenia połączonej z hipnotyczną, przekonywającą elokwencją. Natomiast według religijnych *mores* Zachodu, no... żeby ze świata spraw praktycznych dostać się do niepraktycznych niebios, wystarczy dopełnić aktu, do którego wszyscy jesteśmy zdolni, czyli umrzeć, chociaż po tym wydarzeniu z pewnością następuje rozczarowanie. Jestem niewierząca, a przecież muszę gardzić lenistwem religii zachodnich i nie mogę sobie wybaczyć tego, że nie jestem bodaj złą hinduistką. Ale ja przynajmniej nie popełniam takich omyłek, jakie popełniła panna Crane. Jeżeli Gandhi uważał, że to, czego dokonuje, jest złudą, publicznie podejmowanymi krokami w kierunku osobistego wtopienia się w absolut, to rzeczywiście muszę, będąc kobietą praktyczną, podziwiać jego przebiegłość, wybór akurat odpowiedniej chwili, żeby wpuścić tego kota między gołębie.

Ale dla panny Crane, biedaczki, gołębie były bezbronnym ptactwem, a koty łagodnymi zwierzętami, przy czym zarówno gołębiom, jak kotom należała się w jej przekonaniu nauczka. Usłyszałam o niej mnóstwo, kiedy ta cała straszna historia się skończyła. W istocie starałam się naprawić to, że nie poznałam się na pannie Crane, ale wtedy już trudno było się do niej zbliżyć, a nawet gdybym się zbliżyła, czasu i tak pozostało niewiele. Dostyc późno zaprosiłam ją tutaj, ale nie przyszła. Więc sama odwiedziłam ją parę razy. Wciąż jeszcze jej wady były dla mnie bardziej oczywiste niż jej zalety. Wciąż jeszcze wydawało mi się,

66

że w jej pojęciu gołębie trzeba nauczyć, jakie dobrodziejstwa płyną z ustępstw, a koty — jakie korzyści może przynieść powściągliwość. Owe dobrodziejstwa i korzyści były duchowe, a więc nadal w jej pojęciu dające się oddzielić od świata materii — co chyba każdy, kto tak bardzo jak ja interesuje się życiem *wokoło*, uzna za przekreślenie natury.

Nie jestem hinduistką, ale jestem Hinduską. Nie lubię przemocy, ale myślę, że uniknąć jej nie sposób. Przemoc jest czymś zdecydowanym. Nie cierpię negacji. Siedzę tutaj w Domu MacGregora, zdecydowanie stara, raz po raz wyskakuję to tu, to tam, wszędzie, ilekroć rząd, skąpiradło, daje mi przydział dewiz, i zgoła nie trapię się tym, że w naszych nowych Indiach chyba jestem anachronizmem, osobą, która zbyt dobrze wszystko pamięta, żeby teraz znajdować chętnych słuchaczy i błyszczeć. Można by powiedzieć, że tak samo rzecz się ma z panem Nehru. Zawsze czułam do niego sympatię, bo on jednak nie został świętym. I nadal czuję do niego sympatię, bo jeśli ludzie obecnie mówią o nim z mniejszym lub większym ożywieniem, to tylko wtedy, gdy się zastanawiają, kto zajmie jego miejsce. Zapewne czekamy jeszcze na nowego Mahatmę, skoro poprzedni nas rozczarował, zdumiał tym, że stał się świętym i męczennikiem w sensie europejskim, kiedy ten głupiec go zastrzelił¹. Nie wątpię, że jest w tym nauczka dla nas wszystkich. Gdyby stary Gandhi żył teraz, chyba walnąłby nas po głowach swoim kołowrotkiem i wykazał, że jeśli się nie opamiętamy, zaczniemy ostatecznie wierzyć w takich świętych jak święci Anglików i w ten sposób stracimy szansę na to, by kiedykolwiek mieć znów świętego w naszym życiu publicznym. Według mnie ustęp naszej konstytucji mówiący o tym, że mamy być państwem świeckim, jest zatrzaskiem wieka nad naszą indyjskością, legalizacją naszego długiego życia w grzechu z Anglikami.

Uzyskanie tak zwanej niepodległości było jak ożenek pod wycelowaną lufą śrutówki. Jedyni Hindusi, którzy nie zdają sobie sprawy, że jesteśmy już zeuropeizowani, to nasi chłopi. Ale i oni chyba kiedyś się w tym połapią i też będą chcieli się zeuropeizować jak właściwie wszyscy na Wschodzie i Dalekim Wschodzie.

Tak mówi ta sędziwa dama radżpucka o włosach krótko obciętych, falujących, siwych, z przydanym odcieniem błękitnego pyłu z emaliowanego nieba Radżputany, spowita w ciemne jedwabne sari, którego połyskliwe nitki iskrzą się odbłaskiem światła, wyprostowana w fotelu, może tak jak wtedy, gdy siedziała na krawędzi kanapy i przerażała Edwinę Crane, uświadamiając jej, że wiara w przepis na życie, złożony z kilku prostych zasad miłosierdzia, i zgodna z tymi zasadami praca to jeszcze za mało.

¹ Gandhiego zastrzeli! 30 stycznia 1948 r. Winajak (iodsc. bramin z Maharasztry, redaktor wydawanego w Punie czasopisma wielkohinduskiej organizacji szowinistycznej IHindu Mahasabha).

— **Ale** wracając do panny Crane — ciągnie lady Chatterjee — skoro ona rzeczywiście pana interesuje... pozwoli pan, że wyjaśnię, dlaczego w końcu zmieniłam zdanie o niej. Panna Crane nie była miernotą. Okazała odwagę, a to najtrudniej ze wszystkiego przychodzi nam, ludziom. To jest coś, co ja szanuję najbardziej. Podziwiam zwłaszcza odwagę fizyczną. Bo w tej całej gadaninie o odwadze cywilnej zwykle podejrzewam obłudę. Odwaga cywilna wydaje mi się jakby zamknięciem komuś drzwi przed nosem. Natomiast odwaga fizyczna jest jak zaproszenie: proszę, drzwi otwarte. To mi się podoba. A zresztą, wie pan, odwaga fizyczna ma przecież także aspekt moralny. Mówimy o odwadze cywilnej, jakby była czymś szlachetniejszym, ale zwykle odwaga fizyczna właśnie z niej czerpie pożywkę i nie da się wyrazić bez niej. Może to samo można by powiedzieć na odwrót. Ale też może te dwa pojęcia odwagi są pojęciami zachodnimi i rozdzielacie je waszym zwyczajem, tak jak twierdzicie, że czarne to czarne, białe to białe, niesłuszność jest przeciwieństwem słuszności.

We mnie wszystko się poplątało. W moich żyłach płynie krew książąt radż-puckich, skórę mam ciemną, cechuje mnie orientalna ciekawość, a jednak, rzecz dziwna, potrafię się rozgadać tylko wtedy, gdy mówię po angielsku. Jak na swój wiek, palę za dużo papierosów i piję za dużo czarnorynkowej whisky. Uwielbiam te potworne gotyki w Bombaju i świątynię nad morzem w Mahabalipuram. Uważam, że Corbusier stworzył interesujące dzieło w Candigarhu, a widok Tadź Mahalu zawsze sprawia, że coś idiotycznie ściska mnie w gardle. Czy widział pan tak zwany pływający pałac w Udajpurze? A tę perspektywę, jaka się rozciąga z Arc du Carrousel przez Place de la Concorde na Pola Elizejskie wieczorem, kiedy nie można przejechać, bo na Etoile są korki? Albo śródmieście Londynu, wyludnione w słoneczny poranek niedzielny w październiku? Archipelag Malajski oglądany z okna samolotu? Włoski but z okna Comet na wysokości czterdziestu tysięcy stóp? Nowy Jork nocą z Beekman Tower? Pierwsze coraz bliższe zarysy Manhattanu późno po południu z pokładu transatlantyku na rzece Hudson? Staruszkę, która czerpie wodę ze studni w wiosce w Andhra Pradeszu? Moją cioteczną wnuczkę, Parwati, kiedy wybija rytm na tanpurze i śpiewa poranną albo wieczorną ragę? No, oczywiście ją pan widział. Ale czy pan już pojął, kim ona jest?

To nierozdzielne, prawda?... te widoki i osoby, które wymieniłam. Chyba że rozdzieli je na swój użytek ktoś, kto chce określić ich znaczenie. Ojej! nie lepsza jestem niż pan, niż każdy z nas. Nawet kiedy w tym, co widzę, nie doszukuję się niczego, zawsze jakieś znaczenie samo mi się nasuwa. Nie sądzi pan, że to jest choroba?

Proszę dopić tę whisky i wejdziemy już do domu na kolację.

W Domu MacGregora jest taki jeden pokój, gdzie sir Nello Chatterjee gromadził pamiątki, które nałogowo zbierał przez całe życie, porywając jak sroka

wszystko, cokolwiek zauważył i uznał za rzecz osobliwą. Wyraźnie kochał się w zegarach z kukułkami i tandetnych, jaskrawych, przeważnie pomarańczowych wyrobach skórzanych z rodzaju pamiątek, którymi handluje przekupnie w łódkach pływających po Kanale Sueskim od strony Morza Czerwonego. Może ta skórzana galanteria była uwieńczeniem chłopięcej radości, jaką mu dawało nie tyle posiadanie portfeli, toreb i pufów, ile szperanie w koszu wciągającym na linie z rozhuśtanego kramu — wątlej łodzi z brezentu i wikliny — na surową, twardą jak opoka, pancerną wyżynę pokładu parowca transoceanicznego. Rzadko opierał się pokusie fundowania sobie skarbów windowanych w ten sposób, albo może jeszcze bardziej nieodpartą pokusę stanowiło dla niego spuszczenie kosza o wadze już piórkowej, obciążonego tylko monetami czy banknotami w odpowiedzi na lepiej czy gorzej zrozumianą gestykulację przekupnia w długiej koszuli i lezie, stojącego okrakiem na łódce poniżej.

Pufy i portfele są wszędzie w tym pokoju w Domu MacGregora. Dziwnie martwe i suche jak wodorosty wyciągnięte ze swego żywiołu, jednak przemawiają do powonienia doświadczonego podróżnika, przypominają mu zatechły trochę zapach morza i nafty wokół dużych statków, tak mocny, ledwie rzucą kotwicę. Wydaje się, że Indie też stoją na kotwicy. Zegary z kukułkami milczą, ozdobne altanki ze sztucznych gałęzi pokrywają się

kurzem, chroniąc za swoim listowiem dwadzieścia albo i więcej ptaków, bardzo chyba rozhisteryzowanych wskutek długoletniego uwięzienia i ciągłej nadziei, że lada chwila będą mogły wylecieć, bo ktoś przecież te zegary nakręci. Za czasów sir Nella raczono gości kako-fonicznym popisem tych wszystkich ptaków naraz, ożywionych raptownie jak za pociśnięciem sprężyny. Lady Chatterjee pamięta, że przypominało jej to urojenia, na jakie cierpiała w Paryżu po zwiedzeniu kostnicy z pewnym studentem medycyny, który tam się do niej zalecał. W końcu zakazała nakręcania tych zegarów i kukułki trwały w swojej beużyteczności jak zabalsamowane, nawet gdy sir Nello jeszcze żył. Trwają tak też i dzisiaj. Gościowi daje się do' zrozumienia, że nie należy prosić o ich popis, natomiast zachęca się go, żeby podziwiał inne curiosa — wypchanego tygrysa czyhającego w koszmarnym bezruchu na drewnianym cokole, wykonaną z kości słoniowej oszkloną miniaturkę Pomnika Alberta, z której melodią „Home, Sweet Home” dobywają się dźwięki mechanicznych cymbałów, muszle i kamienie z wybrzeża Connecticut, brązową miniaturkę Wieży Eiffla i medaliki z kiosków w katedrze Notre Dame, zimne jak komercyjna pobożność, którą przywodzą na myśl. Są też lampiony zabrane z restauracji w Singapurze, co sir Nello sownie tam zrekomensował nie tylko swym zachłannym podziwem, ale i zdrowym apetytem. Są nędzne, w opłakanym stanie po przeprawie przez Himalaje, buty jakiegoś mongolskiego kupca, którego sir Nello spotkał w Dardżilingu i jak zwykle żądny zdobyczy, wciągnął w pertraktacje. Nie ma natomiast broni ani iluminowanych rękopisów mogolskich, ani antycznej biżuterii, nie ma olbrzymich upręży słoni ze stajen księcia lubiącego pochlebstwa i potrzebującego pieniędzy. Nie ma nic wartościowego, tyle że pamiątki — po jednym dziwaku — mogą mieć wartość dla drugiego dziwaka. Jest

f9

na przykład, pod szkłem, stara fajka z korzenia wrzośca. Dawno temu nabijał ją palcami coraz bardziej drżącymi sir Henry Manners, swego czasu gubernator prowincji, w której miasto Majapur odegrało w roku 1942 szczególną historyczną rolę, ale jego wtedy już od dziesięciu lat nie było. Po przejściu na emeryturę przeniósł się na krótko do Kaszmiru, a potem na stałe o wiele dalej, bo miłował słońce i czerwone wino, a cierpiał przy tym na chorobę, nawet teraz uleczalną tylko w Paryżu, Atenach i Meksyku. O chorobie tej nie wiedział, dopóki nie przeżarła mu wnętrzości i nie zaatakowała wątroby, co lekarze nazywają przerzutem raka. Sir Nello umarł prawie tyleż lat temu na zwykły atak serca. Byli przyjaciółmi, ich żony też się przyjaźniły za ich życia i później, aż do śmierci lady Manners w roku 1948.

. Z tych cudownych czworga przyjaciół — cudownych, bo przecież, pokonali ową małą przeszkodę, jaką stanowił kolor skóry — została jedynie Lili Chatterjee, żeby snuć zarówno pogodne, jak smutne wspomnienia. Jeśli chodzi o inne postacie, to Reid odszedł i ta dziewczyna odeszła w beużyteczność, i młody Kumar zaginął (prawdopodobnie znów zmienił nazwisko). White'owie, Poulso-nowie i Ronald Merrick jakoś zniknęli lady Chatterjee z oczu, przynajmniej na razie, bezimienni w nowej epoce, w swoich nowych okolicznościach życiowych. Panna Crane popełniła samobójstwo przez samospalenie. Są to przypadkowe ofiary niebezpiecznych ambicji kolonialnych. Jednakże historię w jej burzliwym marszu naprzód zatrzymują muzea. I tak samo jak muzea — Dom MacGregora.

*

— Daphne... — powiedziała lady Chatterjee — kiedy zobaczyłam ją po raz pierwszy, sprawiła na mnie wrażenie... no. dobroduszej, ale głupawej. Była duża, dosyć niezdarna. Zawsze jej wszystko wypadło z rąk.

W Domu MacGregora jeszcze słycać słabe echo brzęku tłukącego się szkła, chociaż nikt teraz nic szklanego nie upuszcza i nie dałoby się zarzucić niezdarności służącym. Zarówno Lili Chatterjee, jak jej cioteczna wnuczka Parwati stąpają lekko, służba chodzi boso, skąd więc od czasu do czasu na schodach albo na płytach podłogi głównego hallu odgłos kroków w twardych pantoflach, jeśli nie jest tu nadal obecna panna Manners? I wydaje się, że przez szum letniej ulewy dolatuje czyjś śpiew — nie Parwati — piosenka zupełnie inna niż raga, a zbyt nowoczesna, żeby ją przypisać Janet MacGregor. Zresztą wydaje się, że Janet to cicha dziewczyna, milcząca nawet w ostatniej godzinie, gdy miała stanik zakrwawiony i widziała przed sobą śmierć. Czy krew na staniku była krwią jej dziecka, czy jej męża? Może jej samej? Historia tego nie mówi. nawet nie stawia takiego pytania. Janet MacGregor jest duchem prywatnym, niewidzialnym dopiskiem na marginesie aktu własności Domu MacGregora, który z. rąk europejskich przeszedł do rąk hinduskich, gdy kupił go na początku lat tysiąc dziewięćset trzydziestych sir Nello, żeby zaznaczyć swój powrót do tej prowincji i okręgu, gdzie się urodził. Lili Chatterjee, o piętnaście lat od niego młodsza.

70

była jego drugą żoną. Nie miał dzieci ani z pierwszą żoną, ani z nią, co może tłumaczyło te zegary z kukułką.

Nello był drugim mężem Lili. Jej pierwszy mąż, radzpucki książę, skręcił kark grając w polo. Z tym wysportowanym następcą tronu służącego tylko do siedzenia nie miała dzieci. To i bezowocność drugiego małżeństwa, z sir Nellem, tłumaczy jej postawę kobiety mądrej, niczym nie obarczonej, gotowej do wypowiedzania się i do udzielania rad. Nie tylko jej pierwszy mąż, ale i ojciec był księciem. Wykształcona w Genewie i w Paryżu, z dyplomem uniwersyteckim i znajomością świata, ostatecznie zstąpiła z wyżyny uprzywilejowania na płaszczyznę zdrowego rozsądku, wybierając sobie na drugiego męża kogoś, kto również umiał wydawać pieniądze, ale ponadto miał talent do ich zbijania. Niektórzy krewni nie chcieli — może nadal nie chcą — jej znać, odkąd popełniła ten mezalians, przenoszący ją spośród Radzputów do kasty wajsjów. Ojciec sir Nella był tylko

adwokatem.

— A dziadek Nella — mówi lady Chatterjee — i jego przodkowie to byli tylko zamożni kupcy i drobni właściciele ziemscy. Nello miał kiedyś jakąś starą posiadłość rodzinną pod Tanpurem, ale dawno ją stracił. Część ziemi chyba rozdał chłopom. Przynajmniej tak mi powiedział, mógł to jednak zmyślić, mógł wziąć ten pomysł od Tołstoja. On uwielbiał *Zmartwychwstanie*. A kiedy coś robiło na nim wrażenie, lubił to naśladować. My, Hindusi, często jesteśmy tacy. Nello był też wspaniałym mimem. Raz, na przyjęciu sparodiował gubernatora Henry'ego Mannersa. Gubernator się o tym dowiedział i przy następnym spotkaniu... bo często wzywał Nella w charakterze doradcy do spraw uprzemysłowienia prowincji... więc przy następnym spotkaniu Henry powiedział:

„No proszę, Chatterjee, pokaż nam pan, co potrafisz.” Nella zawsze kusił popisy w obecności pierwowzorów, bo chciał mieć publiczność oceniającą go według najsurowszych kryteriów. Tak to więc zaczęła się ich przyjaźń i dlatego Henry dał mu tę starą wrzosewą fajkę, którą pan widział w szklanej gablotce. Henry wtedy powiedział, że pantomima Nella będzie jeszcze lepsza z prawdziwą fajką zamiast umownej. Oczywiście nie była lepsza, ale Nello skłamał, że przyznaje Henry'emu całkowitą rację, co również jest bardzo hinduskie... raczej skłamać niż urazić. Nello nie wzięły fajki do ust. Nigdy nie palił. Ani nie pił. Istotnie w skrytości ducha był dumny ze swego samozaparciu, szukał sposobności, by je wykazywać, i prawdopodobnie dzięki temu zbił fortunę. Do religii odnosił się prawie poważnie. Zapytał mnie kiedyś:

„Lili, co byś powiedziała, gdybym został sannjasinem?”

Pan wie, co to znaczy? Sannjasin — człowiek, który rzuca wszystko, dom i rodzinę, i z kijem, z miseczką zebraczą wyrusza w świat. Odpowiedziałam mu:

„No cóż, Nello, pognałabym za tobą.” Tak to skwitowałam.

To jest czwarta faza¹, wie pan, czwarta i ostatnia, w każdym razie na ziemi.

¹ Tradycja indyjska wiąże ten podział życia na cztery okresy przede wszystkim z braminami.

n

W myśl zasad hinduizmu, jak należy przeżyć życie. W pierwszej fazie człowiek zdobywa wykształcenie, ćwiczy dyscyplinę i zachowuje celibat, w następnej zakłada rodzinę, wychowuje dzieci. W trzeciej fazie... można by chyba powiedzieć, w wieku średnim, czy też jak wy, Anglicy, mawiacie, „w sile wieku”, ale rzeczywistość to są już lata, kiedy w oczach swoich dzieci, pewnych, że na wszystko mają poglądy słuszniejsze, jest poniekąd nudziarzem... więc w trzeciej fazie czyni przygotowania do rozluźnienia więzi. Dba o należyte zaopatrzenie dzieci na przyszłość, żeni synów, wydaje córki za mąż, błogosławi wnuczeta i stara się nikomu nie przeszkadzać. Aż w końcu osiąga czwartą fazę. Wyrusza do puszczy, zanim stanie się rozdygotanym starcem, ciężarem dla rodziny, i usiłuje nadrobić stracony czas, w którym nie pozyskiwał zasług religijnych. Rzecz jasna, można się zasługiwać Bogu przez całe życie, ale najwięcej zasług pozyska się u schyłku, odrzucając roszczenia świata, usiłując zapomnieć o sobie. Anglicy na myśl o sannjasie oczywiście niemieją z przerażenia, uważają, że to straszne tak uwolnić się od obowiązków i liczyć na utrzymanie z łaski obcych ludzi. Ja zawsze Anglikom zwracam uwagę, że oni też mają swoich sannjasinów — tych wszystkich biednych staruszków, których nikt nie chce, których się wysyła do domów starców. Trzeba przyznać, że Hindusi są praktyczni. Nie ma co tu sobie głowy zawracać aspektem religijnym. Pod tym względem to jest tak jak z krową: krowa stała się święta, a wołowina nieczysta, żeby chłopci, kiedy są głodni, jej nie jedli. Gdyby chłopci swoje bydło zjadali, nie byłoby mleka, nie byłoby wołów do przewożenia żywności na targ, do obracania kamienia młyńskiego, do pomocy przy orce i nawadnianiu. No, wszyscy o tym wiedzą. Ale tak samo jest z sannjasą. Przekonując naszych starców, że odejście z domu to jest sposób pozyskania zasługi, już mamy o jedną osobę w rodzinie mniej do wyżywienia. I w trosce o to, by starcy nie konali z głodu, przekonujemy ludzi, których stać na wspomaganie ich, że sami też pozyskują zasługę, ilekroć dają wędrującemu sannjasinowi miedziaka czy miarkę ryżu. W gruncie rzeczy to jest nasza swoista ubezpieczalnia społeczna, pan rozumie. Założona o wiele dawniej niż gdziekolwiek indziej na świecie. I nikt nie płaci na to podatków.

Kobiety również mogą zostać sannjasinami. Pan myśli, że ja mam ten zamiar? Że Dom MacGregora już staje się moją pustelnią? Ostatnio, owszem, często bywam sama, jak może pan wnioskować z tego, że usta mi się przy panu nie zamykają. Ale w istocie powiedziałam to w związku z panną Crane. Mówi pan, że miała na imię Edwina. Nie wiedziałam. Dosyć trudno mi skojarzyć z nią to imię. Raczej wyglądała na Mildred. W każdym razie dla mnie ona zawsze była Crane, panną Crane. Po angielsku: żuraw. Ptak na wysokich nogach, z długą szyją, trzepoczący skrzydłami, żeby ratować się przed niebezpieczeństwem, zbyt powoli, wie pan, jak na filmie puszczone w zwolnionym tempie. W czasie jednej z wizyt, które jej złożyłam po rozruchach, kiedy ludzie mówili, że już doszła do siebie, próbowałam z niej wyciągnąć, dlaczego rzuciła pracę w misji. Nie miała w domu żadnych obrazów na ścianach. Ale były dwa jaśniejsze miejsca, ślad po obrazach, które zdjęła. O jednym słyszałam, o drugim nie. Zagałam:

72

„Widzę, że pani zaczyna się pakować.”

Zdjęła Gandhiego, to wiedziałam, ale chciałam też nłędzieć, ktfftfeylbp tym drugim. Nehru? Założyciel misji? Zbawiciel Świata?

Odpowiedziała mi tylko:

„Nie, ja nie potrzebuję się pakować.”

Więc zrozumiałam, że najwidoczniej ci misjonarze pozwolili jej mieszkać nadal w służbowym bungalowie.

Powinien pan zobaczyć ten bungalow, stoi, jak stał. Jechałam tamtędy parę dni temu do szpitala kobiecego. Jeszcze zasiadam w komitecie, jeszcze mają ze mną utrapienie. „Uwaga — mówią — jest stara Gaduła.” Zebranie odbywa się zawsze w drugi wtorek miesiąca. Zwykle jeździmy przez Most Bibighar, ale tam zmieniają teraz nawierzchnię, czeka się godzinami, więc ostatnim razem kazałam Safiemu jechać przez Most przy Bramie Mandir. Źle skęcił, głupiec, i zamiast trasą koło kościoła misji pojechaliśmy koło bungalowu panny Crane. Nie byłam na tej ulicy od lat. Roi się tam od kupców, banijów, którzy przeprowadzili się z bazaru. Na małej werandce panny Crane siedzi taki spasiony prostak, głęboko między palcami nóg i słucha tranzystora. Kozy, dwie chyba, wykańczają resztkę trawnika, pół tuzina dzieci bawi się w berka.

A ona miała taki ładny ogród. Ogrodnictwo to chyba jedyny temat, na jaki mogłyśmy się dogadać. Powiedziałam jej, że kiedy poczuje się lepiej, musi przyjść *i zobaczyć ten ogród tutaj, ale nie przyszła*.

Ten ogród przy Domu MacGregora nie zmienił się od tamtych czasów. Bhallu rok po roku hoduje takie same kwiaty na tych samych klombach. Zawsze był człowiekiem systematycznym, miłośnikiem porządku. Daphne zrywała aksamitki do wazonów w domu, ale rzeczywiście traktowała przy tym krawędzie klombów. Już w kilka dni po jej przyjeździe Bhallu przyszedł do mnie i błagał, żeby ta młoda mem-sahib nie starała się mu pomagać. Przecież to on hoduje te aksamitki, więc dlaczego komuś innemu wolno je zrywać? Powiedziałam mu, że młoda mem-sahib lubi kwiaty i chce go wyręczyć, i że chociaż wciąż się uśmiecha, jest bardzo nieszczyśliwa, utraciła wszystkich z rodziny oprócz swej ciotki Ethel, więc musimy uzbroić się w cierpliwość, ale może spójmy zainteresować ją paprociami i krzewami iglastymi, które są bardziej dekoracyjne niż aksamitki i rosną w dzikiej części ogrodu. Teraz aksamitki zrywa Parwati. Ale ona jest lekka jak piórko, stary Bhallu cieszy się z jej pomocy, bo ma więcej czasu na drzemkę, na sny o tym, że wrócił do wojska i znów zajmuje się ogrodem pułkownika Jamesa sahiba. Pojęcia nie mam, kto to był pułkownik James, w miarę jednak jak Bhallu się starzeje, ów pułkownik awansuje i na obecnym etapie stał się już ni mniej, ni więcej tylko adiutantem wicekróla. Kiedyś o pozycji rodziny hinduskiej świadczyło zatrudnianie służących, którzy przedtem pracowali u Brytyjczyków dawnego reżimu. Nadal tak jest, ale tacy służący już są starzy, do niczego, doprawdy lepiej brać ludzi z bazaru i szkolić. Bhallu miał zwyczaj mówić o Nellu chota sahib. Ci, którzy przedtem pracowali u was, zawsze tak nazywali swoich chlebodawców Hindusów w odróżnieniu od was, brytyjskich bara sahibów.

73

Bara znaczy wielki, chota znaczy muły. Ale pan pewnie wie. Nello zawsze śmiał się, że jest dla swego najstarszego ogrodnika chota sahibem, chyba jednak czuł się tym trochę dotknięty.

Załużę, że Daphne nie znała Nella, ale oczywiście kiedy miałam ją tu u siebie, on już od kilku lat nie żył. Łączyłoby ich podobne poczucie humoru. Taka cecha w wysokiej dziewczynie bardziej rzuca się w oczy, prawda? Czy może chce przez to powiedzieć, że wysokie dziewczęta są weselsze? Chociaż te nieduże też bywają wesole, no nie? Myślę o niedużych Angielkach. Hinduski przeważnie są drobne. Parwati, na przykład. Jeżeli zdarzają się wysokie, są bardzo poważne i nieraz *gwałtowne*. Zachowują się tak, jafcoby musiały się utrzymać na *jakiejś* szczególnej pozycji. Jeżeli Hinduska jest wyższa od swego męża, może to być brzemiennie w skutki. Ja byłam o cal niższa od Nella i o pięć cali niższa od Randżiego, mojego pierwszego męża.

Próbuję sobie przypomnieć, jakiego wzrostu była panna Crane. Wyższa ode mnie, oczywiście, ale jak na Angielkę niezbyt wysoka. Właściwie pamiętam tylko jej szyję, nogi i nos. Zwykle ją widywałam, kiedy siadała albo już siedziała wyprostowana na przyjęciach u Connie White. Wtedy, gdy odwiedziłam ją w brytyjskim szpitalu ogólnym i później w jej bungalowie, jeszcze nie odzyskała sił na tyle, by wstawać. W bungalowie w czasie pierwszej mojej wizyty leżała na sznurkowym łóżku na werandzie.

Do szpitala, żeby ją odwiedzić, dostałam się z trudem. Moje znajome Angielki, jeśli chorowały, leżały zwykle w klinice Greenlawns, w separatkach, chociaż nie było ich na to stać. Ilekroć chciałam tam wejść, zawsze mogłam to załatwić z. doktorem Mayhew. Nawet jeśli któraś leżała w szpitalu ogólnym, to chyba też zawsze w skrzydle separatak, i wystarczało, żebym zadzwoniła do lana Macintosh, ordynatora, i poprosiła go o uprzedzenie siostry przełożonej. Ale panna Crane leżała w skrzydle ogólnym, w pokoju kilkuosobowym, a łan dokądś wyjechał tamtego dnia, kiedy zdecydowałam się ją odwiedzić. Nigdy przedtem nie byłam w głównym hallu. Dziewczyna z recepcji, Anglohinduska, ale biała jak Europejka... najpierw powiedziała, że nie mogę zobaczyć się z panną Crane, a potem na odczepnego kazała mi czekać i tylko udawała, że wysłała kogoś do siostry oddziałowej z zapytaniem, czy może mnie wpuścić. W istocie ją ostrzegła. Dostyc niemądrze, bo w tym szpitalu honorowo pracowała Daphne, która przecież mieszkała u mnie, no, ale ponieważ ja jestem Hinduską, rzeczywiście nic miałam prawa wstępu, a w każdym razie nie byłam mile widziana. Urzędowego zakazu nigdy nie wydano, to był zakaz niepisany. Mogłabym wejść do skrzydła wojskowego, bo tam leżeli indyjscy oficerowie jego królewskiej mości z tej placówki. To znaczy, mogłabym odwiedzić tam, powiedzmy, porucznika Saśardiego albo jego żonę, ale skrzydło cywilne... za wysokie progi na moje nogi. Kiedy zachorowała pani Menen, żona sędziego okręgowego, dostała separatkę w klinice. Tę klinikę łan Macintosh zawsze chciał prowadzić dla wszystkich bez względu na rasę, byleby pacjentki mogły płacić. Chociaż nawet tam obowiązywało niepisane zarządzenie, żeby przyjmować tylko Hinduski pewnego typu. Nie miało

74

to dużego znaczenia ani nie powodowało kłopotów, bo żonom Hindusów dostatecznie bogatych, ale

niewłaściwego typu, nawet by się nie śniła kuracja gdziekolwiek indziej niż w parda, hinduskim szpitalu kobiecym.

W każdym razie wtedy w brytyjskim szpitalu ogólnym musiałam czekać, żeby mnie wpuszczono do panny Crane, więc czekałam z miną jak gdyby nigdy nic i po chwili zaczęły zaglądać do recepcji te gęsi z Korpusu Sanitariuszek Królowej Aleksandry i jędze z Ochotniczego Towarzystwa Niesienia Pomocy Rannym pod różnymi pretekstami, w istocie jednak ciekawe, czy rzeczywiście jakaś Hinduska miała czelność podejść do tego biurka pewna, że nie zostanie załatwiona odmownie. Czułam się trochę jak zwierzę w zoo, ale nieraz czuliśmy się tak my. Hindusi, w tamtych czasach. I siedziałabym tam prawdopodobnie jeszcze dzisiaj, gdyby nagle nie wbiegł zaafierowany Bruce Mayhew, który przyjechał na konsultację. Stał jak wryty i zapytał:

„Halo, Lili, dlaczego tak tu siedzisz, na Boga?”

Wyjaśniłam mu, że chcę odwiedzić pannę Crane i recepcjonistka właśnie szuka siostry oddziałowej. Nie chciałam tej dziewczynie szkodzić, ale Bruce oczywiście zorientował się w sytuacji. Powiedział, że nie ma potrzeby zawracać głowy siostrze, bo sam może wprowadzić mnie na górę. Kiedy weszliśmy do pokoju, w którym leżała panna Crane, został ze mną dosyć długo, żeby dać do zrozumienia innym chorym Angielkom, że ja jestem kimś. To jednak nie pomogło. Ledwie Bruce wyszedł, jedna z chorych zadzwoniła na pielęgniarkę. Zamiast pielęgniarki przyszła sama siostra oddziałowa. Wiem, że Bruce po wyjściu z pokoju rozmawiał z nią, bo mówił mi o tym później. Wstał do jej pokoiku i prosił za wprowadzenie gościa do panny Crane bez jej pozwolenia. Nie zaznaczył, kto jest owym gościem, wiedział, że to zbyteczne. To znaczy, wiedział, że już jej powiedziano o Hindusce usiłującej dostać się na oddział i że ona zamknęła się w swoim pokoiku specjalnie, żeby nie można było jej „znaleźć”. Tak czy owak wkroczyła dumnie w parę minut po wyjściu Bruce'a i tylko w parę sekund po dzwonku tej chorej. Zatrzymała się w pół kroku, jak gdyby zaskoczona widokiem gościa. Zapytała:

„Co pani tu robi? Nie wie pani, że o tej porze wizyty są niedozwolone?”

Odpowiedziałam, że pozwolenia udzielił mi doktor Mayhew, ponieważ jej nikt nie mógł znaleźć.

„Och, oddział jest pod moją opieką, a nie doktora Mayhewa — powiedziała. — Proszę stąd wyjść natychmiast. Czy to pani dzwoniła, panno Crane?” — Jak gdyby pannie Crane wypadło zadzwonić, żeby mnie wyrzucono!

Zanim panna Crane zdążyła cokolwiek odpowiedzieć, kobieta, która nacisnęła dzwonek, wydukała piskliwie.

„Nie, to ja dzwoniłam. Nie dają mi spać.”

Pewnie była żoną jakiegoś majstra z British-Indian Electrical. Mówiła z akcentem przedmieść Londynu, skorygowanym po dwóch latach przysłuchiwania się paniom dyrektorowym. Snobka ze mnie, prawda? Byłam jednak zdenerwowana i rozgniewana tym, co się działo, jak również i tym, że chyba sama na siebie

75

ukręciłam bicz, lekceważąc godziny wizyt. Ale Daphne zawsze mówiła, że tam nikt nie przestrzega godzin, ludzie kręcą się prawie o każdej porze. Zresztą widziałam, jak inni wchodzą swobodnie, żeby odwiedzić swoich chorych. Niestety, pech chciał, że nie było wtedy gości u żadnej z kobiet w pokoju panny Crane. I spotkała tę biedaczkę niesprawiedliwość, ponieważ przez cały czas odwiedzili ją tylko kapelan i pan Poulson, który zresztą przyszedł do niej służbowo. Nawet gdyby chciał, nie mógłby, biedny, pozwolić sobie wtedy na wizyty kurtuazyjne. To właśnie on, jak panu mówiłam, ją uratował. Kiedy już się wykaraskała z zapalenia płuc, musiał ją wypytывать o zabójców Čaudhurię. Właściwie nie musiał, bo to było zadanie Ronalda Merricka, ale pan Poulson wiedział, on i White wiedzieli, że panna Crane trzeba traktować delikatnie, a Merrick do ludzi delikatnych nie należał. Zeznania panny Crane niewiele dały. W szpitalu już nie darzono jej sympatią. Przypuszczano, że coś przemilcza, żeby osłonić tego hinduskiego zbrodniarza. Kiedy ją odwiedziłam, była w szpitalu od trzech tygodni i zaledwie parę dni przedtem przenieśli ją z jakiegoś pokoju na uboczu do salki, gdzie leżały te gęsi i jędze. Bruce powiedział mi tam na górze, że to ładnie, że przyszedłam do niej. Panna Crane nie miała prawie żadnych białych przyjaciół. Z początku w szpitalu wszyscy koło niej tańczyli, bo miała takie okropne przeżycie w pierwszych godzinach rozruchów. Ludzie chcieli w niej widzieć bohaterkę *ziejącą* ogniem, która doprowadzi *kilku* buntowników na szubienicę. A tymczasem ona nie ziała ogniem i jeśli w końcu złapano paru prowodyrów motłochu, zabójców Čaudhurię, to tylko dzięki wytrwałym staraniom szefa policji w Tanpurze. Sprawiedliwości, mówili ludzie, stałoby się zadość o wiele szybciej, gdyby panna Crane podała dokładne rysopisy. Swoją wizytą chyba jej się nie przysłużyłam, a już z pewnością nie przysłużyłam się sobie tym, że przyszedłam właśnie do niej, chociaż nie wiem, czy w ogóle czymś mogłabym się sobie przysłużyć w takich okolicznościach. Spośród nielicznych białych przyjaciół nikt nie miał czasu jej odwiedzić, a przyjaciele Hindusi byli zbyt niskiego stanu, żeby bodaj spróbować. Kilku żołnierzy z koszar złożyło się i przysłało jej kwiaty, były też dowody pamięci od ubogich Hindusów, takich jak Narajan, nauczyciel w szkole za bazarem Čilijanwala. Prawdopodobnie nie wszystkie jej przekazywano. Każdy z personelu szpitalnego bez czytania dołączonych bilecików poznawał od razu, czy są to kwiaty od Europejczyków, czy od Hindusów. Niejeden bukiet pewnie trafił do śmieci, więc ona nie mogła wiedzieć, jak bardzo Hindusi ją lubią nie tylko za złożenie zeznań niezupełnie zgodnych z tym, co zapamiętała, ale po prostu lubią ją, pannę Crane. Wiem, że Connie White i Mavis Poulson wciąż wybierały się do niej do szpitala, ale panował zamęt, stan obłączenia nieomal, więc wciąż nie znajdowały odpowiedniej chwili. Toteż panna Crane musiała czuć się nie kochana przez nikogo na całym świecie. Jeśli chodzi o moją wizytę, niech pan nie zapomina, że Hindusi akurat wtedy nie cieszyli się przychylnością białych i oczywiście była na domiar złego ta druga sprawa. Wszyscy wiedzieli, że Daphne mieszka u mnie. Tak właśnie powiedziałam sobie, kiedy

ochłonęłam z gniewu i przestałam się przejmować tym, że jęzda, siostra oddziałowa, wyprosiła mnie za drzwi.

Ostatecznie jakoś tę odprawę zniosłam, zwłaszcza że pannie Crane było raczej obojętne, czy jeszcze przy niej posiedzę, czy wyjdę zaraz. Sytuacja rozwiązała się sama. Siostra stanęła nad łóżkiem, ja wstałam, 9 panna Crane powiedziała:

„Dziękuję za odwiedziny, lady Chatterjee.”

Ale powiedziała to w taki sposób, jak gdybym ja się spóźniła albo może ona się spóźniła i teraz już nic, cokolwiek nastąpi, nie zmieni jej poglądu na świat.

W dwa dni potem Bruce zadzwonił do mnie: Kiedy tylko zechcę odwiedzić pannę Crane, wystarczy, żebym się pokazała w recepcji. Najwidoczniej zrobił tam piekielną awanturę. Wyjaśnił mi, że personel nie orientował się, kim jestem. Powiedziałam:

„Och, Bruce, one z pewnością się orientowały. Gdybym była tylko panią Chatterjee, uznałyby całą tę sprawę za błażostkę, coś zabawnego, co mogą załatwić i zbagatelizować. Ale to, że jestem lady Chatterjee, wdową po człowieku, któremu tytuł szlachecki nadał ich własny król... to przydawało wagi tej sprawie, zmuszało je do zajęcia stanowiska niezależnie od zazdrości, z jaką może patrzyły na mnie, skoro żadna z nich nie była «lady».”

Ostatecznie w tym czasie właściwie każdy Hindus, który miał tytuł czy odznaczenia, rezygnował z tych honorów i zwracał swoje medale wicekrólowi do przekazania królowi Jerzemu czy komuś tam, i AngVicy uważali, że to Urawne. Albo jeśli nie straszne, to jak najbardziej słuszne, bo zawsze trochę sobie żartowali z tytułów nadawanych Hindusom. Nello, gdyby żył, pewnie by też wrócił do zwykłego „pan”. Obecnie mnóstwo ludzi używa swoich angielskich tytułów, chociaż nie są uznawane przez nasz rząd, ale wówczas pytano mnie: „Dlaczego pani nie odrzuca tego «lady»? Nello odrzuciłby «sir».” Odpowiadałam, że nie mogę decydować za męża, który nie żyje. Odrę go z czci, jeżeli odrzucę tytuł dla spokoju własnego ducha. W każdym razie on na swój tytuł zasłużył.

Byli w Majapurze tacy, którzy twierdzili, że podtrzymuję przyjaźń z lady Manners tylko przez snobizm, tak jak przez snobizm Hindusi lubią mówić Anglikom po imieniu. To samo powtarzali, kiedy przywiozłam Daphne na dłuższy czas tutaj, do Domu MacGregora. Daphne była bratanicą Henry'ego Mannersa. Wiem od Connie White, że w takich miejscach jak Klub Sportowy próbowano robić tej dziewczynie afronty, ludzie udawali, że nie wiedzą, gdzie ona mieszka, a potem uśmiechali się głupio albo wyrażali zdumienie, kiedy im mówiła, że w Domu MacGregora. Daphne nieczęsto bywała w klubie, przynajmniej na początku, boja tam nie miałam prawa wstępu, nawet jako czyjś gość. Sam komisarz okręgowy nie zdołałby mnie wprowadzić w te progi. Nawet wicekról by nie mógł. Daphne zaglądała tam tylko przez życzliwość dla dziewcząt, z którymi pracowała w szpitalu, ale potem Ronald Merrick zaczął jej nadskakiwać, odwoził ją i pokazywała się z nim w klubie od czasu do czasu. To także poczytywano jej za złe.

Bo Merrick był akurat najlepszą na tej placówce partią dla miejscowych panien. Zupełnie przystojny, jeśli o męzczyźnie z nieustannym szyderstwem w oczach

można powiedzieć, że jest przystojny...i co najważniejsze, człowiek na stanowisku, okręgowy nadinspektor policji. Wszystkie panny, którym nie przeszkadzało jego dość niskie chyba pochodzenie, miały nadzieję go złowić. Raczej trzymał się od nich z daleka, toteż, krzywo patrzyły na Daphne, kiedy właśnie nią wyraźnie się zainteresował, chociaż nawet nie kiwnęła palcem. Robin White i Jack Poulson niezbyt go lubili, ale przyznawali, że dobrze wypełnia swoje obowiązki. Sędzia Menen nie znosił go, nigdy jednak otwarcie tego nie powiedział. Ja przyjmowałam Merricka w Domu MacGregora, bo utrzymywałam dobre stosunki z jego poprzednikiem, dosyć już starym Angusem MacGilvrayem. Wydawało mi się, że wypada Merricka też zaprosić, ale byłam zdumiona, kiedy on z mojego zaproszenia skorzystał. Przychodził jednak tylko dlatego, że mógł u mnie spotykać się? Hindusami na płaszczyźnie lowarzystkiej. *Nieomai się widziało, jak jego umysł pracuje, jak gromadzi drobne zasłyszane informacje do odnotowania później w poufnej kartotece, prowadzonej tak, żeby w razie zamieszek można było natychmiast zamknąć najbardziej wpływowych członków Partii Kongresowej i każdego, kto uchodził za element niebezpieczny.* Przypuszczałam, że jego sympatia do Daphne wpływa z poczucia obowiązku nakazującego zaprzyjaźnić się z osobą, która może mu niechętny zdradzać, co się tutaj dzieje, kiedy jego nie ma. Mógł uważać Dom MacGregora za jaskinię barona Clive'a, swoiste siedlisko indyjskiej intrygi, cieplarnię dla angielskich czerwonych... to oczywiście byłoby przeciwieństwem dążeń Clive'a, a te pan rozumie. Myliłam się jednak, myliłam się. Powody, dla których Merrick uderzał do Daphne, były o wiele bardziej skomplikowane. W końcu pojełam, jak dalece skomplikowane, tylko że już za późno.

Często mi żal... Gdyby można było cofnąć czas, gdybym w porę wiedziała to, co wiem teraz. Nie tylko ze względu na Daphne, ale i na pannę Crane. Chyba bym nie dopuściła, żeby panna Crane weszła w sannaśę w taki szczególnie, taki okropny sposób. Chwalebnie jest rezygnować ze wszystkiego, trzeba jednak zdawać sobie sprawę, z czego się rezygnuje. Biedna panna Crane nie zdawała sobie z tego sprawy. Kiedy ostatni raz przyjechałam do jej bungalowu i zastałam ją w pokoju, gdzie zobaczyłam te dwa puste miejsca po obrazach na ścianie, zapytała:

„Lady Chatterjee, dlaczego pani mnie odwiedza?”

Przyszła mi na myśl tylko jedna odpowiedź:

„Chcę wiedzieć, czy nie mogłabym pani w czymś pomóc.”

No, czy to miało choć trochę sensu? Wyobraża pan sobie, żeby kobieta o usposobieniu panny Crane przyznała, że potrzebuje pomocy? Co powinnam była jej odpowiedzieć, jak pan myśli? Teraz, gdyby tam, na tej werandzie, siedziała ona, a nie ten grubas gmerający między palcami nóg i słuchający muzyki filmowej z tranzystora, chyba bym odpowiedziała: „Dlatego, że żadnej z nas nie wolno rezygnować, a widzę, że pani jest tego bliska.”

Ale chwileczkę... coś mi się pokręciło z tymi moimi wizytami u niej. Wychodzi na to, że odwiedziłam ją trzy, a nie cztery razy. Pierwszy raz w szpitalu. Drugi —

78

w bungalowie, kiedy jeszcze chorowała i leżała na werandzie, a ten jej stary służący krążył wokoło, zerkał zza drzwi, czy nie jest zdenerwowana. I w kilka tygodni potem trzeci raz, kiedy usłyszałam, że zwolniła się z pracy w misji, co było dla wszystkich zaskoczeniem. Po pierwszej wizycie w bungalowie uznałam, że lepiej przez jakiś czas jej nie odwiedzać, ale wkrótce dowiedziałam się, że zaczęła znów wydawać podwieczorki dla żołnierzy. Więc pomyślałam: Już można, teraz poznamy się lepiej. A przecież nie pospieszyłam do niej w tym czasie. Miałam tyle zajęć. Odwiedziłam ją dopiero wtedy, gdy usłyszałam, że już nie pracuje w misji i że podobno przejawia lekkiego bzika. Przyjechałam tam po południu. Służący stał na werandzie, co oczywiście było normalne, ale zorientowałam się, że pełni straż. Powiedział, że panna Crane jest bardzo zajęta, nikogo nie przyjmuje. Już chciałam odejść, kiedy zawołała: „Kto przyszedł?”

Służący wszedł do pokoju, wrócił i powiedział, że mogę wejść.

Panna Crane siedziała w fotelu. Nie wstała, nie poprosiła, żebym usiadła; *to usiadłam mimo to i właśnie wtedy ona zapytała:

„Lady Chatterjee, dlaczego pani mnie odwiedza?”

Zastanawiałam się przez chwilę, a potem palnęłam niemądrze:

„Chcę wiedzieć, czy nie mogłabym pani w czymś pomóc.”

„To uprzejmie z pani strony — powiedziała — ale niczego nie potrzebuję.” „Słyszałam, że zwolniła się pani z pracy w misji” — próbowałam dalej. Tylko przytaknęła niemo. Rozejrzałam się po pokoju, tak jak zwykle się rozglądamy, kiedy jesteśmy u osoby, o której wiemy, że wyjeżdża. I zobaczyłam te dwa jaśniejsze miejsca po obrazach, jedno na pewno po Gandhim, drugie po kimś innym. Zaczęłam coś mówić o pakowaniu.

„Och, ja nie potrzebuję się pakować” — odpowiedziała.

Cisnęło mi się pytanie, dlaczego? A ona uśmiechnęła się, ale do siebie, nie do mnie; uśmiechnęła się tak, że pomyślałam: Rzeczywiście. Biedaczka zwariowała. Więc nie zapytałam, co chciała przez to powiedzieć. Nic zapytałam: „Czy misjonarze dają pani ten bungalow?” Nie zapytałam, bo wydawało mi się to nieprawdopodobne i obawiałam się odpowiedzi tylko potwierdzającej fakt, że panna Crane straciła rozum. Obawiałam się własnego zakłopotania, którego nie zdołałabym opanować. Biedna panna Crane. Nie powinnam była tak tego zostawić! Powinnam była zapytać: „Dlaczego?” Chociaż ona by mi nie powiedziała od razu całej prawdy. Straszne jest to, co później przyszło mi na myśl: Może właśnie wtedy, gdy mówiła mi, że nie potrzebuje się pakować, rzeczywiście pojęła, dlaczego pakować się nie ma potrzeby. Ten uśmiech, pan rozumie... ona jeszcze bez uśmiechu powiedziała:

„Och, nie będę się pakować, nie potrzebuję...”

Potem zmieniła temat. Zapytała, jak się czuje Daphne. Jak się czuje panna Manners? Takim tonem, jakby pytała o koleżankę, jak gdyby one obie coś wspólnie reprezentowały. Zresztą myślę, że tak było. Panna Crane nie знаła Hariego Kumara. Gdyby o nim wiedziała, chyba by zapytała: „Jak się czuje panna

79

Manners?”, takim samym tonem ale by dodała: „Czy to prawda, co ludzie mówią, czy to prawda, że młody pan Kumar został potraktowany wprost haniebnie?”

Kolacja to jedyny posiłek, który Parwati jada w rodzinnym gronie — takim, jakim ono jest. Cała ta rodzina składa się z Lili Chatterjee i Parwati, ich dwóch tylko. Można sobie wyobrazić, jak one, staruszka i młoda dziewczyna, wieczorem, gdy nie ma gości, siedzą obok siebie przy końcu politurowanego długiego stołu w jadalni i rozmawiają po angielsku, bo jeszcze teraz angielski pozostaje językiem Hindusów z wyższych sfer, nie inaczej niż pół wieku temu francuski był językiem kulturalnych Rosjan.

Służący, który podaje do stołu, jest młody, tak młody, że w czasach, gdy panna Manners mieszkała tutaj, mógł być dzieckiem najwyżej paroletnim. Pochodzi z południa. Pracuje tu od niedawna, przyjęty za rekomendacją Bhallu, starego ogrodnika, jakoś z nim spokrewnionego. Ku rozbawieniu lady Chatterjee ten chłopiec, Ram Das, zwany przez nią Ramu, gdy już dostał posadę służącego w domu, raczej się ze swoim wujem Bhallu nie zadaje, bo pozycja ogrodnika jest o wiele niższa od jego pozycji. Nawet przestał przyznawać się do pokrewieństwa. Czasami z kwatier służbowych za domem dolatuje ich kłótnia. Kucharz pogardza nimi oboma. Kiedyś gotował u jakiejś maharani. W skład personelu wchodzi też sprzątaczką, dziewczyna imieniem Suśiła. Lady Chatterjee przymyka oczy na niezbity fakt, że szofer muzułmanin, uśmiechnięty, przystojny Safi, sypia z Suśiłą. Trudno teraz o służących, ludzie niechętnie idą do służby i z roku na rok każą sobie płacić coraz więcej. Kilka pokoiów w Domu MacGregora trzeba było zamknąć, bo nie ma tam kto sprzątać.

Gdy wszystkie trzcinowe rolety są opuszczone, w domu jest chłodno i ciemno

nawet w południe. W tych pokojach o stropach bardzo wysokich myśl gościa błędzi niebezpiecznie jak kanarek, który uciekł z klatki i krąży coraz wyżej, w kółko i w kółko, trzepocząc się w rejonach cienia, w zakamarkach zdawałoby się nie tkniętych ludzką ręką, odkąd MacGregor odbudował ten dom. Wieczorem w takich pokojach nawet światło elektryczne lamp i kinkietów nie dociera w dalekie kąty i strefy niedosiężne dla oczu gościa, choćby stanął komuś na ramionach. Najlepiej ograniczyć wrażenia, nie podnosić wzroku powyżej ich po ziomu, inaczej napięcie szyi jest tak samo bolesne jak napięcie zmysłów odbierających zderzenie tamtych lat z teraźniejszością. Ale i bez tego w pokojach na parterze, gdzie teraźniejszość w niższych rejonach jest jak mgielka wczesnego poranka w odwiecznych kotlinach, zawsze ma się dziwnie usypiające poczucie bezpośredniego współistnienia „wczoraj” i „dziś”. Dopiero idąc na górę wkracza się w samą przeszłość, i to za każdym razem, jakkolwiek wchodzenie tam po wszednieje. Ostatecznie sypialnie na piętrze w sposób bardziej specyficzny niż parter domu, otwarty dla wszystkich, są przechowalniami intymnych doznań ludzi, którzy kiedyś je zajmowali.

80

Lady Chatterjee bierze klucz z jakiegoś tajemniczego miejsca — goście w tym domu nigdy nie mogą przekroczyć granicy, za którą ona prowadzi i kontroluje swoje gospodarstwo — i wchodzi po wyfroterowanych, szerokich, nie przykrytych żadnym chodnikiem, krętych schodach wiodących i wykładanych czarno-białymi płytami hallu na korytarz pierwszego piętra, otwiera mahoniowe drzwi z mosiężną klamką i oto jest dawna sypialnia panny Manners, wciąż jeszcze zwana pokojem Daphne. Czuje się tutaj zapach stęchlizny, tak jak zwykle w pokojach od dawna nie otwieranych — tak jak i w sztubackim muzeum osobliwości zmarłego sir Nella, które dosyć stosownie mieści się bezpośrednio pod tą sypialnią. Gdy trzcinowe rolety są podniesione, widać stąd ogród i dalej przez szpary w gęstwinie niższych drzew rozległą wokół Majapuru równinę z płamą wzgórz na horyzoncie. Widać wieżyczkę kościoła Sw. Marii, oddalonego może o półtorej mili, nadal sterczącą na tle nieba i niedorzeczną, jak niedorzeczna wydaje się każda architektura angielska czy hinduska w tym krajobrazie dziwnie niewykończonym, takim, że jednostajne krakanie wciąż niespokojnych wron wydaje się krzykiem stworzeń rozwiniętych tylko częściowo, jeszcze nie wylęgłych, a już dość uwrażliwionych, żeby przeczuwać pragnienia, które świat w końcu rozpozna jako głód.

W biurku są dwa z listów panny Manners do ciotki. Lady Manners dała je później lady Chatterjee; może nie chciała ich trzymać u siebie, nie chciała powracać do owiązanych z nimi -wspomnień. Niewykliczone, ifc tt listy odsiariają laki sam głód, pragnienie nieskoordynowane, niedorzeczne. Daphne Manners z pewnością pisała je albo w nocy, gdy wrony dorywczą śpią, wyczekując niecierpliwie świtu, albo przy tym samym akompaniamencie, przy jakim gość czyta je teraz, po tylu latach. Te listy czytane przy bezustannym, niezmiennym krakaniu są dziwnie martwe, dziwnie nieme. Po cóż sobie wprawiać, że tak nie jest. Przecież nie wskrzeszą tej, która je napisała. To tylko listy; tak jak tylko fotografią pozostaje to zdjęcie panny Manners z pretensjonalnym kaligraficznym podpisem niejakiego Subhasa Čanda, fotografa świadczącego w tamtych czasach usługi każdemu na placówce, kto chciał poka:ać krewnym i przyjaciółom, jak służy mu powietrze Majapuru.

— Subhas Čand — mówi lady Chatterjee — miał stoisko w składzie aptecznym doktora Gulaba Singha Sahiba.

Clancy też dał się tam sfotografować w nieskazitelnym drelichu khaki, przystojny, pewny siebie. Na jednym zdjęciu sam, *en face*, na drugim z kolegą, tym „wsiowym” Barrettem, gapiącym się na świat boży. Tło stanowią (znów niedorzeczność) aksamitne draperie uzupełnione paprocią (paprotką ogrodową w mosiężnej donicy na romantycznej pomnikowej kolumnie w stylu Odrodzenia, wokół której człowiek wrażliwy chcąc nie chcąc widzi oploty cmentarnego bluszczu, chociaż ich na niej nie ma).

Te fotografie Clancy’ego, równie niedorzeczne jak prezenty z zabawy gwiazdkowej, leżą wśród innych osobistych rzeczy panny Crane, nie odebranych przez nikogo, jakimś cudem zachowanych w centrali misji w Kalkucie — niszczących

81

pamiętek nie tylko po samej pannie Crane, ale i po wieloletniej chrześcijańskiej uczciwości, a także bezinteresownym wzruszeniu ramionami dalekich kuzynów panny Crane, potomstwa tamtych ubogich krewnych, którzy przyjechali na pogrzeb jej ojca, z umiarkowaną nadzieją, że coś im kapnie, a potem odjechali usuwając tę krewniaczkę z pamięci, żeby nie ulec pokusie i nie sięgnąć do swoich skromnych zasobów, w razie gdyby jej dzielna postawa na pogrzebie i oświadczenie o samowystarczalności okazały się czczym efektem. Gość już oglądał w Kalkucie fotografie Clancy’ego; technika Subhasa Čanda, jego podpis, gatunek sepiowego papieru, użytego do odbitek (mniejszy rozmiar gabinetowy), wszystko to wydaje się prawie swojskie, gdy lady Chatterjee bierze ramkę z fotografią panny Manners z toaletki, przed którą ta dziewczyna kiedyś siadała i czesała swe krótko obcięte, jak widać na fotografii, kędzierzawe włosy w kolorze sepii.

— To nie może panu dać pojęcia, jaka ona była — mówi lady Chatterjee ścierając z ramki plamę kurzu. — Uważam, że oglądanie fotografii osób, których się nie zna i o których się tylko słyszało, pozostawia niedosyt. Oczywiście zdarza się coś w rodzaju fascynacji, kiedy widzimy po raz pierwszy fotografię kogoś, kto kiedyś był,

jak się to mówi, na ustach wszystkich. Prawdopodobnie jest pan trochę zafascynowany. Ale z chwilą zaspokojenia pierwszej ciekawości następuje rozczarowanie, prawda? Czy też nawet i to nie... bo skąd absolutna pewność, że uchwyciono podobieństwo bodaj w przybliżeniu, skąd w ogóle pewność, że to jest fotografia właśnie owej osoby. Wie pan, czasami przyglądam się fotografiom moim i Nella... tej, na przykład, która wisi w saloniku, zrobionej na przyjęciu ogrodowym w Simli, gdzie stoimy pomiędzy Agą Khanem i lordem Willingdonem... i zadaję sobie pytanie: Czy to Nello rzeczywiście? Czy rzeczywiście ja wtedy tak wyglądałam? Chyba niemożliwe, żeby mój uśmiech mógł być kiedykolwiek taki kołtuński? Stoję tam z tym piekielnie afektowanym uśmiechem, wpatrzona w coś, czego fotografia nie objęła. Ponieważ w żaden sposób nie mogę odgadnąć, przypomniać sobie, w co się tak wpatrywałam, zaczynam się zastanawiać, czy ta kobieta na fotografii (w każdym razie reagująca inaczej niż ja) nie jest jakimś moim sobowtórem i czy ten pulchny facet przy niej nie jest kimś, kto tylko naśladuje Nella prawie tak dobrze, jak Nello kiedyś naśladował Henry'ego Mannersa? Willingdon i Aga Khan wyglądają, owszem, na samych siebie, ale gdy się poznaje ludzi tak wysoko postawionych i gawędzi się z nimi, widzi się ich raczej tylko w dwóch wymiarach, akurat tak właśnie, jak ich uchwycił aparat fotograficzny, oni więc na zdjęciu mogą się wydawać autentyczni.

Daphne zrobiła tę fotografię u Subhasa Canda w jakieś dwa, trzy miesiące po przyjeździe tutaj. To nie był jej pomysł. Lady Manners napisała do mnie: „Powiedz Daphne, że na urodziny chciałabym od niej dostać jej fotografię, ale niech sobie nie zwraca głowy oprawianiem, mam kufrы pełne ramek ze starego Albumu Przestępców Henry'ego.” Bo tak ona i Henry nazywali jego zbiory fotografii: Album Przestępców. Wszystko tam było: stare dagerotypy taty Henry'ego z nogą opartą na ubitym bawole, fotografie grupowe, zrobione na jakiejś dorocznej zabawie dla poddanych, z całym zastępem książąt oprócz

82

jednego radzpuckiego, który się pogniewał na aparat fotograficzny, bo przystojny adiutant Henry'ego pokreślił coś w protokole i tak ich ustawił, że dostojnik honorowany dziewięcioma wystrzałami z armaty stał bliżej gubernatora niż dostojnik honorowany jedenastoma. Były też zdjęcia migawkowe, jakie Henry i przed nim jego tata dostawali od służących — zdjęcia starszków, onieśmielonych, ale usiłujących wyglądać na członków plemienia, starszków z białymi bokobrodami i w przekrzywionych turbanach. Henry nigdy żadnych fotografii nie wyrzucał, wszystkie oprował i woził ze sobą. Kiedy umarł, Ethel je zapakowała i schowała do kufrów. Często się zastanawiam, kto pierwszy został umieszczony w tej srebrnej ramce. Ja ją odziedziczyłam już z fotografią Daphne i z tymi jej dwoma listami. Myślę, że gdyby Daphne mnie też dała odbitkę, wtedy gdy zrobiła sobie tę fotografię u Subhasa Canda na urodziny swojej cioci Ethel... myślę, że gdybym to zdjęcie miała od tamtego czasu, widziałabym w nim więcej podobieństwa do rzeczywistej Daphne. Ale to zdjęcie pojawiło się później. Pojawiło się tutaj, w tym domu, w tej sypialni, kiedy Daphne już nie żyła, nie mogła wrócić tu sama. Chyba mnie raziło. Wydawało mi się niezupełnie na miejscu. To jest Daphne, owszem... ona zawsze uśmiechała się tak ufnie. Możliwe, że zanim usiadła tam, u starego Subhasa Canda, o mało nie przewróciła kogoś z jego reflektorów, toteż w chwili kiedy ją fotografował, jeszcze myślała: „No i znów. Taki już kłopot ze mną. Słonica w składzie porcelany, ciociu.” Ale miły był jej uśmiech, prawda? I to wyszło na zdjęciu. Tylko że fotografowie w rodzaju Subhasa Canda z zasady zbyt starannie retuszują twarz, aż wygląda, jakby była z wosku. Nie widać najmniejszej zmarszczki. Nawet przy kącikach oczu, gdzie powinny być bodaj kreski, twarz jest gładziutka. Więc tymi oczami nie patrzy prawdziwa Daphne.

Ona zwykle mrugała, kiedy zaczynała coś mówić, jak gdyby nie mogła wypowiedzieć pierwszych słów z oczami otwartymi. I nieraz, kiedy kończyła mówić, przymykała oczy. Wtedy ten uśmiech, który widzi pan na fotografii, ukazywał się automatycznie; mogło się wydawać, że jej powieki i wargi są połączone tymi samymi nerwami. Istotnie był to tik nerwowy. Ale ja z początku dopatrywałam się w tym afektacji. Poznałam Daphne, kiedy przyjechałam do Ethel Manners... do Pindi, gdzie one wtedy były... na święta Bożego Narodzenia. Pierwsze Boże Narodzenie Daphne w Indiach. Ethel chciała ją rozruszać. Spodziewałam się, że zastanę jakąś osowiałą dziewczyninę, a tu, o dziwo, promienna wysoka Daphne gawędziła ze mną swobodnie i mrugała. Posądzałam ją o afektację, zanim określiłam to jako zmanierowanie, zanim zauważyłam, że ona mruga, ale z chwilą gdy oddzieliłam przyczynę od skutku, pojęłam, że to, co nazwałam afektacją, jest po prostu zwykłą nieśmiałością. Daphne przymykała oczy, uśmiechała się, żeby nabrać większej pewności siebie w towarzystwie. Ledwie się z kimś oswoiła, zmanierowanie zniknęło. Ale wracało natychmiast, jeżeli do pokoju wszedł ktoś obcy. Budziła jednak sympatię od pierwszej chwili. I zawsze pokonywała nieśmiałość, jakoś nigdy nie brakowało jej słów.

Subhas Cand swoim starannym retuszem nie zdołał ukryć, przynajmniej

83

przede mną, że to jest fotografia dziewczyny, która lepiej czuje się w okularach. Żeby napisać list czy poczytać, Daphne musiała wkładać okulary. Zdaniem okulistów powinna nosić je stale, ale ciotka ją do tego zniechęciła, mówiła, że w tym wieku noszenie okularów to bzdura. Chciała przez to powiedzieć, że okulary są nietwarzowe, zwłaszcza dla dziewczyny. Ja także jej to odradzałam, ale tylko dlatego, że można, jak mi wiadomo, poprawić sobie wzrok splukiwaniem oczu zimną wodą i ćwiczeniami... wie pan, trzeba patrzeć na zmianę na jakieś przedmioty, to bliskie, to dalekie, podnosić oczy znad listu, który się pisze, czy znad książki, wpatrywać się przez chwilę w jakiś wybrany przedmiot w pokoju, odległy o kilka stóp.

„Ale, ciociu — mówiła Daphne. Tak już się utarło, że nazywała mnie ciocią — z daleka ja nie widzę nic, właściwie to nawet z bliska dobrze nie widzę.”

Nieraz stawała przy oknie i na przemian wkładała i zdejmowała okulary. W końcu bez okularów mogła dojrzeć wzgórze. Bardzo chciała zobaczyć wszystko, co było do zobaczenia. Mówiła, że Indie to jej miłość. Zawsze chciała przyjechać do Indii. Urodziła się w Pendzabie, ale nic nie pamiętała z wczesnego dzieciństwa. Była jeszcze niemowlęciem, kiedy ze względu na jej matkę, która nie znosiła tego klimatu, ojciec zrezygnował z pracy tutaj i przeniósł się z nimi do Anglii, gdzie podjął praktykę prywatną. Tu pracował w indyjskiej służbie zdrowia. Był dużo młodszy od Henry'ego. Myślę, że wyjechał z Indii bez szczególnego żalu. Chyba wolał leczyć ludzi niż siedzieć w administracji i przez całe życie współzawodniczyć ze swoim mądrym bratem Henrym. Sądząc z tego, co opowiadano, jego żona, matka Daphne, była herod-babą. Okropna snobka, i zawsze musiała postawić na swoim. Indie jej nie odpowiadały, bo najwidoczniej nie odpowiadała jej pozycja żony niższego urzędnika w indyjskiej służbie zdrowia. Prawo i medycyna to dwie dziedziny, w których my, Hindusi, zawsze błyszczymy, więc myślę, że George, ojciec Daphne, miał zapewne więcej kolegów Hindusów, niżby jego małżonka sobie życzyła. Jej mąż powinien być „sławą”, jak się to mówi teraz, mieć gabinet lekarski na Harley Street i stanowisko ordynatora w kilku szpitalach naraz. Ale kiedy już był na najlepszej drodze do tej chwały, zmieniła kurs: zapragnęła zostać pierwszą damą w salonach ziemiańskich. Więc potem mieli nie tylko mieszkanie w mieście, ale i dom w Wiltshire i biedny zaharowany George uwijał się tam i z powrotem między posiadłością wiejską i Londynem. Z tego, co Daphne kiedyś mi powiedziała, łatwo się domyślić, jaki to miało na niego wpływ.

— Biedny tatuś zawsze żałował, że wyjechał z Indii. Ileż bym dała, żeby teraz był tutaj ze mną i widział to wszystko znowu.

Czasami odnosiłam wrażenie, że Daphne w dwójnasób stara się poznać Indie, jak gdyby chciała nadrobić to, co ominęło jej ojca, to, z czego, jak prawdopodobnie przyznawał, zrezygnował dla jej matki. A mama -Daphne... tak zresztą jest ze wszystkimi tymi chucherkami, które nie znoszą klimatu Indii... okazała się silna jak koń. Przynajmniej była silna, dopóki nie zachorowała na raka. Moim zdaniem rak to choroba raczej silnych niż słabych.

84

Wyobraźmy to sobie: Daphne Manners, wysoka dziewczyna (jak określiła ją niezbyt dokładnie lady Chatterjee), stoi na balkonie swojej sypialni i skupiona (w dwójnasób, bo także i za nieobecnego ojca, kiedyś pozbawionego tej możliwości, potem zmarłego, teraz oplakiwanego) kontempluje krajobraz, który jest taki, że po prostu musi wywoływać w sercu pełnym sympatii, ale przywykłym do kultury europejskiej niemały wstrząs. Nawet na ten balkon, dogodnie wzniesiony ponad ogrodem pełnym kwiatów i przyjemnych woni, przenika zapach unoszący się z cichej, rozedrganej w słońcu, spieczonej równiny; z ogromnej panoramy pól i z rzeki, z kompleksu siedzib ludzkich (urozmaiconego tu i ówdzie spiczastym albo cebulowatym kształtem kościoła, meczetu, świątyni), z ulic i zaułków i z odosobnionej dzielnicy białych bungalowów, z domów prywatnych, z budowli publicznych, z dworca kolejowego, z kwater służby na tyłach Domu MacGregora. Czyżby to był zapach nieczystości?

Po kilku miesiącach pobytu w Indiach już nie zwraca się na to uwagi. Ten wszechobecny zapach, najpierw wstrętny, potem prawie miły, bo swojski, staje się stopniowo ekstraktem przedestylowanym przez umysł nastawiony empirycznie; ktoś, kto wyjedzie na pewien czas w jakieś mniej smrodliwe okolice, zacznie go wspominać z tęsknotą, widząc w nim subkontynentalny odpowiednik gryzącego dymu z ognisk u schyłku połyskliwie miedzianej angielskiej jesieni. Ale owo wygnanie musi trwać stosunkowo krótko — urlop w Europie, natężenie mięśni w rozrzedzonym powietrzu nad liniami himalajskich śniegów. Nie może to być nieobecność, na przykład, osiemnastoletnia, która trwałaby dalej, gdyby nie przypadek, szczęśliwy traf, kolekcjonerski zamiar schwywania jak motyla i przy-szpilenia prawdy o pannie Crane, pannie Manners i młodym Kumarze, o wydarzeniach, które, jak wówczas się wydawało, zatrzęsły miastem Majapur, po czym zwały je w gruzy, ale rzeczywiście pozostawiły je chyba nietknięte, nadal w posiadaniu swoich mocnych murów (choć nie krajobrazu, bo wtargnęła tu, niezbyt zresztą zaborcza, formacja budowniczych i rzemieślników). Musi to być wyjazd na krótko, żeby powracający podróżnik mógł, gdy poczuje znów dobrze znany zapach, wykrzyknąć: „Ach, Indie!”, tonem właściciela, nawet z nutą wdzięczności. Zupełnie inaczej jest po osiemnastu latach i zbyt szybkim przelocie odrzutowcem Comet przez coraz bardziej burzliwą atmosferę nad Bahrajnem i Bejrutem (ciepło odpowiednio wzrasta i potęguje ten zapach tak, jak ciepło skóry kobiecej wyzwała niewidzialną, zdumiewającą mieszankę jakichś nadzwyczajnych perfum). Nos, który już odwykł, ale powinien być, zdawałoby się, przygotowany, marszczy się wobec powagi objawienia, jakiego doznaje w czasie jazdy samochodem czy taksówką z bombajskiego lotniska szosą wśród pól, gdzie można wypatrzeć źródło tego zapachu — w świetle poranka sylwetki przycupniętych robotników rolnych wydalających na ziemię swoje bobki, które będą tam twarzą, schły i rozkładały się, aż porwą je prądy powietrza i podmuch wiatru rozniesie ich cząsteczki wszędzie.

85

Zajmując sypialnię panny Manners (co pomoże — jak mówi lady Chatterjee — poznać otoczenie Daphne) gość zostaje sam. Przemierza akry nie pokrytej dywanem ciemnej posadzki, ciągnące się od łóżka z moskitierą do drzwi osobnej łazienki. Zupełnie jakby wędrował po peregowatym morzu z jednej wyspy kasz-mirskiego dywanu na drugą, tyle że nie moczy stóp. Nawet sobie przypomina dawną zabawę z dzieciństwa, która polegała na omijaniu szpar między płytami chodnika, a potem się zastanawia, czy Daphne miała czas na podobne głupstwa.

Łazienka jest długa i wąska. Ściany od podłogi do wysokości ramienia pokrywa zielona glazura. Jak w zamglonym lustrze odbija się w niej wyposażenie wnętrza i gość bez głowy. Daphne miała słaby wzrok, może

więc nigdy nie widziała swego okrojonego odbicia, gdy szła od drzwi w stronę porcelanowego sedesu pod umieszczonym wysoko rezerwuarem z łańcuchem, za który się pociąga jak za sznur dzwonu. Na łańcuchu wisi fajansowy uchwyt w kształcie dłoni, dla podkreślenia zbytkowności tego stosunkowo rzadkiego w Majapurze urządzenia. Porcelanowa wanna jest duża jak basen pływacki i teraz bez wody wygląda jak przed dorocznym szorowaniem. Jej nogi to szpony z płetwami, łapy jakiegoś ziemnowodnego potwora skazanego na podtrzymywanie wanny, podobnie jak Atlas podtrzymuje świat. Widok ogromnych mosiężnych kranów zapowiada, że chlusną z nich wartkie bliźniacze strumienie o sile wody bijącej z pomp okrętowych. Cóż, kiedy tylko kran z zimną wodą funkcjonuje; ten z gorącą — gdy starania, żeby odkręcić oporny kurek, wreszcie odnoszą skutek — rzezi głucho i wykrztusza paprochy rdzy. Ale zimna woda okazuje się dostatecznie ciepła. W łazience jest duszno. Nie ma żadnego wywietrznika, jest tylko jedno okienko wysoko nad sedesem. Na drugim jej końcu — piętnaście kroków boso po ciepławej mozaice, której lekka chropowatość wywołuje wcale nie przykre dla stóp wrażenie, że suną po wyschniętym plastrze miodu jakiegoś dawno zapomnianego gatunku olbrzymich pszczoł — stoi pod lustrem w połączonej ramie staromodna umywalnia. Na marmurowym blacie miednica, dzbanek i mydelniczki, zwyczajne, z białego fajansu. Pod umywalnią takż kubetek z pokrywą i pałąkiem oplecionym wikliną. Przy umywalni wieszak — mahoniowa miniatura drabinki gimnastycznej: na jej szczebelkach wiszą ogromne puszyste ręczniki i, szeregiem od największej do najmniejszej, myjki frote, wszystkie z wyhaftowanymi inicjałami L.C.

Wracając z tamtego końca łazienki gość dosłownie wstępuje na tron wznoszący się na szerokim podium, na którym dywanik, położony chyba bardzo dawno, ma kolor ciemnej zgniłej wiśni. Uwagę przyciąga wspaniały uchwyt do papieru toaletowego. Drażek z rolką najzwyklejszego, płowożółtego papieru z odpadów drzewnych trzymają pomiędzy sobą dwa Iwy o grzywach i paszczach połącanych. Odwijając papier, muska się poduszczką małego palca szczękę bliższego lwa i chyba szczękę jego kolegi również, bo ich łby, wielkości pięści, prawie stykają się policzkami. Te dwa duże koty wyraźnie szczerzą kły w uśmiechu, jak gdyby rozbawione swoją powinnością — trzymaniem w pogotowiu czegoś,

86

co jest potrzebne po dopełnieniu ludzkiej funkcji fizjologicznej, nie innej przecież niż kocia, ale właśnie z powodu tego papieru bardzo dla kotów śmiesznej.

Gdy się leży w kąpieli, wzrok napotyka wiszącą lampę z siedemdziesięcio-pięciowatową żarówką pod abażurem w kształcie nakrycia głowy pantomimowego Aladyna i próbuje sięgnąć wyżej w mroki sufitu, ale daremnie. Na poprzecznej, opartej o krawędzie wanny drewnianej półeczce stoi wyszczerbiony od zderzeń z mozaiką podłogi mosiężny dzbanuszek. Czerpak. Gość uprzytamnia to sobie i po namydleniu się wstaje w wannie, zaczyna czerpać wodę, polewać się nią. Przymykając oczy na świadectwo odmiennej płci, usiłuje wczuć się w pannę Manners, która brała taką właśnie kąpiel dla odświeżenia po ciężkim dniu pracy w majapurkim szpitalu.

(Do lady Manners)

Dom MacGregora
ulica MacGregora
Majapur 1

25 lutego 1942 r.

Kochana Ciociu Ethel!

Wybacz, Ciociu, bardzo Cię proszę, że piszę dopiero teraz. Mam nadzieję, że dostałaś telegram Lili z wiadomością, że dojechałyśmy szczęśliwie. Na pewno dostałaś. Wprost nie mogę uwierzyć, że minął już cały tydzień, odkąd pożegnałyśmy się z Tobą w Rawalpindi. Jesteś bardzo kochana, że pozwoliłaś mi tu przyjechać. Dni lecą jak na skrzydłach, wydaje się prawie niemożliwe, że tyle ich minęło i zdążyłyśmy załatwić tak dużo. Właśnie wróciłam ze szpitala, gdzie przepracowałam już drugi dzień, więc jak widzisz, ani chwili nie zmarnowałam.

Od Lahauru podróż była rzeczywiście ciekawa, o wiele przyjemniejsza niż tamta w zeszłym roku, kiedy jechałam sama z Bombaju do Pindi. Wtedy byłam przerażona, wszystko było dla mnie nowe i obce. Teraz jazda pociągiem mnie cieszyła, może dlatego, że już trochę wiem, co i jak, no i teraz jechałam z Lili. Ona jest naprawdę nadzwyczajna. Te straszne Angielki, które zastałyśmy w przedziale, wysiadły następnego dnia rano w Lahauizc. Wstrętne babsztyłe, nie odezwały się do żadnej z nas ani jednym uprzejmym słowem. I ta fura ich bagażu zajmowała więcej niż połowę miejsca. Zaledwie pociąg ruszył, zajęły ubikację przy przedziale na przeszło godzinę, a potem zamiast położyć się spać, piły, paliły i rozmawiały bez końca, jak gdyby nas nie było, więc obie z Lili nie mogłyśmy zasnąć. (Miałyśmy dolne i górne łóżko po jednej stronie przedziału, a one dolne i górne po drugiej). Byłam tak skonana, że obudziłam się dopiero wtedy, gdy pociąg już stał w Lahaurze i te baby z wielkim szumem wysiadły. Jakiś facet czekał na peronie, mąż jednej z nich, myślę, że tej z. mózgownicą okutaną szalikiem. Wszedł w pewnej chwili do przedziału, żeby poszukać czegoś, o czym ta w szaliku jazgotała, że zginęło albo zostało ukradzione. One obie stały na peronie, kiedy kulisi zbierali ich rzeczy, a on wszedł do przedziału bardzo

wojowniczo. I zupełnie biedak zbaraniał, kiedy zobaczył mnie. Babsztyłe skarżyły mu się chyba tylko na Lili. Okropnie potargana siedziałam w betach na górnym łóżku i pilnowałam naszych toreb. Lili nie leżała. Ubrana już od piątej rano (powiedziała mi później), siedziała na łóżku pode mną, wyglądała cudownie. Najspokojniej w świetle czytała książkę i udawała, że w ogóle nie wie, co się dzieje. Tak czy inaczej, facet grzecznie przeprosił i zaczął się miotać po przedziale, i kulisi też się miotali, szukali pod siedzeniami i wszędzie, tak żeby nie wyglądało na to, że babsztyłe nas posądzają o zwędenie owej zguby. Aż w końcu jedna z nich zawołała z peronu: „W porządku, Reggie, na szczęście znalazłam!”

Podobało mi się to „na szczęście”. Reggie spał, wyszedł jak niepyszny i myślę, że na peronie zrobił awanturę. Ostatnią rzeczą, jaką usłyszałyśmy w Lahaurze, były słowa jednej z tych jędz: „Nie szkodzi. To i tak skandal. Nie wiem, do czego ten kraj dojdzie. Ostatecznie pierwsza klasa to jest pierwsza klasa.” Jędze — tak Lili nazywa panie tego rodzaju. Trafnie, prawda?

Od tamtej chwili jednak było cudownie. Miałymy cały przedział dla siebie i dostałyśmy dobre śniadanko. Przyznam Ci się, Ciociu, że dotychczas nie bardzo wierzyłam w tę historię, którą mi opowiadałaś, wiesz, jak sir Nella wyrzucili z przedziału pierwszej klasy dwaj angielscy przekupnie. Uważałam, że jeśli sama dyrekcja kolei pozwala Hindusom kupować bilety pierwszej klasy, to przecież nikt nie może im zabraniać korzystania z tego, za co zapłacili. Teraz myślę, że gdybyś, Ciociu, nie odprowadziła nas do pociągu w Pindi, te baby rzeczywiście nie wpuściłyby Lili, no i mnie, bo byłam z nią. Czy dlatego weszłaś do przedziału przed nami i potraktowałaś je w cudownym dziewiętnastowiecznym stylu, „łaskawie, acz wyniośle”, zanim zobaczyły Lili i pojęły, że będą jechały z Hinduską?

Naprawdę gniewa mnie to, co się tutaj dzieje, kiedy sobie przypominam, w jak okropnych warunkach podróżuje się teraz w Anglii — pociągi bez ogrzewania i ciemne, tylko z mętym niebieskim światłem, dworce też zaciemnione, tłok w przedziałach i na korytarzach, a przecież, ogólnie biorąc, wszyscy pomagają sobie nawzajem i starają się być pogodni. Naprawdę, Ciociu, mnóstwo białych w Indiach nie wie, na jakim świecie żyje. W Anglii oczywiście nie jeździłam pierwszą klasą i czasami szeregowcy stłoczeni jak śledzie w beczce mieli pretensję, kiedy różowitki podporucznik prosto z jednostki szkolnej podchorążych siedział sobie stosunkowo wygodnie, ale tak już jest w wojsku. Tutaj to dotyczy cywilów. No, nie będę się nad im rozwodzić.

W Majapurze jest o wiele cieplej niż w Pindi. W nocy do nakrycia wystarcza samo prześcieradło i niedługo będę musiała na stałe włączyć wentylator. Lili dała mi cudowny pokój z łazienką na mój wyłączny użytek. Co prawda sedes trochę się chwieje, a na straży papieru toaletowego są dwa groźne lwy! Dom Mac-Gregora jest urzekający. Wciąż zapominam, że Ty, Ciociu, nigdy nie byłaś w tym domu, bo Nello kupił go, kiedy już Stryj Henry przeszedł na emeryturę i wyjechaliście z tej prowincji. Ale Majapur naturalnie pamiętasz, chociaż Lili mówi,

88

że od tamtych czasów zaszło tu mnóstwo zmian. Zbudowano na przykład technikum, to, które Nello ufundował i wyposażył i za które dostał szlachectwo, i stoją nowe gmachy British-Indian Electrical. Buduje się nowe lotnisko w Bani-jagandżu, przy czym Anglicy ubolewają, że im to psuje polowania na kaczki. Ależ Hitler by się uśmieł! Poza tym w okolicach Bani-jagandżu jest kilka jezior, nad którymi, jak mówi Lili, Europejczycy lubili sobie urządzać pikniki.

Przedwczoraj byliśmy na kolacji u komisarza okręgowego i jego żony: Robina i Constance White'ów, którzy powiedzieli, że mieli przyjemność poznać Ciebie. Ciociu, i Stryja Henry'ego ileś tam lat temu. ale wątpię, czy ich pamiętasz, bo byli wtedy bardzo młodzi. Szefem pana White'a był wtedy pan Cranston. Powiedzieli, że pana Cranstona chyba zapamiętałaś, bo kiedyś podczas objazdu oboje ze Stryjem Henrym odwiedziliście go niespodziewanie w obozie, bo on właśnie też objeżdżał swój okręg, i zastaliście go kąpiącego się w sadzawce. Podobno stanęliście na brzegu i rozmawialiście z nim strasznie długo, a ten biedak starał się, jak mógł, odpowiadać rozsądnie i grzecznie, stojąc na baczność po pas w dosyć mulistej wodzie i nie odważając się ruszyć, bo nie miał na sobie kąpielówek. Myślał później, że wiedzieliście o tym i po prostu bawiła was ta jego niezręczna sytuacja. Obiecałam panu White'owi, że przy okazji zapytam Ciebie, Ciociu, czy naprawdę wiedzieliście, bo jeszcze teraz się nad tym zastanawia. Sam pan Cranston nigdy nie miał co do tego pewności. Ale to jest jedna z tych zabawnych historyjek o gubernatorze i pani gubernatorowej, które nie przestają krążyć, czego dowodzi fakt, że po tylu latach usłyszałam to przedwczoraj.

Polubiłam pana i panią White, chociaż ona, jak wszystkie pakka mem, jest w pierwszej chwili trochę przerażająca. (Kiedyś Ty, Ciociu, budziłaś we mnie przerażenie.) Ale oboje wyraźnie podziwiają i szanują Lili. Kolację zjedliśmy raczej w ścisłym gronie. Oprócz Lili i mnie zaprosili tylko dwóch panów, żeby była równowaga przy stole. To byli pan Macintosh, naczelny lekarz cywilny, wdowiec, też stary przyjaciel Lili, i sędzia Menen. Sędzia jest żonaty, ale jego żona choruje, leży teraz w miejscowej klinice. Polubiłam go. Ma cudowne poczucie humoru, chociaż nie od razu się zorientowałam. Na początku myślałam, że jest zgryźliwy i nastawiony krytycznie, co kładłam na karb kompleksu niższości, ponieważ był jedynym Hindusem w tym towarzystwie. Jest o wiele starszy od pana White'a, no, ale Hindusi dopiero po latach pracy dostają wysokie stanowiska. W każdym razie ostatecznie zrozumiałam, że on ze mnie żartuje, a przecież podchwyciłabym to w lot, gdyby był Anglikiem. Podobnie nie połapałam się od razu, kiedy poznałam Lili. Wiesz, Ciociu, chodzi mi o te jej cierpkie dowcipy. Gdyby była Angielką, przyjmowałoby sieje natychmiast ze śmiechem, ale jest Hinduską, więc dopóki się jej nie pozna dobrze, myśli się (tak jak ja wtedy myślałam): Co to właściwie ma znaczyć? Co się kryje za tą jej uwagą.' Jak odpowiedzieć czy zareagować, żeby jej nie urazić ani nie okazać, że ona uraziła mnie?

Sądząc z tego, co Lili mi mówiła, Anglicy w Majapurze przeważnie krytykują komisarza okręgowego, zarzucają mu, że przejawia więcej życzliwości wobec Hindusów, niż to jest konieczne. Przepowiadają, że w końcu źle na tym wyjdzie!

89

I z leżką wspominają „dawne dobre czasy” jego poprzednika, **pana Steada**, który miał „silną rękę” i zupełnie jasno dawał do zrozumienia w okręgu, „kto jest szefem”. Spotkałam się z takim nastawieniem już. w ciągu tych pierwszych moich dwóch dni pracy w szpitalu i zdaję sobie teraz sprawę, jakie to szczęście było dla mnie, że mieszkałam u Ciebie, Ciociu, z dala od ogółu naszych rodaków. Siostra przełożona, cudowna kobieta, która jest tutaj od lat i zna tutejsze stosunki, powiedziała mi coś szczególnie ciekawego, kiedy zgłosiłam się do niej. Na tę rozmowę umówiła mnie z nią **Lili** za pośrednictwem doktora Macintosha, który jest najwyższym zwierzchnikiem służby zdrowia w okręgu — ale Ty przecież o tym wiesz, Ciociu! Siostra przełożona powiedziała: „Masz, moja droga, trzy rekomendacje: doktora Macintosha, moją i poręczenie, jakim jest twoje nazwisko, które ludzie tu pamiętają i szanują, chociaż w swoim czasie wielu nie zgadzało się z postępową polityką twojego stryja. Jeżeli nie brak ci zdrowego rozsądku, będziesz, to wszystko wykorzystywać, ale zarazem unikać zbyt wyraźnych skojarzeń z czwartą rekomendacją.” No, wiedziałam, co ona ma na myśli. Muszę przyznać, że się najeżyłam. „Moją prawdziwą poręczycielką jest lady Chatterjee” — oświadczyłam. „Wiem — powiedziała — głównie dlatego przyjmuję cię do pracy. Nawet wolontariuszka nie dostanie się tutaj, jeżeli uznam, że nic jest tego godna. Ale to szpital brytyjski, a ja jestem w nim siostrą przełożoną i już dawno nauczyłam się lekcji, której musiałam się nauczyć, żeby wypełniać swoje obowiązki należycie. To znaczy, musiałam zrozumieć, że ważne jest tylko dobre samopoczucie pacjentów i sprawność personelu, a reszta to względy uboczne, które trzeba wykluczać.” (Ona właśnie tak się wyraża, dosyć urzędowo, jak gdyby wykuła te zdania na pamięć.) „Niejedno — mówiła dalej — może będzie budzić twój instynktowny opór, jeśli chodzi o atmosferę, w jakiej będziesz pracowała. Nie proszę, żebyś ją pochwałała. Tylko proszę, a nawet żądam, żeby ta atmosfera nie miała wpływu na twoją pracę.” Powiedziałam: „Może należałoby zmienić atmosferę.” Bo wiesz, Ciociu, w tym momencie było mi obojętne, czy mnie przyjmą, czy nie. Ostatecznie zgłosiłam się do pracy bezpłatnej. Odpowiedziała błyskawicznie: „Z pewnością by należało. Kiedyś, mam nadzieję, to się zmieni. Jeżeli wolisz zacząć pracę tutaj dopiero wtedy, a teraz, ustąpić miejsca innej dziewczynie, żeby w miarę swoich możliwości wykonywała wdzięczne zadanie, jakim jest niesienie ulgi chorym, musisz mi powiedzieć. Ja zrozumieć. Chociaż nie wątpię, że kiedy prowadziłaś ambulans tam, w kraju, w czasie nalotów, nigdy się nie zatrzymywałaś, żeby roztrząsać, co ranni, których wiesz do szpitala, myślą o świecie i czy żywią jakieś uprzedzenia. Wyobrażam sobie, że przede wszystkim chciałaś ratować ich przed śmiercią.” Naturalnie miała rację. Zagapiłam się na nią przez te moje straszne okulary, które muszę nosić, kiedy chcę być absolutnie pewna siebie, i zapragnęłam znów prowadzić ambulans. Było w tym rzeczywiście coś podniecającego, chociaż strach oblatywał mnie nieraz. Rok 1940. Wydaje mi się, że to tak dawno! A to zaledwie półtora roku temu, tylko że w innym świecie i w innej epoce, jak się to mówi. Tutaj wojna ledwie się zaczyna i chwilami nawet mam wątpliwości, czy wszyscy zdają sobie z tego sprawę. Tam,

90

w kraju, odnosiło się jakieś dziwne wrażenie, że wojna już jest skończona, albo na odwrót, że będzie trwała przez, całe stulecie. W Majapurze częściej niż kiedykolwiek przedtem myślę o biednym Tatusiu i biednym Dawidzie. Wojna, która ich obu zabiła, jeszcze niezupełnie dotarła do Majapur. Czasem to jest nieomal jakieś czekanie na moment kiedy ich utracę znowu, a kiedy indziej myślę o nich tak, jak gdyby żyli i polegli gdzieś na innej planecie. Chyba lepiej, że Mamusia umarła, zanim to wszystko się zaczęło. Większość Anglików tutaj ma pretensje do Hindusów o to, że nie chcą uznawać wojny jako takiej, a tym bardziej wojny, co do której nikt nie pytał ich o zdanie. Ostatecznie ja, chociaż na małym odcinku i nie w ogniu bitwy, widziałam prawdziwą wojnę, a wielu z tych, którzy wprowadzają tu ustawę o pokonaniu Żółtków i Szwabów (te straszne staromodne określenia imt najwyraźniej dodają animuszu, ale mnie przygnębiają), nie słyszało nigdy nawet huknięcia strzała z dubeltówki, oddanego w gniewie. Indie brytyjskie nadal żyją w dziewiętnastym wieku. Dla nich Hitler to tylko żart, bo był malarzem pokojowym i wciąż jeszcze na kogoś takiego wygląda, nawet w mundurze. Trzykrotne hip hip hurra na cześć konnicy! Niech żyje marynarka wojenna! Przepraszam. Najwidoczniej wypięłam o jeden za dużo z Ciocią Lili. A zaraz muszę się wystroić w paradne fatafaszkę, bo wydajemy przyjęcie, na którym będzie ni mniej, ni więcej tylko sam okręgowy nadinspektor policji. Lili mówi, że to kawaler. Mam nadzieję, że zatwardziały. Nie cierpię mężczyzn, którzy dokładają starań, żeby nic okazywać, że widzą, jak zupełnie jestem wyprana z powabów. Przypominasz sobie, Ciociu, pana Swinsona?! Ciociu kochana, Kocham Cię i często myślę o Tobie, o moim pobycie u Ciebie w Pindi. Naprawdę chciałabym pojechać z Tobą w maju do Srinagaru, ale Ciocia Lili chyba postanowiła trzymać mnie tutaj i oczywiście jestem teraz związana pracą w szpitalu. Zresztą w ten sposób lepiej poznaję Indie. W skrzydle cywilnym są jeszcze dwie wolontariuszki, takie jak ja, z tym że miejscowe, ale rządzą na tej grzędzie umundurowane ochotniczki z Towarzystwa -Niesienia Pomocy Rannym i sanitariuszki od Królowej Aleksandry. Warto zobaczyć, jak niektóre z nich zadzierają nosa. W kraju byłyby tylko salowymi albo w najlepszym razie młodszymi pielęgniarkami, tutaj to już są siostry. Ale my, wolontariuszki, tak samo jak one nie pełniemy żadnych posług. Brudną robotę pozostawia się biednym dziewczynom anglohinduskim. Dzisiaj w czynie wojennym zwinęłam całe mile bandaży — zaznaczani, że zwijanie bandaży jest czystą pracą. Ale zwijałam te bandaże przez cały czas na stojąco i teraz nóg nie czuję! No, właśnie wszedł Radźu, żeby mi przygotować kąpiel. Wkrótce napiszę więcej. Kocham Indie, ale znów wydają mi się dziwne, jak w zeszłym roku, kiedy przyjechałam z

Anglii. Majapur jest nawet trochę odpychający; stare kochane Pindi takie nie jest. Czy to poniekąd nie wynika z tego, że w tamtej części indyjskiego świata są głównie muzułmanie, a w tej tutaj — hinduiści? Proszę, dbaj o zdrowie, Ciociu, i myśl często o Twojej kochającej bratanicy

Daphne

91

Dom MacGregora

ulica MacGregora Majapur 1

piątek, 17 lipca 1942 r.

Kochana Ciociu Ethel!

Serdecznie, serdecznie dziękuje za list i wiadomości o tym, co się dzieje w Srina-garze. Cieszę się, że dostałaś fotografię w porę na urodziny, ale jeszcze bardziej się cieszę, że ten kupon na suknię Ci się podoba. Ciociu. Fotografia wydawała mi się tak okropna, że po prostu musiałam dołączyć drugi prezent, a potem, kiedy wybierałam kolor, nie wiedziałam, czy to wszystko nie wypadnie jeszcze gorzej. Obawiam się, że raczej brak mi wyczucia w kwestiach stroju, chociaż naprawdę uważam, że powinno Ci być w tym do twarzy. To cudownie, że Ty, Ciociu, też tak myślisz. Oby tylko stary Husajn nie spartolił Ci tego. Fakt jednak, że on lepiej szyje niż tutejszy krawiec. Żeby uczcić Twoje urodziny, kupiliśmy z Lili mrożony tort i zaprosiliśmy kilka osób, które po torcie zostały na małym pijaństwie. (Czułam, że Ty byś to, Ciociu, aprobowała.)

Deszcz już leje, ale tak długo z tym zwlekał, że wszyscy w Majapurze zaczęli gromadzić zapasy żywności na wypadek głodu. — To znaczy wszyscy, których na to stać. Jack Poulson mówi, że przekleństwem Indii jest rzucanie się średnio zamożnych i bogatych Hindusów do sklepów, gdy tylko bodaj mgliście zaczyna zagrażać kryzys. I że to jeszcze nic wobec przekupstwa w wyższych sferach, gdzie żywnością obraca się hurtowo.

Trawa przed domem jest niewiarygodnie zielona. Uwielbiam te deszcze. Ale wszystko nasiąka wilgocią. Służący codziennie czyści wszystkie moje pantofle, żeby nie pleśniały. Kupiłam sobie ogromną pelerynę, a na głowę coś w rodzaju kapelusza rybackiego. To jednak nie znaczy, żeby mi te rzeczy były bardzo potrzebne, bo przeważnie jeżdżę do szpitala i ze szpitala samochodem pana Merricka, który on po mnie przysyła z kierowcą-policjantem (bardzo wojowniczy muzułmanin; mówi, że każdy hinduista ukrywa w domu broń, żeby rozwaląć głowy wszystkim bez wyjątku Anglikom i mahometanom). W dni bezbenzynowe (strasznie wszyscy w takie dni narzekamy) pan Merrick przysyła policyjną ciężarówkę odkomenderowaną niby to w pilnej sprawie urzędowej (np. przewiezienia aresztantów z więzienia do sądu). Dla mnie to jest trochę kłopotliwe i nieraz mu już mówiłam, że mogę zawsze jeździć na rowerze, a w razie wielkiej ulewy wezwać tongę, ale on się upiera, że jego obowiązkiem jest dbać, żeby mi się nic nie stało teraz, kiedy Kongres podsyca nastroje antybrytyjskie; przecież Dom MacGregora stoi na skraju dzielnicy garnizonowej.

Lubię Ronalda bardziej, niż lubiłam z początku. Nie mogę nie widzieć, że jest życzliwy i troszczy się o mnie. Zastrzeżenia budzi tylko jego sposób bycia (to, z czego taki sposób bycia wynika, rzecz jasna). I oczywiście może trochę zrażać

92

do niego fakt, że on jest okręgowym nadinspektorem policji. Ale już się z tym oswoiłam — i przeszłam do porządku nad czymś, o czym chyba powinnam Ci napisać, Ciociu. Spotkania z nim sprawiają mi nawet przyjemność. Nie lubię tylko, kiedy przybiera ton urzędowy, jak na przykład wieczorem parę dni temu. Ostrzegł mnie przed — cytuję — „zadawaniem się z panem Kumarem, bo ludzie już o tym mówią, nie tylko Anglicy, ale i Hindusi”. Niestety, parsknęłam śmiechem i bezmyślnie powiedziałam: „Och, przestań zachowywać się jak policjant.” Potem doszłam do wniosku, że nie wypadało tak powiedzieć. Ronald traktuje swoją pracę bardzo poważnie, jest dumny ze swoich dotychczasowych osiągnięć, za wszelką cenę chce błyszczeć na tym stanowisku i naprawdę wszystko mu jedno, czy się komu podoba, czy nie podoba to, że on dobrze wypełnia swoje obowiązki. Uważam, że powinnam Ci o czymś napisać, Ciociu, ale błagam, zachowaj to przy sobie. Nie mówiłam o tym nikomu, nawet Cioci Lili. Mniej więcej miesiąc temu Ronald zaprosił mnie na kolację do swojego bungalowu. Zadał sobie mnóstwo trudu. To była najlepsza kolacja w angielskim stylu, jaką jadłam w Indiach (z wyjątkiem tej u Ciebie, Ciociu, kiedy byli państwo Swinson, już po tych ich lamentach, że nie cierpią potraw indyjskich). I jeszcze jedna rzecz przemawia, moim zdaniem, na korzyść Ronalda: jego służący wyraźnie jest do niego przywiązany, naprawdę wkładał serce w to, żeby sahib miał wszystko, co trzeba, na kolacyjkę z damą przy świecach. Pretekstem do tego zaproszenia, jeśli w ogóle musiał być jakiś pretekst, było słuchanie płyt. Pamiętasz, Ciociu, pisałam Ci

0 uroczystościach wojskowych pod koniec kwietnia, z orkiestrą i defiladą.

I jak poznałam wtedy generała Reida, który powiedział, że miał przyjemność poznać Ciebie i Stryja Henry'ego w Pindi. I pisałam, jak poszłam na tę defiladę z dwiema koleżankami ze szpitala, a potem do klubu z nimi i kilkoma młodymi oficerami. Ronald Merrick zajął do klubu później (miał mnóstwo roboty z pilnowaniem porządku w tym tłumie i tak dalej). Wszyscy chwaliliśmy tę wojskową orkiestrę (rzeczywiście dosyć imponującą) i ja chyba entuzjazmowałam się bardziej niż inni. W każdym razie Ronald zwrócił się do mnie. „Och — powie

dział — lubi pani orkiestry dęte? Ja także." I dodał, że ma sterty płyt. „Musi ich pani posłuchać” — powiedział.

No i od tego się zaczęło. Nie lubię marszów tak bardzo! Nie aż tak, żeby chcieć jeszcze słuchać ich z płyt, więc potem, ilekroć Ronald wracał do tego, zawsze jakoś się wykręcałam. Właściwie już mi to prawie wyleciało z pamięci, kiedy raptem zaprosił mnie na kolację. Przyjęłam zaproszenie bez namysłu i dopiero kiedy powiedział: „Świetnie, po kolacji posłuchamy tych płyt, które pani obiecałam”, pomyślałam: Boże! ale wpadłam!

W rezultacie nie było tak źle (to znaczy, jeśli chodzi o tę muzykę). Bywamy razem tu i tam, więc mieliśmy o czym rozmawiać. Orkiestra dęta stała się tylko częścią miłego wieczoru. Byłam w jego bungalowie już przedtem, ale razem z innymi gośćmi, na piwie w którąś niedzielę przed południem. Teraz, bez tej gromady ludzi, zobaczyłam, jak tam u niego jest wygodnie i przyjemnie. Ronald nie pali, pije niedużo, toteż wydaje pieniądze chyba mądrzej niż ogół mężczyzn

93

z jego sfery. Meble w tym bungalowie oczywiście są głównie z przydziału, ale jest kilka wspaniałych rzeczy jego własnych, przede wszystkim cudowne radio z adapterem (słuchaliśmy dwóch płyt z marszami Sousy), poza tym bardzo ładna zastawa stołowa i cudowny perski dywan, kupiony, jak mi powiedział, na jakiejś aukcji w Kalkucie. Naprawdę jednak zaimponował mi swoim dobrym gustem co do obrazów. Zachowuje się tak konwencjonalnie, że można by się spodziewać czegoś bardzo nijakiego na jego ścianach. To fakt, są w jadalni obrazki przedstawiające grę w polo i polowanie na świnie, a w sypialni wisi jeden landrynkowy David Wright (oprowadzał mnie po całym bungalowie, ale w bardzo miły sposób, tak że w pokazaniu mi sypialni nie było nic niezręcznego, chociaż może czułabym się skrepowana, gdyby pokazywał mi swoją sypialnię inny mężczyzna). Ale w saloniku Ronald ma tylko dwie dosyć dobre reprodukcje rysunków Henry'ego Moore'a — wiesz. Ciociu, ludzie stłoczeni w tunelu metra w czasie nalotu — na które trudno mi patrzeć, ale które naprawdę podziwiam. Wydawał się wzruszająco zadowolony, kiedy powiedziałam: „Och, Henry Moore! Pan jest zdumiewający!”

I jeszcze jedna rzecz zrobiła na mnie wrażenie — w ubikacji (tej dla gości, tuż przy hallu) kazał służącemu wyłożyć pachnące mydło (Chypre Coty'ego) i różowy ręczniczek do rąk, wyraźnie nowiuteńki. Wycierałam rękę: z uczuciem, że to zostało kupione specjalnie na tę okazję. (W jego łazience widziałam mydło Lifebuoy, więc nie wyciągaj pochopnie, Ciociu, mylnego wniosku!)

I spotkała mnie jeszcze jedna niespodzianka. Po dwóch z tych marszów Sousy Ronald nastawił trzecią płytę i powiedział: „Takie rzeczy też lubię.” Jak myślisz, co to było? Clair de Lune, część suity *Bergamasque* Debussy'ego w wykonaniu Waltera Giesekinga. Dawid, mój brat, bardzo to lubił. Kiedy usłyszałam początek, pomyślałam: czy ja mówiłam Ronaldowi, że Dawid to lubił? Później sobie przypominałam, że nie. To było nadzwyczajne. Najpierw okropne dudnienie (choć chwilami podniecające) marszów Sousy, a potem nagle ta delikatna księżycowa muzyka, której słuchanie prawie przekraczało moje siły, ale którą przecież uwielbiam. Wydawało mi się jednak niezwykle, że policjant też lubi Debussy'ego.

W czasie tego koncertu służący podał kawę po tureku. Do kawy koniak albo likiery (*Curacao* i *creme de menthe*, bardzo mdłe). Wszystkie te butelki były nie napoczęte, prosto ze sklepu. Spodziewam się, że jeśli kiedykolwiek znów będę tam na kolacji, koniak w butelce będzie nadal tyle, ile go zostawiliśmy. Przy koniaku Ronald wypytywał mnie o moją rodzinę i jak poległ Dawid, i o Tatusia, a potem o mnie samą. Jakie mam poglądy na życie, itepe. Ale wypytywał gawędząc w taki sympatyczny sposób, że się rozgadałam (on z pewnością genialnie przesłuchuje podejrzanych! To nieładnie z mojej strony, ale rozumiesz mnie, Ciociu). Stopniowo pojęłam, że zaczął mówić o sobie. Pomyślałam: ludzie nie bardzo cię lubią, ale jesteś z gruntu dobry i właśnie dlatego, o dziwo, nie najgorzej się ze sobą zgadzamy. Powiedział, że pochodzi „z rodziny bardzo pospolitej” i że jego dziadkowie byli „ludźmi dosyć niskiego stanu”, i chociaż

94

jego ojcu nieźle się powodziło, „odebrał tylko średnie wykształcenie”. Pracuje ciężko i jak dotąd, dobrze się spisuje w policji indyjskiej, którą uważa za służbę konieczną, chociaż niezbyt miłą. Czuje żal do losu po pierwsze o to, że służba w policji uniemożliwia mu pójście do wojska. Po drugie o to, że właściwie wcale nie miał „młodości” i nie spotkał „odpowiedniej dziewczyny”. Często czuje się „dosyć samotny”. Wie, że niewiele „ma do zaofiarowania”. Zdaje sobie sprawę, że pochodzimy z „dość różnych sfer”. Przyjaźń ze mną bardzo dużo dla niego znaczy.

I zamilkł. Po prostu nic wiedziałam, co powiedzieć, bo nie wiedziałam, czy rozumiem, do czego on zmierza. Gapiliśmy się na siebie przez chwilę. Nagle powiedział: „Ja tylko proszę, żebyś się zastanowiła, jeśli będziesz miała czas, czy ewentualnie zaręczyłabyś się ze mną.”

Wiesz, Ciociu, że dotychczas on jeden jedyny oświadczył się o moją rękę? Ty, kiedy byłaś w moim wieku, z pewnością miałaś już mnóstwo konkurentów. Czy każdą dziewczynę wzruszają pierwsze w życiu oświadczenia? Chyba to zależy od tego, kto się oświadcza. Ale jeśli ów ktoś jest człowiekiem godnym szacunku, trudno się nie wzruszyć, cokolwiek się do niego czuje. Nie przypuszczam, żeby moje uczucie do Ronalda Merricka można było uznać za coś więcej niż przelotną sympatię. Nie jest stary, ma włosy blond i niebieskie oczy, rzeczywiście jest szalenie przystojny, ale miałam i nadal mam co do niego (może teraz bardziej niż przedtem) poważne zastrzeżenie (subiektywne): brak prawdziwej szczerości, kiedy się z nim rozmawia. Nigdy nie czuję się przy nim całkowicie naturalna, ale też nigdy nie wiem, czy to jego wina, czy moja. Kiedy wystąpił z tą prośbą (bo jednak nie były to wyraźne oświadczenia, prawda?), bardzo, chociaż daremnie, chciałam dać mu satysfakcję, odpowiedzieć:

„Dobrze.” Czy mężczyźni wiedzą, jacy się wydają bezbronni, kiedy już zrzucą tę grubą skórę obojętności, którą przeważnie noszą, i jeśli zrzucają, to w obecności tylko jednej osoby. O ileż bardziej bezbronni niż kobiety, - kiedy rozpuszczają włosy.

Sytuacja była niezwykła dlatego, że on nawet nie dotknął mojej ręki. W tamtej chwili to, że mnie nie dotykał, sprawiło, że tym bardziej nie chciałam go urazić. Później, kiedy o tym myślałam, doszłam do wniosku, że to wprowadzało jeszcze chłodniejszy nastrój. Siedzieliśmy w dwóch rogach kanapy. Może szkoda, że nie zabrałam ze sobą okularów i nie włożyłam ich na nos! Teraz już nie mogę sobie przypomnieć, czy jego słowa były dla mnie wstrząsem. Wydawało mi się, że tak, że w każdym razie były niespodzianką. Ale kiedy patrzę wstecz, widzę, że wszystko w tamten wieczór wyraźnie do tego prowadziło, więc chyba nie mogłam być zaskoczona. Zanim on z tym wystąpił, na pewno powiedział mnóstwo innych rzeczy, na które w duchu zwróciłam uwagę. W jakimś momencie stwierdziłam, że chociaż jest taki przystojny, czuję do niego fizyczną odrazę, ale to było chwilowe i przyszło później, kiedy jemu i sobie uprzytomniłam fakt, że wprawdzie nie chcę zrobić mu przykrości, a jednak nigdy nie myślałam ani nie będę myślała o nim tak, jak on chce czy może udaje, że chce. Ta lekka odraza

95

minęła prawdopodobnie dlatego, że kiedy mu już odpowiedziałam, poczułam ulgę i zadowolona wycofałam się w siebie, to znaczy w ogóle się odseparowałam. Bardziej mnie teraz interesowało, jak on przyjmie „kosza”. Naprawdę, jestem pewna, że powiedziałam tylko: „Dziękuję, Ronald, ale...”, to jednak wystarczyło. Wiesz, Ciociu, mówi się: „twarz się ściągnęła”. Uważam, że trafniejsze jest określenie „ściemniała”. „Ściągnęła” sugeruje skurcz, zmianę, a tymczasem twarz pozostaje zupełnie taka sama, tylko nie ma w niej światła, jak w domu, z którego wszyscy wyjechali. Na stukanie do drzwi odpowie głucha cisza.

Przez chwilę słuchaliśmy znów marszów Sousy, a potem Ronald odwiózł mnie i w samochodzie rozmawialiśmy całkiem swobodnie o niczym. Kiedy dojechaliliśmy do Domu MacGregora, zapytałam, czy chciałby wstąpić i napić się na dobranoc. Powiedział, że nie, ale wszedł ze mną po schodkach werandy. Pożegnaliśmy się. Zanim puścił moją rękę, powiedział: „Trzeba trochę czasu, żeby przywyknąć do pewnych myśli.” Zrozumiałam wtedy, że jeszcze nie zrezygnował, ale to powiedział już inny Ronald — Ronald Merrick, okręgowy nadinspektor policji, którego nie lubię. Ten, który później — parę dni temu — zirytował mnie ostrzeżeniem, żebym „nie zadawała się” z młodym Kumarem.

Jeden ze służących czekał na werandzie. Podziękowałam Ronaldowi za miły wieczór i powiedziałam dobranoc im obu. Kiedy szłam na górę, słyszałam, jak samochód odjeżdża i jak służący zamyka drzwi frontowe. Wiedziałam, że Ciocia Lili zamierzała tego dnia wyjątkowo położyć się spać wcześniej, więc nie zajrzałam do jej pokoju. W domu było bardzo cicho. I nagle po raz pierwszy dotarło do mnie, że podobno w Domu MacGregora są duchy. Ale nie łączyło się z tym uczucie niesamowitości.

Po prostu duży, pusty dom, trochę zniszczony, zajmowany nie przez ludzi. Z czego ja usiłuję zwierzyć Ci się, Ciociu? Nie z tego, że się zlekłam. Z tego, że nagle zapragnęłam być z Tobą.

Nigdy Ci o tym nie mówiłam, ale był taki okres — w zeszłym roku, drugi miesiąc mojego pobytu w Indiach — że gdyby mi ktoś zaproponował powrót do kraju, nie wahałabym się ani chwili. Bóg świadkiem, czułam się u Ciebie bardzo dobrze. Ale po upływie miesiąca przez dwa może czy trzy tygodnie byłam — dopiero teraz mogę tamten mój stan określić — stale przygnębiona. Wszystkiego nienawidziłam, bo wszystkiego się bałam. Wszystko było takie obce. Prawie wzdrygałam się przed każdym wyjściem z bungalowu. Zaczęły mi się śnić okropne rzeczy, właściwie nie rzeczy, twarze. Wynurzały się znikąd, najpierw wyglądały normalnie, ale potem wykrzywiały się i eksplodowały i na ich miejsce zjawiały się inne. Nie były to twarze ludzi, których znałam. To były twory mojej wyobraźni, niepokojąco szczegółowe — niepokojąco, bo wydawało mi się, że nie sposób wyobrazić sobie twarze aż tak dokładnie. Chyba prześladowała mnie myśl, że otaczają mnie obcy, więc musiałam mieć wokół siebie obcych, nawet w snach. Nigdy Ci o tym nie mówiłam, Ciociu, ale przypuszczam, że wtedy na werandzie u krawca domyśliłaś się, co ja przeżywam. Pamiętam,

96

jak popatrzyłaś na mnie, kiedy się rozgniewałam i wyrwałam z rąk temu darziemu moją bluzkę, według której starał się, jak mógł, uszyć mi nową. Wiesz, Ciociu, gdybym mieszkała u państwa Swinson, prawdopodobnie nie byłoby dla mnie odwrotu. W tamtej chwili przeszedłabym raz na zawsze do tego kulturalnego, od pokoleń ciasnego kręgu Angielek — Anglików także, ale przede wszystkim Angielek — za granicą, w kolonii.

Chyba to zupełnie naturalne, że dokądkolwiek przyjeżdżamy, potrzebny nam jest ktoś znajomy, ktoś, na kim możemy polegać. Jeśli kogoś takiego nie ma, musi być coś takiego. To śmieszne, ale w Pindi w ciągu tych niedobrych tygodni przywiązałam się do moich rzeczy, moich fatalaszków, jak gdybym tylko im mogła ufać. Rozumiesz, Ciociu, wydawało mi się, że nawet Ty mnie zawiodłaś. Znałaś w Pindi wszystkich i wszystko, a ja nie znałam nikogo, więc czułam się daleka od Ciebie, chociaż zabierałaś mnie ze sobą wszędzie. Przechodziłaś do porządku nad tym brudem, biedą, nędzą, jak gdyby ich nie było, a przecież wiedziałam, że to wszystko wcale nie jest Ci obojętne. No więc właśnie wyrwałam tę bluzkę Husajnowi z rąk, bo byłam do niej śmiesznie przywiązana. Nie mogłam patrzeć, jak on ją trzyma, ogląda, dotyka jej czarnymi palcami. Miałam sobie za złe, że tak reaguję, nienawidziłam siebie, więc wrzasnęłam na niego. Kiedy wróciłam do swojego pokoju, usiadłam i chciałam się rozplakać, chciałam, żeby mnie ktoś wyratował i zabrał do domu, do domu. Ale gdzie ten dom? Jak nigdy bolało mnie to, że przecież nie ma dla mnie domu w Anglii, odkąd nie ma Mamusi i Tatusia, i Dawida.

Bardzo podobnie czułam się w drugim tygodniu mojego pobytu tutaj, kiedy przeszła mi początkowa ciekawość,

jaką budziło nowe otoczenie. Ale tutaj „domem”, do którego tęskniłam, był bungalow w Pindi i Ty, Ciociu. Mam nadzieję, że tego nie okazywałam w moich listach, więc się nie denerwowałaś. Teraz to należy do przeszłości. Wszystko tutaj szalenie mi się podoba. Ale przez pewien czas nie cierpiałam Majapuru. Zadawałam -sobie pytanie: co ja zrobiłam?! Jak mogłam, na Boga, przyjechać do tej zakazanej dziury?! Nawet podejrzewałam, że Ciocia Lili przywiozła mnie tutaj dlatego, że jestem Angielką, a ona chce zadawać szyku goszczeniem u siebie białej (niewdzięcznica ze mnie, prawda?). Nawet kiedy wspominałam naszą podróż pociągiem, jakoś mniej krytycznie oceniałam tamte babsztyłe. Ostatecznie — myślałam — skąd one mogły wiedzieć, że nie mają powodu brzydzić się Lili? I w szpitalu pojęłam, że o wiele łatwiej jest mi rozmawiać z Angielkami, chociaż nie zawsze się z nimi zgadzam. Ludzie tej samej narodowości rozmawiają poniekąd stenograficznie. Mniej się wysilamy, a wyrażamy więcej niż w rozmowie z cudzoziemcami. Tak się przyzwyczajamy do tej łatwości, że potem rozmowa wymagająca wysiłku męczy nas fizycznie i psychicznie. Wpadamy wtedy w złość i kiedy staramy się tej złości nie okazać, ogarnia nas jeszcze większe zmęczenie, no i jeszcze większa złość.

Chyba dlatego nie wytrwałam w postanowieniu, że nigdy nie pójde do klubu. Postanowiłam to sobie, bo Lili Chatterjee

97

w żadnym razie nie mogłaby tam wejść ze mną. Wcale mi się ten klub nie podoba, ale bawi mnie — jest taki skrepowany swoją ekskluzywnością, a jednocześnie taki wulgarny. Zawsze ktoś się upije, rozmowy są przeważnie nieprzyzwoite, a przecież członkowie tego klubu. Bóg jeden wie, jak im się to udaje, powiewają sztandarem swojej prawości tak wysoko, że nieomal doznaje się wrażenia, że istnieją jakieś nienaruszalne zasady bezdusznego plotkarstwa i nieznośnych wygłupów. Dopiero po paru tygodniach bywania w klubie zrozumiałam, że ponieważ mieszkam w Domu MacGregora, większość kobiet mnie nie lubi i niejeden mężczyzna czuje się przy mnie zakłopotany. Fakt, że nie zauważyłam tej antypatii od razu, świadczy, jak ogromną ulgę poczułam, kiedy znalazłam się znowu wśród swoich.

Mamusia kiedyś mi powiedziała: „Ty, zdaje się, lubisz wszystkich. To nienaturalne. I nie wyjdzie ci na dobre. Zmarnujesz mnóstwo czasu, zanim zaczniesz się orientować, z którymi ludźmi warto podtrzymywać znajomość.” Dawniej myślałam, że Mama mówiła o wartości w sensie ambicjonalnym. Teraz się zastanawiam, czy nie chodziło jej o wartość z punktu widzenia mojej swobody, spokoju ducha i poczucia bezpieczeństwa. Ale zarówno w jednym sensie, jak w drugim mogła się mylić, prawda? Jestem pewna, że pragnienie bezpieczeństwa i spokoju to błąd i że powinniśmy rozciągać naszą cierpliwość raz po raz *do ostatecznych granic*, prawie *do pęknięcia*, *wyzwać ludzi*, *jacy-kolwiek* oni są, biali czy czarni, niech nam nie dają żyć spokojnie.

Tylko że to 'niełatwe, prawda? Kiedy po kolacji u Ronalda Merricka wróciłam do Domu MacGregora, szłam na górę z uczuciem, że na szczycie schodów czeka mnie coś nieprzyjemnego. Chciałam zawrócić, uciec, i to do kogo!?! Właśnie do Ronalda. Rzeczywiście zatrzymałam się w połowie schodów i spojrzałam w dół. W hallu stał ten młody służący, Radżu, i gapił się na mnie. Boże, czekał, żeby zgasić światło na podeście, kiedy już wejde na górę; po prostu robił to, co do niego należy, ale ja zapytałam go w myśl: „I na co się tak gapisz?” Byłam w długiej zielonej sukience, tej, w której mnie lubisz, Ciociu, ale która odślania moje straszne bary. Czułam się, no wiesz, jak się czułam. Radżu stał za daleko ode mnie, żeby widziała wyraz jego twarzy. Był tylko brązowym kleksem w białej koszuli, w białych spodniach, i nagle zamiast jego twarzy zobaczyłam jedną z tych twarzy z moich snów, twarz zupełnie mi nie znaną. Zawołałam: „Dobranoc, Radżu”, i usłyszałam: „Dobranoc pani.” (Jest chrześcijaninem z południa Indii, więc nie mówi mem.) Wtedy ruszyłam dalej po schodach i kiedy doszłam na górę, chyba spodziewałam się tam zobaczyć naszego rezydującego ducha, Janet MacGregor. Ale nikogo nie było. Jeszcze jej nie widziałam. -Odetchnęłam z ulgą. A zarazem poczułam się oszukana.

Kiedyś muszę Ci napisać, Ciociu, o Harim Kumarze. Dotychczas w moich listach on był tylko imieniem i nazwiskiem, prawda? I muszę Ci napisać o pewnej, dziwnej kobiecie, która nazywa się siostra Ludmiła, nosi habit i zbiera ciała umarłych. Szkoda, Ciociu, że nie jesteś tutaj, że nie mogę z Tobą rozmawiać w każdej chwili. Właśnie słyhać gong na kolację. Deszcz leje, żaby i jaszczurki

98

bawią się w chowanego na ścianie domu i tak dziwnie przy tym plaskają. Dzisiaj jemy kolację same, Lili i ja, a potem pewnie będziemy grały w mahjonga. Jutro mam nadzieję zwiedzić z panem Kumarem tutejszą świątynię hinduską.

Całuję Daphne

— Szkoda, że nie mógł pan tu przyjechać w porze deszczowej — mówi lady Chatterjee — wtedy by pan wiedział, jak wyglądał ten ogród, kiedy podobał się jej najbardziej. Ale rozumiem. Musi pan podróżować, a pora deszczowa to nie najlepszy czas na podróż. Teraz ogród jest wymęczony, wszystko zaczyna usychać, brązowieć. Mnie się jednak podoba w każdej porze roku. Zwłaszcza w takie wieczory jak dzisiejszy. Siedzę zwykle tutaj na frontowej werandzie, bo tu nie ma zapachu rzeki... ja go wcale nie czuję, ale wiem, że czują go Anglicy, moi goście... w każdym razie można stąd popatrzeć na ładną aleję wjazdową i wspominać tych, którzy podjeżdżali pod dom kiedyś, oczekiwać tych, którzy może podjadą teraz. Kiedy światło na werandzie pali się jak w tej chwili, widać klomby kann. Jeżeli jest księżyc, przyjemniej tu siedzieć bez światła. Ale w czasie przyjęcia, które wydają na pana cześć, każemy zapalić wszystkie lampy, w ogrodzie także. Już bym je zapaliła, żeby pan zobaczył, jaki to efekt; niestety, z powodu tej wojny z Chinami żąda się od nas, żebyśmy wszystko chowali na zapas, więc chyba i

elektryczność.

Ale wracając do panny Crane. To była stara angielska liberałka w takim znaczeniu, w jakim ja z biegiem lat zrozumiałam to określenie. Czyli osoba najprawdopodobniej nie mająca talentu do zawierania przyjaźni bez zastrzeżeń. W przypadku panny Crane angielski liberalizm posuwał się jeszcze dalej. Myślę, że ona nie miała talentu do zawierania żadnych przyjaźni w ogóle. Kochała Indie i wszystkich Hindusów, ale nie Hindusów poszczególnych. Nienawidziła polityki brytyjskiej, więc nie lubiła wszystkich Brytyjczyków, chyba że przypadkiem okazywali się wyznawcami tych samych zasad co ona. Chcę przez to powiedzieć, że w swoich sympatiach kierowała się przeważnie rozumem, a nie odruchem serca. Żeby ukarać kogoś za postępowanie niezgodne z jej sztywnym, wyrobionym z góry pojęciem o sprawie, której bronił, zdjęła portret tego kogoś ze ściany. To był gest bardzo błahy. Ale ją zdemaskował, ukazał jej słabość. Jako gest nie miał w sobie nawet owego niedorzecznego patosu, z jakim odwraca się twarzą do ściany podobiznę czarnej owcy w rodzinie. W takim patosie przynajmniej widać coś konkretnego, prawdziwy gniew. Jednakże ona była odważna. Tak jak wiele panien Crane tego świata, była odważna i przypuszczam, że na koniec zwariowała właśnie dlatego, że odważnie spojrziała prawdzie w oczy, chociaż nie po to, by z tą prawdą żyć. Odważnie stwierdziła fakt, że teren jej rzetelnej pracy i szlachetnych dążeń stanowiła jakaś próżnia. Mam swoją teorię: panna Crane rozumiała jasno, ale za późno, że nigdy nie pobrudziła rąk, nigdy się nie zbrukała dla dobrej sprawy, którą we własnym mniemaniu miłowała nade wszystko. I to moim zdaniem tłumaczy, dlaczego wtedy, gdy pan

99

i Poulson ją znalazł, siedziała na poboczu szosy w ulewnym deszczu i trzymała za rękę tego zamordowanego nauczyciela, pana Čaudhuriego.

Ale Daphne, Daphne była inna. Czyż nie? Przeczytał pan te dwa listy z Niech pan się nie trudzi robieniem odpisów. Może pan je wziąć i zwrócić mi wtedy, gdy już nie będą panu potrzebne. Ja znam je prawie na pamięć. Żałuję tylko, że nie dostałam ich w tamtym czasie. Tak, żałuję, ale też zadaję sobie pytanie: No dobrze, ale co bym zrobiła, gdybym je przeczytała w porę, jak mogłabym zarządzić, gdybym o tym wiedziała? Daphne musiała popełniać swoje cudowne błędy. Powtarzam: cudowne. Ona nigdy nie wzdrygnęła się przed pobrudzeniem rąk. Z entuzjazmem rzucała się we wszystko. Im większe ogarniało ją przerażenie, tym niezłomniej odrzucała możliwość odwrotu. W końcu zaczęła nas irytować. Baliśmy się o nią, nawet jej, ale jeszcze bardziej baliśmy się tego, co wyzwoliła, jak Pandora, która zapuściła się na poddasze i podważyła wieko puszek.

Czy ja nie dlatego zawsze siedzę tutaj, na frontowej werandzie? To są te schodki, wie pan. No, oczywiście, pan wie. Wciąż pan patrzy na nie, i dalej, w aleję wjazdową, jak gdyby się pan spodziewał zobaczyć kogoś, kto biegiem, biegiem w ciemnościach przebywa tę drogę z Bibighar.

W tamten wieczór siedziałam z panem Merrickiem w hallu przy drzwiach do saloniku. Schodków nie było stamtąd widać, jego samochód stał nie przed wejściem, tylko z boku, w cieniu. Później rozważałam to: może Merrick zaparkował tam samochód specjalnie, żeby się nie rzucało w oczy, że on jest tutaj, w Domu MacGregora, kiedy w całym brytyjskim Majapurze kipi od pogłosek o zamieszkach w podokręgach i od pogłosek o panie Crane, która wtedy była w szpitalu.

Ledwie wszedł, zapytał:

„Wszystko w porządku, lady Chatterjee?”

Doprawdy, to mnie rozbawiło, bo po raz pierwszy, odkąd go poznałam, wyraźnie uznał moją przynależność do was, jak gdyby była jakąś lady Green czy Smith, która mieszka sama w domu na niebezpiecznym pograniczu. Poczęstowałam go whisky, powiedział, że nie ma dużo czasu, ale wypił sporo, co uznałam za niezwykle, bo był człowiekiem wstrzemięźliwym. Pamiętam, jak pomyślałam: kiedy się denerwujesz, przejmujesz, twarz ci się ożywia i jesteś naprawdę przystojny. Powiedziałam:

„Pan pewnie przyjechał do Daphne, ale ona jest w klubie.”

„Tak — oć powiedział — mówiono mi, że pojechała prosto ze szpitala do klubu. Tylko że jej tam nie ma.”

„Och, nie ma? — powtórzyłam i mnie też to zaniepokoiło. Dodałam jednak spokojnie: — Ale z pewnością nic się jej nie stało.”

Wtedy zapytał mnie bez ogródek:

„Czy ona jest z Harim Kumarem?”

„Nie, nie sądzę” — odpowiedziałam.

Nie przyszło mi to na myśl. Nawet miałam wrażenie, że owo „zadawanie się” z Kumarem, przed którym ostrzegł ją Merrick, już się skończyło. Nie wiedzia-

100

łam, że Merrick ją ostrzegł. Nie wiedziałam, że oświadczył się o jej rękę. Ona mi tego nie mówiła. A przecież nie potrafiła zataić swojej sympatii dla Kumara ani tego, że nie widuje się z Kumarem co najmniej od tygodnia, jeżeli nie od trzech tygodni. Toteż kiedy Merrick zapytał: „Czy ona jest z Kumarem?”, odpowiedziałam zgodnie z prawdą: „Nie, nie sądzę.” Dopiero po chwili coś mnie tknęło. Ale milczałam. Nazwiska Kumara nie wymieniało się spontanicznie przy panu Merricku. Zapytał:

„O tej porze? Gdzież ona może być?” „Prawdopodobnie u przyjaciół” — odpowiedziałam.

I poszłam do telefonu. Zadzwoiłam do kilku osób, które Daphne mogłaby ewentualnie odwiedzić po drodze. To trwało długo. Linie telefoniczne w Maja-purze były zablokowane rozmowami urzędowymi. Merrick raz po raz

wychodził na werandę i wracał, kiedy odkładałam słuchawkę.

„Daphne będzie tu lada chwila — powiedziałam — Niech pan się jeszcze napije.”

I znów ku mojemu zdumieniu nie odmówił. Był w mundurze. I wyraźnie zmordowany.

„Poważna sprawa?” — zapytałam.

„Na to wygląda — odpowiedział i nagle palnął: — Cholerny bigos. — I nawet zmieszał się trochę, gotów nieomal przeprosić mnie za przeklinanie. — Niektórzy z pani znajomych — powiedział — zostali aresztowani.” Przynęłam tylko. Wiedziałam którzy. Nie chciałam o nich mówić. „A ja sobie tutaj — ciągnął — u pani popijam. Nie ma mi pani tego za złe?” Roześmiałam się i powiedziałam, że nie, skądże, byleby on po dopiciu tej whisky nie wywiózł mnie karetką więzienną jako podejrzaną przyczajoną rewolucjonistkę. Uśmiechnął się, ale milczał, więc pomyślałam: Oho, czyżby mnie to czekało? I właśnie w tym momencie udzielił mi owej szczególnej informacji. „Prosiłem ją, żeby została moją żoną. Ona pani nie mówiła?” To był wstrząs. Odpowiedziałam, że nie, nie mówiła, i dopiero wtedy pojęłam, jak strasznie niebezpieczna jest ta cała sytuacja.

„Czy panna Crane już czuje się lepiej?” — zapytałam.

Nie chciałam rozmawiać z Merrickiem o Daphne i o Harim Kumarze ani snuć domysłów, gdzie oboje mogliby być. Merrick nie lubił młodego Kumara i muszę przyznać, że ja sama nie przepadałam za tym chłopcem. Zawsze mi się wydawało, że Kumar jest zanadto wojowniczy. Kiedyś wplątał się w coś i Merrick wziął go na przesłuchanie. W owym czasie nawet nie wiedziałam o istnieniu Hariego Kumara, ale pewnego dnia zadzwoniła do mnie znajoma, Anna Klaus ze szpitala kobiecego, i powiedziała, że policja aresztowała go, jak się zdaje, bez powodu. No, pan wie, jaka jestem. Zwróciłam się do sędziego Menena. Dowiedziałam się, że to. była burza w szklance wody, Hari wcale nie został aresztowany; chodziło tylko o przesłuchanie. Znał Hariego, jak się okazało, mój stary przyjaciel Wassi. To znaczy, pan Śrini-wasan. Nadal mieszka w Majapurze, powinnam pana / nim poznać. W każdym razie młody Kumar mnie zaciekał, więc zaprosiłam go na wieczorne przyjęcie i tak się

101

stało, że wkroczył w moje życie, a raczej w życie Daphne. Chłopiec wychowany w Anglii. Ojciec miał co do niego wielkie plany, ale nic z nich nie wyszło, bo zbankrutował i umarł. Po śmierci ojca wyprawiono Hariego z powrotem do ojczyzny, do rodziny tutaj w Majapurze, tylko że oczywiście to nie był dla niego powrót. Miał dwa lata, kiedy wyjechał z ojcem do Anglii, a osiemnaście, kiedy wrócił. Mówił jak Anglik. Zachowywał się jak Anglik. Myślał po angielsku. Podobno po przyjeździe przedstawiał się nazwiskiem Coomer — Harry Coomer — tak jak to ustalili w Anglii jego ojciec. Ale potem przestał, zapewne na życzenie ciotki. Ta ciotka była jedyną krewną, jaką miał, i myślę, że zaopiekowała się nim dobrze na swój dosyć prawowiernie hinduistyczny sposób, co jednak oznaczało, że nie trzymała go dostatecznie krótko, dawała mu za dużo wolnego czasu na ponure rozmyślanie o swoim pechu. Martwiło mnie trochę to, że on tak przypadł do serca Daphne. Martwiło mnie, bo nie byłam pewna, czy ona też przypadła do serca jemu. Daphne wiedziała, że mam zastrzeżenia. Wiedział i młody Kumar. Może należało postawić sprawę jasno. Ale nie zrobiłam tego. Chyba więc z mojej winy był ten element sekretu w tak zwanym przez pana Merricka „zadawaniu się” Daphne z Kumarem. Kiedy Merrick w tamten wieczór powiedział, że oświadczył się Daphne, i uprzytomniłam sobie, jakie to może być niebezpieczne, nagle mi się przypomniało, że rano widziałam Daphne w dobrym humorze — nieszczerólnie dobrym jak na nią, ale wyjątkowo dobrym jak na tę Daphne, która od wielu dni snuła się smętnie po domu i jeśli gdzieś bywała, to tylko w klubie, przy czym po swojemu udawała, że nic jej nie trapi. Aż tu ni stąd, ni zowąd powrócił jej dobry humor, jak gdyby Kumar znów pojawił się na widowni. To, że umówili się na spotkanie, nie ulegało wątpliwości ani dla mnie, ani chyba dla pana Merricka. Ponieważ byłam już tego pewna, nie wątpiłam też, że wiem, gdzie oni teraz są, i błędnie założyłam, że jeśli ja wiem, Merrick może również się domyślić, pojechać tam i zastać ich razem, a tego nie chciałam. W istocie coś mnie tknęło, że im mniej powiem, tym lepiej, bo właśnie tam, w „Azylu”, Merrick po raz pierwszy zobaczył młodego Kumara i stamtąd zabrał go na przesłuchanie. Cała ta sytuacja stała się zamkniętym kołem. Wyczuwałam nieuniknione nieszczęście.

Żeby już nie było mowy o Daphne, zapytałam Merricka o biedną starą pannę Crane, którą odwieziono do szpitala. Zapytałam:

„Czy panna Crane czuje się lepiej?”

Odpowiedział, że tak, o ile mu wiadomo. Potem spojrzął na zegarek, wstał i zapytał, czy może zatelefonować do swojej komendy. Zanim podszedł do stolika, telefon zadzwonił. Telefonował do niego komisarz okręgowy. Bo Merrick powiedział w komendzie, gdzie go mogą szukać. Pamiętam, jak odebrał ten telefon i jak mówił Robinowi White'owi, że osobiście skontrolował patrole, że w samym mieście jest na razie spokój, prawie wszystkie sklepy na bazarze są zamknięte i ludzie chyba siedzą w domach, jak gdyby była godzina policyjna. Potem powiedział:

„Nie. Jestem tutaj, ponieważ panna Manners zaginęła.”

Powiedział to tak, jakbym zgłosiła jej zaginięcie. Słowo „zaginęła” wydało

102

mi się śmieszne, ale zarazem zgodne z prawdą. Rozmawiał z Robinem jeszcze przez chwilę, a potem oddał mi słuchawkę. Powiedział, że Robin chce mówić ze mną, i jeśli mu daruję, to on już nie będzie czekał, bo czas nagli. Robin zapytał:

„Lili, co to za historia z Daphne?”

Powiedziałam, że naprawdę nie wiem. Daphne mogła ze szpitala pojechać do klubu, ale pan Merrick mówi, że w klubie jej nie ma, więc teraz chyba powinnam też być o nią niespokojna. Zapytałam:

„Bardzo źle to wygląda, Robin?”

Odpowiedział:

„No cóż, Lili, my nie wiemy. Nie chciałabyś przyjechać na tę noc do nas?”

Roześmiałam się i zapytałam:

„Dlaczego? Czy już wszyscy przeprowadzają się do schronów?”

Był projekt, prawdopodobnie panu o tym wiadomo, żeby kobiety i dzieci przenieść do takich miejsc jak klub, hotel Smitha i bungalow komisarza okręgowego, w razie gdyby rzeczywiście wybuchł ten bunt, a potem do starych koszar, gdyby rozpuściło się coś takiego jak w czasie tamtego buntu, a niektórzy już krakali, że może do tego dojść. Robin miał ten plan opracować wspólnie z generałem Reidem, ale nigdy przedtem nie słyszałam, żeby mówił o tym poważnie. Odpowiedział mi:

„Nie, jeszcze nie, ale kilka pań, których mężowie są nieobecni na placówce, wprowadziło się do klubu.”

„No — zauważyłam — klub jest jedynym miejscem, gdzie ja nie mam prawa wstępu, co, Robin?”

Przyznał mi się później, że nie wiedział, jak to przyjąć, bo po raz pierwszy usłyszał w moim głosie zawziętość. Byłam jednak daleka od rozgoryczenia. Po prostu to mi się wyrwało. Po prostu machinalnie określiłam swoją sytuację.

„Zadzwoń do mnie — poprosił — kiedy Daphne wróci. Czy może byś zadzwoniła za pół godziny w każdym razie?”

Odpowiedziałam, że zadzwonię. Położyłam słuchawkę i wyszłam na werandę. Samochodu Merricka już nie było. Dochodziła dziewiąta. Daphne zawsze telefonowała, jeżeli nie zamierzała wrócić o zwykłej porze. Pomyślałam: No, nie może się dozwonić. Ale rzeczywiście nie wierzyłam w to. Miałam przed oczami tylko jeden wyraźny obraz — Daphne i młody Kumar w tym schronisku zwanym „Azyl”. Nigdy nic byłam w „Azylu”. Czułam jakiś absurdalny strach przed tym miejscem i chyba... pomimo wszystko, co mi opowiadała Anna Klaus... strach przed kobietą, która prowadziła „Azyl”, która nazwała się siostrą Ludmiłą i z ulic zbierała ludzi konających. Dzielnej Daphne ta kobieta bardzo imponowała. Tak czy owak, przeszłam na tyły domu, żeby zobaczyć, co robią moi służący, bo nagle spostrzegłam ich nieobecność. Przez cały ten dzień miny mieli bardzo ponure. W kuchni nie zastałam nikogo, nikt nie przygotowywał kolacji. Podeszłam do drzwi kuchennych i zawołałam w stronę kwater. Po chwili przyszedł Radżu. Zameldował, że kucharz źle się czuje. Powiedziałam:

103

To znaczy, że jest pijany. Powiedz mu, że kolacja ma być o pół do dziesiątej, bo inaczej wszyscy będziecie musieli szukać pracy gdzie indziej, wszyscy, nie wyłączając ciebie. Twoim obowiązkiem, Radżu, jest być we frontowej części domu.”

Wróciłam do saloniku, nalałam sobie whisky. Po chwili usłyszałam jakiś łoskot na werandzie. Pomyślałam: Radżu też jest pijany i do niczego. Głupi chłopak, upadł na pysk na sam odgłos nalewania alkoholu. Wyszłam na werandę, żeby go skarcić. To nie był Radżu. Nie pojęłam tego w pierwszej chwili. Zobaczyłam ją na czworakach. Potknęła się o schodek, upadła i potłukła się... ale nie, tylko upadła, już potłuczona, wyczerpana biegiem. Podniosła wzrok i powiedziała:

„Och, ciociu.”

Była w szpitalnym mundurze khaki. W mundurze podartym, zabłoconym i na twarzy miała krew. Nawet kiedy powiedział:- „Och, ciociu”, jeszcze do mnie nie dotarło, że to jest Daphne.

Wszystkie światła w ogrodzie przy Domu MacGregora palą się na cześć gościa. Krzewy, sztucznie oświetlone w wyniku manipulowania całą baterią kontaktów na ścianie werandy, wyglądają jak dekoracja teatralna. Bezruch liści i gałęzi, chociaż nie ma wiatru, wydaje się sztuczny, jak sztuczne są te obszary jasności wokół atramentowych mroków. Chwilami ludzie, z którymi gość rozmawia, przechodząc od grupy do grupy na trawniku, stają się tylko sylwetkami, chociaż gdy ktoś z nich nagle odwróci głowę, błyskają oczy wodniście przezroczyście, a gdy poruszy ręką, nagle widać budowę kostną palców na szklance zawierającej tyleż światła co płynu. W mrokach, też dziwnie statycznych i z dziwną raptownością galwanizowanych, rozżarzone czubki papierosów są jak robaczki świętojańskie.

Ci ludzie w ogrodzie to spadkobiercy. Gdzieś dalej w czasie niż w przestrzeni niedostrzegalnie pełga, bucha i trawi ogień, który kiedyś pochłonął pannę Crane. Jasność wokół mroków nabiera dodatkowego blasku i poprzez gwar, szum swobodnych rozmów gości na wieczornym przyjęciu słychać złowieszcze trzaskanie drewna.

Na podwórku za bungalowem panny Crane była szopa. Panna Crane, przecież rodowita Angielka, tam trzymała narzędzia ogrodnicze. Typowe to dla niej, że (w dzień bezwietrzny, gdy już pomonsunowy wiatr wysuszył drewno i przygotował je, żeby skrzypiąc kurczyło się w ciepłe przed falą chłódów) wybrała właśnie takie miejsce, z którego pożar nie mógłby ogarnąć samego bungalowu. Zamknęła się w szopie, ochlapała ściany naftą, podpaliła i umarła. Miejmy nadzieję, że w ciągu kilku sekund, tyłu, ilu było trzeba, żeby gwałtownie rozgrzane powietrze wyprążyło oddech z jej płuc.

Podobno do tego aktu sati (czy też sannjasy bez wędrowni, jak określa

ojczyznę, biały, bo biel oznacza wdowieństwo, żałobę. I podobno Joseph, wracając z pustymi rekami stamtąd, dokąd kazała mu pójść zgoła niepotrzebnie, padł na kolana i krzychał do tłącego się stosu pogrzebowego:

„Och, pani, pani!”

Tak samo jak kilka tygodni przedtem panna Manners, padając na kolana, podniosła wzrok i powiedziała:

„Och, ciociu.”

W taki sposób istoty ludzkie domagają się wyjaśnienia tego, co je spotyka, i w taki też sposób ustawia się okoliczności i postacie do zbadania — niczym zabawki, gdy je ustawiają kłęzące nad nimi dzieci, zapamiętałe w swoich ponurych, ale koniecznych zabawach.

Część trzecia

SIOSTRA LUDMIŁA

Skąd pochodziła, nikt w Majapurze nie wiedział. Niektórzy mówili, że jest krewną Romanowów, inni, że urodziła się w rodzinie chłopów węgierskich, jeszcze inni, że była rosyjskim szpiegiem, niemiecką kokotą, zbiegłą z klasztoru francuskiej nowicjuszką. Kończyło się na domysłach. Nie ulegało jednak wątpliwości — przynajmniej dla [—"uropejczyków w Majapurze — że nie miała żadnych podstaw do nazywania się siostrą, jakkolwiek teraz może się wydawać świętą. Kościoły katolickie i protestanckie nie przyznawały się do niej, ale nie wysuwały sprzeciwu, odkąd wygrała bitwę o habit wtedy, gdy rozgniewanemu księdzu, który zjawił się, żeby wypędzić z niej diabła, oświadczyła, że swoją odzież zaprojektowała sama i że prawdziwe zakonnice, chociaż piastują wyższą godność niż ona i większy jest ich wkład w życie wiekiste, nie mają prawa wyłączności, jeśli chodzi o skromność oraz szczególną podatność na porażenie słoneczne. Dlatego ona nosi tę długą lekką szatę z szarej cienkiej bawełny (nie uzupełnioną krzyżem ani sznurem pokutniczym, tylko przepasaną zwyczajnym paskiem skórzanym, jaki można kupić na każdym bazarze) i wykrochmalony biały płócienny czepek ze skrzydłami osłaniającymi kark i ramiona, czepek.widoczny z daleka w najciemniejszą noc.

- Ale pani nazwała się siostrą Ludmiłą.
- Nie, to Hindusi tak mnie nazywają. Jeżeli ksiądz jest temu przeciwny, niech ksiądz zwróci się do nich.

Nawiasem mówiąc, jest takie powiedzenie: Z Boga się nie szydzi.

W tamtych czasach (w roku 1942) w każdą środę rano siostra Ludmiła wychodziła z „Azylu” mieszczącego się w kilku starych budynkach, gdzie karmiła głodnych, pielęgnowała chorych, obmywała i pocieszała tych, którzy, gdyby nie jej conocne wędrówki po mieście, umieraliby na ulicach.

Wychodziła ze skórzaną torebką zamkniętą na kluczyk, zawieszoną na łańcu chu u paska. Zawsze szedł za nią młody Hindus uzbrojony w kij. Rzadko jednak się zdarzało, by towarzyszył jej ten sam dłużej niż przez miesiąc czy dwa miesiące. Pan Gowindas, dyrektor filii Indyjskiego Banku Imperialnego w Majapurze, miejsca docelowego tych jej podejmowanych co środa wypraw do dzielnicy garnizonowej, zapytał ją kiedyś:

- Siostró Ludmiło, skąd się wziął ten chłopiec?
- Chyba z niebios.
- A tamten, z którym pani tu przychodziła w zeszłym miesiącu? Czy także z niebios?
- Nie — odpowiedziała. — Tamten z więzienia. Teraz, o ile wiem, znowu siedzi.
- Właśnie przed tym chcę siostrę ostrzec — wyjaśnił pan Gowindas. — Niebezpiecznie jest ufać takim chłopcom tylko dlatego, że wyglądają na dość silnych jako obstawa.

Siostra Ludmiła uśmiechnęła się nic nie mówiąc i dała mu swój czek do zrealizowania.

Co środa przychodziła tak do pana Gowindasa po dwieście rupii. Miała książeczkę czekową wystawioną na Indyjski Bank Imperialny w Bombaju. Bank Imperialny dawno już się stał Bankiem Państwowym. Pan Gowindas też dawno już przeszedł na emeryturę, ale dobrze tamte czasy pamięta. Ponieważ siostra Ludmiła nigdy nie dokonywała żadnych wpłat i jak wiedział, wszystkie swoje rachunki regulowała czekami, mógł tylko zakładać, że albo ona posiada duży kapitał, albo pieniądze wpływają na jej konto gdzie indziej. Dawno wydana dyrektywa z centrali w Bombaju upoważniała do inkasowania gotówki w Maja-purze panią Ludmiłę Smith i tymże nazwiskiem siostra Ludmiła podpisywała чеки. Wypytyjąc znajomego z centrali, pan Gowindas w końcu się dowiedział, że te pieniądze pochodzą ze skarbca małego księstwa i można je uznać poniekąd za rentę, bo mąż pani Ludmiły, podobno inżynier, zmarł w czasie, gdy figurował na liście płacy owego księstwa. Pobierała co środa dwieście rupii zawsze tak samo: pięćdziesiąt w banknotach pięciorupiiowych, sto w banknotach jednorupiiowych i pięćdziesiąt bilonem. Pan Gowindas przypuszczał, że większość drobnych i sporą część banknotów jednorupiiowych ona rozdaje biednym, a resztę przeznaczają na tygodniówki dla swoich pomocników i dorywcze zakupy na targu. Wiedział, że mięso, ziarno i warzywa dostarczają jej co miesiąc miejscowi dostawcy na rachunki płatne czekami, a w lekarstwa zaopatruje ją apteka doktora Gulaba Singha Sahiba, udzielając rabatu w wysokości dwunastu i pół procent i dodatkowej pięcioprocentowej bonifikaty za otwarty tam rachunek, też regulowany czekiem co miesiąc. I wiedział, że siostra Ludmiła wypija tylko jedną szklankę soku pomarańczowego dziennie i jada tylko wieczorem ryż albo groch, albo fasolę, i jogurt, dzień w dzień oprócz piątków, kiedy jej posiłkiem jest chude mięso z

jarzynami, i świąt Bożego Narodzenia, kiedy są to ryby. Wszelka poza tym kupowana przez nią żywność idzie na utrzymanie jej pomocników i do kuchni dla głodnych. Pan Gowindas słyszał i wiedział o siostrze Ludmile dużo takich rzeczy. Czasami nawet myślał, że gdyby spisał wszystko, wypełniłoby to kilka arkuszy kancelaryjnego papieru od góry do dołu. A przecież nadal uważał, że — nie on jeden zresztą w Majapurze w roku 1942 — właściwie nie wie o niej nic.

Jej wiek, na przykład. No, ile ona ma lat? Jej twarz, nieodgadniona, jak

110

mówili niektórzy, obramowana wykrochmalonymi fałdami, zakładkami i skrzydłami kornetu, promieniowała jakimś aseptycznym blaskiem czcigodności. Ręce były rękami kobiety, która zawsze kierowała pracą innych. Czas prawie ich nie musnął. Zdobiała je zwyczajna złota obrączka na serdecznym palcu. Szyję okrywał wykrochmalony wysoki plastron, osłaniający również ramiona i piersi. Oczy siostra Ludmiła miała ciemne, głęboko osadzone, kości policzkowe chyba wydatne — co świadczyło, być może, o krwi węgierskiej. Głos niski, lekko zachrypnięty pasował do oczu. Mówiła płynnie, chociaż trochę za dobitnie po angielsku i brzydkim bazarowym hindi z akcentem niemieckim, zdaniem Anglików. Pan Gowindas słyszał też, że ma dwa paszporty, angielski i francuski. Wiek siostry Ludmiły oceniano na pięćdziesiąt lat, może pięć więcej, może pięć mniej.

Gdy już pobrała te dwieście rupii i schowała je do skórzanej torebki- na łańcuchu u paska, żegnała się z panem Gowindasem, dziękowała mu za to, że osobiście odprowadzał ją ze swego gabinetu do drzwi wejściowych, i ruszała w drogę powrotną pod eskortą kolejnego młodego Hindusa, który przez te dziesięć minut, jakie jej zabierało zrealizowanie czeku, siedział w kucki na ulicy przed bankiem i plotkował 7. każdym, kto przypadkiem też tam czekał albo beczynnie się obijał. Rozmowy toczące się pomiędzy strażnikiem przybocznym siostry Ludmiły a jego przypadkowymi rozmówcami były zwykle ordynarne. Pytali go, czy ta biała wariatka już mu proponowała, żeby dzielił z nią łożę, albo kiedy on zamierza uciec z gotówką, do której strzeżenia został najęty. Ich grubiaństwa były dobroduszne, zawsze jednak kryła się za nimi nuta ponurej niepewności. Człowiekowi przy zdrowych zmysłach działalność siostry Ludmiły wydawała się zbyt ściśle związana ze śmiercią, żeby mógł rozmawiać o tej kobiecie niefrasobliwie.

Z filii Banku Imperialnego, która mieściła się pod arkadami ulicy Wiktorii w samym centrum handlowym europejskiej dzielnicy garnizonowej, siostra Ludmiła wracała do „Azylu” przez, dzielnicę eurazjatycką. Mijała kościół misyjny i przechodziła przez przejazd kolejowy, gdzie nieraz, podobnie jak panna Crane (wymieniała z nią z daleka lekki ukłon, ale nigdy nie rozmawiała), musiała czekać, aż szlaban się podniesie, zanim mogła wejść na zatoczony Most przy Bramie Mandir. Na drugim brzegu rzeki zatrzymywała się przed świątynią Tiru-patiego i dawała jałmużnę żebrakom i trędowatemu, który siedział z nogami skrzyżowanymi, odsłaniając różowe plamy na chorym ciele, i wyciągał ręce jak okrzeseane gałęzie. Po tej stronie rzeki wydawało się, że słońce grzeje jakoś mocniej i dociera wszędzie, jak gdyby zapachy nędzy i brudu mogły się zmarnować w cieniu. Barwy były pozbawione swego piękna, swojej niezwykłości, tego, co zaskakuje. Na ziemi widmo słońca ograniczało się do gamy spłowiałych żółci i szarości. Nawet szkarłatny kwiat w warkoczu kobiety, sam kwiat, bez kon-

111

trastowej uzupełniającej zieleni liścia, był przyżółcony słonecznym blaskiem. Stawał się mdło brązowy. Tutaj biały wykrochmalony czepek siostry Ludmiły, widoczny z daleka, wyglądał jak prehistoryczny jakiś, cudem zmartwychwstały ptak, wzlatujący i kotłujący się paradnie w powietrzu.

Za świątynią ulica się rozwidła w dwie węższe uliczki. Przy rozwidleniu jest kapliczka pod świętym drzewem, którego cień stanowi schronienie dla krów zajętych przeżuwaniami, dla starców i kobiet z palcami podniesionymi do nosów. U wylotu ulicy biegnącej w prawo, w stronę więzienia, kino „Majestic” reklamuje film-epopeję według *Ramajany*’ (to samo teraz, co wtedy). Ulica, która biegnie w lewo, węższa, ciemniejsza, prowadzi wzdłuż sklepików bez ścian frontowych na bazar Čilijanwala. Właśnie tą ulicą przed laty szła siostra Ludmiła z młodym Hindusem, który kroczył za nią wśród chmary dzieciaków pełnych nadziei, że im da po annie. Szła wyprostowana, przyciskając oburącz do piersi zamkniętą torebkę, ignorując nawoływania sklepikarzy, żeby kupiła od nich pan, tkaniny, wodę sodową, melony, jaśmin. Przy końcu ulicy skręcała w lewo i łukowatą bramą w wysokim murze z betonu wchodziła na bazar.

Pośrodku tego otoczonego murem kwadratowego placu są targowiska: mięsne i rybne — duże otwarte hale bez ścian, z betonową podłogą i pochyłymi dachami z blachy falistej, opartymi na betonowych filarach. Wokoło pod murem przekupki wystawiają na matach wonne korzenie, warzywa we wszystkich kolorach tęczy, i gdy tak siedzą wśród swego towaru beczynnie trzymając w rękach wagi, wyglądają jak kolekcja figur bystrej, bo bez opaski na oczach, handlowej sprawiedliwości.

Od jednej z takich przekupek siostra Ludmiła kupowała zielony pieprz turecki, po czym szła dalej do przeciwległej bramy bazaru. Ale w tamtą stronę przed wyjściem skręciła w bok. Po rozchwianych drewnianych schodach, wiodących do otwartych drzwi, weszła na piętro jednego z magazynów, którego bok w tym miejscu tworzy część bazarowego muru. (Na fasadzie tego budynku nadal jest szyld „Romeś Cand Gupta Sen”, niebieskie litery na nie bardzo białym tle.) Przyboczny strażnik znów musiał czekać, pałac biri, tym razem u podnóża schodów, zniecierpliwiony tą niezwykłą przerwą w drodze powrotnej. Po dziesięciu minutach siostra Ludmiła

ukazała się znowu, zeszła na dół i oboje, ona przed nim, już tak jak zwykle wyszli z bazaru w jeszcze jeden kompleks uliczek i zaułków, między stare domy muzułmanów z okiennicami na piętrze i drzwiami na parterze szczelnie zamkniętymi. Dochodzili tędy na nieużytki, gdzie były tylko chaty i lepianki niedotykalnych. Są i teraz. Za chatami jest zbiornik wody, na którego dalszym brzegu suszą się uprane długie kolorowe sari i Ciemne szmaty. Ich właścicielki, czarnoskóre kobiety o gołych nogach ozdobionych bransoletami, stoją po uda w wodzie, myją się i piorą. Rosną tam trzy drzewa, ale poza tym cały krajobraz wydaje się jałowy, wyniszczony. Wrony kraczą, trzepoczą skrzydłami i krążą w górze, kierując się nad rzekę, której stąd, z trasy siostry

¹ *Ramajana* — największy (poza *Mahahharalg*) epos staroindyjski, powstały w okresie od II w. p. n. e. do II w. n. e.

112

Ludmiła, nie widać. Ale od rzeki bije zapach i można się jej domyślić za wzniesieniem, gdzie teren najwyraźniej opada, po czym wznosi się znów dużo dalej. Po drugiej stronie rzeki są składy i zabudowania kolejowe. Siostra Ludmiła szła uliczką wzdłuż zakrętu rzeki prosto do wyrwy w murze, która swego czasu była bramą. Za murem stoją trzy przysadziste jednopiętrowe budynki, zabytki z początków XIX wieku, kiedyś opuszczone, walące się, ale potem odremontowane i pomalowane farbą klejową na biało, spokojne, ciche, bez żadnych ozdób, i czwarty budynek, postawiony niedawno, już nowoczesny. W tamtych czasach to był „Azyl”, teraz to ma inną nazwę.

— Siostra Ludmiła? Siostra? Nie pamiętam. — Chwila milczenia. — Ach, przypominam sobie, owszem. „Przywdziej szatę skromności.” Tak powiedział Bóg. Więc usłuchałam. Wkroczył tu ksiądz, kipiał gniewem, więc wyrzuciłam go. Kiedy odszedł, zapytałam Boga, czy postąpiłam mądrze. Mądrze i dobrze — powiedział Bóg. I śmiał się. Lubi dobre żarty. Jeśli Bóg nie jest nigdy zadowolony, jakaż istnieje możliwość zadowolenia dla nas? Twarze mamy takie bolesciwe. Nie uśmiechamy się, kiedy odmawiamy pacierze. A czyż można znieść myśl o wieczności w niebiosach, w których nie wolno się śmiać? I skoro już o tym mowa, nie wolno też płakać. Czyż nasza zdolność do śmiechu i płaczu nie jest miarą naszego człowieczeństwa? No, ale mniejsza z tym. Nie po to pan tu do mnie przyjechał. Nie podziękowałam panu. Więc dziękuję teraz. Ostatnio niewielu miewam gości. Po ich odejściu On mi ich opisuje.

„Przykro mi, że straciłaś wzrok — powiedział — ale nic na to nie poradzę, chyba że chcesz cudu.”

„Nie — powiedziałam — żadnego cudu, dziękuję. Przyzwyczaję się do mojej ślepoty i Ty mi, przecież, pomożesz.”

Zresztą, kiedy się żyje już tak długo i przeważnie leży się w łóżku, bo z trudem się kuśtyka o laskach, wzrok nie jest konieczny. Trzeba by trzech cudów: jednego dla oczu, drugiego dla nóg i trzeciego, który by mnie uczynił o dwadzieścia lat młodszą. Trzy cudy dla jednej starej kobiety! Marnotrawstwo! Poza tym — powiedziałam Mu — cudy mają przekonać nie przekonanych. Za kogo Ty mnie uważasz, Boże, za niewierzącą?

Po pana odejściu dowiem się, kim pan jest i jak pan wygląda. To znaczy, z Jego punktu widzenia. Dla mnie prawie lepiej, że sama nie widzę. Czuję się teraz bliżej Boga. Ostatnio bywa zabawnie, kiedy mówi mi któraś z moich tutejszych opiekunek:

„Siostró, nie słyszy siostró, deszcz bębni o dach.”

„Dziś jest upał bez deszczu” — mówi On po jej odejściu, kiedy już się pomodłę, żeby Go wezwać. Moje modlitwy zawsze Go sprowadzają. Choćby nie wiem jak był zajęty, znajduje czas i przychodzi do mnie na chwilę, zanim zasną. Najczęściej mówi o dawnych czasach.

113

„Dzisiaj w ten słoneczny upalny dzień poszłaś do banku — mówi — chyba pamiętasz. I chyba pamiętasz, z jaką ulgą odetchnęłaś, kiedy pan Gowindas przyjął twój czek i dał kasjerowi, a kasjer wypłacił ci dwieście rupii. Pamiętasz, jak mi podziękowałaś? «Boże, dziękuję Ci — szepnęłaś tak cicho, że tylko ja mogłem dosłyszeć — dziękuję Ci, że te pieniądze się skończyły.» I przypomniłaś sobie, jak dawno, bardzo dawno temu w Europie twoja matka mówiła: „Pieniądze się skończyły. Czy należę do kobiet, które mają umrzeć z głodu? Czy nie urodziłam się do najlepszego życia?»”

Kochałam moją matkę. Uważałam, że jest piękna. Kiedy miała dobrą passę, dawała pieniądze zakonnicom.

„One tak się ubierają specjalnie — wyjaśniła mi, bo ją zapytałam. — To są szaty skromności, które kazał im przywdziać Bóg.”

Kiedyś zakonnice przechodziły obok nas ulicą.

„Siostró — powiedziała mama do jednej z nich — mam tu coś do waszej puszki.”

Ale one szły dalej. Mama wołała za nimi. Miała wtedy bardzo dobrą passę. Kupiła rękawiczki dla nas obu i połędwicę. Chciała dać siostróm pieniądze, ale one minęły nas i szły dalej. Krzyknęła za nimi:

„Czy nie jesteśmy wszyscy zależni od zrzędzenia losu? Czy jedna moneta jest bardziej splamiona niż druga?”

Pan rozumie...? Tak, pan rozumie. To było w Brukseli. Pamiętam, miałyśmy tam wspaniałe mieszkanie, a potem bardzo nędzne. „Niedługo wrócimy do Petersburga” — mówiła mama. Ale kiedy indziej mówiła, że wrócimy do Berlina, a jeszcze kiedy indziej, że do Paryża. Więc dokąd? — zastanawiałam się — gdzie jest nasze miejsce? Żyliśmy w nastroju tymczasowości. Jeszcze nie ukończyłam sześciu lat, a już to/wyczuwałam. I od tamtych czasów nie wyzbyłam się tego wrażenia. Jestem o sześć lat starsza niż dwudziesty wiek. Był wtedy rok tysiąc dziewięćsetny. Pamiętam, jak mama powiedziała:

„Dzisiaj jest pierwszy dzień nowego wieku.”

To była radosna chwila. Miałyśmy rękawiczki i ciepłe płaszcze, i porządne mocne buciki. Czar Bożego Narodzenia jeszcze nie uleciał z miasta. I ludzie na ulicach cieszyli się, podnieceni tym, że zaczęło się nowe stulecie. Mama powiedziała:

„Ten rok będzie dla nas szczęśliwy.”

Och, trzymała mnie za rękę i tak ciepło nam było w rękawiczkach! I tak ładnie wyglądało nasze odbicie w szybach wystawowych — mama pochylona nade mną, żeby mi coś obiecać czy powiedzieć, na jaki wpadła pomysł. Palec w rękawiczce przytknęła do szyby, kiedy mi wskazywała otwarte pudełko lukrowanych owoców w gniazdkach z papierowej koronki. Jakiś pan w palcie z futrzanym kołnierzem uchylił przed nami kapelusza. Mama odpowiedziała skinieniem głowy. Szliśmy dalej w ulicznym tłoku. Park i zamrznięty staw. Kramarka sprzedawała pieczone kasztany. Może to było w innym mieście, innej zimy. Ale wszystkie uroczne wydarzenia z dzieciństwa jakoś się gromadzą, zwierają i kojarzą mi się właśnie z tamtym szczęśliwym pierwszym dniem nowego

114

tulecia i z naszym szczęśliwym rokiem po Bożym Narodzeniu w ciepłe, w sytości z lalką o lnianych włosach i oczach jak bławatki. Dostałam ją na Gwiazdkę od tego pana, który palił cygara. Wszystko to, co się wtedy wydarzyło, a nie było iroczne, kojarzy mi się z innymi czasami, z dniem, kiedy siostry nie chciały rzyjąc wsparcia od mojej matki. Wtedy musiałam być już trochę starsza. I chyba mieszkaliśmy wówczas w nędznym mieszkaniu. Za pieniądze, których zakonnice nie chciały przyjąć, mama kupiła mi cukierki... takie pałeczki i migdały w cukrze. Patrzyłam, jak mama daje te splamione monety subiektowi i bierze od niego dwie papierowe torebki. Podała mi je ręką w rękawiczce. Bałam się iodyczy kupionych za pieniądze, których siostry nie chciały przyjąć, bo dla mnie to znaczyło, że nie chciał od nas przyjąć pieniędzy sam Bóg... myślałam, że zakonnice bezpośrednio porozumiewają się z Bogiem.

„Dlaczego one są tak ubrane?” — zapytałam.

A mama odpowiedziała:

„Bóg kazał im przywdziać szaty skromności.”

Każdy postępek zakonnicy miał stempel specjalnego pełnomocnictwa bożego, niezupełnie rozumiałam znaczenie słowa „splamione”, ale zlekkałam się, że skoro mama zapłaciła za słodczye splamionymi pieniędzmi, to i same te słodczye się splamiły, i rękawiczka na ręce mamy też. Więc i moja rękawiczka się splami, brud przeleknie przez miękką skórę rękawiczki mamy w moją dłoń. Najgorsze jednak było jeczenie, że Bóg nie chce mieć z nami nic wspólnego. Te siostry są Jego specjalnym larzędziem. Posłużył się nimi, żebyśmy wiedziały, że odwrócił się od nas.

Ala właśnie wtedy pojęłam nagle prawdę! Jak mogłam być tak ślepa? Przecież Bóg rozgniewał się na siostry o to, że nie przyjęły pieniędzy, które mama im ofiarowała! Nie byłam pewna, co to jest skromność, ale jeśli kiedyś Bóg musiał nakałać, żeby one przywdziały szaty skromności, czy to nie oznaczało raczej kary dla lich niż łaski? Czy to nie są również szaty pokuty? Co one zrobiły takiego, że aż nuszają być tak szczególnie ubrane? Jakie okropne szaty Bóg każe im włożyć teraz, eby je ukarać jeszcze bardziej? Odmówiły pieniędzy. Te pieniądze miały pomóc udziom, a Bóg powiedział, że trzeba pomagać ludziom biednym i głodnym. Strasznie biedni muszą być tacy ludzie, jeżeli są biedniejsi niż my i głodni zawsze, bez przerwy! A siostry, chociaż muszą chodzić po ulicach ubrane w szaty skromności, do pokutują za swoje dawne złe uczynki, na domiar złego wpędziły tych biedaków w jeszcze straszniejszą biedę i większy głód. Może Bóg teraz oznaczy im czoła brzydkimi czerwonymi znamionami, żeby biedacy już z daleka schodzili im z drogi? Albo każe im włożyć takie szaty, że będą się bały pokazać na ulicy, bo wszyscy by się z nich wyśmiewali, obrzucaliby je kamieniami? Przyluliłam się do ręki mojej matki.

Zapytałam:

„Mamo, co On im zrobi?”

Patrzyła na mnie, nie zrozumiała, więc powtórzyłam:

„Co On im zrobi? Bóg. Co robi tym siostróm teraz?”

Nie odpowiedziała, tylko ruszyła dalej i mocno trzymała mnie za rękę. Minęłyśmy żebraczkę. Zapałam się nogami, zatrzymałam mamę.

115

„Musimy jej dać trochę pałeczek” — powiedziałaś.*

Mama roześmiała się. Dała mi monetę zamiast t W:~ĆMieflc6#.~PołozylSlif«. W monetę na brudnej dłoni żebraczki. Powiedziała:

„Niech cię Bóg błogosławi!”

Bałam się, ale miałyśmy porządne buciki i rękawiczki, i ciepłe płaszcze, i błogosławieństwo Boga, i naprawiłyśmy krzywdę, którą wyrządziły siostry. I w domu był kominek, mogłyśmy rozpać ogień i miałyśmy jeszcze pałeczki i migdały. Zapytałam mamę:

„Czy ten rok jest dla nas szczęśliwy?”

Bo dopiero wtedy poczułam, że wiem, co ona przez to rozumie. Szczęście jest uczuciem ciepła w sercu. Kiedy

raptem się czuje uśmiech na swojej twarzy i już nawet nie wiadomo, co go wywołało. Często widywałam taki uśmiech na twarzy mojej matki.

— „Azyl”? Owszem, zmienił się. Teraz to jest sierociniec. Postawili jeszcze jeden budynek i prowadzi to wszystko komitet hinduskich filantropów. Mało kto pa mięta tamtą starą nazwę. „Azyl”. Z łaski Boga pozwolili mi tu zostać, dokonać życia tutaj, w tym pokoju. Czasami dzieci podchodzą do okna, zagląдают. Trochę się mnie boją, trochę bawi je widok starej kobiety przykutej do łóżka. Słyszę ich szepty i wyobrażam sobie, jak podnoszą nagle ręce, żeby zasłonić buzie, stłumić śmiech. Słyszę wołanie którejś wychowawczynie, a potem tupot ich bosych małych nóg i po chwili krzyki gdzieś daleko. Wtedy wiem, że już zapomnieli o mnie, chociaż mój widok jeszcze przed chwilą je urzekał i sprawiał im taką uciechę. Jedna dziewczynka przynosi mi aksamitki. Mają zapach słodko-gorzki, łożyki i liście trochę lepkie pod dotknięciem. Jej rodzice umarli z głodu w Tanpurze. Ona ich nie pamięta. Opowiadam jej różne historie z *Ramajany* i baśnie Hansa Andersena i czuję, jaka jest zadziwiona, jak wpatruje się gdzieś poza mnie w krainę legendy i fantazji i widzi rzeczywistość w złudzeniu. Słepota jest błogosławieństwem dla starych ludzi. Teraz dziękuję za nią Bogu. Kiedyś płakałam, bo tak bardzo lubiłam patrzeć na świat. Ale otarłam łzy. Nie chciałam Jemu zawracać tym głowy, więc tylko się uśmiechnęłam i powiedziałam: „Wszystkiego najlepszego”, kiedy On przy szedł, żeby powiedzieć, że Mu jest przykro.

„Wszystkiego najlepszego — powiedziałam. — Świat, który stworzyłeś, jest cudowny. Jak jest w niebiosach?”

„Siostrze Ludmiło — odrzekł — tak samo jak tutaj.

Bo weszło Mu w zwyczaj nazywanie mnie siostrą Ludmiłą ze względu na dawne czasy, a może i ze względu na Siebie.

„Czy zostało mi wybaczone?” — zapytałam.

„Co?” — zapytał.

„To, że nazwałam się siostrą Ludmiłą. To, że pozwalałam, żeby nazywali mnie siostrą. To, że przywdziałam szatę skromności.”

„Co znaczy ta bzdura? — zapytał. — Słuchaj, wyobraź sobie, że dzisiaj znów jest

116

środa. Jest upał, słonecznie, i pan Gowindas honoruje twój czek. On honoruje twoje czeki, a Ja miałbym wstrzymać wypłatę? Dlaczego tak myślisz?”

Bóg jest, wie pan, bardzo życiowy.

Ale pan przyjechał nie po to, by rozmawiać o tym. Proszę mi darować. Pozwoli pan jednak, że niewidoma stara kobieta coś panu powie: Ma pan głos człowieka, dla którego nazwa Bibighar nie jest treścią samą w sobie ani określeniem sprawy, którą można otworzyć o takiej to a takiej godzinie i zamknąć takiego to a takiego dnia. I pozwoli mi pan na jeszcze jedno spostrzeżenie. Zbiera pan te materiały, wgłębia się w fakty, ale jednocześnie pan rozumie, że poszczególne wydarzenia historyczne nie mają wyraźnego początku ani żadnego zdecydowanego zakończenia. Czas wydaje się skrócony przez wsunięcie okresu w okres, jak części teleskopu. Dobrze to powiedziałam? Okresy wsunięte jeden w drugi, przestrzeń zazębiona. Prawie tak, jak gdyby sprawy Bibighar jeszcze nie było, a jednak już była. Jak gdyby trzymał pan w stulonej dłoni jednocześnie przeszłość, teraźniejszość i przyszłość. Trasa, którą pan przyjechał, brama, którą pan wszedł między te budynki „Azylu”, jest moją trasą, chociaż dobudowali czwarty dom. Tą samą drogą wracałam tutaj, kiedy nieśliśmy bezwładnego młodego pana Coomera. Coomer. Harry Coomer. Czasami mówiło się Kumar. I nie Harry, tylko Hari. Włosy miał czarne, skórę ciemnobrązową, był stworzeniem ciemności. Piękny. Wspaniale umięśniony. Widziałam go bez koszuli, kiedy mył się przy pompie. Przy tamtej starej pompie. Już jej nie ma. Ale może pan sobie wyobrazić, gdzie była. Tam, gdzie teraz stoi ten nowy budynek, który wygląda, sądząc z tego, co mi opowiadają, jak fantazja Corbusiera. Czy tak?

...Ale w dawnych czasach, przed Corbusierem, była tam tylko pompa. I młody Kumar mył się tam rano po tamtej nocy, kiedyśmy go jak martwego znaleźli wśród pustkowia nad rzeką i przynieśli tutaj na noszach. Zawsze chodziliśmy w nocy z noszami. Kiedyśmy go tu przynieśli, pan de Souza zbażał go i parsknął śmiechem.

„Ten jest pijany, siostrze — powiedział. — Przez te wszystkie lata pracy tu u siostry wciąż, sobie mówiłem: pewnej nocy położymy na noszach i przyniesiemy nic niewarte ścierwo pijaka.”

De Souza. Nowe nazwisko dla pana? On pochodził z Goa. Była w nim domieszka krwi portugalskiej, ale po jakimś dawnym przodku. W Goa co druga rodzina nazywa się de Souza. Miał ciemną skórę, ciemniejszą o odcień, dwa odcienie od skóry młodego Kumara. Bo pan woli, żeby mówić Kumar. Więc dobrze. Ale słuchając tego chłopca myślało się, że on jest Coomer. I dopiero kiedy się na niego spojrzę... hm... Coomer z pewnością nie. Naprawdę jego nazwisko brzmiało oczywiście Kumar. Powiedział mi kiedyś, że stał się niewidzialny dla białych. Ale zauważyłam, jak białe kobiety przyglądają mu się ukradkiem. Pomimo swej ciemnej skóry był przystojny, po europejsku.

Tak też było z tym policjantem. Ten policjant tak samo mu się przyglądał. Zawsze wydawał mi się podejrzany. Blondyn, też przystojny, muskularny, z puszkami jasnych włosów na rękach. Oczy miał bładniebieskie. Jak oczy lalki. Wyglądał dobrze, ale

117

pachniał mi niedobrze. Pachniał mi zupełnie źle, a ja świat już poznałam z niejednej strony.

„A on to kto? — zapytał. — Również pani pomocnik? Ten chłopiec, który tam się myje przy pompie?”

To było wtedy rano, kiedy policja przyjechała do „Azylu” na pół roku przed sprawą Bibighar. Szukali kogoś. Kogo i dlaczego, mnie niech pan nie pyta. Ktoś opublikował jakiś buntowniczy paszkwil, podburzał robotników do strajku czy zamieszek, opierał się aresztowaniu, uciekł z więzienia, nie wiem. Brytyjski radz mógł robić wszystko. Prowincja wróciła pod panowanie brytyjskiego gubernatora, bo ministrowie kongresowi podali się do dymisji. Wicekról wypowiedział wojnę. Więc Kongres oświadczył: Nie, my wojny nie wypowiadamy, i odrzekł się ministerstw. Wszystko, co obrażało uczucia brytyjskie, było przestępstwem. Człowiek mógł dostać się do więzienia bez procesu. Nawet to, że sklepikarz zamykał swój sklepik w nieprzepisowym czasie, podlegało karze. Teraz, kiedy się słyszy o takich rzeczach, kiedy się czyta o nich, wprost nie chce się wierzyć. Ale wtedy nie było w tym nic dziwnego. Kiedy żyjemy wśród takich rzeczy, one nigdy nie wydają się dziwne.

Więc Merrick, ten policjant z jasnym puszkami na czerwonych rękach, policjant o porcelanowoniebieskich oczach, przyglądał się młodemu Kumarowi przy pompie zupełnie tak jak inne osoby, co zauważyłam później w innych sytuacjach. Wagi tego faktu nie doceniłam. Zresztą nawet gdybym doceniła, cóż mogłabym była wtedy zrobić? Wmieszałabym się w to? Tak bym wszystko załatwiła, że w pół roku potem nie doszłoby do sprawy Bibighar?

Dla mnie sprawa Bibighar zaczęła się tamtej nocy, kiedy znaleźliśmy młodego Kumara na nieużytkach nad rzeką. Leżał nawet niezbyt daleko od szalasów i ruder niedotykalnych, ale pora była późna i nigdzie światła się nie paliły. Znaleźliśmy go zupełnie przypadkowo. Po conocnym przeszukiwaniu bazaru już wracaliśmy drogą koło świątyni Tirupatiego i brzegiem rzeki po drugiej stronie zbiornika wody, tam, gdzie niedotykalne robią pranie. Widział je pan jadąc tutaj.

Może pan sobie wyobrazić ten nasz patrol: pan de Souza pierwszy z latarką elektryczną, ja za nim, za mną chłopiec ze złożonymi noszami na ramieniu i z grubym kijem w ręce. Tylko jeden jedyny raz w ciągu tych wszystkich lat napadnięto nas, ale napastnicy uciekli, kiedy chłopiec rzucił kij i natarł na nich wywijając noszami, jak gdyby nic nie ważyły. Ale to był zuch. Po miesiącu taki chłopiec, potrzebny mi głównie przy dźwiganiu noszy, zaczął się nudzić, a kiedy się nudził, przychodziły mu do głowy różne głupstwa. Nigdy nie obiecywałam tym chłopcom pracy na dłużej niż cztery, pięć tygodni. Po miesiącu rozglądałam się już za innym, włóczącym się po bazarze, silnym i prosto ze wsi, z któregoś z dalszych okręgów. Tacy szukali pracy w Majapurze, wydawało im się, że można od ręki zbić majątek. Czasami chłopak sam przychodził do mnie, bo słyszał o łatwym zarobku u białej wariatki, która nocą poluje po ulicach na umierających i zmarłych. Czasami ten poprzedni zazdrościł nowemu i paskudnie go obgadywał, ale na ogół odchodzili zadowoleni, z premią w kieszeni i świadectwem z pracy, w którym wychwa-

118

łałam ich uczciwość i dobre chęci. Paru z nich zaciągnęło się do wojska, bo nęciło ich życie, żołnierzy w koszarach, inni szli do służby u oficerów, jeden wylądował w więzieniu, jeden wyjechał do stolicy prowincji, żeby zostać policjantem. Policjanci często bywali w „Azylu”, więc patrzył na te mundury, na te władcze miny i podziwiał. Na wsi policjantami są miejscowi ludzie, nie imponują tak chłopcom jak policja tu, w mieście. Od niektórych dostawałam listy, donosili mi, jak im się powodzi. Zawsze mnie to wzruszało, bo wszyscy byli niepiśmienni, musieli płacić sporo pieniędzy za napisanie do mnie kilku linijek. Tylko raz się zdarzyło, że taki chłopiec wrócił do „Azylu” jako żebrak.

Szliśmy po ciemku.

„Tam — zawołałam do pana de Souzy — niech pan poświeci latarką. Tam w rowie.”

W tamtych czasach wzrok miałam sokoli. Znałam każdą piędź naszej drogi. Wiedziałam, gdzie jest nasyp, a gdzie tylko cień, gdzie nie ma ani nasypu, ani cienia. Są obrazy, które pozostają żywe w pamięci nawet po wielu latach, obrazy połączone z uczuciem, jakiego doznało się w owej chwili. Nieraz się wie, że dany obraz zostanie w pamięci na zawsze, wybrany spośród setek innych obrazów każdego dnia. Ach — myśli się — tego nie zapomnę. Nie, jednak nie. Niezupełnie tak jest. Nie myśli się. To jest wrażenie, a nie myśl. Wrażenie takie jak nagła, niewytłumaczalna zmiana temperatury. Myśli się dopiero po pewnym czasie: Chyba tego nie zapomnę nigdy.

Więc tak było, pan rozumie, tamtej nocy, pierwszej nocy młodego Kumara. Jego twarz w świetle latarki, pan de Souza i ja prawie na klęczkach przy nim, nad nami, nad tym rowem, chłopiec ze zwiniętymi noszami przerzuconymi przez ramię, młody olbrzym, ciemna sylwetka na tle gwiazd. Podniosłam wzrok w górę i kazałam mu przygotować nosze. Zapach rzeki był bardzo mocny. W bezwietrzną noc, chociaż ziemia stygnie, woda jest nadal ciepła, więc nad rzeką ten zapach wprost bucha. Jeżeli wiatr wieje, zapach przenika do „Azylu”. Od świątyni rzeka płynie prosto wzdłuż tych nieużytków, obszaru wyznaczonego dla wykluczonych z kasty. Tam oni mogą wchodzić do rzeki, bo nie zanieczyszczają wody, w której kąpią się kastowi hindusi. Tylko że nie bierze się przy tym pod uwagę zanieczyszczeń z miasteczek w górze rzeki, za Majapurcm. Na nieużytkach, gdzie klęczeliśmy w rowie, zapach rzeki łączył się z zapachem ekskrementów. O świcie niedotykalni się wypróżniają. Straszne to miejsce, jeśli się tam jest bez błogosławieństwa Boga. Biedny Kumar tam właśnie leżał. W miejscu

ludzkiego poniżenia. W Indiach ludzie nadal umierają pod gołym niebem, bo nie ma dla nich pomocy, nie ma schronienia, nie ma szacunku dla dostojności śmierci.

„Kto to jest, panie de Souza?” — zapytałam.

Normalne pytanie. Pan de Souza znał mnóstwo ludzi. To był pierwszy krok w kierunku ustalenia tożsamości. Czasami pan de Souza wiedział. Czasami ja wiedziałam. Czasami wiedział chłopiec, który niósł nosze. Że jakiś biedak, na przykład, kona z głodu albo zmogła go jakaś choroba, a nic chciał iść do szpitala i z własnej woli nie przyjdzie do „Azylu”, samotny, bo jego bliscy pومیerali

119

albo zaginęli, albo rozjechali się w różne strony, nędzarz bez żadnej nadziei w tym życiu, zanim odejdzie w jakieś może szczęśliwsze wcielenie czy w wieczny błogostan. Więc na ogół wiedzieliśmy, gdzie takich ludzi szukać — mężczyźni i kobiety również — i nadchodziła noc, kiedy można było dźwignąć ich na nosze, już niezdolnych do protestu, niezdolnych do odczuwania klęski, i przenieść do „Azylu”. Za opłatą kapłani-bramini zajmowali się ich zwłokami, żeby godnie zostały usunięte z tego świata. Hinduiści zabierali od nas swoich zmarłych, mahometanie swoich, państwo zabierało swoich, tych, których nie udało się zidentyfikować. Przewożono ich do kostnicy i jeśli w ciągu trzech dni nikt się po nich nie zgłosił, dawano studentom w szpitalu. Co dzień rano przychodzą do „Azylu” kobiety, niespokojne, bo mąż, syn, a w niejednym chyba wypadku kochanek nie wrócił na noc do domu. I często przyjeżdżała policja. Ale to wszystko nie było moją domeną. Załatwianie tego pozostawiałam panu de Souza. Moją domeną byli umierający, a nie zmarli. Dla zmarłych nic nie mogłam zrobić. Umierającym mogłam ofiarować tę odrobinę, to, czego ani ode mnie, ani od zakonnicy nie mogła, bo tak się złożyło, dostać moja matka. Czyste łóżko, przyjazną dłoń do trzymania, słowo, które by dotarło poprzez warstwy nieprzytomności i ogrzało zimne, coraz mniejsze siedlisko uchodzącej duszy.

„Kto to jest?” — zapytałam pana de Souza.

Pan de Souza był człowiekiem o wielkim sercu i nieprzeciętnych zdolnościach. Katolik odstępcą. Pracował w „Azylu” za nocleg, utrzymanie i odzież.

„Nie wiem” — odpowiedział.

Odwrócił młodego Kumara, żeby zobaczyć, czy ma rany na plecach. Kumar, kiedyś go znaleźli, leżał częściowo bokiem, inaczej, niż zwykle leżą pijani. Ktoś, wie pan, był tam przed nami i przetrząsnął mu kieszenie — ktoś z lepiank, kto widział, jak on idzie sam nad rzekę i jak się zatacza. Ktoś, kto już z jego portfelem wrócił do domu, zgasił światło, udawał, że śpi. W lepiankach panowała nienaturalna, pełna czujności cisza.

Odwróciliśmy młodego Kumara na wznak i znów oświetliliśmy latarką jego twarz. To właśnie pamiętam. Ten obraz. Twarz nieruchoma, pomimo że odwracaliśmy go parę razy. Oczy zamknięte. Czarne kędziory nad czołem, które nawet w tym stanie omdlenia było pobrużdżone chyba gniewem. Och, zawziętym oporem. Taki wyraz często widywało się na twarzach młodych Hindusów w tamtych czasach. Ale na twarzy Kumara zaznaczał się ze szczególną mocą. Dźwignęliśmy go na nosze. Szłam pierwsza z powrotem tutaj do „Azylu”. Wnieśliśmy go tu, do tego pokoju, gdzie jesteśmy, pan siedzi, ja leżę. Tu mieściło się kiedyś biuro pana de Souza. Ja miałam pokój w sąsiednim budynku. Była tam wtedy przychodnia lekarska, teraz jest szpitalik dla dzieci. I właśnie tu, w tym pokoju, pan de Souza pochylał się nad młodym Kumarem i nagle parsknął śmiechem.

„Ten jest pijany, siostrze — powiedział. — Odkąd tylko zacząłem pracować u siostry, czekałem, kiedy się okaże, że przynieśliśmy nic niewarte ścierwo pijaka.”

120

Ten — powiedziałam — jest bardzo młody. Skoro się upił, widocznie był nieszczęśliwy. Niech leży tu sobie.” . Więc leżał. Przed pójściem spać pomodliłam się za niego. Co noc zasypiałam ze wspomnieniem twarzy ludzi, których ostatnio uratowaliśmy. Tym razem było mi prawie przyjemnie, że to twarz młodego chłopca, nie umierającego ani nie poturbowanego. Chodziliśmy, wie pan, w takie miejsca, gdzie policjanci woleli nie chodzić, bo bali się napaści. Dlatego czasami przynosiliśmy pobitych i rannych. Wtedy zawiadamialiśmy policję. Czasami policja zaglądała tu z własnej inicjatywy, tak jak właśnie w tamten poranek po przyniesieniu młodego Kumara. Ale nigdy dotąd nie przyjeżdżał sam okręgowy nadinspektor policji. Gdyby przyjechał o jeden dzień wcześniej albo później, może by nie doszło do sprawy Bibighar. Może nazwa Bibighar kojarzyłaby się tylko z tymi resztkami ruin i ogrodem. Ale on przyjechał właśnie tamtego dnia. Merrick. W koszuli z krótkimi rękawami. Ręce miał opalone na czerwono, niebieskie oczy takie klarowne, tyle w nich zdecydowania, żeby nic nie przeoczyć, tyle chęci, szalonego pragnienia, żeby wypatrzeć dowód. Ach, ale czego?

„Chcę się zobaczyć — powiedział — z kobietą, która nazwała się siostrą Ludmiłą.”

Pan de Souza odpowiedział:

„To my ją tak nazywamy.”

Pan de Souza nie bał się nikogo. Ja byłam za ścianą, w małym pokoiku, gdzie teraz są szafy z odzieżą dzieci, książki, materiały piśmienne, gry, piłki i kije do krykieta, ale w tamtych czasach mieliśmy lam apteczkę, zamknięte na klucz specjalne lekarstwa od doktora Gulaba Singha Sahiba i sejf z pieniędzmi, które pobierałam co tydzień z majapurskiej filii Banku Imperialnego. Drugi klucz do sejfu miał pan de Souza. On sypiał tutaj, gdzie ja teraz leżę, jego biurko stało tam, gdzie pan siedzi, a przy oknie... właśnie przez to okno zaglądają do mnie dzieci... tam, pod lampą, klóra wieczorem już nie razi mnie w oczy, był stół. Przy stole kładliśmy nosze, kiedyś wracali. Czasami wychodziliśmy w ciągu nocy kilka razy. Więc Merrick wszedł tu do biura w tamtą środę wczesnym rankiem. Otwierałam właśnie sejf, żeby wziąć torebkę i książeczkę czekową. Przez otwarte drzwi

słyszałam, jak on mówi:

„Chcę się zobaczyć z kobietą, która nazwała się siostrą Ludmiłą.”

„To my ją tak nazywamy — powiedział pan de Souza. — W tej chwili jest zajęta. Może ja mógłbym czymś służyć?”

A Merrick zapytał:

„Kim pan jest?”

A pan de Souza uśmiechnął się, usłyszałam ten uśmiech w jego głosie.

„Nikim. Nie jestem wart pańskiej uwagi.”

W tak zwanej transkrypcji policyjnej ta jego odpowiedź mogła się wydawać służalcza. Dla mnie zabrzmiała wyzywająco, więc weszłam i powiedziałam:

„Ja to załatwię, panie de Souza.”

I zobaczyłam tam Merricka w szortach, w koszuli z krótkimi rękawami. Miał

121

trzcinkę pod pachą, pas oficerski z pistoletem w futerale. Patrzył na nas badawczo tymi porcelanowoniebieskimi oczami.

„Pani Ludmiła Smith? — zapytał. Przytaknęłam. — Jestem Merrick — przedstawił się. — Okręgowy nadinspektor policji.”

To już wiedziałam. Widywałam go na kofiuu, kiedy komenderował policją utrzymującą porządek w czasie zgromadzeń w święta i widywałam go w szoferce ciężarówki policyjnej na Moście przy Bramie Mandir. Przyjechał do „Azylu” z Radzendrą Singhem, szefem policji miejscowej, który brał łapówki i kradł zegarki aresztowanym. Radzendrą Singh właśnie miał na ręce taki skradziony zegarek. Ładniejszy niż zegarek na ręce Merricka, ale nie tak dobry. Hindusi zawsze mają słabość do tandety, Anglicy lubią prostotę i funkcjonalność. Ale nic z prostoty nie było w samym Merricku. I funkcjonował wadliwie, jak zegarek, który chodzi w kierunku odwrotnym. W południe pokazywał północ, oczywiście, jeśli się o tym wiedziało. Może nikt nie zdołałby przechrzyć przeznaczenia, ułożyć wszystkiego w taki sposób, żeby Merrick i Kumar nigdy się nie spotkali. Ale żałuję, że spotkali się tutaj, chociaż prawdopodobnie to również było im sądzone, pisane na tych ścianach już wtedy, gdy weszłam tu po raz pierwszy, zobaczyłam te walące się domy i uznałam, że posłużą mojemu celowi.

„Mogę panu w czymś pomóc?” — zapytałam.

Odpowiedziałam panu de Souzemu ruchem ręki, bo wiedziałam, że to się Merrickowi spodoba. Ale jednocześnie zaznaczyłam tym gestem, że ja tu rządzę. Biały czepek, szata skromności. Mundur dorównujący mundurowi Merricka. Nie na próżno żyje się w świecie spraw urzędowych. Poznaje się prawidła, zwyczajowe prawa, boczne dróżki w labiryncie protokołu. Wskazałam panu Merrickowi krzesło pana de Souzy, ale on wolał stać. Powiedział, że chce przeszukać „Azyl”. Znowu gestem wyraziłam zgodę czy przynajmniej pogląd, że szkoda fatygi na sprzeciwianie się temu. Że, co więcej, samo przeszukiwanie jest fatygą, którą pan Merrick nie mnie, tylko sobie zadaje. Nawet nie zapytałam, kogo czy czego będzie szukał. Wiele rzeczy można by powiedzieć w takich okolicznościach. Może bym nawet powiedziała je wszystkie, gdybym miała mniej doświadczenia i nie potrafiła rozmawiać z władzami. Ale on był bystry. Spojrzał na mnie i wyczytałam mu z oczu, że instynktownie odgadł powody mojej ugodowości. Domyślił się, że nie mam nic do ukrywania, ale też. Domyślił się, że chociaż jestem kobietą mającą więcej szczęścia niż rozumu, szczęście przecież nie zawsze mi dopisuje.

„Od czego zaczniemy?” — zapytał.

Powiedziałam, że od czego tylko sobie życzy. Kiedy wyszłam z nim na dwór, ujrzałam przy bramie jego ciężarówkę i policjanta na posterunku, a potem, kiedy już przeszukał dwa pierwsze budynki, zobaczyłam, i dobrze ten widok pamiętam, młodego Kumara bez koszuli, pochylonego pod pompą. Wyprostował się. Byliśmy w odległości chyba stu jardów od niego. Rozejrzał się wokoło. Merrick stanął jak wryty. Wlepił w niego wzrok.

„A to kto? — zapytał. — Czy to także pani pomocnik?”

122

Zawołałam pana de Souzemu, który szedł za nami.

„Nocował u nas — wyjaśniłam Merrickowi. — Pan de Souza chyba zna jego nazwisko.”

Pan rozumie, wtedy jeszcze nie rozmawiałam z Kumarem, ale rano pan de Souza mi powiedział, że ten chłopiec czuje się dobrze, tylko ma kaca, nie jest komunikatywny ani szczególnie wdzięczny za przyniesienie go do „Azylu” i dotąd swego nazwiska nie podał. Pomyślałam, że może kiedy Merrick przeprowadzał rewizję, pan de Souza podszedł do chłopca i szepnął: „Słuchaj, przyjechała policja. Kim ty jesteś?” — i wtedy się dowiedział,

i „Panie de Souza — zapytałam — ten młody, który nocował u nas...?”

Pan de Souza odpowiedział wymijająco:

„Jak siostra widzi, już jest w dobrej formie i może odejść.”

„Obawiam się, że nikt stąd nie odejdzie, dopóki ja na to nie pozwolę” — powiedział Merrick nie do mnie, tylko do Radzendry Singha. Sprytnie unikał, pan rozumie, utarczki.

„Więc jesteśmy wszyscy aresztowani?” — zapytałam, ale ze śmiechem, i wskazałam trzeci budynek, żeby on widział, pan rozumie, że aresztowana czy nie, chcę go tam zaprowadzić.

Uśmiechnął się i wyjaśnił, że jak niewątpliwie się domyślałam, szukają kogoś, a potem ruszył ze mną i z panem

de Souza dalej. Radžendra Singh jednak został za nami. Został najwidoczniej na jakiś znak Merricka, żeby mieć oko na Kumara. Kiedy doszliśmy do trzeciego budynku, Merrick przystanął na schodkach werandy i odwrócił się. Więc ja także. Kumar już się kończył myć pod pompą. Młody Radžendra Singh stał nieruchomo w rozkroku, z rękami założonymi z tyłu. Spojrzałam na Merricka. On też patrzył na chłopca. Tworzyli trójkąt: Merrick, Kumar, Radžendra Singh. Trójkąt równoramienny. Taki właśnie był ten niebezpieczny układ, geometryczny symbol spotkania trzech osobowości.

„Tu, gdzie teraz jesteście — zapytał Merrick, ale patrzył nie na mnie, tylko nadal na Kumara — to tak zwany Dom Śmierci?”

Roześmiałam się. Powiedziałam, że o ile wiem, czasami tak ten dom nazywają ludzie, którzy nigdy nie byli w „Azylu”.

„Czy są dziś jacyś zmarli?” — zapytał.

„Nie, dzisiaj nie ma. Od kilku dni nie ma.”-

„Bezdomni?”

„Nie. Ja tu nie prowadzę przytułku dla bezdomnych.

„Głodni?”

„Głodni wiedzą, w jakie dni wydajemy ryż. Dzisiaj nie wydajemy.” :

„Chorzy?”

„Przychodnię otwieramy wieczorem. Korzystają z niej tylko ci, którzy nie mogą sobie pozwolić na okrojenie godzin porannej czy całodziennej pracy.”

„Ma pani kwalifikacje do leczenia ludzi?”

„Przychodnię prowadzi pan de Souza. Zrezygnował z płatnej praktyki felczerskiej, żeby pracować u mnie za darmo. Zwierzchnicy miejskiej służby zdrowia

123

nieraz przyjeżdżają do nas. Aprobują to, co zastają. Pan jako okręgowy nadinspektor policji na pewno wie o tym.”

„Co z umierającymi?”

„Ochotniczo zajmuje się nimi doktor Krisznamurti, a także doktor Anna Klaus ze szpitala kobiecego. Może pan też oczywiście sprawdzić tytuł własności tej ziemi i zabudowań.”

„To dziwna instytucja” — powiedział Merrick

„To dziwny kraj.”

Wesłam z nim do trzeciego budynku. Mieliśmy sześć łóżek w jednym pokoju, cztery w drugim. W latach głodu łóżka zawsze były zajęte. Tak samo w latach cholery. W tamtym roku głód się nie szerzył ani nie wybuchła epidemia. Rzadko jednak zdarzał się tydzień, w ciągu którego nie były zajęte dwa na trzy z tych łóżek. Ale wtedy, w tamten poranek, wszystkie były wolne. Białe prześcieradła aż lśniły. Merrick, chociaż nic nie powiedział, nie krył zdumienia. Tak czysto? Tak wygodnie? Co? Dla tych umierających? Dla tych umierających w głodzie i brudzie? Marnotrawstwo! Idź na bazar, rozejrzyj się, a w ciągu paru godzin znajdziesz pacjentów na te wszystkie łóżka — pacjentów, którzy odniosą z tego korzyść, wyzdrowieją. Leczenie chorych dość jeszcze silnych, by wyzdrowieć, leży w usankcjonowanym interesie świata. Nagle odwrócił się, wyraźnie chciał coś powiedzieć, ale się rozmyślił. Koncepcja „Azylu” była dla niego niezrozumiała. Jeszcze nie pojął, że w tej sprawnie zorganizowanej cywilizacji pozostał tylko jeden rodzaj usług, jakie ja mogę oddawać. To jest służba, na którą w takim kraju jak Indie zabrakło urzędowego czasu i energii. Coś, na co taka kobieta jak ja może wydawać swoje nie zasłużone, nie zarobione i niepotrzebne jej rupie. Bo w tym życiu, w przeżywaniu tego życia żadna godność nie istnieje, z wyjątkiem chyba godności śmiechu.

Kiedy już wszystko, co najgorsze, świat zgotuje człowiekowi, a człowiek światu, przynajmniej wtedy niech człowiek zazna godności. Niech odejdzie w takim spokoju, jaki mogą mu dać czystość i wygoda. To zresztą niewiele.

Może w głębi ducha Merrick uświadamiał sobie znaczenie miejsca, gdzie stał w szortach i koszuli z krótkimi rękawami, w pasie oficerskim z pistoletem. Popatrzył na wyfroterowaną podłogę, a potem niedelikatnie, prawie jak dziecko, na moje ręce. Tak, moje ręce zawsze były gładkie i białe.

„Kto tu sprząta?” — zapytał.

„Każdy — odpowiedziałam — kto chce zapracować na parę rupii.”

Bo czemuż bym ja miała wykonywać tę pracę, skoro mogłam płacić rupiami nie zasłużonymi, nie zarobionymi, żeby napęliła garnek jadłem ta czy inna z niedotykalnych kobiet, takich, jakie na pewno widział pan po drodze, kiedy prały w nieświeżej wodzie zbiornika.

„Gdzie są dzisiaj ci pomocnicy?” — zapytał Merrick.

Poprowadziłam go przez podwórze za budynkiem do kwater mojego personelu. Może on też zobaczył różnicę pomiędzy miejscem zmarłych i miejscem żywych. Kuchnia zakopcona, lepianki kryte strzechą, ludzie, którzy zarabiali rupie,

124

zajmowali pomieszczenia uchodzące dla nich, żywych, za czyste, ale jeśli się je porównało z pokojami dla umierających, bardzo brudne. Kazał ludziom wyjść z kwater i stanąć na podwórzu. Sam wchodził do tych nor, ale nie znalazł nikogo, kto by się ukrywał.

Trzcinką wskazał ludzi.

„Pracują tu stale?” — zapytał.

Odpowiedziałam mu, że w „Azylu” nie ma stałych pracowników, najmuję ich i zwalniam bez skrępowań, bo chcę, żeby jak najwięcej biednych korzystało z tego, co mogę dawać.

„Czy pan de Souza też pracuje tu dorywczo?”

„Nie — odpowiedziałam — «Azyl» jest tak samo jego, jak mój. On rozumie cel «Azylu». Tych ludzi interesują tylko rupie.”

„W życiu — zauważył — rupie odgrywają istotną rolę.”

I nadal się uśmiechał. Ale uśmiech człowieka w pasie z futerałem na pistolet jest zawsze uśmiechem szczególnym. W czasie wielkiej wojny po raz pierwszy stwierdziłam, że człowiek uzbrojony uśmiecha się tak, że nie sposób odgadnąć, co sobie myśli. Tak właśnie uśmiechał się Merrick. Kiedy już się przekonał, że w Domu Śmierci nie ma żadnych sekretów, powiedział:

„A więc pozostaje tylko ten pani nocny gość.”

I wrócił na frontową werandę. W ten niebezpieczny układ geometryczny. Zatrzymał się na szczycie schodków, spojrzął tam, gdzie nadal stał Radžendra Singh, a potem przeniósł wzrok na Kumara przy pompie, zapinającego teraz koszulę. Z uśmiechem, powtarzam, z uśmiechem, Merrick powiedział:

„Dziękuję, siostrze Ludmiło. Już nie muszę zabierać pani więcej czasu.”

Zasalutował mi trzcinką, pana de Souza stojącego za nami zignorował i zszedł ze schodków. Podinspektor natychmiast podążył za nim. Obaj w kierunku młodego Kumara. A Kumar dalej robił swoje, stał tam, zapinał koszulę, podwijał mankiety. Czekał. Widział, że się zbliżają, ale nie próbował uniknąć spotkania. Nie ruszając się z miejsca, zapytałam po cichu pana de Souza:

„Kim jest ten chłopiec?”

„Nazywa się Coomer.”

„Coomer?”

„Właściwie Kumar. Bratanek, o ile wiem, bratowej Romeśa Canda Gupty Sena.”

„Aha — powiedziała i przypomniało mi się, że coś o tym słyszałam. Ale gdzie? Kiedy? — Dlaczego Coomer?” — zapytałam.

„Och, dlaczego? — powtórzył pan de Souza. — Lepiej, żebyśmy tam poszli. I to może być ciekawe.”

Więc poszliśmy w odległości kilku jardów za Merrickiem, tak że dosłyszeliśmy jego pierwsze słowa, te pierwsze słowa w sprawie, która doprowadziła do Bibighar. Kiedyśmy podchodzili, Merrick mówił. Wyraźnie. Jak do służącego. Takim tonem. Takim językiem. Urdu Anglika.

„Tumara nam kyli hai?”¹

¹ Forma grzecznościowa powinna brzmieć: ap ka nam kyn hai?

To znaczy: Jak się nazywasz? — użył tego poufałego „tum” zamiast formy grzecznościowej.

A Kumar? Minę miał zdumioną. Udawał, że jest zaskoczony. Zastosował się do sytuacji wymagającej, żeby był zaskoczony. Bo znajdował się w miejscu publicznym.

„Co? — zapytał. I dopiero wtedy usłyszałam jego głos. Jego doskonałą angielszczyznę. Akcent lepszy niż Merricka. — Niestety, nie mówię po indyjsku.”

Ta jego twarz. Ciemna. Urodziwa. Nawet według kryteriów europejskich Kumar był przystojny, o wiele przystojniejszy niż Merrick.

Inspektor Radžendra Singh wrzasnął na niego w hindi, żeby nie odpowiadał bezczelnie, kiedy sahib zadaje mu pytania. To okręgowy nadinspektor policji, niech więc on odpowiada należycie. Kiedy skończył wrzeszczeć, Kumar znów spojrzął na Merricka i powiedział:

„Ten człowiek chyba nie rozumiał. Nie ma sensu mówić do mnie po indyjsku.”

„Siostrze Ludmiło — zapytał Merrick, ale patrzył nadal na młodego Kumara — czy jest jakiś pokój, w którym moglibyśmy przesłuchać tego człowieka?”

„Przesłuchać? Z jakiej racji macie mnie przesłuchiwać?” — zapytał Kumar.

„Panie Kumar — powiedziała. — To są policjanci. Szukają kogoś. Ich obowiązkiem jest przesłuchanie każdego, kogo zastają tutaj, a za kogo ja nie mogę poręczyć. Przynieśliśmy pana tej nocy, bo kiedyś pana znaleźli w rowie, myśleliśmy, że jest pan chory albo ranny. Ale pan był tylko pijany. To nic strasznego. Tyle że potem ma się kaca. — Usiłowałam łagodzić, pan rozumie, wywołać śmiech czy przynajmniej uśmiech innego rodzaju niż uśmiech Merricka. — Proszę — powiedziała — proszę do kancelarii.”

I ruszyłam pierwsza, ale już sprawa Bibighar posunęła się za daleko. Zaczęła toczyć się w ciągu kilku sekund tak szybko, że nie dałoby się jej zatrzymać. Ponieważ Merrick był tym, czym był, i młody Kumar był tym, czym był, gdybyż oni się nie spotkali! Gdyby młody Kumar się nie upił albo gdybyśmy go nie przynieśli do „Azylu”, gdyby w ogóle nie było tego nocnego pochodu — my czworo: ja z latarką na przedzie, pan de Souza i chłopiec niosący nosze, Kumar nieprzytomny leży na noszach... Ale teraz, już przytomny, stał przy pompie, zwrócony twarzą do Merricka.

„To twoje nazwisko? Kumar?” — zapytał Merrick. "

A on odpowiedział:

„Nie. Ale powiedzmy, że tak.”

I na to Merrick znów z uśmiechem:

„Rozumiem. Miejsce zamieszkania?”
Kumar przeniósł wzrok z Merricka na mnie. Jeszcze udając zdumienie zapytał:
„Co to wszystko znaczy? Każdy może się czepiać?”
„Chodźmy — powiedziałam. — Do kancelarii. I niech pan nie będzie niemądry.”
„Myślę — teraz pan Merrick zwrócił się do mnie — że już nie będziemy zabierać pani czasu. Dziękuję za współpracę.”
Skinął na Radżendrę Singha, który wtedy podszedł do Kumara i chciał go

126

ująć pod rękę. Kumar go odsunął — nie gwałtownie, właściwie tylko wzruszył ramionami, uchylając się z odrazą przed dotknięciem. Natychmiast Merrick mógł to zakończyć. Ale nie zakończył. Więc Radżendra Singh nie pozwolił się zbyć wzruszeniem ramion, kiedy miał poparcie Merricka. I przewyższał Kumara wzrostem. Uderzył go lekko wierzchem dłoni w policzek. Trzepnął, żeby znieważyć, nie tylko zadać ból. Rozgniewałam się.

Krzyknęłam:

„Dość tego!”

To ich powstrzymało. I zapobiegło fatalnemu aktowi odwetu ze strony Kumara. Powiedziałam:

„Jest pan u mnie. Nie będę tolerowała takiego postępowania.”

Radżendra Singh, tchórz, już się zląkł, że przeholował. Kiedy uderzył Kumara, chwycił go za przedramię. Teraz go puścił.

„A pan — powiedziałam Kumarowi — niech przestanie być niemądry. To są policjanci. Proszę odpowiadać na ich pytania. Jeżeli pan niczego nie ukrywa, nie ma się pan czego obawiać. Chodźmy.”

I znów ruszyłam z miejsca, jak gdybym chciała ich zaprowadzić do kancelarii. Ale Merrick nie zamierzał skorzystać z prostego wyjścia, o nie. Już wybrał pokrętną tragiczną drogę. Powiedział:

„Chyba teraz rozmowa w pani kancelarii byłaby już nie na miejscu. Aresztuję go.”

„O co jestem oskarżony?” — zapytał Kumar.

„Och, o nic. Moja ciężarówka czeka. No, zbieraj swój bagaż.”

„Aleja wnoszę oskarżenie” — powiedział Kumar.

„Wniesiesz je w kotwali.”

„Oskarżam tego brodacza o pobicie.”

„Stawianie przeszkód i oporu policji jest również przestępstwem” — powiedział Merrick i zwrócił się do mnie: — Siostrzo Ludmiło. Czy ten człowiek ma u pani jakieś rzeczy?”

Spojrzałam na Kumara. Sięgał ręką do kieszeni spodni. Najwidoczniej przedtem nie sprawdził, czy ma portfel.

„Niczego nie znaleźliśmy — wyjaśniłam. — Wywróciliśmy kieszenie, pan rozumie, żeby ustalić pana tożsamość.”

Kumar milczał. Może, pomyślałam, nas podejrzewa, że go okradliśmy. To jego sięgnięcie do kieszeni na biodrze upewniło mnie, że został okradziony, kiedy leżał pijany, nieprzytomny tam, nad rzeką. Ale ktoś mniejszego kalibru wykrzyknąłby: „Gdzie mój portfel”, albo: „Pieniądze mi zginęły! Wszystkie!”, próbując odwrócić od siebie uwagę. Ach, ktoś mniejszego kalibru wykrzyknąłby tak, jeśli nawet nie w tym celu, to z rozpaczy. Hindusi, przynajmniej Hindusi w tamtych czasach, przyjmowali każdą niespodziewaną stratę jak kataklizm, nieomal koniec ich małego, ograniczonego świata. A Kumar przecież był Hindusem. Ale nie wykrzyknął, opuścił rękę i powiedział:

„Nie, nie mam rzeczy. Mam tylko...”

„Co mianowicie?” — nadal z uśmiechem zapytał Merrick, tak, jakby już wiedział.

127

„Oświadczenie. Że jadę z wami pod przymusem.”

Mówił przez cały czas z akcentem o wiele bardziej angielskim niż akcent Merricka. To Merrickowi nie mogło się podobać. Bo Merrick mówił inaczej, poprawność jego wymowy była nie tyle czymś naturalnym, wyniesionym z domu, ile wynikiem ambitnych starań. Zagadka! Urzekająca! Zwłaszcza dla mnie, cudzoziemki znającej Anglików przeważnie w rodzaju Merricka, a nie Kumara. Nieraz słyszałam, jak ci Anglicy krytykują ostre, szczepliwe tony tych możnych, tych uprzywilejowanych. Tutaj też, chociaż sytuacja, zdawałoby się, powinna być odwrotna, zważywszy kolor skóry, odezwały się zastarzałe urazy i pogłębiły konflikt.

Kumar sam ruszył w stronę bramy i ciężarówki. Ale Merrick nie zareagował. Od tego, żeby pobiec za aresztowanym, był przecież Radżendra Singh. Drugi Hindus. Niech czarnego pilnuje czarny. Dotknął znów daszka czapki czubkiem swojej trzcinki i jeszcze raz podziękował mi za pomoc. Zajął mnie rozmową, kiedy obserwowałam z coraz większej odległości, jak Radżendra Singh zrównuje krok z Kumarem, popycha go i ciągnie. Potem nastąpiło coś, co z daleka wyglądało na szarpaninę Kumara, Radżendry Singha i jeszcze jednego policjanta. Ostatecznie ci dwaj wepchnęli Kumara do ciężarówki, bijąc go tak, że raczej wpadł tam, niż wsiadł. I widziałam, jak policjant wsiada za nim, a Radżendra Singh stoi przy ciężarówce i czeka na Merricka.

„Dlaczego pan pozwala, żeby go w ten sposób traktowali?” — zapytałam. Nie zdziwiło mnie to, tylko zabołało. Bo to były trudne czasy, czasy przemocy.

Ale Merrick już się odwrócił, już odszedł, udawał, że nie słyszy. Przy ciężarówce rozmawiał przez chwilę z Radżendra Singhem, a potem Radżendra Singh też wsiadł. Odjechali. Podobne rzeczy zdarzały się codziennie. A ja wtedy, pan rozumie, przecież nie wiedziałam, o co Kumar jest podejrzany, co mógł popełnić. Tyle że

zobaczyłam ciemność w nim i ciemność w tym białym, w Merricku. Takie dwie ciemności, kiedy się zderzą, mogą buchnąć oslepiającą luną. Przed taką luną zwykli 'śmiertelnicy powinni zastaniać oczy.

— To ładnie z pana strony, że tak szybko znów pan do mnie przyjechał. Już pan widział Bibighar? Ruiny domu i ten ogród, zupełnie zapuszczony? Większość Hindusów lubi takie dzikie ogrody. Słyszałam, że tam nic się nie zmieniło i jeszcze teraz hinduskie rodziny urządzają pikniki, dzieci się bawią. Europejczycy rzadko tam bywali, a jeśli już przychodzili, to tylko po to, by rozejrzeć się, poszydzić, wspominać inny Bibighar w Kanpurze. ¹ O zmroku zawsze było tam pusto. Ludzie mówili, że w Bibighar straszy, więc to niedobre miejsce nawet dla kochanków. Bibighar zbudował książę hinduski, a potem zburzył pewien Anglik. Przepraszam. Ma pan prawo sprostować. Szkot. Proszę mi wybaczyć, że na chwilę zapomniałam. Tak subtelne są te rozróżnienia.

¹ Aluzja do masakry kilkuset Anglików i ich rodzin po kapitulacji oblężonego w czerwcu 1857 Kanpuru w środkowych Indiach.

128

Bibighar. To znaczy, dom kobiet. Tam on trzymał swoje kurtyzany. Ten książę. Widział pan szpital kobiecy w mieście? W dawnym mieście czarnych, jak je nazywano. Za bazarem Cilijanwala. Teraz wokół szpitala wybudowano domy. Wygląda inaczej, Ale to był pałac swego czasu, kiedy Majapur był siedzibą hinduskiego władcy i kiedy Anglicy w Indiach mieli punkt oparcia tylko w handlu, który prowadzili zmuszeni potrzebą, ale też i przez chciwość, żeby świat, dany przez. Bog;i, otworzyć jak ostrzygę, znaleźć perłę. Tutaj wszystkie perły były czarne. Niezwykle. Och, nieskończenie godne pożądan. Ale wyłuskiwanie ich wymagało nie tylko chciwości, wymagało odwagi. Niech pan wejdzie do szpitala kobiecego i niech pan zobaczy to, co zostało z tego dawnego pałacu. Wąska amfilada dusznych pokoików. Do takich klitek musieli wchodzić kupcy brytyjscy, żeby dobijać targu. Nawet teraz doznaje się tam — w tej ciasnocie — wrażenia okrucieństwa, czegoś bezlitosnego. I chyba tak samo było w Bibighar. Nie wiemy na pewno, bo zostały tylko fundamenty i nie ma żadnego obrazu tego domu, żadnej impresji artystycznej dającej pojęcie o tym, jak wyglądał, zanim ów Szkot go zburzył. Most Bibighar zbudowano już później, więc książę jeździł w odwiedziny do swoich kobiet albo przez Most przy Bramie Mandir, albo łodzią z palankinem, tak jak przedtem jego ojciec do swojej śpiewaczki, do domu, który dla niej zbudował też po drugiej stronie rzeki, a który ten Szkot potem odbudował i nazwał inaczej, nazwał swoim nazwiskiem. Tak, to właśnie w tym domu pan się zatrzymał. Czy Dom MacGregora też jest taką królikarnią, pełną maleńkich pokoików i niskich ciemnych galerii? Czy może śpiewaczka dostała niezwykle dużo miejsca, żeby jej głos wspaniale rozbrzmiewał i żeby jej serce rosło.

Niech pan się przejedzie do szpitala kobiecego. Lady Chatterjee tam pana wprowadzi. Niech pan poprosi o pokazanie pokoju na szczycie starej wieży. Stamtąd widać dachy miasta czarnych nad rzeką i można dojrzeć dach Domu MacGregora. Ciekawe, jak często książę, który kochał śpiewaczkę, wchodził na wieżę swego pałacu, żeby patrzeć na ten dach. Zastanawiam się, czy jego syn wchodził na wieżę, żeby patrzeć za rzekę na Bibighar? Z Bibighar w tamtych czasach na pewno też było widać dom śpiewaczki. Odległość między Bibi-ghat i Dgtwłwi MacG gora wynosi tylko milę. To ni<ió-M<i<iko, a pT7.eci<i dziewczynie, która biegła tamtędy późnym wieczorem, mogło się wydawać bardzo daleko.

W tamtych czasach, kiedy Majapur był księstwem, nic po tej stronie rzeki nie budowano, więc oba te domy zaznaczały się na tle krajobrazu, dwa pomniki miłości — miłości ojca do śpiewaczki i syna do kurtyzan. Syn gardził ojcem za uczucie, nigdy, jak opowiadają, nie spełnione. Dzień w dzień wchodził na wieżę pałacu albo do najwyższej położonej komnaty w Bibighar, żeby patrzeć na tamten dom, dom śpiewaczki, napawać się widokiem zapuszczenia i mówić sobie: „Taki jest los miłości nie u jawni on ej.” I noc w noc hulał w Bibighar, w swoim prywatnym lupanarze, świadom, że o milę dalej tamta budowla, kamień po kamieniu, popada W ruinę. Teraz jednak z Bibighar nic nie zostało, a dom

129

śpiewaczki stoi, jedno zburzone, drugie odbudowane za sprawą tego samego człowieka, MacGregora.

Pan pozwoli, że coś wyjaśnię. W roku 1942, chociaż byłam w Majapurze już od siedmiu lat, niewiele wiedziałam o Bibighar, niewiele o MacGregorze. Podobnie jak większość ludzi. To były dla nas tylko nazwy. Bibighar. Dom MacGregora. Mogliśmy obcy przybyszom mówić: „Idzie się przez Most Bibighar, potem wzdłuż Ogrodu Bibighar, skąd trzeba skręcić w ulicę MacGregora i iść tą ulicą prosto aż do Domu MacGregora na rogu ulicy Curzona. Potem z ulicy Curzona skręca się w ulicę Wiktorii i już zaraz jest bazar dzielnicy garnizonowej.”

To była najbliższa droga nad rzekę. Z „Azylu” tylko kawałek do Mostu Bibighar. Ale ja zwykle chodziłam inną drogą: przez, bazar Cilijanwala i koło świątyni Tirupatiego. Prawdziwe życie Majapuru wre za Mostem przy Bramie Mandir. Szłam przez ten most i koło kościoła misyjnego i szkoły dla dziewcząt, przez dzielnicę eurazjatycką i dalej ulicą Dworcową, za przejazd kolejowy, i aleją Hastingsa, i stamtąd wychodziłam na ulicę Wiktorii.

No, ale od tamtego dnia w sierpniu roku 1942 nazwy Bibighar i MacGregor nabrały specjalnego znaczenia. Pytaliśmy: Co to jest Bibighar? Kto to był MacGregor? — chcieliśmy wiedzieć. Tylko że wtedy jakoś mało kto potrafił nas poinformować. O MacGregorze, na przykład, mówiono, że żył w bojaźni bożej, faworyzował meczety i muzułmanów, bał się świątyni i spalił Bibighar, bo to była ohyda, spalił, a potem zburzył to, co ocalało z pożaru, zostawił tylko fundamenty, ogród i mur wokół. Mówiono również, że zrobił to zaraz po śmierci jakiegoś Anglika otrutego na książęcym dworze, która posłużyła za pretekst do zaanektowania księstwa przez, rząd brytyjski, tę

dawną Kompanię Wschodnio-indyjską. Ale naprawdę MacGregor spalił Bibighar znacznie później. Pierwsze zapiski o MacGregorze w Majapurze pochodzą z roku 1853, czyli z czasów na cztery lata przed buntem i w trzydzieści lat bez mała po aneksji. W roku 1853 Majapur nie był stolicą okręgu. MacGregor nie był urzędnikiem. Był kupcem handlującym na własną rękę jak wielu takich przedsiębiorców, których interesy rozkwitły, kiedy dawna Kompania Wschodnioindyjska przestała zajmować się handlem, aic nadal rządziła. Zbił majątek na przyprawach korzennych, ziarnie, tkaninach i łąpówkach. Miał fabrykę i składy tam, gdzie teraz jest dworzec kolejowy i stara bocznicą nazwana jego nazwiskiem, bocznicą MacGregora. Kolej doprowadzono do Majapuru dopiero w dziesięć lat po jego śmierci, więc najwidoczniej jego wpływ przetrwał, pamięć o nim jeszcze była świeża. Może pan sobie wyobrazić, jak jego załadowane wozy wyjeżdżały z miasta na szlak, który potem stał się Wielką Magistralą, i jak Majapur wyglądał w tamtych czasach. Po słabo zabudowanej drugiej stronie rzeki jeszcze nie było koszar ani dzielnicy administracyjnej. Tam, gdzie teraz jest. kościół Sw. Marii, stała chyba kaplica, tam, gdzie jest gmach sądu, był Dom Władz Objazdowych. Urzędnik okręgowy mieszkał w Dibrapurze. Zatrzymywał się w Domu Władz, Objazdowych, kiedy przyjeżdżał do Majapuru, żeby wysłuchiwać petycji, rozstrzy-

130

gać spory, pobierać podatki. Ciekawe, ile razy musiał słuchać skarg tak owijanych w bawełnę, że dopiero po rozpatrzeniu ich pojmował, że to są skargi na MacGregora. Wyobrażam sobie MacGregora: rumiany, z siatką żyłek na policzkach, prawdziwy władca Majapuru, pstrykał rozkazująco palcami, zastraszał kancelistów, kupców, ziemian, urzędników okręgowych i niższych, wszystkich bez różnicy. Był sprzedajny, porywczy, a przecież w ciągu kilku lat wydzwignął Majapur z drętwy, w jaką to miasto popadło po aneksji, która miała je zmienić z feudalnego zaścianka w kwitnącą społeczność, nowoczesną, bezpieczną i szczęśliwą pod panowaniem brytyjskim. Myślę, że był to taki człowiek, jakiego ci kupcy i ziemianie, jego kontrahenci, dobrze rozumieli. Mówił językiem przekupstwa, a to jest język międzynarodowy. Myślę więc, że zawsze wiedzieli, czego mogą się od MacGregora spodziewać. Inaczej sprawa się miała z surowym, nieprzekupnym, nieposzlakowanym, bardzo angielskim urzędnikiem okręgowym.

Sam pan widzi: te fakty z życia MacGregora nie pasują do opowieści, że spalił Bibighar, bo to 'była ohyda. Ale taką wersję podawali Europejczycy. Może on sam tak powiedział żonie, którą poślubił i przywiózł do Majapuru dopiero wtedy, gdy zbił majątek, odbudował dom śpiewaczki i nazwał go swoim nazwiskiem. Przedtem spalił Bibighar nie dlatego — to jest wersja Hindusów — że to była ohyda w jego oczach i w oczach Pana Boga, ohyda nawet po dwudziestu czy trzydziestu latach popadania w ruinę — tylko dlatego, że zakochał się w Hindusce, a ona wybrała chłopca o skórze tego samego koloru co jej skóra. Są dwie odmiany hinduskiej wersji o spaleniu Bibighar. Według jednej MacGregor odkrył, że ta dziewczyna i jej kochanek spotykają się w Bibighar, więc spalił Bibighar w ataku wściekłej zazdrości. Według drugiej powiedział dziewczynie, że będzie musiała wyprowadzić się z Domu MacGregora i zamieszkać w Bibighar. Zabrał ją tam i pokazał, co odremontował i ulepszył, pokazał jej meble i stroje, które kupił dla jej wygody i przyjemności. Zapytała go, dlaczego będzie musiała tam mieszkać. Odpowiedział: „Jadę do Kalkuty po żonę Angielkę.” Więc tamtej nocy uciekła ze swoim ukochanym. Kiedy się dowiedział, że jej nie ma, kazał spalić Bibighar do fundamentów, a potem zrównać z ziemią.

Czyż te opowieści nie wydają się bardziej prawdopodobne? Bardziej niż wersja, że spalił Bibighar, bo był zgorznięty tą ohydą. Biedny MacGregor! Wyobrażam go sobie: porywczy, namiętny, prymitywny. I tak się zastanawiam: Gdyby nie spalił Bibighar, jak dziecko, które niszczy zabawkę, bo już nie wolno mu się bawić, może by przeżył bunt? Zbuntowani sipaje wymordowali swoich oficerów w Dibrapurze, a potem włóczyli się po okolicy, aż w końcu wyruszyli do Majapuru, żeby stąd powędrować dalej, do Delhi, albo połączyć się z większymi oddziałami buntowników. Nie wiadomo, gdzie MacGregor został zabity, może na schodach swojego domu, może razem ze służącym Akbarem Hosajnem, muzułmaninem, którego zwłoki znaleziono przy furtce. Przypuszczalnie nic nie zdołałoby ocalić MacGregora, bo sipaje wiedzieli, że to on spalił Bibighar, i krążyły pogłoski, że ta Hinduska, jego kochanka, i jej chłopiec zginęli w pożarze. Ciekawe, czy Janet znała te opowieści? Czy była z MacGregorem szczęśliwa, czy

131

może życie w Majapurze było dla niej jednym pasmem udreki? Czy jej duch zjawia się tylko po to, by szukać zmarłego dziecka? Czy może po to, by ostrzec, że Dom MacGregora jest niedobrym miejscem dla ludzi o białej skórze?

Dziwne. Ale zawsze istniał ten szczególny związek pomiędzy domem śpiewaczki i domem kurtyzan. Pomiędzy Domem MacGregora i Bibighar. Jak gdyby przez dzielącą je odległość jednej mili przepływały prądy ludzkiego konfliktu i nawet po zburzeniu Bibighar nadal płynął jakiś prąd, którego kierunek można by wysledzić odtwarzając kroki tej dziewczyny, kiedy biegła w ciemnościach z Bibighar do Domu MacGregora. Prąd. Nurt jakiejś niewidzialnej rzeki. Żadnego mostu nigdy nad nią nie przerzucono. Pan rozumie, o czym mówię? Dom MacGregora i Bibighar, dom białych i dom czarnych. Żeby dostać się z jednego do drugiego, nie można było przejść przez most, trzeba było się zdobyć na odwagę i wejść w odmęt, dać się ponieść prądowi, dokądkolwiek poniesie. Taką właśnie odwagę miała panna Manners.

Myślę, że z początku nie była zakochana w Kumarze. Czula do niego pociąg fizyczny, owszem, a to zawsze jest siła zniewalająca. Ale widziałam, jak inne białe patrzy na niego. Im było dosyć łatwo oprzeć się pokusie, bo dla nich on znajdował się jakby na drugim brzegu odmętu, a nawet zamoczenie palców w tym odmęcie przejęłoby je zgrozą. Może ta dziewczyna też nieraz odczuwała zgrozę, ale starała się nie poddawać, bo wiedziała, że zgroza

jest zaprzeczeniem uczucia, jakie się zrodziło, kiedy zobaczyła Kumara po raz pierwszy. A potem zdławiła zgrozę całkowicie. Pojęła, że na przerzucenie mostu czekałaby daremnie, że jeśli chce się spotkać z nim tam, musi wejść w odmęt, pozwolić, by prąd porwał ich oboje. Niejako powiedziała sobie: „Przez życie nie da się przejść suchą nogą. To tylko złudzenie, że niektórzy z nas stoją na jednym brzegu, a inni na drugim. Dopóki tak stoimy, wcale nie żyjemy, tylko śnimy. Więc wskoczmy, wskoczmy do wody i niech ten wstrząs nas obudzi. Nawet jeśli utoniemy, przynajmniej przez, chwilę przed śmiercią będziemy żyć na jawie.”

Była w „Azylu” kilka razy. Z nim. Z Kumarem. Kiedyś go zapytała (tak mi się wydaje): „Czy wiesz, co o tej kobiecie, która nazwała się siostrą Ludmiłą?” Jakoś nawiązała do tego, co słyszała od Merricka czy może od lady Chat-terjee.

A młody Kumar prawdopodobnie uśmiechnął się wtedy i odpowiedział, że coś wie i że nawet pewnej nocy znalazłam go pijanego, uznałam za nieboszczyka i zabrałam na noszach do „Azylu”. Chociaż to może zataił. Myślę, że zataił. Ale bywali u mnie oboje. I patrzyli tu na wszystko. Chodzili trzymając się za ręce. Dla niej to już się stało naturalne, dla niego chyba nie. To znaczy, on chyba sobie uświadamiał, jak się gorszą ci, którzy to widzą. Ale ona sobie tego nie uświadamiała. Kilka razy przyjechała na rowerze sama. Przywoziła owoce, była chętna do pracy. Chciała pomagać. Raz dała mi pieniądze. Jej matka umarła w 1938 roku, ojciec i brat poległ na wojnie. Odziedziczyła po nich niedużo, ale miała zostać spadkobierczynią całego majątku ciotki, lady Manners. Powiedziałam jej:

132

„Nie, nie potrzebuję pieniędzy, chyba że przestaną mi wypłacać — powiedziałam — zwróć się do pani.”

A ona na to:

„Więc w jaki sposób mogę pomagać?”

Zapytałam, dlaczego chce pomagać właśnie mnie.

„Przecież — powiedziałam — są niezliczone inne akcje dobroczynne, które mogłaby pani popierać.”

Pamiętam, jak wtedy na mnie spojrziała. Kiedy przyjeżdżała sama, często wkładała okulary. Nie sądzę, żeby kiedykolwiek pokazała się w okularach jemu. To było próżnością. Odpowiedziała:

„Nie chodzi mi o akcje dobroczynne.”

Uśmiechnęłam się, nic bardzo rozumiejąc. Zrozumiałam dopiero później. Tak, myślę, że zrozumiałam. Ona się nie rozdrabniała. Wszystkiemu oddawała się niepodzielnie. A wtedy nie ma „spraw”. Jest tylko życie. Ofiarowanie całości swojego życia, całości swoich zasobów światu w ogóle. Takiej niepodzielności, jak i odwagi potrzebnej do skoku, ja w sobie nigdy nie miałam.

Zna pan oczywiście posąg tańczącego Siwy? Siwa ma dwie nogi i cztery ręce, tańczy w kręgu kosmicznego ognia. Jedną stopę podnosi, drugą opiera na cielsku zła i niewiedzy. Może go pan obejrzeć, wisi na ścianie, tam za panem, wyrzeźbiony w drewnie, mój Siwa tańczący. Taniec stworzenia, ochrony i zagłady. Pełny cykl. Całość. Trudna koncepcja. To trzeba pojmować sercem, nie rozumem.

Ona także patrzyła na mojego małego drewnianego Siwe. Przypatrywała mu się. Wkładała okulary. Była dużą dziewczyną. Wyższa ode mnie. Grube nordyckie kości. Nic powiedziałabym, że ładna. Ale pełna wdzięku i radości życia. Chociaż raczej niezadarna. Często przytrafiały jej się małe katastrofy. Pamiętam, jak upuściła pudełko z lekarstwami, wszystko się potłukło.

Kilka razy umówiła się z nim tutaj. Z młodym Kumarcem. Przyjeżdżała ze szpitala zaraz po pracy i kiedy czekała na niego, pomagała mi w wieczorowej przychodni. Raz on się spóźnił. Wyszliśmy z przychodni i siedzieliśmy w moim pokoju, dopóki nie przyjechał. Czułam, że postanowił nie przyjeżdżać, ale potem zmienił zamiar. Więc zostawiłam ich wtedy we dwoje. Ale w tamten wieczór, wieczór Bibighar, w ogóle się nie zjawił. O zmierzchu panna Manners odjechała na rowerze sama. Prosiłam ją, żeby była ostrożna. W mieście jeszcze panował spokój, ale w okolicy już wrzało. Tamtego dnia wybuchły, pan wie, pierwsze zamieszki w Dibrapurze i w Tanpurze. I ona widziała w szpitalu tę kuratorkę szkół misyjnych, którą znaleziono na szosie przy zwłokach zamordowanego Hindusa, trzymającą go za rękę. Prosto ze szpitala przyjechała do „Azylu”, chyba żeby się spotkać z Kumarem. Ale Kumar w ogóle się nie zjawił. Czekaliśmy w moim pokoju. Opowiadała mi, że ta kobieta z misji dostała zapalenia płuc, kiedy tak siedziała na szosie w deszczu, trzymając nieboszczyka za rękę. Crane. Nazywała się Crane. Panna Crane. Deszcz wciąż padał, kiedyśmy rozmawiały i czekały na Ku mara. ale o zachodzie ustal i wyrzało słońce. Pamiętam blask zachodzącego słońca na twarzy panny Manners. Wydawała się bardzo

133

zmęczona. O zmierzchu powiedziała, że musi już wracać do domu. I odjechała na rowerze. Przez Most Bibighar. Na tym właśnie rowerze. To znaczy, na tym później znalezionym w rowie na Ćilijanwala Bagh, niedaleko domu pani Gupty Sen, gdzie mieszkał Hari Kumar. Merrick znalazł ten rower. Tak mówiono. Ale czy Hari ukradłby jej rower, gdyby był jednym z tych, którzy ją zgwałcili? Zostawiłby w pobliżu swego domu taki dowód winy.’

I wie pan, kiedy ona wyprowadziła rower z bramy, kiedy odwróciła się i pomachała do mnie ręką, a potem wsiadła na rower i odjechała w zapadający mrok, czułam, że odjeżdża poza zasięg mojej pomocy. I przypomniało mi się wtedy, jak kilka miesięcy przedtem młody Kumar, zabrany przez Merricka, odjeżdżał ciężarówką też poza zasięg mojej pomocy.

Tamtego dnia, kiedy Merrick zabrał młodego Kumara na przesłuchanie, zapytałam pana de Souza.

„Kumar? Kumar? Krewniak Romeśa Canda Gupty Sena? Naprawdę lak pan myśli?”

Potem poszłam z panem de Souza do kancelarii. Musiałam dokończyć to, co Merrick mi przerwał, czyli przygotować się przed pójściem do banku, bo była środa. I jak zawsze błagałam Boga, żeby pan Gowindas nie powitał mnie z miną zakłopotaną, nie wziął na bok i nie powiedział: „Siostró Ludmiło, w tym tygodniu nie ma pieniędzy. Bombaj zawiadomił o zlikwidowaniu konta.”

Ale kiedy doszłam do banku i kazałam temu chłopcu zaczekać, pan Gowindas wyszedł mi na spotkanie ze zwykłym uśmiechem, wprowadził mnie do swojego gabinetu i zabawił rozmową w czasie realizowania czeku na dwieście rupii.

„Siostró Ludmiło — zapytał — ten chłopiec, który czeka na ulicy, skąd on jest?”

To był taki nasz żart. Więc odpowiedziałam:

„No, chyba z niebios.”

„A poprzedni skąd był? Czy także z niebios?”

„Nie — odpowiedziałam — poprzedni z więzienia. I teraz, o ile wiem, znów siedzi.”

„Właśnie przed tym siostrę ostrzegam. Niech siostra im nie ufa tylko dlatego, że wyglądają na dość silnych, żeby siostrę obronić.”

Oczywiście wiedziałam to. Wiedziałam, że po tygodniu czy dwóch tygodniach taki chłopiec zaczyna się nudzić i wtedy chodzą mu po głowie różne głupstwa. Chłopiec, który mi towarzyszył tamtego dnia, był już znudzony. Kiedy wyszłam z dwustoma rupiami w zamkniętej torebce przywieszzonej na łańcuchu u paska, plotkowałam z ludźmi nie mającymi nic lepszego do roboty i nie chciało mu się od nich odejść. Ale ruszył za mną. Znał swoje obowiązki. Tak więc szliśmy z powrotem przez dzielnicę eurazjatycką, obok kościoła misji i przez Most przy Bramie Mandir do świątyni Tirupatiego. Nigdy nie byłam w tej świątyni. Jej bogiem jest Pan Wenkateśwara, wcielenie Wisznu. Na dziedzińcu stoi kaplica z posągami Śpiącego Wisznu.

Właśnie o tym posągu rozmawialiśmy, panna Manners i ja, w wieczór Bibighar. Kumar zabrał ją tam parę tygodni przedtem. Choć nie wierzył w żadnych

134

takich bogów. Ale ona chciała zobaczyć świątynię. Więc jego wuj załatwił z kapłanem-braminem, żeby ich wpuszczono. Wybrali się tam oboje i teraz mi o tym opowiadała, bo ja tam nigdy nie byłam. Deszcz przestał padać, wyrzało słońce. Blask słońca oświetlał jej twarz, ukazywał jej zmęczenie, pragnienie snu. To, co mi opowiadała, mogłam sobie wyobrazić właśnie dlatego, że miała twarz zmęczoną, i dlatego, że widziałam posąg Śpiącego Wisznu w świątyni, w Mahabalipuram, nad morzem, na południu, niedaleko Madrasu. Również na południu, wie pan, jest ta bardzo słynna świątynia Tirupatiego, wysoko na wzgórzu. Od niej wzięła nazwę tutejsza. Podobno pierwotna ludność Maja-puru pochodziła z południa, podobno maharadża Majapuru poślubił dziewczynę z południowych Indii i wybudował świątynię dla jej boga. Od tamtych dawnych czasów nastąpiła taka asymilacja, że nie sposób wykryć różnicę.

Tak czy owak, w Majapurze jest świątynia Tirupatiego, Mandir znaczy świątynia w języku, którym mówią na północy. Więc to jest spotkanie południa z północą. Świątynia Tirupatiego. Brama Mandir, Brama Świątyni. W dawnych czasach miasto było otoczone murem. Na noc zamykano bramy. Do Bramy Mandir na wysokim brzegu rzeki prowadziły schody. Każdy, kto przybywał do miasta z północy, musiał przepłynąć przez rzekę łodzią i dojść do Bramy Mandir po schodach. Później zbudowano Most przy Bramie Mandir. Schody pozostały, można po nich dojść do świątyni Tirupatiego. Inne bramy wychodziły na południe. Nigdy nie było bramy zwanej Bibighar. Myślę, że kiedy książę wybudował Bibighar, mury wokół miasta już nie istniały. Most Bibighar zbudowano po czasach MacGregora. Co za mieszanina! MacGregor, Bibighar, Mandir i Tirupati.

Więc wyszłam z banku tamtego dnia i z chłopcem, uzbrojonym w kij, wracałam przez dzielnicę eurazjatycką. Minęłam kościół misji, do którego chodzili Eurazjaci. Taki kościółek anglikański w miniaturze. Czekaliśmy przed szlabanem, aż pociąg przejedzie. I wreszcie ruszyłam razem z tłumem przez Most przy Bramie Mandir. Na drugim brzegu rzeki zatrzymałam się, dałam jałmużnę żebrakom i trędowatemu, który zawsze tam siedział z kikutami sterczącymi jak gałęzie krzewu przycięte, żeby lepiej kwitły. Potem na rozstaju pod świętym drzewem skręciłam w lewo i szłam wzdłuż sklepików bez ścian frontowych, głucha na zachwalanie betelu, tkanin, wody sodowej, melonów, jaśminu. Łukowatą bramą w murze weszłam na bazar Cilijanwala. Zatrzymałam się, kupiłam trochę ćilli, bo pan de Souza bardzo ją lubił, i skierowałam się na drugą stronę placu. Minęłam hałaśliwe targowisko mięsa i cuchnących ryb, przekupki pochylone nad szalami wag jak nad gnuśnymi, śpiącymi metalowymi płazami. I weszłam po schodach do kantoru Romeśa Canda Gupty Sena, którego owdowiała bratowa, pani Gupta Sen, mieszkała w jednym z tych betonowych domów na Cilijanwala Bagh.

„Aresztowany! — wykrzyknął Romeś Cand. przyszywany wuj Kumara. — Ten chłopiec — jęknął — ten chłopiec mnie dobije. Za kogo on się ma? Nie może się nauczyć postępować honorowo, być posłuszny, jak przystoi młodemu Hindusowi?”

135

I zadzwonił małym mosiężnym dzwonkiem, jak gdyby jego kantor był świątynią. Toteż lepiej zrozumiałam, na czym polega nieposłuszeństwo jego krewniaka. Przypomniałam sobie ton głosu młodego Kumara, tę angielskość, to nordyckie umięśnienie, tę urodę. Rozumie pan? Jakie to musiało być obce, taka królikarnia, małe brudne izdebki, magazyny hurtownika. Jemu. Obce jemu, Kumarowi, który mówił po angielsku z tak zwanym akcentem ekskluzywnej szkoły średniej. Który znalazł się z ojcem w Anglii, zanim cokolwiek mógł zapamiętać z ojczyzno-ego kraju, i mieszkał w Anglii do osiemnastego roku życia. Ale którego wuj w Indiach, banija, siedzi ptzy biurku

ubrany w aćkan, kurtkę z wysokim kołnierzem, j komenderuje *swoim sztabem biuralistów, stłoczonych wśród brudnych papierów*, przy czym jeclen z nich nawet trzyma banknoty między palcami nogi. Przez jakiś czas po śmierci ojca i powrocie do Indii młody Kumar musiał pracować w tym kantorze. Ale zbuntował się i teraz miał posadę w redakcji „Mayapore Gazette”. Tyle wywnioskowałam. Nie pytałam o nic. Po prostu poszłam tam, żeby powiedzieć temu wujowi, jak postąpił pan Merrick. Żeby podjęto jakieś kroki. Jakie kroki? Nie wiedziałam. Ale on wiedział. Zadzwoił tym ręcznym małym dzwonkiem na głównego urzędnika i wysłał go z kartką do adwokata, z prośbą o natychmiastowe przybycie. W kantorze nie miał telefonu. Najwyraźniej nie wierzył w telefon czy też w niezbędność takich udogodnień, w ogóle w nic, co można by uznać za „nowoczesne” albo cudzoziemskie. Wierzył jednak w swoje możliwości, w swoje znaczenie. Zapytał, skąd jego krewniak wziął się w „Azylu”. Nie powiedziałam mu całej prawdy. Powiedziałam, że Kumar nocował u nas i że rano przyjechała policja, która szukała kogoś i zabrała Kumara na przesłuchanie, bo był w „Azylu” jedynym nieznanym. Podziękował mi:

„Bardzo pani uprzejma. Zadała pani sobie trud, by mnie zawiadomić.”

Powiedziałam, że to dla mnie żaden trud, i odeszłam. Ale wciąż myślałam o młodym Kumarze. Po południu wysłałam pana de Souza na bazar, żeby się dowiedział, ile tylko zdoła, a sama poszłam do szpitala kobiecego, do Anny Klaus, lekarki z Berlina. Anna Klaus przyjechała do Indii uciekając przed Hitlerem. Była moją dobrą znajomą. Kiedy usłyszała ode mnie o młodym Kumarze, zatelefonowała do lady Chatterjee, członkini komitetu szpitalnego, a potem *powiedziała*:

„No cóż, nic więcej nie mogę zrobić. Lady Chatterjee porozmawia z sędzią Menenem, a może nawet z komisarzem okręgowym. Ten pan Merrick sam będzie musiał odpowiedzieć na kilka pytań. Czyli wszystko dobrze jak dotąd. Ale dalej sprawa zależy od tego, co młody pan Kumar popełnił czy też o co jest podejrzany. Jeżeli to bodaj załatuje czymś wywrotowym, mogą go zamknąć bez niczyjego pozwolenia.”

O tym wiedziałam. Wróciłam tutaj, do „Azylu”. Pan de Souza już był, wrócił przede mną.

„W porządku — powiedział — trzymali go w komisariacie tylko dwie godziny i wypuścili, zanim przyszedł adwokat przysłany przez Romeśa Ćanda.”

Zapytałam pana de Souza, skąd o tym wie. Wyjaśnił, że rozmawiał z. urzęd-

136

nikiem Romeśa Ćanda. Urzędnik nie powinien był wiedzieć, co się dzieje, ale dowiedział się, bo pogadał sobie z aplikantem adwokata.

„A więc — powiedział pan de Souza — wszystko w porządku, możemy już nie myśleć o panu Kumarze.”

„Tak — przytaknęłam. — W porządku.”

Doktor Klaus przyszła do mnie wieczorem. Powtórzyłam jej słowa pana de Souzy. Powiedziała:

„No więc dobrze. Sprawa skończona.”

A ja znów przytaknęłam.

Ale nie byłam tego pewna. Kiedy tamtej nocy wyszliśmy z noszami, nie mogłam się opędzić myśli, że wcale nie jest dobrze, i że sprawa nie jest skończona. Zastanawiałam się: Może źle zrobiłam? Może nie trzeba było zawiadomić Romeśa Ćanda, prosić doktor Klaus o pomoc, żeby wejrzały w to jakieś osobistości? Młodego Kumara po przesłuchaniu zwolniono. A tu zjawia się adwokat jego wuja. Merrick prawdopodobnie wiedział o tym, ale nie przywiązywał do tego wagi. Adwokat Hindus w ogóle się nie liczył. Ale później, tamtego dnia, kiedy Merrick już zdążył zapomnieć o Kumarze, raptem telefonuje sędzia czy komisarz okręgowy, czy ktoś na polecenie komisarza okręgowego albo sędziego i pyta: „Kto to jest ten chłopak Kumar, którego pan wziął na przesłuchanie do kotwali?” Merrick pewnie odpowiedział: „Puściliśmy go już, a bo co?” I wtedy ów ktoś, kto zadzwonił, ostrzegł Merricka: „No to chyba dobrze. Bo już nas pytają, o co chodzi. Wasz. młody podejrzany ma, zdaje się, sporo wpływowych przyjaciół.”

Takie zainteresowanie ze strony osób wysoko postawionych mogło zepsuć dobre wrażenie, jakie młody Kumar może ostatecznie zrobić w komisariacie, jeżeli odpowiadał na pytania w sposób właściwy. Bo z pewnością nie podobało się Merrickowi, któremu Kumar już i tak się naraził tym, że mówił *po* angielsku z. lepszym akcentem od niego; Hindus, a jak się okazuje, ma wpływowych przyjaciół, zupełnie tak, jakby był biały, nie czarny. I patrzył tak butnie, kiedy zapytał: „Czy ten facet nie rozumie, że nie ma sensu mówić do mnie po indyjsku?”

A potem, właśnie... potem, tutaj w „Azylu”, gdzie wszyscy mogli to widzieć, spacerował publicznie pod rękę z białą dziewczyną, z, panną Manners. Może tak samo chodził z nią gdzie indziej i Merrick o tym usłyszał albo sam to zobaczył. Za późno się dowiedziałam, że Merrick znał pannę Manners. Wszyscy Europejczycy znali się, oczywiście, ale stosunki pomiędzy panną Manners i Merrickiem układały się jakoś szczególnie. Pojęłam to dopiero tamtej nocy, nocy Bibighar. Już dobrze po zapadnięciu zmroku Merrick przyjechał swoją ciężarówką do „Azylu”. Sam. Zapytał:

„Pani chyba zna dziewczynę, która nazywa się Daphne Manners? Przyjeżdżam prosto z. Domu MacGregora. Ona tam jeszcze nie wróciła. Może widziała ją pani?”

„Owszem — odpowiedziałam. — Była tutaj, ale odjechała, zanim się ściemniło.”

Nie przyszło mi na myśl, że Merrick się tym interesuje z jakichś powodów osobistych. W okręgu wybuchły zamieszki. On był policjantem. Myślałam tylko

137

o tej dziewczynie. Co jej się mogło stać? I przypuszczałam, pan rozWAtóCjJfft)¹ lady Chatterjee, zaniepokojona jej nieobecnością, zaalarmowała policję.

Zapytał:

„Po co ona przyjechała tutaj?”

Wyjaśniłam mu, że panna Manners przyjeżdża czasami, żeby pomagać w przychodni. Wydawał się zdumiony.

„Nie wiedziałem o tym — powiedział. — Wiedziałem, że była tu raz, bo mi mówiła. Często tu przyjeżdża?”

„Bardzo rzadko” — odpowiedziałam. Nagle zrobiłam się ostrożna.

Zapytał jeszcze, czy przyjeżdża sama, czy przyjechała sama dzisiaj i czy nie wiem, dokąd zamierzała pojechać, kiedy pożegnała się ze mną o zmierzchu.

„Tak, sama — odpowiedziałam — dzisiaj też była sama i o ile wiem, miała wrócić do domu. Do Domu MacGregora.”

„Którędy?”

„No — wyjaśniłam — najkrótsza droga to ta koło Bibighar. Pan nie tamtędy przyjechał z Domu MacGregora?”

Okazało się, że nie. Z Domu MacGregora pojechał najpierw do kotwali po stronie Mostu przy Bramie Mandir i dopiero potem przypomniał sobie, że ona mówiła kiedyś o swojej wizycie w „Azylu”, więc przyjechał tutaj z tamtej strony.

„Pewnie pan się z nią rozminął” — powiedziałam.

„Ale pani mówi, że odjechała, zanim się ściemniło. Byłem w Domu MacGregora co najmniej w godzinę po zapadnięciu zmroku i czekałem tam prawie do dziewiątej. Nie wróciła.”

I ja właśnie wtedy, zaniepokojona o nią, na chwilę zapomniałam o Merricku i Kumarze. Powiedziałam coś, czego nie zamierzałam powiedzieć. Coś, co musiało mu się skojarzyć z Kumarem.

„Może wstąpiła do pani Gupty Sen?”

Zobaczyłam wyraz jego twarzy i natychmiast pożałowałam tych słów. Bo to było zupełnie tak, jakbym zamiast nazwiska Gupta Sen wymieniła nazwisko Ku mar.

„Rozumiem” — powiedział.

W jego oczach przyciśnił się uśmiech. I wszystko utworzyło znów ten niebezpieczny układ geometryczny, który już raz stał się zapowiedzią nieszczęścia. Merrick i Kumar. dwa wierzchołki trójkąta równoramiennego, i trzeci wierzchołek — tym razem nie Radžendra Singli, tylko panna Manners. Doznałam uczucia, jakiego czasami doznaje każda istota ludzka — uczucia, że jestem w sytuacji, w której już byłam przedtem i której następstwa zostały wówczas przesądzone; uczucia, że znów odgrywam narzuconą rolę w czymś tragicznym. Bo niczego nie nauczyłam się poprzednim razem, kiedy stałam z Merrickiem tu, w tym pokoju, gdzie teraz leżę przykuta chorobą do łóżka, a pan mnie wypytuje, i oboje mamy w pamięci nazwisko Kumara i nazwisko tej zaginionej, tej poszukiwanej w tamten wieczór dziewczyny. Ołśnienie, że Merrick przejmuje się tym nie tylko jako policjant, i Takt, że wzmianką o domu pani Gupty Sen zdradziłam

13K

młodego Kumara, to były sprężyny i był przymus dotknięcia ich za każdym razem, kiedy na szcze życia po dokonaniu pełnego obrotu wracały do punktu, w którym Merrick i ja staliśmy w tym pokoju. Za każdym razem następowało dotknięcie tuk niezawodnie, jak po dniu następuje noc, dotknięcie, zanim zdążyło się pojąć, że to są sprężyny. Powinnam była wiedzieć, że Merrick zna pannę Manners. Głupia byłam. Taką cenę płaciłam za poświęcenie się dla dobra tych, którzy umierali, a wiie tych, którzy żyli. Nie należało zakładać, że panna Manners nie może być znajomą pana Merricka. skoro jest znajomą Haricgo Kumara. Gdybym nie była taka głupia, chyba byśmy się wysunęli z tego cyklu nieuchronności i Merrick by nie odjechał z przekonaniem, że tylko Kumar mógłby wyświecić tajemnicę zniknięcia tej dziewczyny.

Ale ja nie wiedziałam, że, Meirick zna pannę Manners i że na swój dziwny sposób ją lubi. Zorientowałam się, kiedy powiedziałam: „Może wstąpiła do pani Gupty Sen?”, i zobaczyłam, jak nagle błysnęły te jego poreelanowoniebieskie oczy, zwykle takie obojętne. Merrick chciał zrobić Haricgo Kumara swoją ofiarą, wybrał Haricgo już wtedy, gdy stał i patrzył, jak on się myje przy pompie. Zabrał go na przesłuchanie, żeby z bliska ujrzeć tę ciemność ponętną dla ciemności, jaką miał w sobie. Inną ciemność, a przecież ciemność. W Marim była to ciemność duszy. W Merricku ciemność myśli, serca i popędów. Więc ostatecznie znowu biel lgnęła do czerni, do przeciwieństwa, tylko że w tym przypadku niezgodnie z naturą. I w tym przypadku ów pociąg odczuwał ktoś. kto nigdy nie wskoczył nawet w odmetę własnej ukrywanej, przemożnej potrzeby, a cóż dopiero mówić o żywiołowym skoku w odmetę życia czy świata, kłóś. kto siał na brzegu wysokim, suchym, jałowym, otoczony gęstwiną swojego sekretu, a lakze uprzedzenia, które w sobie wyrobił, bo był jednym z. białych rządzących krajem czarnych.

Merrick od dawna wiedział o pannie Manners i Ku marze. Zanim przyjechał do „Azylu”, już przypuszczał, że Kumar mógłby wiedzieć, gdzie ona się podziała. Ale jest coś, o czym pan chyba jeszcze nie wie. Coś, czego się domyślałam, kiedy ona przyjechała w tamten wieczór Bibighar, w tamten -wieczór nieobecności Kumara, i czego dowiedziałam się od niej, kiedy przysłała tu, żeby się ze mną pożegnać przed wyjazdem na północ do ciotki, lady Manners, gdzie miała pozostać, dopóki to wszystko się nie skończy. Była w ciąży. Nie robiła z tego tajemnicy. Przez jakiś czas rozmawialiśmy o błahych sprawach. Wielkie wrażenie wywarł na mnie jej spokój. Pamiętam, że pomyślałam wtedy: To jest spokój pięknej kobiety. A przecież nie była piękna, pan wie. bo ci wszyscy, z którymi pan o niej rozmawiał, chyba to panu mówili i widział pan jej fotografię. W pewnej chwili obie umilkłyśmy. Ale nie tak, jak się milknie, kiedy zabraknie tematu. Umilkłyśmy jak dwie osoby, które się lubią i rozumieją, tylko nie bardzo wiedzą, co w danym momencie z tą wzajemną sympatią zrobić. Ja pierwsza zdecydowałam, żebyśmy porozmawiały o Kumarzc. Zagaiłam:

„Czy pani wie, gdzie on jest?” — To znaczyło: gdzie jest uwięziony. Nie potrzebowałam wymieniać jego nazwiska.

Spojrzała na mnie. Z wyrazu jej twarzy poznałam, że nie wie, ale ma nadzieję.

139

że ja wiem. Po paru sekundach straciła tę nadzieję. Potrząsnęła głową. Powiedziała, że pytała, ale nikt kompetentny nie chciał jej powiedzieć. Złożyła wizytę w domu na Clijanwala Bagh, myślała, że może jego ciotka coś wie. Ale pani Gupt Sen nawet nie wyszła do niej ze swego pokoju. Pewnie bała się, że mogłaby tyth jemu zaszkodzić. Został aresztowany tamtej nocy Bibighar z kilku innymi chłopcami. Wcześniej tamtego dnia, pan pamięta, dokonano kilku aresztowań z powodów politycznych. Krążyła pogłoska, że umieszczono wszystkich w zamkniętych wagonach kolejowych i wywieziono, nie wiadomo dokąd. Mówiło się też, że dopiero aresztowanie tych pięciu czy sześciu chłopców w noc Bibighar wywołało rozruchy w mieście. Ale rozruchy z pewnością były zaplanowane. Może przybrały na sile, kiedy się rozeszły pogłoski o strasznym traktowaniu tych chłopców w areszcie. A może tylko się wydawało, że przybrały na sile, bo wśród Anglików panowało przekonanie, że po Bibighar żadna z ich kobiet nie jest bezpieczna. Podobno właśnie z powodu Bibighar komisarz okręgowy dał sobie wmówić, że sytuacja wymyka się spod kontroli, i wezwał wojsko, chociaż to jeszcze nie było konieczne. Może prawda o tamtych wydarzeniach nigdy nie wyjdzie na jaw. Zanim panna Manners przyszła, żeby się ze mną pożegnać, myślałam, że chyba ciężko jej na sercu, skoro stała się mimo woli przyczyną takiego zamętu. Ale kiedy przyszła, miała w sobie ten wyraźny spokój, skupienie kobiety po raz pierwszy brzemienniej, dla której cały świat wokoło jest stosunkowo nieważny. Położyłam dłoń na jej ręce i zapytałam:

„Pani chce przejść przez to? Doprowadzić to do końca?”

Odpowiedziała:

„Dlaczego siostra pyta?”

I uśmiechnęła się tak, że wiedziałam: Ona przez to przejdzie.

Zapytałam:

„Czy starają się panią od tego odwieść?”

Przytaknęła.

„Starają się. — I dodała: — Robią z tego sprawę szalenie prostą. Wręcz powinność.”

Ale to oczywiście wcale nie było proste. Dla nich, owszem, to byłoby proste. To byłby nawet obowiązek. Pozbyć się. Usunąć. Wyrwać ten wstrętny embrion z łona i rzucić dzikim kundlom na pożarcie. Sama słyszałam, jak powiedziała to jakaś kobieta. Biała kobieta.

„Czy to prawda — zapytała inną białą — czy to prawda, że ta Manners jest w ciąży i wyjeżdża do Kaszmiru, żeby u r o d z i ć to dziecko?”

Rozmawiały w składzie aptecznym Gulaba Singha, kupowały kosmetyki. Już wtedy, gdy wszystko się uspokoiło. I zapewniona, że tak, to prawda, zaczęła rozważać:

„No więc jaki z tego wniosek? Że jej to sprawiło przyjemność?”

Biedna panna Manners. Szybko stała się „tą Manners”. Może przed Bibighar też ją tak czasami nazywano. Ale zaraz po Bibighar Europejczycy wymawiali jej nazwisko z czcią, jakby mówili o świętej albo o męczennicy. A tu raptem: Ta

140

Manners. I paskudny komentarz: „Może jej to sprawiło przyjemność?” Ta kobieta uśmiechnęła się i dodała:

„Gdyby mnie to spotkało, kazałabym sobie zrobić skrobankę publicznie, przed tą cholerną świątynią, i rzuciłabym to plugawe paskudztwo dzikim kundlom na pożarcie. Albo bym ich zmusiła, żeby wpełnęli je do gardeł kapłanom.”

I dalej wybierała pudry i śmietanki kosmetyczne odpowiednie dla białej cery i udawało jej się, tak jak zawsze to się udaje damom tego rodzaju, rozmawiać z subiektem wcale nie patrząc na niego, nie dopuszczając, żeby ich ręce bodaj się musnęły. Jedna z takich właśnie kobiet, może nawet ta sama, parę miesięcy *przedtem zagapiła się na młodego Kumara, kiedy wszedł ze mną do składu* aptecznego; bo spotkałam go na ulicy i zaofiarował się, że zanieśie do „Azylu” lekarstwa, które miałam kupić, a tamtego dnia byłam bez chłopca. Przyjaźniłam się z młodym Kumarem. Ja w każdym razie uważałam, że to jest przyjaźń, chociaż on nadal żył w przekonaniu, że nie ma przyjaciół. Kiedy wyszliśmy ze składu aptecznego, powiedział:

„No i proszę, stałem się niewidzialny dla białych.”

Chyba nie spostrzegł, jak te białe wlepiły w niego oczy. Albo widział tylko, jak przepychały się koło niego, odwracają się plecami, wołały subiekta, z którym on właśnie rozmawiał.

Kumar bardzo nie lubił bywać w dzielnicy garnizonowej. A przecież wiem, że go tam ciągnęło, chciał tam chodzić po sklepach, czuć się znów Anglikiem, bo Anglia była jedynym światem, jaki znał. Nie cierpiał miasta czarnych, tak jak każdy biały zaraz po przyjeździe i Anglii. Właściwie nie cierpiał jeszcze bardziej, bo on w mieście czarnych musiał żyć, podczas gdy biali tylko przelotnie je oglądali zatykając nosy, a potem wracali przez most do dzielnicy administracyjnej, do swojego klubowego świata.

Ale Kumar to inna historia, prawda? Do jego historii pan musi dojść. Powiem panu czyjeś imię i nazwisko, może się przyda. Niewykluczone, że tego imienia i nazwiska nie słyszał nikt oprócz mnie, a jeśli nawet ktoś słyszał, to dawno już zapomniał. Colin. Colin Lindsey. Kumar opowiedział mi o Colinie, kiedy po raz drugi zobaczyłam go pijanego. Właśnie z powodu Colina Lindsey'a tak się upił wtedy, gdy zafezyłmy go nocą i

przynieśliśmy do „Azyfu”, tzn. z powodu Colina Lindseya, kolegi szkolnego z Anglii, najserdeczniejszego przyjaciela. Opowiadał mi, jak po śmierci jego ojca Colin usiłował namówić swoich rodziców, żeby się nim zaopiekowali, żeby nie musiał wrócić do Indii. Harry Coomer. Miał wtedy niespełna osiemnaście lat. Taki Anglik. Z tym angielskim akcentem, angielskim sposobem bycia, angielskim imieniem i nazwiskiem. Harry Coomer. Nie mówił żadnym z języków indyjskich. Anglik o ciemnej skórze, który w Majapurze stał się, jak to określili, niewidzialny dla białych.

Ale nie był niewidzialny dla tych kobiet w składzie aptecznym. Ani dla panny Manners. Ani dla Merricka. Coś już panu mówiłam. O Merricku. Mówiłam, że Merrick wiedział o spotkaniach Kumara z tą dziewczyną. Powiedziałam jej tamtego dnia, kiedy przyszła, żeby się pożegnać:

141

„Panno Manners, muszę się do czegoś przyznać. Mam to na sumieniu.”

Zacząłam jej opowiadać, jak w noc Bibighar Merrick przyjechał tu, do „Azyfu”, a ja jeszcze nie wiedziałam, że ona i Merrick znają się nieco bliżej niż normalnie znają się wszyscy biali na placówce rządowej czy wojskowej, i jeszcze się nie zorientowałam, że Merrick interesuje się nią nie tylko jako policjant, któremu zgłoszono zaginięcie białej dziewczyny. Byłam wtedy niespokojna, co jej się mogło stać, i w tym niepokoju zapomniałam, jak niebezpiecznie jest przy nim wspominać o Kumarze. I za późno sobie uprzytomniłam, że szczególnie niebezpieczne mogą być wzmianki o Kumarze, kiedy mówimy o niej. Palnęłam wtedy: „Może wstąpiła do pani Gupty Sen?”

„Dlaczego siostrę to martwi? — zapytała. — Dlaczego siostra ma to na sumieniu? Przecież wiem, że pan Merrick tu był i że stąd pojechał do domu Hariego.

Powiedziałam:

„Ale potem pojechał tam jeszcze raz. Za pierwszym razem w domu na Ćilijanwala Bagh zapytał o Hariego i dowiedział się, że tam go nie ma. Stamtąd pojechał znów do Domu MacGregora. I dowiedział się, że pani wróciła. W takim stanie. Od razu wezwał patrol, kazał otoczyć cały obszar Bibighar i aresztował pierwszych pięciu chłopców, którzy się nawinęli. A potem jeszcze raz pojechał do domu na Ćilijanwala Bagh. Wszedł z policjantem na górę i tym razem Hariego zastał. Hari miał podobno jakieś ślady na twarzy, obmywał je, usiłował usunąć dowód. I nie-dulcko domu leżił w rowie pani rower.”

„Tak — powiedziała — tak było. Skąd siostra wie?”

„Od pana de Souzy — wyjaśniłam. — Pan de Souza ma mnóstwo przyjaciół. Dowiaduje się wielu rzeczy. Niektóre są zgodne z prawdą, inne są tylko pogłoskami. Ale to najwyraźniej było zgodne z prawdą. I mam to na sumieniu. Bo gdybym nic nie powiedziała o domu na Ćilijanwala Bagh, pan Merrick nie szukałby Hariego Kumara. Bo pani nie powiedziała nic. Wszyscy wiemy, że pani nic nie powiedziała. Mówiła pani, że nie widziała, kto na panią napadł. Wiadomo, że pani nikogo nie oskarżyła. Wiadomo z tego, co mówi lady Chatterjee. A ja to wiem od Anny Klaus. Pani nawet nie chciała zidentyfikować tych aresztowanych chłopców, twierdziła pani stanowczo, że po ciemku nie widziała pani napastników. Doprawdy nasuwa się jedno pytanie. Czy pani by w ogóle wyjawiała, co zaszło, gdyby pan Merrick nie przyjechał do Domu MacGregora po raz drugi i nie zastał pani w takim stanie?”

Odpowiedziała po dość długiej chwili:

„Dlaczego miałabym to trzymać w sekrecie? Popelniono przestępstwo. Było pięciu czy sześciu mężczyzn. Czterech z nich mnie zgwałcili. Co siostra usiłuje mi powiedzieć? Że siostra też myśli, że Hari miał z tym, coś wspólnego?”

„Nie — wyjaśniłam. — Nie, nic to. Usiłuję tylko zrzucić ciężar z serca. Prosić, żeby mi pani w tym pomogła. Bo widzi pani, jest ta druga sprawa, coś, co zapamiętałam. W wieczór Bibighar, kiedy pani przyjechała tu, do «Azyfu», i czekała na Kumara, opowiadała mi pani o zwiedzaniu świątyni. Odniosłam wtedy wrażenie, że pani go od tamtego czasu nie widziała. Że nie widziała go pani od dwóch tygodni

142

albo i dłużej. Że tamtego dnia, kiedy byliście w świątyni, posprzeczaście się, być może. Odniosłam wrażenie, że jest pani rozczarowana, ale nie zdumiona tym, że on A zmiernie nie przyszedł do «Azyfu» na spotkanie z panią. Po pani odjeździe pomyślałam: Ona teraz, wstąpi do niego, żeby naprawić to, co się między nimi pohańsuło. I właśnie dlatego, kiedy Merrick mnie wypytywał, powiedziałam, że może Ipani pojechała do domu na Ćilijanwala Bagh. A to natychmiast nasunęło mu myśl o Kumarze, bo Merrick wiedział, gdzie Kumar mieszka. Pamiętał jego adres dokładnie od dnia, kiedy zabrał go do komisariatu na przesłuchanie. Nie potrafiłam tego sformułować wtedy, gdy Merrick stał tutaj w tym pokoju w ne-c Bibighar. Ale to sformułowanie już było gotowe, miało dotrzeć do mnie. I dotarło później, kiedy usłyszałam, że Kumar jest wśród tych aresztowanych chłopców. Wśród tych, których wywieziono. I przypomniał mi się wyraz twarzy Merricka, izmiana wyrazu jego twarzy, ledwie powiedziałam, że może pani wstąpiła do pani Gupty Sen. Merrick rozejrzał się wtedy po pokoju, jak gdyby mógł poznać, że pani nieraz tu była z Kumarcem. Że tutaj czekaliście na siebie i że w ten wieczór też pani czekała. Jak gdyby wreszcie odkrył jedno z miejsc waszych spotkań. Zrozumiałam, że to dla niego ważne odkrycie i że on jest nie tylko policjantem prowadzącym śledztwo w sprawie zaginięcia dziewczyny. Wyczułam to już przedtem, kiedy wydawał się zdumiony informacją, że pani cziisem przyjeżdża, żeby mi pomagać w przychodni. To była nieprzyjemna niespodzianka dla człowieka, który uważał, że ma prawo wiedzieć o każdym pani kroku. Nie mylę się? „Nie myli się siostra — odpowiedziała. — On chyl?” tak uważał.” „Wiedział o pani i

Kumarze?"

„Wszyscy po tamtej stronie rzeki wiedzieli — odpowiedziała. — Pan Merrick ostrzegł mnie przed zadawaniem się z nim.”

„I może właśnie po tym ostrzeżeniu — zapylałam — doszło między panią i Kumarcem do jakiegoś nieporozumienia, kiedy byliście V świątyni⁷ I od tamtego czasu nie spotykaliście się? Więc pan Merrick uznał, że pani wzięła sobie jego ostrzeżenie do serca?"

„Tak — odpowiedziała. — Przypuszczam, że tak. Może mu się tak wydawało.” A więc pan rozumie, panna Manners nie mogła mnie uwolnić od ciężaru. Od ciężaru odpowiedzialności, winy, zdrady, jakiej się dopuściłam, kiedy powiedziałam Merrickowi: „Może wstąpiła do pani Gupty Sen?” Obudziłam w nim podniecające podejrzenie, że panna Manners nadal spotyka się z Kumarcem po kryjomu tutaj, w „Azylu”. Umożliwiłam mu ukaranie Kumara, którego już sobie wybrał, upatrzył na ofiarę. Bo Merrick był człowiekiem niezdolnym do miłości. Był zdolny tylko do wymierzania kar. Wyczuwałam, że tak jest. On Kumara pożądał. Nie panny Manners. Prawdopodobnie gdyby nie to, że zaczęła się spotykać z Kumarcem, nawet by nie spojrzął w jej stronę. Tak ja widzę tę sytuację. I widzę jeszcze jedno.

A mianowicie:

Kumar był w Bibighar w tamten wieczór. Czy też w jakiś inny wieczór. Bo dziecko, które ona poczęła, było chyba dzieckiem Kumara. Inaczej czyżby wyglądała

14.1

jak kobieta w stanie łaski? Czyżby nie wołała poronić, rzucić ten wstrętny embriof kundlom na pożarcie? No, niech pan sam powie. Chyba że, zgodnie z logiką swego postępowania, skoro już skoczyła w odmęty, po prostu akceptowała wszelkie konsekwencje. Nawet napaść bandy chuliganów. I uwierzyła, że z takiej napaści wyniosła w swoim brzuchu Indie. Ale czy to by pasowało do jej obrazu, jaki zapamiętałam — obrazu, kiedy siedziała tutaj spokojna, skupiona, i już sobie wyobrażała, że piastuje to dziecko, pewna, że dopóki będzie je miała, nie utraci całkowicie swego kochanka?

I

Jedno pytanie chciałam jej zadać. Nie zadałam, bo czułam, że i tak wiem prawdę, a zresztą przypuszczałam, że na to pytanie ona odmówi mi odpowiedzi. Ze względu na Kumara. Są sposoby, pan rozumie, narzucania ludziom swego milczenia. I takim właśnie milczeniem ona otoczyła siebie i wspomnienie o Kumarze. Znienawidzili ją za to Europejczycy. Zupełnie tak samo, jak potępili tę kobietę z misji, pannę Crane, za to, że nie podała rysopisów zabójców tego nauczyciela. Ale w przypadku Daphne Manners sytuacja była gorsza, bo przez jakiś czas po Bibighar ubolewali nad nią — niewinną białą dziewczyną bestialsko napadniętą i zgwałconą przez czarnych barbarzyńców, i dopiero stopniowo zrozumieli, że ona ich pozbawia możliwości publicznej zemsty, bo nie chce zidentyfikować sprawców. Bo w pewnej chwili, jak sobie powtarzano, powiedziała, że o ile jej wiadomo, równie dobrze mogli to być żołnierze brytyjscy z twarzami usmarowanymi na czarno jak komandosi. I zapytała, czy ci wszyscy aresztowani chłopcy są hinduistami, a kiedy jej odpowiedziano, że tak, oświadczyła, że w takim razie coś tu się nie zgadza: co najmniej jeden z tych, którzy ją zgwałcili, był obrzezany, czyli był prawdopodobnie muzułmaninem. Oświadczyła, że był obrzezany i że powie, dlaczego jest tego pewna, jeżeli śledztwo rzeczywiście będzie tego wymagało. Oświadczyła to przy ludziach na prywatnym przesłuchaniu w Domu MacGregora. Odbyło się przesłuchanie, bo biali łaknęli procesu. Ale jak by ten proces wyglądał, jeżeli sama poszkodowana miała w sali sądowej wstać i rzucić podejrzenie na ich własnych żołnierzy? I otwarcie omawiać tak nieskromne szczegóły, jak obrzezanie mężczyzny? W rezultacie więc nie było żadnego procesu. Zresztą po cóż proces? Tych aresztowanych chłopców nawet nie trzeba było uznać za winnych czegokolwiek, po prostu zamknięto ich i wywieziono Bóg wie dokąd. Z niezliczonymi innymi. I z Kumarem.

Więc potem oczywiście burzali się na nią. Och, nie publicznie. Nie otwarcie. Za jej plecami. Między sobą. Nie uchodziło, żeby Hindusi wiedzieli, co oni myślą. Ale dopiero teraz Anglicy zaczęli pytać o to samo, o co Hindusi pytali przez cały czas. Co ona właściwie robiła po zapadnięciu zmroku w Ogrodzie Bibighar? Najwidoczniej weszła do ogrodu z własnej woli, bo wcale nie było mowy o tym, że ktoś ją zatrzymał i ściągnął z roweru, kiedy przejeżdżała. I gdyby ją ściągnięto z roweru, czy by nie zobaczyła co najmniej jednego z napastników? Jest latarnia przy jezdni biegnącej wzdłuż Bibighar. A o niecałe sto jardów dalej, przed Mostem Bibighar, jest szlaban kolejowy i domek, w którym mieszka dróżnik z rodziną. U dróżnika wszyscy przysięgali, że nic nie widzieli ani nie słyszeli, dopóki nie

144

wpadli tam policjanci pana Merricka i nie kazali im w szeregu czekać na przesłuchanie.

Powtórzę panu wersję, którą ostatecznie opowiadano. Tę wersję wszyscy plotkarze z brytyjskiego Majapuru uznali za przykrą prawdę. Nie trzeba było daleko szukać jej źródła. Myślę, że to była wersja pana Merricka. Panna Manners wisła — opowiadano — do Ogrodu Bibighar, bo tam Kumar się z nią umówił. Każdemu wiadomo, co to za typ ten Kumar. Najgorszy gatunek czarnego z wykształceniem. Próżny, butny, nadęty. Tylko zadawanie się z, białą mogło zasjokoić jego próżność. I tylko taka nieładna dziewczyna jak Daphne Manners mogła dać się zwabić w takie towarzystwo. Świątce przekonany, że owinął ją sobie koło palca, tak się rozzuchwiał, że czasem przez kilka dni, nawet kilka tygodni bezczelnie jej unikał, umawiał się z nią na randki i nie przychodził, a potem rçczył robić jej przyjemność swoją obecnością przez godzinę czy dwie, kłócił się z nią

publicznie, upokarzał ją. I od początku obmyślał największe dla niej upokorzenie, upokorzenie, które zbiegło się w czasie chyba nie przypadkowo z chwilą wybraną przez Hindusów knujących spisek, żeby pokazać Anglikom, kto rządzi tym krajem. Przez wiele dni przed zaplanowanym powstaniem Kumar się nie pokazywał, doprowadzając ją do gorączki z tęsknoty, a potem przysłał wiadomość, wyznaczył jej spotkanie w Bibighar. Uszczęśliwiona pomknęła na to *rendez-vous* i zastała tam nie tylko jego, ale i bandę chuliganów, którzy jeden po drugim kolejno ją zgwałcili. Teraz wstyd i upokorzenie nakazują jej milczeć. Żadna przecież młoda Angielka nie chciałaby wyznać prawdy w tych okolicznościach. Ale Kumar nie jest tak inteligentny, jak mu się wydaje. Tym „wykształconym” Hindusom zawsze brak inteligencji. Arogancki i głupi, ukradł w dodatku jej rower i nic miał nawet dość rozumu, żeby zostawić taki dowód gdzieś dalej od swojego domu. Może myślał, że to nieważne, bo się spodziewał, że nazajutrz rano wszyscy Brytyjczycy będą walczyć o życie. Jedno nie ulega wątpliwości. Chłopak tak próżny, pomimo wszystkich swoich tak zwanych angielskich nawyków, prawie na pewno odgrywał jakąś zdradziecką rolę w tym powstaniu. Ach, nie, nie litujmy się teraz nad młodym Kumarem. Ma to, na co zasłużył. I nad nią nie warto się litować. I ona też ma to, na co zasłużyła.

Tak mówili Anglicy. Rozmawiałam o tym z Anną Klaus. Anna lubiła pannę Manners. Właśnie Anna leczyła ją po tej napaści. Nie pytałam Anny, czy zgodna jest z prawdą druga pogłoska, która krążyła. Że podobno Anna Klaus powiedziała komisarzowi okręgowemu, jakoby jej zdaniem panna Manners przed napaścią nie była *intacta*. Nie pytałam, bo i czegoż by to mogło dowodzić w sprawie Bibighar? Niewątpliwie komisarz okręgowy musiał mieć jakieś powody, żeby zapytać doktor Klaus o to... jeśli zapytał. Kiedy już wszystko się skończyło i Anglicy znów panowali nad sytuacją, trwała w Majapurze przez pewien czas, zanim wypłynęły inne tematy dla plotkarzy, nagonka na pannę Manners; usiłowano zniszczyć ją, jej reputację, zatrzeć pamięć o niej.

I może by się to udało. Gdyby nie jeden fakt. Fakt, że Majapur to miasto indyjskie. Po pewnym czasie gniew ostygł i Anglicy zapomnieli o tym dwudziesto-

145

jednodniowym cudzie, o tej sprawie Bibighar. Hindusi jednak pamiętali. Nie pojmowali tego, co się stało. Może z powodu kar, jakie podobno wymierzono woleliby też zapomnieć. Ale z tej całej sprawy, ze wszystkich jej tajemnic chyba wyłaniało się im coś może niejasnego, a przecież uporczywego jak ból w starej ranie, już zagojonej. To, że Daphne Manners ich kochała. I nie zdradziła ich, chociaż się wydawało, że oni ją zdradzili. Mało kto spośród Hindusów wątpił, że zgwałcili ją rzeczywiście ich rodacy. Ale nie ulegało dla nich wątpliwości, że nie zrobił tego żaden z tych aresztowanych chłopców. I czuli, że takie samo przekonanie żywi panna Manners. Że dźwigają razem z nią krzyż, jeśli panztak woli. Toteż zaczęły ją szanować za to zeznanie, które w pierwszej chwili zgorszyło ich nie mniej niż Anglików. Pamiętali zwłaszcza, że powiedziała: „O ile wiem, mogli to być równie dobrze żołnierze brytyjscy z twarzami umazanyrfii na czarno.”

Musiła mieć wielką odwagę, żeby tak powiedzieć! W tamtych czasach! Kiedy na placówce roilo się od białych żołnierzy, kiedy tam, w Birmie, Japończycy już walili do bramy i Brytania skwapliwie nazywała zdradą wszystko, czego nie dałoby się uznać za patriotyczne. Pan na pewno pamięta. To były szczególne czasy. Nastroje zapalne, bo sumienia nieczyste. Jakaż jest ta imperialna potęga białych, jeżeli wojska żółtych mogą ją przepędzić z Malajów i przez Birmę? Otwarcie to pytanie zadawali Hindusi. Anglicy zadawali je tylko, wbrew swoim zwyczajom, w głębi ducha i modlili się o czas, równowagę i lojalność, a to zwykle nie są plony, które można zbierać, jeśli uprzednio ich się nie zasiało.

Chyba jednak wasze modlitwy zostały wysłuchane. Bo wy jesteście dziwnym narodem. Kiedy krocycie w blasku słońca, na ogół dobrze wiecie, jak długi czy też jak krótki rzucacie cień.

Część czwarta WIECZÓR W KLUBIE

Okręg Majapur nadal, jak w czasach Brytyjczyków, jest podzielony na pięć jednostek administracyjnych.

Obejmuje obszar dwóch tysięcy trzystu czterdziestu sześciu mil kwadratowych. Liczba ludności w roku 1942 wynosiła milion dwieście pięćdziesiąt tysięcy. Obecnie, w roku 1964, wynosi półtora miliona, z czego sto sześćdziesiąt tysięcy mieszka w mieście Majapur, a około dwudziestu tysięcy w podmiejskim Banijagandżu, w okolicach lotniska. Z lotniska odlatuje Viscount do Kalkuty i dwa razy na tydzień Fokker Friendship do Agry, skąd można polecieć do Delhi. Okolice lotniska stały się ośrodkiem przemysłu lekkiego. Pomiędzy Banijagandżem i Majapurem stoją wzniesione z prefabrykatów, pobielane betonowe domy nowej kolonii angielskiej i jeszcze bliżej miasta rozbudowane obecnie dawne zakłady British-Indian Electrical, nadal pozostające pod kontrolą kapitału brytyjskiego. Dalej w drodze z lotniska podróżny, który pamięta Majapur sprzed lat, widzi z samochodu tereny już lepiej znane, mija kolejno technikum z czerwonej cegły, założone i wyposażone przez sir Nella Chatterjee, i gimnazjum rządowe z kremową sztukaterią. Tuż za gimnazjum z lewej strony biegnie wzdłuż zakrętu rzeki tor kolejowy. Szosa — Wielka Magistrala — prowadzi stąd już prosto do dawnych dzielnic garnizonowej i administracyjnej.

Jadąc z bazaru w dzielnicy garnizonowej, nadal eleganckiego ośrodka handlowego Majapuru, ulicą Mahatmy Gandhiego, dawniej Wiktorii, podróżny popatrzy w lewo na główne koszary policyjne, a potem w prawo, na gmach sądu i kompleks kilku budynków w cieniu drzew, gdzie mieściły się i nadal mieszczą biura administracji okręgu. Nie opodal, ale widoczny tylko przez bramę w wysokim murze ozdobionym stiukami, stoi, także wśród drzew, bungalow zwany kiedyś „Wspólnotą”. Tutaj mieszkali nieznani urzędnicy terenowi pana White'a — zwykle Hindusi z pozanomenklaturowej służby państwowej — wtedy, gdy nie byli na objeździe przydzielonych im części okręgu. Za „Wspólnotą”

149

z obu stron ulicy stoją inne bungalowy, których styl i wielkość świadczą rów nież o pochodzeniu z czasów brytyjskich. W największym z nich mieszkał zastępczt komisarza, jeden z dwóch sędziów, pan Poulson z małżonką. Prawie naprzeciwko dawnego domu Poulsonów jest bungalow okręgowego nadinspektora policji. O ćwierć mili dalej ulica Mahatmy Gandhiego kończy się przy południowo-wschodnim rogu dużych kwadratowych błoni zwanych majdanem, gdzie aksamitna, krótko przystrzyżona trawa jest w porze deszczów i po deszczach zielona, ale teraz ma barwę brązową. Z ulicy Mahatmy Gandhiego dalej w kierunku północnym ulica Szpitalna prowadzi do szpitala majapurskiego i do kliniki Green-lawns. Jeśli skręci się w lewo, czyli na zachód w ulicę Klubową, dojedzie się do Klubu Sportowego. Zarówno budynki szpitalne, jak klub widać z daleka, z miejsca gилzie, tworząc kształt litery T, zbiegają się te trzy ulice: dawna Wiktorii, Szpitalna i Klubowa. I właśnie na ulicy Klubowej, frontem do błoni, wciąż, jeszcze stoi w swoim zadrzewionym odosobnieniu otoczony murem bungalow komisarza okręgowego.

O pół do siódmej słońce zachodzi. Na tle ostatnich słonecznych blasków rysują się sztywne kontury drzew oddzielających zabudowania klubowe od zachodniej strony majdanu. Niebo nad tym błoniem, w ciągu dnia bezbarwne, jak gdyby upał wypalił całą niebieskość, teraz ulega niezwykłej przemianie. Błękit ukazuje się wreszcie, ale w załamujących się promieniach słońca przybiera odcień żółtawy, aż całe niebo zalewa zdumiewająca świetlista zieleń, ciemniejąc do fioletu na wschodzie, gdzie już zapadła noc, i czerwieniejąc na zachodzie, gdzie nocy jeszcze nie ma. Na skraju błoni rosną tu i ówdzie drzewa; są to siedziby krążących zachrypniętych wron, o których, jak przypomina sobie lady Chatterjee, pewna Amerykanka kiedyś powiedziała: „te cholerne ptaszyska”. W Indiach wrony są wszędzie. Na ulicy Klubowej, gdy się tak jedzie powoli u boku lady Chatterjee szarym Ambasadorem będącym własnością pana Srini-wasana, adwokata — kogoś, kogo jeszcze się nie zna, ale właśnie ma się poznać — można popuścić wodze fantazji, zobaczyć, jak na terażniejszość nasuwa się przeszłość, i pomyśleć, że jedyny na pewno żywy związek pomiędzy terażniejszością a przeszłością stanowią właśnie wrony, jednakowo swojskie dla duchów zmarłych białych sahibów i dla żyjących czarnych spadkobierców. O tej godzinie po błoniach spacerują gromadki indyjskich mieszczuchów, żeby odetchnąć stosunkowo chłodnym przedwieczornym powietrzem. Są nawet kobiety i dziewczęta. Spacerują albo siedzą w kucki i rozmawiają. Dzieci biegają, bawią się. Ale przede wszystkim rzuca się w oczy biel ubrań i czapek męskich, i koszul młodych chłopców — biel, którą blaski zachodu, tak jak tę brązową trawę, powlekają pastelową różowością, barwą piór nadzwyczajnego ptaka, flaminga. Panuje nastrój uciszenia, od ludzi oddychających tym powietrzem emanuje coś... no tak. co? Ich onieśmienie wobec faktu, że przekroczyli jakąś niewidzialną dawną granicę. A może tylko tak się wydaje Anglikowi jeszcze pomnemu przywilejów formalnie już wygasłych. W ten sobotni wieczór, jadąc do klubu — w towarzystwie radzpiekiej damy samochodem bramińskiego adwokata z szoferem

150

muzułmaninem przy kierownicy — przez tę szybko niknącą świetlistość, która trzyma urocze stare miasto Majapur w zawieszeniu pomiędzy dniem i nocą, Anglik, pozbawiony już odpowiedzialności, a więc i poczucia godności innej niż jego godność osobista, czuje się chyba tak samo w zawieszeniu na fali historii swojego narodu porwanego przez prąd, jeszcze niezupełnie pojmującego siłę tego prądu. Przejeżdżając koło placu ćwiczeń może nawet sentymentalnie wspomina, że to kiedyś było święte miejsce dla władz cywilnych i wojskowych, i czuje w sercu przelotne szarpnięcie żalu, bo plac ćwiczeń już nie wygląda tak jak dawniej, gdy o tej godzinie robiło się tu

pusto, tylko jacyś zapóźnieni jeźdźcy galopem wracali z przejażdżki do domów.

Oczywiście w tamtych czasach bywało na błoniach przy pewnych okazjach tłoczniej niż w dzisiejszy wieczór. Tutaj Brytyjczycy urządali coroczne zawody sportowe i wystawy kwiatów, tutaj też odbywały się różne inne imprezy, takie jak parada wojskowa na zakończenie Tygodnia Wojny, którą Daphne Manners oglądała razem z koleżankami ze szpitala majapurskiego i kilkoma młodymi oficerami z garnizonu (budynki garnizonu, tak jak kościół Św. Marii, widać za majdanem). Wystawy kwiatów odbywają się nadal — mówi lady Chatterjee — dopiero pięć lat temu ona sama przestała wystawiać swoje kwiaty, ale nie ma już takich róż, jakie hodowały Angielki tęskniące za ojczyzną i nieczęsto wyjeżdżające na urlop do Anglii. Najwięcej miejsca w namiotach zajmują teraz krzewy i olbrzymie warzywa. Zawody sportowe również odbywają się co rok, bo Majapur jest nadal miastem garnizonowym, czy też ściślej mówiąc miastem, które dosyć ceremonialnie szanuje tradycję. Tydzień krykieta przyciąga tłumy jeszcze większe niż w tamtych czasach, ale to rozumiało, że obecnie każda impreza na placu ćwiczeń przyciąga więcej ludzi, bo dawniej, chociaż brytyjskie zawody sportowe, wystawy kwiatów i mecze krykieta były dostępne również dla Hindusów, frekwencję regulowały zaproszenia i ceny biletów. Plac ćwiczeń otaczały wtedy dwa ogrodzenia: zewnętrzne z lin na palikach i wewnętrzne z juty rozpiętej między słupami (na czas meczów krykieta jednak jutę zdejmowano zarówno dla efektu, jak ze względów praktycznych), co wyraźnie mówiło przypadkowym przechodniom, że nie każdy może tam wejść. Obecnie stawia się ogrodzenie tylko przy pewnych okazjach — takich jak zawody sportowe na przykład — żeby oddzielić publiczność od zawodników. Pewni wpływowi Hindusi w Majapurze, spadkobiercy obywatelskiej dumy, uważają, że nie powinno się narażać majdanu na inwazję pospólstwa.

— Zeszłoroczne zawody — wyjaśnia lady Chatterjee — były fiaskiem, bo ludzie bez biletów przyszli z innych części błoni, zmieszali się z publicznością, która zapłaciła za miejsca siedzące, a nawet oblegali bufety w namiotach, pewni, że tam jest wstęp wolny. Spowodowało to wielki zamęt, aż sekretarz klubu, niejaki pan Mitra, chciał zrezygnować ze swego stanowiska i dał się odwieść od tego drastycznego kroku dopiero wtedy, gdy w komitecie znikomą większością głosów przeszedł wniosek, żeby przywrócić dawny system podwójnego ogrodzenia. Co do krykieta, to w ciągu ostatnich pięciu lat dwa razy zawodnicy przerwali

151

mecz na znak protestu przeciwko awanturom wśród gawiedzi, która korzystała z wolnego wstępu dla wszystkich. Za drugim razem publiczność mściwie zaprotestowała przeciwko temu, że zawodnicy zadzierają nosa, i wtargnęła na boisko. Doszło do walnej bitwy, policja musiała wkroczyć i użyć swoich lathi, jak to robiła za czasów, kiedy konflikty miały poważniejszy charakter.

Obecnie Brytyjczycy w Majapurze trzymają się naturalnie z daleka od tego rodzaju problemów (o ile można to wnosić z półsłówek lady Chatterjee, która, gdy się ją pyta o sprawy tak delikatne, zwykle nieruchomieje wyprostowana, odpowiada krótko, po czym zmienia temat). Rzadko kiedy można zobaczyć (sądząc ze zdawkowości jej zapewnienia, że tak nie jest) kogokolwiek z kolonii angielskiej na publicznej imprezie na placu ćwiczeń. Anglicy nie wystawiają tam kwiatów. Nie stają do zawodów sportowych. Nie grają tam w krykieta. Przeszeregają, zdawałoby się, jakiegoś niepisanego prawa, że plac ćwiczeń to miejsce nie dla nich. Nawet już o nim nie mówią, chyba że to słowo służy im jako metaforyczny skrót, gdy chcą określić coś zupełnie obcego. Doprawdy można by podejść do kogoś z nich, do tej Angielki, powiedzmy, która siedzi teraz w co-cktail-barze Klubu Sportowego i przegląda stary numer magazynu „Sunday Times” (dawniej byłby to numer „The Tatler” albo „The Onlooker”), i zapytać ją, czy była na wystawie kwiatów w zeszłym miesiącu, a ona wtedy na pewno podniesie wzrok ze zdumieniem i odbije to pytanie niczym brudną małą piłkę, z której uszło powietrze. Jak gdyby przemówiło się do niej obcym językiem, którego, owszem, uczyła się, ale z trudem i bez upodobania, powtórzy pytając: „Na wystawie kwiatów?” I słysząc wyjaśnienie: „Na tej wystawie kwiatów na placu ćwiczeń”, uniesie brwi i opuści kąciki ust, co ostatecznie będzie wymownym, chociaż niemym skarceniem za niedorzeczność.

W cocktail-barze oprócz tej Angielki i jej towarzyszkii siedzi jeszcze kilka osób. Ale lady Chatterjee jest jedyną Hinduską i usiadła przy stoliku (razem ze swoim gościem) tylko dlatego, że wchodząc do klubu, gdzie pana Srinivasana, jak się okazało, jeszcze nie było, spotkała Anglika imieniem Terry, który właśnie wracał z tenisa. Terry wesoło ją upomniał, że bywa w klubie zbyt rzadko, i uparł się, żeby zamiast czekać na swego oficjalnego gospodarza w hallu, czegoś się napiła. W rezultacie poprowadził ją i jej gościa do stolika, gdzie już siedziały te dwie panie, Angielki, a sam odszedł, żeby wziąć prysznic. Tak więc postawił lady Chatterjee, jedyną tu kobietę w sari, jej gościa, jedynego tu mężczyznę nie znającego stosunków, i całe towarzystwo w niezręcznej sytuacji. Daremnie lady Chatterjee próbuje objaśniać gościowi to, co go otacza, i daremnie on próbuje włączyć damy dworu Terry'ego w rozmowę, która idzie jak po grudzie wobec braku zwyczajnej grzeczności z ich strony.

Wyłania się więc pytanie, jak dalece ten klub się zmienił od czasu Daphne Manners. Każdy ze służących nadal nosi biały turban przewiązany wstążką pod kolor szarfy opasującej biały kitel długi po kolana. Białe workowate spodnie trzepoczą nad bosymi brązowymi stopami, co przywołuje dawne wspomnienia o służbie stąpającej cicho i potulnie. Może tylko w urzędzeniu tego cocktail-baru

152

widać zmianę o charakterze jednak efemerycznym: blat kontuaru jest plastikowy, a nie jak dawniej drewniany, wymagający politurę. W oknach wiszą zasłony z satyny w deseń z abstrakcyjnych spirali, a nie stulistnych róż. Surowe skandynawskie krzesła są tak twarde, że stopniowo budzi się tęsknota do starych wiklinowych foteli wyłożonych poduszkami.

Ale niemądrze byłoby przypuszczać, że taka nowoczesność świadczy o czymś szczególnie znamionym. Bez sensu też byłby pochopny wniosek, że wszyscy nieliczni angielscy członkowie klubu przesiadują w tej sali, bo podświadomie pragną się utożsamić tylko z tym, co nowoczesne, a więc najlepsze. Po prostu z werandy cocktail-baru widać korty tenisowe. Dlatego zawsze lubiły tu siedzieć dawne majapurskie panie, a teraz też wszystkie, nie licząc lady Chatterjee, panie obecne w klubie, przynajmniej na razie, to Angielki. Jeżeli damy hinduskie na ogół lepiej czują się u siebie w domu, komuż, jeśli nie im, można mieć za złe fakt, że ta sala wygląda na zarezerwowaną wyłącznie dla Europejki?

Ale... dlaczego nie ma w tej sali Hindusów? I dlaczego niektórzy z Europejczyków nie siedzą ze swoimi paniami w cocktail-barze, tylko stoją w drugiej sali, gdzie podaje się mocniejsze trunki, i rozmawiają z Hindusami? I dlaczego (nawet z daleka w starej palarni, gdzie widać ich między kancianymi filarami na końcu korytarza) sprawiają wrażenie czcigodnych, powściągliwych, nieomal jak stare panny, wrażenie zgoła nienaturalne w towarzystwie czysto męskim? Co więcej, ilekroć któryś z nich wraca przez korytarz do cocktail-baru i siada przy swojej pani, po chwili dolatuje jego dosyć głośny śmiech, a ona wzrusza ramionami i uśmiecha się półgębkiem. Skąd raptem takie popisywanie się męską rubasz-nością, którą w palarni najwyraźniej tłumiono?

Ale te rozmyślenia trzeba przerwać na chwilę, gdy do cocktail-baru wchodzi pan Srinivasan. Jest to siwy sześćdziesięcioletni mężczyzna, chudy, średniego wzrostu, o ceremonialnym sposobie bycia. Skórę ma lśniącą, jasnobrązową, ubranie nieskazitelne. Jego garnitur, kołnierzyk, krawat podkreślają jeszcze jedną interesującą różnicę. Spadkobiercy przychodzą do klubu ubrani odpowiednio, natomiast Anglicy bez skrupowania pokazują obnażone grube szyje i muskularne przedramiona.

Pan Srinivasan konwencjonalnie, staromodnie przeprosza za to, że się spóźnił, nie przybył pierwszy, żeby od progu powitać swoich gości. Pozwala też sobie na żarcik (kiedyś rozpowszechniony wśród Europejczyków), że w Majapurze chyba nadal odlicza się od czasu środkowoindyjskiego całe pół godziny. Gość wstając i podając mu rękę napotyka jego wzrok łagodny, ale badawczy, w którym przejawia się gotowość do odparcia nawet najsutelniejszej zniewagi, jaką tylko potrafi wykręcić wrażliwość pogłębiona doświadczeniem. Lady Chatterjee nazywa pana Srinivasana zdrobnieniem jego nazwiska: Wassi.

— Oczywiście znasz — mówi — żonę Terry'ego Grigsona?

Srinivasan składa ukłon w stronę tej Angielki nurzającej się zapobiegawczo w płytkim bajorku niby to urzeczenia magazynem „Sunday Times”. Angielka odrywa się symbolicznie od lektury, lekko unosi głowę (co można by nawet

153

poczytać za spojrzenie na pana Śrinivasana, gdyby w tej samej chwili powieki jej nie opadły) i porusza wargami (co może byłoby błądzeniem: „dobry wieczór”, gdyby wargi jej się przy tym nie zlepily). Siedząca w jej towarzystwie druga Angielka, również przedstawiona, kiwa głową i ponieważ jest młodsza, a więc ma mniej zahamowań wynikłych z dawnych rozróżnień, już wydaje się skłonna do wzięcia udziału w ogólnej rozmowie. Pani Grigson jednak z doskonałym wyczuciem czasu podsuwa jej magazyn „Sunday Times” i pokazuje jakąś ilustrację, szczegół katedry w Coventry tak nadzwyczajny, że natychmiast obie się zapuszczają w labirynt anglosaskiej sztuki nowoczesnej. Gość czyni w duchu niemiłosiernie spostrzeżenie: dla Angielek sztuki piękne mają tak czy owak wartość jako dogodny temat do rozmowy.

Można by też pomyśleć, że pan Srinivasan czuje się w cocktail-barze skrupowany, że gdyby tylko nie był uzależniony od czasu majapurskiego i zdążył pozałatwiać swoje sprawy punktualnie według czasu środkowoindyjskiego, to czekałby przy wejściu, aż ten jego drugi, trochę mniej wspaniały samochód, Ambassador, przywiezie mu gości. Zabrałby ich od razu do starej palarni i nie doszłoby do tego, że zaopiekował się nimi jowialny Terry Grigson, zostawiając ich swojej żonie, która bynajmniej nie jest jowialna, ale przy której oni muszą trwać ze względów kurtuazyjnych, do chwili gdy Terry po wzięciu prysznicu wróci z szatni... W końcu przecież Terry wróci, promienny, z. twarzą lak czerwoną, jakby ją wysforował szczotką ryżową, przyodziany w zmiętą bawełnianą koszulę sportową i w zmięte szmatławie szare spodnie. Tymczasem pan Srinivasan kiwa chudym, nieomal suchotniczym palcem na kelnera i pyta wszystkich, czego się napiją. Pani Grigson i jej wierne echo, ta druga pani, odpowiadają:

— Dla mnie nic, dziękuję.

Terry wraca już po odejściu kelnera z okrojonym w ten sposób zamówieniem, ale jeszcze zanim pojawiają się trzy samotne dziny z tonikiem. Na pytanie pana Śrinivasana, czego on się napije, odpowiada uprzejmie:

— Ja sobie golnę piwo.

Gdy zjawiają się dziny z tonikiem, pan Srinivasan poleca kelnerowi:

- I piwo dla pana Grigsona.
- Zamów dla mnie, Terry, jeszcze raz to samo, dobrze?

Pani Grigson popycha swoją pustą szklankę do Terry'ego.

Terry szybko, na migi, prawie poufnie, przekazuje kelnerowi zamówienie. Druga Angielka przy stoliku, ponieważ brak jej odwagi, żeby tak wymyślnie jak pani Grigson obrazać ludzi, nie dostałaby już nic, gdyby Terry podczas rozmowy pana Śrinivasana z Lili Chatterjee nie zapytał:

— A dla ciebie, Betty?

Wtedy ona może wzruszyć ramionami i z niedbałą miną powiedzieć:

— No, myślę, że też to samo.

Żadne pieniądze nie przechodzą z rąk do rąk, kelner nie przynosi rachunku do podpisania, nie wiadomo więc,

kto w istocie tym paniom funduje. Można jednak ufać, że Grigson, człowiek wyraźnie rzetelny, niemal onieśmielająco dla samego

154

siebie, nie pozwoli później obciążyć konta barowego pana Srinivasana trunkami swoich pań. bo one chyba wolałyby umrzeć niż dopuścić, żeby płacił za nie Hindus.

I teraz, może zgodnie z jeszcze jednym niepisany prawem czy może na jakiś potajemny, znany tylko temu klanowi znak. krępa Angielka przy sąsiednim stoliku przechyla się i pyta o coś panią Grigson. Pani Grigson lekko skłania kościsty tors i dyskretnie, a przecież dostrzegalnie przesuwa się z krzesłem po trochu, aż się jej udaje odłączyć od towarzystwa, z którym właściwie siedzi przy stoliku nadal. Trudno dosłyszeć, co ją tak bardzo interesuje, bo Lili Chatterjee, pan Srinivasan i (trzeba to przyznać temu samotnemu kapitanowi drużyny) pan Grigson też rozmawiają z ożywieniem. Gość więc obserwuje tylko i wyciąga wnioski, może fałszywe, ale więcej przemawia za tym, że słuszne. Nic nie jest tak przejrzyste jak afront towarzyski — afront w tym wypadku zrobiony także obcemu, bo on tu przybył z Hinduską na zaproszenie Hindusa.

I chwilowo nie wiedząc dokładnie, o czym kto mówi. gość rozpoznaje na niezbyt urodziwej twarzy Terry'ego ów dawny wyraz napięcia, głęboko zakorzonioną rezerwę, która cechuje jego uśmiech i uwydatnia cel dyplomatyczny — chociaż jeszcze trochę, a kto wie, czy nad dyplomacją nic przeważa zły humor zony. upartej scgregacjonistki. Byłaby to wielka szkoda, zważywszy, ile się mówi w kraju o znaczeniu handlu zagranicznego i eksportu, i o konieczności sprawiania dobrego wrażenia za granicą.

— Hm... nie — odpowiada Terry Grigson, gdy pan Srinivasan pyta *go pro forma*, czy nie zechce zjeść z żoną kolacji w klubie w towarzystwie ich trojga, Srinivasana, Lili Chatterjee i jej przyjezdnego gościa. — Bardzo pan uprzejmy, ale mamy dziś pożegnanie Rogera. Musimy jeszcze wpaść do domu, przebrać się.

Ów Roger — jak można wydedukować — to dyrektor British-Indian Electrical, który przechodzi na emeryturę. Prawie nie ma miesiąca, żeby ktoś z tej wciąż, się zmieniającej ludności europejskiej nie przechodził na emeryturę, nie wracał do Anglii, nie przenosił się na inną placówkę. Na każde pożegnanie przypada jednak obławanie czyjegoś nowego mieszkania albo przyjęcie powitalne dla czyjejs żony przybywającej do miasta, gdzie mąż ma przez rok czy dwa lata zarabiać na życie. Jakkolwiek luksusowe jest to życie — na stanowisku kierowniczym w British-Indian Electrical, jeśli nie w którejś z innych spółek przemysłowych czy też na stanowisku wykładowcy jakiegoś zawilego przedmiotu w technikum — przecież należy się ono ludziom uznanym za pierwszorzędnym przygotowanych do tego, by kierować, przewodzić, wprowadzać, uczyć. Z takich ludzi składa się nowe plemię sahibów. To są eksperci.

— Opowiem panu historyjkę bardzo interesującą, chociaż niewątpliwie zmyśloną, o sytuacji angielskich ekspertów w Indiach obecnej doby — mcSwi pan Srinivasan swym cienkim, ale melodyjnym głosem.

Siedzą teraz w palarni. Towarzystwo z eocktail-baru już się rozbiło, gdy Terry Grigson wypił duszkiem piwo. a jego panie przelknęły swoje musujące dżiny, po czym wszyscy odeszli, żeby po przebraniu się w stroje bardziej odpowiednie życzyć Rogerowi szczęśliwej drogi. Wtedy pan Srinivasan poprowadził lady Chatterjee i jej

155

gościa przez hal! z kolumnadą do tej wygodnej starej palarni, gdzie tak jak dawniej stoją klubowe fotele i palmy w donicach, na ścianach wiszą sztychy popstrzone przez muchy, przedstawiające sceny myśliwskie, i gdzie coś, co czuje się w powietrzu, przywodzi na myśl zimną baraninę z wielokrotnie odgrzewanym sosem, chociaż z sąsiedniej sali restauracyjnej wiatraki wentylatorów, obracając się opieszale u sutitu, przywiewają zapachy korzeni i curry. Gdy weszli, w palarni był tylko jeden Anglik. Zerka on na nich, ale zachowuje bladą maskę bezimienności, włożoną chyba w samoobronie przed mtodymi, zapewne niedoświadczonymi Hindusami, którzy go otaczają, trzymają jak w zamknięciu, i wypytują. Właśnie dlatego, że gość zapytał pana Srinivasana, kim jest ten biały, pan Srinivasan, udzieliwszy odpowiedzi, że nie wie, ale przypuszcza, że to „przyjezdny ekspert”, zaczyna opowiadać ową bardzo ciekawą, chociaż, być może, zmyśloną historyjkę.

— Pewien Anglik — mówi pan Srinivasan — miał wrócić do kraju. Rzeczywiście zwykły turysta. Wdał się przez przypadek w rozmowę z hinduskim przemysłowcem, który od miesiący starał się o pożyczkę od *rz. qóu mi* rozbudowę fabryki. Ktoś ze znajomych powiedział owemu przemysłowcowi:

„Rząd nie da panu pożyczki. Wykluczone, bo nie zatrudnia pan doradcy technicznego z Anglii.”

Przemysłowiec się zmartwił. „Skąd mam wziąć takiego doradcę i ile mnie to będzie kosztowało, biorąc pod uwagę, że doradca zażądałby kontraktu co najmniej na dwa, trzy lata?” I nagle spotkał tego Anglika-turystę. wtedy nie mającego już ani jednej rupii w kieszeni. Zapytał go:

„Proszę pana, wydaje mi się, że moglibyśmy zrobić interes, na którym by pan zarobił pięć tysięcy rupii.”

Anglik-turysta zgodził się od razu.

„A więc zechce pan tylko — powiedział ten hinduski przemysłowiec — odłożyć wyjazd na dwa tygodnie, a ja tymczasem napiszę do pewnych dygnitarzy w New Delhi.”

I nadał telegram do rządu: „Co z pożyczką? Już ponoszę koszty, bo zatrudniam rzeczoznawcę technicznego z Anglii, a od was nie ma odpowiedzi.”

Natychmiast zawiadomiono go telegraficznie, że tego to a tego dnia przedstawiciele rządu przyjadą do jego fabryki na inspekcję. Poszedł więc do Anglika-turysty, wręczył mu pięć tysięcy rupii i powiedział:

„Proszę przyjąć do mojej fabryki w poniedziałek. Wie pan coś niecoś o częściach składowych radia?”

Anglik-turysta odpowiedział:

„Niestety, znam się tylko na rzeźbach starożytnych.”

„Nie szkodzi — zapewnił ten pan. Hindus. — W poniedziałek, ilekroć trąć pana łokciem, niech pan powie po prostu: «Tak właśnie robi się to u nas, w Birmingham.»”

W poniedziałek odbyło się w salonach dyrekcji fabryki imponujące spotkanie hinduskiego przemysłowca, który o częściach składowych radia wiedział wszystko, Anglika-turysty, który nie wiedział nic, i przedstawicieli rządu, którzy również nic

156

o radiu nie wiedzieli. Przed obiadem obeszlą teren fabryki i w pewnej chwili jeden z tych inspektorów rządowych zapytał Anglika:

„Co się tutaj dzieje?”

Przemysłowiec trącił Anglika łokciem, na co Anglik, człowiek honoru, na którego słowie można było polegać, odpowiedział:

„Tak właśnie robimy to w Birmingham.”

Po przyjemnym obiedzie przedstawiciele rządu odlecieli z powrotem do Delhi, Anglik-turysta zarezerwował sobie bilet pierwszej klasy w samolocie BOAC, a hinduski przemysłowiec w ciągu tygodnia otrzymał znaczną pożyczkę rządową z życzliwym pisemkiem od samego premiera Nehru.

Usłyszawszy tę opowieść pana Srinivasana gość stwierdza, że nowa fala satyry rozbiła się także na wybrzeżu Indii, sięgając pomniejszych strużkami w głąb ładu, aż do Majapuru.

Pan Śrinivasan jest najstarszy w palarni.

— Tak, oczywiście — mówi o młodszych obecnych w palarni Hindusach — oni wszyscy to przemysł i handel. Teraz żaden rozsądny młody człowiek w Indiach nie zajmie się administracją ani polityką. Każdy z tych tutaj to przyszły dyrektor.

Kilku z przyszłych dyrektorów włożyło na wieczór bawełniane koszule sportowe, ale czyste i pięknie wyprasowane. Mają zegarki na pozłacanych paskach. Jeden z nich podchodzi i wita się z lady Chatterjee.

Srinivasanowi na pytanie, co zamówić dla niego, odpowiada, że niestety musi już pędzić na randkę. Jest zuchwały, pełen wigoru. Nazywa się Surendranath. Po jego odejściu pan Śrinivasan mówi:

— Klasyczny przykład. Surendranath ojciec to stary prawnik w Indyjskiej Służbie Państwowej, Surendranath syn to inżynier elektryk, a raczej goniec z dyploma inżyniera. Pracuje jako sekretarz osobisty dyrektora handlowego British-Indian Electrical. Dyplom uzyskał w Kalkucie, technikę sprzedaży studiował w Anglii. Na odwrót niż w dawnych czasach, kiedy dyplom uzyskiwało się w Londynie, a technikę sprzedaży albo się lekceważyło, albo studiowanie jej odkładało na potem i przyswajało się sobie już po drodze, błądząc na kolejnych niepewnych etapach znaczenia i wpływów. Surendranath jest bystrym handlowcem, młodziemcem bardzo postępowym we wszystkim poza swoim życiem prywatnym, to znaczy sprawą swego ożenku. Tę decyzję chętnie pozostawia rodzicom, bo ufa ich rozeznaniu w takich kwestiach stosunkowo błahych.

Tamten chudzielec to również dobry przykład. Wygląda na intelektualistę. Nazywa się Desai. Jego ojciec był ze mną internowany w roku 1942, bo obaj przewodziliśmy tutejszej organizacji Partii Kongresowej. W zeszłym roku spotkał się w New Delhi i opowiadał, jak ten młody Desai kiedyś mu palnął: „Czy tylko dlatego, ojcze, że siedziałeś w więzieniu, myślisz, że masz prawo uważać się za wyrocznię?” Pokłócili się o pana Nehru i ten łagodny na pozór młodzieniaszek

157

wrzasał, że Nehru to megaloman, którego przydatność skończyła się w roku 1948, ale który na nieszczęście żyje dalej i stwarza w Indiach warunki gorsze niż za czasów brytyjskich, bo nie ma poczucia rzeczywistości, nie ma pojęcia o strukturze gospodarczej świata i presjach ekonomicznych. Mój stary przyjaciel Desai był sekretarzem ministra oświaty i opieki społecznej w rządzie kongresowym prowincji, od roku 1937 do czasu rezygnacji ministra w 1939. Zanim objął to stanowisko, pracował w pozanomenklaturowej służbie państwowej i był, jak ja, adwokatem. Ale jego syn, ten nieopierzony chudzielec, jest ekspertem od pomp odśrodkowych i twierdzi, że to z winy takich jak my przemysł i rolnictwo w Indiach są zacofane, ponieważ nasze pokolenie marnowało czas; zamiast się uczyć wszystkiego, co tylko możliwe, bawiliśmy się w politykę z mocarstwem imperialnym, chociaż ono w tej szczególnej zabawie, nawet mając obie ręce związane, musiało nas pokonać, co byle głupiec mógł nam przepowiedzieć. Zarzuty tego rodzaju są doprawdy uzdrawiającym zimnym tuszem dla takich działaczy jak my, którzy w swoim czasie myśleli, że spisują się dosyć dobrze.

Również pan chyba zauważył, że tu, w palarni, nie ma oprócz mnie starych ludzi. Gdzie *podziewają* się moi dawni współnicy zbrodni politycznej? Lili, proszę, nierób od razu miny niezgłębionej księżniczki radżpuckiej.

Przecież pan zna odpowiedź na to pytanie. Odeszli, powymierali, wycofali się w stan spoczynku albo z ukrycia w naszych norach obracają żarna administracji powoli, lecz nie zawsze dobrze. Niektórych z nich można spotkać w tamtym klubie. Pan nie wiedział, że w Majapurze jest drugi klub? No, to ciekawe. Przecież siedzimy tu z panią, której mąż był jednym z jego pierwszych członków-założycieli.

- Nello wyłożył pieniądze, ale rzadko tam zaglądał — mówi lady Chatterjee.
- Również wybrał nazwę, czyż nie?

Chwilami można by podejrzewać pana Srinivasana, że rozmyślnie parodiuje sam siebie.

Lady Chatterjee wyjaśnia:

- Chcieli nazwać ten klub KMH. Nello im doradzał, żeby usunęli ostatnią literę.
- Tak więc KMH stał się KM, co oznacza po prostu Klub Majapurski. Gdyby zostało H na końcu, to by oznaczało Klub Majapurskich Hinduistów. Wszystko jedno. Pewien żartowniś Anglik przezwiał go Klubą Indyjską. Kluba, jeśli się nic myłę, była kiedyś narzędziem tortur. Dowcipni Hindusi nazywają go Klubem Chatterjee. Ale jakkolwiek go nazywano, zawsze był klubem niedobrym. Pierwotnie miał to być oczywiście klub na modłę angielską dla Hindusów na odpowiednim poziomie. Nie na darmo jednak zaproponowano owo H w nazwie. Stał się miejscem, gdzie słowo „hinduistów” było faktycznie ważniejsze niż słowo „klub”. A hinduiści to nie znaczą Kongres. Nie, nie. Proszę wczuć się w rozróżnienie. W tym wypadku to oznaczało hinduską Mahasabhę. Hinduistyczny nacjonalizm. Hinduistyczna ciasnota pojęć. To znaczyło: bogaci banijowie ze skromnym wykształceniem, właściciele ziemscy, którzy mówili po angielsku gorzej, niż niższy angielski urzędnik z pododdziału dukal gorliwie językiem hindi. Siedzieli bez

158

butów, z nogami podkurczonymi w fotelach, jadali tylko okropne potrawy jarskie, pili obrzydliwe soki owocowe. Majapur, pan rozumie, to nie Bombaj, dlatego też Klub Majapurski nie był taki jak Klub Willingdona, założony przez lorda WiUingdona, waszego wicekróla, w ataku wściekłości, ponieważ goście Hindusi, których zaprosił, nieświadom przepisów, na prywatny bankiet w królewskim Yacht Klubie, zostali w swoich Rolls Royce'ach odprawieni od drzwi, zanim pojął, co się dzieje. No cóż, może nasz drogi stary Nello wyobraził sobie w Majapurze mały klubik Willingdona? Ale co się stało? Ci Hindusi, którzy polubiliby ten klub, bo mieliby tam najbliższy w ówczesnych warunkach dostęp do tego, co pana rodacy nauczyli ich uważać za jeden z wielu wprawdzie, ale jakże ważny aspekt życia ludzi cywilizowanych... ci Hindusi stopniowo przestali tam zaglądać i w miarę jak ich ubywało, banijowie coraz pewniej zapierali się bosymi stopami w podłódze czy też raczej w siedzeniach foteli... Chyba otwierają salę restauracyjną.

— Rzecz w tym, pan rozumie — mówi pan Srinivasan, gdy już przeprosił za brak wołowiny i obfitość baraniny — że tacy starzy jak ja, moi wspólnicy zbrodni i towarzysze niedoli, którzy jeszcze żyją i mieszkają w Majapurze, czują się jakoś bardziej na miejscu w Klubie Majapurskim niż tu, w Sportowym. Wystarczy spojrzeć na te młode twarze wokoło. Zupełnie jakby ci chłopcy nas upominali, że nie możemy spodziewać się wiecznego ucztowania wśród wdzięcznych słuchaczy naszych opowieści o tym, jak walczyliśmy i pozbyliśmy się Brytyjczyków. Jeśli więc mamy spędzić parę godzin w klubie, większość z nas, chociaż nie ja, woli towarzystwo ludzi też spoczywających na laurach, chociaż innego rodzaju, ludzi, z którymi łatwiej nam się utożsamić niż z członkami tego klubu tutaj, gdzie każdy jest pełen inwencji i inicjatywy i krytykuje naszą przeszłość. Łatwiej nam się utożsamić z kimś takim na przykład, jak pan Romeś Cand Gupta Sen. Obecnie to czcigodny starzec, prawie osiemdziesięcioletni, ale wciąż jeszcze chodzi co dzień do swojego kantoru nad hurtownią na bazarze Cilijanwala. Ku rozpaczycy jego synów i wnuków, powinienem dodać. I raz na tydzień wieczorem zjawia się w Klubie Majapurskim, żeby porozmawiać o perspektywach handlu z ludźmi, którzy nigdy nie interesowali się polityką, a obecnie nie interesują się ani sprowadzaniem rzeczoznawców, ani teoriami o ekspansji przemysłu, tylko chcą, jak zawsze dawniej, zarabiać pieniądze i starają się być dobrymi hinduistami.

Najpierw była sałatka z krewetek. Teraz wjeżdża na stolik baranina z curry. Gospodarz klubu podchodzi i nadzoruje podawanie, ale odrywa się od spełniania tej powinności, żeby przywitać czworo Anglików: dwóch mężczyzn i dwie z kobiet, które siedziały przedtem w cocktail-barze. Wskazuje zarezerwowany dla nich

15

stolik, ale oni go ignorują, wybierają inny stolik, który bardziej im odpowiada. Mężczyźni przyszli w szortach, nogi mają gołe do kostek. Kobiety są w bawełnianych prostych sukienkach bez rękawów; pokazują swe pożyłkowane przedramiona. Bez swetrów, które chyba by włożyły na te skąpe stroje wieczorem w Anglii, wyglądają jak oskrobane i ugotowane. Obie są młode. Siedzą obok siebie naprzeciwko swoich mężów — akt bezwiednej segregacji, teraz już chyba dobrze znany Hindusom przywykłym do nowego plemienia sahibów i mem-sahib, ale być może jeszcze ich intrygujący, kiedy sobie przypominają, jak Brytyjczycy starej daty krytykowali indyjski zwyczaj oddzielania mężczyzn od kobiet, który prawie uniemożliwiał Anglikom wydawanie dla nich

przyjęć w towarzystwie mieszanym.

Sala restauracyjna, zapewne tak jak palarnia, niewiele się zmieniła od czasów Daphne Manners. Jest to sala kwadratowa, z podłogą w biało-czarną szachownicę z kafelków, ze ścianami pobielonymi powyżej dębowej boazerii, sięgającej do wysokości ramienia. Trzy kanciaste filary z taką samą boazerią podtrzymują sufit w punktach przypuszczalnie strategicznych, chociaż, na pozór przypadkowych. Stolików jest chyba ze dwadzieścia, niektóre okrągłe, inne prostokątne, wszystkie nakryte wykrochmalonymi białymi obrusami. Na każdym leżą platerowane sztuczne przy sterzących serwetkach, złożonych na kształt infuły, stoi tacka z przyprawami, szklany dzbanek z wodą przykryty muślinem i smukły chromowy wazonik, a w nim dwa astry. Czarną jamę dużego kominka w stylu Tudorów częściowo zasłonięto parawanem z tkaniny dekoracyjnej. Nad kominkiem wisi portret pana Nehru patrzącego pogodnie, ale z niejakim zakłopotaniem. Gość może przyjąć, że wtedy, gdy Daphne Manners jadła tu kolacje, w ramie tej była kolorowa podobizna Jerzego VI z. identycznym wyrazem twarzy. Z sufitu zwisają cztery wentylatory obracające się na chwiejnych cienkich rurkach. Są dwa łukowato sklepione wyjścia: jedno do palarni, drugie do głównego hallu. Jest i trzecie, ale to prowadzi tylko do kuchni. Przy wyjściu do kuchni stoi pod ścianą monumentalny dębowy kredens, czyli tak zwany „pomocnik”. Na górnej półce przygotowano zapasowe serwetki, łyżki, noże, widelce i dzbanki z wodą, na niższej koszycki z chlebem, patery z owocami, butelki sosu i zapasowe flaszeczki z oliwą i octem. Salę oświetlają kinkiety z żarówkami jak ogarki grubych świec i dwa drewniane żyrandole z pergaminowymi abażurkami. W dzień światło pada przez okna wychodzące na frontową, zdobną w kolumny werandę klubu. Teraz okna są otwarte, zasłony rozsunięte, żeby napływało świeże wieczorne powietrze.

Można sobie wyobrazić tamte lata, zwłaszcza wieczory sobotnie, gdy w cocktail-barze, z którego na ten czas usuwano wiklinowe stoliki i fotele, dudniła orkiestra, a w sali restauracyjnej był zaimprovizowany zimny bufet. Drzewa na brukowanym tylnym dziedzińcu przy kortach tenisowych obwieszano kolorowymi lampkami i ledwie orkiestra przestawała grać, siadały tam flirtujące pary, żeby się trochę ochłodzić przed następnym fokstrotem czy quickstepem. Inni pływali w niedużym basenie za rzędem kabin z prysznicami. Teraz ten basen nie jest oświetlony, wymaga oczyszczenia (tak mówi pan Srinivasan, oprowadzając swych gości po terenie klubu, gdy już zjedli lody podane po baraninie z curry). Mało kto z tego basenu korzysta,

160

ponieważ mogą w nim pływać wszyscy, a zarówno biali, jak czarni nie kwapią się do zanurzania w wodzie nie mając gwarancji, że ostatnia osoba, która się tam kąpała, była czysta. Ludzie opowiadają, jak pewien Anglik parę lat temu wylał do tego basenu zawartość wszystkich nocników z kabin.

— Ale mówiłem już panu — przypomina pan Srinivasan prowadząc swych gości z powrotem przez pusty teraz cocktail-bar do palarni, gdzie zrobiło się tłoczno i siedzi nawet kilka pań w sari, zapewne żon oficerów — mówiłem panu, do jakiego rodzaju ludzi łatwiej niż do bywalców Klubu Sportowego możemy się dostosować my, starzy faceci, którzy znajomość życia czerpali z akt i spraw sądowych, a pokarm z polityki.

Pan Srinivasan podnosi palec.

Służący podchodzi i przyjmuje zamówienie na kawę i koniak.

— Wymieniłem wtedy Romeśa Canda — podejmuje swój temat pan Srinivasan. — To klasyczny przykład. Dla niego zawsze najważniejszy jest interes, a polityka pozostaje na samym końcu. Trzy razy zbił majątek, pierwszy raz w dawnych czasach pokoju, drugi w czasie wojny i trzeci po uzyskaniu niepodległości. Synom pozwolił ukończyć tylko *gimnazjum* rządowe, na wyższe studia ich nie puścił. Pytałem dlaczego. Odpowiedział, że na to, by robić pieniądze, wystarczy umieć jako tako czytać i gryzmolić, znać tabliczkę mnożenia i wyćwiczyć wzrok do pilnowania swoich interesów. Poślubił dziewczynę, która nie umiała nawet się podpisać. Nie umiała też prowadzić gospodarstwa, ale w tym ją szkoliła jego matka, bo przecież tylko do tego są wszystkie świekry hinduskie. Na ożenek swego młodszego brata z niejaką Salini Kumar patrzył niechętnie, pełen najgorszych przeczuć. Bratowa pochodziła z rodziny, w której nie bardzo wierzyło się w przydatność wykształcenia, ale dzieci mogły się kształcić. W rezultacie brat Salini wyjechał na stałe do Anglii, a ona sama pisała pięknie po angielsku. Owdowiała młodo. Może panu trudno w to uwierzyć, ale kiedy jej mąż umarł, kobiety z rodziny Romeśa Canda namawiały ją, żeby została sati. Oczywiście się nie zgodziła. Jakaż kobieta przy zdrowych zmysłach chciałaby spłonąć na stosie pogrzebowym męża? Również nie zgodziła się opuścić mężowskiego domu na Ćilijanwala Bagh. Mówię panu o tym, bo chyba ma to związek ze sprawą, która pana interesuje.

Właśnie Romeś Cand kazał Salini sprowadzić z Anglii zeuropeizowanego bratanka, Harięgo Kumara, kiedy jej brat tam umarł i zostawił chłopca bez dachu nad głową, bez grosza. W istocie podejrzewaliśmy, że ojciec Harięgo

popęłnił samobójstwo uwikłany beznadziejnie w jakieś nieprzemysłane spekulacje. Tak czy owak, pani Gupta Sen po otrzymaniu wiadomości o śmierci brata poszła do Romeśa i poprosiła go o pieniądze, żeby Hari mógł dalej uczyć się w prywatnej szkole w Berkshire, a potem studiować na angielskim uniwersytecie. To było... kiedy? W roku 1938. Własnych pieniędzy pani Gupta Sen prawie nie miała. Mieszkała

161

w domu przy Ćilijanwala Bagh, głównie z łaski szwagra, Romeśa. Uboga samotna wdowa. Chyba dlatego, że zawsze pragnęła mieć dziecko, syna, przystała na kontrpropozycję Romeśa, który uważał, że Hari powinien wrócić do Indii, zamieszkać u niej i stać się dobrym hinduistą. Ofiarował się nawet zapłacić za przejazd Hariego i powiększyć jej miesięczny zasiłek. Pani Gupta Sen, pan rozumie, od dawna żyła jak pustelnica, rzadko wychodziła z domu. Sama już się stała nieomal dobrą hinduistką.

Mieszkała bardzo skromnie. Młody Hari musiał doznać wstrząsu. Na zewnątrz jej dom przy Ćilijanwala Bagh wydawał się nowoczesny. I jeszcze teraz wydaje się taki. „Solaria”, chyba tak *nazywaliście domy tego rodzaju*. Wszystkie budynki na terenie budowlanym Ćilijanwala Bagh postawiono w końcu lat dwudziestych. Przedtem były tam nieużytki i nazwa Ćilijanwala Bagh wzięła się stąd, że ta ziemia należała do pewnego parsza nazwiskiem Ćilijanwala. Parsowie to ludzie interesu, ale bardzo zeuropeizowani, prawie nie Hindusi. Od spadkobierców Ćilijanwala kupił tę ziemię syndykat miejscowych handlowców, na którego czele stał Romeś Ćand. On dla siebie nigdy by nie postawił domu w nowoczesnym stylu europejskim, w jakim zaprojektowano zabudowania Ćilijanwala Bagh, ale nie raziała go nowoczesność przewidywanych zysków z tego przedsięwzięcia. W istocie, żeby zapewnić sobie subwencję rządową i ułatwienia w czymś tak postępowym jak elektryczność i kanalizacja na tym terenie, postarał się o fotel w Radzie Miejskiej dla swego skądinąd marnotrawnego brata, tego, który poślubił Śalini Kumar. Z czasem więc stanęły betonowe straszdyła, owe „solaria”, ale tylko jeśli chodzi o styl, bo kiedy wszystko wokoło jest tak nasłonecznione, trzeba się od słońca chronić. Okna, pan rozumie, muszą być bardzo małe, jeżeli nie ma starożytnych cienistych werand. I właśnie w jednym z tych domów, pod numerem 12, zamieszkał brat Romeśa z żoną. I do tegoż domu prawie w dziesięć lat później przyjechał na stałe młody Hari. Nie mógł nie doznać wstrząsu. Są to wnętrza ciemne i duszne, pokoiki ciasne, schody strome. Dom pod numerem 12 na domiar złego nie byłumeblowany, bo chociaż, mąż pani Śalini Gupta Sen kupił mnóstwo mebli, Romeś, który mu pożyczył pieniądze na to, większość ich sprzedał po jego śmierci, żeby wycofać gotówkę. Dom również, należał do Romeśa. Znam te sprawy, bo byłem tym, co w Anglii nazywacie „radca prawny rodziny”.

Tak, ma pan rację. Lili chciała się ze mną założyć, że pan się zorientuje. No i rzeczywiście. To byłem ja. Adwokat, którego Romeś Ćand wezwał w tamten poranek, kiedy siostra Ludmiła przyszła do niego do kancelarii i powiedziała, że policja zabrała Hariego, pewnie go aresztowała. To było na kilka miesięcy przed moim aresztowaniem. Romeśowi jakoś nigdy nie przeszkadzał fakt, że jestem zaangażowany politycznie. On rozumiał pożytek płynący z polityki tak samo jak prawo zmniejszania się wpływów kasowych. Kiedy powiedziano mi w komisariacie, że Hari już został zwolniony, wróciłem do kancelarii, wysłałem aplikanta z tą wiadomością do Romeśa, a potem poszedłem do domu na Ćilijanwala Bagh, żeby się dowiedzieć, o co chodzi.

Hari nie chciał wyjść do mnie ze swojego pokoju. Ale lubiliśmy się z panią Gupta

162

Sen. Zawsze rozmawialiśmy po angielsku. Z Romeśem musiałem rozmawiać w hindu. Pani Gupta Sen powiedziała mi:

„Niech pan powie Romeśowi, że zaszła pomyłka. Nic Hariemu nie zarzucają, nie ma się czym przejmować.”

Zapytałem, czy prawdą jest to, co słyszałem w komisariacie — że Hari się upił i że zabrała go ta wariatka do tak zwanego „Azyłu”. Dotychczas nie posądzałem Hariego o pijaństwo. Był wielkim utrapieniem dla krewnych, ale wydawał się raczej abstynentem. Pani Gupta Sen nie wiedziała, czy się upił.

„Ale wiem — powiedziała — że życie tutaj staje się dla niego, a więc i dla mnie, nie do zniesienia.”

O takich właśnie chłopcach jak młody Kumar myślał Nello zakładając i finansując Klub Majapurski. Tylko że w czasach Hariego ten klub już zapełniali banijowie niczym figury Buddy pogrążonego w kontemplacji nad tajemnicami zysków i strat. I oczywiście nie było tam kobiet. To nie miał być klub wyłącznie dla mężczyzn, ale kobiety tam nie przychodziły, tak się utarło i tak jest nadal. I dlatego ja stanowię wyjątek i wytrwale popieram Klub Sportowy! Widzi pan, ta pani przy tamtym stoliku to żona pułkownika Warmy. Urocza. Musi pan ją poznać. Generałowej i generała Mukerji nie widać dzisiaj. Chyba zostali zaproszeni na pierwszą uroczystość pożegnania Rogera. W przyszłą sobotę odbędzie się pożegnanie numer dwa, na które nawet mnie zaproszono.

- Mnie też — mówi lady Chaltee. — Na pożegnaniu numer jeden miałam być z całym zarządem technikum, ale powiedziałam, że nie mogę, wobec czego zaprosili mnie na numer dwa.
- Więc pojedziemy tam razem. Świetnie. Tymczasem, mój drogi, pewnie pan zauważył, że wszyscy Anglicy już wyszli z klubu?
- Do Rogera?
- Och, nie. Spośród pańskich rodaków, którzy byli tu dziś wieczorem, tylko państwo Grigson i ta pani, przyjaciółka pani Grigson, będą na pożegnaniu numer jeden. Grigsonowie to starszyzna. Inni Anglicy, których pan tu widział, są mniej ważni. Oni będą na pożegnaniu numer dwa. Roger mówi o nich: brygadziści. Wiadomo też, że Klub Sportowy jest dla niego Klubem Brygadzystów. To właśnie jeden z takich panów, jakich Roger nazywa brygadzystami, wylewał nocniki do basenu. Kiedy już opróżnił wszystkie, któryś z jego przyjaciół wpadł na pomysł, żeby urządzić małe Diwali, parodię naszej nocy świateł. Zdobyli trochę świec i w nocnikach puścili je

na wodę. Kilku obecnych wtedy Hindusów, członków klubu, poszło na skargę do sekretarza, a jeden z najmłodszych i najsilniejszych nie zawahał się nawet upomnieć wprost tych wesołków, tak znakomicie bawiących się naszym kosztem. Ale zagrozili, że wrzucą go do basenu, przy czym użyli słów, których nie przytoczę. Dla mnie, postronnego widza, ta sytuacja była niezmiernie ciekawa. Klasyczny przykład klubowego swawolenia, o jakim dawniej tylko słyszeliśmy

¹ Diwali (s. dipavali, h. divali) — hinduskie Święto Lamp związanych z kultem I akszmi — bogini szczęścia i pomyślności; obchody Diwali przypadają na zakończenie zbiorów jesiennych.

163

różne opowieści, przy czym ludziom mojego pokroju mogło się ono wówczas kojarzyć z wybrykami sztubackimi. Jednak ta szczególna demonstracja raczej nie była sztubackim wybrykiem. Oczywiście oni byli pijani, ale *in vino veritas*. Działali bez zahamowań. Daruj mi, Lili, to nieprzyjemny temat. Poprośmy tu do nas pułkownika Warmę z pułkownikową.

Pułkownik jest wysoki, sprężysty. Jego żona jest zgrabna, sprężysta, ubrana w tradycyjny strój indyjski, chyba nie tyle dla wygody czy z przekonania, ile dla efektu. Jak dawniej żony brytyjskich oficerów, nosi twardy, chociaż cieniutki pancerzyk męskiego sposobu bycia. Jaki strach musi wzbudzać w sercach wrażliwych młodziutkich podporuczników! Ostry dowcip pani Warma prawdopodobnie może ranić nie mniej skutecznie niż galowa szpada jej męża. Dzisiaj pułkownik jest w ubraniu cywilnym. Wybierają się oboje do kina na seans o dziewiątej, nie do „Majestiku” na film indyjski, lecz do kina „Eros” na film angielski. Przez chwilę tematem rozmowy jest Paryż, bo akcja tego filmu rozgrywa się w Paryżu — podobno nic nadzwyczajnego, ale zdjęcia są interesujące. Potem państwo Warma mówią „do widzenia”. Klubowe przyjęcie pana Srinivasana ma się ku końcowi. Lady Chatterjee odchodzi, żeby się przypudrować.

— Zanim Lili wróci — mówi pan Srinivasan — pozwól pan, że mu coś pokażę.

Prowadzi gościa do głównego hallu i po czarno-białej szachownicy idą tam, gdzie pomiędzy dwoma wypchanymi łbami bawołów są zamknięte mahoniowe drzwi z okuciami mosiężnymi i *takąż, klamką. Pod bawolimi łbami widnieją tabliczki* z kości słoniowej, na drzwiach tabliczka emaliowana. Jak wynika z napisów, łeb pierwszego bawołu jest darem majora W. A. Tyrrella-Smitha z roku 1915, łeb drugiego — darem pana Briana Lloyda z roku 1925. Na emaliowanej tabliczce na drzwiach widnieje jedno słowo: Sekretarz.

Pan Srinivasan puka i nie otrzymując odpowiedzi otwiera drzwi, zapala światło. Jest to nieduży gabinet ze starym żaluzjowym biurkiem. Wydaje się dziwnie przestarzały.

— Byłem pierwszym sekretarzem tego klubu — mówi pan Srinivasan — w latach od 1947 do 1950. Mam więc prawo wstępu. — Podchodzi do biblioteki, w której stoi kilka zatęchłych tomów reprezentujących poszczególne okresy historii administracji klubu. Wśród nich są książki oprawione jak księgi biurowe, każda opatrzona złocnym tytułem na grzbiecie: „Księga członków”, oraz czarnymi cyframi lat, z których pochodzi. — To powinno pana zainteresować. — „Bierze z półki księgę z nadrukiem 1939—1945.

Stronice są poliniowane. Poziome linie niebieskie i pionowe czerwone tworzą rubryki na datę, nazwisko członka i nazwisko jego gościa.

— Przeglądając te księgi — mówi pan Srinivasan — zobaczy pan gdzieś podpis Hindusa. Ale oczywiście oni wszyscy byli oficerami Jego Królewskiej Mości. Na ogół uważali, że dobrze jest tutaj tylko grać w tenisa, a potem wracać do swoich kwater. Komitet był w dość kłopotliwej sytuacji, kiedy oficerowie Hindusi zaczęli się pokazywać w Majapurze. Tak się przyjęło, że każdy oficer na placówce zostawał automatycznie członkiem klubu. Co więcej, każdy oficer musiał płacić

164

składkę niezależnie od tego, czy chciał w klubie bywać. Nie można było wykluczyć oficerów Hindusów, bo to by obrażało mundur Jego Królewskiej Mości. Mówiło się w latach trzydziestych o założeniu drugiego klubu i pozostawieniu Klubu Sportowego tylko dla wyższych oficerów, co by uniemożliwiło wstęp Hindusom. Ale po prostu brakowało na to pieniędzy. W każdym razie oficerowie Hindusi rozwiązyali ten problem sami, poprzestając na korzystaniu z kortów tenisowych. Żaden z nich nie pływał w basenie, nieczęsto wchodzili do baru, nigdy nie jadali tu kolacji. Dla zachowania pozorów obie strony mogły wynajdywać sobie różne wymówki. Hindusi udawali, że są abstynentami, a skoro nie piją, po cóż mają siedzieć w klubie i tylko patrzeć z boku na prawdziwe klubowe życie. Anglicy uznawali to za bardzo grzeczną, rzeczywistie dżentelmeńską aluzję do faktu, że oficer Hindus pobiera niższy żołd niż oficer angielski w tym samym stopniu i dlatego nie stać go na płacenie tak zwanej wtedy, i chyba teraz też, swojej doli. Sytuacja Hindusów żonatych była jeszcze łatwiejsza. Anglicy zakładali, że Hindusi bardzo nie lubią pokazywać się publicznie w towarzystwie mieszanym, toteż na mocy milczącego porozumienia Hindusi żonaci na ogół spędzając czas wolny z żonami w kwaterach, przychodzą do klubu rzadziej niż ich koledzy kawalerowie.

Rzeczywiście prawie nie dochodziło do zadrażnień. Hindus, który dosłużył się stopnia oficera, wiedział, jakie trudności go czekają. Zwykle zadawał się pewnością, że sama jego narodowość to za mało, by usunięto go z Klubu Sportowego. Anglicy zaś mogli być pewni, że oficer Hindus nie będzie ani przedłużać nadmiernie swojej

obecności w klubie, ani się im narzucać. I oczywiście zawsze mogli polegać na dowódcach Anglikach, gotowych rozstrzygnąć dylemat, gdyby takowy powstał w przypadku indywidualnym.

Dopiero z początkiem wojny, kiedy na placówce zaczęli się pojawiać nie tylko coraz liczniejsi oficerowie Hindusi, ale i angielscy oficerowie rezerwy, komitet klubu musiał zebrać się, żeby uchwalić odpowiedni przepis. No, ale na szczęście rzeczowa analiza sytuacji sama nasunęła rozwiązanie. Po pierwsze, udogodnienia klubowe nie były wystarczające wobec tak dużego napływu oficerów na placówkę. Po drugie, ci oficerowie nie tylko mieli tymczasowe stopnie oficerskie, ale sami byli tymczasowi. To znaczy, w każdej chwili mogli być odkomenderowani. I oczywiście rekrutowali się spośród cywilów wykonujących różne zawody, nie wszyscy więc czuliby się swojsko w atmosferze tego klubu. Toteż tym razem wyjątkowo komitet zaczął się zastanawiać, w jaki sposób utrudnić wstęp do klubu niektórym rodakom tak samo jak Hindusom. My, Hindusi, dla których klub i tak był zamknięty, patrzyliśmy na to wszystko z dużym zainteresowaniem. Przepis uchwalony przez, komitet okazał się wspaniałym angielskim kompromisem. A mianowicie: na czas wojny trzeba poczynić specjalne kroki, żeby z gościnności klubu korzystało możliwie jak najwięcej oficerów. W tym celu uchyla się obowiązek płacenia wpisowego dla wszystkich oficerów oprócz zawodowych i wprowadza się dwa nowe rodzaje członkostwa. Oficer rezerwy czy też czasu wojny może być albo członkiem nadzwyczajnym płacącym składki (co miało, rzecz jasna, przyciągnąć tylko oficerów dobrze wychowanych, takich, którzy będą się zachowywać przyzwoicie), albo

165

też uzyskać członkostwo tymczasowe, uprawniające do korzystania z klubowych udogodnień w pewne wyznaczone dni tygodnia, ale podlegające skreśleniu w trybie natychmiastowym. Owo zastrzeżenie „w trybie natychmiastowym” pozornie świadczyło o tym, że komitet troskliwie bierze pod uwagę chwilowy charakter wojennych stanowisk na placówce. W rzeczywistości jednak oznaczało, że oficerów czasu wojny, którzy dopuszczają się jakichkolwiek uchybień, można natychmiast, raz na zawsze, z klubu wykluczyć. Tymczasem członek klubu musiał płacić swoje rachunki każdorazowo. Musiał też wykupywać kartę wstępu do sali restauracyjnej oraz wносить tak zwane opłaty za konserwację, jeśli korzystał z basenu czy z kortu tenisowego. Mógł, płacąc za drugą kartę wstępu, wprowadzać tylko jednego „akceptowanego” gościa — akceptowanego oficjalnie przez, komitet i nieoficjalnie przez, dowódcę, który niewątpliwie wyjaśniał naiwnym młodzieńcom, ubranym w mundury oficerskie tylko z konieczności, jakiego rodzaju gość może być przyjęty. Oficjalnie mówiło się, że chodzi o to, by młodzi oficerowie nie wprowadzali pań lekkiej konduity. Nieoficjalnie rozumiało się samo przez się, że nie wolno wprowadzać Hindusek i Anglohindusek, jak również Hindusów nie będących oficerami Jego Królewskiej Mości. W każdym przypadku koszt wieczoru spędzonego w klubie był obliczony tak, by oficer czasu wojny nie mógł, jeżeli nie posiadał prywatnych zasobów, pozwolić sobie na tę przyjemność częściej niż raz na miesiąc. Nastąpił okres znakomitej koniunktury dla hotelu Smitha. Dla kasyna wojskowego również. I oczywiście Klub Majapurskich Hinduistów cieszył się niezwykłą frekwencją, chińska restauracja w dzielnicy garnizonowej przynosiła ogromne dochody. W kinie „Eros” bilety trzeba było zamawiać na parę dni naprzód. A stary Klub Sportowy... hm... miał ten klub swoje niefortunne doświadczenia, ale na ogół zdołał utrzymać atmosferę czcigodnej instytucji tylko dla białych.

Ciekawą anomalią jest fakt, że nawet w okresie, kiedy klub stał się bardziej dostępny, w okresie, o którym zagorzali starzy bywalcy mówili: „miłe złego początki”. Hindusi, nawet ci na wysokich stanowiskach w służbie państwowej pierwszej kategorii, nie mogli nie tylko należeć do klubu, ale i wejść jako goście. To znaczyło, że sędzia okręgowy, nasz kochany Menen, człowiek tak wybitny, nie zostałby wpuszczony, choćby go chciał wprowadzić sam komisarz okręgowy. Istniało niepisane zarządzenie. Niepisane zarządzenie surowo przestrzegane przez komitet i nigdy, jeśli może o tym świadczyć przykład sędziego Menena, nie naruszone przez tych, których dotyczyło.

Tu, w księdze gości, zobaczy pan gdzieś na jednej z pierwszych stronic, że komisarz okręgowy, pan Robin White, miał jednak odwagę — i szczęście, skoro mu się to udało — wprowadzić ni mniej, nic więcej, tylko trzech Hindusów nie będących oficerami, a mianowicie: ministra oświaty i opieki społecznej w rządzie prowincji, jego sekretarza, czyli mojego starego przyjaciela Desai, i mnie. Proszę, tutaj wpisał nas pan White. Czy potrafi pan na podstawie charakteru pisma określić człowieka? No, ale to długa historia. Za długa na dzisiaj. Lili pewnie już czeka na nas.

Przed zamknięciem księgi, przerzucając stronicę roku 1942, widzi się dobrze

166

znane nazwiska. Z zasady członkowie wpisywali się, gdy przychodzili do klubu po raz pierwszy, a potem już tylko przy wprowadzaniu gości. Z datą kwietniową pojawia się prawie nieczytelny podpis generała Reida. W kilku miejscach przy podpisie Robina White'a są nazwiska wprowadzanych przez niego gości, którymi byli, jak informuje pan Srinivasan, dygnitarze z Sekretariatu, z Izby Skarbowej, komisarz nadokręgowy i — raz — gubernator z małżonką. W kilku też miejscach widnieje czytelny, dziwnie kaligraficzny, prawie dziecięcy podpis pana Ronalda Merricka, okręgowego nadinspektora policji, i wypisane tą samą ręką imię i nazwisko jego gościa, Daphne Manners.

A pewnego dnia w lutym 1942 roku wpisał się do klubowej księgi jako tymczasowy uprzywilejowany członek Klubu Sportowego w Majapurze, prawdopodobnie wchodząc tam po raz pierwszy, niejaki kapitan Colin Lindsey. Podpis kapitana jest zamaszty, zdecydowany. Można sobie wyobrazić, że ani zamaszty, ani

zdecydowany nie byłby podpis nie wpisanego tu jego przyjaciela z ławy szkolnej, Harry'ego Coomera, którego mniej więcej w tym samym czasie znalazła siostra Ludmiła pijanego jak kłoda w rowie tam na nieużytkach nad rzeką, tam, gdzie mieszkają nędzarze, niedotykalni.

Nocą teren dawnej dzielnicy garnizonowej, ten teren na północ od rzeki, nadal sprawia wrażenie otwartej przestrzeni, prawie nie naruszonej inwazją budownictwa, cywilizacyjnych teorii o koniecznej, acz dyskretnej urbanizacji kolonialnej. Z mrocznego teraz, pustego placu ćwiczeń nieustannie napływają prądy rozgrzanego, nieomal zmysłowo rozgrzanego powietrza, muskając policzki lekkim powiewem, który raczej osłabia, niż odświeża. I emanuje stamtąd ciemność duszy, jakaś ociążałość przenikająca do głębi, budząca smutek może właśnie taki, jaki wrastał w serca, przytłaczał (rok po roku, aż to brzemie stawało się nie do zniesienia, a jednocześnie drogie) serca wygnańców, którzy już, przywykli, ale nigdy w pełni nie akceptowali celu ani warunków swego wygnania i którzy w istnieniu tego skądinąd nieważnego placu ćwiczeń, poetycznie zwanego majdanem, widzieli dowód rozważli i starań swoich poprzedników, dbałości o to, co pozostało w pamięci jako typowy fragment krajobrazu dalekiej ojczyzny. Cisza po zapadnięciu zmroku błogosławiła cierpliwy akcr angielskich błoni, jeśli nawet nie wykorzystanych w jakimś celu, to przynajmniej ukazujących po swojemu zmiany pór roku. Tu jakiś dom, tam wieżyczka i wszędzie niebo. Łagodnie błękitne. Albo w marszu z hucmem zbrojnym chmur. Albo szare pod kolor anglo-normańskiego kościoła z szarego kamienia. Albo jak ciemny kłosz pełen rozrzuconych magnetycznych iskier, lub też — zależnie od nastroju, ekstrawersyjnego czy introwersyjnego, w jakim się patrzyło — przedziwna cyklorama oświetlona tylko migotliwymi punktami nocy w idealnym, ale niepojętym układzie geometrycznym.

Nocą wzmagą się ten ostry zapach; połączenie zapachów kurzu, ziemi i dymu z palącego się nawozu, coś, do czego trzeba się przyzwyczaić, ale co po latach może

167

się stać dla wędrowca, wygnańca, nieodłączną częścią każdej myśli o Indiach, krainie pierwotnego, chyba nawet tragicznego piękna. Zapach, zdawałoby się, nie wiadomo skąd, nie tylko z osiedli ludzkich. Zapach, być może, całych stuleci doświadczeń tego rolniczego narodu. Jest tam, na rozległej równinie, i tutaj w mieście. Teraz bije w nozdrza mocniej, bo jego fala niesie się z równiny. Gdy samochód skręca i mija kram na rogu przy jezdni, oświetlony lampą naftową, jeszcze głębiej się odczuwa wszechobecność, ogrom, bezmiar akrów ziemi i kamienia, jakie rozciągają się w dal poza kręgiem światła lampy.

Pan Srinivasan odwozi lady Chatterjee i jej gościa swym większym samochodem, Studebakerem. Jadą do Domu MacGregora okrężną drogą na północ, wzdłuż zachodniego skraju błoni. Po lewej stronie widać stary hotel Smitha ze światłami dosyć nielicznymi i budynek w stylu szwajcarskiego pensjonatu, mający już wiele lat za sobą, a jeszcze nie ukończony. To jest ulica Kościelna. Prowadzi do kościoła Sw. Marii i do dzielnicy garnizonowej. Tędy co niedziela, czy słońce świeciło, czy padał deszcz, jeździła na rowerze leciwa panna Crane i od jej czasów zmieniło się tu chyba niewiele poza tym, że drzewa banijanowe, w dzień ocieniające jezdnię, a w nocy tworzące nad nią zielony, oświetlony teatralnie strop, na pewno przez tych dwadzieścia lat zapaściły trochę więcej korzeni. Ulica Kościelna jest przedłużeniem ulicy Mostowej biegnącej od Mostu przy Bramie Mandir. O tej godzinie samochód musi jechać wolniej wśród wozów zaprzężonych w garbate białe woły wlokące się z powrotem do wiosek na równinie na północ od Majapuru. Przez otwarte okna Studebakera dolatuje podzwanianie dzwonek na sztychach wołów, uporczywe, chociaż pęd powietrza trochę je tłumi. Wozy wracają puste, produkty rolne zostały sprzedane na bazarze Ćilijanwala. Teraz ładunek stanowią już tylko osobiste zakupy, między którymi spią skulone dzieci rolników. Gdzieś tam jakiś dzieciak siedzi wyprostowany i gapi się w reflektory samochodu, jakby śnił na jawie.

Przez chwilę, gdy Studebaker skręca z jednokierunkowej jezdni w ulicę biegnącą w prawo wzdłuż północnego skraju błoni, gość z nie mniejszym chyba rozmarzeniem patrzy na wieżyczkę kościoła Św. Marii. Bardzo angielską, doskonałą. Może do takiego właśnie kościoła w Pendżabie weszła panna Crane przed laty, szukając dla siebie roli na tym świecie, która by jej nie umniejszała. Ten kościół jest też zbudowany z szarego kamienia. Też wygląda uspokajająco, bezpiecznie, jakby był domem opiekuńczego ducha Anglii. Teraz jednak niewielu Anglików przychodzi tu na nabożeństwa. Teraz to kościół społeczności angloindyjskiej. Pastorem jest wieloletni A. M. Ghosh. Może wśród wiernych krąży jakiś żarcik o jego świątobliwości.

Przy kościele Sw. Marii i cmentarzu stoi plebania. W oknach plebanii, tak jak w kościele, jest teraz ciemno. Dalej na lewo kilka bungalów przedłuża linię zabudowań aż do samego skraju dzielnicy garnizonowej od strony placu ćwiczeń. W dzień ta dzielnica oglądana z lotu ptaka to geometryczny kompleks ulic między grupami starych i nowych budynków; najbliższej ulicy, którą jedzie Studebaker, stoją czerwone wiktoriańskie koszary, za nimi bloki mieszkaniowe z betonu. Ale jadąc tędy nocą doznaje się wrażenia otwartej przestrzeni, zabudowanej tylko

168

w miejscach oznaczonych samotnymi światełkami. Dopiero po chwili widać dawne kasyno artylerii, okazały dom w stylu neoklasycyżnym, i pierwszych żołnierzy, dzawanów; dwóch stoi na warcie przy białej barierze,

zagradzającej wjazd w ciemność z lewej strony. W tym dawnym kasynie mieści się obecnie okręgowa kwatera główna. W roku 1942 była to kwatera główna brygady pod dowództwem generała Reida. Gdy się jedzie dalej, wrażenie rozległości jeszcze bardziej słabnie. Na tle drzew bieleją mury ze sztukaterią, boczne uliczki w blasku nielicznych latarni świadczą swoim wyglądem, że jest to schludne przedmieście, zamieszkałe przez wyższych oficerów. Z daleka wylania się główny budynek szpitala majapurskiego, oświetlony jak transatlantyk. Studebaker skręca w prawo i ulicą Szpitalną, wzdłuż wschodniego skraju błoni, zawraca do zbiegu ulic Szpitalnej, Klubowej i Mahatmy Gan-dhiego — dawniej Wiktorii, głównej arterii dzielnicy administracyjnej.

— Jeszcze trochę — mówi pan Srinivasan — przedłużmy tę przejażdżkę. Nie jest zbyt późno.

Studebaker mija „Wspólnotę”, gmach sądu i koszary policyjne, wjeżdża na bazar dzielnicy garnizonowej, po czym skręca w prawo, na trasę, którą kiedyś chodziła do Imperialnego (obecnie Państwowego) Banku Indyjskiego siostra Ludmiła. Ulicami już węższymi, gdzie małe domki Eurazjatów nieomal przytykają tylnymi ścianami do zabudowań kolejowych, przejeżdża ulicę Mostową, mija główną szkołę misyjną i kościół misji i zatrzymuje się przed szlabanem, zamkniętym, bo lada chwila ma nadjechać z zachodu z wagonem pocztowym pociąg.

Za szlabanem widać most, a za mostem miasto czarnych, o tej porze jeszcze pełne świateł i tętniące życiem. Schody, które prowadzą z brzegu rzeki na teren świątyni Tirupatiego, są zalane blaskiem jarzeniówki. Na schodach ruch. Ludzie wchodzą i wychodzą bramą od strony rzeki. Zapach rzeki, ciężki w ciepłym powietrzu, bucha w otwarte okna stojącego samochodu.

— Zamykają ten wjazd — ubolewa pan Srinivasan — zawsze według urzędowego rozkładu, nawet kiedy wiedzą, że pociąg jest spóźniony o pół godziny. Żeby nam czas przedzej zleciał, pozwoli pan, że opowiem tę historię, jak Robin White wprowadził ministra oświaty, mnie i Desai, mojego starego przyjaciela, do Klubu Sportowego w maju 1939 roku.

— Byliśmy wszyscy u komisarza okręgowego w jego bungalowie. O szóstej wieczorem, po trzech godzinach męczącej konferencji, Robbie zaproponował:

„A może byśmy coś wypili w klubie? — Naturalnie myśleliśmy, że mówi o Klubie Majapurskim, ale zaraz dodał: — Sportowym.”

To nas zdumiało. Minister zaczął się wymawiać. Może uważał, że to żart. Ale pan White nawet słuchać nie chciał.

„Wszystko załatwione, samochód czeka — powiedział. — Wpadniemy tam na godzinę.”

Pojechaliśmy. Po raz pierwszy wtedy wkroczyliśmy do tego klubu, po raz pier-

wszy wkroczył tam Hindus cywil. Ale również i po raz ostatni, bo komitet poprosił pana White'a, żeby już nigdy nie popełniał takich towarzyskich nietaktów. Trzeba było widzieć w tamten wieczór minę portiera, kiedy otworzył drzwiczki samochodu i zobaczył nas. Robbie mu polecił:

„Hosaj, powiedz panu sekretarzowi, że jestem tu z ministrem oświaty i jego towarzystwem.”

To była chwila! Szliśmy, Desai i ja, za panem White'em i ministrem, wolno, tak jak oni, bo Robbie najwyraźniej zwlekał, żeby portier zdążył odszukać sekretarza. Na werandzie zatrzymaliśmy się i Robbie zaczął nam pokazywać obiekty klubowe, chociaż ściemniało się i z daleka prawic nie było ich widać. W istocie trzymał nas tam, czekając na sekretarza. Dla mnie, pan rozumie, stało się wtedy jasne, że prawa wstępu dla nas wcale nie załatwił, tylko liczył na to, że jakoś przecież nas wprowadzi. Oczywiście z typowo angielską rezerwą musiał najpierw wyrobić sobie zdanie o ministrze oświaty w życiu prywatnym, zanim zdecydował się na tak ryzykowne przedsięwzięcie, jak wprowadzenie go do klubu. Ale wynik badania był zadowalający. Okazało się, że minister to Wellington i Balliol w jednej osobie i że tak samo jak pan White kocha Szekspira, Drydena i powieściopisarza Henry Jamesa, tak samo przejawia troskę o rządowe szkoły średnie i prowadzone przez komitety z ramienia zarządu okręgu szkoły podstawowe. Ponadto obu im sprawiła widoczną przyjemność sprzeczek o pana Rudyarda Kiplinga, którego pan White bardzo krytykował, a minister, pewnie w przewidywaniu wypowiedzi pana T. S. Eliota, bardzo chwalił. Zawsze jest konieczny jakiś punkt sporny, to najlepszy sprawdzian siły charakteru.

Sekretarz wyszedł do nas. Niejaki Taylor, były kawalerzysta, który zaczął służbę od szeregowca, ale osiągnął pozycję dżentelmena, bo dosłużył się stopnia porucznika kwatremistrza, a potem pozycję w klubie, bo świetnie organizował imprezy sportowe. Zobaczyłem, jak on wychodzi ze swojego gabinetu do hallu. Robbie miał chyba oczy z tyłu głowy. W tym samym momencie odwrócił się i zawołał:

„Och, cześć, Taylor. Mamy zaszczyt gościć przedstawicieli naszego rządu prowincji. Pan pozwoli, panie ministrze, że pana przedstawię naszemu najważniejszemu członkowi. Sekretarz klubu, porucznik Taylor.”

Biedny Taylor znalazł się w niesłychanie trudnej sytuacji. Chociaż nie cierpiał Hindusów, uwielbiał komisarzy okręgowych i bardzo lubił uchodzić za kogoś ważnego. Robbie wiedział o tym. Robbie był jednym ze starszych członków klubowego komitetu, ale sprytnie przez całe miesiące siedział cicho, dopóki nie nadarzyła się odpowiednia sposobność. To znaczy możliwość wprowadzenia gości, których kodeks towarzyski nie zabraniał uznać za czcigodnych. Minister, nawet w rządzie prowincji, ostatecznie jest ministrem i jakkolwiek przeciętny Anglik w kolonii mógłby mieć obiekcje co do koloru jego skóry, niezaprzeczalny był fakt, że ten minister piastuje

swój urząd w wyniku demokratycznych wyborów, które odbyły się z upoważnienia i za aprobatą gubernatora generalnego mianowanego przez króla-cesarza. Wszystko zgodnie z oficjalną polityką Anglików mającą

170

na celu podniesienie indyjskiego imperium stopniowo, bez pośpiechu, do stanu dominium z samorządem.

Niemniej Robbie White „naraził się”. Klub to klub, prywatna instytucja, nie może do niej wejść nikt obcy, nawet jako gość komisarza okręgowego, jeśli urzędnik klubowy nie pozwoli. Pamięta pan? Lord Willingdon i to fiasko w Królewskim Yacht Klubie w Bombaju! Ale Robin wiedział, z kim ma do czynienia. Sekretarz mienił się na twarzy, wołał jednak nie wszczynać awantury. Spróbował skierować nas do małej poczekalni przy korytarzyku. Daremnie. Robbie, pewny, że już postawił na swoim, wkroczył z nami prosto do palarni i nic sobie nie robił z grobowego milczenia, jakie tam zapadło.

Drogi panie, nigdy nie zapomnę swojego zakłopotania. Pogłębiała je trudna do opisanego duma. Ja tutaj, w angielskim klubie, człowiek przecież niestary, który nawet nie marzył, że wejdzie kiedykolwiek do tego przybytku. Czy pan wie, co w klubie najbardziej rzuciło mi się w oczy? Odrapano staroświeckość. Pojęcia nie mam, czego się spodziewałem. Ale to był wstrząs. Wstrząs wobec nieoczekiwanego stwierdzenia. Chyba dlatego, że Anglicy nas tam nie dopuszczali, aż nazbyt łatwo wyobrażaliśmy sobie ten klub jako miejsce odzwierciedlające ich wady, i to w jakiś straszny, podstępny sposób. A tymczasem klub odzwierciedlał właśnie ich zalety, co zauważało się od razu i czego rzeczywiście należało się spodziewać. Może pan zrozumie to lepiej, jeżeli panu opiszę Robina White'a, tak jak go pamiętam. Wtedy był jeszcze młody, nie ukończył czterdziestu lat, słusznego wzrostu, twarz miał typowo angielską, pociągłą, z rodzaju tych twarzy, które w pierwszej chwili nas przerażały, bo wydawało się niemożliwe, by przejawiały jakiegokolwiek uczucia. Zastanawialiśmy się: czy ten człowiek jest mądry i życzliwy, czy może to głupiec? A jeśli głupiec, to czy przydatny, czy niebezpieczny? Ile on wie? Co sobie myśli, na Boga? Czy uśmiecha się dlatego, że podoba mu się nasz dowcip, czy dlatego, że bawi go własna złośliwość? I co czuje za tą zaporą chłodu, wstręt do nas czy onieśmienie? Poniekąd ulgę sprawiał nam widok twarzy angielskiej innego rodzaju, twarzy wyrażającej uczucia. Chociaż wiedzieliśmy, że szanse, by pozostała szczerą i przyjazną dłużej niż pół roku, są znikome. Taka twarz przynajmniej nie stanowiła zagadki. Fazy jej przeobrażeń nie tylko były widoczne, ale dawały się przewidzieć. Natomiast z twarzą pociągłą, zamkniętą nieprędko się oswajaliśmy. Wielu ludzi o takich twarzach pojawiało się i znikało, zanim zdążyliśmy ich rozgryźć. Czasami nie mieliśmy już o nich żadnych wiadomości. Czasami dowiadaliśmy się, że któryś dostał wysokie stanowisko, i wtedy przynajmniej pojmwaliśmy, że nie był głupcem, chociaż późniejsza jego reputacja mogła świadczyć, że przyjacielem również nigdy nie był.

Na przykład Stead, poprzednik Robina White'a. Wiedzieliśmy wszyscy, z kim mamy do czynienia. Wielu członków miejscowej organizacji Kongresu wołało rezim Steada niż rządy White'a, bo Stead był prawie karykaturą tradycyjnego poborcy-choleryka. Zawsze mówiliśmy, że on się odgrywa na swoim okręgu za niesprawiedliwość, z jaką we własnym mniemaniu spotykał się ze strony zwierzchników. Gdyby nie to, że w roku 1937 zbliżał się do emerytury, nasz pierwszy mini-

171

ster spraw wewnętrznych w rządzie prowincji postarałby się o awans dla niego na stosunkowo nieszkodliwy urząd komisarza nadokręgowego i nalegałby, żeby nowym komisarzem okręgowym po nim został Hindus. Ale wtedy nie mielibyśmy Robina White'a i mogłoby nam być gorzej, a już z pewnością nie byłoby lepiej. Przynajmniej ja osobiście byłem tego zdania. Nie wszyscy'y je podzielali. Wielu z nas, jak powiedziałem, wołało Steada, ponieważ Stead dawał naszej organizacji mnóstwo powodów do skarg na tak zwany centralny zjazd ustawodawczy Kongresu w Delhi i tyleż samo powodów zarządowi okręgowemu i miejskiemu do uskarżania się w rządzie prowincji. Zbyt wielu z nas wołało krótkoterminowe właśnie z władzą niż prowadzenie długoterminowej polityki współpracy umożliwiającej przejście do autonomii.

Stead, wie pan, był sympatykiem muzułmanów, jeżeli sympatyk to trafne określenie w odniesieniu do kogoś, kto z zasady uważał wszystkich Hindusów za istoty niższego rzędu. Tej swojej „sympatii” nie ukrywał, i to tylko dolewał oliwy do ognia. Dwoma jednostkami administracyjnymi jego okręgu kierowali muzułmanie. Kiedy do władzy w prowincji doszedł rząd kongresowy, przeniósł jednego z tych muzułmanów, Saida Ahmeda, z terenu do samego Majapuru, co oznaczało, że uczynił go swoim zastępcą i jednym z trzech sędziów w mieście. Niestety był to muzułmanin wojujący. Wszyscy muzułmańscy przestępcy mogli liczyć w jego sądzie na łagodny wymiar kary, jeśli nie na uniewinnienie. Hinduistów natomiast sądził bardzo surowo. Odpłacając pięknym za nadobne, zarząd okręgu, czyli przeważnie hinduiści, uchwalił, że w szkołach wiejskich wszystkie dzieci muzułmańskie muszą śpiewać pieśni Kongresu i salutować jego fladze. Konflikty w społeczności zawsze mogą się stać lawiną. Wybuchły zamieszki w Tanpurze, podlegającym kompetencji drugiego z muzułmanów Steada, człowieka, który się nazywał Mohammed Khan. Nasza organizacja poskarżyła się rządowi, że Said Ahmed i Mohammed Khan podżegają społeczność muzułmańską do rozruchów. Rządy prowincji nie miały władzy nad służbą państwową, ale w pewnych okolicznościach można było wyrzucić nacisk, zwłaszcza jeśli się wypatrzyło odpowiedni punkt zaczepienia. Komisarz nadokręgowy polecił przenieść Saida Ahmeda do Tanpuru, a Mohammeda Khana do innego okręgu. Miejsce Mohammeda Khana u boku Steada zajął przeniesiony z innego okręgu młody Anglik nazwiskiem Tupton. Nie sprawiło to jednak dużej różnicy, bo ów Tupton również uważał, że muzułmanie są pod każdym względem lepsi niż hindusi. Tak więc Stead śmiał się w kułak, dopóki nie przeszedł na emeryturę i nie dostaliśmy Robina White'a. A Robin nie potrzebował wiele czasu na to, by skrzyżować szpady z Tuptonem i

załatwić sobie przysłanie innego zastępcy, młodego Johna Poulsona, którego już sam wybrał.

I mogę powiedzieć, że właśnie sposób, w jaki Robin pozbył się Tuptona i wprowadził na jego stanowisko Poulsona, przekonał nas, że za tą jego nie tyle niezyczliwą, ile dziwnie kamienną twarzą kryje się jednak coś dobrego. Pozbywając się Tuptona dowiedział, że rozumie, co wywołuje niepotrzebne zadrażnienia. Kiedy stało się również jasne, że nie wziął kursu w kierunku odwrotnym i nie faworyzuje hindusów, tylko stara się okazywać przychyłność jednym i drugim, pojęliśmy.

172

że jest człowiekiem sprawiedliwym. Miał też w sobie coś z męża stanu. Bardzo dyplomatycznie poprosił zarządy okręgu i miasta, żeby zrewidowały sprawę obowiązkowego salutowania Hadze Kongresu w szkołach podstawowych. Pamiętam część tego pisma dosłownie: „Partia Kongresowa, co stwierdzam z uznaniem, może liczyć na lojalność nie tylko większości hinduistów, ale i niemałej liczby muzułmanów. Lecz pozwałam sobie prosić o wzięcie pod rozwagę, że chociaż Kongres jest z zasady indyjską partią narodową i chociaż należy wyrabiać w dzieciach poczucie obowiązku wobec ojczyzny ucząc je przestrzegać patriotycznych zwyczajów, może to jednak nieroztropnie pozostawiać w młodziutkich umysłach wrażenie niejakiej odrębności, które sam Kongres słusznie stara się usuwać.”

No! Pan rozumie, zrobił nas na szaro, przynajmniej zrobił na szaro tych z nas, którzy doceniali niuanse angielszczyzny. Zasiadałem w egzekutywie... on przezornie przysłał nam do wiadomości kopię tego pisma adresowanego do zarządów okręgu i miasta... egzekutywa zebrała się w tej sprawie. Przez godzinę wysuwałem argumenty, tłumaczyłem sens słów „wrażenie” i „odrębność”.

Może dla was nasza Partia Kongresowa jest jednoznaczna z hinduizmem. Dla nas od początku to był Kongres wszechindyjski. założony, nawiasem mówiąc, przez Anglika. Ale ponieważ w Indiach było więcej hinduistów niż muzułmanów, rozumiało się samo przez się, że członkami Kongresu są przeważnie hinduiści. To jeszcze nie oznaczało, że zasady polityki Kongresu są hinduistyczne. Niestety, zawsze pomiędzy zasadami polityki a jej realizacją rozciągają się bezdroża niebezpiecznej omyłności. Nie zgadza się pan? No, pan, Anglik, człowiek z plemienia, które kiedyś nami rządziło, chyba powinien przyznać mi rację. Bo jeśli chodzi o Indie, czyż nie było bezdroży omyłności pomiędzy wytycznymi liberalnej polityki Whitehallu a realizowaniem jej tutaj, na miejscu? Co miał wspólnego z oficjalną polityką angielską pan Stead, który nieodwracalnie podkopywał ją swoimi osobistymi pasjami i uprzedzeniami? Przyzna pani, że tacy Steadowie waszego świata utyskując i klnąc przyjmowali każdą dyrektywę z Whitehallu czy z parlamentu, która wydawała im się karygodna. Tak karygodna jak byłby dla garnizonu oblężonej twierdzy z dużym jeszcze zapasem amunicji rozkaz wywieszenia białej Hagi. Czy tacy ludzie nie uważali zawsze, że są ową liczbą przeoczoną przy sporządzaniu oficjalnego bilansu, nieoficjalną, ale użyteczną skarbnicą starych zalet, którą w ich mniemaniu przywódcy polityczni stracili z oczu albo której w ogóle nie dostrzegali? Nie przyzna pan, mój drogi, że pana rodacy, widział pan ich tutaj dziś wieczorem, nadal mają jakiś uraz i dlatego lekceważą dyrektywę waszego rządu: eksport albo śmierć? Nie sądzi pan, że lepiej by się nam układało współzycie z Rosjanami i Amerykanami?

Otóż wracając do członków Kongresu, sytuacja była taka sama. Może nawet bardziej drastyczna, bo oficjalna polityka Kongresu wahała się pomiędzy przeciwnościami, jakie reprezentowali z jednej strony ten dziwny nieziemski człowiek, z drugiej nasz dobrze znający życie kaszmirski pandit, ¹ który wiedział i pewnie nadal wie, że lepiej dostać połowę ciastka niż nie dostać go wcale.

¹ Tj. uczony bramin z Kaszmiru — Jawaharlal Nehru.

173

A więc dlaczego Kongres miałby przestrzegać prawideł nie przestrzeganych nigdy przez nikogo? W niezliczonych miastach, takich jak Majapur, stał się bardzo ekskluzywny. Tak samo jak Stead stał się nieprzystępny, a ci pana rodacy w cocktail--barze stali się bardzo wyspiarscy i chociaż potrzebują pieniędzy, które zarabiają, pieniądze, które jesteśmy gotowi płacić, to jednak udają, że lekceważą nasz naród.

Pan wybacz te wywody. Lili dają mi znaki, chce, żebym umilkł. Ale ja jestem stary. Mam chyba prawo mówić to, co myślę... i naturalnie odbiegać od tematu. Opowiadałem panu o tym piśmie komisarza okręgowego, o doskonałej elastyczności zdania: „może to jednak nieroztropnie pozostawiać w młodziutkich umysłach wrażenie niejakiej odrębności, które sam Kongres słusznie stara się usuwać”.

White nie tylko wzywał nas do potwierdzenia oficjalnej linii partyjnej Kongresu, mającego reprezentować całe Indie, ale bardzo chytrze wykazywał to, co w głębi ducha i tak wiedzieliśmy: to, że niejedno w naszej miejscowej działalności jest sprzeczne z pierwotną linią partyjną, wytyczoną na najwyższym szczeblu. Zwłaszcza gdy naszą działalność kierujemy na dzieci... „może to jednak nieroztropnie pozostawiać w młodziutkich umysłach wrażenie... odrębności...” To nam kazało się zastanowić, komu pozostawiamy wrażenie. Dzieciom. Raz w końcu musieliśmy spojrzeć prawdzie w oczy, że my, dorośli, którzy znamy chaos powszechnej polityki partyjnej, działamy w świecie dzieci, które go nie znają. Również musieliśmy uznać fakt, że te dzieci od dawna już utożsamiają Kongres z hinduizmem i że dla nich śpiewanie pieśni kongresowych, salutowanie (ładze to wyzwanie rzucone nie tylko władzy brytyjskiej, ale i narodowym dążeniom muzułmanów. Bo właśnie my, dorośli, uprościliśmy te sprawy w taki przystępny sposób.

Niestety, moje argumenty na poparcie wniosku komisarza okręgowego, moje perswazje, żeby zaniechano tego porannego obrzędu w naszych szkołach, nie odniosły skutku. Pięć głosów przeważało nad dwoma. W dodatku kazali mi napisać za karę wypracowanie, to znaczy sformułować odpowiedź organizacji na pismo pana White'a.

Pamiętam z tego tylko jeden fragment, ponieważ resztę mojego brudnopisu podarli w strzępy i tylko to jedno moje zdanie pozostało. Przytoczę je panu. Wyrwane z kontekstu prawie nie ma sensu, ale o dziwo, komisarz okręgowy poznał, kto jest autorem. Przy najbliższym spotkaniu zacytował: „rzeczywiście nie można dopuszczać do tego, by oddawanie honorów Hadze Indyjskiego Kongresu Narodowego podlegało jakimkolwiek wąskim interpretacjom grup społecznych”. Powiedział:

„W pełni się z tym zgadzam, panie Srinivasan. Przynajmniej na jeden punkt mojego pisma organizacja mi odpowiedziała.”

Od tamtej chwili byliśmy przyjaciółmi i dlatego, kiedy się dowiedział, że minister oświaty i pan Desai są u mnie na obiedzie, zaprosił mnie razem z nimi do swego bungalowu, gdzie mieliśmy porozmawiać o zwiększeniu liczby szkół podstawowych w jego okręgu.

W owym czasie nasz rząd prowincji, jak panu chyba wiadomo, miał już za sobą kłopoty ząbkowania. Ale oczywiście to był rok 1939, chociaż w tamten wieczór, kiedy Robbie nas zabrał do klubu, żaden z nas nie mógł przewidzieć, że pod koniec

174

roku rząd ustąpi, i to tylko z powodu jednego niedorzecznego punktu wniesionego do porządku obrad, dotyczącego formy proceduralnej, w jakiej wicekról wypowiedział wojnę Niemcom. Żaden z nas również nie mógł przewidzieć, że wkrótce Indie będą znów pod panowaniem brytyjskich gubernatorów i ich mianowanej rady. W tamten wieczór, kiedyśmy jechali do Klubu Sportowego, wydawało się nam, że cały świat stoi przed nami otworem.

Ale teraz wreszcie nastąpi ta pointa, do której tak pokrętnie zmierzam. Dopiero wtedy, gdy z Desaiem, ministrem i panem White'em wszedłem do klubu, rzeczywiście zrozumiałem, co ludzie tacy jak Robin White popierają, co popierają wbrew wszelkiej kołtuńskiej opozycji. Nie mówię o opozycji w Whitehallu. Mówię o opozycji tutaj. Na miejscu. W Majapurze. Zobaczyłem wtedy, jak bardzo Robin White pasuje do tego klubu, jak bardzo ten klub pasuje do niego. Klub również miał swoje oblicze, które niełatwo by mi przyszło zanalizować. Był stary, dawno nie odnawiany, urządzony wygodnie, a przecież, jakoś budził bojaźń — pewnie dlatego, że Anglicy, klasa panująca, przywiązywali do niego taką wielką wagę. Jednakże większość obecnych... no, to się czuło, oni sami chyba uważali, że są w tym klubie jak najbardziej na swoim miejscu, ale tak naprawdę to ten klub niebyt miejscem dla nich. I nagle właśnie tam, ściśle mówiąc w palarni, po raz pierwszy zobaczyłem twarz Robina White i, inaczej niż ją widziałem dotychczas. Doskonale harmonizowała z tym tłem, gdzie zniszczone skórzane fotele wyglądały odpychająco, a przecież okazały się cudownie przytulne. I Robin, wie pan, kiedy mówił do służących, patrzył na nich. Zobaczyłem, że przelotnie, ale jasno widzi w nich ludzi. Że nie czuje się lepszy od nich, tylko czuje się za nich odpowiedzialny. Właśnie to poczucie odpowiedzialności nadawało mu na jego uprzywilejowanym stanowisku godność. Zawsze przecież pewność siebie wynika tak czy owak z postawy osobistej. W jednej chwili olśnienia... przepraszam za len dramatyczny zwrot... pojąłem, czym jest to, co istnieje w mniemaniu Anglików stale, chociaż rzadko potrafią to zadokumentować... czym jest to, co istnieje za całym pustostwoiem ich władzy i wpływu. Dlatego od tamtej chwili bardzo lubię len klub.

- Jeszcze teraz?

- No cóż... lubię go za to, czym był. Jeszcze teraz w gruncie rzeczy można w nim znaleźć to samo, jeżeli się wie, czego się w nim szuka. Widziało się to i widzi mimo pozorów. Teraz, kiedy zdjęto z Anglików odpowiedzialność, przeciętny Anglik już nie potrzebuje udawać. I proszę, powstaje również ciekawa sytuacja: wylewanie nocników do basenu pływackiego można by tłumaczyć jako gest protestu waszych byłych nieuprzywilejowanych przeciwko tamtym siłom społecznym, które już nie działają, ale kiedyś trzymały ich nieubłaganie w wyznaczonym miejscu. To znaczy, pan mi daruje, niejednego spośród waszych teraźniejszych ekspertów żaden członek tego klubu przed dwudziestu laty nie nazwałby dżentelmenem, prawda? Ówczesne angielskie panie w Majapurze mówiłyby o nich: typy z szeregow. No, wie pan, przysyłacie teraz takiego faceta do Majapuru, żeby nas uczył obsługiwać jakąś skomplikowaną maszyną, i oczywiście traktuje się go tutaj jak istotę wyższego rzędu, ale wątpię, czy on w ogóle poczuwa się do odpowiedzialności za

175

to nauczanie. Facet chce tylko zarabiać na życie w stosunkowo dobrych warunkach, przy czym jest święcie przekonany, że to, co nie sprawia trudności jemu, powinno być również bardzo łatwe dla innych, więc może tracić cierpliwość. Bo my wprawdzie potrafimy opanować w lot zasady obsługiwaną daną maszyną, ale nie rozumiemy zasad jej funkcjonowania. To właśnie mają na myśli młodzi ludzie, tacy jak Surendranath i Desai, kiedy mówią, że marnowaliśmy czas na zabawę w politykę. W każdym razie nasze niedociągnięcia budzą w fachowcu poczucie wyższości, jak również podnieca go trochę... może nawet mu wstyd, że to go podnieca... automatyczna przynależność do Klubu Sportowego. Śmieje się jednak z tego, co ten klub reprezentował dawniej, z tej staroświeckiej pretensjonalności angielskich wyższych sfer, i pewnie dlatego przychodzi do klubu w szortach, w koszuli z krótkimi rękawami i wyraża się ordynarnie. Historii brytyjskich Indii prawie nie zna, więc wszystko, cokolwiek uważa za związane z tą historią, odfajkowiec jako przykład brytyjskiego snobizmu z dawnych czasów. Tym samym poniekąd odfajkowiec również i n a s. Oczywiście jest i ta druga sprawa. Jego wrodzona nieufność, wrodzona awersja do czarnych, awersja, od której sam może się odżegnać, ale którą po pewnym czasie spędzonym tutaj przecież, w sobie stwierdza. Nieufność i awersję odczuwali jego poprzednicy, ale dopiero on

prostacko odważa się dawać tym uczuciom wyraz takimi postępami, jak wylewanie nocników do klubowego basenu. I dochodzi tu coś jeszcze, coś subtelniejszego, bardziej skomplikowanego. On w głębi duszy tak samo jak Anglicy z dawnej klasy rządzącej, którą pozornie gardzi, pragnie, żeby za granicą otaczano go szacunkiem, i tak samo jak tamci czuje się pokrzywdzony, bo nie mógł odziedziczyć Imperium, pokrzywdzony, chociaż zawsze twierdził, że Imperium to instytucja wyłącznie klasy rządzącej. Gdyby powiedziało mu się o tym poczuciu bez ogródek, oczywiście by nie zrozumiał, albo jeśli nawet coś niecoś z tego by do niego dotarło, stanowczo by zaprzeczył. Ale my to rozumiemy. Dla nas to jest zupełnie jasne. Zwłaszcza teraz, kiedy nie ma już oficjalnej polityki cudzoziemskiego rządu ani mistyki cudzoziemskiego przywództwa, wymagającej udawania w życiu publicznym i w życiu prywatnym. Najlepiej rozumiemy fakt, że pod całym tamtym udawaniem czały się w stosunkach pomiędzy wami i nami lęk i awersja mające swe źródło w różnicy koloru skóry. Nawet wtedy, gdy kochaliśmy się najbardziej, czuliśmy ten lęk, a wtedy, gdy był tylko lęk, bez miłości, budziła się awersja. W tej dziwnej historii miłości i nienawiści zawsze nam przypadała gorsza rola, ponieważ, rozumie pan, skoro świat był taki, jaki był, to m y przyznawaliśmy i nadal aż nazbyt dobitnie przyznajemy, że wy nas wyprzedzacie o całe mile w praktycznym wykorzystywaniu wiedzy praktycznej. Nadal więc jasny kolor skóry utożsamiamy z wyższą inteligencją. A nawet z pięknem. Słońce tutaj grzeje za mocno. Przyciemnia nas, wyczerpuje. Bładość oznacza dla nas sukces na tym świecie, bo świadczy o wysiłku umysłowym, nie fizycznym, a sukces na tym świecie rzadko odnosi się pracą mięśni. No, już nadjeżdża pociąg.

Wkrótce potem z mechaniczną precyzją (widać, że to owoc nauki cudzoziemskiej, a nie wynalazek miejscowy) szlaban się rozsuwa otwierając drogę na most.

176

do świątyni i do miasta czarnych. Studebaker (też z importu), sprzedany przez pierwotnego właściciela Amerykanina za ładnym zyskiem pewnemu braminowi, znajomemu pana Srinivasana w Kalkucie, sunie naprzód. Łuk rzeki poniżej mostu migocze światłami, sztucznymi klejnotami nocy. Hamując ruch w przeciwnym kierunku, z miasta czarnych do dzielnicy administracyjnej (te dawne określenia niełatwo wychodzą z użycia), sunie powoli jeszcze jeden, ale krótszy, sznur wozów zaprzężonych w białe garbate woły. Okrągłe oczy wołów lśnią czerwono w blasku reflektorów Studebakera.

— Hej — woła nagle pan Srinivasan. — Chciałby pan zobaczyć świątynię? Nie jest zbyt późno? Och. nie. przestań. Lili... Pokażemy dziś panu przynajmniej jedną rzecz naprawdę indyjską. — I każe szoferowi muzułmaninowi zaparkować samochód gdziekolwiek, gdzie znajdzie się miejsce.

Za mostem po stronie miasta czarnych jezdnia biegnąca w lewo rozszerza się tworząc plac przed świątynią Tirupatiego, na którego drugim końcu, niedaleko świętego drzewa, stoi mała, jak gdyby przydrożna, kapliczka. Na prawo, niemal naprzeciwko świątyni, jest podjazd do kina „Maje.stic”, gdzie wyświetlają teraz epos filmowy według *Rarnajany*. Za placem, jak może ktoś pamiętać, ulica rozwidła się w prawo, w kierunku więzienia, i w lewo, w kierunku bazaru Čilijanwala. Oświetlenie placu stanowi jedna jedyna latarnia uliczna, postawiona obok świętego drzewa, ale nie jest ciemno, bo w sklepach bez frontowych ścian, jeszcze otwartych dla stałych klientów, pałą się nie osłonięte żarówki albo ostre, rażące w oczy jarzeniówki. Gdzieś niedaleko — tak, w kawiarni — dudni przez wzmacniacz muzyka z płyt — pieśń celuloidowej cywilizacji: głos dziewczyny, nosowy, cienki, przy akompaniamencie instrumentów dętych, strunowych i perkusji. Widać parę krów, zaparkowane riksy i wielu przechodniów. Kilka żebraček ze śpiącymi niemowlętami na zdobnych w bransolety rękach już biegnie z różnych stron do Studebakera. Ich oczy i kółka w nozdrzach błyskają refleksami światła, gasną, znów błyskają.

Otoczające samochód żebraczki towarzyszą mu na pół biegiem. Gdy samochód się zatrzymuje, wsuwają ręce w otwarte okna. Pan Srinivasan musi im zagrozić, że wezwie policję. Wtedy się wycofują, ale tylko n: i yJe, by pasażerowie mogli wysiąść. Kierowca zostaje w samochodzie, jemu dają spokój, ruszają jednak za towarzystwem pana Srinivasana, które zawraca w stronę świątyni. Chociaż teraz jest ich mniej, najbardziej wytrwale nie ustępują. Idąc wśród tłumu gość myśli chwilami, że zrezygnowały. Próżna nadzieja. Natrętnie palce znów lekko dotykają jego rękawa, a potem szarpiają za rękaw. Spojrzenie takiej kobiecie prosto w oczy byłoby rzeczą fatalną. W Indiach zbyt często trzeba odwracać głowę.

— Niech pan im nic nie daje — mówi pan Srinivasan.

Ktoś, kto by obserwował tę scenę, zauważyłby, że odkąd we troje wysiedli z samochodu, żebraczki koncentrują swe ataki na mniej odpornej flance, na białym. Ów obserwator mógłby też zauważyć, że najdłużej nie chce się pogodzić z porażką kobieta, która najpierw niemo apeluje gestem, przelotnym muśnięciem rękawa białego, a później tylko powtarza zniżonym głosem natarczywie jedno słowo: —

177

Sahib, sahib. — Ta odprowadza troje pasażerów Studebakera prawie do samej świątyni.

• Niestety — mówi pan Srinivasan — będzie pan musiał zdjąć buty. Ale jeśli pan chce, może pan zostać w skarpetkach.

• W skarpetkach? No cóż, jak ryzykować, to na cjiłego.

Otwarte wejście, dosyć wąskie, ale głębokie, właściwie jest korytarzem w podstawie wysokiej kamiennej wieży wznoszącej się coraz mniejszymi rzędami wyrzeźbionych postaci, słabo widocznych w mroku. Przy lampie oliwnej w korytarzu siedzi w kucki na podłodze wśród sandałów i pantolli służący świątyni. Oznacza podeszwy kredą i daje panu Srinivasanowi małą karteczkę. Kamienna podłoga pod bosymi stopami okazuje się ciepła i

chropowata. Na główny dziedziniec świątyni schodzi się z czterech niskich schodków. Teraz pod stopami skrzypi piasek. Ludzie spacerują, ludzie się modlą, ludzie siedzą plotkując. Oświetlenie jest mgliste. Pośrodku dziedzińca stoi kwadratowy budynek — wewnętrzne sanktuarium z wejściem po schodkach i rzeźbionymi figurami podtrzymującym ozdobny dach. Wokoło pod murem, który otacza dziedziniec, są inne sanktuaria, jedne w ciemnościach, inne oświetlone, co oznacza, że ów bóg czy też owa bogini nie śpi. Posągi bóstw, często nie większe niż lalki, są pomalowane i przystrojone w girlandy kwiatów. Z głównego sanktuarium dolatują dźwięki dzwonka — to jakiś czciciel Pana Wenkateśwary uprzedza tego boga, że pragnie być przyjęty. Troje przybyszów obchodu oz;ktVL«Yitc \ 'ratti Ynwjt pritti "wejśćYŁTn wmtaiMwm Pwa Wtih-kate.śwary. Pod filarem stoi człowiek nagi do pasa, z głową ogoloną i z pętlą uświęconego powroza na jasnobrązowym ramieniu. To jeden z kapłanów świątyni. Czarnoskóry pielgrzym w opasce na biodrach stoi w otwartych drzwiach sanktuarium — ręce trzyma nad głową, złożone do modlitwy. Krótki sznurek u serca żelaznego dzwonka jeszcze się chwieje. Do środkowego sanktuarium można tylko zajrzeć. Pośród kamieni lśni złoto, srebro, heban; gorzko-słodki zapach przesyca powietrze. Tutaj piasek pod stopami staje się aksamitnie miękki. Przez wejście od strony rzeki przenika zapach wody.

Na dziedzińcu rosną drzewa. W dzień dają trochę cienia. Za głównym sanktuarium jest sanktuarium Śpiącego Wisnu. Kamienną podłogę stopy wiernych starły tak, że nabrała czarnego połysku. W mglistym świetle lamp oliwnych, umieszczonych we wnękach ścian, bóg śpi i wieczyste śnią mu się chyba przyjemne rzeczy. Leży, dłuższy niż byłby leżący człowiek. Stanowi część kamiennego łoża, wyrzeźbiony w tym łożu, od tego łoża nieodłączny. Nagi, gładki, barczysty, ma pulchne wargi o kącikach uniesionych w uśmiechu, powieki ma opuszczone, ale doznaje się wrażenia, że zaraz zatrzepoczą zmysłowo, oczy MC otworzą. I kiedy ulegając temu wrażeniu patrzy się na jego sztywne ręce i nogi, myśli się o ich niewidocznej giętkości, jak gdyby przynajmniej po tym bogu można się było spodziewać, że pokona drętwość odwiecznego snu. Wtedy potężna, chociaż misternie wyrzeźbiona ręka przesunie się z kamiennej poduszki na jego pierś- I być może te wargi się rozchylą i bóg wypowie jedno słowo, cicho jak przez sen, ale to będzie objawienie czegoś, co pozwoli istocie śmiertelnej, mężczyźnie czy kobiecie, ktokolwiek prz.y-

178

padkiem się tu znajdzie, poznać tajemnicę władzy na świecie i spokoju w zaświatach.

— Żałuję, że nie możemy pana wprowadzić do najświętszego przybytku — mówi pan Srinivasan. — Myślę, że udałoby mi się przekonać kapłana, że pan jest bud dya. Odłożymy to jednak na kiedy indziej. Lili wydaje się zmęczona.

Lady Chatterjee wydaje się nie tylko zmęczona, ale dziwnie tutaj nie na miejscu.

— Obecnie — wyjaśnia pan Srinivasan, gdy już odzyskali swoje pantofle i wy ciągnęli skarpetki z kieszeni, a „stróż obuwia" otrzymał monetę — wszystkie świą tynie są pod kontrolą rządu. Można powiedzieć, że kapłani stali się urzędnikami państwowymi, dostają pensję i pobierają opłaty według urzędowego cennika. Nie ma już takiego zdzierstwa jak dawniej. To właśnie jedna ze spraw, na które my, starzy członkowie Kongresu, kładliśmy nacisk... żeby Indie były państwem świe ckim, demokratycznym, a nie autokratycznym, zdominowanym przez kapłanów.

Zanim dochodzą do samochodu, napastują ich te same żebraczki. W końcu jednak już bezpieczni sadowią się w Studebakerze. Pan Srinivasan mówi:

— No, teraz jesteśmy uświęceni. Chyba wypada okazać miłosierdzie. — I rzuca przez okno garść monet.

Żebraczki wygrzebuja je z kurzu, uwolniony samochód rusza. Z placu przed świątynią skręca w lewo, na trasę, którą chodziła ze swoją skórzaną torebką, zawieszoną na łańcuchu u paska, siostra Ludmiła. Uliczka w ostrej łunie jarzeniówek jest wąska, zatłoczona, maskę Studebakera można porównać do dziobu łodzi żmudnie prującego burzliwe fale. Szofer wciąż hamuje, naciska klakson. Uliczka kończy się przy kwadratowym placu bazaru Ćilijanwala i tu miasto raptem martwieje w ciemnościach. Targowisko jest o tej porze zamknięte. Okiennice są pozamykane. Światła palą się tylko gdzieniegdzie. W blask reflektorów samochodu rzucają się mroczne kanciaste cienie. Przez wąskie odstępki między budynkami wdziera się zapach rzeki.

Studebaker skręca na rogu. Za wysokim murem z żelazną bramą przelotnie widać dawny pałac — szpital kobiecy, liściaste korony drzew, przebłyski światła wśród liści. Jezdnię przed samochodem przebiega pies w białe i żółte łaty. Niebo rozrasta się, wystawia swoje gwiazdy, jakby miały konkurować z towarami wystawionymi na sprzedaż, w sklepach. Gdzieś z lewej strony jest tak zwany kiedyś „Azyl", a na prawo Ćilijanwala Bagh.

— Podobno ona umarła kilka lat temu — mówi pan Srinivasan o pani Gupta Sen, która przed ślubem była panną Salini Kumar.

Samochód wjeżdża na obszar dobrze wytyczonych, ale nie wyszutrowanych i źle oświetlonych ulic międzyowymi „solariami", domami bogatych kupców. Domy stoją skupione po dwa, trzy na podwórzach otoczonych murem; z rzadka widać światło przez zakratowane okno. W miejscach nie zabudowanych rysują się czarne pierzaste kontury palm kokosowych, wysokich, chwiejących się jak pijane. Samochód skręca dwukrotnie, ale każda z tych ulic, każde skupisko domów wygląda identycznie. Dom pod numerem 12 to ciemny maszyn pozbawiony jakichkolwiek cech szczególnych. Mieszka tu przez kilka miesięcy chłódów w roku wnuk Romeśa Canda. Pan Srinivasan każe szoferowi zatrzymać samochód przed żelazną furtką.

zamkniętą teraz na kłódkę. Nic się tu nie odczuwa poza ciepłem nocy, nic tu nie ma do oglądania poza cieniami na podwórzu i przepustem przeprowadzonym od ulicy do furki nad porośniętym trawą rowem odwadniającym, tym, w którym znaleziono rower panny Manners.

A młody Kumar? Co się z nim dzieje? Srinivasan wzrusza ramionami. Być może Kumar nie żyje. Gdy aresztowano go po gwałcie w Bibighar, Romeś Cand wyparł się takiego krewniaka. Możliwe, że Kumar wyparł się takiej rodziny. No cóż, Indie to ogromny kraj. Łatwo w nim zaginać. Więc znów nasuwa się wrażenie bezmiaru (ciężar nieba nad równiną, brak punktów orientacyjnych), po prostu otępia człowieka myśl o przestrzeni tak nieograniczonej. Tutaj, w tym ogromie, nic nie jest prawdopodobne, wszystko jest możliwe. Tylko z wysoka, z powietrza, da się wypatrzeć jakiś szablon, plan, nieudany ludzki zamiar.

Studebaker rusza dalej zagubiony, osaczony, a przecież zmuszony do automatycznego posuwania się naprzód. Wjeżdża w Przedłużenie Ćilijanwala Bagh, na trasę, która z południa, stamtąd, gdzie niegdyś była południowa brama w murze otaczającym stare miasto, biegnie na północ, do Mostu Bibighar.

Ten most z niskim kamiennym parapetem jest wygięty łukowato, jak gdyby wciąż się naprężał, obolały, zreumatyzowany od tak długiego stania w wodzie. Po tym łuku Studebaker przejeżdża nad niewidoczną rzeką (w gorzej oświetlonych miejscach nawet nie połyskliwą) na północny jej brzeg z drugim przejazdem kolejowym; przenosi swych pasażerów od tego, co jest głębią wieczystą, do tego, co krótkotrwałe, od wód biorących początek w śniegach dalekich łańcuchów gór, do równoległych szyn ze stali, po których pociągi pędzą na wschód, na niewyobrażalne wybrzeże.

A oto domek dróżnika, z latarnią w naszych czasach neonową. Studebaker, dobrze resorowany, podskakuje miękko na nierównych deskach pomiędzy szynami. Nietrudno sobie wyobrazić jazdę tędy na rowerze, przy zielonym świetle z lewej strony, w dymnym, metalicznym zapachu kolei, który na całym świecie jest taki sam i z pewnością tutaj dwadzieścia lat temu nie mógł być inny. Można więc wdychając go pomyśleć: Ona też wdychała ten zapach, kiedy wracała na rowerze z „Azylu” siostry Ludmiły.

Jednak nieco dalej jest inaczej, niż, było wtedy. Zaczęto kłaść nową nawierzchnię. Tak jak mówiła Lili Chatterjee. Są światła ostrzegawcze, sterczą pagórki tłuczonego kamienia, część jezdni zagradzają długie tyki położone na koźlach, dobrze znane oznaczenia robót publicznych w toku. Te roboty publiczne zmuszają samochód do zbiegnięcia na prawą stronę jezdni, bliżej muru Ogrodu Bibighar.

To zwykły mur, taki, jaki się widuje w Indiach wszędzie, mur ze sztukateriami, trochę wyższy od człowieka, szszarzały, łuszczący się. Stary. I tu również drzewa zasłaniają widok. Gdy Studebaker tędy przejeżdża, nikt nie mówi ani słowa, ale milczenie jest dostatecznym komentarzem.

Bibighar.

Z czasem nawet najtragiczniejsza nazwa nabiera jakiegoś piękna.

Stąd już samochód jedzie trasą, którą wtedy ta dziewczyna biegła w ciemno-

180

ściach. Tak, i właśnie to musiała wyczuwać za mrokiem zabudowań, siedzib ludzkich — przestrzeń, ogromna, bez granic. Za szablonem takich zwyczajnych dróg, takich nieefektywnych, nie oświetlonych ulic. I przez cały czas był wtedy, tak jak jest teraz, ten dziwny zapach — nie kolei, ale tego kraju — zapach, który ona nauczyła się; akceptować albo ignorować, jeśli nie kochać go, jeśli nie potrzebować do szczęścia.

Część piąta

MŁODY KUMAR

Gdy ojciec Hariego Kumara umarł w Edynburgu po zażyciu zbyt wielu tabletek nasennych i adwokaci powiedzieli, że nie wystarczy pieniędzy nawet na zapłacenie całej należności Carterom, dwojgu służącym, którzy zajmowali się jego domem w Sidcot, w Berkshire, Hari zadzwonił do państwa Lindseyów i zapytał, co, ich zdaniem, powinien zrobić. Uważał — chociaż adwokaci starali się wybić mu tę staroświecką myśl z głowy — że ponosi odpowiedzialność za długi ojca. Państwu Lindsey, tak samo jak jemu, trudno było uwierzyć w wersję adwokatów o bankructwie. Powiedzieli, że powinien natychmiast przyjechać do nich, do Didbury, i niech się nie trapi, bo pan Lindsey sam się dowie w tej kancelarii adwokackiej, jak sprawy naprawdę stoją.

Wiadomość o śmierci ojca Hari dostał w połowie ferii wielkanocnych roku 1938, na kilka tygodni przed swymi osiemnastymi urodzinami. Lindseyowie byli wtedy w Paryżu. Gdyby byli w kraju, Hari prawdopodobnie gościłby u nich, a już na pewno podtrzymałby go na duchu w czasie pogrzebu. Od lat większość ferii spędzał u państwa Lindseyów. Z ich synem Colinem od piecwszej klasy szkoły w Chillingborough łączyła go przyjaźń. Teraz też część ferii wielkanocnych spędził u nich do dnia poprzedzającego ich wyjazd do Paryża. Jak zwykle za ojcowską zgodą pojechałby z nimi, gdyby nie to, że tym razem dostał od ojca z Edynburga list z wezwaniem do Sidcot, gdzie mieli omówić plany na przyszłość. Pojechał więc do domu, ale ojca nie zastał, a gospodyni, pani Carter, i jej mąż powitali go dosyć kwaśno. Nie spodziewali się jego przyjazdu, nic nie było im wiadomo o tym, że ojciec ma przyjechać z Edynburga. Carterami zbyttno się nie przejmował. Służący w Sidcot na ogół zmieniali się tak często, że Carterowie, którzy rezydowali tu już od dwóch lat, pobili niejako rekord. Nawet sobie nie przypominał, ile kolejno gospodyń i dozorców-ogrodników pracowało w tym domu. Przed laty, zanim wyjechał do szkoły przygotowawczej przed nauką w Chillingborough, miał szereg niemiłych guwernantek i wychowawców i przez

dom przewinęło się wiele służby, nieraz dającej jasno do zrozumienia, że lepiej jest pracować u białych dżentelmenów. Nie uważał tego domu za swój dom rodzinny, odkąd poznał Lindseyów i przywiązał się do nich jak do najbliższych krewnych. Z ojcem spotykał się trzy, cztery razy

185

na rok, przy czym nigdy nie przebywał z nim dłużej niż tydzień. Matki nie pamiętał. Wiedział, że umarła w Indiach, wydając go na świat. Indii też nie pamiętał.

Teraz trudno mu było uwierzyć adwokatom ojca, bo myślał, że pieniędzy ma mnóstwo. W miarę jak dorastał, coraz wyraźniej widział różnice w stopniach bogactwa, zdawał więc sobie sprawę z tego, że dom w Sidcot jest bardziej okazały, większy, kosztowniej umeblowany niż dom Lindseyów, tak samo luksusowe były kolejne mieszkania w Londynie, wynajmowane przez ojca w myśl jakiejś zasady rządzącej zmianami, których nie rozumiał i którymi się nie interesował poza tym, że musiał dokładnie zapisywać nowy adres i numer telefonu, żeby jego listy dochodziły i żeby mógł trafić bez kłopotu, jeżeli ojciec zatelefonuje do szkoły przed feriami i zaprosi go do siebie na obiad — gdy będzie przejeżdżał przez Londyn w drodze do domu państwa Lindseyów. Przy takich okazjach zwykle zabierał ze sobą Colina. Kiedyś Colin rozglądając się po wspianym, ale nieprzytulnym mieszkaniu wykrzyknął:

- Twój ojciec musi być piekielnie bogaty. Odpowiedział Colinowi wzruszając ramionami.
- Chyba tak.

Prawdopodobnie właśnie wtedy uświadomił sobie, że patrzy na ojca krytycznie.

Ojciec Hariego istotnie mówił po angielsku z okropnym, śpiewnym akcentem, literował rodowe nazwisko: Coomer, i uznając, że jego imię Dalip niedobrze brzmi w Anglii, zmienił je na Dawid. Swoje jedyne żyjące dziecko, jedynego syna (tego upragnionego, wymodlonego, którego przyszłość już zaplanował do ostatniego szczegółu) nazwał imieniem Hari, ' ponieważ Hari tylko trochę różni się od zdrobnienia saksońskiego Harolda, a Harold, jak wiadomo, był przed przybyciem Normanów królem Anglii.

Dalip Kumar — podobno wbrew życzeniu rodziców, chociaż w końcu niechętnie mu ustąpili — wyjechał do Anglii, żeby studiować prawo, mniej więcej w tym samym czasie, gdy panna Crane porzuciła służbę u państwa Nesbitt-Smith i wstąpiła do służby godniejszej, w misji, i chyba mniej więcej wtedy, gdy umarła — też w beznadziejnej nędzy, ale nie tak efektownie, jak później umarł Dalip — matka pewnej małej dziewczynki, którą zabrano do sierocińca i która po wielu latach nazwała się siostrą Ludmiłą.

Kumarowie, bogaci według kryteriów indyjskich i lojalni wobec angielskiej Korony, wyraźnie respektującej prawa własności, mieli majątki ziemskie w jednym z okręgów Zjednoczonych Prowincji. Byli mozną rodziną, ale dość wcześnie Dalip zauważył, że wprawdzie ludzie o takim samym kolorze skóry jak oni podnoszą na nich wzrok z uszanowaniem, ale nawet nieopierzony biały chłopak w pierwszym roku swej pracy administracyjnej może zrobić im afront, każąc czekać na werandzie

¹ Hari —jeden z epitetów Wisznu i Kriszny (dosł. „smagły”, „śniady”).

186

uświęconego małego bungalowu, którego pokoje chłodzone wachlarzami pankha tchną atmosferą swobodnej wyższości. Władzę, stwierdził Dalip, daje nie pieniądź, tylko czarodziejskie połączenie wiedzy, rasy i sposobu bycia. Jego ojciec, jeden z tych, którym często kazano czekać, nie przyznał mu racji.

• Ostatecznie — powiedział — liczą się właśnie pieniądze. Co to jest obraza? Co to jest zniewaga? Nic. Ani jednej, ani drugiej strony nie kosztuje ani grosza. Zraniona duma szybko się wyliże w ciepłe dobrze napchanej kieszeni. Ten młody, który mi każe czekać, to głupiec. Nie chce przyjmować darów, bo go nauczyli, że dar od Hindusa jest łapówką. Tam, w swoim kraju nie byłby taki ostrożny. A tak za czterdzieści lat będzie biedny, będzie żył z gołej emerytury w tym ich zimnym klimacie.

- Ale przez czterdzieści lat — zauważył Dalip — będzie sprawował władzę.

• Wielka mi władza! — wykrzyknął ojciec. — Będzie pobierał podatki dla rządu, rozstrzygał spory o ziemię, dopilnuje konserwacji paru budowli publicznych, przedłuży którąś szosę, zaplanuje gdzieś ścieki, skarże w sumie kilka tysięcy ludzi na grzywny, może dwudziestu na chłostę i może dwustu na więzienie. A ty w porównaniu z nim będziesz bogaczem. Twoja władza będzie materialna, widoczna dla twoich oczu, ilekroć, rozejrzysz się po swojej ziemi. Kłopot możesz mieć tylko jeden... trochę niewygodnego czekania na werandzie u jakiegoś jego następcy, który też. będzie odmawiał przyjmowania darów, też będzie z kolei sprawował to, co ty nazywasz władzą, i umrze bogaty tylko we wspomnienia z kolonii.

Dalip śmiał się. Bawiło go cierpkie dowcipkowanie ojca, ale śmiał się, bo wiedział, że ojciec nie ma racji. Po śmierci ojca ten majątek, teraz przedmiot jego dumy, rozdzielił między siebie dzieci, a później dzieci tych dzieci, a później ich wnuki, i w końcu nic nie zostanie z władzy coraz mniejszej, ustępującej z pola za polem, z wioski za wioską. Tymczasem jakiś młody człowiek nadal będzie siedział w uświęconym bungalowie, gotów z dyplomatycznie uprzejmą miną wysłuchiwać białych nad niedolą, ubóstwem, niesprawiedliwością, ale przejęty wyłącznie swoją karierą, wspinaniem się, jak jego poprzednicy, szczebel po szczeblu, do któregoś ze stanowisk

w Sekretariacie albo w Radzie Gubernatora czy w Sądzie Najwyższym.

Dalip był najmłodszym z dzieci Kumara: czterech synów i trzech córek. Może rodzice uważali, że siódemka to szczęśliwa liczba, bo po jego narodzinach (w roku 1888) wydawało się przez kilka lat, że na siedmiorgu poprzestaną. Był dzidziusiem, ukochanym najmłodszym synkiem. Rodzeństwo mogło czuć zawiść. Z pewnością później starsi bracia i siostry, którzy go przeżyli, nie zainteresowali się jego osieroconym synem Harim, nie pospieszyli z pomocą. Była jednak Salini, ósme dziecko, urodzona, gdy Dalip miał lat jedenaście. Tych dwoje najmłodszych w rodzinie łączyła szczególna więź, wynikająca prawdopodobnie z tego, że Dalip czuł się osamotniony wśród starszego rodzeństwa, odkąd pierwszy okres rozkliwiania się nad nim minął i rozpieszczony chłopiec zaczął krytycznie patrzeć na swoje otoczenie, marzyć o szerokim świecie.

Z czterech braci tylko Dalip ukończył średnią szkołę państwową i wyjechał do państwowego college'u. Rodzina uważając, że nauka w college'u nic nie da, sprze-

187

owiała się jego planom, ale ostatecznie udzieliła zgody. W późniejszych latach Dalip lubił przytaczać dane ze spisu ludności prowincji, przeprowadzonego w tamtym czasie. Mężczyzn — dwadzieścia cztery i pół miliona, kobiet — dwadzieścia trzy miliony. Spośród mężczyzn zaledwie półtora miliona umiało pisać, spośród kobiet niecałe pięćdziesiąt tysięcy, przy czym liczba ta nie obejmowała jego trzech starszych sióstr. Ojciec i bracia czytali i pisali w języku ojczystym, ale jeśli chodzi o język angielski, byli prawie analfabetami. Dalip wcześniej nauczył się tego języka administratorów, gdy towarzyszył ojcu przy wnoszeniu petycji do naczelnika pod-okręgu, i zaczynał się orientować, że za uprzejmym obliczem białej władzy jednak kryją się jakieś sekrety. Dojrzewały w nim trzy postanowienia: wyrwać się z tradycji rodzinnej związanej z ziemią; stać się kimś, kto nie będzie prosił o łaski, tylko sam będzie je świadczył; wyzwolić Saiini z domowej ciemnoty i tyranii, z tego, na co zarówno jego starsze siostry, jak żony jego dwóch starszych braci godziły się bez słowa skargi, przekonane, że kobieta nie może mieć nadziei na nic więcej. Gdy Saiini miała trzy lata, zaczął ją uczyć liter dewanagari. Gdy miała pięć lat, umiała czytać po angielsku.

Teraz Dalip ukończył lat szesnaście. Uczelnia rządowa, do której się dostał, była na drugim końcu świata, w odległości aż stu mil. Matka, wyprawiając go tam, płakała. Starsze siostry i bratowe patrzyły na niego tak, jakby porzucał dom w jakimś haniebnym celu. Ojciec go nie rozumiał, ale wieczorem w wigilię jego wyjazdu udzielił mu swego błogosławieństwa, a potem rano odwiózł go na stację kolejową palankinem ciągniętym przez woły.

Może właśnie wtedy rozpoczęło się to, co można by nazwać tragedią Dalipa Kumara. Zawsze miał więcej ambicji niż zdolności. Namiętne pragnienia osiągnąć podsycali sprzeciwi rodziny. Gdy wyjechał z domu i znalazł się wśród chłopców z różnych środowisk, ale o jednakowych dążeniach, opuściło go pierwotne uczucie spętania, świetna drażniąca pożywka dla namiętnych pragnień. Tutaj wszyscy mieli takie same szanse. Przykładając się do nauki, coraz częściej jednak stwierdzał z niepokojem, że jest różnica między tymi, którzy szybko myślą, i tymi, którzy pilnie się uczą. Po raz pierwszy w życiu musiał przyznać, że inni chłopcy, chociaż właściwie nie są od niego mądrzejsi, na pewno przejawiają większą bystrość. Rozważając to, od razu podsunął sobie wytłumaczenie; ci bystrzy pochodzą z domów postępowych, gdzie przez cały czas mówi się po angielsku. Wykładowcami w college'u byli przeważnie Anglicy. W państwowej szkole średniej większość przedmiotów wykładali po angielsku nauczyciele Hindusi. Angielszczyznę tych nauczycieli rozumiał dokładnie i w niejednym przypadku nawet wiedział, że umiałby coś wyrazić lepiej od nich. Teraz jednak, słuchając wykładów, gubił się coraz bardziej, trudność sprawiało mu zrozumienie nie tyle słów, ile myśli kryjących się w tych słowach. Pytać nie miał odwagi. Nikt o nic nie pytał. Chłopcy drobiazgowo notowali wszystko, co w ich mniemaniu zostało powiedziane. Pytać znaczyłoby przyznać, że się czegoś nie wie. W świecie takiego współzawodnictwa przyznanie się do niewiedzy miałyby fatalne skutki.

Teraz Dalip, sfrustrowany nie ciasnotą horyzontów prawowiernej rodziny hin-

188

duskiej, tylko swoją słabą znajomością języka angielskiego, odkrywał nowy środek drażniący. Przysłuchiwał się kolegom zdumiony, bo oni najwyraźniej nie pojmowali, że ich sposób mówienia różni się od sposobu mówienia Anglików. Nie ograniczało się to do kwestii idiomów i wymowy. Był za młody, żeby to sprecyzować. Ale zdawał sobie sprawę, że krąży koło sedna jeszcze jednego ważnego sekretu. Gdyby poznał ten sekret, może by zdołał zrozumieć istotę owego czegoś, co w sposobie bycia naczelnika podokręgu wydaje się po prostu arogancją, a w sposobie bycia wykładowców Anglików — pogardą ludzi stojących pod względem umysłowym o niebo wyżej. Nadeszła chwila, gdy Dalip mógł powiedzieć swemu synowi Hariemu: — Chodzi nie tylko o to, żeby ktoś obcy, kto słyszy cię przez telefon, myślał, że rozmawia z młodym Anglikiem z wyższych sfer. Chodzi o to, żeby twój sposób bycia i myślenia dawał ci pełne przekonanie, że jesteś takim chłopcem rzeczywiście. Ja w twoim wieku mówiłem po angielsku z akcentem indyjskiego babu jeszcze wyraźniejszym niż teraz, a na domiar złego wciąż się starałem myśleć i mówić tak jak ci Anglicy, którzy nami rządzą. Nie musieliśmy się przyznawać do tego, że ich naśladowujemy, oni wiedzieli o tym zawsze, ilekroć słuchali, jak do nich mówimy. Przeważnie to ich bawiło. Czasami irytowało. I nadal irytuje. Przysłuchując się nam, ani na chwilę nie mogli zapomnieć, że jesteśmy ich poddanymi, ludźmi niższego gatunku. Im więcej idiomów próbowaliśmy używać, tym naiwniejszy wydawał im się nasz sposób myślenia... bo przecież, myśleliśmy w obcym języku, którego nigdy nie rozpatrywaliśmy należycie w odniesieniu do naszego własnego. Bo widzisz, hindi jest oszczędny i piękny. W hindi potrafimy myśleć z prostotą i szczerze. Potrafimy przekazywać sobie nawzajem te myśli obrazami odpowiednio oszczędnymi, prostymi,

zgodnymi z prawdą. Język angielski nie jest oszczędny. Ale jest piękny. Nie można go nazwać szczerym, bo zbyt dużo w nim niuansów. To język ludzi, którzy chyba dlatego zasługują na reputację przewrotnych i obłudnych, że ich język jest tak bardzo giętki, często nieuchwytny jak majaczenie. Czytasz coś w jednym roku i wydaje ci się, że wiesz, co to znaczy, czytasz w następnym roku i już znaczenie tego staje się zupełnie inne. Przynajmniej tak jest na papierze, a Anglicy zwykle na papier przelewają swoje najszlachetniejsze dążenia i zamiary. Język angielski w piśmie sprawia wrażenie, że służy zyskiwaniu na czasie, zdobywaniu zaufania. Ale w słowie jest niezwykle piękny. Związyły tak jak hindi, tyle że okrutniejszy. My się uczyliśmy naszej angielszczyzny z książek, Anglicy wiedzą, że książka to nie życie, więc śmieli się z nas. I nadal się z nas śmieją. Ze mnie też się śmieli, wiesz, w tym indyjskim college'u, gdzie się kształciłem, zanim tak niefortunnie zdecydowałem się przyjechać tutaj na studia prawnicze. W college'u przekonałem się, ile daje opanowanie tego języka do głębi, prawdziwe przyswojenie go sobie w mowie i w piśmie. Ale, rzecz jasna, ja się go nauczyłem głównie z książek. Jeden rozdział Macaulaya był o wiele łatwiejszy do zrozumienia i na pewno ciekawszy niż wszystkie zdania, które wypowiadał pan Croft, nasz profesor historii. W końcu nawet usiłowałem mówić prozą Macaulaya. Późno się dowiedziałem, że wszelkie kręte drogi do prostych hipotez nasi profesorowie Anglicy nazywają k u m a r y -

189

zmem. I jeszcze później pojąłem, że kumaryzm wcale nie jest czymś godnym podziwu, przeciwnie, jest czymś niemądrym. Jednak ten rozgłos chyba pomógł mi przebrnąć przez college. Zdałem z wynikiem bardzo słabym. Ale w myśl moich kryteriów to był tryumf.

W chwale owego tryumfu dziewiętnastoletni Dalip wrócił do domu. Nie po raz pierwszy zresztą jechał tam ze stacji kolejowej paiankinem ciągniętym przez woły — oczywiście przyjeżdżał w ciągu tych lat na ferie — ale dopiero teraz wracał jako młodzieniec, który dowiódł swojej wartości i szczerości swoich ambicji, słusznie więc pragnie przepłynąć przez czarną wodę, stanąć w Anglii do egzaminów Indyjskiej Służby Państwowej. W tamtych czasach można było zdawać takie egzaminy tylko w Anglii, zgodnie z zarządzeniem skutecznie ograniczającym liczbę Hindusów zdolnych do współzawodnictwa.

Rodziców zastał nie tyle uradowanych jego sukcesem, ile zatroskanych tym, że jeszcze nie wykonał swego najważniejszego zadania: nie ożenił się, nie założył rodziny, żeby zapewnić sobie syna, mieć kogoś, kto w końcu dopełni obrzędów na jego pogrzebie i z należytymi honorami wyprawi go na tamten świat.

Dziewczyna imieniem Kamala, którą upatrzyli dla Dalipa i której horoskop, zdaniem astrologów, pomyślnie łączył się z jego horoskopem, miała już piętnaście lat. Właściwie — powiedzieli — prawie szesnaście.

— Kamala! — wykrzyknął Dalip. — Kto to jest, co to jest Kamala? — I nie chciał nawet słyszeć odpowiedzi.

Dwór Kumarów składał się z kilku niskich budynków bezplanowo postawionych wokół głównego dziedzińca na dużym ogrodzonym terenie przy skraju największej wsi będącej w ich posiadaniu, odległej o pięć mil od miasteczka, tego właśnie, gdzie urzędował naczelnik podokręgu, Anglik. Pięć mil wozem zaprzężonym w bawoły do najbliższej placówki cywilizacji! — rozmyślał Dalip. — Och, cóż za więzienie! Bawił się z Salini i w przerwach między zabawami przepytывał ją z lekcji, których ku jego zdumieniu nie zapomniła przez ostatnie trzy miesiące rozłąki. Oboje teraz podziwiali się nawzajem. On podziwiał tę dziewczynkę, miłą, ładną i inteligentną, ona podziwiała swego urodziwego brata. Wydawał jej się podobny bogom, a przecież stąpił po ziemi i żartował, nieskończenie mądry i łaskawy. Nigdy się na nią nie gniewał. Ale słyszała, jak on wrzeszczy na braci, jak klóci się z ojcem. Kiedyś, gdy myślała, że jest sam, słyszała też, jak płacze. Nazrywała wtedy mnóstwo kwiatów, żeby przestał się smuć, żeby uśmiechał się znowu i opowiadał jej o Ramie, bogu-królu.

Ostatecznie Dalip zdecydowa* się dobić targu z rodzicami. Przystał na poślubienie tej małej Kamali, ale dopiero po studiach w Anglii i zdaniu egzaminów. Na razie niech to będą oficjalne zaręczyny.

Ojciec zapytał, jak długo miałyby trwać studia w Anglii.

Dwa, trzy lata, być może.

Ojciec potrząsnął głową. Za dwa, trzy lata Kamala ukończy osiemnaście czy

¹ Czarna woda (h. kala pani); przepłynąć czai na wody znaczy to samo co udać się za morze (tj. do kraju, gdzie nie istnieją właściwe normy etyczne) lub — być zesłanym do kolonii karnych.

190

dziewiętnaście lat, a wciąż jeszcze będzie mieszkała u swoich rodziców. Czy Dalip chce, żeby jego żona była pośmiewiskiem, zanim znajdzie się w jego łóżu? I czy pomyślał, ile kosztuje studiowanie w Anglii? Skąd wziąć pieniądze? Dalip przewidział taki sprzeciw. Powiedział, że odstąpi swoją część dziedzictwa starszym braciom, a to chyba pokryje koszty jego studiów za granicą.

• To tyle, co kot napłakał — powiedział ojciec. — I przecież nie możesz odstąpić tego, czego jeszcze nie dostałeś. Zresztą właśnie dzięki swojemu dziedzictwu jesteś dla przyszłych teściów pożądanym zięciem.

• A moje wykształcenie, moja kariera? — zapytał Dalip. — Nic dla nich nie znaczą?

Ojciec potrząsnął głową.

— To, co nazywasz karierą, jeszcze się nie zaczęło. Może ty nie widzisz korzyści z posagu, który twoja żona wniesie do naszego domu? Wystarczyłoby grosza na wyjazd do Anglii. Ale musiałbyś ożenić się teraz. Masz już dziewiętnaście lat. Wszyscy twoi bracia pożenili się przed dziewiętnastym rokiem życia. Twoja przyszła żona wkrótce ukończy szesnaście lat. W tym wieku twoje starsze siostry były już zamężne. Musiałem znaleźć pieniądze na trzy posagi. Przecież nie mam

kieszeni bez dna. A tylko patrzeć, jak trzeba będzie znów wskrobać posag... dla Śalini.

Sprawy rodzinne były jedynymi sprawami nie wymagającymi pośpiechu. Pertraktacje z ojcem ciągnęły się przez wiele dni. W końcu Dalip powiedział:

— Dobrze. Ożenię się z Kamalą. Ale zaraz po ślubie wyjadę do Anglii.

Rozmowy prowadzili w pokoju, w którym od kilku lat ojciec oddawał się medytacjom, co samo przez się powinno być dla nich wszystkich zapowiedzią jego późniejszej decyzji. Nie było żadnych mebli w tym pokoju z podłogą wykładaną płytami. Siedzieli na macie z sitowia. Pobielane ściany zdobiła tylko jaskrawa litografia w ramce z drzewa różanego, przedstawiająca Ganeśę, boga losu. Na parapecie zakratowanego małego okna bez szyb stał dzbanek cynowy, zwykle z bukietem aksamitek albo frangipani.

— Nie życzę sobie — wysunął ojciec nowy sprzeciw — żebyś został urzędnikiem administracji. Jeżeli nie wystarczy ci zajmowanie się własnym majątkiem, zostań adwokatem. Prawo, o ile mi wiadomo, można studiować w Kalkucie.

- Co ojciec ma przeciwko administracji? — zapytał Dalip.
- To jest administracja rządu cudzoziemskiego. Wstyd by mi było, gdyby mój syn w niej pracował. Lepiej niech w sądach broni przed nią swoich rodaków.
- Wstyd? — zapytał Dalip. — Ale wyczekiwać na werandzie u tego małego bara-sahiba ojciec się nie wstydzi? Sam ojciec mówił: „A cóż to jest obraza? Cóż to jest zniewaga? Cóż to jest zraniona duma?”
- Wstydziłbym się — powiedział stary Kumar — gdyby ten mały bara-sahib był moim synem.

Sprawa stanęła na ostrzu noża. Parę dni minęło, zanim Dalip to rozważył, osądził realność nagłej niechęci ojca do władz; może nawet nie nagłej, tylko dotychczas starannie ukrywanej.

191

Dobrze — powiedział po paru dniach. — Namysliłem się. Zostanę prawnikiem.

Może obrońcą. Ale prawo muszę studiować w Anglii.

Ale przedtem poślubisz Kamalę?

Tak, ojczu, przedtem poślubię Kamalę.

Z najbliższej rodziny Dalipa tylko matka i ciotka widziały Kamalę Prasad, jego przyszłą żonę. Żeby ją zobaczyć, udały się w odwiedziny do domu Prasadów. Po powrocie złożyły sprawozdanie ojcu Dalipa, mile ujęte tym, co zobaczyły i czego się dowiedziały o jej wychowaniu. Teraz Kumarom, zadowolonym z orzeczenia astrologów, jak również z proponowanego posagu, pozostawało jedynie przypieczętować układ oficjalnymi zaręczynami i wyznaczyć datę ślubu.

Kamala Prasad mieszkała w odległości dwudziestu mil. Na uroczystość zaręczyn przyjechali do Kumarów sami mężczyźni z rodziny Prasadów: ojciec i stryjowie przyszłej oblubienicy oraz jej dwaj żonaci bracia. Przywieźli w darze słodczyce i nieduże sumki pieniędzy, głównym jednak celem tej wizyty było upewnienie się, że dom, do którego wejdzie Kamala, jest zgodnie z uzyskanymi przez nich informacjami dostatni i przyzwoity. Dalip wiedząc, jak się to odbywało, gdy jego bracia dopełniali tej powinności, złożył ukłon, przyklęknął i w pokorze dotknął stóp przyszłego teścia. Przyszły teść namazał mu na czole tilak — na znak pomyślności. Przez jakiś czas goście prowadzili ceremonialną rozmowę, potem się posilili i w końcu wyruszyli na stację kolejową, w pierwszy etap swojej podróży powrotnej. Uroczystość ta nie wywołała w Dalipie wielkiego wzruszenia; wydawała mu się raczej bezsensowna, ale Śalini chodziła za nim oczarowana.

— Czy w dniu zaślubin — dopytywała się — będziesz miał przypasaną szablę i pojedziesz na koniu, jak król?

— Chyba tak — odpowiedział parszkając śmiechem. Co za farsa! pomyślał.

Interesowało go przede wszystkim załatwienie formalności, których za radą i z pomocą dyrektora college'u rządowego zaczął dopełniać, żeby wyjechać do Anglii we wrześniu, na początek roku akademickiego.

Zaręczyny odbyły się w styczniu i prawie natychmiast powstała trudność z wyznaczeniem daty zaślubin. Astrologdy mówili, że idealny czas to drugi tydzień marca. Dalip proponował pierwszy tydzień września. Statek, na którym za pośrednictwem agenta w Bombaju zarezerwował miejsce, miał odpłynąć w drugim tygodniu września. Astrologdy potrząsali głowami. Jeśli zaślubiny nie mogą się odbyć w drugim tygodniu marca, trzeba będzie je odłożyć do czwartego tygodnia października.

— Bzdura — opierał się Dalip. — Oni chcą przez to powiedzieć, że w kwietniu będzie zbyt upalnie, a od czerwca do października prawdopodobnie będzie za dużo deszczu.

Nie miał zamiaru spędzić przed wyjazdem do Anglii prawie pół roku w związku małżeńskim. W istocie nie miał zamiaru dzielić łoża z dziewczyną zaledwie sze-sna-

192

stoletnią, choćby rzeczywiście była ładna i do małżeństwa dojrzała. Poślubić ją mógł, owszem. Nawet spędzić z nią parę nocy, żeby nie czuła się zhańbiona. Ale pościć jej nie miał zamiaru. Wyobrażał sobie, jak ją ucałuje,

będzie dla niej miły i powie, że gdy wróci z Anglii przysposobiony do wykonywania szacownego zawodu, czasu będzie aż nadto, żeby ona podjęła obowiązki żony i trudy macierzyństwa. Nieomal żywił nadzieję, że Kamala okaże się zgoła nieponętna.

Nieraz budził się w środku nocy i rozpatrując każdy swój krok po ukończeniu college'u, stwierdzał, że wszystkie były błędne. Zrezygnował z dążenia do objęcia stanowiska w administracji. Na żądanie rodziców zgodził się ożenić. Wybrał kierunek studiów i tym samym zawód wcale mu nie odpowiadający. Wytrwać zdołał jedynie w postanowieniu, że wyjedzie do Anglii. Gdy budził się rano, sama perspektywa tego wyjazdu rozjaśniała mu nowy dzień, cieszyła go. Nie mógł też pozostać obojętny na serdeczność rodzicielskiej aprobaty. Kiedyś usłyszał, jak ojciec mówi do starego znajomego.

— Po zaślubinach Dalip oczywiście wyjedzie do Anglii na studia.

Zupełnie tak, jakby to było życzenie ojca, a nie jego. Najwidoczniej ojcowska duma może wykiełkować jak dobre ziarno w najbardziej nieprawdopodobnej glebie, byleby przedtem zrosił ją pot synowskiego posłuszeństwa. A jednak w nocnych mrokach między jawą i snem daremnie szukał czegoś, co byłoby konkretnym wytłumaczeniem tego jednego wyzywającego słowa: „Anglia” — wytłumaczeniem, *które przyniosłoby mu ulgę i pociechę, obejmując już nie tylko ogólne pnignicnie* samego wyjazdu do Anglii, ale jego szczególny cel. Możliwość zdobycia władzy — w takim znaczeniu, w jakim on ją rozumiał — zrzapała, odkąd wykrętnie, zbyt łatwo zgodził się obrać dziedziczinę prawa, gdzie władzę się interpretuje, może wyzywa, nigdy jednak nie sprawuje się jej bezpośrednio. Możliwe — rozmyślał — że mam w sobie jakąś nieszczęsną skazę, ciemne korzenie ugodowości — owej rośliny, jeśli zakwitającej, to smrodliwie. I przewracał się na drugi bok, żeby zasnąć znów z ręką na jędrnej piersi swej uległej kochanki, która towarzyszyła mu teraz we wszystkich snach.

Stało się tak, jak chciał. Astrologzy odkryli niespodziewaną koniunkcję szczęśliwych gwiazd. Ustalono, że zaślubiny odbędą się w pierwszym tygodniu września.

— Widzisz, Salini — powiedział siostrzyczce. — Miałem rację, kiedy mówiłem, że to bzdura. — I ugryzł się w język, żeby nie dodać: Zresztą Prasadowie, tak jak Kumarowie, mają za dużo córek. Zależy im na wyprawieniu Kamali z domu bodaj w podmuchach deszczowego monsunu.

Patrząc na Salini, pomyślał, że i ona, dziewczynka dziewięcioletnia, już jest problemem dla rodziców. Skomplikowana to sprawa z dobyć się na konieczny posag i tak wydać córkę za męża, żeby zapewnić jej szczęście, przenieść ją do domostwa przydającego rodzicom honoru i pełnego pomyślności dla niej, powierzyć mężczyźnie zacnemu, którego będzie mogła uznać za godnego jej szacunku i przywiązania ku zadowoleniu jego, swoim i obu rodzin.

— Mam nadzieję — pomyślał o swej przyszłej żonie — że znajdę dość siły w sercu, żeby jej nie znienawidzić.

193

Pierwsza lista weselných gości ze strony pana młodego, sporządzona przez ojca, obejmowała prawie trzysta osób. Po pertraktacjach z Prasadami liczbę tę zmniejszono do niespełna dwustu. Ale i tak dla rodziny panny młodej wesele było poważnym nadwężeniem budżetu. W połowie sierpnia zaczęli się zjeżdżać Prasa-dowie. Zjeżdżali się też Kumarowie. Przybywali z Pcn dzabu, z Madrasu, z Bengalu, z Lakhnau ' i z rodzinnej prowincji, z Bombaju i aż z Rawalpindi. Dalip był ostatnim synem starego Kumara. W tym pokoleniu miało się odbyć już tylko jedno wesele — wesele Salini. Dom się zapełnił. W pomieszczeniu dla gości, zbudowanym na zewnątrz ogrodzenia, gdy Kumar wydawał za męża starsze córki, też było tłoczno.

Do Delali wyruszyli wszyscy rano w dniu zaślubin. Jakimś cudem deszcze ustały wcześniej, co stanowiło dobry omen. W domu Kamali uroczystości wstępne trwały już od dwóch dni. Swita pana młodego zajęła trzy wagony pociągu, uprzednio zarezerwowane. W Delali na peronie czekała delegacja Prasadów, która powiodła ten tłum gości do domu stryja panny młodej. Tam przebrano Dalipa w strój króla--wojownika. Były to obcisłe białe spodnie, haftowana kurtka, pas z szablą, peleryna, turban wyszywany cekinami, a na turbanie złocista korona, zdobna w girlandy z róż i jaśminu, opadające tak, że kwiaty przysłańiały Dalipowi część twarzy, były w nozdrza słodko-narkotyczną wonią. Wieczorem poprowadzono go przed dom, do osiodłanego konia, którego dosiadł razem ze swoim drużbą, małym kuzynkiem. Orszak pana młodego wyruszył do domu panny młodej o godzinie pół do siódmej. Orszakowi towarzyszyli służący z latarniami i z ogniami sztucznymi, muzykanci z. trąbkami i bębnami. Powietrze tętniło muzyką, gwarem, raz po raz, rozle-gał się huk fajerwerków. Pana młodego rozboleła głowa. Za orszakiem tłoczyli się mieszkańcy Delali, chcąc na własne oczy zobaczyć, jakiego to męża udało się najmłodszej córce starego Prasada dostać. Dobrodusznie wznosili obraźliwe okrzyki, na co świta Dalipa odpowiadała im w tym samym duchu.

Gdy Dalip zsiadł z konia przed bramą domostwa panny młodej, poprowadzono go na dziedziniec, gdzie czekały kobiety zamężne. Usiadł tam i poddał się pierwszej próbie ogniowej.

• Więc w przyszłym tygodniu wyjedziesz do Anglii? — zapytała jedna z kobiet. — Męczysz się tak prędko, że zaraz musisz uciekać?

• Och, nie — odparł wpadając w nastrój tego badania. — Ale roztropność nakazuje młodemu mężowi stosować się do zasady „we wszystkim umiar”.

• Młoda żona może będzie odmiennego zdania — powiedziała inna kobieta.

• Garnek miodu — odparł Dalip — smakuje lepiej po długim okresie wstrzemięźliwości.

• A jeśli miód przez ten czas zgorzknieje? — zapytała któraś, jeszcze zuchwalsza.

- Kiedy ząb wiernie się trzyma, miód nawet najbardziej zgorzkniały ma smak słodczy.

Kobiety parsknęły śmiechem i zasłoniły twarze. Dalip to mężczyzna. Wiadomość o tym szybko dotarła do komnaty, gdzie panna młoda po obrzędowej kąpieli oczy-

¹ Tu nazwy dawnych prowincji brytyjskich.

194

szcząjącej siedziała od wielu godzin w towarzystwie kobiet, których zadaniem było ubrać ją w czerwone szaty, przyozdobić ciężkimi klejnotami, nasmarować jej ręce i stopy henną, uczernić powieki proszkiem antymonowym.

— Urodziwy jak królewicz — oznajmiły. — I zuchwalec w dodatku. Ach, jakie oczy! Ale też i delikatny. Z pewnością masz szczęście, Kamalo! Tacy mężowie nie rosną na drzewach. Warto będzie czekać na niego po pierwszym zakosztowaniu.

Drugą ciężką próbą był sam obrzęd zaślubin na głównym dziedzińcu. Musiało się to rozpocząć o porze zapewniającej pomyślność, czyli na pół godziny przed północą, i zgodnie z obrządkiem wedyjskim ciągnęło się bardzo długo. Pana młodego posadzono obok panny młodej, naprzeciw świętego ognia, za którym siedział dający im ślub pandit. Panna młoda miała twarz szczelnie zasłoniętą i głowę spuszczoną. Dalip nie śmiał nawet zerkać na nią. Ale wdychał bijący od niej zapach kwiatów, czuł ją przy sobie, małą, drobną, obleczoną w chwilową wspaniałość. Patrzył na jej welon przywiązany do rękojeści jego miecza, którym, gdyby to były dawniejsze czasy, musiałyby ściąć gałąź drzewa, żeby okazać swoją krzepę. Już, zostali połączeni nierozdzielnie na całe życie, może i poza życie. A on jeszcze nie zobaczył twarzy swojej żony. Ona jeszcze nie spojrzała na twarz męża. Jeśli w ogóle mogła widzieć cokolwiek, to tylko jego haftowane złotą przędzą pantofle i nogi w obcisłych spodniach. Chyba że zerknęła na niego przedtem. Pandit intonował modlitwy wedyjskie. Państwo młodzi obeszli ogień wokół, najpierw on na przędzie, ona za nim, potem w odwrotnym porządku. Nasypano Kamali ryżu w stulone dłonie, żeby przesypała ten ryż w dłonie Dalipa, który następnie cisnął wszystkie ziarenka w ogień. Dla zapewnienia pomyślności w małżeństwie przeszli razem siedem rytualnych kroków. Później pandit wyrecytował ich imiona i imiona ich przodków, po czym oblubienicę zabrano. Oblubieniec miał się z nią spotkać dopiero za dwie doby, gdy jego matka wprowadzi ją do jego sypialni w domu. Ale zaślubiny trwały aż do rana, już więc nazajutrz Kamala ubrana w to, co przywieźli dla niej teściowie, miała wyruszyć w drogę do domu męża.

Po zaślubinach Dalip przespał prawie cały dzień i gdy wstał, mógł zakończyć swój post. Najadł się, a potem obejrzał posąg wystawiony rąk koźlach pod markizami na wypadek, gdyby jednak deszcz zepsuł tę uroczystość. Było tam sporo odzieży dla niego i dla jego żony, biżuteria, kuferki ze srebrnymi monetami i banknotami sturupiowymi, rodowy strój ceremonialny, srebro stołowe, sprzęty i naczynia, i w szkatułce akt nadania ziemi. Potem znów poszedł spać, zdumiony tak dużym bogactwem, ceną, jaką ojciec córki na wydaniu płaci za męża dla niej.

Nazajutrz rano, w stroju królewskim, z mieczem w aksamitnej pochwie, dosiadł tego samego konia z rzędem, żeby poprowadzić pochód gości za palankinem oblubienicy na stację kolejową. Dopiero tam zobaczył drobną postać swej żony spowitą w szkarłat, obwieszoną ciężkimi klejnotami. Z twarzą wciąż jeszcze zasłoniętą wysiadła z, palankinu. Wyobraził sobie, jak młiała i płakała, zanim do tego palankinu wsiadła za czułą namową matki. I jak wreszcie zasłony palankinu zasunięto, słudzy go dźwignęli, kobiety idące w orszaku zaczęły śpiewać ragę poranną, pieśń młodej oblubienicy, która z domu swego dzieciństwa wyrusza do domu męża.

195

Dulija le ao
re morę babul ke kaharwa.
Cali hun sadzan ba ke des:

Na skraju wsi Kumarów, gdy pod wieczór dotarli tam ze stacji kolejowej, witała ich chyba cała miejscowa ludność. Mężatki stłoczyły się wokół palankinu oblubienicy (nowego, dostarczonego przez Kumarów, bo tamten razem z Prasadami został w Delali), rozsunęły zasłony i obejrzały ją dokładnie. Dalip widząc, z jakim zadowoleniem patrzą potem na niego, mógł wnosić, że nie mają żadnych poważniejszych zastrzeżeń. Z całej rodziny tylko Salini nie była przy tym powitaniu. Dopiero gdy dojeżdżał do domu, wybiegła zza ogrodzenia i uczepliła się uzdy jego konia, który, tak samo jak nowy palankin, czekał na stacji.

— Dalip! Dalip! — krzyknęła. — Och, jaki jesteś piękny! Dlaczego się z nią ożeniłeś? Dlaczego nie chciałeś poczekać na mnie?

I dumnie, zaborczo wprowadziła go na dziedziniec. Później, dużo później, chociaż powinna już dawno spać, przyszła do pokoju, gdzie się przygotowywał do nocy poślubnej.

— Teraz mi przykro, Dalip.

- Dlaczego? — zapytał biorąc siostrzyczkę na kolana.
- Oplotła mu szyję rękami.
- Dlatego, że ją zobaczyłam.
- Dlatego ci przykro? — zapytał z sercem tak łomoczącym, że prawie nie mógł znieść tego bólu i niepewności.
- Bo ona jest jak królowa — wyjaśniła Salini. — Czy walczyłeś o nią? Zabijałeś złe duchy, żeby ją

wyratować? Czy tak, Dalip? Czy tak? Czy tak?

- Chyba tak — odpowiedział. Ucałował Salini na dobranoc.

A potem czekał w sypialni, do której jego matka miała przyprowadzić Kamalę, żeby mu ją oddać pod męzowską opiekę.

Hariemu powiedział wiele lat później, że gdy zdjął Kamali welon i zobaczył jej twarz, natychmiast się zakochał. Może to rzeczywiście tłumaczyło fakt, że studia prawnicze w Anglii od początku szły mu niedobrze. Swój ostateczny powrót do domu, powrót pokonanego, przeżył boleśnie, tym bardziej że z ust ojca nie padło ani jedno słowo wyrzutu, ani jedno słowo o zmarnowanych latach, o zmarnowanych pieniądzech. Wracał do Indii z ciężkim sercem, świadom, że jego umysł nie wytrzymuje tempa narzuconego przez ludzi inteligentniejszych niż on, że raz po raz dawano mu fory, bo widziano w nim Hindusa, który przyjechał z daleka za cenę wielu wyrzeczeń i niezłomnie, wytrwale stara się wydzwignąć ze stanu upośledzenia, w jakim się urodził. Ponadto ciążyła mu świadomość, że przecież nie z winy rodziców był w Anglii często zziębnięty, skrępowany, nieszczęśliwy, często

196

też przerażony brudem, ubóstwem, nędzą, widokiem bosych dzieci, obszarpanych żebraków, pijanych kobiet, przejawami okrucieństwa wobec ludzi i zwierząt; tym wszystkim, co w Indiach uważa się za grzechy, które popełniają czy tolerują tylko Hindusi. Mógł winić rodziców o to, że zmusili go do przedwczesnego małżeństwa, w rezultacie obniżającego jego loty, nie z winy rodziców jednak odczuwał przerażenie i nie z winy rodziców wciąż się przekonywał, że wśród Anglików, chociaż czuje się z nimi dobrze, jest cudzoziemcem. Niezmiennie okazywali mu życzliwość, nawet szacunek, ale zawsze z rezerwą — z rezerwą taką, jaka idzie w parze z najpoprawniejszym sposobem bycia i dlatego onieśmiela. Zaczynał nawet tęsknić do chaosu życia w Indiach. Odkrył sekret „angielskości” Anglików: żeby ją osiągnąć, trzeba wśród Anglików dorastać. Dla niego już na to za późno. Ale nie będzie za późno dla jego syna. Nigdy nie myślał o swoich przyszłych spadkobiercach w liczbie mnogiej. Jeden syn wystarczy. Jeden syn odniesie sukces tam, gdzie jemu się nie powiodło, byleby miał atuty, jakimi on, Dalip, nigdy nie dysponował. Sęk był w tym, zdaniem Dalipa, że Indie wycisnęły na nim piętno, którego żadne następne przeżycia nie zatarły. Pod cienką warstewką zeuropeizowania uwydatniała się indyjskość, tylko pogłębiona i utrwalona nakazanym ożenkiem.

— A dla Hindusa indyjskiego — powiedział Dalip Hariemu — w świecie indyjsko-angielskim nie ma żadnej przyszłości.

Jednej rzeczy był pewny: Anglicy wbrew wszelkim swoim oświadczeniom będą się trzymać Imperium dłużej, znacznie dłużej, niż on będzie żył, *może* nawet dłużej, niż będzie żył Hari. Jeśli w ogóle rozważał możliwość odejścia Anglików, czynił to w przekonaniu, że Anglicy czekają na pojawienie się młodych Hindusów, jak oni sami, o ile nie bardziej, angielskich Hindusów, którym będą mogli przekazać ster władzy nie powodując tym większego wstrząsu niż przedsiębiorca, gdy swoją firmę, powstałą z niczego, prowadzoną przez lata tłuste i chude, powierza przybranemu synowi.

Niepodległość Indii wydawała się Dalipowi prostą sprawą nie tyle polityki, co ewolucji, ponieważ na polityce wcale się nie znał. Wierzył w umysłową wyższość Anglików. Przecież widać, że oni nie siłą oręża panują nad swoim Imperium. Panują uzbrojeni w inteligencję, przy której cały arsenał inteligencji Hindusów wygląda prymitywnie. Przykładem dla Dalipa był ów naczelnik podokręgu, bladokóry chłopak na werandzie bungalowu. Temu chłopcu nikt by nigdy nie kazał poślubić szesnastolatki. Ten chłopiec nie przywiązywał zasadniczej wagi do zagadnienia, czy zjeździe ze świata jako ojciec synów, czy córek, czy bezpotomnie. I w żadnym razie nie dałby się oderwać od pełnienia swojej powinności, od osiągania swoich celów, w żadnym razie nie uległby przemożnej żądzy na widok dziewczyny we-’ pchniętej do jego sypialni przez jego rodzoną matkę. Natomiast on, Dalip, ledwie zobaczył młodą żonę bez zasłony, impulsywnie odrzucił duchy dyscypliny, nauki, celibatu, posiadał Kamalę, wkroczył w drugą fazę życia, pod opieką duchów zupełnie innych.

— Fakt, że zakochałem się w twojej matce — powiedział Hariemu — świadczy o czymś, co samo przez się oznacza wiele. Świadczy o mojej indyjskości. Sprawa

197

nie kończyła się na tym, że młody mężczyzna skorzystał ze sposobności, żeby znaleźć zaspokojenie seksualne w takim sensie, w jakim wy to rozumiecie. Któryż zresztą młody mężczyzna zdołałby wtedy zapanować nad sobą? Zdejmujesz z twarzy dziewczyny zasłonę, nie jesteś rozczarowany, wiesz, że ta piękność, stojąca przed tobą tak potulnie, należy do ciebie, wiesz, że możesz z nią zrobić wszystko, co zechcesz... Nie, to nie było takie proste. W tamtej chwili, rozumiesz, zgodnie z zasadami hinduizmu wkroczyłem w drugą fazę życia. Stałem się mężem, głową rodziny. Serce mi już weszło pragnieniem dobra dla moich dzieci, moich synów i córek, jeszcze nie narodzonych. Rozumiesz to? Wyobrazasz to sobie? Ten silny prąd psychiczny porywający cię z twojej drogi. No cóż... Tak-, naturalnie, zaznałem rozkoszy. Ale rozkosz dała szczęście i spełnienie tylko mojemu ciału i krwi. Z pewnością nie powinien był po niej nastąpić jeszcze jeden długi okres celibatu, studiów. Już nie byłem studentem, byłem mężczyzną, miałem męskie obowiązki, męskie źródła uszczęśliwienia — nie chłopięce, nie studenckie. A przecież w oczach świata tam na Zachodzie pozostawałem studentem. „Budowałem życie na kłamstwie”, jest takie angielskie mieszczańskie powiedzenie, prawda?

W ten sposób Dalip Kumar usprawiedliwiał swoje fiasko, jeśli rzeczywiście to było fiasko, ale dręczył się, bo ani ojciec, ani matka nie czynili mu wyrzutów. Może czyniła mu wyrzuty jego żona, Kamala, która też wkroczyła w drugą fazę życia. Mąż pozbawił ją dziewictwa, posiadał, a potem opuścił. Zostało jej tylko wspomnienie niezwyklej, bolesnej przemiany z *dziecku w kobietą*. Część roku spędzała u swoich rodziców, część u rodziców Dalipa, a gdy wrócił, powitała go z pokorą, ale dość kwaśno, żeby to odczuł i uznał, że — sprawiedliwie rzecz oceniając — pokierował sobą, jak tylko mógł najgorzej. Ostatecznie nie przywiózł garnka pełnego złota ani szat książęcych, żadnych środków, by wyzwolić ją spod tyranii matriarchalnego domostwa, na co ona, godząc się z jego pobytym w Anglii, prawdopodobnie liczyła. Chociaż wątpliwe, czy miała należyte pojęcie o ambitnych planach, z jakimi łączył się jego wyjazd, na pewno rozumiała niepowodzenie, z jakim łączył się jego powrót.

— Wyjechałem — opowiadał Dalip — jako mąż hinduista, który wzbudza lęk, ale jest uwielbiany. Wróciłem jako półczłowiek... nieczysty według tradycyjnych kryteriów hinduizmu i obyczaju, bo przepłynąłem przez czarną wodę. Przepłynąłem jednak bez żadnych widocznych korzyści dla siebie. Namówiono mnie, żebym się oczyścił spożyciem pięciu produktów krowy, ¹ w tym moczu i łajna, oczywiście nie mięsa.

W Anglii Dalip nigdy nikomu nie mówił, że jest żonaty. Wstydił się. Przez pierwszy miesiąc z obawą oczekiwał wiadomości, że Kamala zaszła w ciążę. Doznał takiegoż rozczarowania, jak ulgi. Nie zniósłby rozprasającej myśli o tym, że ma zostać ojcem, a przecież, gdy się dowiedział, że mu to nie grozi, radość człowieka wolnego od brzemienia maciły refleksje na temat własnej męskości. Niecierpliwie

¹ Mieszanka mleka, jogurtu, masła, moczu i krowich odchodów ma wg Hindusów niewzłke własności Iccznicze,

198

czekał na listy, ale gdy je dostawał, sprawiały mu zawód, nawet doprowadzały go do rozpacz. Ojciec pisał w hindi, angielski adres na kopercie gryzmołił drukowanymi literami, jak dziecko w przedszkolu. Ceremonialnie, po ojcowsku przekazywane synowi wiadomości przeplatał morałami. Nieliczne listy Kamali, dziecinnie naiwne, stanowiły wyraźnie rezultat długich godzin nauki i trudu. Pisząc do niej, Dalip zawsze pamiętał, że żona nie potrafi przeczytać jego listów sama. Przyjemność sprawiała mu tylko korespondencja z Salini.

Gdy wrócił, nadal bez kwalifikacji choćby do wykonywania niechcianego zawodu, i znów stał się mężem, zaczął uczyć żonę czytać i pisać. Poddała się temu niechętnie. Nie chciała umieć nic ponad to, co już umiała. Uważała, że to strata czasu, zniewaga dla niej, mężatki. Szwagierki śmiały się i kpiły, ilekroć widziały ją nad książką.

— Tylko dlatego, że Salini jest mądrzejsza niż ty, robisz z siebie jeszcze większą idiotkę — powiedział jej, gdy udawała, że nie pamięta, czego się uczyła poprzedniego dnia.

Stary, bezplanowo rozbudowany dwór Kumarów był gniazdem bezczynności. Kobiety kłóciły się ze sobą, matka przekrzykiwała je władcym głosem, ale to przynosiło tylko chwilowy ponury rozejm. Ojciec całymi godzinami samotnie oddawał się medytacjom. Bracia próżnowali od rana do wieczora, interesowały ich tylko walki kogutów i hazard. Na jakiś czas Dalip popadł w podobny stan bezwładu. Nie musiał nawel kiwać palcem. Nie potrzebował pracować. Bawił się z Salini, teraz prawie dwunastoletnią. Czekamy — myślał — żeby ojciec umarł. Wtedy będziemy mogli spierać się o spadek. Spory będą się ciągnęły przez kilka lat, potem moi bratankowie i bratanice podrosną, dojrzeją do małżeństwa i te pieniądze, odkładane tak pieczołowicie, popłyną jak woda. Ziemię zacznie się sprzedawać i rozdzielać, sprawdzi się moja przepowiednia.

Igrał z myślą o dalszej nauce w Indiach, a później z mglistym projektem zgłoszenia się do nienomenklaturowej prowincjalnej służby administracyjnej. Zastanawiał się, czy nie wyjechać z żoną, nie założyć własnego domu, ale żał by mu było zostawić Salini. Rodzice nie chcieli jej posyłać do szkoły. Próbował sprowadzić dla niej kogoś z Misji Lenana, organizacji kierującej prywatnych nauczycieli do kobiet i dziewcząt w prawowiernych domach hinduskich, nic jednak z tego nie wyszło, gdy okazało się, że lekcje ma pobierać tylko jedna mała dziewczynka. Wykształcenie Salini — jak pojął — miało co najmniej przez najbliższe dwa lata zależeć wyłącznie od niego. A teraz. Kamala spodziewała się dziecka, zaczął więc planować już tylko przyszłość dla swojego syna, jakkolwiek przeprowadzenie tych planów chwilami wydawało mu się niemożliwością. Nie wyobrażał sobie, żeby Kamala dała się namówić do podróży za czarną wodę. Nie wyobrażał sobie Kamali w Anglii. Zresztą wiedział, że tam by się jej wstydił. W Anglii ona byłaby pośmiewiskiem. Tutaj pośmiewiskiem jest on. Problem nie do rozwiązania. Czyż jego syn ma dorastać z takimi samymi obciążeniami, jakie jemu utrudniają życie?

Dalip mógł żywić pretensję do siebie o to, że poślubił taką właśnie dziewczynę. Mógł też żywić pretensję do rodziców, którzy go zmusili do poślubienia właśnie jej.

199

I do Indii, i do tradycji hinduizmu. Łatwiej mu jednak było żywić pretensję do samej Kamali, wrzaskliwej teraz i wymagającej. Kłócili się 'często. Już nie był w niej zakochany. Tyle że od czasu do czasu budziła w nim litość.

Ich pierwsze dziecko, córka, umarło na drugi dzień po urodzeniu. W dwanaście miesięcy później, w roku 1914, pierwszym roku wojny Anglii z Niemcami, urodziła się następna córka. Ta żyła rok. Trzecie dziecko, też córka, urodziło się w roku 1916, martwe. Wydawało się, że biedna Kamala nie może wydać na świat zdrowego dziecka, a cóż dopiero syna. Bezdziatni, tym bardziej kłócili się zawzięcie. Kamala wiedziała, że jej obowiązkiem jest urodzić silnego chłopca, i postanowiła to sobie za wszelką cenę.

— Ale jak mogę sama spełnić ten obowiązek? — zapytała kiedyś. — To ty jesteś winny. Te wszystkie lata ślęczenia nad książkami osłabiły twoją męskość.

Wściekły opuścił dom. Wziął trochę pieniędzy, postanawiając nigdy nie wrócić. Myślał o tym, by wstąpić do wojska, ale przypomniał sobie o Salini. Więc gdy wydał wszystkie pieniądze, wrócił. Bez grosza i w niełasce. W ciągu tego miesiąca jego nieobecności w domu rodzice zaręczyli Salini z niejakim Prakašem Gupta Senem. Rodzina Gupta Sen była spowinowacana z gałęzią rodu Kumarów w Lakhnau.

Salini nie uskarżała się Dalipowi na to, że ją zaręczono, tylko biadała, że jego nie było przy dopełnianiu tych uroczystych formalności.

— Dlaczego tak długo nie wracałeś, Dalipdzi? — pytała. — Gdybyś był tutaj, mógłbyś pojechać z ojcem i braćmi do Majapuru. A gdybyś tam pojechał, powie działał mi szczerze, jak wygląda ten chłopiec Prakaś. Oni mówią, że jest inteligentny i urodziwy. Dlaczego nie mogę wiedzieć, co ty byś o nim myślał? Tobie bym uwierzyła.

— Tylko o to potrafisz pytać? Tylko to jest dla ciebie ważne? Jego wygląd?

Ale Salini była już kobietą.

— A cóż innego może być ważne, Dalipdzi? Zresztą ukończyłam piętnaście lat. Nie można być wiecznie dzieckiem.

Ślub Salini odbył się w niecały rok potem — w roku 1917. Znow do domu zjechali goście. Dalip ze zdumieniem patrzył, z jakim spokojem Salini akceptuje swoją sytuację, a nawet rozkwita w ciepłe konwencjonalnych pochlebstw, których nie szczędzono pannie młodej. Przeraził się, gdy zobaczył młodego Prakaša Gupta Sena. Był to grubas, próżny, nadęty, sprośny. W ciągu kilku lat to wrażenie miało się potwierdzić. Dalip unikał Salini. Odwaga mnie opuściła — rozmyślał. — Dlaczego nie robię awantury? Dlaczego dopuszczam do zawarcia tego strasznego małżeństwa? Znał na to odpowiedź.

Dlatego, że nie ma dla mnie przyszłości. Dałem się pokonać. Jestem tylko w połowie zeuropeizowany. Silniejsza połowa mojej natury pozostaje hinduska. Trochę więc pociesza mnie to, że nie ma przyszłości również dla innych.

W noc zaślubin Salini znow spał z żoną. Kamala płakała. Oboje płakali. I przy rzekli sobie nawzajem przebaczać, okazywać serce i wyrozumiałość. W poranek obrzędowego wyprawiania Salini do domu męża patrzył na siostrę z bramy. Wsiadła do palankinu.

200

Wtedy wreszcie zrozumiał. Zrozumiał, że ucząc ją myśleć samodzielnie, *roq*-szerząc swoje horyzonty, dawał jej też lekcję, której sam nigdy się nie nauczył - lekcję o wartości odwagi, zarówno cywilnej, jak fizycznej.

Potem widział się z Salini już tylko dwa razy: raz, gdy w myśl obyczaju przyjechała z mężem na tydzień do rodzicielskiego domu, i drugi raz, w pięć lat później, gdy przed samym swoim wyjazdem do Anglii z dwuletnim synkiem Harim odwiedził ją w święto rakhi-bandhan. Przywiózł jej w prezencie sari, a dostał od niej bransoletę z sierści słonia — bo rakhi-bandhan jest świętem rodzeństwa; bracia i siostry umacniają łączące ich więzi, przysięgają, że będą się kochać i zawsze chętnie sobie pomagać. Jego żona Kamala nie żyła już od dwóch lat, a biedna Salini nadal nie miała dziecka. Mąż Salini, jak Dalipowi było wiadomo, spędzał mnóstwo czasu u prostytutki. Zmarł po kilku latach na atak apopleksji w domu swojej faworyty.

Pomyśl tylko — pisała wtedy Salini do Dalipa — siostry Prakaša napomykały, że powinnam spalić się na stosie pogrzebowym mojego męża, żeby go uczcić, takiego człowieka, i zyskać zasługę dla siebie.

Dalip odpisał jej z Sidcot:

Wyjedź z Majapuru. Zamieszkaj u nas, w Anglii.

Nie — odpisała. — Obowiązek zatrzymuje mnie tutaj. Czuję, Dalipdzi, że już nigdy się nie zobaczymy. Czy ty też to czujesz? My, Hindusi, jesteśmy wielkimi fatalistami! Dziękuję za książki, które mi przysłałeś. To moja największa przyjemność. A także za fotografię Hariego. Ładny z niego chłopaczek! Często myślę o nim, o tym moim bratanku, Angliku. Może kiedyś go poznam, jeśli przyjedzie do Indii i zdobędzie się na to, by odwiedzić starą ciotkę, Hinduskę. Wyobraź sobie, już bezpowrotnie ukończyłam trzydzieści lat! Dalipdzi, tak, się cieszę, że jesteś szczęśliwy. Na tej fotografii Hariego widzę znow mojego dobrego brata, na którego kolanach tak często siedziałam. No, ale dość tej głupiej pisaniny.

To wszystko Dalip w końcu opowiedział Hariemu. Po śmierci ojca Hari w ciągu ostatnich tygodni swego angielskiego chłopięctwa opowiedział to z kolei Colinowi Lindseyowi. Uważał, że te opowieści nie mają żadnego związku z jego własnym życiem — nawet wtedy gdy dostał bilet na statek do Indii, bilet, za który zapłaciła ciotka mająca takie dziwne imię: Salini.

Była jeszcze jedna opowieść. Tę także powtórzył Colinowi. Wydawała się niewiarygodna. Nie dlatego, żeby nie wierzyli, że takie rzeczy się zdarzają. Po prostu nie wyobrażali sobie, jak coś takiego mogło się stać w rodzinie Harry'ego Coomera.

Otóż w dwa tygodnie po obrzędowych odwiedzinach Salini z. mężem u rodziców i w tydzień po jej ostatecznym wyjeździe do Majapuru ojciec oznajmił, że zamierza

201

uwolnić się od wszystkich dóbr doczesnych, odejść od rodziny i obowiązków i powędrować przed siebie jako sannjasin.

— Spełniłem swoją powinność — powiedział. — Trzeba uznać, że to już skończone. Trzeba odejść, żeby się nie stać ciężarem. Teraz mam do spełnienia powinność wobec Boga.

Był to wstrząs dla rodziny. Postanowienie ojca okazało się niezłomne, na próżno Dalip usiłował mu je wyperswadować.

- Więc kiedy ojciec odejdzie? — zapytał w końcu.
- Za sześć miesięcy. Tyle czasu mi zabierze uporządkowanie moich spraw. Dziedzictwo podzielę równo pomiędzy was czterech. Dom przypadnie waszemu najstarszemu bratu. Matka może tu mieszkać, dopóki zechce, ale głową tego domu będzie wasz najstarszy brat ze swoją żoną. Wszystko ma być tak załatwione, jak gdybym umarł.

Dalip wykrzyknął:

- Ojciec uważa, że to dobrze? Ojciec uważa, że to świątobliwie? Odejść od naszej matki? Pogrzebać się w nicości za życia? Żebrać o kawałek chleba, kiedy się jest dość bogatym, żeby utrzymywać stu głodujących żebraków?

- Dość bogatym — powtórzył ojciec. — A cóż to znaczy: bogaty? Dzisiaj mam bogactwa. Jednym skrobnięciem pióra na dokumencie mogę pozbyć się tego, co ty nazywasz moimi bogactwami. Ale jakie skrobnięcie pióra, jaki dokument uwolni mnie od ciężaru jeszcze jednego życia po tym życiu? Na takie uwolnienie można tylko mieć nadzieję, można tylko się postarać zasłużyć na nie, zrzucając z siebie więzy ziemskie!

- No cóż — powiedział Dalip. — Tak! Pięknie! Czy wobec tego ojciec wstydziłby się teraz, gdyby syn ojca był małym bara sahibem? Czy teraz sprawiłoby ojcu różnicę, kim ja jestem i co robię? Po co ustąpiłem? Po co ojca usłuchałem? Po to, żeby zobaczyć, jak ojciec zbywa mnie wzruszeniem ramion i odchodzi ode mnie, od moich braci, od naszej matki?

- Dopóki jest powinność, musi być posłuszeństwo. Swoją powinność wobec, ciebie już spełniłem. Twoje posłuszeństwo wobec mnie już nie jest konieczne. Masz teraz inne zobowiązania. A ja mam nadal powinność, tylko że innego rodzaju.

- To potworne! — wykrzyknął Dalip. — Potworne! Okrutne! Samolubne! Ojciec zmarnował mi życie! Poświęciłem się daremnie.

Jak już się przekonał, łatwiej jest winić innych niż samego siebie, ale miał sobie za złe ten wybuch. Rozpamiętywał go i było mu bardzo przykro. Usiłował porozmawiać o tym z malką, ona jednak wykonywała swe codzienne obowiązki milcząca i niedostępna. Gdy chwila odejścia ojca się zbliżała, poszedł do niego i poprosił o przebaczenie.

— Zawsze byłeś moim ukochanym synem — wyznał stary Kumar. — To grzech okazywać więcej serca jednemu niż wszystkim pozostałym. Lepiej byłoby, żebyś do niczego nie chciał dążyć. Lepiej byłoby, żebyś nie różnił się od swoich braci. Musiałem zaznaczyć ojcowską władzę właśnie wobec ciebie, jedyne go syna, który chyba zawsze chciał się jej przeciwstawiać. I wstyd mi było, że nie kocham wszystkich

202

moich dzieci jednakowo. Nie wiem, może w sprawowaniu ojcowskiej władzy przekroczyłem granice rozsądku. Ojciec nie prosi syna o przebaczenie. Może go tylko pobłogosławić i właśnie jemu powierzyć opiekę nad tą złą kobietą, waszą matką.

- Nie! — zaprotestował Dalip z płaczem. — To nie jest moja powinność. To powinność najstarszego syna. Niech mnie ojciec tym nie obarcza.

- Brzemie spadnie na serce najbardziej przygotowane do dźwigania — powiedział stary Kumar. Ukląkł i dotknął stóp swego najmłodszego, żeby się ukorzyć.

Najwyraźniej nawet samym aktem przejścia w stan sannjasina postanowił zadać srogi cios swojej dumie. Nie poddał się żadnym obrzędom. Nie włożył długiej szaty. Ukazał się rano na dziedzińcu, przyodziany tylko w opaskę na biodrach, jak żebrak, z kijem i miseczką żebraczą. Żona wyspała mu do miseczki garść ryżu. Twarz miała kamienną. Wyszedł bramą z dziedzińca na drogę i opuścił wioskę.

Dosyć długo szli w pewnej odległości za nim. Nie obejrzał się ani razu. Po jakimś czasie Dalip i jego bracia zatrzymali się, ale matka szła dalej. Patrzyli bez słowa, czekali, aż w końcu usiadła przy drodze. Siedziała tam, dopóki Dalip nie poszedł i nie nakłonił jej, żeby wstała. Podtrzymując ją poprowadził z powrotem do domu.

— Nie powinniście się smuć — powiedziała mu później, gdy już leżała na łóżku w zaciemnionym pokoju, z którego kazała usunąć wszystkie sprzęty, wszystkie rzeczy zbyteczne i służące wygodzie. — Taka jest wola Boga.

Odtąd matka prowadziła życie wdowy. Przekazała domowe klucze najstarszej synowej i przeniosła się do pokoju na tyłach domu, z widokiem na kwatery służby. Sama sobie gotowała, spożywała posiłki w samotności. Nigdy nie wychodziła poza ogrodzenie. Z czasem synowie i ich żony pogodzili się z tą sytuacją. Takim postępowaniem, orzekli, matka zyskuje zasługę. I chyba chętnie o niej zapomnieli. Tylko Dalip codziennie przychodził do jej pokoju, siedział i patrzył, jak ona przędzie khadi. Mówił jedynie to, co nie wymagało odpowiedzi, albo zadawał proste pytania, na które mogła odpowiadać ruchem głowy.

V* ten sposób przekazywał matce wiadomości: o tym, że wojna Anglii z Niemcami się skończyła, i o sprawach handlowych, którymi zaczął się interesować, o ciąży swojej żony Kamali, o narodzinach jeszcze jednej martwej córeczki. Kiedyś powtórzył jej pogłoskę o ojcu: jeden z Kurnarów z Lakhnau przejeżdżając przez Bihar widział ojca z miseczką żebraczą na peronie jakiejś stacji kolejowej. Matka słuchając tego nie przestawała prąść. W roku 1919 opowiedział jej o zamieszkach w Pendźabie, ale nawet nie wspominał o masakrze w Amritsarze, dokonanej na bezbronnej hinduskiej ludności cywilnej przez oddziały Gurkhów pod dowództwem brytyjskim. W tymże samym roku oznajmił, że Kamala znów jest w ciąży, a w roku 1920 — w kilka tygodni po święcie holi — że urodziła mu syna. Staruszka miała teraz zwyczaj mamrotać coś nad kołowrotkiem. Nie był pewny, czy w ogóle dotarły do niej jego słowa. Nie spojrzała na niego, gdy mówił jej o Harim ani gdy w dwa dni później powiedział, że ma silnego, zdrowego syna, ale już nie ma żony. Nie spoj-

20.1

rzała na niego i wtedy, gdy parsknął śmiechem. Śmiał się, bo nie potrafił płakać ani nad Kamalą, ani nad swoim synem, ani nad ojcem, ani nad starą, obłąkaną matką.

— Udało jej się, mama rozumie! — wrzasnął histerycznie po angielsku. — Znała swoją powinność. O Boże, tak! I w końcu ją spełniła. Nieważne, że przyplaciła to życiem. Każdy zna swoją powinność, prawda? Ja też znam moją. Wreszcie mam syna i powinność wobec niego, ale mam także mamę i powinność wobec mamy nałożoną na mnie przez ojca.

Pełnienie tej powinności zabrało mu jeszcze półtora roku. Pewnego dnia rano wchodząc do pokoju matki nie zobaczył staruszki przy kołowrotku; leżała w łóżku. Na dźwięk jego głosu otworzyła oczy.

• Wasz ojciec nie żyje, Dalipdźi — wykrztusiła z trudem po tak długim milczeniu. — Widziałam to we śnie. Czy stos już jest?

- Stos, mammo?
- Tak, synu. Trzeba rozpalić ogień.
- Zasnęła.
- Obudziła się wieczorem.
- Synu, czy ogień rozpalony?
- Już wydałem polecenie.
- Obudź mnie, kiedy wszystko będzie gotowe.

Zasnęła znowu i spała aż do rana. Ledwie otworzyła oczy, zapytała:

- Płomienie są wysokie, Dalipdźi?
- Tak, mammo — odpowiedział. — Ogień się pali.

— Więc czas nadszedł — powiedziała. Uśmiechnęła się, zamknęła oczy i do dała:— Ja się nie boję.

Już się nie obudziła.

Matka umarła w październiku 1921 roku. W rok później Dalip sprzedał braciom swoją część majątku, złożył pożegnalną wizytę siostrze, Śalini, i wyruszył z synem do Bombaju, gdzie wsiadł na statek płynący do Anglii. Był wtedy stosunkowo zamożny. W ciągu następnych szesnastu lat udawało mu się od czasu do czasu powiększyć kapitał dzięki szczęśliwemu lokowaniu pieniędzy i pomyślnym transakcjom. Może naprawdę miał to, co kiedyś nazwał fatalną indyjską skazą, chociaż jeśli ją miał, to bynajmniej nie wynikała z niej ugodowość. Wprawdzie za młodu był ustepliwy, ale już na początku wieku męskiego spełniał swoje obowiązki nie idąc na żadne kompromisy. Ową skazę można by raczej wykryć w jego żarliwości. Albo ta jego żarliwość zawsze zawierała jakieś pierwiastki nieczyste, albo owe nieczyste pierwiastki dołączyły się dopiero później wraz z poczuciem osobistej klęski, poczuciem, które na ogół działa zniechęcająco, a przeciw jego, Dalipa Kumara, pobudziło do działania. W rezultacie podsycona żarliwość sama zaczęła rządzić jego myślami i postępowaniem, koncentrując je wokół Hariego.

204

Patrząc w tamtych czasach na postać i życie Dalipa Kumara — czy też Coomera, jak nazywał się później — ktoś postronny pewnie by widział człowieka, którego środowisko i interesy, czy to rozpatrywane z osobna, czy też jako całość, nie mają żadnego sensu. Bo sens nadawał im jedynie Hari: zdrowie Hariego, zadowolenie Hariego.

przyszłość Hariego, władza dla Hariego w świecie, gdzie normalnie tacy chłopcy jak Hari nie mogli się spodziewać żadnej władzy. To były kreski na linijce, jaką Dalip odmierzał swoje sukcesy i niepowodzenia; to było to, co uważał za ostateczny wynik każdego swego przedsięwzięcia.

Gdy ojciec Colina Lindscya w myśl danej Hariemu obietnicy przyjechał do kancelarii adwokackiej i usiłował coś zrozumieć z niedorzecznego na pozór oświadczenia, że Dalip Kumar zmarł jako bankrut, starszy z adwokatów powiedział:

— W Indiach Coomer pewnie zbiłby fortunę i zachowałby ją. Mówił mi kiedyś, że za młodu chciał zostać urzędnikiem państwowym albo adwokatem i że wtedy wcale nie myślał o robieniu interesów. Dziwne to, ale rzeczywiście miał smykałkę do obracania pieniędzmi. Powtarzam, smykałkę w europejskim tego słowa znaczeniu. To była w gruncie rzeczy jego cecha najbardziej angielska. W swoim kraju zakasowałby każdego przeciętnego finansistę. I tak też przystępował, powiedział bym, do każdego swego przedsięwzięcia, cóż, kiedy zaraz je ograniczał do jak najszybszego zrobienia pieniędzy dla tego swojego syna... żeby ten syn mógł być czymś, czym on stać się nie zdołał. Wielka szkoda! W ciągu ostatnich paru lat, kiedy szło mu coraz gorzej, ostrzegałem go, starałem się go odwieść od niejednej głupiej spekulacji. Chyba to właśnie wtedy... no, ostatecznie bierze górę pochodzenie, wychowanie, takie rzeczy... On się zląkł. W końcu stracił głowę, sądząc z bałaganu, jaki po sobie zostawił. Oczywiście nie mógł temu sprostać. Myślę, że popełnił samo bójstwo nie z powodu następstw, jakie przewidywał, tylko dlatego, że wiedział, co te następstwa oznaczałyby dla jego syna. Inaczej mówiąc, powrót do ojczyzny, do Indii, z ogonem podkulonym. Bo Coomer, wie pan, mógłby mieć poważne kłopoty. Nie mówiłem o tym jego synowi. Prawdopodobnie lepiej będzie, jeżeli chłopiec o tym się nie dowie. Ale jest coś w tej sprawie, co, jak twierdzą w banku, wygląda na czyste fałszerstwo.

Pan Lindsey był zgorzsony.

Adwokat, widząc wyraz jego twarzy, powiedział:

- Może pan Bogu dziękować za to, że nie wpakował pan pieniędzy w żaden z interesów Coomera.
- Nigdy nie miałem pieniędzy na takie inwestycje — pospieszył Lindsey z odpowiedzią. — W istocie prawie go nie znałem. Żal nam było tego chłopca. Po prostu. Jestem doprawdy zaskoczony tym, że ojciec tak bardzo dbał o niego. Zawsze myśleliśmy, że wcale się nim nie zajmuje. Jesteśmy rodziną o dosyć chyba miękkich sercach. Nie wyłączałem mojego syna. Colin zaprosił Harry'ego na wakacje kilka lat temu, kiedy się dowiedział, że Harry ma je spędzić w domu samotnie. I tak już pozostało: zapraszaliśmy go zawsze od tamtej pory.

Adwokat wyjaśnił:

— Pan rozumie, panie Lindsey, Coomer specjalnie trzymał się od Harry'ego

205

z daleka, poświęcał się dla jego dobra. Nie twierdzę, że z rozmysłem starał się sprawiać wrażenie niedbałego ojca po to, by zapraszano Harry'ego do angielskich domów, po to, by chłopiec dorastał w środowisku Anglików. Po prostu schodził Harry'emu z drogi, bo wiedział, że Harry, jeżeli wyrośnie na takiego, jakim on go chce widzieć, będzie się wstydził ojca. Na przykład kwestia akcentu Coomera. Ja uważałem, że Coomer ma niezły akcent, ale oczywiście był to akcent indyjski. Coomer nie chciał, żeby Harry uczył się czegokolwiek od niego. Sam mi to powiedział. Powiedział, że wyczekuje dnia, w którym zobaczy, że Harry nie lubi przebywać w jego towarzystwie. Byłoby mu przykro, gdyby chłopiec, wstydzając się go, czuł się zobowiązany to ukrywać. Coomer pragnął, żeby Harry odebrał najlepsze angielskie wykształcenie, najlepsze angielskie wychowanie, jakie da się kupić za pieniądze.

I nie tylko za pieniądze, pomyślał Lindsey. Ziarno zawziętości już zostało posiane. I chyba właśnie to przeważało nad jego wątpliwościami, jeśli w ogóle wątpli, czy słusznie otrluczył propozycję swego syna, Colina — zaczerpniętą doprawdy prosto z powiastek dla młodzieży — żeby Harry, o ile można to załatwić, zamieszkał u nich na stałe. Właśnie to zadecydowało w jeszcze większym stopniu niż zgorszenie, jakie w nim, człowieku z dobrego domu, wywołała wiadomość, że ojciec Harry'ego Coomera podrobił podpis — właśnie to, że samotność Harry'ego Coomera była skutkiem nie zaniedbania, tylko rozmyślnej taktyki, mającej specjalny, niezbyt uczciwy cel: umożliwienie młodemu Hindusowi, pozornie zdanemu tylko na siebie, wstępu do społeczności niedostępnej dla jego ojca.

Teraz Lindsey przypomniał sobie — czy też raczej pozwolił sobie wyciągnąć z zakamarków świadomości — uwagi wypowiedane przez znajomych, których rozeznaniu ułał zawsze z wyjątkiem chwil, gdy nie zgadzali się z jego poglądami liberalnymi (niezbyt pewnymi przy jego wrodzonym silnym instynkcie klanowym). Nie pamiętał owych uwag dosłownie, ale na pewno wiedział, jaką myśl zawierały: otóż dopóki trzyma się Indie pod okupacją, można w wiciu przypadkach liczyć na współpracę krajowców. Prawdziwy Hindus, najbardziej godny zaufania, to twój służący, który pracuje na swój chleb w twoim domu. Zaraz po nim idzie indyjski wieśniak, człowiek prosty, pełen nienawiści do własnych rodaków, krwiopiczów, daleki od wnikania w politykę, interesujący się tylko, jak przystało na rozsądnego chłopca, pogodą i plonami, respektujący bezstronność, rzetelny przedstawiciel większości tego narodu prostaczków, skądinąd zepsutego wskutek zbyt bliskich kontaktów z wyrafinowaniem współczesnego Zachodu. Natomiast zgoła niegodny zaufania — mówili ci znajomi (do licha, oni się orientują, skoro albo sami

tam byli, albo mają tam krewnych) —jest Hindus zeuropeizowany, bo to już w gruncie rzeczy wcale nie Hindus. Jedyne wyjątki od tej reguły można znaleźć wśród maharadzów i innych magnatów urodzonych w sferach kosmopolitycznych, wśród ludzi, którzy sprawują i nadal chcą sprawować władzę, a więc którym zależy na utrzymaniu dawnego społecznego *status quo*.

Był czas, gdy jego syn Colin myślał, że ojciec Harry'ego jest radzą czy też maharadzą, czy co najmniej bogatym ziemianinem z rodzaju tych wielkich ziemian na

206

drugim miejscu po maharadzach. Z biegiem lat to wrażenie uległo stopniowo sprostowaniu (nie bez pomocy tychże znajomych, przypuszczających, że ojciec Harry'ego jest synem jakiegoś pomniejszego zamindara, chociaż co to takiego zamindar, na Boga, Lindsey nie wiedział), Ale czy po sprostowaniu wrażenie stało się bliższe prawdy? Czyż ta cała sprawa nie była oszustwem? Lindsey zrywał się na myśl o tym. Niestety, zrywał się dopiero teraz; tak długo razem z synem dawał się nabierać, wciągać za nos w niesmaczną aferę tylko dlatego, że obaj są zanadto ufni, zawsze wierzą w szlachetność, w to, co w ludziach najlepsze, nie przyjmując do wiadomości tego, co w ludziach jest najgorsze. Nie trzeba było lekceważyć ostrzeżeń tych, którzy patrzyli, jak oni hołubią Harry'ego Coomera, i nieraz mieli miny mówiące aż nazbyt dobitnie, że to może źle się skończyć.

W czasie kolacji owego dnia wieczorem, Lindsey, przysłuchując się rozmowie swego przystojnego jasnowłosego syna z tym bardzo śniadym, czarnowłosym Harrym, zdumiony przyłapał się na spostrzeżeniu: Ależ to nadzwyczajne! Kiedy się ich słucha z zamkniętymi oczami, w ogóle nie ma żadnej różnicy. I wydaje się w dodatku, że oni rozmawiają na tej samej długości fali.

Tylko że Lindsey już nie zamykał oczu. Po kolacji odwołał Harry'ego na bok i powiedział:

— Przykro mi, mój drogi. Nic nie mogę zrobić. Ci adwokaci mnie przekonali.

Harry przytaknął. Był wyraźnie rozczarowany. Ale odpowiedział:

— No, w każdym razie bardzo panu dziękuję. To znaczy, dziękuję za stara-
nia. — I uśmiechnął się, chyba czekając, że on jak zwykle położy mu rękę na ramieniu.

W tamten wieczór jednak Lindsey jakoś nie mógł się zdobyć na taki czuły gest.

Najbardziej przypominały mu się sterty liści, mokrych i zimnych pod dotknięciem — liści wczesnym rankiem po nocnym przymrozku w końcu października. Anglia była dla niego mile chłodnym, czystym, cierpkim, orzeźwiającym zapachem powietrza w podmuchach wiatru, który przelatywał nad doliną, omiatając grzbiety wzgórz; była parkiem, pastwiskiem za domem w Sidcot, była spiczastym dachem tego domu, romboidalnymi szybkami w oknach poddasza, oprawionymi w blachę ołowianą, i była życzliwie zdołbiącą mur glicynią.

W środku nocy budził się na sznurkowej pleciance swego wąskiego łóżka w domu numer 12 na Cilijanwala Bagh i trzępieniem zabijał moskity, zatykał rękami uszy, żeby nie słyszeć rechotania żab, urywanego popiskiwania jaszczurek przemykających po ścianach i po suficie. Rankiem jego niespokojne sny pełne wspomnień z ojczyzny, zmieniały się natychmiast w koszmar na jawie. Odrazą napełniało go wszystko, co ofiarowywał mu ten obcy kraj — wrony kraczące za oknem, karaluchy, bursztynowe, ociążałe, ale o łebkach lekkich, z chwiejnymi pierzastymi czułkami, maszerujące z sypialni do przyległej łazienki, gdzie był tylko kran nad wiadrem, miedziany czerpak zamiast prysznicu i pokryty szlamem ściek, którym brudna

207

woda chlustała przez otwór w ścianie na skawalone błoto podwórza. Wszystko to sprawiało, że jego zeuropeizowanie opadało z niego, warstwa po warstwie, i dogasała w nim nadzieja, że to nie jest rzeczywistość, że on tylko wyobraża to sobie od dnia, w którym dostał list od ojca z wezwaniem do Sidcot na rozmowę o przyszłości. O takiej właśnie przyszłości? Do rozmowy nie doszło, może więc i przyszłość jeszcze się nie zaczęła. Ojciec nie przyjechał z Edynburga, umarł tam w pokoju hotelowym.

Czasami po otrzymaniu listu od Colina Hari wpatrywał się w charakter pisma na kopercie, jak gdyby musiał przekonać jakiegoś utajonego ducha, mającego nadzieje jeszcze głębsze niż jego własny duch, że to nie jest list od ojca: „Wróć, wszystko w porządku, zaszła pomyłka.” Wyczekiwał listów z Anglii z utęsknieniem, ale gdy je otrzymywał, gdy rozrywał koperty i czytał je, najpierw szybko, drugi raz już powoli, wydawało mu się, że dzień ciemnieje. Myślał o popełnieniu jakiegoś aktu przemocy bez przyczyny, bez celu poza tym, że miałoby to go przenieść jakimś cudownym sposobem w swojski rodzimy klimat, na swojskie wrzosowisko, między ludzi, których zwyczajnie nie budzą w nim wstętu. W takim nastroju nigdy nie zabierał się do odpisywania Colinowi. Czekał, aż najdotkliwszy ból, wywołany listem, minie, i dopiero po kilku dniach czynił pierwszy wysiłek, żeby odpisać nie ujawniając swego tchórzostwa. Nie wolno się załamywać, to nie uchodzi, to tak bardzo nieangielskie. Wiedział, jakiej skali wartości powinien się trzymać, jeżeli ma przetrwać ten koszmar do samego niewiadomego, ale chyba logicznego końca.

Toteż Colin Lindsey nie mógł się domyślać, jakie ciężkie brzemię dźwiga jego przyjaciel na wygnaniu. W jednym z listów napisał:

Cieszę się, Harry, że najwyraźniej już się zadowoliłeś. Czytam mnóstwo o Indiach, żeby lepiej wczuwać się w

Twoją sytuację. Więc wyobrażam sobie, jak tam byczo. Chciałbym tam być. Czy zakłułeś ostatnio jakąś dobrą świnie? ' Jeśli tak, to nie zostawiaj jej ścierva przed meczetem, bo wyznawcy Proroka dadzą ci bobu. Rada starego znawcy Indii! W zeszłą sobotę wylosowaliśmy mecz z Wardens. Brakowało nam tych Coomerowskich czarów na boisku, wytwornego rozmachu Twojej szlachetnej nogi, Twojego dryblowania z szykiem, a bez nerwów. Dziw pomyśleć, że tam u was krykiet zaczyna się mniej więcej wtedy, gdy nasza buda wchodzi w sezon piłki nożnej. To nie znaczy, że ja zobaczę piłkę nożną w tym roku. Czy już postanowione, co Ty będziesz robił? Ja stanowczo żegnam się z nauką po tym wiosennym kwartale. Tatuś mówi, że wybuli na korepetytora, jeżeli będzie chciał zdawać na uniwersytet, ale już się zdecydowałem usłuchać rady wuja i pójść do londyńskiego biura spółki naftowej, z którą on ma coś do czynienia.

Na to po kilku dniach Hari odpisał:

¹ Do ulubionych rozrywek oficerów brytyjskich * Indiach nileżalo polowanie (la dzikie świnie; świnie kluto oszczepem z konia, w pełnym galopie. Ze względu na wiążące się, z nim niebezpieczeństwo ten rodzaj polowań uważano za szczególnie męski.

208

Zawsze był taki projekt, pamiętasz, że po ukończeniu Chillingborough zacznę wkuwać do egzaminów Indyjskiej Służby Państwowej, zdam je w Londynie, a praktyki nabiorę już w Indiach. Teraz można zdawać te egzaminy także tutaj, ale myślę o czymś innym. Szwagier mojej ciotki ma jakieś przedsiębiorstwo w Majapurze i jak wnoszę, są plany, żebym pracował u niego. Ale najpierw muszę się nauczyć tutejszego języka. Ten przyszywany wuj uważa, że chociaż mój język może mi się u niego przydać, to jednak niewiele będzie ze mnie pożytku, jeżeli nie będę rozumiał ani słowa z tego, co będzie mówiło do mnie dziewięćdziesiąt procent kontrahentów. Ostatnio deszcz tu leje jak z cebra. Kiedy na chwilę przestaje padać, od razu wychodzi słońce i wszystko paruje. Słyszałem, że tak będzie aż do września, a potem zrobi się chłodniej, ale tylko na parę tygodni. Wkrótce po Nowym Roku znów zaczynają się upały, a już w kwietniu i w maju, o ile wiem, człowiek nawet nie może się pocić. Mam kłopoty z żołądkiem i mogę jeść tylko owoce, chociaż rano, kiedy się budzę, myślę o jajkach na bekonie. Proszę Cię, pozdrów ode mnie Twoją Mamę i Ojca i przypomnij o moim istnieniu Conolly'emu i Jarvisowi, no i oczywiście staremu Klopsowi-w-Sosie.

Pewnego dnia, gdy zaklejał podobny list, kusiło go, żeby podrzeć te wypociny i napisać coś zupełnie innego, coś, co by dało Colinowi pojęcie o samopoczuciu człowieka, który ni stąd, ni zowąd zamieszkał po niewłaściwej stronie rzeki w takim mieście jak Majapur. Chętnie by napisał:

Nie ma tutaj ani jednej rzeczy, która nie jest brzydka. Domy, ulice, rzeka, krajobraz, wszystko jest jednakowo brudne i nędzne za sprawą ludzi, którzy tu mieszkają. Jeżeli są wyjątki, to Ty byś je znalazł po tamtej stronie rzeki, w tak zwanej dzielnicy administracyjnej. I może byś ostatecznie przywykł do tego wszystkiego, może nawet zaczęłoby Ci się tu podobać, bo Ty mieszkałbyś w dzielnicy administracyjnej, tam miałbyś swoje schronienie. Ale ja tkwię tutaj, na Čilijanwala Bagh. W dzielnicy, którą oni nazywają nowoczesną. Według ich kryteriów człowiek jest kimś, jeżeli mieszka w którymś z tych dusznych betonowych brzydactw. Cała ta ulica jednak cuchnie ściekami. W moim pokoju — o ile można to nazwać pokojem, bo z zakratowanymi okienkami bez szyb wygląda to raczej jak cela — stoi łóżko (czyli drewniana rama wypleciona sznurkiem), jedno krzesło, stół, który ciotka Salini nakryła upiorną fioletową serwetą haftowaną srebrnymi nićmi, i szafa, zwana almira, z wiecznie zacinającymi się drzwiami. Moje walizy i kufer są zapleśniałe. Pośrodku sufitu wisi wentylator, ale często w nocy przestaje się kręcić i wtedy budzę się z braku powietrza. Ciotka i ja mieszkamy sami. Czwooro naszych służących mieszka w kwaterze służbowej za domem. Nie znają angielskiego. Kiedy siedzę w którymś z pokoi na dole, gapią się na mnie zza drzwi i przez okna, bo jestem tym bratankiem z bilajatu. Ciotka to chyba zacna kobiecina. Nie ma jeszcze czterdziestu lat, ale wygląda na pięćdziesiąt parę. Nie rozumiemy się nawzajem. Ona z pewnością dokłada większych starań niż ja, żebyśmy się jakoś rozumieli. Ale dobrze przynajmniej, że mogę z nią wytrzymać. Wszystkich innych tutaj nie cierpię. Z ich punktu widzenia jestem nieczysty. Splamiło mnie to, że mieszkałem w obcym

209

kraju i przepłynąłem przez zakazaną wodę, więc chcę, żebym dla oczyszczenia pił krowie siuski. Dla oczyszczenia! Widuję, jak mężczyźni i kobiety wypróżniają się publicznie na nieużytkach nad rzeką. Zapach rzeki przenika nocą do mojej sypialni. W łazience jest otwór w rogu podłogi i dwie małe wypukłości w kształcie stóp, żeby było na czym stanąć, zanim się przykucnie. Zawsze się tu roi od much. I są karaluchy. Można się do nich przyzwyczaić, ale tylko za cenę upodlenia w sobie cywilizowanych instynktów. Z początku karaluchy przejmują zgrozą, nawet przerażają. Z początku każde wypróżnienie to męka.

Ten dom jest jednak przystanią spokoju i czystości w porównaniu ze wszystkim, co się widzi wokoło. Mleko dostajemy prosto od krowy. Ciotka Salini gotuje je, dzięki Bogu. Mleczarz przychodzi rano i doi krowę przy słupie telegraficznym przed domem. Do słupa przywiązuje martwe wypchane ciało, które krowa trąca pyskiem. To sprawia, że jest wciąż dojna. Cielaka zagłodził, bo zabierał mleko, żeby je sprzedawać pobożnym hinduistom. Kiedy się o tym dowiedziałem, zacząłem pić herbatę z limonką albo z cytryną, jeżeli ciotce Salini uda się dostać cytryny na bazarze. Ja byłem na bazarze tylko raz.. W moim pierwszym tygodniu pobytu tutaj, pod koniec maja.

Temperatura wynosiła 110° F. Wtedy jeszcze niezupełnie sobie uświadamiałem, co na mnie spadło. Poszedłem z ciotką na bazar, bo chciałem być wobec niej przyzwoity, a jej wyraźnie zależało na tym. Jakie odniosłem wrażenie? Koszmarny sen. Ten trędowaty, na przykład: stał przed bramą bazaru i ludzie jakoś nie zwracali na niego uwagi. Czy był realny? Tak, dostatecznie realny. Nieszczęsnym kikutem ręki omal nie dotknął mojego rękawa. Ciotka Salini wrzuciła do jego miseczki monetę. Dla niej trędowaci to nic nadzwyczajnego. Rzecz na porządku dziennym. Kiedy wrzuciła tę monetę do jego miseczki, przypomniałem sobie historię, którą ojciec mi opowiadał, a ja później opowiedziałem Tobie, i w którą ani Ty, ani ja nie wierzyliśmy. Wiesz, o tym, jak mój dziadek podobno odszedł z domu, zostawił wszystko i powędrował w świat z taką miseczką żebracza, żeby się zasłużyć, stać się cząstką Absolutu. No — czy mój dziadek też skończył jako trędowaty? Czy tylko zyskał możliwość obcowania z Bogiem?

Te wszystkie opowiadania ojca! Wtedy wydawały mi się proste. Trochę romantyczne nawet. Ale żeby w pełni uchwycić ich nastrój, trzeba sobie wyobrazić, że to się działo tutaj albo gdzieś, gdzie warunki są jeszcze bardziej prymitywne. Patrę na ciotkę Salini i usiłuję wyobrazić ją sobie, kiedy była młoda i z takim nakładem kosztów wydano ją za mąż za tego faceta, który później umarł na syfisy czy na coś tam innego. Umarł w burdelu. W każdym razie żałuję, że ojciec mi o tym opowiadał! Nieraz przy stole mimo woli obserwuję ciotkę z obawą, czy nie dotknie czegoś poza samym brzeżkiem półmiska. Biedna ciotka Salini! Wypytuje mnie o Anglię, a na takie pytania po prostu nie sposób odpowiedzieć, bo w kraju nikt przecież nigdy ich nie zadaje.

W kraju. Wciąż jeszcze mi się to wyrывa. Ale czy mój kraj ma być tutaj, Colin? Inaczej mówiąc, czy nie obudzę się jutro w Chillingborough albo w Sidcot, albo w pokoju, który zawsze nazywaliśmy „moim pokojem” w Didbury? Niestety, obudzę się tutaj. I zaraz usłyszę krakanie wron. Obudzę się o siódmej, kiedy już cały dom

210

będzie na nogach co najmniej od godziny. Poczuję z podwórza zapach pitraszenia jakichś paskudztw w ghi. Usłyszę, jak służba krzyczy na siebie. W Indiach wszyscy krzyczą. Do frontowej furki podejdzie z krzykiem jakiś przekupień czy żebrak. Może będzie też przechodził ten skowyczący wniebogłosy. Z początku myślałem, że to wariat, który wy dostał się na wolność. Ale to jest wariat, który nigdy nie był w zamknięciu. Jego obłęd ludzie uważają za dowód, że Bóg osobiście zwrócił na niego uwagę. Wobec tego on jest bardziej święty niż ktokolwiek z tak zwanych zdrowych na umyśle. Może w pojęciu, że on jest święty, kryje się inne pojęcie — to, że w Indiach najrozsądniej być wariatem, wszyscy by więc woleli być wariatami.

Jutro rano chyba wyjdzie słońce. Razi w oczy, kiedy się wygląda przez okno. Nie ma tu żadnego stopniowania światła. Jest tylko ostry oślepiający blask i nagły cień, ilekroć słońce przesłoni chmura. Później zacznie padać deszcz, jeżeli bardzo ulewny, to przynajmniej zagłuszy te wszystkie krzyki. Ale już po chwili takiego bębnienia deszczu można oszaleć. Odkąd tu przyjechałem, palę papierosy. Zawsze jednak są wilgotne. Około godziny jedenastej przychodzi pewien stary facet, Pandit Babu Sahib, jak go nazywają. Rzekomo uczy mnie języka hindi. Ciotka płaci za te lekcje. Pandit ma siwą brodę i brudny turban. Zalatuje od niego czosnkiem. Aż mnie mdli, kiedy poczuję jego oddech. Lekcje są farsą, bo ani w ząb nie rozumiem jego angielszczyzny. Czasami ten Pandit Babu nie przychodzi wcale albo spóźnia się godzinę. Oni nie mają poczucia czasu. Dla mnie lo nadal „oni”.

Pytasz, co będą robił. Nie wiem. Jak dotąd, jestem na lasce szwagrów mojej ciotki. Oczywiście są jeszcze Kumarowie w Iakhnu i jeden brat ciotki Salini, i jego żona w starym domu Kumarów w Zjednoczonych Prowincjach. Ciotka Salini napisała do nich, kiedy dostała wiadomość o śmierci ojca. Ojciec zerwał kontakt z całą rodziną z wyjątkiem ciotki Salini. Swoją ziemię sprzedał braciom, zanim wyemigrował do Anglii. Ten jego brat, który jeszcze żyje, boi się — tak myśli ciotka Salini — że ja mam zamiar wystąpić z roszczeniem do części majątku. Ciotka radzi mi zwrócić się do adwokata, żeby sprawdził, czy to była sprzedaż zgodna z prawem. Pod tym względem ciotka Salini jest taka jak wszyscy Hindusi. Oni ogromnie lubią się procesować, zwłaszcza gdy sprawa ciągnie się całymi latami. Ale ja jestem daleki od tego. Muszę więc być zależny od niej i jej szwagra, Romeśa Čanda Gupty Sena, dopóki nie zacznę zarabiać na utrzymanie. Czy zarobię na przyzwoite utrzymanie' nie mając żadnych kwalifikacji uznawanych tutaj? Ciotka Salini pomogłaby mi się zapisać do któregoś z indyjskich college'ów, ale ona nie decyduje, bo trzyma ją za kieszeń Romeś Cand. (Ostatecznie Gupta Senowie są jej właścicielami.) W Majapurze jest jakieś technikum ufundowane przez bogatego Hindusa nazwiskiem Chatterjee. Czasem myślę, że mógłbym spróbować dostać się bodaj tam, żeby uzyskać dyplom mechanika czy technika, coś, co oni dają w takiej uczelni.

Wiesz, w czym tkwi najgorsze zło? No, może nie najgorsze, ale rzeczywiście diabli mnie na to biorą. Ani ciotka Salini, ani Romeś Cand, ani w ogóle nikt z ich- krewnych i znajomych nie zna żadnych Anglików, w każdym razie nie zna na płaszczyźnie towarzyskiej, w każdym razie nie tych, którzy się liczą. Ciotka Salini nie zna, bo nigdzie nie bywa. A tamci z zasady trzymają się z daleka od cudzoziemców. Jest

211

to zwarte, zamknięte kółko pseudoprawowiernych hinduistów. Zaczynam rozumieć, przeciwko czemu zbuntował się ojciec. Gdyby oni znali jakichś Anglików, myślę, że zaraz znalazłby się ktoś, kto by się mną zainteresował. Pięć lat szkoły Chilling-borough to przecież nie byle co i z pewnością są najróżniejsze stypendia i zasiłki, o które mógłbym się ubiegać. Ale ciotka Salini naprawdę nic o tym nie wie i wyraźnie boi się poruszać to z kimkolwiek, a Gupta Senowie po prostu nie chcą wiedzieć. Romeś Cand mówi, że przydam mu się w przedsiębiorstwie. Widziałem jego biura. Chyba dostałbym bzika, gdybym tam musiał pracować. Główny kantor mieści się nad magazynem, którego okna wychodzą na bazar Cijjanwala, a mniejszy kantor przy bocznicy kolejowej. Romeś

Cand jest dostawcą ziarna i warzyw dla brytyjskiej placówki po tamtej stronie rzeki, handluje też ziarnem na własny rachunek. Poza tym, jak wiem od ciotki Salini, ma udziały w innych przedsiębiorstwach, jest właścicielem większości domów na Cilijanwala Bagh. To są Indie, o jakich nie przeczytasz w swoich książkach z opisami zakłuwania dzikich świń. To są Indie chciwych mieszczańskich kupców, którzy trzymają pieniądze pod deskami podłogi i ukrywają zapasy pszenicy i ryżu, dopóki nie zacznie się głód. Wtedy rozprowadzają je z dużym zyskiem, nawet jeżeli większa ich część już się popsowała, bo zawsze mogą sprzedać je rządowi, jeżeli przekupią rządowego agenta, żeby nie zauważył wołków zbożowych rojących się w ziarnie. Albo też sprzedają rządowi zapasy jeszcze w dobrym stanie, kiedy nie ma głodu, a potem rząd tak je przechowuje, że wkrótce są do niczego — o ile oczywiście nie zostaną skradzione z rządowych składów, po czym kupione tanio od złodziei i znów magazynowane, dopóki jakiś urzędnik za łapówkę nie postara się, żeby rząd kupił je znowu. Ciotka Salini opowiada mi o tym. Jest bardzo naiwna. Myśli, że mnie ubawi. Nie zdaje sobie sprawy, że mówi o narodzie, do którego mam odczuwać serdeczną przynależność, kiedy opowiada mi o takich ludziach jak, na przykład, nieboszczyk Prakaś Gupta Sen. Muszę wyrwać się z tej niemożliwej sytuacji. Wyrwać się, ale dokąd? ;

Właśnie, dokąd? Na to Colin nie mógłby Hariemu odpowiedzieć. Hari nigdy nie zadał tego pytania nikomu poza samym sobą, a i to minęło kilka miesięcy, zanim zadał je sobie wyraźnie. Po prostu nie uznawał faktu, że taka teraz jest rzeczywistość. Widział w swojej sytuacji potężny pierwiastek fantazji, chwilami śmiesznej, chwilami zgoła nieśmiesznej, ale zawsze fantazji, co wypaczało myśl o przyszłości. Żeby była przyszłość, najpierw musi rozwiać się ta fantazja. Coś musi obrócić ją wniwecz — coś ze świata rzeczywistego.

W tamtym okresie Hari uparcie nosił swoją angielskość, jak gdyby to była zbroja, głęboko, jak przedtem jego ojciec, przeświadczony, że wystarczy mieszkać w Anglii, by odmienić sobie los. Uważał teraz, że angielskość jest jedynym cennym darem otrzymanym od ojca, wołał więc nie pamiętać, jak krytykował i z roku na rok coraz bardziej wstydził się ojca. Ilekroć widząc coś mu nie znanego czuł zgrozę, mówił sobie: Tego właśnie ojciec tak nienawidził, od tego tak bardzo starał się mnie od-

212

sunąć, że aż doprowadził się do obłądu. Ponieważ tylko obłądem mógł sobie wytłumaczyć samobójstwo ojca. Dostatecznie dorosły, mógł też się domyślać, że obłąd wzmogło osamotnienie. Dalip Kumar czuł się samotny. Gdyby nie to, może by się zdobył na odwagę i stawiał czoło katastrofie finansowej, o której adwokaci zdolali przekonać jego syna, ale której nie zdolali temu synowi wytłumaczyć w sposób zadowalający. W Majapurze Hari uznał, że owa katastrofa była tak samo dziełem złośliwego ducha jak wszystko, z czym spotyka się teraz.

Przez całą prawie pierwszą porę deszczową po przyjeździe do Indii Hari był w tak złej formie, że cokolwiek zjadł, dostawał biegunki. W takich okolicznościach człowiek traci animusz. Dolegliwości fizyczne i wstręt do wszystkiego wokół posesji numer 12 na Cilijanwala Bagh sprawiały, że nieraz przez kilka dni nie wychodził z domu. Parne popołudnia przespiał, jak po zażyciu środków nasennych, i zaczął lękać się chwil, gdy ciotka Salini chciała posiedzieć w jego towarzystwie albo gdy wieczorem, jeśli deszcz nie padał i, jej zdaniem, trochę się ochłodziło, proponowała spacer. Wtedy szli ulicą zwaną Przedłużeniem Cilijanwala Bagh nad cuchnącą rzeką i przy Moście Bibighar zawracali, jak gdyby przejście na drugi brzeg rzeki było zabronione czy co najmniej niewskazane. Przez ten czas, od maja do połowy września, Hari ani razu nie przeszedł przez rzekę do dzielnicy administracyjnej; najpierw dlatego, że nie miał po co, później dlatego, że tamta strona miasta zaczęła mu się wydawać równoznaczna z wolnością, a godzina zakosztowania wolności jeszcze nie wybiła. Nie chciał kusić złośliwego ducha.

Na drugi brzeg rzeki przejechał riksą w trzecim tygodniu września roku 1938. Pora deszczowa się skończyła, jego dolegliwości minęły i już nie mógł znaleźć żadnej wymówki, by nie udawać, że pragnie zadowolić swego wuja Romeśa Canda Gupta Sena — w istocie po rozmowie z doradcą prawnym Gupta Senów, niejakim Srinivasanem, zdecydował się nawet dokładać starań, by wuja zadowolić, bo błysnęła nadzieja, że wuj da się przekonać i pozwoli mu się uczyć w technikum w Majapurze albo nawet pośle go do college'u w stolicy prowincji.

Jednak będę — myślał Hari — tym, czym ojciec chciał mnie widzieć. W ten sposób odpłacę się złośliwemu duchowi. Będę Hindusem uznawanym i mile przyjmowanym przez Anglików.

Po śmierci ojca czuł się zobowiązany do spłacania długów moralnych.

*

Wyruszył z plikiem dokumentów, klóre na polecenie Romeśa Canda miał oddać niejakiemu panu Nairowi, kierownikowi magazynu przy bocznicy kolejowej. Pojechał riksą rowerową. Niewiele rzeczy z garderoby przywiezionej z Anglii okazało się przydatnych tutaj. Ciotka pomogła mu więc zaopatrzyć się w spodnie i koszule szyte przez krawca na bazarze. Tego dnia był w białych szerokich spodniach, w białej koszuli z krótkimi rękawami i w płowożółtym kasku tropikalnym. Tylko pantofle miał angielskie, wykonane na zamówienie, bardzo drogie. Jeden ze służą-

cych ciotki Salini pucował je do połysku, tak jak on sam nigdy nie potrafił ich wyczyścić.

Przy wjeździe na Most przy Bramie Mandir był zator. Bezpośrednio przed rikszą, którą jechał Hari, stała otwarta ciężarówka pełna worków z ziarnem. Na workach siedział kulis, nagi do pasa, spocony i palił biri. Obok rikszy stała jeszcze jedna riksza, za nimi stał autobus. Zatrzymały się akurat naprzeciwko świątyni. Widać było żebraków przycupniętych nie opodal wejścia. Hari szybko odwrócił wzrok, w obawie że zobaczy wśród nich trędowatego. Usłyszał turkot na drugim brzegu rzeki, ale przejeżdżający pociąg zasłaniała mu ciężarówka. Dopiero po pięciu minutach wszystko ruszyło. Wtedy wjechał na most z pobielaną kamienną balustradą. Ujrzał wodę, przestrzeń i stromy brzeg skracającej rzeki, muliste zatoczki między cyplami. Potem trzy koła rikszy podskoczyły kilka razy na deskach przejazdu kolejowego i znalazł się w drugiej połowie świata.

Wiele się spodziewał, wielkiego też doznał rozczarowania. Ulica, którą jechał z Mostu przy Bramie Mandir do dworca kolejowego, nie różniła się zabudowaniami od Przedłużenia Cilijanwala Bagh. Tylko przelotnie, zanim rikszarz, dzwoniąc i krzycząc na staruszka gonącego spłoszonego bawołu, skręcił w prawo, mignęła perspektywa drzew, zapowiedź przestrzeni, powietrza. Przed składami kolejowymi podobnymi do wszystkich składów kolejowych na świecie, funkcjonalnych, gołych, brzydkich, Hari kazał rikszarzowi zaczekać. Zignorował reakcję chłopca, chyba protesty, z których zresztą ani słowa nie zrozumiał, i prędko odszedł nie płacąc, bo już wiedział, że to jedyny sposób, żeby zmusić rikszarza do czekania. Na frontowej ścianie jednego z magazynów zobaczył szyld: „Romeś Ćand Gupta Sen i Spółka, dostawcy.” Wszedł tam.

Wewnątrz, jak we wszystkich takich pomieszczeniach, pachniało orzechami i włóknem. Było ciemno, stosunkowo chłodno. Robotnicy brali worki z wysokiej sterty, przenosili je w blasku słońca na bocznicę na tyłach magazynu i ładowali óo wagonu towarowego. W powietrzu unosiły się plewy i kurz. Za najbliższą ścianą z wykuszem, w którym były okna i otwarte drzwi, mieściło się biuro oświetlone nie osłoniętymi żarówkami. Hari wszedł do biura. Kierownika nie zastał. Przy stołach siedziało nad księgami handlowymi paru młodych gryziopiórków w zgrzebnych bawełnianych koszulach i w dhoti. Żaden z nich nie wstał. W kantorze nad magazynem na bazarze Cilijanwala młodzi urzędnicy wstawali, ilekroć Hari, krewny szefa, wchodził do ich zatęchłych półmrocznych pokoików. Zawsze wprawiało go to w zakłopotanie. Teraz jednak, podejrzewając, że ci tutaj wiedzą, kim jest, poczuł się zlekceważony. Zapytał po angielsku o kierownika. Ten, do którego się zwrócił, odpowiedział dosyć płynnie po angielsku, ale w sposób na pewno rozmyślnie obraźliwy.

— Więc zostawię u pana tę dokumentację. — Hari położył papiery na stole.

Młody człowiek wziął je i wrzucił do drucianego koszyka.

- Zaznaczone, że to pilne — zwrócił mu uwagę Hari.
- Więc dlaczego pan zostawia to u mnie zamiast oddać panu Nairowi? Jest w bturze zawiadowcy.

214

— Dlatego, że to już pana rzecz, a nie moja — odwiedził Hari odwracając się, żeby wyjść.

— Panu tę dokumentację powierzono, nie mnie.

Popatrzyli na siebie przeciągle.

Hari powiedział:

— Jeżeli nie może pan się nią zająć, bo to przekracza pana kompetencje, bardzo proszę, niech to leży w tym drucianym koszyku. Ja jestem tylko posłańcem.

Gdy był już w drzwiach, usłyszał:

— Chwileczkę, Coomer.

Odwrócił się zirytowany. Jednak dobrze wiedzą, kim jest.

— Jeżeli wuj będzie pana pytał, komu pan dał te papiery, niech pan powie mu, że... Moti Lalowi.

Moti Lal. Imię i nazwisko, które spodziewał się zapomnieć, ale w istocie miał zapamiętać.

Gdy Hari wyszedł z magazynu, rikszarz wszczął awanturę. Chciał dostać zapłatę i odjechać. Ale Hari wsiadł do rikszy i kazał się zawieźć na bazar w dzielnicy garnizonowej. Zawczasu przygotował sobie to zdanie w języku hindi. Widząc, że rikszarz potrząsa głową, powtórzył je znacznie głośniej. Chłopak ujął kierownicę, zakręcił, przebiegł przy rikszy parę kroków i wskoczył na siodło. Hari znów musiał do niego wrzasnąć, bo zawrócili w kierunku, z którego przyjechali. Znów się pokłócili. Łatwo było odgadnąć powód sprzeciwu rikszarza. Nie oplaca się wieźć tak daleko pasażera Hindusa. Pasażer Hindus rzadko kiedy dorzuca coś więcej, niż się należy.

Ostatecznie rikszarz pogodził się ze swoim pechem i skręcił w stronę dzielnicy -garnizonowej. Wkrótce już jechał szerokimi alejami wśród postawionych z daleka od siebie bungalowów. Tutaj było dużo cienia, panował nastrój cichego, spokojnego przedpołudnia, zupełnie taki jak w kraju, jak na wakacjach w Didbury. Chodniki były nie utwardzone, ale jezdnie gładkie. W tej niespodziewanej ciszy Hari słyszał miarowe mlaskanie pedałów. Czuł teraz wyraźniej odór bijący od skórzanych poduszek i zapach nieświeżego potu rikszarza, aż musiał zapalić papierosa.

Chłopak raz po raz skręcał, to w lewo, to w prawo; już się wydawało, że zjeżdża ze wskazanej trasy, gdy nagle tam, gdzie ulica, którą jechali, łączyła się z inną, tworząc kształt litery T, Hari zobaczył sklepy pod arkadami i wśród nich skład apteczny z szyldem: „Dr Gulab Singh Sahib”. A więc to jest ulica Wiktorii. Kazał rikszarzowi

skrócić w lewo, po czym, gdy ten rzucał przez ramię pytające spojrzenia, odpowiadał machnięciem ręki, że ma jechać dalej. Chciał się rozejrzeć po okolicy za bazarem, zobaczyć plac ćwiczeń.

Pod arkadami na ulicy Wiktorii chodziły Angielki. Jakże blade wydawały się tutaj. Ich samochody stały zaparkowane w cieniu z jednej strony bazaru. O godzinie pół do jedenastej przed południem był tu jeszcze cień. Stały też tongi — dorożki pomalowane jaskrawo, zaprzężone w konie z żółtymi i czerwonymi pióropuszcami, ze srebrnymi medalionami na lejcach. Niektóre Angielki były w szerokich marynarskich spodniach. Hari uznał, że to je szpeci, ale zaraz zmienił zdanie, bo tak

215

cudownie serdeczne ogarnęło go uczucie, że znowu jest wśród ludzi, których rozumie. Patrzył to na jedną stronę ulicy, to na drugą. „Darwaza Cand, krawiec cywilny i wojskowy”, „Indyjski Bank Imperialny”, „Mayapore Gazette” — Redakcja. Na tej ostatniej tabliczce zatrzymał wzrok z zainteresowaniem. Ciotka Salini nie omieszkła zaprenumerować „Mayapore Gazette” specjalnie dla niego, żeby mógł czytać miejscowe wiadomości po angielsku. Wszystkie sklepy dzielnicy garnizonowej reklamowały się w tej gazecie, toteż nazwiska na szyldach były mu dobrze znane. Zaprzagnął mieć mnóstwo pieniędzy: zatrzymać riksę przed bankiem, zrealizować czek, a potem spacerkiem przejść do zakładu krawieckiego Darwaza Canda naprzeciwko banku i zamówić kilka przywoitych ubrań i koszul. Żałował, że nie ma odwagi wstąpić do Kawiarni Angielskiej na kawę i papierosa, pogawędzić z dwiema ładnymi białymi dziewczynami, które właśnie tam wchodziły. Miał wielką ochotę stuknąć riksarza w kościste plecy, wysiąść przed sklepem „Centrum Sportu”, zbadać wagę i sprężystość kijów do krykieta z angielskiej wierzby, wystawionych tam na sprzedaż. Widząc je na wystawie, zatęsknił do krykieta. Po wybraniu sobie kija poszedłby na drugą stronę ulicy do chińskiej restauracji Pod Żółtym Smokiem i zjadłby dobre drugie śniadanie, a potem by kupił bilet do kina „Eros”, gdzie o godzinie 7,30 i 10,30 wieczorem wyświetlają film, który oglądał kilka miesięcy temu z Lindseyami w kinie „Carlton” na Haymarket. Och, gdyby Lindseyowie byli tutaj i poszli z nim na ten film znowu. Mijając kino — widoczny w głębi wysypanego piaskiem dziedzińca budynek ze sztukaterią i ciemną jaskinią poczekalni za zamkniętą teraz bramą z siatki stalowej — poczuł ból na myśl o swym wygnaniu, dotkliwszy niż kiedykolwiek przedtem.

Kazał chłopcu jechać w kierunku placu ćwiczeń. Kino było ostatnim budynkiem na bazarze dzielnicy garnizonowej albo też pierwszym, zależnie od tego, z której strony się przybywało. Za kinem ciągnął się w cieniu drzew odcinek jezdnii między niskimi murami otaczającymi baraki i składy wydziału robót publicznych. Riksarz zaczął na tym odcinku pedałowac trochę prędzej, po czym zwolnił tylko na chwilę przejeżdżając przez skrzyżowanie ulicy Wiktorii z Magistralą. Mijał teraz gmach sądu, koszary policyjne, biura zarządu okręgu, hotel urzędniczy, bungalow okręgowego nadinspektora policji i ten bungalow, który później, w roku 1939, przejęli Poulsonowie.

Tą drogą Hari Kumar dojechał do placu ćwiczeń. Kazał riksarzowi się zatrzymać. Na ogromnych błoniach nie było prawie nikogo. Dwoje białych dzieci jeździło na kucach. Stajenni biegli za nimi. Wrony krążyły i krakały, ale Hariemu już nie wydawały się drapieżne. Panował spokój. Tak — pomyślał Hari — tu jest pięknie. W dali, za błoniami, zobaczył wieżyczkę kościoła Sw. Marii. Wysiadł z rikszy, stanął pod drzewem, patrzył i słuchał. Przymykając oczy nawet mógł sobie wyobrazić, że to są błonia pod Didbury. Darń była teraz zielona — nie wiedział, że jest taka tylko po deszczach, bo nigdy nie widział placu ćwiczeń w maju, gdy spieczona słońcem trawa ma kolor ochry.

Zaprzagnął pojeździć konno, poczuć, jak pęd powietrza owiewa mu twarz. Czy można wynająć gdzieś kuca? Odwrócił się do riksarza. Ale jak go zapytać? Nie znał

216

odpowiednich słów. I chyba nie potrzebował ich znać, pytać nie potrzebował, bo domyślał się odpowiedzi. Plac ćwiczeń jest zarezerwowany dla sahib-log. Mimo to jednak nie wątpił, że wystarczy, by porozmawiał z kimś białym, a zostanie uznany, przyjęty. Wrócił do rikszy i kazał chłopcu jechać z powrotem na bazar dzielnicy garnizonowej. Chciał kupić parę rzeczy w składzie aptecznym doktora Gulaba Singha: pastę do zębów Odol, mydło Pearsa. Ukradkiem pomacał w portfelu. Miał banknot pięciorupiowy i cztery banknoty jednorupiowe. To znaczy, około piętnastu szylingów. Riksarz zażąda trzech rupii, ale oczywiście zadowolony się dwiema.

W drodze powrotnej Hari uświadomił sobie, że na jezdni jest bardzo mało rikszy. Przejeżdżają samochody, rowery i tongi. Jeśli ktoś jedzie rikszą, to zawsze Hindus. W jednej z tych nielicznych rikszy pasażer opierał stopy w sandałach o drewnianą klatkę z kurami. Hariemu zrobiło się wstyd: on też jedzie rikszą i widać, że zapuścił się tu z miasta czarnych, ponieważ wszystkie riksze rowerowe jadą z tamtej strony rzeki.

Dojeżdżając do składu aptecznego Gulaba Singha, kazał riksarzowi się zatrzymać. Wysiadł i wszedł pod cieniste arkady. Na wystawie Gulaba Singha zobaczył towary w opakowaniach firmowych tak dobrze mu znanych, tak anglosaskich, że wprost krzyczałby z radości. Czy może z rozpacz? Nie wiedział. W sklepie panował chłód i półmrok. Jak w muzeum, stały długie prostokątne gabloty na nóżkach. Unosił się lekki zapach pieprzu i bardzo silny zapach kremów kosmetycznych. Lada była daleko w głębi. Po sklepie kręciło się kilka Angielek w asyście subiektów Hindusów. Był też jeden klient trochę podobny do pana Lindseyy. Hari uświadomił sobie, że w porównaniu z ubraniem tego Anglika jego ubranie nie budzi żadnych wątpliwości. Ubranie babu. Konfekcja z bazaru. Angielki rozmawiały ze sobą. Słyszałyby dobrze każde ich słowo, gdyby zwracał na nie uwagę. Ale Anglik podobny do pana Lindseyy właśnie irytował się na subiekta.

— Co to znaczy, nie przysłali?! Przecież mieli przysłać we wtorek, a wiórek

jest dzisiaj! Równie dobrze mógłbym być zamówić to sam. No, na razie biorę te rzeczy, a resztę zamówienia dostarczycie mi do domu. Migiem.

Hari stanął przy ladzie i czekał, aż subiekt skończy obsługiwać tego klienta. Anglik rzucił okiem na niego, po czym znów patrzył, jak subiekt pakuje kartonowe pudełka.

— Dobrze — powiedział w końcu, biorąc paczkę. — Resztę rzeczy spodziewam się otrzymać przed szóstą wieczorem.

Gdy wyszedł, Hari zapytał.

— Czy są mydła Pearsa?

Subiekt, starszy od niego o kilka lat, pokręcił głową i odszedł. Może nie zrozu miał. Inny subiekt wszedł do sklepu drzwiami z tabliczką „apteka”, ale ten niósł paczkę dla jednej z Angielek, które oglądały towar wystawiony w gablotach. Po drugiej stronie sklepu była kabina fotograficzna. Hari czekał. Po chwili znów zobaczył swojego subiekta, który otwierał gablotę dla gromadki innych białych kobiet.

217

Za ladą nie było nikogo. Hari stanął w takim miejscu, że subiekt musiał wreszcie na niego spojrzeć. Udało się. Cóż, kiedy ten człowiek spjrzał tak, jakby wcale nie pamiętał, że nie odpowiedział na pytanie o mydło Pearsa. Niestety — pomyślał Hari — obsługuje kobiety, a nie mężczyzn. Jeżeli mu przerwę, tylko się narażę. Muszę czekać jak niepyszny. W sytuacji, z której inny mężczyzna tylko by skorzystał, ja muszę przywarować za spódnicami kilku bab. Rozejrzał się. Zobaczył, że subiekt, który wyszedł z apteki, teraz tam wraca. Zwrócił się więc do tego subiekta:

— Pytałem tu kogoś, czy macie mydło Pearsa.

Subiekt przystanął. Znieruchomiał automatycznie na dźwięk głosu Hariego, modulowanego jak głos sahiba. W pierwszej chwili wyraźnie oniemiał, nie wiedząc, czy ma wierzyć uszom, czy oczom.

— Pearsa? — odezwał się wreszcie. — Och, tak, są u nas mydła Pearsa. Dla kogo to?

Takiego pytania Hari się nie spodziewał, nie od razu więc je zrozumiał. Ostatecznie jednak zrozumiał je w całej pełni. Co ten pętał sobie myśli? Że ja jestem jakiś babu, który załatwia sprawunki dla swojego pana?

— Naturalnie dla mnie — odpowiedział.

• Tuzin czy dwa tuziny?

Hariemu zaschło w ustach.

• Jedno mydło — odrzekł starając się nadać tej odpowiedzi godność.

— Sprzedajemy tylko na tuziny — wyjaśnił subiekt. — Ale chyba można je dostać na bazarze. — I dodał coś w języku hindi, czego Hari nie rozumiał.

— Żałuję. Nie-znam hindi — poinformował subiekta. — Co pan powiedział?

I uświadomił sobie, że w irytacji podniósł głos. Angielki patrzyły i słuchały.

Napotkał wzrok jednej z nich. Powoli odwróciła się z uśmiechem, który mógł określić tylko dwoma przymiotnikami: zajadły, pogardliwy.

— Powiedziałem — przetłumaczył mu swoje słowa subiekt — że kto chce kupić tylko jedno mydło Pearsa, może je dostać taniej na bazarze Ćilijanwala. Tam nie przestrzegają ustalonych cen.

— Dziękuję — powiedział Hari. — Bardzo pan uprzejmy.

I wyszedł.

Ze wszystkich pomieszczeń w kantorze na bazarze Ćilijanwala to, w którym pracował Hari Kumar, było największe. W tym też pokoju pracowali inni urzędnicy mówiący po angielsku. Bali się Kumara, bo był krewnym szefa i miał szczególne manieri. Dumni ze swojej angielszczyzny uchodzącej za dobrą w tym magazynie, gdzie angielski nie był w powszechnym użyciu, uważali Kumara za intruza i zarazem w jakiś przewrotny sposób czuli się wywyższeni, pochlebiała im jego obecność w ich gronie. Gdyby to od nich zależało, wcale by nie mówili językiem ojczystym, patrzyli więc z góry na starych urzędników, którzy w dusznych klitkach za przepierzeniami prowadzili sprawy i korespondencję firmy w hindi.

218

Obecność Kumara była dla tych chłopców potwierdzeniem, że są lepsi od starych, ale też zagrażała ich pewności jutra. Przy Kumara nie odważali się krytykować Romeśa Canda i kierowników, bo nie wiedzieli, czy ten kolega z rodziny szefa nie siedzi z nimi po to, by donosić, co robią i mówią. Nawet później, gdy już się przekonali, że tak nie jest, żaden z nich nie był pewny, czy ostatecznie nie straci posady na rzecz tego zeuropeizowanego paniczyka, który ani trochę nie zna się na sprawach przedsiębiorstwa, ale zachowuje jak bara sahib. Ich stosunek do niego był mieszaniną podejrzliwości, bojaźni, zawiści i służalczości.

Budzili w nim obrzydzenie. Uważał, że są bez charakteru, gorsi niż gromada dziewczyn, jednego dnia chichoczących, a drugiego nadąsanych. Prawie nie rozumiał ich angielszczyzny. Słowa im się zlewały. Zdania wyśpiewywali. Wymowa ich była dziwna. Z początku starał się ich rozumieć, ale potem ujrzał niebezpieczeństwo

kryjące się w takich zbyt usilnych staraniach. Jak długo można przebywać wśród tych Hindusów, nie przejmując ich nawyków w akcentowaniu i formułowaniu zdań, nie przyswajając sobie ich sposobu myślenia, który znajduje odbicie w słowach? Nocami w sypialni nieraz mówił głośno do siebie, wsłuchiwał się w swój głos, żeby wykryć zmiany tonu, akcentów, brzmienia i póki czas je poprawiać. Zachowanie angielskości głosu i angielskich nawyków stawało się dla niego sprawą coraz większej wagi. Nawet po niefortunnym wypadku do składu aptecznego Gulaba Singha pozostało ważne. Pamiętał, jak ojciec mu powiedział:

„Kiedy odbierasz telefon, niech ludzie myślą, że rozmawiają z Anglikiem.”

W kantorze wuja nie było telefonu. Nie było też telefonu w domu pod numerem 12 na Ćilijanwala Bagh. Zresztą nawet gdyby telefony tam zainstalowano, nikt z Anglików by nie dzwonił. Ale to, że nie ma angielskości w jego życiu zewnętrznym, przyjmował jako logiczne odwzorowanie fantazji informującej jego życie wewnętrzne.

Właśnie w tamtym okresie po rozczarowaniu, jakiego doznał w składzie aptecznym Gulaba Singha, uznał, że jest niewidzialny dla białych, chociaż ujął tę myśl w słowa dopiero później. Wtedy, gdy wyprawy z bazaru Ćilijanwala do magazynu kolejowego po drugiej stronie rzeki już mu spowszedniały i oswoił się z wrażeniem, że Anglicy, jeżeli przypadkiem napotykał ich wzrok, patrzą gdzieś poprzez niego, jakby był powietrzem. Koncepcja niewidzialności dosyć szybko wydała mu się trafna. Więcej czasu jednak musiało minąć, żeby wyciągnął z niej wniosek: to, że jego ojcu udało się obrócić go w nicłość, nicłość w mieście, nicłość w dzielnicy garnizonowej, nicłość nawet w Anglii, bo w Anglii teraz on jest tylko wspomnieniem, swojskim, ale chyba nierealnym, podpisem na końcu bezsensownych listów do Colina Lindseya. Z biegiem miesięcy jego listy były coraz bardziej niezgodne z prawdą, aż stały się w istocie wypracowaniami młodego Kumara, usiłującego zachować swoją angielskość w dobrej formie. Sam zdawał sobie z tego sprawę. Wiedział, że jego listy nic nie wnoszą. I między wierszami listów Colina czytał, że Colin od niego odchodzi. Ale na tej korespondencji nadal rozpaczliwie mu zależało. Podpis Colina pod listem stanowił potrzebny dowód na to, że jego życie w Anglii nie było urojeniem.

219

Do którego momentu doprowadzić dzieje Hariego Kumara, Harry'ego Coomera, jego dzieje przed Bibighar?

Siostra Ludmiła powiedziała, że według niej sprawa Bibighar zaczęła się w tamten poranek, gdy Merrick zabrał Kumara z „Azylu” swoją policyjną ciężarówką; trzeba by więc dzieje Kumara doprowadzić przynajmniej do chwili, gdy w mroku leżał jak kłoda, a pan de Souza odwrócił go, oświetlił jego twarz latarką. Taka ciemność — powiedziała siostra Ludmiła; wyraz twarzy taki, jaki nieraz widywała na twarzach młodych Hindusów, ale w przypadku Hariego szczególnie znamienne.

I gdzie szukać materiałów do historii Kumara przed Bibighar? No, jest ten adwokat Srinivasan. Jest siostra Ludmiła. Nie ma już Salini Gupta Sen, nie ma nikogo z Gupta Senów, kto by coś wiedział czy też chciał się przyznać, że coś wie. Są jednak inni świadkowie, a zwłaszcza jest ów podpis w księdze gości Klubu Sportowego w Majapurze. Jest także podpis samego Harry'ego Coomera w roczniku 1939 księgi członków Klubu Majapurskich Hinduistów. Klubu Chatterjee. Tamtego drugiego klubu — w złym tonie. Podpis w księdze dosyć podobnej do ksiąg używanych w klubie ze wszech miar wytwornym — podpis pod datą z maja 1939 roku, dziwnym zbiegiem okoliczności z tego mniej więcej dnia, w którym komisarz okręgowy rzucił tradycji wyzwanie i przeforsował wstęp Hindusów do klubu Anglików.

— Zapisałem młodego Kumara do Klubu Majapuiskiego — powiedział Srinivasan — ponieważ uważałem, że to mu jest potrzebne. Rozmawiałem z nim zaledwie kilka razy. Obawiam się, że mnie nie lubił. Nie ufał mi, byłem doradcą prawnym jego wuja Romeśa. Ja ze swojej strony, niezależnie od tego, że jego angielski sposób bycia wydawał mi się arogancją i że w ogóle do Hindusów tego typu nie czułem sympatii, lubiłem go jako człowieka. Gdybyśmy się dogadali, gdyby on mi ufał, może jakoś mógłbym mu pomóc. Sam wprowadziłbym go, na przykład, do domu Lili Chatterjee, zabierałbym go na przyjęcia u Anglików, u których bywali Hindusi. Ale wtedy, gdy on się dostał do tak zwanego Domu MacGregora, było już na to za późno. Już się naraził temu policjantowi Merrickowi, już raz Merrick go przesłuchiwał. Tamten wieczór w maju 1939 roku, kiedy zapisałem go do Klubu Majapur-skiego, trudno nazwać wieczorem udanym. W klubie siedzieli banijowie z nogami podwiniętymi na fotele. Jego to mierzilo; wątpię, czy potem jeszcze tam zajął kiedyś. I w parę tygodni później przestał pracować u swojego wuja. Dowiedział się, że Gupta Senowie mają co do niego jakieś plany matrymonialne, i zrezygnował z posady w nadziei, że wuj się zgodzi zapisać go do technikum. Mogę panu powiedzieć: kiedy rzucił pracę u Romeśa Čanda, byłoby z nim krucho, gdyby nie jego ciotka Salini. Stary chciał go zostawić własności losowi. Pamiętam, jak ona wstawiała się za tym chłopcem, błagała Romeśa, żeby nie cofnął zasiłku, który jej dawał. W rezultacie Romeś zasiłku nie cofnął, ale znacznie go zmniejszył. Ciułała, skąpiła, odmawiała sobie wszystkiego, byleby tylko móc coś wsunąć Hariemu do kieszeni; Hari oczywiście miał u niej mieszkania wikt i opierunek. Mówiłem

220

jej, że w ten sposób ona po prostu nie pozwala mu stanąć na własnych nogach. Hari ukończył dziewiętnaście lat. Według naszych kryteriów był dorosłym mężczyzną. Cóż, kiedy ona nie chciała słuchać żadnych krytycznych uwag na jego temat. Proszę jednak, niech pan nie wyrabia sobie o nim fałszywego pojęcia. On nie siedział beczynnie. Pamiętam, na przykład, jak starał się o posadę w British-Indian Electrical. Odbił tam parę rozmów i wyglądało na to, że go przyjmą. Naturalnie zainteresowali się nim. Wykształcenie, które pobierał w angielskiej szkole prywatnej, to było przecież niemałe. Brak kwalifikacji zawodowych nie stanowił przeszkody. Mogli go

nauczyć niezbędnych rzeczy, przeszkolić do pracy administracyjnej. Niestety, podpadł jednemu z Anglików, powiedziała mi o tym Salini Gupta Sen. W tamtych czasach, wie pan, Anglicy na swoich handlowców zawsze patrzyli z góry, uważali ich za istoty najniższego rzędu w swoim środowisku w Indiach. Nawet nauczyciele szkolni stali wyżej w towarzyskiej hierarchii kolonialnej. Ten, który Hariemu zaszkodził, prawdopodobnie miał akcent środkowych hrabstw Anglii, więc oburzyło go to, że Hindus mówi po angielsku jak dyrektor naczelny.

Po klęsce Hariego w British-Indian Electrical próbowałem przekonać Romeśa, że zdolności tego chłopca się marnują. Ale wyznam coś panu. To nie był problem, który nocą spędzał mi sen z powiek. Pan chce, żebym mówił szczerze. Więc jestem szczerzy, niewiele mnie obchodził taki Hindus, jakiego Dalip Kumar zrobił ze swojego syna. Proszę nie zapominać, że w tamtych czasach jeszcze nie miałem pięćdziesięciu lat i głównie interesowałem się polityką. A trudno powiedzieć, żebym widział w Harim jakiegokolwiek zadatki na działacza. Ojciec niewątpliwie wpoił mu przekonanie, że polityka Hindusów to jedna wielka bzdura, mydlenie oczu. Hari nie traktował jej poważnie. Właściwie nic o niej nie wiedział, nie pojmował, na przykład, co oznaczało dla Kongresu dojście do władzy w prowincjach. On prawie nie zdawał sobie sprawy, że prowincja, w której mieszka, podlegała kiedyś bezpośrednio gubernatorowi i mianowanej radzie. Demokrację uważał za coś zupełnie naturalnego. Nie odczuł na własnej skórze, czym jest autokracja. Pod względem politycznym był naiwny. Tak jak większość Anglików. Nie miałem wtedy czasu zajmować się ludźmi tego rodzaju. Obecnie ja sam pod względem politycznym jestem, oczywiście, naiwny. To los, jaki czeka nas wszystkich, czy przynajmniej tych spośród nas, którzy przypłacili swoje poglądy więzieniem. Więzienie pozostawia nieprzyjemne piętno. Sprawia, że przywiązujemy zbyt wielką wagę do tego, za co siedzieliśmy.

Po zrezygnowaniu z posady u wuja Hari zrezygnował też z lekcji języka hindi, których mu udzielał Pandit Babu Sahib. Nie chciał, żeby ciotka wydawała pieniądze niepotrzebnie. Posługiwał się językiem hindi już na tyle dobrze, że potrafił wydawać polecenia, czyli istotnie umiał to, co przeciętnemu Anglikowi w Indiach wydawało się warte nauczenia. Jego rozmowy w British-Indian Electrical odbyły

221

się na początku pory deszczowej roku 1939. Odprawa była dla niego ciosem, chociaż spodziewał się jej po ostatniej rozmowie. Pierwszy raz wtedy napisał do Colina list, który młodemu Lindseyowi dał czy też powinien był dać pojęcie o życiu Hariego Kumara w Indiach.

Było duże prawdopodobieństwo, że wyślą mnie z powrotem do kraju, żebym poznał arkana techniczne — pisał Hari do przyjaciela w Didbury — najpierw w Birmingham, a potem w londyńskim biurze firmy macierzystej. Wszystko poszło jak po maśle w czasie pierwszej rozmowy z sympatycznym facetem, który się nazywał Knight i od roku 1925 do 1930 był w Wardens. Grał w meczu Chillingborough--Wardens w 1929 roku i podobno oni nas wtedy pokonali o dwadzieścia dwa punkty. O samej mojej posiadzie właściwie nie rozmawialiśmy, tyle że Knight napomknął o Birmingham, Londynie i rozniecił we mnie nadzieję. Wydawało się, że to dar z niebios zesłany w odpowiedzi na modlitwę, dar, który czekał na moim progu przez te wszystkie miesiące. Opowiedziałem mu wszystko, o ojcu itd. Chyba mi współczuł. Następną rozmową, z dyrektorem, szła raczej jak po grudzie — pewnie dlatego, że jak Knightowi się wyrwało, ten dyrektor ma tylko uniwersytecki polor po zwyczajnej szkole ogólnokształcącej. Ale pomimo to nadal myślałem, że wszystko idzie dobrze, nawet kiedy trochę oblał mnie ?jmną wodą, jeśli chodzi o tę perspektywę wyjazdu na przeszkolenie do kraju. Powiedział, że mają jakąś umowę z *tutejszym technikum, więc maszą przede wszystkim wśród tutejszych absolwentów* szukać młodych Hindusów nadających się na kierowników, ale że już opracowują razem z tą uczelnią plan kursów specjalnych dla „uczniów obiecujących”, które poza nauką w technikum, obejmowałyby praktykę w zakładach. Gdybym miał dyplom technikum, może mogliby mnie wysłać do kraju na grunto-wniejsze przeszkolenie. Wyolbrzymiał znaczenie tego, że nie ukończyłem technikum. „Oczywiście, Coomer — powiedział — większość młodych Hindusów, twoich rówieśników, ma już dyplomy.” Kusiło mnie, żeby go poprawić: „No, raczej coś w rodzaju dyplomów”, ale ugryzłem się w język, bo przypuszczam, że on jednak widzi różnicę pomiędzy absolwentem technikum w Majapurze a kimś, kto się uczył w gimnazjum humanistycznym Chillingborough. W każdym razie ta druga rozmowa zakończyła się nutą optymistyczną. Później znów rozmawiałem z Knightem przez kilka minut. Powiedział mi, że w ciągu tego miesiąca od naszej pierwszej pogawędki napisał do znajomego w biurze londyńskim, który jest w kontakcie ze starym Klopsem-w-Sosie, więc będę miał dobre referencje.

Musiałem czekać następne dwa tygodnie na rozmowę numer trzy, o której Knight i dyrektor mnie uprzedzali, ale wtedy odniosłem Wrażenie, że to będzie niewiele więcej niż formalność. To ma być rozmowa z kierownikiem szkolenia technicznego, powiedzieli. No ale... Ten facet nazywa się Stubbs i najlepiej do niego pasuje określenie krzykacz. — Od razu szurnął do mnie po swoim ogromnym biurku jakiś wałek i zapytał, co to jest i do czego to służy. Kiedy powiedziałem, że nie wiem, ale że to mi wygląda na jakiś zawór, uśmiechnął się głupio i wrzasnął:

„Skąd ty jesteś., chłoptasiu? Prosto z drzewa?” Potem wziął z biurka zadrukowany arkusz

222

papieru i zaczął czytać pytania. Na długo przed końcem tego egzaminu powiedział łem mu: „Już mówiłem panu Knightowi, że nie mam pojęcia o elektryczności.” Puścił to mimo uszu. Prawdopodobnie nie powinienem był wspominać o panu Knightcie. Czytał dalej pytania, aż wreszcie zadał mi ostatnie i ja znów odpowiedziałem: „Nie wiem.” Popatrzył na mnie spode łba i zapytał: „Kpisz sobie ze mnie czy co? Zachciało ci się, żebyś tracił czas na ciebie?” Odpowiedziałem, że jego rzeczą jest to osądzić. Odchylił się w fotelu obrotowym do tyłu i patrzyliśmy sobie w oczy chyba przez wieki całe. Potem powiedział: „Tylko my dwaj jesteśmy w tym pokoju, Coomer, czy jak ty się tam nazywasz. Więc coś ci powiem. Nie lubię zbol-szewizowanych czarnych chłoptasiów na moim podwórku.” Wstałem i wyszedłem. A jemu właśnie o to chodziło, ale nie mogłem zareagować inaczej, chyba że chciałyby się przed nim płaszczyć.

Więc teraz wiesz, czym ja jestem, Colin. Zbolszewizowanym czarnym chłop-tasiem. (Pamiętasz tego skurwysyna Parrotta w naszym pierwszym roku w Chil-lingborough?) Jestem zbolszewizowanym czarnym chłoptasiem, bo umiem zrobić rozbiór gramatyczny Tacyta, ale nie mam pojęcia o rzeczach, o które pytał mnie ten ich Stubbs. I to jeszcze nie koniec. Chyba w trzy dni później Knight wezwał mnie listownie do siebie. Powiedział, że na razie nie ma żadnych wolnych etatów. Był zupełnie innym człowiekiem. Zachowywał się przyzwoicie, twierdził ja, stary wyga z Chillingborough, okazywał zakłopotanie, skrępowanie, ale w duchu był nastawiony cholernie wrogo. Najwidoczniej Stubbs coś im naopowiadał. I dlatego, że Stubbs jest biały, uznali, że muszą wierzyć jemu. Ostatecznie na tę posadę, o którą się starałem, mają prawdopodobnie ze dwudziestu kandydatów z dyplomami (uzyskanymi albo oblanymi), i to takich, którzy będą tańczyli tak, jak im Stubbs zagra.

Jedno mnie zaintrygowało: dlaczego właśnie Stubbs decydował? Dlaczego on? Knight chyba wie, jaki to typ? Ale nawet nie dał mi do zrozumienia, że chciałby usłyszeć o tej rozmowie ze Stubbsem ode mnie. Wcałe do niej nie nawiązywał. Aż się zastanawiałem po wyjściu stamtąd, dlaczego w ogóle zadał sobie tę całą fatygę, żeby mnie wezwać. Dlaczego nie spławił mnie listownie. Później zrozumiałem, że pewnie chciał mi się jeszcze raz przyjrzeć niejako oczami Stubbsa, mając w pamięci to, co Stubbs o mnie nagadał. I dopiero wtedy zorientowałem się, że w czasie tego drugiego spotkania z Knightem nie zrobiłem zbyt dobrego wrażenia — nie moja wina, ale to fakt, bo ledwie tam usiadłem, wyczułem, że posady nie dostanę, więc byłem rozczarowany jak diabli. Usiłowałem nie dać po sobie poznać i prawdopodobnie przeholowałem. Jemu mogło się wydawać, że mam to wszystko w nosie. A mnie przecież straszliwie zależało na tej posadzie, Colin. Po chwili rozmowa się urwała, on nie miał już, nic do powiedzenia, ja także nic, chyba że coś w rodzaju: „Proszę pana, niech mi pan da szansę.” Może czekał, żebym mu powiedział: „Proszę pana.” Myślę, że w czasie naszej pierwszej rozmowy też ani razu tak się do niego nie zwróciłem, ale wtedy on tego nie zauważył. Teraz, po rozmowie ze Stubbsem, wyculił się na takie rzeczy. W każdym razie nagle odwrócił ode mnie wzrok, więc wstałem i powiedziałem: „dziękuję”. Obiecał, że będzie o mnie pamiętał, gdyby coś się wyłoniło, i wstał także, ale nie wyszedł z biurka, nie podał mi ręki. Pewnie

223

chciał mnie dla mojego dobra oświecić, że tutaj to już nie Chillingborough i że czas, bym nauczył się zachowywać należycie wobec białych. W każdym razie można było tak to odczuć. Dzieliło nas biurko. Przebywanie w jego gabinecie nagle stało się przywilejem. Przywilejem, który powinienem uszanować. Nie pamiętam, jak stamtąd wymaszerowałem. Ni stąd, ni zowąd byłem już za główną bramą zakładów, już wsiadałem na rower, już jechałem Magistralą i przez Most Bibighar z powrotem na moją stronę rzeki.

*

Dosyć długo po tym, co Srinivasan nazwał „kleśką” w British-Indian Electrical, Hari w ogóle nic nie robił. Żałował, że napisał ten list do Lindseya, żałował coraz bardziej, w miarę jak tygodnie mijały, a odpowiedzi nie było. Przypominał sobie teraz dziwną powściągliwość pana Lindseya pod koniec jego ostatnich tygodni w Anglii, jakieś niedomówienia, które mylnie kładł wtedy na karb zakłopotania tego człowieka, nie mającego możliwości udzielić mu owocnej pomocy materialnej; przypominał sobie doświadczenia na statku, gdzie Anglicy po wypłynięciu z South-ampton rozmawiali z nim dosyć swobodnie, ale za Suezem zaczęli tworzyć ekskluzywne małe grupki, tak że w czasie dalszej podróży mógł rozmawiać jedynie z Anglikami, którzy płynęli do Indii po raz pierwszy. Jego współpasażerami w kabinie byli dwaj młodzi Hindusi, studenci. Doprawdy nie miał z nimi nic wspólnego. Wciąż pytali go o zdanie w sprawach, nad jakimi nigdy się nie zastanawiał. Studiowali ekonomię polityczną, zamierzali zostać wykładowcami. Uważał ich za niewiarygodnych nudziarzy, pełnych pruderii jak stare panny. Wyraźnie gorszyło ich to, że on sypia nago, że rozbiera się i ubiera w kabinie, a nie w przyległej do kabiny małej łazience.

Tak więc Hari boleśnie, krok za krokiem, doszedł do stwierdzenia, że ojciec budował dla niego zamki na lodzie. W Indiach Hindus i Anglik nie mogą się spotkać jak równy z równym. Sposób myślenia, wyrażania się i zachowania nic tutaj nie znaczy. Może w Anglii też nic nie znaczy, a Lindseyowie tylko stanowili wyjątek od tej reguły. Hari nie winił ojca. Kipiwał gniewem na Anglików, bo podsycali w ojcu złudzenie. Gdyby czuł więcej sympatii do swoich rodaków, może by w tej fazie stanął po ich stronie i szukał sposobności do wzięcia na Anglikach odwetu. Ale nie lubił nikogo spośród Hindusów, których spotykał, a to, co słyszał i czytał o ich metodach oporu wobec angielskich rządów, wydawało mu się niedorzecznie dziecinne. W każdym razie Hindusi

mu nie ufali. I najwyraźniej tak samo nie ufali mu Anglicy. Uznał, że dla świata stał się niczym. Ale nie był niczym dla samego siebie i wiedział, że nie byłby niczym, choćby został na świecie zupełnie sam, a przecież, sam nie jest: ma Colina tam, w kraju, i ma ciotkę Śalini w Majapurze.

Przywiązanie do ciotki, które z początku uświadamiał sobie niechętnie, stało się szczere. W tym, że ciotka tak skromnie usuwa się w cień, widział dbałość o niego może nawet serdeczniejszą niż troskliwość pani Lindsey, zawsze wylewnie objawianą. Chciał czy nie chciał, wiedział, że ciotka Śalini na swój dziwny wstrzemię-

224

źliwy sposób bardzo go lubi. Cóż, kiedy jej uczucie nie mogło go osiągnąć, nie mogło dodawać mu otuchy na zewnątrz tego zamkniętego światka, jedyne światło który ona знаła, a w którym on się dusił, nieraz zdjęty zgrozą. Trudno mu było wkraczać w ten światek bodaj na krótko, żeby jej w zamian okazać bodaj trochę przywiązania. Jeśli już się na to zdobywał, musiał się przed tym światkiem bronić, wkładać pancerz pogardy i awersji. Ciotka często myślała, że on gardzi nią samą, że właśnie jej tak nic znosi, nic jednak nie mógł na to poradzić. Gdy dawała mu pieniądze, nie potrafił dziękować należycie. To były pieniądze Gupty Sena. Może ona rozumiała jego odrazę do takich pieniędzy i pogłębianie się tej odrazy, w miarę jak wzrastały jego potrzeby, albo może sprawiał jej przykrość szorstkością swego podziękowania i dlatego zaczęła wkładać pieniądze do koperty, zostawiać na stole w jego pokoju. Wzruszało go to, że na kopercie zawsze wypisywała jego imię: Harry. Wzruszało go również to, że ciotka najwyraźniej uważa go za głowę tego domu, głowę domu w rozumieniu rodziny hinduskiej, bo on jest mężczyzną, potencjalnym żywicielem, mężem i ojcem, rodzicem. Śmieszne — nie wyobrażał sobie, że kiedykolwiek się ożeni. Hinduskie dziewczęta nie podobały mu się. Na młode Angielki, które widywał w dzielnicy garnizonowej, patrzył tak, jakby były spowite w fałdy niewidzialnej zasłony, parady, zupełnie zatracając swoją realność i kobiecość. Przedmiotem jego żądz stała się jakaś czelokształtna istota o kobiecych piersiach i krągłych biodrach, ale o kolorze skóry ambiwalentnym, niema, ślepa, nieruchoma pod jego ciałem, które nocą wskutek napięcia, doznawanego na jawie czy we śnie, nieraz się wdzierało w pustkę i uwalniało od martwego naporu gwałtownych nie kierowanych odruchów.

Dopiero w cztery tygodnie po ostatniej rozmowie z Knigtem Hari zaczął się starać o inną posadę. Tyle właśnie czasu zabrało mu, teraz już w pełnym poczuciu rzeczywistości, rozważenie logiki sytuacji. Angielskie wychowanie, cenny dar ojca, było pod wieloma względami obciążeniem, zasadniczo jednak nadal uważał je za swój atut, jedyną okoliczność nadającą mu godność. Jest silny, zdrowy, niebrydki, ale tacy są niezliczeni młodzi Hindusi. Jeśli on ma nad nimi przewagę, to tylko dzięki temu, że świetnie włada językiem angielskim. Logika nakazywała roztropnie to wykorzystać. Przyszło mu na myśl, że mógłby zarabiać jako prywatny nauczyciel angielskiego, uczyć chłopców, którzy chcą sobie poprawić wymowę. Ale nie pociągało go takie życie. Wątpił, czy byłoby dostatecznie aktywne i czy miałby konieczną w tym zawodzie cierpliwość, nie mówiąc już o kwalifikacjach. Natomiast dosyć nęciło go coś innego.

Przeglądając co tydzień, od roku z górą, „Mayapore Gazette”, Hari wiedział, gdzie ze swymi umiejętnościami mógłby znaleźć naturalne oparcie. Ten angielski tygodnik wydawany przez Hindusa był niewątpliwie redagowany też przez Hindusów. Artykuły wstępne, dotyczące spraw ogólnych, stały na dość wysokim poziomie, ale doniesienia o wydarzeniach miejscowych często były niezamierzenie zabawne.

225

„Mayapore Gazette” cieszyła się podobno dużym wzięciem wśród Anglików, chyba nie tylko dlatego — jak przypuszczał Hari — że czytając ją mogli zobaczyć swoje nazwiska w rubrykach towarzyskich i sportowych, ale i dlatego, że mieli się z czego pośmiać.

Jak na organ finansowany przez Hindusa, „Mayapore Gazette” dosyć sprytnie unikała angażowania się w sprawy polityki. Charakter polityczny miało kilka miejscowych gazet wydawanych w języku hindi oraz „Mayapore Hindu”, gazeta wydawana po angielsku, którą pewni Anglicy w administracji czytali z obowiązku, a inni kupowali, aby porównać jej doniesienia z doniesieniami kalkuckich „Times of India” i „Statesman”, ale którą ogół Anglików wcale się nie interesował. Niejeden jej numer skonfiskowano.

Hari zdecydował się starać o posadę w redakcji „Mayapore Gazette”. Przez kilka dni wypisywał z zamieszczonych tam artykułów przykłady szczególnie błędnej składni i niewłaściwie użytych idiomów. Potem zredagował te fragmenty. Pewny, że robi to dobrze, napisał do redaktora naczelnego z prośbą o rozmowę. Przerabiał list kilkakrotnie, zanim uznał, że ograniczył się rzeczywiście do meritum sprawy. Jak wynikało z nagłówka nad artykułem redakcyjnym, redaktor naczelny nazywał się B. V. Lakszminarajan. Napisał więc do pana Lakszminarajana. Podał swój wiek, zdobyte wykształcenie. Zawiadomił, że pragnąc oszczędzić panu Lakszminarajanowi fadygi odpisywania, wkrótce pozwoli sobie zatelefonować. Po namyśle dodał, że pan Knight z British-Indian Electrical prawdopodobnie będzie gotów przekazać referencje o nim, które otrzymał od dyrektora szkoły Chillingborough. Podpisał się: Hari Kumar, i na kopercie zaznaczył: „osobiste”, by zmniejszyć możliwość, że ten list otworzy i zniszczy ktoś w redakcji, kto mógłby się poczuć zagrożony na swoim stanowisku. Nie na próżno pracował w kantorze wuja. Zakładał, że pan Lakszminarajan nie zatelefonuje do pana Knighta, bo albo w ogóle go nie zna, albo zna go nie tak dobrze, żeby do niego dzwonić, a gdyby nawet, to i tak pan Knight nie odważy się powiedzieć Hindusowi nic poza tym, że przeprowadzono kilka rozmów, ale na razie nie ma wolnych

etatów. Liczył też na zasady Knighta-dżentel-mena: ewentualny pracodawca nie powinien przecież mówić innemu ewentualnemu pracodawcy nic złego o młodym człowieku ze szkoły, z której drużyną grał kiedyś w krykieta.

Drugie założenie okazało się słuszne. Lakszminarajan znał Knighta, ale nie tak dobrze, żeby dzwonić do niego dla potwierdzenia czegokolwiek, co się dzieje w British-Indian Electrical Company. W żadnym razie nie zadzwoniłby tam w sprawie listu Kumara. Lakszminarajan nie lubił pana Knighta, uważał w skrytości ducha, że to zawodowiec, jeśli chodzi o dwulicowość, oportunistą, który dawno zdławił swoje skłonności liberalne, śmiertelnie bojąc się wychylać.

— Knight — powiedział później Hariemu — teraz jest już tylko pionkiem. — Nieraz wygłaszał takie cierpkie uwagi o Knighcie, bo to mu pomagało nie myśleć tak o sobie samym.

Lakszminarajan zainteresował się listem Hariego Kumara, ale odpisując: „Bardzo proszę o telefon, chociaż w tej chwili nie mam wolnych etatów”, wcale nie zamierzał

226

tego petenta zatrudnić. Co więcej, musiał na polecenie nieobecnego wydawcy (który nazywał się Madhu Lal i mieszkał w Kalkucie) zredukować koszty ogólne, żeby cała ta inwestycja przynosiła bardziej sensowny zysk netto. Osobiście był zdania, że „Mayapore Gazette” rozchodziłaby się lepiej, gdyby wyraźnie popierała hinduski nacjonalizm. W istniejącym stanie rzeczy jest tylko kamieniem obrazy dla miejscowej organizacji Kongresu i raczej tematem żartów dla Anglików. Nie wątpił, że „Mayapore Gazette” cieszyłaby się wśród Anglików większym wzięciem, gdyby mogła ich bulwersować. Ogółu obecnych czytelników — nieśmiało zeuropeizowanych Hindusów i angielskich snobów — przecież by wtedy nie utraciła, bo byli jak stado owiec. Już po roku powiększyłby nakład o pięć, dziesięć tysięcy, gdyby Madhu Lal pozwolił mu zrobić z tego tygodnika trybunę dobrze poinformowanej, kontrowersyjnej opinii miejscowej i narodowej — nie hinduskiej, nie mużułmańskiej, nie brytyjskiej, tylko indyjskiej w najlepszym znaczeniu tego słowa.

Lakszminarajan sumiennie wierzył w swoją „Mayapore Gazette”. Wierząc w nią, mógł dalej wierzyć w siebie. Ponadto szczerą, krytyczną postawą wobec tej gazety mogła sprawiać więcej satysfakcji niż krytyczna postawa wobec samego siebie. Znalazł sposób zastępowania działalności o charakterze negatywnym myślą pozytywną, a to już było dobrze. Zbyt daleko zaszedł w ugodowość wieku dojrzałego, żeby zdołać w sobie wykrzesać na nowo — jakoś praktycznie, rozsądnie — iskrę swej zbuntowanej młodości. Na pewno było to dobre również z punktu widzenia Hariego. Gdy Lakszminarajan spotkał się z Harim po raz pierwszy, wystarczyło kilka minut, żeby demon zduszony w tym starym człowieku powstał i bezsilnie próbował wpłynąć na jego zdanie. Demonowi Kumar się nie spodobał — sposób bycia Kumara, sposób siedzenia, z głową podniesioną, z nogą założoną na nogę, z ręką opartą o krawędź biurka — czarny sahib w zarodku, już mówiący tonem pewnego siebie sahiba, z poczuciem wyższości chytrze powściąganym z uwagi na okolicznościową etykietę. Demon się opamiętał tylko dlatego, że skóra Lak-szminarajana była już zgrubiała, nieczuła na klucie ostrogami, i dlatego, że zobaczył w Kumarze potencjalny atut, atut dla takiej „Mayapore' Gazette”, jaką chce wydawać pan Madhu Lal. A gdy Kumar przedstawił na piśmie dowód swoich zdolności redaktorskich — ustępy i całe kolumny ze starych numerów, teraz przełożone na jasną, potoczną angielszczyznę, czasami w chwilach stresu nieosiągalną nawet dla przepracowanego redaktora naczelnego — Lakszminarajan wiedział, że zaproponuje Kumarowi posadę, chociaż będzie chyba musiał odebrać etat jednemu z tych chłopców, którzy go denerwują, ale których lubi najbardziej, jednemu z tych chłopców, którzy mają niewielkie zdolności, ale za to mnóstwo zapału i według wszelkiego prawdopodobieństwa narobią mu w końcu kłopotu.

Lakszminarajan. Mieszka w bungalowie przy ulicy Curzona, dawniej należącej do jakiejś rodziny eunizjatyckiej, która wyprowadziła się z Majapuru w roku 1947. Jest już stary. Píše historię początków indyjskiego nacjonalizmu — apologię

227

lat swojej ugodowości. Prawdopodobnie nigdy jej nie ukończy, a cóż dopiero mówić o wydaniu jej drukiem. Jednak przyznaje, że taktyka Madhu Lala się opłaciła, bo „Mayapore Gazette” nieprzerwanie wychodzi nadal. Gdyby pozostała w jego, Lakszminarajana, rękach, może by się naraziła na zamknięcie w roku 1942, kiedy po raz trzeci czy czwarty skonfiskowano nakład „Mayapore Hindu”. Ale bawi go to, że „Gazette”, obecnie na wskroś nacjonalistyczna, stwarza wrażenie, jakoby zawsze popierała każdą sprawę, której, jak powszechnie się teraz uważa, sprzyjać należało. Nowym wydawcą „Mayapore Gazette” jest bramin, uchodząca z Pakistanu. Nowym redaktorem naczelnym jest kuzyn wydawcy. Uwzględniając politykę centrum, najczęściej miejsca poświęca się w „Mayapore Gazette” na przemówienia i działalność pana Morarji'ego Desaia. Planuje się, począwszy od przyszłego roku, wydawanie tej gazety również w języku hindi, co ma być pierwszym krokiem do zerwania z językiem angielskim. Właśnie to najbardziej smuci pana Lakszminarajana, który przez całe życie kochał angielszczyznę tak samo namiętnie, jak jej nienawidził. W tym języku nauczył się snuć swoje myśli rewolucyjne, ten język wspaniale służył do tego, by obranemu przezeń kursowi umiarkowanemu nadawać pozory rozsądku, a nie tchórzostwa.

— Czym ja jestem teraz? — zapytałby was również, gdybyście odwiedzili go w domu, gdzie przebywa, w otoczeniu wnucząt, piskliwie dających o sobie znać z każdego chyba pokoju i ze słonecznego ogrodu,

„zapuszczonego”, jak powiedzieliby Anglicy. — Otóż ja panu powiem czym. Jestem starcem, który przeżył jeden z największych przewrotów w historii nowożytnej, pierwszy i myślę, że naj-gwałtowniejszy z całego szeregu buntów przeciwko panowaniu rasy białej, powstań obecnie tak już pospolitych, że prawie nudnych. Przeszedłem przez ten ogień bez szwanku. Istny proboszcz parafii Bray, jak w tej piosence, wie pan, co to przetrwał tylu rozmaicie pobożnych królów. Jestem starcem już na emeryturze. Honorowym dożywotnim członkiem Klubu Majapurskiego, zrzeszającego dobrych hin-duistów. Młodzi dziennikarze, którzy się dowiadują, że to ja sterowałem „Mayapore Gazette” po burzliwych wodach przed niepodległością, przychodzą do mnie i proszą: „Niech nam pan opowie, jak to było naprawdę w czasach Brytyjczyków.” Podobnie wasi młodzi może czasami pytają: „Jak to było naprawdę za Hitlera i Mussoliniego?” Starzy Brytyjczycy kolonialni to teraz mit, pan rozumie. Nasi młodzi spotykają nowych Anglików i dziwią się. „O co właściwie było tyle hałasu? Ci faceci wcale nie wyglądają jak potwory i interesuje ich tylko to, co nas interesuje. Przeszłość ich nie obchodzi, tak samo jak nas. My się tylko dziwimy, o co był ten cały hałas, i nie mamy pewności, czy nasz własny rząd spisuje się bodaj trochę lepiej, nie mamy nawet pewności, czy to w ogóle jest rząd, który nas reprezentuje. Wydaje się dość kiepskim skrzyżowaniem starej ortodoksji i starej idei rewolucyjnej. Taki rząd nie ma nam nic do powiedzenia o tym, o czym chcemy słuchać.”

Dałem Kumarowi posadę i po jakimś czasie pozbyłem się faceta nazwiskiem Widjasagar, którego później, w roku 1942, aresztowano razem z kilkoma innymi facetami z redakcji „Mayapore Hindu” i wsadzono do więzienia. Ludzie prosili mnie o podjęcie pewnych kroków w tej nieprzyjemnej sprawie młodego Kumara

228

w związku z Bibighar. Musiałem, niestety, odmówić. Nikt natomiast nie prosił mnie o pośrednictwo w sprawie biednego Widjasagara, który dostał piętnaście batów za naruszenie przepisów więziennych. Nie znaczy to, żebym mógł cokolwiek zrobić dla jednego z nich czy dla drugiego. Ale budziło we mnie sprzeciw to, że kiedy jeden i drugi z różnych powodów zostali aresztowani, tylko Kumar miał orędowników. Ludzie dzwoniли i pytali: „Nie może pan czegoś zrobić, żeby wyciągnąć Harię z więzienia? Przecież on pracował u pana. Niechże pan coś zrobi dla niego. Nie może pan udowodnić, że wtedy nie było go w okolicy Bibighar?” Dzwoniła lady Chatterjec. Dzwonił ten facet Knight z British-Indian Electrical, który prawdopodobnie miał wyrzuty sumienia. Nawet zastępca komisarza, pan Poulson, wezwał mnie i wypytywał o przynależność polityczną Harię Kumara. Powiedziałem mu:

„Panie Poulson, on jest taki jak ja. Do niczego nie należy. Wazeliniarz, podlizuje się władzom.” Bo mnie to zgniewało. Nie widziałem racji, dla której miałbym bodaj palcem kiwnąć, żeby mu pomóc. Jeżeli Brytyjczycy sami nie potrafili zrozumieć, że on jest niewinny, to jakże ja bym mógł interweniować? On był bardziej Brytyjczykiem niż oni.

W tydzień po otrzymaniu posady w „Mayapore Gazette” Hari dostał list od Co-lina Lindseya — list z końca czerwca 1939 roku. Colin przeproszał, że tak długo nie odpisywał.

Od kilku miesięcy jestem w Ochotniczej Armii Rezerwowej i Twój ostatni list dotarł do mnie do obozu szkoleniowego — wyjaśnił. — Mieliliśmy sporo zajęć. Jeżeli będzie wojna, a wszystko na to wskazuje, dostanę stopień podporucznika: dopóki wojny nie ma, jestem starszym szeregowcem bez żołdu (dali mi awans w obozie tej wiosny) i też mi się żyje byczo. Ty chyba myślisz o wojsku,* prawda. Harry? To znaczy, w razie czego. Słyszałem, że Armia Indyjska to nie byle co i że jej oficerami są już nie tylko Anglicy. Może więc spotkamy się w jakiejś ziemiance, jak w *Kresie wędrówki!* Przykro mi, że miałeś niemiłe przejście w tej fabryce, czy gdzie to tam było. Nie rozumiem, dlaczego szwagier Twojej ciotki nie chce wybulić trochę forsy, żebyś się dostał do Indyjskiej Służby Państwowej. Tatuś mówił mi, że jak słyszał od kogoś ze znajomych. Hindusi mogą być nawet sędziami sądu najwyższego, więc wydaje się, że służba państwowa to jest coś dla ciebie. To albo wojsko. Doradzam wojsko. W wojsku żyje się wspaniale. I naprawdę byłby z Ciebie pierwszorzędnym dowódcą plutonu. Ja właśnie chcę być dowódcą plutonu, jeżeli ta wojna w ogóle wybuchnie. Wtedy mógłbyś zagrać na nosie temu Stubbsowi, który najwyraźniej jest materiałem tylko na szeregowca. Takiego jak ja chwilowo! Mam przecucie, że kiedy dostaniesz ten list, już będę we Francji. Dlaczego, do diabła, to zawsze musi być Francja? W mojej jednostce uważa się, że Szkopów należałoby wpuścić tutaj. Wtedy moglibyśmy rzeczywiście pokazać im, gdzie raki zimują. Major Crane,

229

nasz dowódca, przypuszcza, że po tych wszystkich bzdurnych nawoływaniach o „armaty zamiast masła” ci biedni dranie są i tak prawie zagłodzeni, brak im siły nawet, by podnieść na ramię broń, a cóż dopiero mówić o strzelaniu z armat. Kochany stary Harry, szkoda, że nie jesteś tutaj, że nie będziemy mogli w tym uczestniczyć razem. Jak pragnę zdrowia, to teraz jedyna rzecz, w której warto uczestniczyć. Rodzice przesyłają Ci serdeczne pozdrowienia.

— Kiedyś on mówił mi o liście tego chłopca, Lindseya — powiedziała siostra Ludmiła. — Dlaczego traktował mnie jak spowiedniczkę? Wcale na to nie zasłużyłam. Mówił w ten swój zwykły sposób, tak jakby w nic nie wierzył, to była taka jego maniera.

„Siostro — zapytał — co by siostra zrobiła, gdyby dostała siostra list od starego przyjaciela, świadczący ni stąd, ni zowąd, że mówicie innymi językami?”

Nie pamiętam swojej odpowiedzi. Chyba powiedziałam:

„Jest tylko jeden język, język Boga.”

Miałam na myśli tę prawdę, pan rozumie... że tylko język Boga się liczy, żaden inny. On uważał, że doszło do tego po części z jego winy. Przyznał, że w listach do Lindseya nigdy nie otwierał przed nim serca. Może nie mógł. Nie mógł, bo nie znał własnego serca.

W redakcji „Mayapore Gazette” Hari otrzymywał sześćdziesiąt rupii, czyli niecałe pięć funtów miesięcznie. Połowę tego oddawał ciotce Salini, której, odkąd zaczął pracować u pana Lakszminarajana, wuj Romeś znów zmniejszył zasiłek. Sześćdziesiąt rupii było pensją redaktora. Za reportaże i notatki napisane przez niego samego pan Lakszminarajan zobowiązał się płacić stawkę wysokości jednej anny od wiersza. Trzeba było napisać szesnaście wierszy, żeby dostać jedną rupię.

O tym wszystkim doniósł Colinowi odpisując na list. Może w ten sposób chciał dać do zrozumienia, że niebezpieczeństwo zakusów niemieckich wydaje się w Ma-japurze bardzo dalekie i że buńczuczność młodego Lindseya, dziwnie brzmiąca nutą sprzed roku 1914, zgoła nie harmonizuje z jego, Hariego, obecną postawą obywatelską ani też z ową pogardą, z jaką — dobrze to pamiętał — obaj się odnosili, czy może tylko twierdzili, że się odnoszą, do wojny. Coś stało się z Colinem. Daremnie usiłował zgłębić, co to takiego. Kiedyś obaj byli gotowi, w razie gdyby wybuchła jakaś wojna, uchylić się od służby wojskowej, sprzeciwić się temu, co nazywali przymusowym stosowaniem przemocy fizycznej w interesie politycznym i gospodarczym państwa. A tu raptem Colin pisze z nostalgią o *Kresie wędrówki*. Czy noszenie munduru tak zmienia człowieka? I właściwie dlaczego Colin dobrowolnie włożył mundur? Colin, który kiedyś powiedział, że patriotyzm tak samo jak fanatyczna po-

230

bożność jest wypaczeniem ludzkiego instynktu przetrwania. Że Chillingborough to szklarnia, gdzie się hoduje administratorów, a nie żołnierzy. I że w oczach administratora wojsko stanowi ostatnie okopy polityki, do których zasadniczo wstyd byłoby się wycofać.

Rad jestem — napisał Han — że życie w OAR zanadto Ciebie nie nuży...

Ta angielska subtelność! Jeszcze pisząc te słowa pojął, że można z nich wyczytać zarówno męskie niedomówienie, jak zjadliwą krytykę.

...i przypuszczam, że jeśli coś się rozpetą, Indie wezmą udział w tej wojnie. To oznacza, że ja też.

Siedział i zastanawiał się przez chwilę. Wcale nie czuł, że to by oznaczało także jego udział.

Trudno jest stosować teorie w sytuacjach, w których trzeba podjąć konkretną decyzję — pisał dalej. — Chyba Ty, bardzo podobnie jak ja, znalazłeś się właśnie w takiej sytuacji!

Przypomniał sobie czasy, gdy pan Lindsey mówił o Adolfie Hitlerze: „cholerny malarz pokojowy”, a później: „człowiek, który bądź co bądź czegoś dokonał”. I przypomniał sobie, jak podczas rokowań w Monachium (akurat wtedy próbował ugłaskać wuja Romeśa Canda) Colin w swoim liście napisał z wyraźną ulgą, że dzięki rozsądkowi pana Chamberlaina niebezpieczeństwo wojny przestaje zagrażać. Monachium dla Hariego nie znaczyło nic. Przypominając sobie tamten okres, stwierdził, że nie znaczyło również nic dla Anglików w Majapurze, pełnych miłej kolonialnej wiary w niezniszczalność swej rasy. Nie wątpił jednak, że ton ostatniego listu Colina wiernie oddaje obecny nastrój Anglików zarówno w kraju, jak w koloniach. Sam usiłował wprawić się w ten nastrój, ale nie zdołał.

Nie znajdował pożywki na Ćilijanwala Bagh ani w dzielnicy garnizonowej, ani w salach sądu, ani nawet na placu ćwiczeń. W żadnym z tych miejsc znanych mu coraz lepiej, odkąd pisał reportaże dla „Mayapore Gazette”, nie mógł znaleźć pożywki, bo wkraczał tam jako Hindus. Miał pozwolenie na wstęp, a nie prawo wstępu. Nie obchodziło go to, co tam widział, nie obchodziło go to, co tam odczuwał — ta zawiść wobec Anglików i ich instytucji, która zapełniła w nim próżnię po utracie angielskiej tożsamości. W sądzie policyjnym patrzył na młodego se

dziego, Anglika, wprawdzie nie decydującego o życiu lub śmierci (tacy sędziowie mieli kompetencje ograniczone), ale obdarzonego władzą dostateczną, żeby skazać człowieka może starszego od jego ojca na rok więzienia, i z przykrością mógł sobie łatwo wyobrazić, że to jest Colin. Z przykrością deprymującą, ponieważ widział wtedy Colina — choćby tylko symbolicznie — w niekorzystnym świetle. * ,

231

Z drugiej strony, gdy któregoś dnia zobaczył tam sędziego Hindusa zamiast tego Anglika, nie potrafił sobie wyobrazić na jego miejscu siebie. Patrząc, jak Hindus sprawuje sąd nie mniej cierpko i z nie mniejszą pewnością siebie niż Anglik, po raz pierwszy się zastanowił: Czy tak się godzi? Żeby Hindus wymierzał kary grzywny temu mężczyźnie, skazywał tamtą kobietę na karę więzienia, kierował sprawę do sądu wyższej instancji? Myśl o Hindusie, który pełni funkcje Anglika, wywołała w nim nieoczekiwany sprzeciw. Próbując swoją reakcję zanalizować, pojął, że reaguje jak członek rasy poddanych. To go zaniepokoiło.

Tyle szumu — pisał do Colina w dwa miesiące później (daleko w Europie wojna już się zaczęła) o rozwiązaniu się rządów prowincji pod naciskiem Kongresu. — Oczywiście można zrozumieć oba punkty widzenia. Wicekról musiał w imieniu Indii wypowiedzieć wojnę Niemcom, bo reprezentuje króla-cesarza, a Niemcy są teraz nieprzyjacielem Wielkiej Brytanii. Ale skoro, w myśl wytycznych polityki brytyjskiej, traktuje się Indie jako powstające dominium, które potrzebuje tylko czasu, żeby zaczęło się rządzić samo, wicekról mógłby bodaj czysto formalnie zasięgnąć przedtem rady przywódców indyjskich. Podobno zgodnie z ustawą z roku 1935 powinien to zrobić, ale choćby nawet nic go do tego nie zobowiązywało, wypowiedzenie wojny miałyby o wiele większy efekt, gdyby Hindusi jednocześnie oświadczyli, że będą dobrowolnie współpracować. Można też zrozumieć, dlaczego Hindusi, kiedy tyle się mówi o brytyjskich planach w związku z wojną, uważają, że powinny one obejmować przyznanie Indiom niepodległości zaraz po wojnie. Ale tego punktu nie ogłoszono wyraźnie, z określeniem daty. Toteż wielu Hindusów uważa, że trzeba się domagać niepodległości już teraz. Ci wysuwają argument, że tylko naród niepodległy ma w sobie bojowego ducha. I obawiają się, że po wojnie nastąpią dalsze obietniki cacanki, jakimi Anglicy raczą Indie co najmniej od dziesięciu lat. Ale moim zdaniem Hindusi sami są winni temu, że sprawa się tak odwleka. Kongres głosi, że jest partią reprezentującą Wszechindie, a wcale nie jest. Niezgoda w Kongresie w kwestii, kto co reprezentuje, to akurat woda na młyn dla tych Anglików, którzy nie chcą zrezygnować z Indii i na pewno potrafia postawić na swoim. Tak uważał mój ojciec. W sumie myślę, że miał rację. Na przykład teraz, kiedy rządy kongresowe w prowincjach się rozwiązały, w większości indyjskich prowincji znów rządzi gubernator ze swoją radą przyboczną w dawnym stylu. A właśnie czemuś takiemu każda rozsądna partia musi, jak mi się wydaje, zapobiegać, bo to ją cofa pod względem politycznym o całe lata. No, ale ja nigdy nie zdołałem i chyba nie zdołam doszukać się w polityce Hindusów bodaj odrobiny sensu. Jeżeli chodzi o tutejszych Anglików, to dla nich wojna, o ile się orientuję, nie pociąga za sobą żadnych skutków. Naprawdę tutaj nieomal można by myśleć, że wojna toczy się na jakiejś innej planecie. Zresztą, sądząc z wiadomości, niewiele się dzieje, prawda? Anglicy tutaj mówią, że Hitler już widzi, że chapnął więcej, niż może przełknąć, więc sięgnie po rozum do głowy i będzie się starał wejść w jakieś

232

układy z Francją i Brytanią. Niektórzy Hindusi mówią, że ich przywódcy, zwłaszcza Nehru, od lat ostrzegali Zachód przed niebezpieczeństwem, jakie Hitler zawsze stanowił.

Poza krótkim liścikiem napisanym w czasie świąt Bożego Narodzenia, które Colin po przeszkoleniu oficerskim spędził w domu, Hari nie miał od przyjaciela żadnych listów przez cały prawie rok. Wiosną roku 1940 dostał kartkę od pana Lindseya z zawiadomieniem, że Colin jest gdzieś we Francji i ostatni list Hariego został mu tam przesłany. Pan Lindsey dodał, że listy do Colina najlepiej pisać na adres domowy w Didbury, skąd przesyła się Colinowi korespondencję na front.

Hari dobrze pamiętał zmianę, która zaszła w stosunku pana Lindseya do niego w roku 1938 i świadczyła o tym (w ciągu tych paru ubiegłych lat to rozumiał), że ojciec Colina mu nie ufa.

Co pan Lindsey będzie robił z moimi listami? — zastanawiał się. — Będzie je czytać? Cenzurować? Zatrzymywać, jeśli znajdzie w nich coś, co uzna za podejrzanе albo co mogłoby w jego mniemaniu zdenerwować Colina?

Gdy pisał, na papier padał cień pana Lindseya. Tok myśli wybiegających do przyjaciela z ławy szkolnej hamowało też przeświadczenie, że on i Colin coraz bardziej oddalają się od siebie wskutek nie tylko okoliczności, ale i działania potężnej siły złośliwego ducha, który doprowadził jego ojca do śmierci, a jego skazał na wygnanie.

Jednak w sierpniu 1940 roku przyszedł wreszcie list od Colina, taki, jakby nic między nimi się nie zmieniło. Strukturę przyjaźni, dopóki nie ulega jakimś naciskom, rzadko kiedy poddajemy analizie. Analizując swoją przyjaźń z Colinem Hari stwierdził, że jest z gruntu uczciwa. Opiera się na pokrewieństwie dusz i od dawna już nie ma w niej niezdrowej czy też po prostu dziecięcej ciekawości, jaką na początku wzbudzał odmienny kolor skóry, urok odmienności genów. List Colina sprawił, że czas się cofnął, jak gdyby nie było lat rozłąki, i zabrzmiał

znów głos Lindseya przyjaciela. Czytając między wierszami, Hari pojął, że Colin nie ma łatwego życia. To ich stawiało znów na jednej płaszczyźnie. List zawierał niewiele ogólnych informacji. Młody Lindsey był w Dunkierce, a potem

trochę w szpitalu, bo chociaż nie byłem ciężko ranny, nieprędko mogłem mieć odpowiednią pomoc lekarską i opatrunek, więc rana się zapaskudziła, ale teraz już jest w porządku.

Pisał to po wyjściu ze szpitala, na krótkim urlopie w kraju przed powrotem do jednostki.

Dunkierka — krwawa rzeź, gdyby mnie kto pytał. Chce mi się śmiać, kiedy słyszę, jak tatuś chlubi się tym, że jego syn był w Dunkierce. Ja o Dunkierce myślę zawsze z gniewem, ale z gniewem nieokreślonym, bo właściwie na kogo czy też na jaki zespół ludzi spada w największym stopniu odpowiedzialność za to, co się tam stało?

233

Przypuszczam, że to nasza stara znajoma, Nemezis, wreszcie nas dogoniła. Utraciłem jednego serdecznego przyjaciela. Parę dni temu odwiedziłem jego siostrę. Śmieszne, jak się włazi w te banalne melodramatyczne sytuacje. I jej, i mnie było piekielnie głupio. Kiedy przyjechałem ze szpitala, tatuś dał mi Twoje dwa listy, które zatrzymał w domu. Doszło do małej awantury. Zdenerwowałem się, bo mogłeś sobie myśleć Bóg wie co, kiedy tak długo nie miałeś ode mnie odpowiedzi. Najpierw tatuś mówił, że chodziło mu o mój spokój i że Ty zrozumiesz, że jestem zajęty innymi sprawami. Potem przyznał się: czytał te listy i uważa, że jest w nich mnóstwo „zapalczego rozpolitykowania”. Harry, piszę Ci o tym tylko po to, byś pamiętał, że jeżeli będziesz, do mnie pisał na domowy adres, Twoje listy mogą być czytane. Tatuś przyrzekł mi, że już nigdy tego nie zrobi, ale on ma ostatnio jakieś dziwne podejście. Nie chcę sprawiać staruszkowi przykrości, ale pod wieloma względami wydaje mi się obcy. I to jest też banalna sytuacja, prawda? Tak banalna, że prawie nie wierzę w szczerą swoją reakcję. Ale on tak często działa mi na nerwy tym, co mówi i robi. Powiesił teraz na ścianie mapę wyciętą z „Timesa” i jak generał wbija w nią szpilki. W Dunkierce tkwi szpilka z małą papierową flagą brytyjską. Odnoszę wrażenie, że to reprezentuje mnie. Napisz coś rozsądnego.

Coś rozsądnego? Rankiem przed otrzymaniem tego listu Hari był w sądzie okręgowym i przysłuchiwał się pewnej sprawie w apelacji. Wniósł apelację człowiek skazany przez sąd niższej instancji za kradzież krowy i sprzedaż jej komuś, kto dołączył ją do posagu córki. Ów człowiek powiedział, że krowa stała się jego własnością, skoro wciąż puszczano ją na jego łąkę, żeby żywiła się za darmo, i że wartość paszy, jaką tam już zżarła, wynosi więcej niż cena rynkowa krowy. Podstawę odwołania się do sądu okręgowego stanowiło to, że sędzia w Tanpurze nie przyjął zeznań dwóch świadków, którzy przysięgali, że skazany ostrzegwał pierwotnego właściciela wielokrotnie, zanim krowę sprzedał. Sędzia Menen odrzucił apelację. Hari wyszedł wtedy z sądu, bo następną i ostatnią tego dnia sprawa była apelacją po uwięzieniu z paragrafu 188 Indyjskiego Kodeksu Karnego, a redaktor naczelny „Mayapore Gazette” nigdy nie zamieszczał artykułów na tematy kontrowersyjne.

Coś rozsądnego? — odpisał Hari Colinowi. — Chyba w czasie wojny można uważać, że szczególnie rozsądne, chociaż w gruncie rzeczy niesprawiedliwe, jest pakowanie ludzi do więzienia za szczerą wypowiedź. Ale tutaj to rygor wcale nie tymczasowy, wprowadzony tylko na czas wojny. Tutaj ten rygor za warowano całym paragrafem w kodeksie postępowania karnego i stosuje się go od bardzo dawna. Zgodnie z paragrafem 144 władze cywilne mogą same decydować, kto stanowi potencjalne zagrożenie dla miejscowego spokoju publicznego, i w konsekwencji nakazać komuś takiemu pod karą aresztowania i więzienia, żeby siedział cicho. Jeżeli nie słucha, zostaje postawiony w stan oskarżenia i ukarany z paragrafu 188. O ile mi wiadomo, może apelować aż do sądu w prowincji, jeżeli ma ochotę. Tego dnia, kiedy dostałem Twój list, byłem w sądzie okręgowym. Wyszedłem, zanim sędzia (Hindus) zaczął rozpatrywać taką apelację, więc nie wiem,

234

jak się to naprawdę odbywa. Ale wychodząc zobaczyłem tego apelującego. Czekał z dwoma policjantami przy drzwiach dla więźniów. Poznałem go, nazywa się Moti Lal. On też mnie poznał. Powiedział: „Cześć, Coomer”, ale w tym samym momencie policjanci pchnęli go do sali. Znam go, bo pracował w biurze mojego wuja przy boczniczy kolejowej i tam właśnie widziałem go poprzednim razem. Zacząłem pytać o niego, kiedy wróciłem do redakcji. Dowiedziałem się, że wuj zwolnił go z pracy kilka miesięcy temu, jakoby za nieudolność. Ale sądząc z tego, co mi powiedział mój naczelny, powód był inny: wuj usłyszał od kogoś, że Moti Lal ma jakieś powiązania z czymś, co można by nazwać podziemiem Partii Kongresowej. Później zapytałem radcę prawnego wuja — to bramin, nazywa się Srinivasan — za co właściwie aresztowano Moti Lala. Jak się okazuje, on wciąż „podburzał” robotników i uczniów technikum do strajków i do zamieszek i wbrew zakazowi wygłosił buntownicze przemówienie w technikum na zebraniu starszych uczniów. Poza tym podejrzewano, że jest przywódcą grupy młodych ludzi, którzy drukują i rozpowszechniają wyrotowe broszury, ale na to nie było dowodów. W każdym razie dostał sześć miesięcy. Jego apelację sąd odrzucił. Powiedział mi o tym mój eks-kolega z „Mayapore Gazette” spotkany wczoraj w sądzie. Niejaki Widjasagar. Teraz pracuje w radykalnej gazecie „Mayapore Hindu”.

Widjasagar to równy gość, dosyć go lubię, ale tym bardziej mam z jego powodu nieczyste sumienie. Przez pierwszych kilka tygodni mojej pracy w „Mayapore Gazette” naczelny wysyłał mnie z nim właściwie wszędzie, a

potem zwolnił go z pracy. Widja zniósł to dzielnie. Powiedział, że domyślał się, dlaczego naczelny mu zleca wprowadzanie mnie we wszystko. Powiedział: „Nie mam do ciebie pretensji, Kumar, bo ty nic nie wiesz.” I zawsze, kiedy przypadkiem się spotykamy, trochę ze mnie podkpiwa. Mówi, że z czasem może się nauczę być dobrym Hindusem.

Nie jestem jednak pewny, co to znaczy: dobry Hindus. Czy to ten, który idzie do wojska (przez szacunek dla tradycji rodzinnej), czy ten, który ma dość dużą fortunę i ambicję, żeby łożyć na Rządowy Fundusz Wojenny, czy może to buntownik, który dostaje się za kratki jak Moti Lal? Czy może dobrym Hindusem jest ów Mahatma, którego wszyscy tutaj nazywają Gandhidzi i który w zeszłym miesiącu, kiedy Europa już zobaczyła, z czego się składa armia Hitlera, chwalił Francuzów za to, że się poddali, i napisał do brytyjskiej rady ministrów, żeby zastosowali „szlachetniejszy i odważniejszy sposób walki” i pozwolili mocarstwu Osi wkroczyć do Brytanii. Według jego recepty szlachetniejszym i odważniejszym sposobem walki jest odmowa współdziałania — bez uciekania się do przemocy. To mi wygląda na „dobrego Hindusa”. No, ale mamy też Nehru, który najwyraźniej uważa takie stanowisko Gandhiego za wariactwo. Nehru chyba chce się bić z Hitlerem. Mówi, że trudności Anglii nie są dla Indii szansą do wykorzystania. Ale dodaje, że Indie nie mogą z tego powodu zaprzestać swojej walki o wolność. Może więc dobry Hindus to eks-kongresowiec, Subhas Chandra Bose, który stawia wolność na pierwszym miejscu i teraz w Berlinie podlizuje się Hitlerowi, a nas przez radio wzywa do zerwania kajdan. Czy może to pan Linnah, który w końcu uprosił wspólny problem, bo żąda oddzielnego państwa dla muzułmanów, jeżeli Kongres, gdzie

2.15

dominują hinduiści, zdoła się pozbyć Brytyjczków? Czy też może to radża, który zawarł umowę z brytyjską Koroną, respektującą jego prawa suwerenne, i nie zamierza tych praw utracić tylko dlatego, że nad Indiami brytyjskimi kontrolę przejmie grupa indyjskich radykałów? Na tym właśnie polega problem w istocie poważniejszy, niż kiedykolwiek myślałem, ponieważ radzowie rządzą prawie jedną trzecią całego terytorium Indii. Z drugiej jednak strony, czy nie należy zapomnieć o tych wymyślnych aspektach zagadnienia, kto jest albo nie jest dobrym Hindusem? Czy nie należy uznać, że dobry Hindus to prosty wieśniak, który chce jedynie uwolnić się od jarzma miejscowego lichwiarza, mieć prawo do całości swoich pól? A co na to wszystko Anglicy?

Odpowiedź brzmi: naprawdę nie wiem, bo tutaj nie zaliczam się do nich. Spotykam się z nimi tylko jako reporter na publicznych imprezach towarzyskich, takich, że gdybyście je widzieli, wy w Anglii obłączonej, zaciskającej pasa, skręcalibyście się ze śmiechu albo z wściekłości. Kiedy z nimi rozmawiam, przypatrują mi się zdumieni, że mówię jak oni. Nieraz ktoś z nich (z tych mężczyzn, nigdy żadna z kobiet) pyta mnie, gdzie się nauczyłem mówić po angielsku tak dobrze, i słysząc moją odpowiedź niemiej, wyraźnie zakłopotany, jak gdyby myślał, że go nabierani i spodziewam się, że mi uwierzy.

O ile się orientuję, oni nie mogą ścierpieć tego, że Ameryka (choć jeszcze nawet nie przystąpiła do wojny, jeśli w ogóle do niej przystąpi) usiłuje się wtrącać i wymuszać ustępstwa na rzecz Hindusów, których oczywiście uważają za swoją prywatną własność. Bardzo ich natomiast cieszy to, że władzę przejął Churchill, ten jedyny Anglik zawsze przeciwny wszelkim reformom liberalnym w administracji Imperium Indyjskiego. Teraz, po klęsce Sił Ekspedycyjnych we Francji, Churchill próbuje, jak inni przedtem, ukotłosać ambicje Indii mglistymi obietnicami, że Hindusi będą mieli więcej do powiedzenia w rządzeniu własnym krajem (przez co chyba należy rozumieć, że kilku nieszkodliwych Hindusów zasiądzie w radzie wicekróla), ale radykałowie indyjscy śmieją się z tego. Pamiętają (powiedział mi mój naczelny) tamte wszystkie obietnice z czasów Wielkiej Wojny, kiedy Kongres ochoczo pomagał Koronie, bo wierzył, że to się opłaci, wierzył, że Korona wynagrodzi Indie uznaniem ich roszczeń do częściowego samorządu. Obietnic nie dotrzymano. Przeciwnie, podjęto jeszcze surowsze środki, żeby zdławić wzbурzenie, i cała ta żałosna sprawa obietnic Wielkiej Wojny skończyła się w roku 1919 pokazową masakrą na Dżallianwala Bagh w Amritsarze, kiedy ten facet, generał Dyer, strzelał do tłumu nie uzbrojonych cywilów, którzy nie mieli dokąd uciec, więc umierali setkami. Pojawienie się Churchilla na czele brytyjskiego rządu wojennego (witane przez tutejszych Anglików z taką radością) przygnębiło Hindusów. Są tym głęboko poruszeni, to jasne. Nie przypuszczałem, że Churchill ma taką paskudną sławę. Mówią o nim: arcyimperialista. Ciekawe, że coś, co wydaje się dobre dla Anglii, może być jednocześnie złe dla tej części Imperium, którą Disraeli nazwał kiedyś najwspanialszym klejnotem Korony. Liberalni Hindusi oczywiście twierdzą, że Churchill zawsze był realistą, a nawet oportunistą, więc nie zabraknie mu przebiegłości, żeby jeszcze raz zmienić skórę i pójść na liberalne ustępstwa. Najlepszy dowód, że

236

w radzie ministrów są już socjaliści z. opozycji, co ma nadawać rządowi brytyjskiemu pozory narodowej solidarności.

Ale zastanawiam się, jaki będzie wynik. Niewątpliwie w ciągu ubiegłych dwudziestu lat Anglikom udawało się — zamierzenie czy niezamierzenie — skłócać i rządzić. Chodzę na imprezy towarzyskie — takie jak Werbowanie Harcerek, wenty dobroczynne, brytyjsko-hinduskie mecze krykietowe (zwykle przerywane z powodu deszczu, tak że kończą się przy herbacie w namiotach niewidocznie oznaczonych: „Tylko dla Europejczyków” i „Dla innych ras”) — i z rozmów, które tam słyszę, orientuję się, jak bardzo Anglikom musi teraz zależeć na tym, by indyjska opinia polityczna była podzielona, bo to może utrwalić ich panowanie przynajmniej do końca wojny, jeżeli nie dłużej. Anglicy mówią otwarcie: „I co z tego, że zostawimy ten cholerny kraj, kiedy nie ma żadnej partii indyjskiej, reprezentującej naród w sposób dostateczny, żeby jej przekazać władzę.” Oni wołają muzułmanów od

hinduistów (bliższe jest powinowactwo między Bogiem i Allachem niż między Bogiem i Brahmą), czują organiczną sympatię do radżów, roztkliwiają się nad niedotykalnymi i zachwycają się indyjskim chłopen, bo dla indyjskiego chłopca każdy radż to Bóg. Nie lubią natomiast czarnej odbitki swego białego radykalizmu, który przed wiekami przyniósł im Wielką Kartę Swobód. O tym, że w Europie zawsze występował przeciwko feudalnemu *status quo*, nie lubią sobie przypominać, ponieważ występowanie przeciwko leudalizmowi tutaj jest rzeczą ze wszech miar niewłaściwą. Uważają, że przejęli Indie w stanie chaosu, więc nie można mieć do nich pretensji o rozprężenie panujące w Indiach teraz.

Ale czy po dwustu latach nie czas na to, żeby Indie się zjednoczyły? Anglicy poczytują sobie za zasługę wszelkie ulepszenia, jakie wprowadzili. Ale czy jednocześnie nie powinni z innych powodów poczuwać się do winy? Kto, na przykład, jeszcze pięć lat temu słyszał o koncepcji Pakistanu — oddzielnego państwa muzułmańskiego? Wątpię, czy Pakistan kiedykolwiek się urzeczywistni, ale jeśli tak będzie, to dlatego, że Anglicy wyłgrywali się dostatecznie długo, żeby faworyzowana mniejszość wyznaniowa zdążyła skorzystać z jakiejś sposobności politycznej.

Na pewno to Cię zdumiewa — to, że taki problem, pozornie wewnętrzny, stawiamy na pierwszym miejscu przed wszystkim, co teraz dzieje się w Europie. Anglicy — ponieważ prowadzą tam wojnę — nazywają uznawanie tego pierwszeństwa akcją wywrotową. Amerykanie patrzą na wynikający z tego konflikt jak na burzę w angielskiej filizance herbaty, burzę, której Anglicy roztropnie położą kres, jeśli nadal mają pić tę herbatę co dzień o czwartej po południu (zresztą zaczęli ją tak popijać dopiero wtedy, gdy otworzyli handlowe wrota Wschodu). Ale oczywiście Amerykanie rozumieją, że dla ich kontynentu bliższym niebezpieczeństwem jest to, które może im zagrażać od strony Pacyfiku. Naturalnie chcą, żeby Indie były zjednoczone i silne. Wtedy Japończycy, potencjalny nieprzyjaciel, musieliby pilnować zarówno swoich tylnych drzwi, jak frontowych, gdyby kiedykolwiek spróbowali zdrzeć z Ameryką.

Odkąd pracuję w tej redakcji, z konieczności patrzę na świat i staram się w nim orientować. Ale chociaż już się napatrzyłem, wciąż jeszcze pytam siebie, gdzie

237

jest moje miejsce na świecie, i głowię się nad tym daremnie. Potrafisz to zrozumieć, Colin? W tej chwili wydaje mi się, że nie ma żadnego kraju, któremu winien jestem bezwzględną lojalność. Może tak będzie już zawsze. Nie wiem, czy to mnie pociesza, czy niepokoi. Jeżeli nie ma ojczyzny, cóż zostaje poza cechą antropologiczną, jaką stanowi kolor skóry? To byłby straszny konflikt, bo porachunki do załatwienia na tej płaszczyźnie są rozpaczliwe. Nie ręczyłbym jednak, czy to przypadkiem ten właśnie konflikt nie jest karą, na którą ludzkość zasługuje!

Tak więc Hari nie mógł napisać Colinowi nic „rozsądnego”, ale może wystarczył im obu fakt, że chociaż dzieli ich smat czasu i przestrzeni, nadal znajdują możliwość nawiązania ze sobą kontaktu. Wśród młodych Hindusów krążyło powiedzenie: przyjaźń z białym rzadko wytrzymuje napięcie rozłąki i zawsze pęka przy ponownym spotkaniu na rodzinnej ziemi Hindusa.

— Co by siostra zrobiła — zapytał Hari siostrę Ludmiłę — gdyby siostra dostała od starego przyjaciela list, który świadczyłby o tym, że nagle mówicie innymi języcami?

Może to dziwne, ale właśnie tamten wcześniejszy list Colina, zawierający wzmiankę o *Kresie wędrówki*. Ku mar pamięta! dość dobrze, by w związku z nim zadać po tylu miesiącach takie pytanie. Jak gdyby późniejszy list, w którym Colin donosił o swoim chrzcie bojowym i prosił o napisanie „czegoś rozsądnego”, miał mniejszą wagę niż myśli rzucane na papier w tęsknym nastroju świeżo rozbudzonego patriotyzmu, zdumiewającym dla Hariego. No, ale gdy przyjaciel ukazuje nieoczekiwany aspekt swojej osobowości, jest to bardziej pamiętne niż dawane od czasu do czasu dowody mające świadczyć, że pozostaje wciąż, taki sam, niezmienny. Kumar dobrze zapamiętał wrażenie, że Lindsey mówi nowym, innym językiem, toteż później mógł powiedzieć siostrze Ludmile:

— Powinienem był wtedy rzucić mu wyzwanie. Powinienem był napisać, jak się czuję w Majapurze naprawdę. I napisać: „Obaj się zmieniliśmy, może już nie mamy z sobą nic wspólnego. Prawdopodobnie tak samo głupio jest wierzyć w to, że gdy bym teraz wrócił do Didbury, nie byłoby między nami skrępowania, jak w to, że gdybyś Ty przyjechał do Majapuru, chciałbyś bodaj pokazać się ze mną.”

Właśnie, powinienem był tak napisać. Nie napisałem tak, bo odpychałem myśl o tym. Korespondowaliśmy dalej, ale tylko po to, żeby upewnić siebie samych, że były czasy, kiedy nie ulegaliśmy żadnym naciskom, kiedy byliśmy po prostu niewinni.

Colin przyjechał do Indii w roku 1941 i dostałem od niego list z Miratu. Szalenie się ucieszyłem. Radość trwała jednak bardzo krótko. Zamieniła się w rezygnację, bo wiedziałem, co się stanie. Gdyby on przyjechał z Europy prosto do Majapuru, może mielibyśmy jakąś szansę. Ale Mirat jest daleko stąd. Wydawało się nieprawdopodobne, że go odkomenderują na placówkę dosyć blisko Majapuru, żeby nasze spotkanie mogło dojść do skutku. Wiedziałem, że z każdym tygodniem będzie się powiększała przepaść pomiędzy nim, białym, a mną. Hindusem bez żadnej

pozycji, zwyczajnym Hindusem, który pracuje na utrzymanie i mieszka w mieście tubylców. On zacznie sobie zdawać z tego sprawę, będzie czuł, jak ta przepaść się powiększa, aż raptem zrozumie, że nie ma nad nią żadnego mostu, bo nie ma już pragnienia, żeby most przerzucić. Ja sam ze wstrętem, że zgrozą patrzyłem na ten brud, na tę smrodliwą nędzę tutaj i wiedziałem, że Colin też będzie się wzdygał. On jednak będzie miał dokąd uciec, będzie miał czym się zająć, żeby tego nie widzieć. Zrozumie, że schronienie jest mu potrzebne i że powinien dbać o nie, strzec go przed napastnikami, i w końcu nabierze przekonania, że prawdziwe Indie to klub, kasyno, bungalow, angielskie kwiaty w ogrodzie, schludni służący, obiekty rekreacyjne, pierwszeństwo w sklepach, w urzędach pocztowych, bankach i pociągach — to wszystko, co ma służyć do koniecznej ochrony zdrowia psychicznego, a w rezultacie rozwija egocentryzm, staje się pożywką dla uprzedzeń.

I gdyby nawet Colin miał dostatecznie silną wolę, żeby oprzeć się tym fizycznym i duchowym pokusom, przyjechać do Majapuru i mnie odszukać, gdzie moglibyśmy się spotkać, porozmawiać dłużej niż godzinę czy dwie godziny? Odkąd wojna wybuchła, miasto czarnych jest przecież strefą zakazaną nawet dla oficerów, jeżeli nie mają tam obowiązków służbowych. Do Klubu Sportowego by mnie nie wpuszczono. A jakież wrażenie zrobiłby na Colinie ten drugi klub, skoro nawet ja go nie cierpię? Gdybyśmy się spotkali w hotelu Smitha, chyba by doszło do jakiejś zenującej sceny, bo właściciel, Anglo-hindus, nie lubi gościć Hindusów, którzy nic nie znaczą. W chińskiej restauracji oficerowie mają dla siebie salę na piętrze, a Hindusom, jeżeli nie są oficerami, wolno przebywać tylko na parterze. Moglibyśmy pójść do kina, ale Colinowi byłoby nieprzyjemnie siedzieć w rzędach dla Hindusów. Jest Kawiarnia Angielska, ale nie na próżno tak się nazywa. Gdyby Colin stacjonował w Majapurze, może byśmy mogli spędzić parę godzin w jego kwaterze. Albo może on dostałby zezwolenie na przejście przez most i odwiedził mnie na Cilijanwala Bagh. Rozważałem te wszystkie możliwości, bo trzeba było je przemyśleć. Ale oczywiście rozumiałem, że jedynym stałym czynnikiem w tych moich rozważaniach jest nie tyle miejsce spotkania, ile niezłomność postanowienia, żeby się spotkać. A jaka przyjaźń zdoła przetrwać w takich okolicznościach?

Z Miratu Colin przejechał do Ambali, a potem gdzieś pod Lahaur. W swoim pierwszym liście napisał, że na mapie Mirat jest niedaleko Majapuru. W drugim liście napisał, że nie wie, czy kiedykolwiek będzie dość blisko mnie, żeby nasze spotkanie mogło dojść do skutku. W trzecim nie wspominał wcale o możliwości spotkania. A potem odgadłem, że to już, — w ciągu zaledwie trzech miesięcy — stało się. Colin już zobaczył Indie, które potrafi nazwać tylko moimi Indiami. I patrzy na nie z odrazą, nawet z przerażeniem. Skąd mógł wiedzieć, że ja też jestem pełen odrazy, też jestem przerażony? Skąd mógł wiedzieć, że przez trzy lata z utęsknieniem, z nadzieją czekałem na ratunek i że pojęcie ratunku pomyliło mi się z pojęciem mojej angielskości i z pojęciem mojej przyjaźni z Anglikiem. Skąd mógł w ogóle o tym wiedzieć? Pod jednym względem byłem bardziej angielski niż Colin. On, Anglik, ostatecznie by się przyznał, że czuje odrazę, chociaż może nie przerażenie. Ja, zanglizowany Hindus, nie wazyłbym się w moich listach przyznać jemu

219

ani do jednego, ani do drugiego, w obawie, że uważałby to za „histerię”. Więc pojąłem to, co się stało, tę okropność. Na widok Indii, które on musiał nazwać moimi Indiami, potwierdziło się jego podejrzenie, że wróciłem do mego naturalnego żywiołu.

Mówię o tym tak, jak rozumiałem to wtedy, ale czy rozumiałem? Może tylko wciąż jeszcze usprawiedliwiałem Golina i siebie? Listu z Lahauru nie było, a ja sobie powtarzałem: Wszystko w porządku. Przecież on nie jest cywilem, który nie ma żadnych zajęć poza tym, że wstaje rano, je śniadanie, idzie do pracy i wraca do domu, żeby zobaczyć, co przyniósł listonosz. Potem, kiedy wojna toczyła się już bliżej, kiedy Japończycy zbombardowali Pearl Harbor, dokonali inwazji na Syjam, Malaje i Birmę i wywołali popłoch nawet wśród spokojnych Anglików w Majapurze, czyż sobie nie mówiłem: No, biedny Colin znów jest w tym ogniu. Mało tego, miałem wyrzuty sumienia, że nie jestem na tyle mężczyzną, żeby trwać przy czymś, co jednak musi być pewne, przy owym wyhodowanym we mnie Angliku; wstąpić do wojska, walczyć za sprawę narodu, z którym kiedyś czułem się duchowo związany, chociaż oni tutaj w sposób oczywisty nie czują się duchowo związani ze mną. I nigdy mi nie przychodziło na myśl, że od roku 1938 piekielnie komplikuję sobie życie tym, że boczę się, zupełnie jak ci biedni urzędnicy wuja, którymi pogardzałem, i nie chcę zawierać żadnych nowych znajomości, i nie odwzajemniam się ciotce Salini za jej dobroć, za jej serce niczym, co mogłoby w jej rozumieniu być serdecznością czy bodaj podziękowaniem.

A potem w styczniu 1942 roku zobaczyłem w dzielnicy garnizonowej angielskich żołnierzy z dobrze znaną nazwą pułku na rękawach. Z nazwą dobrze mi znaną z listów Colina najpierw z Miratu, później z Ambali, później z okolic Lahauru. Kapitan C. Lindsey, nazwa tego pułku i numer jednostki, adres, na końcu Dowództwo w Indiach.

— Opowiadał mi o Colinie — powiedziała siostra Ludmiła — za drugim razem, kiedy widziałam go pijanego. Mówiłam panu, że była taka sytuacja. Już po jego wyprawie z nią, z tą dziewczyną, do świątyni. Wtedy mi się tak zwierzał. Jej o tym nie mówił. Kiedy przyszła pożegnać się ze mną, zapytałam ją:

„Pani wie o Lindseyu?”

Zastanawiała się przez chwilę, zanim odpowiedziała:

„Nie wiem, niech mi siostra opowie.”

Ale ja ucięłam:

„Nieważne.”

Bo wówczas to nie było ważne. Teraz dla pana może jest. Po tylu latach.

„Widziałem go, siostrze — powiedział mi młody Kumar — przynajmniej wydawało mi się, że go widzę. Wyszedł z Banku Imperialnego i wsiadł do wojskowej ciężarówki z takimi samymi insygniami na tylnej klapie, jakie ci brytyjscy żołnierze mają na rękawach.”

240

Ale pewności nie miał. I nawet wtedy usprawiedliwiał Lindseya. To już były czasy, kiedy wojna z Japończykami zbliżyła się do naszych progów. W Indiach się zmieniło. Panował nastrój wojskowego pośpiechu, nastrój tajemnicy wojskowej. Kumar tamtego dnia, kiedy mu się wydawało, że zobaczył Colina, spodziewał się listu z wiadomością: „Słuchaj, stacjonuję niedaleko Majapuru i czasami przyjeżdżam do dzielnicy garnizonowej. Gdzie się spotkamy?” Ale takiego listu nie było. Dni miały i nic. Więc myślał: Nie, przywidziało mi się, to nie był Colin. Colin nie mógłby stacjonować w okolicach Majapuru i nie napisać mi o tym. Aż tak Indie nie mogłyby go zmienić. Na pewno nie. Jakżeby Indie mogły aż tak zmienić kogokolwiek, a coś dopiero Colina?

Może pan to sobie wyobrazić? To uczucie, jakiego Kumar doznawał dzień w dzień. Jeżeli poczta nie przyniesie listu, może spotkam Colina gdzieś w mieście na północ od rzeki? Dzień w dzień jeździł na rowerze z Čilijanwala Bagh do redakcji „Mayapore Gazette”, a w niektóre dni wysyłał go z redakcji w godzinach pracy na imprezy godne opisanego. I właśnie w związku z tym jeszcze coś mi powiedział. To, że nawet jako reporter jest niewidzialny dla białych. Jeździł na różne imprezy. Na zawody sportowe, parady pułku, na wystawę kwiatów, na popisy skatek, szkolne popisy gimnastyczne, rozdawanie dyplomów w technikum, na mecze krykieta i na uroczystości szpitalne. Z widzenia i z nazwiska znał prawie każdego Anglika w służbie państwowej i każdego liczącego się Hindusa, ale oni nie znali jego. Na tych imprezach, pan rozumie, zwykle bywał ktoś taki, kogo wy nazywacie rzecznikiem prasowym czy też gospodarzem i tylko do niego miody Kumar miał dostęp, i to nie zawsze, bo na większe gale przybywał również z ramienia „Mayapore Gazette” sam pan Lakszminarajan. Kumar wtedy, to znaczy tym drugim razem, kiedy się upił, powiedział mi:

„Och, z początku myślałem, że wyrobię sobie nazwisko. Że ludzie będą czytać „Mayapore Gazette” i mówić: «Cóż za świetna angielszczyzna! Wspaniała! Kto to jest ten młody Kumar?» Ale oni nawet nie wiedzą, jak ja się nazywam. Jestem co najwyżej «chłopcem z „Gazette”». Mojego nazwiska nigdy się nie podaje. Właściwie nikt nie wie o moim istnieniu. Pozostaję w tłumie innych niejasno, skądś tam znanych twarzy. Ale... To było do przewidzenia. On mnie wykorzystuje, Lakszminarajan. Czasami trzyma mnie przy biurku jak na łańcuchu, żebym przerabiał angielszczyznę indyjskich babu na przyzwoity angielski. Czasami wysyła mnie w teren. Ale mam być tylko jednym z trybów jego anonimowej maszyny, nad tym czuwa. Słyszałem raz, jak pewien Anglik go zapytał: «Lakszminarajan, co się dzieje z „Mayapore Gazette”, do diaska? Poza rubryką *Aktualności*, którą częstuje nas Przechodzień, nic tam nie jest już zabawne.” Mój naczelny tylko się roześmiał. Nie wyjaśnił, dlaczego «Gazette» nie jest zabawna. On mnie chce ukarać, siostrze rozumie, za Widjasagara, za wszystko, za swoje własne niedociągnięcia.”

— To właśnie na takiej imprezie — powiedziała siostra Ludmiła — Hari zobaczył Lindseya po raz drugi. Zobaczył i wiedział ponad wszelką wątpliwość, że to jest

241

Lindsey. Stał dość blisko, żeby rozpoznać z całą pewnością te rysy, wyraz twarzy, sposób bycia, postawę... wszystko, co pozostało w pamięci Kumara prawdziwym Lindseyem. Jaka to była uroczystość? Zapomniałam. Ale pamiętam, że w lutym, w końcu lutego. I że on mówił o placu ćwiczeń. Wciąż jeszcze zachowuję to wspomnienie, nie moje, tylko Kumara. Po Kumarze je odziedziczyłam. Więc wspominam to, jak gdybym przeżywała to sama. Jestem tam. Pod wieczór. Jestem Kumarem, ciemną twarzą w tłumie. Czy to nie był krykieta? Tego bym nie wiedziała. Nie mam pojęcia o krykiecie. Ale widzę, jak wtedy, pod wieczór, na placu ćwiczeń te dwie rasy złączyły się niepewnie, zmieszały ze sobą, tworząc chwilowy układ, który z wysoka, w oczach Boga, pan rozumie, wcale nie był takim naturalnym układem, jakim wydawał się na ziemi, bo z wysoka, z nieba, widać było wyraźnie dwa strumienie, biały i ciemny, tak jak z urwiska widać rozdzielające się nurt od nurtu, fala od fali. Tylko że morze w oczach Boga na wysokościach to nic więcej niż woda. Więc Kumar zobaczył Lindseya. No cóż... Kiedy byli chłopcami, dzielili sekrety ducha i ciała. Opowiadał mi o jesieni w Anglii, toteż wiem, jak młody Kumar i młody Lindsey biegli do domu po łąkach w chłodzie, żeby rozgrzewać sobie ręce na ciepłej kracie kominka, wiem to tak samo, jak pamiętam cudowne ciepło rękawiczek w mroźną zimą, jak pamiętam chuchanie na zmarzniętą szybę okienną, na te kwiaty mrozu, kiedy serce sobie przy tym napełniałam innym rodzajem ciepła. Ach, takim poczuciem bezpieczeństwa. Taką mikrokosmiczną energią. Chuchaniem można też zaczarować owoce w cukrze, zmniejszać je, zmniejszać, aż znikają w tych swoich gniazdkach z papierowej koronki. I chociaż wiadomo, że one lam są, to jednak już ich nie ma. To są właśnie czary. Ale Kumar w tamten upalny zmierzch na placu ćwiczeń nie mógł rzucać takich czarów, żeby Lindsey zniknął. Lindsey popatrzył na niego, a potem się odwrócił. Nie poznał go w tym stroju babu, nie pojął, że ta ciemna twarz pod kaskiem tropikalnym z bazaru jest twarzą, którą powinien odróżnić od wszystkich innych.

„Jestem niewidzialny — powiedział Kumar — nie tylko dla białych, dlatego że oni to biali, a ja czarny, jestem niewidzialny dla mojego białego przyjaciela, skoro on mnie już nie poznaje w tłumie. On myśli... tak, właśnie tak Lindsey myśli: «Wszyscy Hindusi wyglądają jednakowo.» Sprawia, że ginę. Że staję się niczym. To nie jego wina. On ma rację. Jestem niczym, niczym, niczym. Jestem synem mojego ojca, którego ojciec pobłogosławił swoje dzieci, oddał im matkę pod opiekę i wy-wędrował w opasce na biodrach i z miseczką żebracza. Przez jakiś czas żona szła za nim, potem usiadła przy szosie i ostatecznie wróciła do domu, żeby dokonać życia w zamkniętym świecie swoich urojeń.

No więc wracam z placu ćwiczeń ubrany w te moje spodnie z bazaru, w koszulę z bazaru, na głowie mam kask tropikalny jak Anglo-Indusi i wiem, że jestem nie do rozpoznania, bo jestem niczym, i choćby mnie nawet rozpoznano, to i tak nie byłbym mile widziany. I spotykam Widjasagara, który też wraca stamtąd. I też

242

jest niczym. Dalszego ciągu nie pamiętam. Myślałem jasno tylko do pewnej chwili. Piliśmy samogon w dusznym pokoju w jakimś domu na bocznej ulicy po naszej stronie rzeki. Widjasagar śmiał się i mówił chłopakom, że wkrótce będę dobrym Hindusem, bo piję z nimi ten nielegalnie pędzony samogon, więc narażam rząd na straty. Oni byli też młodzi, jak Widja, i ubrani jak Widja, jak ja. Pamiętam tylko, jak pomagałem im zniszczyć mój kask, bo w takich kaskach chodzą wszystkie rządowe lizusy. Pamiętam też, jak wciąż na nowo napełniali mi szklankę. Chcieli, żebym się upił. Chcieli po części przez złośliwość, po części dla zabawy. W tym małym pokoiku było tyle samo rozpacz co żarliwości."

Siostra Ludmiła powiedziała:

— Dopiero później dowiedział się, że odprowadzili go z powrotem do Čilijan-wała Bagh, do samej furtki jego domu, żeby go nie okradzono czy też żeby go nie zabrała policja. Przed furtką zostawili go, pewni, że sam wejdzie, ale on ruszył znów na ulicę, poszedł nad rzekę, na nieużytki. Widocznie potknął się, wpadł do rowu, stracił przytomność i wtedy ukradł mu portfel ktoś, kto go miał na oku i szedł za nim.

„Kto to jest?” — zapytałam pana de Souza.

„Nie wiem” — odpowiedział pan de Souza i odwrócił go. Zbadał, czy są jakieś rany na plecach, a potem odwrócił go znowu na wznak i oświetlił twarz latarką. To właśnie pamiętam z początków sprawy Bibighar. Oczy zamknięte, czarne kędziory na czole. Ach! Taka ciemność. Takie zdecydowanie, żeby wszystko odrzucić.

Położyliśmy go na noszach i przynieśliśmy tutaj, do „Azylu”. „Ten jest pijany, siostró — powiedział pan de Souza. — Przynieśliśmy tylko pijaka.”

„Tak się upić — powiedziałam. — Taki młody. Musi być też nieszczęśliwy. Niech sobie poleży.”

Więc leżał. Przed zaśnięciem modliłam się za niego.

Część szósta

WŁADZA WOJSKOWA I WŁADZĄ CYWILNA

I

WŁADZA WOJSKOWA

Zredagowane wyjątki z nie wydanych pamiętników brygadieftf A. V. Reida, odznaczonego Krzyżem Wojennym i Orderem Zasługi, pt. *Proste życie*.^{Jr}

Rozkaz wyjazdu do Majapuru i objęcia dowództwa nad formowaną na tym obszarze brygadą piechoty dostałem w ostatnich dniach marca 1942 roku. Byliśmy wtedy jeszcze w Rawalpindi i właśnie otrzymaliśmy wiadomość, że nasz jedyny syn, Alan, zaginął w Birmie. O nominacji uprzedził mnie przez telefon generał „Tubby” Carter. Miałem wyjechać do Majapuru natychmiast, a Tubby wiedział, że muszę zawczasu powiedzieć o tym Meg, której ze względu na jej stan zdrowia nie będę mógł zabrać ze sobą. Nie spodobała mi się myśl, że pozostawię żonę samą w tak ciężkich dla nas chwilach wyczekiwania na dalsze wiadomości o Alanie, z nadzieją i zarazem z obawą, jakie one będą.

Po rozmowie telefonicznej z Tubbym niezwłocznie udałem się do kliniki i powiedziałem Meg o zadaniu, które mi powierzono.

Ona wiedziała, że w normalnych okolicznościach cieszyłaby mnie perspektywa powrotu do prawdziwej wojaczki. Już wszystko wskazywało na to, że do końca wojny będę siedział przy biurku, i mając syna w mundurze, chyba pogodziliśmy się z tą perspektywą, uznaliśmy fakt, że wiek i doświadczenie muszą ostatecznie ustąpić z drogi entuzjazmowi młodości. Teraz wszelako, gdy los Alana był niepewny, wydawało się, że jakies

bóstwo pełne zrozumienia zstąpiło z niebios, aby przywrócić równowagę, powołać mnie do odegrania roli, która — jeśli następna wiadomość o Alanie okaże się wiadomością najgorszą — da mi przynajmniej satysfakcję płynącą z tego, że może będę mógł bezpośrednio wziąć odwet na nieprzyjacielu.

Meg zareagowała tak jak zawsze w momentach przełomów i trudności — najwyraźniej wcale nie myślała o sobie. Patrząc na nią, schorowaną, bladą, żałowałem, że niemożliwością jest wezwać Alana do tej separacji. Gdyby wszedł zdrowy i cały, wesoły, w zwykłej swojej formie, na pewno policzki Meg znów by pokraśniały. Bogu dziękuję, że oszczędzona jej została wiadomość o śmierci naszego syna, zmuszanego do niewolniczej harówki na tej haniebnej linii kolejowej Birma-Syjam —

247

wiadomość, która czarną chmurą przysłoniła mi blask dni zwycięstwa. Ale też Bogu dziękuję i za to, że zachował ją przy życiu dość długo, by mogła razem ze mną karmić się nadzieją, odkąd dowiedzieliśmy się, że Alan jest w niewoli, a więc nie poległ. Gdy żegnałem się z nią w przeddzień wyjazdu do Majapuru, oboje nas brzemieniem przyniałała świadomość, że są to mroczne czasy dla naszego kraju i piętrzą się przeciwności. Czekala mnie ciężka praca.

Przyjechałem do Majapuru 3 kwietnia (rok 1942) i natychmiast przystąpiłem do pierwszej fazy mojego zadania, czyli zacząłem montować n-tą Brygadę Piechoty Indyjskiej, aby stała się sprawną machiną wojenną, którą będę mógł poprowadzić do boju, ufny, że wystąpi godnie w teatrze wojny, gdzie chwilowo przodowali Japończycy. Zdawałem sobie sprawę, że zadanie mam niełatwe. Większość żołnierzy była rekrutami, a okoliczne tereny, chociaż nadające się do zwykłego szkolenia, bardzo różniły się od obszarów, o które ostatecznie mieliśmy walczyć.

W Majapurze byłem już przed laty. Pamiętałem tę przemiłą placówkę w tamtych czasach, z paroma jeziorami w miejscowości zwanej Banijagandź, i wspańskie polowanie na kaczki. Stare kasyno artylerii stanowiło piękny przykład architektury anglo-indyjskiej z dziewiętnastego wieku, że już nie wspomnę o uroczym widoku rozciągającym się na plac ćwiczeń. W marcu zaczynały się nieprzyjemne upały, ale zazwyczaj mogliśmy uciec drzed nimi do Massuri albo do Dardżilingu. Nie było zbyt daleko pociągami do Kalkuty, toteż człowiek miał gdzie wypocząć, gdy tylko obowiązki na to pozwalały.

Teraz nie żywiłem żadnych złudzeń co do możliwości wypoczynku. To już nie była taka placówka jak dawniej, a ja już nie byłem młodym podporucznikiem, który poznał tam pewną młodą pannę i poważnie zamierzał prosić o jej rękę. Wróciłem w trzydzieści lat później jako generał, w czasie, gdy losy ojczyzny się ważyły, a ten kraj, któremu poświęciłem życie i który stanowił kamień węgielny Imperium, już uzyskał w sporej mierze samorząd i wkrótce miał uzyskać niepodległość, co na razie odkładano li tylko w interesie całego wolnego świata.

Przyjechałem do Majapuru z wiarą w ducha naszych żołnierzy i żarliwie modliłem się o to, bym ja osobiście nie dopuścił się żadnych uchybień. Ku memu zadowoleniu Tubby mi powiedział, że sztab brygady nie będzie musiał się zajmować ogólną administracją wojskową, bo w Majapurze jest dowódca placówki, a także jest poborca, zwany w tej „nieprzepisowej” prowincji komisarzem okręgowym, dość młody jeszcze człowiek, cieszący się poważaniem zarówno wśród Europejczyków, jak wśród Hindusów. Wiedziałem wszelako, że właśnie na mnie, najstarszego oficera w okręgu, spada ostateczna odpowiedzialność za spokój publiczny i dobro tak wojska, jak ludności cywilnej. Nie bez obawy liczyłem się z ewentualnością powstania sytuacji, która mogłaby oderwać mnie od mego zasadniczego zadania i spowodować przerwę w szkoleniu żołnierzy, wywołując konieczność skierowania ich do innych zajęć. Miałem wszelako nadzieję, że przy odrobinie przezorności chyba da się temu zapobiec.

Zważywszy, że w Indiach w tym okresie panował coraz większy niepokój, prawie zaraz po przyjeździe spotkałem się z komisarzem okręgowym, panem White'em.

248

Wysłuchałem wszystkiego, co miał do powiedzenia o swoim okręgu, a potem oświadczyłem, nie owijając w bawełnę, że mnóstwo czasu i energii można będzie zaoszczędzić, jeśli uzgodnimy, iż w razie jakichkolwiek zapowiedzi rozruchów natychmiast pokażemy silną rękę.

Już się zdecydowałem sprowadzić do Majapuru brytyjski batalion brygady, n-ty Pułk Berkshire stacjonujący w okolicach Banijagandź, a na jego miejsce przenieść 4z5 Strzelców Pankockich, których zastałem w Majapurze. Powody po temu miałem dwojakiej natury. Oddziały brytyjskie dopiero co przyjechały z kraju i na pierwszej inspekcji uznałem, że nie mogą czuć się dobrze w takich kwaterach, jakie mają w Banijagandź do dyspozycji. Nie opodał rozpoczęto budowę lotniska (wypłoszyło to, jak zauważyłem, kaczki z jezior) i w odległości niespełna mili było obozowisko kulisów, bynajmniej nie stwarzające dobrych warunków zdrowotnych. Chociaż dla żołnierzy już dobudowywano baraki, wielu z nich jeszcze musiało sypiać w namiotach, a w kwietniu to nie żarty. Aczkolwiek wiedziałem, że pozorne czynienie różnic może stwarzać problemy, wiedziałem również, że Johnny Dżawan zawsze będzie w Banijagandź czuł się lepiej niż Tommy Atkins. Ponadto przenosząc Pułk Berkshire do koszar w Majapurze, żywiłem przekonanie, że sama jego obecność w dzielnicy garnizonowej może stanowić dodatkowy czynnik zapobiegający niepokojom, których za wszelką cenę chciałem uniknąć. Tak czy owak, w razie gdyby władze cywilne poprosiły o pomoc wojskową, zamierzałem użyć najpierw żołnierzy brytyjskich.

Byłem też świadom, że sprowadzenie Pułku Berkshire do Majapuru doda otuchy naszym rodakom, mężczyznom i kobietom pełniącym trudną służbę w czasie szczególnie trudnym. Dlatego między innymi zarządziłem pod koniec kwietnia Tydzień Armii czy też Wojny — a jakże, z orkiestrą pułkową! — które to

uroczystości odbywały się na placu ćwiczeń i uznane zostały za wielki sukces. Nie chwając się (bo wprawdzie pomysł był mój, ale wprowadzenie go w życie było zasługą organizatorów i uczestników), mogę twierdzić, że powszechne podniecenie, ów „podnoszący na duchu” nastrój, jaki Tydzień Wojny wywołał w Majapurze, odwrócił uwagę ogółu od niepowodzenia Misji Crippsa. Tę misję rządową sir Winston — wówczas jeszcze pan Churchill — wysłał do Delhi, aby znalazła jakieś wyjście z impasu pomiędzy rządem brytyjskim i tymi indyjskimi politykami, którzy w imieniu rzekomo całego narodu indyjskiego żądali jeszcze szerszych uprawnień w zakresie samorządu. Wszelako misja ta nie doprowadziła do porozumienia. Nazwano ją Misją Crippsa od nazwiska jej przewodniczącego, sir Stafforda Crippsa, dyplomaty, socjalisty, który ostatecznie został ministrem skarbu, gdy po wojnie nasze wyspiarskie plemię, zamiast złożyć budowniczym naszego zwycięstwa szczególny hołd, zrzuciło go z urzędu. To właśnie po niepowodzeniu Misji Crippsa w kwietniu 1942 roku Gandhi wszczął słynną kampanię: „Opuśćcie Indie”, co oczywiście z naszego punktu widzenia było po prostu zaproszeniem skierowanym do cesarza Japonii, aby wkroczył i przejął ster rządów!

Niestety, stwierdziłem, że White, komisarz okręgowy, niezupełnie zdaje sobie sprawę z powagi sytuacji, jaka by nam groziła — dla mnie to było jasne — gdybyśmy

249

nadal pozwalali przywódcom indyjskim wypowiadać się przeciwko działaniom wojennym i podlegać masy, aby stosowały taktykę zwaną przez pana Gandhiego odmową współdziałania bez uciekania się do przemocy — taktykę, która mogłaby doprowadzić ten kraj do zastoju. White wyraźnie żywił przekonanie, że Indyjski Kongres Narodowy rzeczywiście ma na myśli nieuciekanie się do przemocy. Wyraźnie też pokładał większą niż ja ufność w rozsądku demonstrujących tłumów, w tym, że nie dadzą się one ponieść histerii, która w jednej chwili może zmienić tłum w wyjący motłoch, żądny zemsty za urojone akty brutalności ze strony policji czy wojska. W istocie, jeśli spodziewał się demonstracji, to tylko zorganizowanych wyłącznie dla wyrażenia przez satjagrahę sprzeciwu wobec Ustawy o obronie Indii tak, aby władze musiały aresztować demonstrantów i zapełnić nimi więzienia. Moje pierwsze spotkanie z White'em odbyło się jeszcze przed kampanią Gandhiego pod hasłem: „Opuśćcie Indie”, ale już w czasie, gdy raczej nie ulegało wątpliwości, że misja rządowa z Crippsem na czele nie zdoła się porozumieć z przywódcami indyjskimi, którzy, by rzeczywiście reprezentowali cały naród. White wszelako miał chyba nadzieję, że w ostatniej chwili wyłoni się jakieś porozumienie robocze. Ja takiej nadziei nie miałem.

Od samego początku wojny z Rzeszą stosunki między nami i Hindusami stale się pogarszały. Ledwie wojna wybuchła, członkowie kongresu z władz centralnych ustąpili na znak protestu przeciwko wysyłaniu indyjskich oddziałów do Singapuru; *na Środkowy Wschód, a rządy kongresowe w prowincjach rozwiązały się* tylko dlatego, że wicekról wypowiedział wojnę Rzeszy bez konsultacji z nimi! Jakiegokolwiek popełniliśmy błędy w przeszłości, ja, prosty żołnierz nie wnikający w arkana wielkiej polityki, nie mogłem się oprzeć wrażeniu, że gdyśmy w latach wojennych czynili szczerze wysiłki, aby przekazać Hindusom większą władzę, aż nazbyt jasno ujawnił się brak ich politycznej dojrzałości, która przecież ułatwiłaby nam to zadanie. Akt z roku 1935 o powołaniu centralnego rządu federalnego, reprezentującego wszystkie elementy społeczeństwa indyjskiego, oraz wybranych rządów stanowych w prowincjach wydawał się takiemu człowiekowi jak ja (a niepodległość Indii dla mnie osobiście oznaczała, że tracę wszystko, nie zyskuję nic) koncepcją godną wielkich mężów stanu, rzeczywiście szlachetną, gestem, z którego Brytania może być dumna, ze wszech miar odpowiednim zakończeniem chwalebego rozdziału w historii jej Imperium. Niestety, ten akt z roku 1935 spowodował tylko jedno: takie dobijanie się Hindusów o władzę, że plan powołania centralnego rządu federalnego spełził na niczym. Głucho brzmiały w retrospekcji rozpaczliwe wołania o wolność, gdy się patrzyło teraz na tę szarpaninę i słyszało, jakie kłótnie wybuchają pomiędzy hinduistami i muzułmanami, sikhami, radżami i wszystkimi innymi. Kongres, na przykład, przyznawał otwarcie, że w roku 1937 obsadził urzędy w prowincjach po to, by wykazać niemożliwość powołania centralnego rządu federalnego, ponieważ Indie reprezentuje tylko Partia Kongresowa. Na domiar złego, to mniemanie Kongresu o sobie, że jest demokratyczną większością, potwierdziło się, gdy odniósł, przynajmniej na papierze, drugoczące zwycięstwo w wyborach, przed obsadzeniem rządów w prowincjach. Tak czy owak, można

250

by myśleć, że po dwóch latach sprawowania władzy w prowincjach prawie bez ingerencji gubernatorów, którzy zachowali prawo wglądu w imieniu rządu centralnego i Korony, ci ludzie staną się dojrzałymi politykami. Wszelako ich rezygnacje ze stanowisk, gdy wicekról bez pytania ich o zdanie wypowiedział wojnę Niemcom, spowodowały, że gubernatorzy po prostu musieli objąć kontrolę. Dla większości naszych rodaków, myślących teraz przede wszystkim o bezpieczeństwie ojczyzny i walce z tyranią, były dowodem, że Hindusi wcale się nie nauczyli, czym jest odpowiedzialność polityczna, i że już nie możemy liczyć na to, iż hinduscy „przywódcy” ujrzą w pełniejszym świetle realia, jakie wchodzą w grę w wolnym świecie.

Chyba bez przesady można powiedzieć, że uświadomiliśmy to sobie z bólem serca. A przecież mieliśmy jeszcze niewygasłe nadzieje, jak również nawet w naj-mroczniejszej dla nas godzinie — w godzinie klęski naszych sił zbrojnych w Azji Południowo-Wschodniej — anielską cierpliwość. Tylko dlatego podjęliśmy ponownie te wysiłki z inicjatywy pana Churchilla i bardzo się staraliśmy znaleźć sposób, aby dać Indiom szansę niezakłóconego startu, czego z pewnością nie zrobiłby dla nich Hitler i czego one by nie mogły się spodziewać od Japończyków. Wszelako takie typy jak Gandhi zwierzyły nasz trop i zaczęły ujadać nie bacząc na to, że krwiożercza żółta sfora chce dopaść ich, nie tylko nas. W dniu 6 kwietnia kilka bomb spadło na Madras. Nawet to nie przemówiło Hindusom do rozumu. W istocie mieli o te bomby większą pretensję do nas niż do nieprzyjaciela! Pod wpływem

Gandhiego nabrali przekonania, że pomiędzy Indiami i Japonią nie ma konfliktu i że gdyby Brytyjczycy się wynieśli, Japończycy by na Indie nie uderzyli. Trochę później, co prawda, pan Gandhi łaskawie sugerował, że armia brytyjska może zostać w Indiach i mieć tu bazę do walki z Japończykami, przy czym obiecywał, że w takich portach jak Bombaj i Kalkuta nie będzie żadnych zamieszek wstrzymujących dostawy wojenne — bylebyśmy, rzecz jasna, nie wtrącali się do spraw Indii pod rządami jego i jego kolegów! Jaką on widział różnicę strategiczną w tym, że przekazemy rządy Hindusom, ale Indie nadal będą naszą bazą! — trudno powiedzieć — z pewnością nie dostrzegłoby jej naczelne dowództwo Japończyków! Tak więc szczególne teorie Gandhiego w sposób oczywisty dla większości z nas okazały się wreszcie tym, czym były: mrzonkami człowieka, który wierzy, że wszyscy są czy też powinni być tak prości i naiwni jak on sam. Chociaż, rzecz jasna, nawet tę życzliwą interpretację trudno nam było chwilami zastosować do jego przemówień i pism.

Gdy z okna mojego pokoju w starym kasynie artylerii wyglądałem na plac ćwiczeń i gdy jeździłem po dzielnicy garnizonowej Majapuru, nie mogłem nie odczuwać dumy, myśląc o latach panowania brytyjskiego. Nawet w tych burzliwych czasach urok dzielnicy garnizonowej pomagał człowiekowi pamiętać o rzeczach mądrych, spokojnych, nieprzemijających. Wystarczyło przejechać przez rzekę i znaleźć się w mieście tubylców, aby zrozumieć, że my w naszych dzielnicach garnizonowych i administracyjnych świecimy przykładem, nakreśliśmy dla innych wzór życia cywilizowanego, który Hindusi kiedyś odziedziczą. Wydawało się dziwne, że w cze-

251

kającej nas bitwie o to, by wszystkie te dobra nie dostały się w ręce Japończyków, Hindusi nie są po naszej stronie.

Zywo wspominałem godziny, które w młodości spędzałem na placu ćwiczeń w Majapurze tresując Radzę i ćwicząc się w grze w polo z Nigelem Orme, adiutantem generała Grahame'a (on później poległ pod Passchendaele i został odznaczony pośmiertnie Krzyżem Wiktorii). Radża, jak czytelnikom wiadomo z jednego z poprzednich rozdziałów, był moim pierwszym w życiu kucem do gry w polo, a Nigel Orme, chociaż starszy ode mnie stopniem i latami służby, zaliczał się do najwierniejszych, najserdeczniejszych druhów, jakich kiedykolwiek miałem. Doznawałem teraz uczucia, że samo przeznaczenie wezwowało mnie z powrotem tu, gdzie przed laty „nawiązałem kontakt” z Indiami. I uświadamiałem sobie dopiero teraz, że bez względu na ewentualne sukcesy na mojej drodze zawodowej, niezmiennie zachowam poczucie jedności z tym krajem, poczucie utożsamiania się z naszymi ambicjami wobec niego. Wspominałem też Meg taką, jaka była wtedy, w odległej przeszłości, spokojna, opanowana, przyjazna, wielkodusza, zawsze gotowa się uśmiechnąć — dla mnie najpiękniejsza dziewczyna na świecie. I myślałem o Alanie, naszym synu, i o naszej córce Caroline, wolnej od wszelkich obaw przed hitlerowcami i Japończykami, bezpiecznej, chwala Bogu, u ciotki Cissie w Toronto. Tych troje to byli rzeczywiście zakładnicy, których mógł wziąć los, przy czym wydawało się, że naszego wspaniałego syna już nam los zabrał jako część spłaty.

Ponad wszystko w świecie pragnąłem zwycięstwa dla brytyjskiego oręża, zdrowia i szczęścia dla Meg i połączenia się znowu z nią, z kochaną Caroline i młodym Alanem. Nie sądzę, by można było któremukolwiek z nas, starszych żołnierzy w służbie, mieć za złe rozgoryczenie wobec Faktu, że ten naród, czerpiący tyle różnych korzyści z panowania brytyjskiego, wyraźnie chce nam przeszkadzać w uchronieniu go przed inwazją i absorbuje nas akurat wtedy, gdy mamy najmniej sił na zbyciu. Ja osobiście, rozważając te sprawy na swoim odcinku, bardzo żałowałem, że nie mogę pozostawić ich politykom, aby wybrnęli z nich na swój własny tajemniczy sposób, i skoncentrować się na głównym poruczonemu mi zadaniu. Wszelako wiedziałem, że to niemożliwe. Ponościłem odpowiedzialność za brygadę, ale też i za bezpieczeństwo naszych kobiet i dzieci, i za spokój w całym okręgu. Ci spośród nas, którzy byli w kontakcie z „górami”, wiedzieli, że istnieje możliwość poważnego zagrożenia w naszym obozie i że musimy być gotowi do zmierzenia się z tym wewnętrznym niebezpieczeństwem tak samo jak do odparcia niebezpieczeństwa z zewnątrz; zagraża nam bowiem nieprzyjaciel nie tylko za bramą, ale i w namiocie. Wcale niewykluczone, że Kongres planuje jakiś otwarty bunt, który może stać się lawiną, kampanią terroru i rozlewem krwi, wojną domową, jakiej nie widzieliśmy w Indiach od czasu powstania sipajów. Jak się później okazało, nasze obawy pod tym względem były ze wszech miar uzasadnione. Zanim skończyło się lato, kraj ogarnęła fala buntu, a w Majapurze zamieszki przybrały obrót najgorszy. To właśnie w tym miłym starym okręgu dokonano dwóch łajdackich napaści — jednej po drugiej w ciągu kilku godzin — na Angielki. Ofiarą pierwszej była podstarzała nauczycielka z misji,

252

panna Crane, a drugiej młoda dziewczyna, Daphne McInners, zbrodniczo napadnięta w tak zwanym Ogrodzie Bibighar.

Chociaż przy pierwszym moim spotkaniu z komisarzem okręgowym, panem White'em, raczej nie znalazłem z nim, jak się to mówi obecnie, wspólnego języka, już wkrótce zacząłem podziwiać jego nieustępliwość. Był odważny i osądził — słusznie, jak się przekonałem — że w żadnym razie nie dopuści do tego, by osobiste zastrzeżenia, jakie może ma co do polityki rządu, przeszkodziły mu sumiennie realizować tę politykę w podległym mu okręgu. Świadczyła o tym choćby jego odpowiedź na moje dość obcesowe pytanie, co zrobi, jeśli dostanie rozkaz aresztowania przywódców miejscowej organizacji Kongresu (wiadomo mi było, że komisarzom okręgowym polecono mieć na oku tych, których w razie czego należało szybko aresztować, aby zapobiec szerzeniu się buntu).

— No — odpowiedział mi po prostu — aresztujcie ich, oczywiście. — Co prawda

po chwili dodał: — Chociaż wiem, że to najgorsze ze wszystkich naszych możliwych posunięć.

Zapytałem go, dlaczego tak uważa. Wyjaśnił:

— Tacy ludzie jak ci, których musiałbym aresztować, są uczciwymi zwolennikami niestosowania przemocy i mają dostateczną władzę nad masami, by pchnąć je raczej do poświęcania się niż do ataku. Pakując takich ludzi za kratki zostawia się masy przywódcom zupełnie innego typu.

Zgodzić się z tym nie mogłem, ale doceniłem szczerą przekonań White'a. Moim zdaniem masowa satjagraha byłaby prawie tak samo szkodliwa jak otwarty bunt. Naturalnie zapytałem go, co on wie o owych ewentualnych przywódcach gotowych zająć miejsce kongresowców, w których pokłada taką wiarę, i co zamierza z nimi zrobić.

Odpowiedział:

— No cóż, to jak szukanie igieł w stogu siana. Jest kilku znanych. Można ich aresztować. Ale ci nieznani pozostaną na wolności, a wśród nich prawdopodobnie najsprytniejsi, skoro nie dali się poznać. Można przez całe życie kompletować tajne akta i jeszcze nie natrafić na tych kluczowych, ponieważ nie zna się ich, nawet Kongres ich nie zna. Oni nie mają z Kongresem nic wspólnego. To młodzi albo co najwyżej w średnim wieku maniacy, zapaleńcy, przeświadczeni, że Kongres podlizuje się władzom. No, któż może poświęcić całe życie na wyszukiwanie takich igieł w stogu siana? Czy nie lepiej ludzi, którym stosowanie przemocy nic nie da, zostawić na wolności, by mogli powściągać masy, kierować masami zgodnie z ideą prawdziwej satjagrahy?

Powiedziałem White'owi, że to, co mówi, chyba ma sens, dopóki można rzeczywiście liczyć na koncepcję niestosowania przemocy, którą to koncepcję ja osobiście uważam za mydlenie oczu. Pod moim dalszym naciskiem White przyznał, że sprawę tak zwanych przez niego „igieł w stogu siana” zlecił okręgowemu nadinspektorowi policji, niejakiemu Merrickowi. Nawiasem mówiąc, poznałem Merricka już wcześniej i instynktownie polubiłem go.

Chociaż postawa White'a budziła we mnie trochę wątpliwości i co za tym idzie,

25.1

nic wiedziałem, jak dalece, gdyby doszło do zamieszek, władze cywilne okażą zdecydowanie, to przecież byłem pewny, że policja w razie potrzeby będzie działać szybko i skutecznie.

White miał mentalność całkowicie „nowoczesną”, typową w latach trzydziestych dla administratorów w nowym stylu, którzy przystępując do pokonywania trudności zawsze musieli rozszczepiać włos na czworo. Sędzią okręgowym był Hindus nazwiskiem Menen. Hindus starej daty, jak stwierdziłem z zadowoleniem, ale niezbyt komunikatywny, zaiste typowy sędzia. Wydawało mi się, że z tego trium-wiratu tylko młody Merrick, okręgowy nadinspektor policji, rad korzysta z większej swobody działania, jaką wobec wojny i ustąpienia rządów w prowincjach uzyskała władze okręgu.

Specjalnie spotkałem się z Merrickiem i powiedziałem mu, że polegam na jego rozeznaniu, zwłaszcza w kwestii tak zwanych przez komisarza okręgowego „igieł w stogu siana”. Nie bawiąc się w omówienia wyjaśniłem, że dowodzę brygadą, którą muszę szkolić — dopóki to jest zależne ode mnie — do walki z nieprzyjacielem stojącym u bram, a nie do walki z nieprzyjacielem w obozie. I zaznaczyłem, że będę mu wdzięczny, jeśli od czasu do czasu się wychyli. Nie osądziłem go mylnie. Był jeszcze dość młody, aby do prostych zagadnień podchodzić w sposób należyty: uczciwie i z zapalem. Nie mogłem w dodatku nie podziwiać jego otwartości. Pochodził „z bardzo zwykłego — jak go określił — mieszczańskiego domu”. Praca w policji indyjskiej była jedyną pracą, do jakiej wykonywania czuł się zdolny. Wiedziałem, co on przez to rozumie, i podobał mi się w nim ten brak pozy. Obowiązki policjanta zawsze są nieprzyjemne, wszelako wypełniać je trzeba. Teraz, gdy byliśmy w stanie wojny z mocarstwami Osi, ubolewał nad okolicznościami składającymi się na to, że jest w służbie, z której nie może się przenieść do armii. Co więcej, zapytał mnie, czy nie dałoby się jakoś załatwić odgórnie, aby dostał zwolnienie z policji i mógł służyć w wojsku, „nawet jako szeregowiec”. Myśląc o Alanie, którego mi trochę wyglądem przypominał, doceniłem patriotyzm w takiej ocenie wartości, lecz nie mogłem wzbudzać w nim najmniejszej bodaj nadziei na przeniesienie. Zresztą zdawałem sobie sprawę, że w obecnej sytuacji jest bardziej cenny dla kraju jako szef miejscowej policji, niż byłby jako nieprzeszkolony niższy oficer, że już nie powiem, jako szeregowiec. Poprosiłem, aby informował mnie na bieżąco. *sub rosa*, o nastrojach w okręgu, tak jak on je widzi. Przynależał mi to.

Po spotkaniu z White'em i po tej rozmowie z Merrickiem uznałem, że zrobiłem wszystko, co mogłem chwilowo zrobić, aby zyskać na czasie, skoncentrować się na moim zadaniu nie zwracając zbyt często uwagi na miejscowe zagrożenie. Tak czy owak, w związku z przybyciem mojego trzeciego batalionu, n-tego batalionu ranpurczyków, było mnóstwo pracy. Pierwotnie obiecano mi batalion sikhów, ale batalion z mojego dawnego pułku stanowią — czego chyba nie potrzebuję zaznaczać — jeszcze większy bodziec dla mojego morale. Jedną kompanię ranpurczyków wprowadziłem do koszar w Majapurze (po części uwalniając tym samym berkshir-czyków od niektórych garnizonowych obowiązków wartowniczych), a pozostałe kompanie i kwaterę główną batalionu skierowałem na północny zachód od Maja-

puru na obszar Marpuri, który uznałem za lepszą z dwóch ewentualności wybranych przez sztab mojej brygady. Teraz, po skompletowaniu moich oddziałów mogłem rzeczywiście zabrać się do roboty!

Berkshirczycy dobrze się aklimatyzowali, przeniesienie z Banijagańdżu do dzielnicy garnizonowej z pewnością zrobiło swoje. Stare koszary nie opodal kasyna artylerii były przestronne, nie duszne, a ponadto ci brytyjscy żołnierze cieszyli się niezwykłym dla nich luksusem, mogli mianowicie w granicach rozsądku korzystać z usług tubylców zatrudnionych w koszarach — przeważnie synów Hindusów usługujących poprzedniemu pokoleniu naszych Tommych. Będąc teraz bardziej pod ręką, dostawali zaproszenia na domowe przyjęcia, odczoczno wydawane przez nasze panie.

Wiele już lat minęło, nawiasem mówiąc, odkąd w Majapurze stacjonował rzeczywiście pułk kanonierów i miał swoje słynne wówczas kasyno artylerii, która to nazwa naturalnie pozostała. W ostatnich latach w Majapurze był ośrodek szkolenia podoficerów i kwaterowali tu w okresach chłódów Strzelcy Pankoccy. Po wybuchu wojny Majapur zmienił się właściwie w punkt przygotowania wojska do występu w teatrze wojny. Niefortunnie dla sztabu mojej brygady, gdy przyjechałem do Majapuru, pułkownik nadzorujący szkolenie oficerów i pełniący zarazem obowiązki dowódcy placówki bawił na urlopie zdrowotnym, który okazał się permanentny, ośrodek szkolenia przeniesiono bowiem do Pendżabu i w rezultacie ja przejąłem stanowisko dowódcy placówki, przynajmniej na papierze. Większość pracy, jaką normalnie obarczony jest dowódca placówki, musiał wykonywać major z garnizonu (zdołałem go zaangażować), był to jednak świetny stary żołnierz, który awansował stopniowo, poczynając od szeregowca, i pracował sumiennie, z całym oddaniem.

Wolałem mieszkać w samym kasynie artylerii niż, przenieść się do przysługującego mi bungalowu — nie tylko dlatego, że moja biedna Meg nie mogła przyjechać do mnie i poprowadzić domu, jak to robiła zawsze dawniej w tyłu różnych częściach Indii, ale też i dlatego, że musiałem, z czego zdawałem sobie sprawę, być wciąż na posterunku, aby trzymać moich oficerów w pogotowiu. W kasynie stary apartament gościnny, który zajmowałem, był duży, ale umeblowany z prostotą. Z okien rozciągał się widok na plac ćwiczeń. Salonik stał się moim gabinetem, gdzie mogłem znaleźć schronienie przed natłokiem codziennych zajęć, szukać najlepszych rozwiązań licznych problemów, jakie się wylaniały. A przecież właśnie w tym pokoju pod koniec czerwca, ledwie zaczęły się deszcze, dosięgnął mnie telefon Tubby'ego z wiadomością, że Alan jest na liście jeńców wojennych. Dotychczas tliła się jeszcze nadzieja, że Alan dotrze do Indii zdrów i cały z którąś z grup naszych żołnierzy i cywilów, przedzierających się z powrotem w bardzo ciężkich warunkach, toczących nierówną walkę z przeciwnościami, byleby tylko ujrzeć znów swoich najbliższych. Zapytałem Tubby'ego, czy zawiadomił Meg. I jeszcze raz się okazało, że Tubby, chociaż starszy ode mnie stopniem, to zacy, prawdziwy

255

przyjaciel, zawsze gotów skorzystać ze swego stanowiska dla dobra starego towarzysza broni. Wezwał mnie służbowo do Rawalpindi, abym mógł sam powiedzieć Meg o Alanie. W niespełna trzydzieści dwie godziny po telefonie Tubby'ego byłem już przy łóżku Meg.

Oboje nie mieliśmy żadnych złudzeń, wiedząc, co to znaczy być w niewoli u Japończyków, wszelako czerpaliśmy pociechę z taktu, że Alan żyje i — o ile znaliśmy naszego syna — prawdopodobnie się buntuje. Gdy mówiłem Meg o Alanie, ulgę sprawiało mi nawet to, że można mówić o nim w czasie teraźniejszym, a nic w przeszłym. W tamten wieczór Tubby przyjechał do kliniki z butelką szampana. W zwykłych okolicznościach nie uchodziłoby pić szampana, wtedy gdy nasz syn zapewne cierpi niedostatek, Tubby jednak myślał o perspektywach na przyszłość. Podniósł swój kieliszek i poprosił, abysmy wypili za szczęśliwy powrót Alana. Byłem dumny z Meg, bo też podniosła kieliszek i rzekła po prostu: — Zdrowie Alana. — I uśmiechnęła się, jak gdyby okazja do toastu była radosna i jak gdyby w tej separacie Alan pił szampana razem z nami. Przez długie tygodnie naszej rozłąki Meg bardzo schudła i zmizerniała. Oczywiście jej nie błyszczały. Nagle pojąłem, że Tubby wezwał mnie do Rawalpindi nie tylko po to, bym jej powiedział, że nasz syn jest w niewoli japońskiej, ale i po to, bym stawiał czoło okrutniejszej wiadomości, którą ostatecznie będę musiał znieść.

Gdyśmy już powiedzieli Meg dobranoc, Tubby zawiózł mnie do pułkownika „Billy'ego” Aitkna i zostawił mnie tam. Billy powiedział:

— Obawiam się, że to już nie ulega wątpliwości. Meg ma raka.

Znaliśmy Billy'ego od lat. W życiu cywilnym Billy mógłby się wybić w swoim zawodzie i zrobić majątek, a przecież wolał poświęcać czas, jak często mawiał, na leczenie rodaków, którzy żyją skromnie, wypełniając nudne nieraz i niewdzięczne obowiązki w koloniach, niż, przepisywać słodzone tabletki „modnym” roz-histeryzowanym paniom na Harley Street. Zapytałem go:

— Jak długo?

Przez chwilę patrzyliśmy sobie w oczy. Wyczuł, że chcę wiedzieć prawdę.

— Może pół roku — odpowiedział. — Może trzy miesiące. Może mniej. Zrobimy operację, ale to niczego nie zmieni.

Zostawił mnie na jakiś czas samego, co przyjąłem z wdzięcznością. Wprost nie mogłem uwierzyć, że w ciągu kilku zaledwie minut muszę się oswoić i pogodzić z myślą, iż moją ukochaną Meg zabierze mi przeznaczenie jeszcze okrutniejsze niż to, które zabrało Alana. Alan przynajmniej miał tę satysfakcję, że zdążył zadać parę ciosów. Gdy tam siedziałem samotnie w gabinecie Billy'ego Aitkna, chyba zdawałem sobie sprawę, że Alana też

nigdy już nie zobacze.

Billy przyszedł z Tubby i pojechaliśmy do kwatery Billy'ego. Tubby zapytał, czy chcę zrezygnować z dowództwa i wrócić do Pindi. Dał do zrozumienia, że jest wakujące stanowisko, które mógłbym objąć i które dałoby mi czapkę generała-ma-jora. Poprosiłem, aby nie wymagał odpowiedzi, dopóki tego nie przemyśle. Pokój miałem zarezerwowany w klubie. Odwieźli mnie tam i postarałem się zasnąć, ponieważ chciałem mieć umysł wypoczęty rankiem, gdy będę podejmował decyzję.

256

Nazajutrz rano zapytałem Billy'ego o to, co było dla mnie najważniejsze, o co jednaj zapomniałem zapytać go wieczorem. Czy Meg wie, jak bardzo jest chora? Odpo* wiedział, że jej nic nie mówił, ale ona na pewno nie ma co do tego wątpliwości, i

Poprosiłem:

— Billy, nie mów jej.

Wtedy zrozumiał, że postanowiłem wrócić do mojej brygady, i to jak najszybciej, abyśmy, Meg i ja, nie musieli udawać dłużej, niż zdołamy. Wiedziałem, że taka jest moja powinność, wiedziałem również, że właśnie tego Meg chciałyby dla nas obojga. Jeśli się już raz wybrało drogę życia, trzeba akceptować wszystkie czekające na niej obowiązki. Ciężko mi byto się z nimi pogodzić w owym momencie, wszelako podtrzymywało mnie na duchu przekonanie, że Meg zrozumie i sama będzie czerpała siłę z tej mojej decyzji. Pomimo to rozstanie nie przyszło nam łatwo. Myśląc o tym później w samolocie do Kalkuty, w którym Tubby fuksem zdobył dla mnie miejsce, uznałem, że byłoby mi łatwiej, gdyby Meg prosiła, abym nie wracał do Majapuru. Wydawało się, że legło pomiędzy nami jakieś straszne brzemień rzeczy nie wypowiedzianych. Zanim odleciałem, Tubby przyrzekł, że wezwie mnie, abym był przy Meg w jej ostatnich chwilach. Niestety, okazało się to niemożliwe. Po raz ostatni piszę tu jej imię. Żegnaj, najdroższa Meg, żono umiłowana i matko moich dzieci. Jeśli taka jest wola Boga, połączymy się znów w szczęśliwszych rejonach.

Ustaliłem, że na początku deszczowej pory monsunów nasze szkolenie ma się odbywać nadal, możliwie bez przerw. Wciąż wywierając nacisk na odpowiednie czynniki, spowodowałem, że ostatnia już kompania Strzelców Pankockich w Ba-nijagańdzu mogła się przenieść z namiotów do baraków, jeszcze zanim spadły deszcze. Ranpurczycy w Marpuri nie mieli takiego szczęścia, a przecież nawet przemoknięci do suchej nitki nie tracili animuszu!

W czerwcu zaczęło się szkolenie bojowe i serce mi rosło, gdy widziałem, z jakim zapałem wszyscy żołnierze reagują na wyzwanie do walki w terenie, chociaż „nieprzyjaciel” jest urojony. Major w mojej brygadzie, oficer zawodowy, młody Ewarl Mackay, okazał się chłopcem na wagę złota. Wprost zarażał swoim entuzjazmem cały sztab brygady. Wesoły, sprawny, wszechstronnie wysportowany- (zwłaszcza świetnie grał w tenisa), a także służbista pełen oddania, potrafił być surowym, wymagającym zwierzchnikiem. Później w czasie tej wojny dowodził mężnie, wręcz znakomicie, swoim dawnym pułkiem, Drugim Muzzafirabadzkim. Jego śliczną żoną Christine (starsza córka generała „Sporrana” Robertsona) była z nim w Maja-purze i doprawdy z czującym wdziękiem pełniła obowiązki pani domu. U Christine i Ewarta w ich uroczym bungalowie przy ulicy Twierdzy miałem swój „dom otwarty”. To właśnie Christine wydawała małe wieczorne przyjęcia, czym w normalnych okolicznościach zajmowałyby się pani mojego domu, jeszcze miłsza.

Aczkolwiek serce mi rosło, gdyśmy dwukrotnie w czerwcu wyjechali „w teren”, aby sprawdzić zwartość i operatywność brygady, nie mogłem zapominać, że ma

257

ona odgrywać rolę sił porządkowych. Zabierając ją na manewry, nie przeoczyłem faktu, że pokaz prężności militarnej (bardziej imponujący dla nie wtajemniczonych niż dla wtajemniczonych) musi przecież robić wrażenie na masach pomimo zakrojonej na coraz szerszą skalę propagandy antywojennej Kongresu. Jednym z nieszczególniejszych aspektów owej propagandy było rozsiewanie plotek, jakoby w czasie odwrotu z Birmy i Malajów władze wojskowe nie okazywały żadnej dbałości o oddziały indyjskie i ludność tubylczą. Fałszywy obraz nakreślony przez Partię Kongresową — obraz indyjskich żołnierzy pozostawianych bez dowódców na pastwę nieprzyjaciela, który jeśli ich nie zabijał, to brał do niewoli, obraz całych grup tych niedobitków i przerażonych wieśniaków spychanych z szos, z pociągów i promów, aby pierwszeństwo mieli „uciekający biali” — mógł tylko śmieszyć nas wszystkich, którzy wiedzieliśmy, jak serdecznie oficer angielski jest przywiązany do swoich sipajów i podoficerów-Hindusów.

W połowie czerwca dowódca dywizji (i rejonu) powiedział mi, że lokalne władze cywilne otrzymały od gubernatorów poszczególnych prowincji tajny rozkaz. Mają wszelkimi możliwymi środkami zwalczać truciznę, jaką stanowi podstępna i kłamliwa propaganda Indyjskiego Kongresu Narodowego. Dowiedziawszy się o tym, uznałem za wskazane jeszcze raz porozmawiać z, komisarzem okręgowym.

Z mojego punktu widzenia White był jedną wielką niewiadomą. Co do policji, miałem pewność, że mogę na niej polegać, jak również nie wątpiłem o lojalności naszych oddziałów indyjskich. W Pułku Berkshire każdy żołnierz był przeszkolony do udzielania pomocy władzom cywilnym i w razie pierwszych oznak zakłócenia

spokoju publicznego patroli i oddziały porządkowe mogły od razu przystąpić do akcji. Tym młodym Anglikom (niejeden z nich jeszcze rok przedtem sam był cywilem i mało co wiedział o problemach zawiadywania zamorskimi posiadłościami Imperium) służba pomocnicza wydawała się czymś śmiesznym, że nie powiem zdumiewającym, gdy myśleli o swoich rodakach już poległych w ofiarnej obronie Indii przed tyranią zarówno hitlerowską, jak japońską. Wszelako przystosowali się bardzo szybko, uznając, że rola, jaką może im przyjdzie odgrywać, jest po prostu jeszcze jednym ich zadaniem. Na wstępie mego przemówienia do batalionu „nowoczesnych” młodych Anglików na temat pomocy udzielanej przez wojsko władzom cywilnym zacytowałem nieśmiertelne strofy żołnierza-poety, Rudyarda

Kiplinga:

Tommy, marsz biegiem tam, i
Tommy, już w tył zwrot!
Lecz „panie Tommy, zechce pan”, gdy
burzy słychać grzmot.

Każdy psycholog chyba przyzna, że lepiej nie mógłbym im przedstawić sytuacji.

Zasadnicza myśl zawarta w ćwiczeniu wojska do tłumienia rozruchów jest, można powiedzieć, zupełnie prosta. Jeśli tłum się nie wycofa w obliczu siły zbrojnej, większej niż siła policji, zastrzelenie jednego przewodcyra równa się ocaleniu wielu istnień ludzkich. Wszelako bywają momenty w naszej historii, gdy to proste równa-

258

nie nie wydaje się w terenie tak proste jak w podręcznikach. Myślę tu oczywiście o *cause celebre* generała Dyera, który w roku 1919 w Amritsarze znalazł się w sytuacji podobnej do tej, jaką ja w roku 1942 musiałem przewidywać.

W roku 1919, tak jak w roku 1942, w Indiach było bardzo niespokojnie i wszystko zapowiadało otwarty bunt na skalę nie mniejszą niż powstanie w 1857 roku. Dyer, skierowany do Amritsaru, wysunął wniosek, który historycy ze swoim spóźnionym refleksem — usankcjonowanym w tym przypadku i na ich szczęście — określają jako fatalny. Wniosek, że Amritsar stanie się ośrodkiem rychłej rewolty, kto wie, czy nie prowadzącej do zagarnięcia naszego mienia, do zagłady naszych ludzi i wreszcie do kresu naszego imperialnego panowania. Dowiedziawszy się, że o pewnej godzinie ma się odbyć jakieś publiczne zebranie na rozległej, ale ogrodzonej parceli, zwanej Dżallijanwala Bagh, generał Dyer wydał zakaz gromadzenia się tam, co w myśl obowiązujących zarządzeń ogłoszono ustnie i na piśmie. Ludność nie usłuchała, zlekceważyła ostrzeżenie. Wtedy Dyer sam objął dowództwo nad żołnierzami, którzy mieli rozpędzić tłum. Na Dżallijanwala Bagh wydany przez niego rozkaz rozejścia się też zlekceważono, kazał więc żołnierzom otworzyć ogień. Z wojskowego punktu widzenia Dżallijanwala Bagh była jak zatrzaśnięta pułapka. Sporo osób cywilnych, w tym kobiety i dzieci, poniosło śmierć.

Od czasu sprawy Dyera, z której „reformatorzy” skorzystali, aby ukrzywić na nas bicz, armia, naturalnie już przewrażliwiona, wolała nie dopuszczać do tego rodzaju sytuacji. Toteż praktycznie rzecz biorąc, ręce mieliśmy związane.

Było tak: dopóki władze cywilne nie ustąpią albo w inny sposób nie utracą możliwości działania — co już pociągałoby za sobą konieczność wprowadzenia stanu wojennego — wojsko może interweniować tylko na mocy pisma od władz cywilnych, zazwyczaj od najstarszego urzędnika w okręgu, z prośbą o pomoc. Taka prośba o pomoc stanowiła w pewnym sensie wezwanie do czekania w pogotowiu.

Na przykład:

Do oficera dowodzącego

Uznałem, że władze cywilne nie zdołają opanować sytuacji i że pomoc wojska staje się konieczna. Przetę proszę o takową.

Miejscowość:

Czas:

Podpis:

Data:

Stanowisko:

Powiedzmy więc, że otrzymuję taką prośbę i stawiam pluton piechoty w stan pogotowia. Władze cywilne mogą wtedy poprosić mnie o udzielenie zbrojnego poparcia w miejscu, gdzie wybuchły rozruchy, czy też tam, gdzie wyraźnie się na coś zanosi. Na przykład podam jeden z licznych incydentów, do jakich doszło w Ma-japurze w sierpniu 1942 roku: wzburzony tłum zebrał się przed główną świątynią hindusów na placu, z którego przez Most przy Bramie Mandir mógł przejść prosto na ulicę prowadzącą do dzielnicy administracyjnej.

Pluton berkshirczyków, szybko przysłany z zarządu okręgu, wysiadł z ciężarówek w odległości może dwustu jardów od tłumy już przechodzącego przez most i uformował się na ulicy, tworząc kwadrat (z obu stron sklepy i budynki, szczyty dachów

259

i okna stanowiły niebezpieczeństwo dla flank i tyłu tego czworoboku). W myśl przepisów pośrodku kwadratu utworzonego przez oddziały plutonu stanęli:

Dowódca plutonu

Przedstawiciel policji
Sędzia
Trębacz
Żołnierze z transparentami-
Dyżurny sanitariusz
Sierżant szef
Dyżurny łącznościowiec:
Protokolant

Znaczenie słowa „pomoc” jest jaśniejsze, gdy pamiętamy, że oprócz dowódcy plutonu ma być obecny również sędzia. W sprawie tego tłumu przekraczającego Most przy Bramie Mandir sędzią był niejaki pan Poulson, zastępca komisarza okręgowego.

Taką operację jak ta, którą rozpatrujemy, przeprowadzano zwykle w trzech fazach. Pierwszą można by nazwać fazą próby, drugą — fazą decyzji, a trzecią — fazą akcji, która logicznie następowała po podjęciu decyzji.

W fazie próby trębacz na rozkaz dowódcy plutonu trąbił, aby zwrócić uwagę tłumowi na obecność sił prawnie powołanych do akcji. Po tym głośnym ostrzeżeniu jeden z sygnalistów podnosił rozkaz wypisany po angielsku i w języku miejscowym. Był to rozkaz natychmiastowego rozejścia się. Czasem to wystarczało i tłum się rozchodził. Po podniesieniu pierwszego transparentu trębacz znów trąbił i gdy dowódca plutonu uznał, że sytuacja tego wymaga, drugi żołnierz podnosił swój transparent, tym razem ostrzeżenie, również w języku angielskim i miejscowym, że jeśli tłum się rozejdzie, wojsko użyje siły. Ponieważ, takie tłumy zwykle podnosiły dość przeraźliwą wrzawę, nie można było liczyć na to, że ludzie usłyszą, co się do nich mówi.

Otóż w chwili podniesienia drugiego transparentu, z ostrzeżeniem o możliwości otworzenia ognia, dowódca plutonu i sędzia byli niejako na ziemi niczyjej, musieli podjąć decyzję według własnego rozeznania, w czym oczywiście nie mogły im pomóc podręczniki pozostawiające tę kwestię otwartą, zależną od sytuacji.

Całe szczęście, że w przypadku pierwszych rozruchów przed Mostem przy Bramie Mandir obecny tam sędzia, pan Poulson, nie zawahał się dać dowódcy plutonu podpisanej kartki z prośbą o otworzenie ognia, gdy będzie już wiadomo, że tłum nie zamierza się cofnąć ani rozejść. W czasie dopełniania tych wszystkich koniecznych formalności zaledwie kilka jardów dzieliło czoło tłumowi od pierwszego szeregu strzelców i już leciały na nich kawałki cegieł. Kir dymu nad miastem po drugiej stronie rzeki świadczył, że dopuszczono się tam podpalenia (pałił się kotwali, czyli komisariat policji nie opodal świątyni). W tym samym czasie grupa, która oderwała się od tłumowi, nie zauważona przez żołnierzy na ulicy prowadzącej do Mostu przy Bramie Mandir, ruszyła od przejazdu kolejowego torami w kierunku dworca.

260

Policjanci nie zdołali jej zatrzymać, więc jeszcze jeden pluton berkshirczyków pospieszył z zarządu okręgu na ten obszar, żeby im pomóc (dowodził nimi wtedy sam Merrick, okręgowy nadinspektor policji).

Ale powróćmy do naszego plutonu na ulicy Mostowej. Motłoch, jak się to często zdarza, wypchnął naprzód stare kobiety, co miało powstrzymać żołnierzy. Rzeczą dowódcy plutonu było podać cel, czyli wskazać paru mężczyzn w tłumie, których, sądząc z ich poczynań, mógł uznać za prowodyrów. Nieraz bywa tak, że tylko jeden z żołnierzy, strzelec wyborowy, dostaje przydział ostrej amunicji, wszelako rozruchy w Majapurze już przekroczyły stadium, gdy taka ostrożność zapobiegająca zastrzeleniu większej liczby ludzi mogłaby się okazać roztropna. W omawianym przeze mnie przypadku podporucznik, który dowodził plutonem, podszedł kolejno do każdego z żołnierzy w pierwszym szeregu. Dwóm z nich podał określone cele, a innym powiedział, że gdy wyda rozkaz: ognia! mogą strzelać nad głowami tłumowi. Cierpliwie dopełnienie tej formalności już w czasie ataku przeciwników wymagało niemałej dyscypliny wewnętrznej i opanowania, ale podporucznik, chociaż boleśnie uderzony kamieniem w ramię, brawurowo temu sprostał. Musiał w dodatku pamiętać, że nie wolno mu zwracać się do nikogo w szeregu po nazwisku, bo gdyby ktoś z tłumowi dosłyszał, mógłby później rozpoznać owego żołnierza! Salwa padła, obaj strzelcy wyborowi tralili w podane cele i tłum stracił pewność siebie, na krótko jednak. Zaraz wystąpili nowi prowodyrzy, nawołując do ataku tym powszechnie powtarzanym sloganem Marianny: „Czyn albo śmierć!” Teraz podporucznik nie miał wyboru, musiał wydać rozkaz oddania drugiej salwy. Rezultat tym razem: dwóch cywilów zabitych, czterech rannych i przypadkiem trafiona jedna kobieta. Dowódca plutonu wykorzystał ten moment, by przejąć inicjatywę. Rozkazał oddziałom posuwać się naprzód i strzelać dalej, ale już tylko nad głowami wycofującego się motłochu. Dyżurny sanitariusz zajął się przede wszystkim ranną kobietą. Rana jej, jak stwierdził bez cienia wątpliwości, była powierzchowna. Strzał został oddany do mężczyzny, który przesunął się w decydującej chwili.

Przy przeprowadzaniu takich akcji zawsze był obecny ktoś z batalionu albo z wywiadu jako protokolant: obserwował on i notował, po czym jego notatki zamieszczano w wojennej kronice danej jednostki czy formacji. Ten raport, suchy, rzeczowy, nie obejmował oczywiście procesów myślowych prowadzących do podejmowania poszczególnych decyzji. To podawał w swoim raporcie dowódca plutonu. Sędzia również składał sprawozdanie o incydencie władzom cywilnym. Podobnie przedstawiciel policji (inspektor lub podinspektor) musiał złożyć raport swojemu zwierzchnikowi. Dzięki temu zawsze było kilka jednoczesnych raportów do ewentualnego przedstawienia sądowi w razie oskarżeń o brutalność czy też. nadużycie siły. Powinienem tu wszelako nadmienić, że nie zawsze udawało się co do joty przestrzegać rygorów ograniczających zatrudnienie wojska w takiej roli.

Jak czytelnicy, nawet nie obdarzeni wyobraźnią, chyba się domyślają, nieraz mogło się zdarzyć, że zachodziła

potrzeba natychmiastowego działania, po prostu nie było czasu na skompletowanie „wymaganego personelu”.

261

Opisując powyższe szczegóły wiem, że nie tylko odchodzę od tematu, ale wybiegam w mojej opowieści daleko naprzód. Czytelnik zna już jej część środkową, a nie zna początku. Wracam przeto do tamtego dnia w lipcu, gdy po raz drugi spotkałem się z komisarzem okręgowym, panem White'em, który, jak wiedziałem, dostał właśnie polecenie zwalczania propagandy antywojennej Indyjskiego Kongresu Narodowego, i gdy uznałem, że muszę ponownie ocenić stanowisko, jakie zajmuje pan White, po czym, jeśli to będzie konieczne, przekazać tę ocenę poufnie mojemu dowódcy dywizji (w praktyce jako dowódca całego obszaru rozciągał on swoją wojskową jurysdykcję na całą prowincję).

White, jak stwierdziłem, nieco zmienił zdanie o sytuacji. Ja osobiście raczej nie wątpiłem o tym, że jakaś konfrontacja jest nieunikniona, toteż poniekąd dodał mi otuchy fakt, że komisarz już dopuszcza jej możliwość. Wszelako nadal był przekonany, że „zamieszki”, gdy do nich dojdzie, nie będą miały gwałtownego charakteru, chyba że nastąpią aresztowania przywódców kongresowych, w którym to wypadku — jak mi oświadczył — nie mógłby odpowiadać za spokój publiczny. Podchwyciłem to i zapytałem bez ogródek:

— A więc w razie takich aresztowań uważałby pan za wskazane zwrócić się do nas, abyśmy byli w pogotowiu?

Natychmiast odpowiedział, że zrozumiałem go zbyt dosłownie. Był w niedobrym nastroju, widziałem, że nie ma sensu przypierać go do muru, aczkolwiek bardzo chciałem w czasie tej rozmowy wyrobić sobie o nim należyty pogląd.

W związku z propagandą prowadzoną przez Kongres powiedział mi, że rozmawiał kolejno z redaktorami naczelnymi miejscowej prasy i ostrzegł tych, którzy ostatnio przejawiają skłonność do obierania linii „antywojennej”. To wydawało się wystarczające. Poprosiłem go, aby rozpatrując sytuację zechciał uprzejmie, kiedy tylko będzie mógł, uwzględnić mój punkt widzenia, to znaczy punkt widzenia człowieka, któremu zależy na utrzymaniu spokoju w Majapurze przede wszystkim z uwagi na program szkolenia wojska i następnie z uwagi na naszych rodaków.

I właśnie wtedy White powiedział coś, co mi pozostało w pamięci, świadcząc o jego szczerym poczuciu odpowiedzialności związanej z urzędem, jaki piastował — o poczuciu odpowiedzialności tak charakterystycznym dla naszych najświetniejszych administratorów w koloniach.

— Panie generale — powiedział — jeżeli moja postawa z jakichkolwiek powodów panu się nie podoba, proszę, aby pan zechciał uwzględnić jedną rzecz. O ile dojdzie do tego, że poprosimy was o pomoc, wiem, że udzielicie jej skutecznie. Pan później będzie wspominał to zadanie jako nieprzyjemne, ale wykonane na życie, a więc, według pana skali wartości, zaliczające się do pańskich sukcesów. Dla mnie natomiast, według mojej skali wartości, sam fakt, że uciekłem się do pomocy wojska, może być jedynie moją osobistą porażką.

Zaprotestowałem mówiąc, że „osobista porażka” jest za mocnym określeniem, ale uśmiechnął się i potrząsnął głową. Powiedział, że większość ludzi, których listę ma sporządzić, aby ich aresztowano, jeśli taki będzie rozkaz rządu, to jego osobiści znajomi.

262

Po chwili dorzucił:

— Niech się pan nie obawia, panie generale. Ja także jestem realistą. Używam słowa „porażka”, ale nie mam zwyczaju rozdzierać szat.

Tym musiałem się zadowolić i w sumie się zadowolilem, albowiem, jak zaznaczyłem to przedtem, zacząłem szanować White'a za jego poczucie odpowiedzialności. Po paru rozmowach już je w nim widziałem. Był to człowiek powściągliwy, trochę „intelektualista”, ale praktyczny, czynny, nigdy nie bujający w obłokach. Dosty typowy przedstawiciel administratorów okręgowych, którzy dojrżeli akurat w czasie, gdy Indie miały osiągnąć pełnoletność i otrzymać od naszego rządu w Anglii „ki uc7 do drzwi”, może przedwcześnie, ale na dowód naszej pobłażliwości, dobrej woli i wywiązania się z historycznych zobowiązań.

Po niepowodzeniu Misji Crippsa i późniejszym wszczęciu przez pana Gandhiego kampanii pod hasłem: „Opuszczenie Indie”, większość Anglików, jak pamiętam, zadawała sobie pytanie: czy Gandhiemu uda się doprowadzić do tego, by cały Indyjski Kongres Narodowy (na pewno największa siła polityczna w Indiach) opowiedział się za jego dziwną doktryną i tym samym nadał jej moc i rozmach ruchu zorganizowanego, ogarniającego cały naród. Nigdy nie śledziłem uważnie wlotów i upadków polityków”, a przecież wiedziałem, że Gandhi raz był „dobrze”, raz „źle” z Kongresem, prowadząc własną politykę, chwilami taką, jaką Kongres aprobuje, chwilami taką, jakiej Kongres aprobować nie chce. Od pewnego czasu uważaliśmy, że rozsądniejszy jest Nehru — rzeczywisty przywódca Partii Kongresowej, facet wykazujący znajomość międzynarodowego języka politycznego i umiar. Sporą część życia przesiedział w więzieniu. Jak sobie przypominam, wypuszczono go, aby wziął udział w rozmowach z misją rządową. Teraz, będąc nadal na wolności, stanowił siłę, z którą raczej należało się liczyć. Było dla nas jasne, że Gandhi jest dla niego kłopotliwy, przez jakiś więc czas pokładaliśmy nadzieję w tym, że jego podejście praktyczniejsze, bardziej godne męża stanu, przecięt zwycięży.

Może powinienem dokładnie wyjaśnić, o co wtedy toczyła się gra i co, jak przypuszczaliśmy, przedstawiała

sobą opozycja. Przede wszystkim: byliśmy przyparci do muru na D'alekim Wschodzie i jeszcze nie mogliśmy odzyskać inicjatywy, wyjść z impasu w Eu-ropie i w północnej Afryce. Spodziewaliśmy się, że Japończycy lada chwila ruszą czołowo na wschodni bastion Indii. Japońskie zwycięstwo w Indiach byłoby katastrofą. Utrata Indii oznaczałaby, że wkład Wielkiej Brytanii do tej wojny, już globalnej, faktycznie ogranicza się do wysp samej naszej ojczyzny i do akcji w północnej Afryce, przy czym zasadniczy ciężar walki z totalizmem spadłby na barki Amerykanów. Z naszego punktu widzenia „spokojne wycofanie się z Indii” (o co błagał nas pan Gandhi) byłoby szaleństwem. Niezależnie od tego, że zajmowanie Indii było dla nas koniecznością strategiczną, pozostawała oczywiście sprawa ich bogactwa i zasobów.

Tyle o tym, o co toczyła się gra. Jeśli chodzi o opozycję, w pierwszej chwili były to tylko wysuwane za poduszczeniem Gandhiego żądania, abyśmy zostawili Indie „Bogu albo armarchii” — czy też alternatywne wyzwanie, abyśmy Indie utrzymali, pomimo skonsolidowanej kampanii i jej możliwych skutków: odmowy współdzia-

26.3

łania bez uciekania się do przemocy. Kampania była zapowiedzią, że ludność tubylcza będzie strajkować i w żaden sposób nie pomoże nam w wysiłkach, aby ten kraj nadal był prosperującym koncernem, w którym możemy szkolić, zbroić, zaopatrywać i stawiać w stan gotowości bojowej nasze wojska, mające wyprzeć Japończyków ze Wschodniego Archipelagu!

Chyba — myśleliśmy — tacy ludzie jak Nehru przeciwstawiają się tak samobójczym zamysłom?

Wszelako na początku sierpnia wydawało się przesądzone, że Nehru z jakichś powodów, najlepiej znanych jemu samemu, nabił nas, jak się to mówi, w butelkę. Nie znalazł w sobie siły politycznej, aby w tym momencie oprzeć się Mahatmie. Teraz wszystko zależało od głosowania Komitetu Wszechindyjskiej Partii Kongresowej, któremu poddano rezolucję Gandhiego. Głosowanie odbyło się w dniu 8 sierpnia. Od tamtego czasu historycy wciąż usiłują udowodnić, że przyjęcie tej rezolucji było tylko tak złowieszcze, jak mogą być słowa na papierze, i że Gandhi nawet na użytek własny nie sprecyzował sposobu, w jaki miała się odbywać taka masowa odmowa współdziałania. Ja osobiście byłem i nadal jestem zdania, że ten ruch został prawie do najdrobniejszych szczegółów zaplanowany przez podziemie Kongresu, działające na polecenie tych, którzy publicznie udawali, że są jak owe słynne trzy małpy, co to „nic złego nie słyszą, nic złego nie mówią, nic złego nie widzą”.

Czymże innym bowiem mogę tłumaczyć fakt, że gwałtowne rozruchy w moim okręgu wybuchły już nazajutrz po przegłosowaniu rezolucji „Opuszczenie Indii” i w kilka godzin po aresztowaniu członków Partii Kongresowej? Ofiarą przemocy padła natychmiast Europejka, panna Crane, nauczycielka z misji, i jeszcze jedna Angielka, bratanica człowieka, który był sławnym przed laty gubernatorem tej prowincji: młoda, bezbronna dziewczyna brutalnie napadnięta i zgwałcona przez bandę chuliganów w tak zwanym Ogrodzie Bibighar. Oba te incydenty były dla naszych rodaków najgorszą wróżbą, a ponieważ nastąpiły tak szybko po sobie, mogłem dojść tylko do jednego wniosku: a mianowicie, że bezpieczeństwo Anglików, zwłaszcza naszych kobiet, jest poważnie zagrożone.

Tak się złożyło, że 9 sierpnia byłem w ranpurczyków w Marpuri i tam wczesnym wieczorem otrzymałem od kapitana z mojego sztabu wiadomość, że w dwóch oddalonych częściach okręgu, w Dibrapurze i w Tanpurze, wybuchły zamieszki i że policjanci z Majapurur, którzy wraz z panem Poulsonem, zastępcą komisarza okręgowego, pojechali po południu w tamte strony, uwolnili patrol policyjny i monterów uwięzionych przez buntowników na posterunku policji we wsi Candgarh. Jadąc dalej szosą do Tanpuru, pan Poulson napotkał wypalony samochód i nieco dalej tę nauczycielkę z misji, Angielkę, na warcie przy zwłokach Hindusa, jednego z jej podwładnych w szkołach misyjnych, którego zakatowała na śmierć przypuszczalnie ta sama włócząca się banda awanturników. Jak pan Poulson powiedział

264

mi później, właśnie widok tej nauczycielki siedzącej przy szosie w strugach deszczu uprzytomnił mi, że kłopoty w Majapurze będą większe, niż pan White i on przewidywali.

Poprzednią noc, z 8 na 9 sierpnia, spędziłem w ranpurczyków w Marpuri, przeto o wyniku głosowania i aresztowaniach przywódców Kongresu dowiedziałem się dopiero przed południem 9 sierpnia, gdy po raz pierwszy tego dnia zatelefonował do mnie kapitan z mojego sztabu. Dostał on wiadomość o tym z dywizji, a ponadto komisarz okręgowy poinformował go, że zgodnie z planem już aresztowano kilku miejscowych członków Partii Kongresowej. W toku tej pierwszej rozmowy telefonicznej kapitan mi powiedział, że wszędzie panuje spokój i zdaniem komisarza okręgowego nie ma powodów do alarmu. Zdecydowałem się więc zostać w Marpuri, aby popatrzeć na ćwiczenia batalionu. Wszelako gdy o zmierzchu kapitan zatelefonował po raz drugi i zawiadomił mnie o incydencie pod Tanpurem, uznałem za wskazane wrócić natychmiast do Majapurur i poleciłem mu czekać na mnie u komisarza.

Dojechałem do bungalowu komisarza okręgowego w Majapurze około godziny dziewiątej wieczorem. Zanosiło się na dalsze zamieszki. Pan White właśnie się dowiedział o „zaginięciu” młodej Angielki, panny Manners. Merrick, szef policji, już wyruszył na jej poszukiwanie. White powiedział mi, że wobec pogłosek o aktach przemocy w Tanpurze i o napaści na nauczycielkę misyjną kilka z angielskich pań zamieszkałych w dzielnicy

administracyjnej przeniosło się do Klubu Sportowego, jednego ze „schronów” wyznaczonych na wypadek, gdyby powstała sytuacja zagrażająca życiu i mieniu... Poufnie zapytałem White'a, czy nie byłoby roztropnie zademonstrować połączone siły — policjanci i żołnierze patrolowaliby miasto jeszcze tej nocy albo nazajutrz z samego rana. Powiedział, że to chyba niepotrzebne, bo w samym mieście panuje spokój. Większość sklepów na bazarze, co prawda wbrew przepisom, jest zamknięta, ale jego zdaniem lepiej pozwolić, aby ludność pozostawała w domach, i nie prowokować jej. Zapytałem o nasilenie rozruchów w Dibrapurze i Tanpurze. Wyraził przekonanie, że to jest „spontaniczna reakcja” na wiadomość o aresztowaniach — „spontaniczna reakcja” ludzi, którzy mają dużo czasu i lubią się poawanturować. Tymczasem łączność z Tanpurem i Dibra-purem już przywrócono. Tamtejsza policja meldowała, że ma swój rejon znów pod kontrolą. W Tanpurze aresztowano kilku mężczyzn i prawdopodobnie jest wśród nich paru z tych, którzy napadli na nauczycielkę z misji i zamordowali towarzyszącego jej Hindusa. Nauczycielka była już w szpitalu ogólnym w Majapurze, chora wskutek wstrząsu i przemoknięcia.

Później, akurat w chwili gdy miałem wyjść z bungalowu komisarza okręgowego, wszedł młody Poulson. Przeprowadził inspekcję dzielnicy garnizonowej aż do Mostu przy Bramie Mandir, przejechał na drugą stronę rzeki do więzienia i osobiście nadzorował przewiezienie aresztowanych członków Kongresu na dworzec kolejowy, gdzie dopilnował, aby bezpiecznie i po cichu wprowadzono ich do specjalnego wagonu i wyprawiono w drogę do miejsca, które miało być zachowane w tajemnicy. Rozmawiałem chwilę z Poulsonem. Nie patrzył on w najbliższą przy-

265

szłość tak optymistycznie jak jego szef. Obawiał się o swoją brzemenną żonę. Mieli już jedną małą córeczkę, którą nieraz widywałem u nich w Majapurze. Dwaj synkowie White'ów, bliźniacy, wyjechali po wakacjach z powrotem do szkoły w Anglii, zanim wojna wybuchła. Wiedzieliśmy, że pani White na pewno źle znosi rozłąkę ze swoimi dziećmi w takich okolicznościach, ale była to kobieta niezmordowana, monolit — z wyglądu bardziej chyba władcza niż jej mąż, „myśliciel”. Nigdy nie roztkliwiała się nad sobą, chociaż wiedziała, że zobaczy synów dopiero wtedy, gdy wygramy tę wojnę. Ja wszelako wiedziałem, jakim kamieniem leży jej to na sercu.

Spodziewałem się też, że porozmawiam z Merrickiem, cóż, kiedy pojechał w teren; szukał tej zaginionej panny Manners, która mieszkała u niejkiej lady Chatterjee w jednym ze starych domów nie opodal Ogrodu Bibighar. Lady Chatterjee bywała u sir Henry'ego i lady Manners wczasach, gdy sir Henry był gubernatorem prowincji. Sir Henry już nie żył, ale lady Manners poznałem swego czasu w towarzystwie w Rawalpindi i teraz przypomniałem sobie, że spotykałem też tę młodą Manners, zarówno w Pindi, jak w Majapurze. W Pindi mieszkała ona u lady Manners, swojej ciotki, do Majapuru przyjechała zaproszona przez lady Chatterjee i pracowała jako wolontariuszka w szpitalu. Gorszyła trochę panie w dzielnicy garnizonowej swoją sympatią do jakiegoś młodego Hindusa. Przypomniałem sobie również, co mówiła o tym Christie Mackay, żona majora z mojego sztabu. Ogólnie biorąc, byłem zbyt zajęty, aby zwracać uwagę na plotki krążące po dzielnicy garnizonowej, wszelako, gdy sobie uprzytomniłem, która to z panien „zaginęła”, zrodziło się we mnie przecucie, że będą poważne kłopoty.

Poprosiłem White'a o informowanie mnie na bieżąco, wróciłem do swojej kwatery i kazałem się połączyć z dowódcą obszaru. Z ulgą dowiedziałem się od niego, że na ogół w prowincji — doprawdy, w całym kraju — panuje spokój i normalny porządek. Rząd zdelegalizował podstawowe organizacje partyjne Kongresu i wielu ich członków aresztowano zapobiegawczo na mocy Ustawy o obronie Indii. Generał dodał, że jego zdaniem aresztowania zreszcie zdusiły w zarodku rewoltę Kongresu, możemy przeto skoncentrować się na szkoleniu i wyposażaniu naszych sił zbrojnych. Opowiedziałem mu, co zaszło tego dnia w rejonie mojego dowództwa. Uznał, że są to incydenty odosobnione, „niewypały”, ponieważ ci, którzy mieli nimi pokierować, są już pod kluczem.

Gdy kładłem się spać, było mi stosunkowo lekko na sercu i spałem dobrze, ponieważ byłem bardzo zmęczony po dwudziestu czterech godzinach inspekcji u ran-purczyków.

Ordynans, tak jak mu kazałem, obudził mnie o godzinie siódmej rano. Zameldował, że okręgowy nadinspektor policji pragnie zobaczyć się ze mną. Odgadując, że coś się święci, powiedziałem, że natychmiast przyjmę Merricka w sypialni. Zjawił się po paru minutach i przede wszystkim przeprosił za wizytę o tak wczesnej porze i wtargnięcie w moje życie prywatne. Chociaż był ubrany nienagannie, osądziłem z jego widocznego zmęczenia i napięcia, że wcale się nie kładł leż nocy. Zapytałem:

— No, Merrick, jakie dziś zmartwienie?

266

Powiedział mi, że tę zaginioną pannę Manners dopadła poprzedniego wieczoru w Ogrodzie Bibighar banda chuliganów. Na szczęście pojechał do lady Chatterjee jeszcze raz, toteż był tam w kilka minut po powrocie tej biedaczki, która w stanie wielkiego wyczerpania całą drogę przez wyludnione, źle oświetlone miasto odbyła, biegiem. Prosto więc stamtąd, z domu lady Chatterjee, pojechał do swojej komendy, zebrał oddział policjantów i pospieszył na teren Bibighar. Niedaleko, w chacie po drugiej stronie Mostu Bibighar, przyłapał pięciu mężczyzn popijających samogon. Z miejsca ich aresztował (pędzenie i picie takiego alkoholu to w każdym razie przestępstwo), a później szczęśliwym trafem znalazł rower panny Manners, skradziony przez jednego z napastników i ukryty w rowie przed pewnym domem na Ćilijanwala Bagh. Kiedy wszedł do domu, okazało się, że mieszka tam właśnie ten młody Hindus, z którym spotykała się panna Manners. Ów młodzieniec, na-

zwiskiem, o ile sobie przypominam, Kumar, miał twarz pokiereszowaną. Jego też Merrick aresztował z miejsca, po czym zamknął wszystkich sześciu w komendzie.

Pogratulowałem Merrickowi tej szybkiej akcji, ale zapytałem, dlaczego przyjechał właśnie do mnie o tak wczesnej porze. Wyjaśnił, że miał po temu kilka powodów. Po pierwsze, chciał, abym możliwie jak najwcześniej dowiedział się o „incydencie”, bardzo poważnym w jego przekonaniu. Po drugie, chodzi mu o moją zgodę na przewiezienie tych sześciu aresztowanych do wartowni Pułku Berkshire, w razie gdyby uznał, że rozsądnie będzie przewieźć ich w miejsce lepiej zabezpieczone. Po trzecie, chyba powinien mi powiedzieć, że komisarz okręgowy doprawdy nie docenia powagi sytuacji, chociaż w ciągu kilku godzin dopuszczono się dwu bestialskich napadów na dwie Angielki i zamordowano jednego Hindusa zatrudnionego w misji chrześcijańskiej. Potem przypomniał mi, jak wcześniej tego lata mówiłem, żeby się „wychylał”, jeżeli uzna to za konieczne.

Nie mogłem się powstrzymać od zapytania, w jaki sposób, według swoich kryteriów, on wychyla się teraz. Odpowiedział, że z pewnością ci, których aresztował w nocy, są sprawcami napadu na pannę Manners, ale może trudno będzie to udowodnić. Powiedziałem:

— No, ta biedaczka prawdopodobnie ich rozpozna.

Wyraził wszelako powątpiewanie. Już ją pytał, czy znała któregoś z napastników, ale odpowiedziała, że to wszystko „odbyło się w ciemnościach”, więc nie widziała ich dość wyraźnie, by móc zidentyfikować. Przypuszczał, że dziewczyna przynajmniej chwilowo nie mówi prawdy, ponieważ jednym z aresztowanych jest jej bliski znajomy, ale miał nadzieję, że dowie się od niej wszystkiego, gdy już szok minie i będzie wiedziała, kogo uważać za swoich prawdziwych przyjaciół. Tymczasem on trzyma tych facetów pod kluczem. Przesłuchiwał ich przez większą część nocy i chociaż nadal zapewnijają, że są niewinni, nie ma co do ich winy wątpliwości, zwłaszcza co do winy Kumara, który ukradł rower panny Manners, jak wszystko świadczy o tym, i został przyłapany na obmywaniu sobie twarzy, czyli starał się zatrzeć, jeśli nie usunąć dowód, jaki stanowią zadrapania i sińce, gdyż dziewczyna się broniła, zanim ją zniewolili.

Zapytałem Merricka, czy wiadomo, skąd w ogóle panna Manners wzięła się

267

w Ogrodzie Bibighar. Odpowiedział, że, niestety, logiczne wydaje się jego przypuszczenie: pojechała tam na *rendez-vous* z Kumarem, ale ten aspekt sprawy można, jak się wyraził, sfalszować dla jej dobra. Kumar kilkakrotnie był tam z nią przedtem i zaliczał się do jej przyjaciół, i to na tyle bliskich, że ktoś ze znajomych niedawno uznał za wskazane ostrzec ją, aby przestała się widywać z tym Hindusem. Ale panna Manners pozostawała najwyraźniej pod urokiem Kumara. Kumar — powiedział mi Merrick — już raz był przesłuchiwany przez policję, gdy w mieście szukano pewnego więźnia, który uciekł z więzienia. W czasie przesłuchania wyszło na jaw, że Kumar zna owego zbiega, niejakiego Moti Lala, brakowało jednak dowodów na to, że ma z nim jakieś powiązania. Zdaniem Merricka, Kumar, chociaż zeuropeizowany, był raczej paskudnym typem. Wiedział, że podoba się kobietom, i bezczelnie uczył się białej panny dla samej przyjemności poniżania jej w sposób wyrafinowany. Pracował w jednym z miejscowych czasopism i jak dotąd nie sprawiał wyraźnych kłopotów, było jednak wiadomo, że obraca się w towarzystwie młodych ludzi podejrzanych o działalność anarchistyczną czy też rewolucyjną — chłopaków w rodzaju tych pięciu aresztowanych przy samogonie. Paru z tych pięciu widziano z Kumarem w innych okolicznościach i są to ludzie, których policja miała na oku. Merrick przypuszczał, że Kumar uknuł spisek z tymi pięcioma kamratami, aby wykorzystać swoją przyjaźń z panną Manners. Przyjeżdżając do Bibighar na wieczorne *rendez-vous* panna Manners spodziewała się zastać tylko Kumara, ale czekało na nią również tamtych pięciu i wtedy wszyscy ją zaatakowali, dopadli, nikczemni tchórze.

Do głębi wstrząsnęła mną ta przykra opowieść. Przyznałem Merrickowi rację: jeśli dojdzie do publicznego procesu w tej sprawie, im mniej się powie o więzi łączącej pannę Manners z jednym z podejrzanych, tym lepiej. Przypuszczałem też, że Merrick ma dostateczne podstawy, aby trzymać tych nędzników w areszcie na mocy samego podejrzenia. I to dobrze, bowiem z chwilą gdy wiadomość o zhańbieniu Angielki się rozejdzie, z pewnością wszystkich białych w tym kraju ucieszy fakt, że podejrzanych już ujęto. Dla ludności indyjskiej, która również się dowie, że takie rzeczy nie uchodzą bezkarnie, będzie to odstraszący przykład.

Merrick był bardzo rad z tego, że pochwalam jego postępowanie. Uważał, że wydarzenia dnia poprzedniego są dopiero wstępem do aktów przemocy, jeśli nawet nie gorszej, to tak się szerzącej, iż trzeba będzie wspólnych naszych wysiłków, aby położyć jej kres. Słyszał już o tym, że zaproponowałem White'owi ostentacyjne patrolowanie miasta przez policję i wojsko, i żałował, że White tę propozycję odrzucił.

Chciałem zatrzymać Merricka na śniadaniu, ale podziękował mówiąc, że natychmiast musi wracać do pracy. Zanim wyszedł, powiedziałem mu, że jeśli okoliczności to uzasadnią, będzie mógł przewieźć jednego albo wszystkich sześciu aresztowanych w miejsce lepiej zabezpieczone, jakim jest wartownia Pułku Berkshire, lecz pod warunkiem, iż policja da swoich strażników, tak aby pułk nie ponosił bezpośredniej odpowiedzialności za tych więźniów. Merrick najwidoczniej obawiał się, że mo-tłoch, przejęty hasłem „czyn albo śmierć”, zechce uwolnić podejrzanych o gwałt

268

i uderzy na więzienie policyjne. Nie wątpił, że jeszcze przed południem całe miasto zacznie mówić o tym incydencie. W Indiach nigdy nie można było niczego utrzymać w sekrecie. Pogłoski zaczynały się od szeptów plotkującej służby i szybko krążyły wśród ludności. Ale mo-tłoch skuszony perspektywą „ocalenia bohaterów” musiałby wykazać sporo determinacji, żeby przeniknąć do koszar Pułku Berkshire, to by bowiem oznaczało atak

na tereny wojskowe, czyli coś, od czego na ogół motłoch indyjski wolał się powstrzymać. Aczkolwiek chwilami było mi nieprzyjemnie, że nie mogę przejąć bezpośredniej kontroli nad tą napiętą sytuacją — a napad na wojsko upoważniłby mnie do tego bez zezwolenia władz cywilnych — to jednak ostatnią rzeczą, jakiej bym sobie życzył, byłoby angażowanie się w taką sprawę. Dlatego też pozwalając na ewentualne przewiezienie aresztowanych na teren wojskowy zastrzegłem się: „jeżeli okoliczności to uzasadnią”. Ale z pewnością podzielałem zdanie Merricka, że tych sześciu trzeba jak najlepiej zabezpieczyć, wszelkimi sposobami zapobiec uwolnieniu ich siłą — jakżeż oni by się pysznili na wolności swoją zuchwałą napaścią na Angielkę.

Po śniadaniu zatelefonowałem do komisarza okręgowego i powiedziałem mu, że wiem od Merricka, co spotkało pannę Manners. Jeszcze raz zaproponowałem współpracę wojska z patrolami policyjnymi jako propagandowy środek ostrożności. Pan White oświadczył mi jednak, że w okręgu jest spokojnie i że bardzo się stara utrzymać normalny nastrój. Na ogół zarządy okręgów korzystały z usług ludzi, których chyba musimy nazywać szpicłami czy też donosicielami. Donosiciele White'a meldowali mu, że masy są raczej zdezorientowane niż gniewne, ponieważ nie wiedzą, jakiej reakcji oczekują od nich aresztowani przywódcy Kongresu. Prowokowanie ludności teraz, powiedział, nie byłoby posunięciem rozsądnym. Na szczęście przynajmniej chwilowo między społecznościami muzułmanów i hinduistów panuje zgoda i chociaż to w pewnym sensie może jest zły znak — bo kto wie, czy nie świadczy o sprzymierzeniu się ich wszystkich przeciwko Anglikom — w innym sensie jest rzeczą dobrą, bo przynajmniej nie będzie pomiędzy nimi zatargów, które raz wszczęte mogłyby się przerodzić w coś gorszego — toczącą się lawinę.

Teraz też, gdy rozmawiałem z, White'em, imponował mi on spokojem i zrównoważeniem. Zapytałem, co sądzi o napaści na pannę Manners i czyjego zdaniem nie jest to wstęp do powszechnego napadania na ludność europejską. Odpowiedział, że mógł to być równie dobrze pojedynczy incydent, taki jak ten w Tanpurze. eksces wiejskich chuliganów, którzy prawdopodobnie przyszli do Majapuru, spodziewając się zastać w mieście powszechne rozruchy, ale się rozczarowali, więc odbili to sobie na pierwszej lepszej bezbronnej osobie, jaką spotkali. Powiedziałem, że z relacji Merricka odniosłem wrażenie, iż sprawcami nie są chłopci, tylko młodzi anarchiści zamieszkali w Majapurze. Pan White pominął to milczeniem, wobec czego zapytałem, czy uważa, że sprawcami nie są ci aresztowani. Odrzekł, że jeszcze nie może się wypowiedzieć i że wiele zależy od zeznań, które złoży panna Manners, gdy już będzie się czuła dość dobrze. Niewykluczone, że Merrick popełnił pomyłkę, trudno jednak mieć mu za złe tak szybką przystąpienie do akcji — przynajmniej w świetle tego, co sam Merrick mówi o okolicznościach, w jakich dokonał aresztowań.

269

Po rozmowie z komisarzem okręgowym zwołałem moich oficerów i nakreśliłem obraz sytuacji: a) tak jak widział ją Merrick, b) tak jak widział ją pan White, i w końcu c) tak jak ja widziałem tę sytuację, potencjalnie poważną, będącą wszelako pod kontrolą władz do tego powołanych.

— Innymi słowy, nam — zakończyłem — pozostaje zajmować się naszymi zwykłymi sprawami.

I zamówiłem samochód sztabowy na godzinę dziesiątą, aby przeprowadzić niespodziewaną inspekcję u Strzelców Pankockich w Banijagandżu. Ewart Mackay wziął mnie na bok i powiedział, że oboje z żoną już słyszeli o napaści na pannę Manners i że zdaniem Christine ta biedna dziewczyna sama jest sobie winna, co nie znaczy oczywiście, że oboje, Christine i on, nie są wstrząśnięci i pełni ubolewania. Christine prosiła Ewarta, aby powtórzył mi, co ona osobiście myśli o tym: napaść na pannę Manners to wcale nie dowód, że wszystkim Europejkom grozi takie niebezpieczeństwo. Pytała też męża, czy ten Kumar jest w to zamieszany, i powiedziała, że będzie bardzo rada, jeśli go aresztują.

Inaczej mówiąc, z tego prywatnego źródła otrzymałem potwierdzenie sensowności zarówno osobistych podejrzeń młodego Merricka, jak i szerszego obiektywnego poglądu komisarza okręgowego. Wyruszyłem przeto do Banijagandżu dosyć pewny, że przynajmniej na razie mamy spokój i możemy się skoncentrować na ważniejszych sprawach.

W samym Banijagandżu wrzała praca przy budowie lotniska. Z ciepłym uczuciem w sercu patrzyłem na tych biednych prostych robotników i robotnice, którzy tak bardzo potrzebowali każdego grosza, jaki mogli zarobić, że nie porzuciliby swoich narzędzi i koszy z kamieniami na byle zawołanie. Nie mogła nie nasunąć się myśl, że gdyby te kobiety w zabłoconych postrzępionych sari, pracujące z zapałem w ten upalny deszczowy poranek, uwierzyły słowom Mahatmy i poszły do swoich domów prąść bawełnę, musiałyby straszliwie się naharować, by wykarmić potomstwo. Tutaj tymi kobietami i ich dziećmi opiekował się specjalny komitet naszych pań, który w ten poranek reprezentowały młoda Mavis Poulson i majorowa Brown z garnizonu. Ofiarnie zajmowały się rozwrzeszczanymi dziećmiakami muzułmanek i hinduistek, a także kobietami brzemiennymi, jeśli któraś z nich się przewróciła pod ciężarem kosza. Na szczęście niedaleko byli dzielni chłopcy z RAF-u, spokojny więc o nasze panie pojechałem dalej do kwatery głównej Strzelców Pankockich. Dzień spędziłem przyjemnie na oglądaniu manewrów.

To była doprawdy cisza przed burzą. Wróciłem do Majapuru około godziny piątej po południu, zabierając po drodze panią Poulson i panią Brown, aby im oszczędzić niewygodnej jazdy z powrotem do miasta autobusem RAF-u. Pani Poulson wyraźnie podzielała zdanie Christine Mackay o tym, co spotkało pannę Manners. Cała ta sprawa — powiedziała pani Poulson — musi być nad wyraz przykra dla lady Chatterjee, która zapewne czuje się odpowiedzialna, nie tylko dlatego, że gości pannę Manners pod swoim dachem, ale i dlatego, że jest Hinduską. Zapytałem panią Poulson, co wie o tym Kumarze. Usłyszawszy ode mnie, że został aresztowany, wykrzyknęła:

— No, to już macie winnego! Niezły z niego numer!

Powiedziała też, że w ogóle nic doszłoby do tej smutnej sprawy, gdyby biedna panna Manners nie „entuzjazmowała się Indiami tak naiwnie”. Bo czyż nie jest logiczne, jakkolwiek niezwykle, to, że ofiarami obecnych zamieszek są właśnie dwie Europejki o poglądach radykalnych, proindyjskich?

Pani Brown nie wypowiedziała się na ten temat tak stanowczo, ale zapewne tylko wskutek onieśmienia. Jej mąż, jak czytelnicy chyba pamiętają, awansował od szeregowca. Żywiąc wielki szacunek dla jego zdolności w zawiadywaniu garnizonem, specjalnie starałem się wciągnąć ją w rozmowę. Nie była pewna siebie, mówiła niewiele, a przecież nie wątpiłem, że myśli mniej więcej to samo co pani Poulson. Innymi słowy, obie uważały, że panna Manners była nieroztropna, ale oczywiście ubolewały nad nią, przerażone jej nieszczęściem i gotowe jej bronić. Wzruszył mnie ten kolejny dowód naszej solidarności. Tak uzbrojeni, możemy stawić czoło każdemu kryzysowi.

Wysadziłem panią Brown przy bazarze dzielnicy garnizonowej, ponieważ chciała załatwić jakieś sprawunki. Panią Poulson odwiozłem do bungalowu Poulsonów. Uprzejmie zaprosiła mnie na cocktail, ale podziękowałem wiedząc, że o tej porze powinna już położyć spać swoją małą córeczkę imieniem, jeśli się nie mylę, Annę, i kazałem kierowcy zawrócić do kwatery głównej brygady. Deszcz znowu przestał padać, na niebo wyszło przedwieczorne słońce. Widok placu ćwiczeń, emanującego spokojem, przypominał mi dawne lata, gdy byłem młody i nie miałem żadnych trosk. Wieczorem, po kolacji, napisałem kilka prywatnych listów i wcześniej wycofałem się w zacisze mojej sypialni, aby popracować nad planem szkolenia bojowego, który mój sztab naszkicował dla mnie do rozpatrzenia. Czytając ten plan i niewiele mając do niego zastrzeżeń, poczułem przypływ ciepłej ufności. Gdybyż to nie był dzisiaj tylko plan — pomyślałem — Japończycy nie spaliby w łóżkach tej nocy!

Dla mnie wszelako tamta noc była ostatnią nocą spokojnego snu przed burzliwym okresem następnych paru tygodni.

W prywatnym terminarzu, w którym prowadziłem wówczas zapiski, pod datą następnego dnia — 11 sierpnia — nie ma nic. Dopiero 12 sierpnia w rubryce: „godz. 2 p. p.” zanotowałem: „Chwilowe wytchnienie po dniu powszechnych rozruchów w całym mieście. 11 sierpnia o godz. 20.00 otrzymałem od komisarza okręgowego pismo z prośbą o pomoc. Słaba to pociecha dla naszych wojsk w Asamie i w Birmie, że nam tutaj «przyszkadza się» w taki sposób, choć rolą naszą jest zaopatrywać je i ostatecznie dostarczać im posiłków.”

Pamiętam dobrze tamten sierpniowy dzień, pierwszy dzień zamieszek w całym prawie kraju, gdy z godziny na godzinę napływało coraz więcej meldunków o buntach, podpalaniach i sabotażach, pamiętam nastroj w obliczu tego, co przewidywaliśmy z obawą i czemu niestety daremnie usiłowaliśmy zapobiec. Toteż wielce

mnie zdumiewa pogląd wyrażany po dziś dzień w pewnych sferach, że to powstanie było rzeczywiście wybuchem gniewu narodu oburzonego uwięzieniem jego przywódców. Moim zdaniem, aby udowodnić niesłuszność tego poglądu, wystarczy przytoczyć hasło, jakie Mahatma rzucił swym poplecznikom, gdy go aresztowano: „Czyn albo śmierć!” Uważam, że to jest zupełnie oczywiste. Usłyszałem te słowa po raz pierwszy dopiero 11 sierpnia — wykrzykiwały je tłumy, które się gromadziły, atakowały komisariaty policji i urzędy pocztowe, dopuszczały się sabotaży na torach kolejowych.

I znów najpierw zakotłowało się w Tanpurze i w Dibrapurze, gdzie miejscowa policja była srodze nękana. W Majapurze przez całe popołudnie 11 sierpnia policja pod wodzą swych zwierzchników na koniach musiała wciąż rozpędzać zbierające się tłumy. Kilku policjantów odniosło rany. Dwudziestu ludzi aresztowano i przewieziono do więzienia. W jednej z wsi na południe od Majapuru naczelnik pod-okręgu, Hindus, został napadnięty i uwięziony na posterunku policji, skąd nasze wojskowe patrole, przeczesując ten obszar, uwolniły go dopiero nazajutrz. Zdjęły też wywieszoną w tej wsi flagę Kongresu. Flaga Kongresu wisiła również nad budynkiem sądu w Dibrapurze — miasteczku przez kilka dni zupełnie odciętym. Tamtejszy urząd pocztowy, na który napadnięto 9 sierpnia (w dniu napaści na nauczycielkę z misji), znów podpalony, tym razem spłonął doszczętnie. Dopóki w dniu 17 sierpnia nasze oddziały nie opanowały sytuacji, miasteczko Dibrapur, odległe od Majapuru o siedemdziesiąt mil, pozostawało w rękach motłochu. Co więcej, jeden z prowodyrów mianował się komisarzem okręgowym i ogłosił, że przenosi zarząd okręgu z *Majapuru do Dibrapuru*. Naczelnika podokręgu, który (też Hindus) zawiadywał tym obszarem zgodnie z prawem i konstytucją, uwięziono w pierwszej chwili, ale potem wypuszczono i ulokowano w budynku sądu, gdzie miał urzędować jako „sędzia okręgowy”. Później tłumaczył się on, że buntownicy zmusili go do współpracy z samozwańczym komisarzem okręgowym, ale że zdołał ukryć większość pieniędzy z miejscowego skarbcza, aby nie wpadła w ich ręce. Zwrot pieniędzy i dotychczasowa nieskazitelna przeszłość tego człowieka prawdopodobnie uchroniły go przed karą za zdradę.

Było niestety więcej takich faktów w kraju, i to mających gorsze następstwa. Sędziowie, a nawet starsi urzędnicy okręgowi, Hindusi, podporządkowali się przywódcom motłochu i spore sumy pieniędzy rządowych przypadły, skradzione. W niektórych okręgach nowi samozwańczy administratorzy nakładali na mieszkańców miasteczek i wsi „grzywny” i zgarniali je do własnych kieszeni wraz z opłatami skarbowymi pobieranymi „w

imieniu wolnych Indii". Wszelako chyba się nie zdarzyło, by do współpracy z buntownikami zmuszano Anglików, i chwała Bogu; wśród ludności europejskiej nie było ofiar śmiertelnych. O ile dobrze pamiętam, jedyny wyjątek stanowiło zamordowanie (nie w naszym okręgu) dwóch oficerów Powietrznych Sił Zbrojnych. Motłoch w przeświadczeniu, że ostatnio uczestniczyli w karnym nalocie na zbuntowaną pobliską wieś, napadł na nich i po prostu ich rozszarpał.

Powróćmy jednak do dnia 11 sierpnia w samym Majapurze. Okręgowy nadinspe-

272

ktor policji wykazywał przez cały dzień niemałe zdolności taktyczne. Nie mógł swych nielicznych policjantów rozstawić wszędzie, gdzie byli potrzebni, objął więc kontrolą trzy główne strefy niebezpieczeństwa:

a) ulicę zwaną Przedłużeniem Ćilijanwala Bagh, prowadzącą z południowej części miasta prosto do Mostu Bibighar;

b) plac pomiędzy świątynią Tirupatiego i Mostem przy Bramie Mandir;

c) ulicę prowadzącą na zachód od więzienia (więzienia w mieście czarnych za rzeką, zaznaczam. Sześciu podejrzanych o gwałt siedziało w areszcie śledczym komendy policji w dzielnicy administracyjnej).

Można było przewidzieć, że dwoma głównymi celami ataków będą dzielnicą administracyjną i więzienie.

Rankiem wszystko wydawało się dosyć normalne, dopóki policja w mieście nie zameldowała, że ludność przestrzega hartalu, czyli nie odbywa się żaden handel. O godzinie 8 (mniej więcej w czasie, gdy znów wybuchło powstanie w Dibrapurze) na Przedłużeniu Ćilijanwala Bagh zaczął się gromadzić tłum. O godzinie 9.30 policja rozpendziła ten tłum, ale skutek był tylko taki, że od razu zebrał się drugi tłum, jeszcze większy, w pobliżu ulicy Więziennej. Na szczęście Merrick przewidując, jaki przebieg może mieć zorganizowane prowokowanie stróżów prawa i porządku, już kazał swoim siłom się *rozwinąć*. *Doszło do kilku potyczek i do próby ataku* na urząd pocztowy przy ulicy Więziennej, dobrze jednak zabezpieczony. Tymczasem zaczęły napływać meldunki o „pojedynczych” aktach przemocy i sabotażu w oddalonych częściach okręgu. O godzinie 12 podinspektor policji, szef kotwali nie opodał świątyni Tirupatiego, otrzymał „ultimatum”: musi przyłączyć się do sił „wolnych Indii” i pomóc „uwolnić sześciu męczenników z Ogrodu Bibighar”. Ultimatum zostało mu doręczone w formie wydrukowanej ulotki! Moim zdaniem takie utożsamianie buntu w Majapurze ze sprawą Ogrodu Bibighar, jak gdyby to była kruczjata mająca na celu uwolnienie ludzi uwięzionych rzekomo niesłusznie, było chytrym posunięciem i świadczyło, że kierują tym jacyś zakonspirowani przywódcy o dość wysokiej inteligencji. Merrick przyznał mi rację. Ledwie zobaczył tę ulotkę, przeprowadził rewizję w redakcji gazety wychodzącej po angielsku, „Mayapore Hindu”, i znalazł tam prasę z matrycami w języku miejscowym, dowód, że z drukarni „Mayapore Hindu” wychodzi nie tylko ta gazeta. Skład użyty do wydrukowania ulotki w obu językach został już „rozsypany”, ale Merrick uznał, że należy aresztować cały obecny tam personel i zniszczyć prasę, aby już nie wychodziły spod niej ulotki podobnej treści.

Tej operacji Merrick dokonał o godzinie pierwszej, czyli już w sześćdziesiąt minut po pojawieniu się ulotki w kotwali. Dobrze to świadczyło o jego prężności, jak również o jego wywiadzie czy też systemie „szpiegowskim”. Tegoż dnia po południu, gdy przyjechałem na spotkanie z władzami cywilnymi w zarządzie okręgu, powiedział mi, że jednym z aresztowanych w redakcji „Mayapore Hindu” jest dobry znajomy Kumara, głównego podejrzanego w sprawie Manners. Przypuszczał, że teraz, po przesłuchaniu tego faceta (mam w terminarzu zanotowane jego nazwisko: Widjasagar), łatwo będzie udowodnić obłudę Kumara.

273

A mnie młilo, przyznając, gdy sobie uświadomiłem, do czego mogą się posunąć młodzi hinduscy tak zwani inteligenci, aby prowokować i atakować naród, który daje im możliwości dojścia do czegoś w życiu. Zaniepokoiło mnie również to, że są zdolni do stosowania przemocy w święte imię satjagrahy. Powiedziałem o tym Merrickowi. Zwrócił mi wtedy uwagę, że w swojej pracy niemal codziennie musi się zajmować tego rodzaju sprawami. Jeśli czasem „nagina przepisy” i odpłaca się takim ludziom ich własną monetą, to przecież cel uświęca środki. Wprost „traci głowę” — powiedział — na myśl o tym, że tak przyzwoita panienska jak Daphne Manners, mająca wszystko, co tylko może ofiarować życie cywilizowane, dała się otumanić takiemu typowi jak Kumar, który z niezrozumiałej doprawdy łaski losu odebrał wykształcenie w prywatnej szkole w Anglii. Zdumiała mnie ta informacja o przeszłości Kumara i nawet zachwiała moim poczuciem wartości.

Przy tej samej okazji Merrick (w pośpiechu piliśmy razem herbatę) powiedział, że Gandhi, „ten stary postrzeleniec”, chociaż w swoim mniemaniu nadal jest przywódcą, zupełnie stracił kontakt z narodem, pada więc ofiarą własnych „urojeń” i pojęcia nie ma, jak śmieją się z niego tacy młodzi ludzie, jakich on, Merrick, musi trzymać w ryzach.

Pan White w tamto popołudnie w zarządzie okręgu spokojnie i zdecydowanie reagował na napływające meldunki. Powiedziałem mu, że jestem gotów wydać sierżantowi żandarmerii rozkaz udzielenia pomocy w przewiezieniu tych sześciu aresztowanych na teren Pułku Berkshire. Był zaskoczony, najwidoczniej nie słyszał od Merricka o takiej ewentualności. Powiedział, że nie ma zamiaru podsycać uprzedzeń rasowych przeniesieniem sześciu Hindusów podejrzanych o zgwałcenie Angielki tam, gdzie będą tuż pod nosami angielskich żołnierzy. Zabrzmiło mi to tak, jakby zgoła przecież bezpodstawnie kwestionował zdolność moich chłopców do panowania nad sobą, więc dosyć się zaciętrzewiłem. Wyjaśnił wszelako, że chodzi mu tylko o to, iż zadanie pilnowania takich więźniów byłoby nad wyraz przykre, źle by wpływało na morale żołnierzy, którzy, jeśli ich pomoc będzie konieczna, muszą przecież wykazać równowagę ducha i dużą dyscyplinę wewnętrzną. Niedobrze się stało, dodał,

że wiadomość o napaści na pannę Manners tak się rozeszła. Obecność podejrzanych na terenie wojskowym wciąż by żołnierzom przypominała o czymś, co może tylko budzić silne, naturalne oburzenie.

Co do tego nie zgadzaliśmy się ze sobą, zakończyliśmy więc rozmowę raczej cierpko. O godzinie ósmej wieczorem w myśl moich przewidywań otrzymałem pismo z prośbą o pomoc. Natychmiast wydałem rozkaz: tak zwany oddział do tłumienia rozruchów ma się zameldować w zarządzie okręgu, a reszta Pułku Berkshire czekać w pogotowiu. Potem udałem się do White'a, do jego bungalowu, wiedząc, że on już tam wrócił. Gdy przyjechałem, konferowałem z sędzią Menenem i swoimi ludźmi. Sędzia Menen wydawał się niewzruszony, jak zwykle. Wszelako nasuwało mi się pytanie, czy pod tą poważną sędziowską powierzchownością nie kryje się serce bijące unisono z sercami Hindusów, którym marzy się „wolność”.

Jak się okazało, White już od czwartej po południu zdawał sobie sprawę, że ma

274

za mało policjantów do rozpędzania tłumów, zwłaszcza odkąd oddział ze śródmieścia pojechał do Tanpuru, aby wesprzeć tamtejszą policję i przywrócić łączność z Dibrapurem. Sądząc z nastroju ludności w Majapurze, można było się spodziewać już nazajutrz zdecydowanych ataków na dzielnicę administracyjną, przy czym o charakterze, jaki przybiera rewolta, wyraźnie świadczyło zestawienie meldunków zarówno z tego okręgu, jak i z innych okręgów i prowincji. Ostatecznie więc komisarz okręgowy o godzinie 7.30 wieczorem zdecydował się zwrócić o pomoc wojskową. Witając mnie u siebie o godzinie 8.15, przede wszystkim podziękował mi za szybką reakcję. Wyraził jednak nadzieję, że może nazajutrz jego prośba o pomoc okaże się zupełnie zbyteczna. Uzgodniliśmy, że pluton Berkshire, odkomenderowany do zarządu okręgu, będzie czekał w pogotowiu na wezwanie i jeszcze tej nocy inny oddział pojedzie z sędzią i przedstawicielem policji do Dibrapuru, aby zbadać tam sytuację, zaprowadzić spokój i porządek. Pragnąłem zachować moich berkshir-czyków nietkniętych, postanowiłem przeto wysłać do Dibrapuru pluton ranpurczyków z Marpuri. Mogli oni przejechać na drugą stronę rzeki w miejscu oddalonym o sześć mil do Majapuru i dojeżdżając do Dibrapuru boczną drogą, wziąć buntowników przez zaskoczenie. Natychmiast zatelefonowałem do Marpuri i wydałem oficerowi dyżurnemu rozkaz.

O godzinie dziesiątej wieczorem sam pojechałem samochodem z tymi dwoma przedstawicielami władz cywilnych, ponieważ uznałem, iż powinienem być przy ich spotkaniu z plutonem. Nawiązałem kontakt z ranpurczykami i następnie poprowadziłem pluton do mostu we wsi Tanipuram, gdzie zastaliśmy miejscowych policjantów czekających w pogotowiu. Ich szef zameldował, że o zmierzchu zauważono za rzeką nie opodal mostu jakichś ludzi, którzy jednak odeszli na widok patrolu policyjnego. We wsi przez cały dzień było spokojnie, mimo pogłosek o zamieszkach w Majapurze. Wyprawivszy ranpurczyków w dalszą drogę do Dibrapuru, wróciłem na miejsce spotkania — przystanek kolejowy, który służył okolicznym wsiom. Zatelefonowałem do Majapuru i udało mi się uzyskać połączenie z zarządem okręgu. Poleciałem przekazać komisarzowi okręgowemu wiadomość, że ranpurczycy są w drodze, a potem — czując, że zrobiłem wszystko, co mogłem zrobić tej nocy — wróciłem do swojej kwatery. Już prawie świtało i deszcz padał nieprzerwanie, co z pewnością studziło zapal potencjalnych nocnych lupieżców.

Przespałem niespełna trzy godziny, gdy obudził mnie mój oficer łącznikowy. Dostał meldunek od plutonu ranpurczyków jadących do Dibrapuru: zatrzymało ich w odległości dziesięciu mil od celu drzewo zwalone w poprzek szosy. Nie stanowiło to żadnej przeszkody dla żołnierzy, ale oczywiście uniemożliwiało przejazd. Usunęli drzewo z niejakim trudem, ponieważ szosa była śliska, pobocza rozmiękły w nieustannych strugach deszczu. Podporucznik dowodzący plutonem, młody Hinduś, chciał wysłać dwie sekcje naprzód piechotą do najbliższej wsi, oddalonej o milę, jednakże sędzia i policjant, którzy mu towarzyszyli, nalegali, aby oddział

275

zaczekał w pełnym składzie na usunięcie przeszkody. Gdyby podporucznik pomimo ich perswazji wysłał żołnierzy do tej wsi zgodnie ze swoim lepszym rozeznaniem, kto wie, czy nie dałoby się zapobiec zburzeniu mostu za wsią. Ów most na dopływie rzeki płynącej przez Majapur został wysadzony w powietrze w jakieś dwadzieścia minut od chwili, gdy żołnierze zaczęli usuwać drzewo z szosy. Słyszeli wybuch. Gdy dojechali do wsi (gdzie nie było nikogo oprócz kilkorga starych ludzi), podporucznik znów nawiązał łączność z brygadą i zameldował, że szosa do Dibrapuru jest teraz nieprzejezdna. Prosił o dalsze rozkazy.

Taką to sytuację przedstawiono mi rankiem 12 sierpnia. Rzut oka na mapę szybko potwierdził, że obranie jedynej alternatywnej trasy do Dibrapuru wymagałoby cofnięcia się na północ prawie do mostu w Tanipuram, a i ta trasa z punktu widzenia transportu mechanicznego jest niewiele lepsza niż szlak widoczny tylko przy dobrej pogodzie. Uprzytomniłem sobie, że wystarczy teraz, by most w Tanipuram też wyleciał w powietrze, a utracę chwilowo możliwość dysponowania dwiema ciężarówkami trzytonowymi, jedną półtoratonówką i cennym sprzętem radiowym.

Na szczęście oficer wywiadu mojej brygady, trochę zbyt powściągliwy, ale nadzwyczaj zdolny młody człowiek nazwiskiem Davidson, już dostrzegł to niebezpieczeństwo i przewidział, że wydam mu rozkaz, aby zwrócił się do policji o natychmiastowe skontaktowanie się z posterunkiem policyjnym przy moście w Tanipuram celem sprawdzenia, co się tam dzieje, i uchronienia mostu przed ewentualnym sabotażem. Zatelefonowałem do komisarza okręgowego. Powiedziałem, że mogę utracić cenne środki transportu oraz sprzęt, jeżeli nie dostanę

carte blanche na zabezpieczenie tej szosy. Wytłumaczyłem mu dlaczego i dorzuciłem, że to chyba jasne: buntownicy w Dibrapurze mają dosyć wykwalifikowanych przywódców i najwidoczniej Dibrapur wybrano na twierdzę rebelii w tym okręgu.

White przez długą chwilę zastanawiał się nad sytuacją, po czym powiedział, że ogólnie rzecz biorąc zgadza się ze mną i daje mi *carte blanche* na osłanianie szosy w czasie „wycofywania” ranpurczyków. Sprostowałem, że niekoniecznie myślę o wycofaniu ich, przede wszystkim chcę zabezpieczyć szosę na tyle czasu, ile trzeba, aby odbudować wysadzony most. Odczuwamy żalosny brak niezbędnego wyposażenia, ale nawet gdyby musiało minąć kilkanaście godzin, zanim ranpurczycy będą mogli jechać dalej do Dibrapuru, chyba lepiej późno niż wcale.

Jego odpowiedź mnie zdumiała. Powiedział:

— Nie, ja proszę o wycofanie plutonu. Zgadzam się jednak na osłanianie szosy, dopóki pańscy żołnierze nie wrócą na tę stronę Tanipuram. Zaraz potwierdzę to na piśmie.

Zapytałem go:

— A co będzie, jeżeli most w Tanipuram wyleci w powietrze?

Odpowiedział:

— To by wymagało nowej oceny sytuacji, ale zaryzykowałbym domysł, że wtedy chyba utraci pan, panie generale, możliwość natychmiastowego dysponowania trze ma ciężarówkami i radiem.

Odłożył słuchawkę. Ubrałem się szybko i zjadłem śniadanie. Postanowiłem, że

276

w razie gdybym otrzymał meldunek o wysadzeniu mostu w Tanipuram, wydam rozkaz, aby ranpurczycy dali odczuć swoją obecność na tantym obszarze, nieważne, czy jest tam sędzia, czy go nie ma. Wkrótce jednak odetchnąłem z ulgą, gdy odebrałem telefon z komendy policji z wiadomością o meldunku z Tanipuram: most nadal stoi i nic nie wskazuje na kłopoty.

Już się zdecydowałem nie wycofywać ranpurczyków, dopóki od komisarza okręgowego nie wyjdzie zapowiedziane pismo w tej sprawie. Otrzymałem takie pismo o godzinie 8 rano i niezwłocznie poleciłem Fwartowi wydać rozkaz, aby ciężarówki wróciły wraz ze sprzętem i ludźmi.

Następnie omówiłem sytuację w Dibrapurze z Davidsonem, moim oficerem wywiadu. Komisarz okręgowy — powiedział Davidson — chyba myśli, że jeżeli miasteczko Dibrapur rzeczywiście jest ośrodkiem rebelii w okręgu, można je na razie zostawić, by dusiło się we własnym sosie, skoro buntownicy nie mają „wojska”, a większe znaczenie ma dla nas Majapur. Zdaniem Davidsona, komisarz okręgowy zdecydował, że pacyfikacja powinna się rozpocząć właśnie od Majapuru.

Davidson zawsze rozmawiał ze mną bardziej szczerze niż wszyscy inni z mojego sztabu (wyjątek stanowił Ewart, nawiasem mówiąc, przyjaciel w życiu prywatnym).

Gdy objąłem to dowództwo, oficerem wywiadu był młody chłopak nazwiskiem Lindsey, którego natychmiast polubiłem. Widział akcję naszych nieszczęsnych sił ekspedycyjnych we Francji. Jego związki z Pułkiem Berkshire datowały się od czasów, gdy służył w Ochotniczej Armii Rezerwowej przed wojną. Przyjechał do Indii z nowym batalionem jako dowódca kompanii. W Indiach został skierowany na szkolenie w służbie wywiadowczej, po ukończeniu którego poprosił o przydzielenie do formacji obejmującej jednostkę jego dawnego pułku i od razu na początku kwietnia dostał dowództwo sekcji wywiadu naszej brygady. Wszelako już w tydzień po moim przyjeździe do Majapuru otrzymał przeniesienie na stanowisko G 3(1) w dywizji. Zrobiłem o to trochę hałasu, ale Ewart mnie przekonał, że lepiej nie stawiać przeszkód. Lindsey, odkąd przyjechał do Majapuru, przejawiał niepewność i niepokój i chyba sam, jak podejrzewał Ewart, zwrócił się do kogoś ze sztabu dywizji z prośbą o przeniesienie.

Davidson z początku nie wydawał mi się szczególnie dobrym następcą Lindseya i przy niejednej okazji krzyżowaliśmy szpady. Był to Żyd z pochodzenia, dosyć wrażliwy, czego na początku nie dostrzegałem.

Po rozmowie z Davidsonem zdecydowałem się odwiedzić White'a. Pojechałem do jego bungalowu, ale go nie zastałem. Miał wrócić z objazdu dzielnicy garnizonowej i śródmieścia o dziesiątej, powiedziała mi pani White. Zdecydowałem się poczekać. Zaczęliśmy rozmawiać na temat ogólnej sytuacji i stwierdziłem, że zdanie tej pani jest wypośredkowane pomiędzy zdaniem moim i zdaniem jej męża.

— Robin — powiedziała mi — zawsze próbuje patrzeć w przyszłość przynajmniej o rok naprzód. On wie, że ci ludzie, którzy przeciwstawiają się nam teraz, to ci sami, z którymi będziemy musieli żyć później w spokoju, ponosząc za nich odpowiedzialność.

Powiedziałem:

277

- Tak, jeżeli tego wszystkiego nie zagarną Japończycy.
- Wiem — przytaknęła. — Też to mówię w głębi duszy. Wtedy jednak myślę tylko o naszych bliźniakach: że już nigdy ich nie zobaczę. I Robin o tym myśli, ale wie, że nie za takie myślenie dostaje pobory.

Zrozumiałem od razu, że łączy ich dwoje podobna wspaniała przyjaźń, jaką ja byłem pobłogosławiony w moim małżeńskim życiu.

White wrócił z młodym Jackiem Poulsonem. Powiedział, że przykro mu, jeśli mnie zirytował, gdy wcześniej w

ten poranek zadzwoniłem do niego w sprawie ranpurczyków i mostu. Zapytałem, czy mam rację przypuszczając, że uznał za wskazane zostawić Dibrapur, aby przez parę dni dusił się we własnym sosie, a potem, gdy już ukroćmy ekscesy w Majapurze, był odosobniony, podatny na pacyfikację. Wyraźnie zdumiał się i dopiero po namyśle odpowiedział:

— Tak, chyba do tego się to sprowadza, mówiąc językiem wojskowym.

Zapytałem go, jak by to określił mówiąc językiem cywilnym. Odpowiedział bez namysłu:

— Ratowanie życia i ochrona mienia.

Zapytałem go, czy uważa, że pod tym względem wojsku nie należy ufać. Odpowiedział:

— Pańscy faceci są uzbrojeni. Moi faceci oprócz niewielkiej ilości broni pozwalającej im zyskać na czasie, takiej jak materiały wybuchowe, mają tylko gołe ręce i swoje roznamiętlenie.

Zdumiałem się, że dla White'a buntownicy to „jego faceci”, potem wszelako zrozumiałem, że on tak samo poważnie poczuwa się do odpowiedzialności jak ja, i uświadomiłem sobie, iż pomiędzy dwoma ludźmi z jednego pnia, chociaż działają w zgodzie, może jednocześnie narastać dziwna wrogość tylko dlatego, że zakresy ich odpowiedzialności są różne. A przecież, — pomyślałem — obu nam ostatecznie chodzi o ten sam rezultat.

Władze cywilne w tamten poranek miały wiadomości, że w British-Indian Electrical Company przystąpiono do strajku i że młodzież ze średniej szkoły państwowej i technikum planuje masową satjagrahę w wielkim marszu po południu przez Most Bibighar i Magistralę na lotnisko w Banijagandzu, gdzie wszelkie roboty ustały po aktach zastraszania ludzi, którzy z początku wbrew wezwaniu Kongresu nie przzerwali pracy.

White nawet słuchać nie chciał o wszczęciu akcji przeciwko tej młodzieży. Powiedział, że to chłopcy zmienni i nieobliczalni. Chyba poprzestaną na spokojnym przemaszerowaniu i gdy kilku ich kolegów zostanie aresztowanych, rozbiegną się zadowoleni, że narobili kłopotu władzom, opowiadając się za ideałami Kongresu. „Ale najłżejszy wiatr z innej strony” — jak White to sformułował — może sprawić, że w przypiływie masowej hysterii rzucą się nieuzbrojeni na policję czy na wojsko, co pociągnęłyby za sobą tylko tragiczne skutki. Dlatego więc byłoby wskazane, aby policji pomogli żołnierze, których dowódca kontrolowałby poczynania policjantów tak samo jak swoich podkomendnych. Policja, mówił dalej White, nieraz bywa wobec młodzieży brutalna. Zresztą łatwość, z jaką informatorzy dowiedzieli się

278

szczegółów tego planu, świadczy o tym, że demonstracja ma tylko odwrócić uwagę, zwabić nasze główne siły na Most Bibighar i na teren obu uczelni. Prawdopodobnie szykuje się coś innego po drugiej stronie Mostu przy Bramie Mandir, atak pospólstwa na więzienie, i to właśnie w czasie — przypuszczał White — demonstracji młodzieży.

Mogłem jedynie podziwiać jego chłodną, rozsądną ocenę sytuacji. Wysunąłem sugestię, że może ten poranek to dobra pora, aby przy biciu w bębny ogłosić w mieście proklamację władz cywilnych i wojskowych zakazującą zgromadzeń. Raz już to rozważał i teraz rozważył znowu. Ostatecznie powiedział:

— Nie. Sądzę, że to również byłaby prowokacja, zanadto kojarzy mi się to z początkiem masakry w Amritsarze. I m też mogłoby się tamto przypomnieć. I przecież nie potrzebują aż proklamacji, by wiedzieć, co wolno, a czego nie wolno.

W toku tej rozmowy z White'em, chociaż zaczęła się w nastroju chłodu graniczącego z nieufnością, chyba wejrzałem w mentalność cywila szybciej i głębiej niż, kiedykolwiek, odkąd służyłem w Indiach. Odjechałem pod silnym i trwałym wrażeniem, że komisarz okręgowy ma na celu wyłącznie dobro ludzi, bez względu na ich rasę, wyznanie i kolor skóry.

White na pewno żywił wiele wątpliwości co do poszczególnych sposobów akcji, jaką należało podjąć, myślę wszelako, że musiał je rozważać pamiętając, iż — jak sformułowała to jego żona — „są to ludzie, z którymi będziemy musieli żyć później w spokoju”. Po rozruchach w Majapurze, o ile wiem, potępiono go za to, że „stracił głowę”. Jeśli go potępiono, chciałbym coś wyjaśnić. White radził sobie, dopóki mógł, a ja przez tych kilka dni, gdy okoliczności prawie zupełnie uniemożliwiły mu wykonywanie jego zadania, już tylko usiłowałem ratować fatalną sytuację. Powinienem też wyrazić tu mój pogląd osobisty: White raczej by się zapracował na śmierć niż przyznał, że został pokonany, gdyby nie rozkaz, jaki otrzymał — wieczorem 12 sierpnia — bezpośrednio od swojego komisarza (który w odległości dwustu mil od Majapurii wydał ten rozkaz na polecenie gubernatora prowincji): korzystać „do ostatecznych granic” z pomocy wojska. Ja ze swojej strony dostałem zawiadomienie o tym od mojego dowódcy dywizji i obszaru. Wieczorem 12 sierpnia prowincję ogarniała już fala tak gwałtownych niepokojów, że ogólnie biorąc można było nazwać to stanem rebelii i nasi bezpośredni zwierzchnicy musieli mieć bardzo poważne wątpliwości co do dnia jutrzejszego.

Poranne spotkanie 12 sierpnia było właściwie ostatnim z.. moich spotkań z White'em, które pozostawiło mi wyraźne wspomnienie. Już opisałem tu na tych stronach — jako przykład drylu, z jakim wojsko udzielało pomocy władzom cywilnym — akcję w tamto popołudnie na ulicy Mostowej, przy Bramie Mandir, kiedy to, zgodnie z przewidywaniami White'a, tłum, myśląc, że władze są zajęte tylko demonstracją młodzieży, próbował się dostać z placu przed świątynią do dzielnicy administracyjnej, podpalił komisariat niedaleko świątyni i ruszył w kierunku dworca kolejowego. Gdy policja prowadziła akcję z naszego przyczółka koło Mostu przy Bramie Mandir. inny jej oddział w tym samym czasie rozpaczliwie bronił więzienia. Zanim oddział Pułku Berkshire, pospiesznie tam przysłany, zdążył zapanować nad

sytuacją, dwaj policjanci ponieśli śmierć, a motłochowi udało się wtargnąć do więzienia i uwolnić pewną liczbę więźniów.

Jeśli chodzi o akcję na ulicy Mostowej, to jak czytelnicy może pamiętają z mojego wcześniejszego szczegółowego jej opisu, pluton „pornocniczy”, korzystając ze swojej przewagi, gdy salwy wywołały zamęt i ludzie zaczęli się rozbiegać, ruszył naprzód. W ten sposób większość wycofującego się motłochu została zepchnięta z powrotem na most i tylko małym oderwanym grupom jakoś udało się uciec bocznymi ulicami.

Zatrzymując się przy moście od strony dzielnicy administracyjnej, dowódca plutonu zapytał sędziego, pana Poulsona, czy pluton ma przejść przez most i zająć plac przed świątynią, gdzie już prowodyrzy zatrzymywali uciekający tłum i nawoływali do ponownego formowania się. Poulson, który chciał w myśl przepisów utrzymać siły strzegące prawa i porządku nienaruszonej poprosił tego porucznika o pozostanie na przyczółku mostu. Teraz słychać było strzelaninę od strony dworca, więc Poulson słusznie zakładał, że tłum, przybywając przez most, rozdzielił się od razu na dwie grupy i gdy jedna posuwała się w kierunku Mostu przy Bramie Mandir, druga przeszła torami kolejowymi na dworzec. Powiedział podporucznikowi, że jeśli on wyda rozkaz przejścia przez most na plac przed świątynią, żołnierze mogą się znaleźć pomiędzy motłochem, który próbuje ponownie się tam uformować, a motłochem wycofującym się z dworca. Pluton więc się zatrzymał. Ludzie, którzy już nadbiegli, uciekając z dworca, zobaczyli wojsko przed mostem, ich jedyną drogą odwrotu.

I niestety, chociaż pan Poulson, ledwie się ukazał ci nie uzbrojeni cywile, poprosił, żeby „otworzyć im przejście” przez most, oni na widok wojska wpadli w panikę i mylnie sobie wytłumaczyli ruch plutonu istotnie usuwającego się z drogi. Ludzie w czołówce tłumy zaczęli cofać się narażając na stratowanie. Wielu zeszło do rzeki, próbowało przepłynąć na drugi brzeg, przy czym sporo z nich, niestety, utonęło.

Ten incydent stał się przyczyną wielkiego nieporozumienia. Hindusi oskarżyli nas później o rozmyślne zastawienie pułapki i bezlitosne potraktowanie tych, którzy w ową pułapkę wpadli. Czyniono wysiłki, aby udowodnić, że żołnierze na moście strzelali do tłumy i dlatego wiele osób rzuciło się do rzeki. O ile wiem, cały „materiał dowodowy” sprowadzał się do faktu, że u kilkorga z topielców wyłowionych z rzeki stwierdzono rany od kul. Rany te mogli ofli odnieść tylko w czasie akcji na dworcu, gdy tłum pomimo rozkazu nie rozszedł się i żołnierze, obrzucani kamieniami i odłamkami cegieł, musieli oddać salwę. Jak już chyba nadmieniałem, policjantami na dworcu dowodził sam Merrick, okręgowy nadinspektor policji. Wykazywał energię i zdecydowanie, niebaczny na własne bezpieczeństwo. Niewzruszenie wjeżdżał konno w tłum rozpędzając ludzi, nie dopuszczając do formowania się jednolitego frontu. Dopiero wtedy, gdy musiał się wycofać, wydał rozkaz swym nielicznym uzbrojonym policjantom i pozwolił żołnierzom otworzyć ogień.

Było to przykre popołudnie, a zwłaszcza przykra była wiadomość o sforsowaniu więzienia, którą otrzymaliśmy w zarządzie okręgu. Padał ulewny deszcz. Między

280

godziną piątą i szóstą rozszalała się nad miastem burza, jak gdyby odzwierciedlając burzę rozszalałą na ziemi. W tych niesprzyjających warunkach atmosferycznych jeszcze jeden pododdział Pułku Berkshire (ja sam mu towarzyszyłem wraz z komisarzem okręgowym) przejechał otwartymi ciężarówkami przez most i otoczył więzienie. Ulewa i niepokój wywołany pogłosem o zdławieniu rozruchów w dzielnicy administracyjnej sprawiły, że tłum na ulicy Więziennej się przerzedził. Niewątpliwie też widok kilku ciężarówek pełnych uzbrojonego wojska, które błyskawicznie tam odkomenderowałem, zachwiał determinacją buntowników jeszcze znajdujących się na tym obszarze. Wszelako najbliższe okolice więzienia trzeba było oczyścić, więc żołnierze wysiedli z ciężarówek i raz po raz oddawali salwy w powietrze. Gdy zapanowaliśmy nad obszarem wokół więzienia, pozostawało jeszcze sforsować oskardami ogromną drewnianą bramę. Powstańcy zamknęli się wewnątrz. Włamali się do zbrojowni, ale na szczęście nie bardzo umieli obchodzić się z bronią, jaką tam znaleźli. Gdyby nie to, nasi żołnierze może by musieli forsować wejście pod nieustannym ogniem. I tak zresztą, gdy dowódca wprowadził pluton na więzienny dziedziniec, jeden z żołnierzy został postrzelony.

Odbicie więzienia z rąk rebeliantów sprawiło, że ich nadzieje tamtego dnia się rozwiały. Ich gniew, jak to zwykle bywa w przypadkach niepowodzeń, obrócił się przeciwko nim samym. W nocy z 12 na 13 sierpnia trudno było ocenić, kto ma przewagę w mieście. Stronictwa, na które podzielił się tłum, odkładając nękanie nas na później, załatwiały stare porachunki między sobą. Zaczęło się plądrowanie i podpalanie, ale tylko domów i sklepów tubylców, przy czym zdarzały się nawet morderstwa. Gdy nazajutrz rano znajdowano zwłoki owych ofiar, Hindusi mogli twierdzić, że są to „męczennicy za sprawę wolności”, zakatowani na śmierć przez policję albo przez wojsko! Doszło też do kilku incydentów w dzielnicy garnizonowej, gdzie nieduże bandy buntowników, którzy uciekli bocznymi drogami, znalazły sobie kryjówki, a później, po zapadnięciu zmroku, wyszły z nich i narobiły trochę szkód wzdłuż torów kolejowych. Tej nocy wybuchł także pożar w jednym ze składów przy bocznicach.

Teraz komisarz okręgowy dostał już od swoich zwierzchników instrukcje, w myśl których miał do zdławienia buntu w okręgu użyć wszystkich sił, jakimi tylko może dysponować. Mnie poinformował o tym mój dowódca. Zgodnie z „instrukcjami” otrzymanymi „prywatnie” mogłem objąć pełne dowództwo i wprowadzić prawo wojenne, jeżeli w ciągu najbliższych godzin uznam, że władze cywilne nie są już zdolne do akcji. Wszelako sądząc z tego, co widziałem w tamto popołudnie, byłem zdania, że zdołamy przywrócić porządek wspólnie, White i ja, bylebyśmy się zgodzali, iż sytuacja przybrała obrót nie obowiązujący nas do reagowania na incydenty ściśle

według przepisów. Powiedziałem to mojemu dowódcy i dodałem, że najbardziej martwi mnie stan rzeczy w Dibrapurze, budzący, zwłaszcza po naszych doświadczeniach tego dnia w Majapurze, coraz poważniejsze obawy.

Późno w nocy miałem krótkie spotkanie z White'em, właśnie jedno z tych kilku spotkań, które się zatarły w mojej pamięci, ponieważ czas wtedy naglił i rozmawialiśmy pospiesznie. Pamiętam tylko, jak zapytał, ledwie mnie zobaczył:

281

- No cóż, pewnie pan przejmie władzę, panie generale? Odpowiedziałem pytaniem:
- Czy życzy pan sobie tego?

Potrząsnął głową, ale zgodził się, abym nazajutrz wysłał oddział do Dibrapuru prostą, bezpośrednio tam biegnącą szosą na południe od Majapuru. Dowódca okręgu jednak znów zatelefonował do mnie tamtej nocy ze swojej kwatery głównej i powiedział, że lepiej podejść do Dibrapuru z północnego zachodu pieszo, od strony wysadzonego mostu, który ma być odbudowany przez saperów możliwie jak najszybciej, aby natychmiast po spacyfikowaniu Dibrapuru przywrócić normalną komunikację na tej trasie.

Cóż, kiedy ranpurczyków w marszu na krótkim, dziesięciomilowym odcinku szosy raz po raz zatrzymywały barykady i domowym przemysłem zrobione „miny lądowe”, przy czym te ostatnie powodowały straty w ludziach. Potwierdziło to mój pogląd, że Dibrapur ma być twierdzą planowanego powstania. W rezultacie dopiero 17 sierpnia mogłem donieść komisarzowi okręgowemu, że w Dibrapurze przywrócona została kontrola legalnie ustanowionych władz. Na pomoc ranpur-czykom musiałem wysłać kompanię Strzelców Pankockich bezpośrednio szosą na południe przez Tanpur i ogólnie biorąc cała ta operacja miała w sobie coś z generalnego natarcia wojskowego. W nocy 13 sierpnia, gdy ranpurczycy wkroczyli do Dibrapuru, ogłosiłem tam stan wojenny. Przez trzy dni żołnierze wprowadzali znów prawo i porządek. 17 sierpnia jeden z urzędników komisarza okręgowego objął rządy w imieniu władz cywilnych i ci z naszych hinduskich funkcjonariuszy, którzy, jak się okazało, współpracowali z buntownikami (naczelnik podokręgu, jeden z sędziów i kilku policjantów), zostali przewiezieni do Majapuru, gdzie przede wszystkim przesłuchał ich komisarz okręgowy. Wtedy to właśnie ów naczelnik podokręgu zdał pieniądze, mówiąc, że ukrył je, aby nie wpadły w ręce buntowników, i w ten sposób uniknął procesu.

Tymczasem rebelia w całym okręgu, chociaż jej poszczególne coraz gwałtowniejsze fazy wydawały się faktycznie nie do opanowania, wreszcie się przesiliła i mogliśmy uznać, że jej pierwotny rozpęd został szczęśliwie zahamowany.

Chyba zawsze po starciu najżywsze wspomnienia pozostawia człowiekowi początkowy zryw, konieczny, by ruszyć do akcji. Dyscyplina i dryl, na które później przychodzi kolej, okazują się cenne, ale nie pozostawiają żadnych szczególnie ważnych wspomnień. A przecież dobrze pamiętam dzień 14 sierpnia, gdy nastąpiła jeszcze jedna poważna próba wtargnięcia do dzielnicy administracyjnej, i to w imię „męczenników Bibighar i Mostu przy Bramie Mandir”.

Wzruszający był wtedy widok tłumu, w którym narażało się na poturbowanie, a nawet śmierć tyle młodych i starych kobiet. Najwyraźniej ta manifestacja 14 sierpnia była już bardziej zgodna z zasadą Mahatmy o niestosowaniu przemocy. Zupełnie tak, jak gdyby pospółstwo w Majapurze z dnia na dzień rozczarowało się do swoich przywódców, którzy je zachęcali, by chwyciło za każdą broń, jaka jest pod ręką, i wmawiali mu, że policję i wojsko można pokonać takimi środkami. Teraz ci prości ludzie przyszli z wyzwaniem — z transparentami „Opuszcie Indie”,

282

„Wydajcie nam niewinne ofiary Ogrodu Bibighar” — ale nie uzbrojeni. Tłum, usiłujący przejść przez Most Bibighar, składał się w dużym stopniu z kobiet i dzieci i doprawdy ich widok tak wzruszał, że nasi żołnierze nie kwapili się do strzelania, chociaż padł rozkaz, by strzelali w powietrze, gdy naprzód wyszły same kobiety. Zauważyłem, jak jeden z żołnierzy wysuwa się z szeregu i pociesza małą dziewczynkę. Biegała ona tam i z powrotem, szukała swojej matki, zapewne będącej wśród kobiet, które położyły się na jezdni, aby zagrodzić żołnierzom drogę na most.

Raczej nie ulega wątpliwości, że sprawa napadu na pannę Manners w Ogrodzie Bibighar stała się w rezultacie hasłem bojowym dla ludności Majapuru. Nigdy natomiast nie traktowałem poważnie argumentów, jakie wysuwano na dowód, że zamieszki wywołała dopiero akcja wszczęta przez policję i że ich motywem była chęć „pomszczenia”. Opowieści o maltretowaniu tych sześciu aresztowanych z pewnością nie miały podstaw. Chociaż tu znów powinienem przypomnieć, że policjanci, oprócz najstarszych stopniem oczywiście, takich jak okręgowy nadinspektor policji, rekrutowali się spośród Hindusów i nieraz w naszej historii — trzeba to przyznać — wysuwano niesprawiedliwe pretensje do białych zwierzchników o poczynania ich tubylczych podwładnych, których „w myśl przepisów” mieli oni kontrolować. Wątpię jednak, czy nawet Hindusi traktowali poważnie tę opowieść o tym, jakoby jednego czy też paru z sześciu aresztowanych — wszystkich hinduistów — „zmuszano do jedzenia wołowiny”. To fakt, że w policji było sporo muzułmanów, ale gdyby pospółstwo rzeczywiście wierzyło w to „karmienie wołowiną”, od razu zaczęłaby krążyć pogłoska, że odpowiedzialni za to są policjanci muzułmanie, i wybuchłyby między hinduistami i muzułmanami awantury, a na szczęście do żadnych takich awantur wtedy nie doszło. Wszelkie opowieści tego rodzaju w związku ze sprawą Ogrodu Bibighar powstawały niewątpliwie w wyniku plotek krążących po tym wydarzeniu, gdy znów zapanował spokój. Do mnie z pewnością w owym czasie nic podobnego nie dotarło, a później, słysząc te opowieści, uznałem, że nie ma już celu badać, czy są zgodne z

prawdą — zresztą badanie tego me należałoby w żadnym razie do moich zadań.

Niestety (przynajmniej ja nad tym ubolewam), w takiej poważnej sytuacji, jaką było powstanie w Majapurze, którego zduszenie pochłaniało całą energię nas wszystkich, władze nie miały możliwości prowadzić dalej dochodzenia przeciwko sześciu aresztowanym pod zarzutem gwałtu. Również i to, że sama ofiara nie potrafiła złożyć zeznań prowadzących do zidentyfikowania winnych, sprawiało, że materiał dowodowy byłby zbyt skąpy dla sądu. Ani przez chwilę nie widzieliśmy powodu, aby przewieźć tych podejrzanych na teren pułku, w miejsce lepiej zabezpieczone, ale jeśli rzeczywiście oni byli sprawcami (a dla mnie nadal pozostawało to kwestią otwartą), musieli uważać się za szczęściarzy, że tak im się upiekło. Można było co najwyżej, opierając się na dowodach ich poczynań i powiązań w przeszłości, zastosować odnośne paragrafy Ustawy o obronie Indii, i tak też uczyniono. Co do napaści na nauczycielkę z misji i zamordowania jej podwładnego Hindusa, tu znów nie dało się szybko zidentyfikować sprawców — którychkolwiek spośród aresztowanych tamtego dnia w Tanpurze — sprawiedliwości więc nie stało się zadość,

283

choć w końcu paru z tych aresztowanych dostało za inne udowodnione im zbrodnie najwyższy wymiar kary.

Jak wynika z urzędowych danych, które opublikowano później, ogólna w całym kraju liczba interwencji władz, gdy policja albo wojsko czy też wojsko i policja razem musiały otworzyć ogień do ludności, przekraczała pięćset. Aresztowano ponad sześćdziesiąt tysięcy osób, ponad tysiąc było zabitych, ponad trzy tysiące ciężko rannych. Władze indyjskie kwestionują teraz liczbę zabitych i podnoszą ją nawet do czterdziestu tysięcy. Co się tyczy moich oddziałów, dane są następujące: incydentów wymagających otwarcia ognia było dwadzieścia trzy (z tego dwanaście w Dibrapurze). osób uznanych za zabite w wyniku otwarcia ognia — pięćdziesiąt trzy. Myślę, że te liczby stanowią dowód powściągliwości naszych żołnierzy. Nie wiem tylko, ile osób aresztowano w okręgu, ponieważ aresztowania należały do zadań policji. Ani też nie znam liczby skazanych na karę. na przykład, chłosty, która zawsze stanowiła dla Hindusów sprawę drażliwą. Zniszczeń w miasteczkach i oddalonych częściach okręgu było dużo i minęło kilka tygodni, zanim znów zapanował porządek, przynajmniej w tym najogólniejszym sensie, według kryteriów władz cywilnych. To znaczy, przywrócono normalne funkcjonowanie poczty i telegrafu, pełną przejeźność szos i komunikację kolejową, policja odzyskała całkowitą kontrolę nad miejscowymi społecznościami i w sądach zasiedli legalnie mianowani sędziowie. Ostatecznie, jak powiedział White, sama ludność ucierpiała wskutek przerwy w normalnym spokojnym trybie życia. Mówi się na przykład, że gdyby nie wybuchł „bunt”, dałoby się zapobiec klęsce głodu w Ben-galu w roku 1943, a jeśli nie zapobiec, to przynajmniej ją złagodzić. Wiele zanotowano przypadków bezmyślnego demolowania sklepów, magazynów i składów.

Zdaję sobie sprawę, że chyba zanadto się rozpisalem o tym, co ani nie trwało długo, ani też nie było szczególnie ważne z wojskowego punktu widzenia. Wszelako wywarło to na mnie niezatarte, głębokie wrażenie, może dlatego, że działo się w czasie, gdy stałem wobec nieuchronności osobistego nieszczęścia, o którym wciąż jeszcze trudno mi mówić. Wypełniałem wtedy codzienne powinności i wydawało mi się chwilami, że mój los, dotychczas przecież tak prosty, już pozbawił mnie wszystkich swoich łask. Jednocześnie, widząc siłę i zwartość bijącej w nas fali, musiałem się zastanowić: w czym zawiedliśmy? W czym ja sam uchybiłem?

Właśnie 18 sierpnia, nazajutrz po dniu, w którym mogłem oznajmić komisarzowi okręgowemu, że Dibrapur wreszcie znów podlega jego władzy i że zdaniem moich oficerów, przebywających teraz w różnych częściach okręgu, najgorsza raz powstania już minęła, dostałem telegram od Tubby'ego Cartera, abym natychmiast przyjechał do Rawalpindi. W zamęcie rozruchów telegram, chociaż nadany kanałami wojskowymi, dotarł do mnie z opóźnieniem. Wiedziałem oczywiście, że to rozkaz, tylko wiadomość. Natychmiast zatelefonowałem do dowódcy, który udzielił mi pozwolenia na bezzwłoczny wyjazd każdym środkiem komunikacji, jaki tylko jest dla mnie możliwy. Był już wieczór. Zostawiłem brygadę w kompetentnych rękach młodego Ewarta Mackaya i dowódcy Strzelców Pankockich i wyruszyłem w drogę. Nie ufając kolejom, jechałem do Kalkuty przez całą noc moim

284

samochodem sztabowym (z pistoletem — przynaję — nabitym w kaburze). Oprócz kierowcy towarzyszył mi mój ordynans. Kierowca był muzułmaninem, ordynans hinduistą. Przyszło mi na myśl, że zbawienną lekcją dla tych, którzy z taką gotowością mówią o „różnicach”, mógłby być fakt, iż tym samochodem jadą razem w idealnej harmonii przedstawiciele trzech głównych „potęg” w Indiach: hinduistą, muzułmanin i chrześcijanin. Podróż wydawała się nie mieć końca. W ciemnościach, oddalając się od wszystkich rozruchów, rozmyślałem o ogromie i dziwnym, nieodpartym pięknie Indii.

Tamta noc, gdy ją wspominam, jeszcze dziś ma w sobie coś nierealnego. Dojechałem do Kalkuty dopiero późnym rankiem 19 sierpnia, chociaż kierowca, wyczuwając, że jadę w pilnej, smutnej sprawie osobistej, prowadził samochód brawurowo. On również był uzbrojony i myślę, że w razie ataku na nas pomógłby mi sprzedać nasze życia za cenę bardzo wysoką. Po przyjeździe do Kalkuty udałem się do mojego starego przyjaciela, podpułkownika lotnictwa Jarvisa. „Pug” Jarvis, uprzedzony przez Tubby'ego, spodziewał się mojego przybycia już rankiem poprzedniego dnia. Dochodziła północ, gdy samolot RAF-u, do którego Pug mnie wsadził, wystartował z Dam Dam. Na szczęście leciał prosto do Čaklali z jednym tylko krótkim postojem w Delhi. W Čaklali — wczesnym rankiem 20 sierpnia — powitał mnie Tubby. Prosto z lotniska zawiózł mnie do swego bungalowu, a potem na miejsce wiecznego spoczynku mojej żony. Przybyłem o jeden dzień za późno. Tak było lepiej dla mnie, okrytego żalobą, i w drodze nawet żywiłem bolesną nadzieję, że nie zdążę na pogrzeb.

Wróciłem do Majapuru w drugim tygodniu września. W dwa tygodnie po powrocie otrzymałem rozkaz objęcia dowództwa nad brygadą, która już była w polu, na wschód od Brahmaputry, prawie gotowa zmierzyć się z rzeczywistym nieprzyjacielem. O tej brygadzie i o naszych przygotowaniach do akcji przeciwko Japończykom napiszę w innym rozdziale. Do tego mojego przeniesienia, abym mógł odgrywać bardziej czynną rolę, przyczynił się, jak odkryłem, mój stary przyjaciel z Rawalpindi, który wiedział, że tylko wypełnianie takiej powinności jest dla mnie teraz możliwe.

II

WŁADZA CYWILNA

Zredagowane komentarze listowne i ustne Robina White'a, kawalera Orderu Imperium Indyjskiego (byłego pracownika Indyjskiej Służby Państwowej).

(1) Zainteresowały mnie przysłane przez Pana fragmenty nie wydanych pamiętników zmarłego brygadiera Reida, dotyczące jego stosunków z władzami cywilnymi w Majapurze w roku 1942. Nie prowadziłem dziennika, jak Reid, i od dawna już nie wracałem myślą do tamtych wydarzeń, ale nie wątpię, że z wojskowego punktu widzenia jego relacja jest dosyć rzeczowym odtworzeniem tego, co się działo. Z punktu widzenia cywila oczywiście są w niej pewne nieścisłości czy w każdym razie luki i brak interpretacji alternatywnych, co należałoby wziąć pod uwagę, gdyby chciało się mieć ogólny obraz bardziej bezstronny.

Wątpię jednak, czy ja po tak długim czasie mógłbym tu pomóc. Nie byłem w Indiach od roku 1948 i już dawno urwały się kontakty ze starymi przyjaciółmi, zbladły tamte wspomnienia. Mogę potwierdzić fakt, że Ronald Merrick zdołał uzyskać zwolnienie z policji indyjskiej, ale na jakiej oficjalnej podstawie, nie wiem, ponieważ nie było żadnych powodów, dla których miałbym się tym interesować. Skierowano go chyba do któregoś z pułków indyjskich i został ranny w Birmie w roku 1944 czy może 1945. Poległ, o ile sobie przypominam, w czasie rozruchów przy podziale Indii w roku 1947.

Zainteresowała mnie również wiadomość o pańskim niedawnym pobycie w Majapurze i cieszę się, że Lili Chatterjee jeszcze żyje i mieszka w Domu MacGregora — sam ten dom pamiętam, chociaż jego nazwa dopiero teraz mi się przypomniała. Cieszę się też, że Srinivasan jeszcze żyje i nit' zapomniął o mnie. Nie widziałem go już po tamtym poranku, w który wydałem rozkaz aresztowania jego i innych członków miejscowej organizacji Kongresu. O „Azylu” prowadzonym przez siostrę Ludmiłę wiedziałem niewiele, a i to, co wiedziałem, wyleciało mi z pamięci, ale przyjemnie mi było dowiedzieć się z Pańskiego listu, że teraz ta instytucja jako Dom Sierot Hinduskich imienia Mannersów uwiecznia nazwisko bardzo kiedyś szanowane w całej prowincji. Nie pisze Pan jednak, w jaki sposób ten Dom Sierot powstał. Przypuszczalnie z zapisu panny Manners albo jej ciotki, lady Manners. Skoro już o tym mowa, czy wiadomo, co się stało z dzieckiem panny Manners, jeśli ono w ogóle przeżyło?

Z serdecznym podziękowaniem zwracam rękopis generała Reida. Wzruszyło

286

mnie kilka ustępów. Ani moja żona, ani ja nie wiedzieliśmy o chorobie pani Reid, dopóki nie przeczytałem nekrologu w parę dni po wyjeździe generała, wezwanego do Rawalpindi. Wiedzieliśmy tylko, że jego syn jest w niewoli. To było coś, o czym zawsze pamiętałem, ilekroć miałem z Reidem do czynienia. Przykro mi, że ten syn też nie żyje. Reid nieraz mnie irytował (zresztą ja z pewnością nieraz irytowałem jego) i o ile wiem, nie tylko mnie. Szanowałem go, ale w sumie jakoś nic budził we mnie sympatii. Wszyscy później mieliśmy wrażenie, że władze wojskowe, mianując go dowódcą brygady na froncie, chciały po prostu uwolnić Majapur od kłopotów z człowiekiem, którego reputacja po zamieszkach stała się raczej dyskusyjna. Rad jestem, że nie dano tego odczuć samemu Reidowi. Ponieważ nie przysłał mi Pan następnych rozdziałów jego pamiętników, nie wiem, jak komentował swój późniejszy ostateczny powrót do pracy przy biurku. Przypuszczam jednak, że w rezultacie nie osiągnął celu, jakim była dla niego „konfrontacja z, prawdziwym nieprzyjacielem”. Przez jakiś czas naturalnie śledziłem jego losy z pewnym zainteresowaniem. Ale, powtarzam, to było dawno temu i moje własne życie zawodowe w Indiach skończyło się w niewiele lat po jego wyjeździe.

Żałuję, że nie mogę być bardziej pomocny.

(2) Dostałem list od Lili Chatterjee, zapewne to Pan podał jej mój adres. Lili pisze, że kiedy Pan wyjeżdżał z Majapuru w tym roku, dała Panu dwa listy panny Manners, a także jej pamiętnik, pisany już później u ciotki w Kaszmirze, przed urodzeniem dziecka. O istnieniu tego pamiętnika nie mówiła Panu z początku, jak mi pisze, i nie dałaby go Panu, gdyby ostatecznie nie uznała, że Pan tak zwaną przez siebie sprawą Bibighar interesuje się rzeczywiście szczerze. Dostała ten pamiętnik od lady Manners w kilka lat po wydarzeniach, o których w nim mowa, przy czym — jak mi pisze — lady Manners, sama już bliska śmierci, powiedziała, że ze wszystkich ludzi tylko jej jednej, Lili Chatterjee, może go dać. Wiem od Lili, że w tym pamiętniku jest dokładne wyjaśnienie, co i jak się stało.

Wiem też od Lili, że zaczął się Pan interesować tą sprawą po przeczytaniu nie wydanych pamiętników generała Reida, na które Pan natrafił badając ten właśnie okres historii brytyjsko-indyjskiej. Lili pisze, że zadał Pan sobie niemało trudu, żeby odszukać osoby znające przebieg wydarzeń w Majapurze w tamtym roku czy to z doświadczeń osobistych, czy też z dobrych, wiarogodnych źródeł. Wiadomo mi, na przykład, że celem „odtworzenia” historii panny Crane, kuratorki szkół misyjnych, był Pan nawet w zarządzie tej misji i oglądał rzeczy pozostałe po niej, po które nikt się nie zgłosił. Kilka razy zetknąłem się z panną Crane w towarzystwie, moja żona знаła ją lepiej, pracowała z nią w miejscowych komitetach. Znałem też pannę Manners, ale o tym Kumarze prawie nic, niestety, nie wiem. Spotkałem się z nim przypadkowo może ze dwa razy. Więcej o Kumarze mógłby Panu powiedzieć Jack Poulson, któremu po aresztowaniach zleciłem prowadzenie dochodzeń w tych sprawach. Żałuję, że nie mogę Panu pomóc w skontaktowaniu się z Poulsonem. Wiem

287

tylko tyle, że wyemigrował do Nowej Zelandii, wiadomości o nim nie mam już od wielu lat. Jednak odszukał Pan — jak mi Lili pisze — przyjaciela Kumara w Anglii, niejakiego Lindseya, i rozmawiał Pan z nim. Czy to może ten sam Lindsey, który, o czym wspomina w swoich pamiętnikach Reid, był swego czasu w wywiadzie brygady w Majapurze i poprosił o przeniesienie? Pamiętam, że Kumara wywieziono do więzienia w stolicy prowincji, ale skoro jego ciotka, jak Pan pisze, wyjechała z Majapuru przed laty i od tamtego czasu nawet jego stary wuj i Srinivasan nic o nim nie wiedzą, to chyba po wyjściu z więzienia rozpoczął gdzieś w Indiach albo w Pakistanie zupełnie nowe życie.

Wobec tego, czego dowiedziałem się z listu Lili Chatterjee, chętnie — z jednym wszakże zastrzeżeniem, a mianowicie musi Pan przedtem zrozumieć, że na mojej pamięci polegać nie można — porozmawiam z Panem osobiście.

*

(11) Dziękuję za to, że przed naszym spotkaniem przysłał mi Pan te dwa odpisy: krótki wyciąg z pamiętnika Daphne Manners, dotyczący napaści w Bibighar, oraz odpis jej listu do ciotki o „oświadczeniach” Merricka. Dziękuję również za tak zwane przez Pana „świadcstwo” tego Widjasagara, które przysłał mi Pan do przeczytania. Widjasagara w ogóle nie znałem i po tylu latach jego nazwisko nic mi nie mówi. Pamiętam natomiast Lakszminarajana i tę gazetę. Zainteresowała mnie wiadomość, że Lakszminarajan nadal mieszka w Majapurze i mógł skontaktować Pana z Widjasagarem, zanim Pan wyjechał z Indii. Panna Manners wyraźnie mówiła prawdę (to znaczy pisała prawdę w swoim pamiętniku) i jeżeli „świadcstwo” Widjasagara również jest zgodne z prawdą — a chyba nie ma powodu o tym wątpić, bo po cóż on miałby kłamać teraz! — mogę tylko wyznać Panu, że jestem do głębi wstrząśnięty. Myśl o własnej odpowiedzialności nie daje się zbyć wzruszeniem ramion. Może dla pełniejszego naświetlenia obrazu powinienem wyjaśnić, dlaczego Merrick wydawał mi się policjantem sumiennym i odpowiedzialnym. Jednak, jak się orientuję z Pańskich listów, Pan już na podstawie poszczególnych dokumentów — pamiętników Reida, pamiętnika i listów panny Manners — i wspomnień siostry Ludmiły, że już nie wspomnę o „świadcstwie” Widjasagara, nieźle wyrobił sobie zdanie o głównych postaciach tego dramatu, a zwłaszcza o Merricku. Z czego wniosek, że mój wkład winien się ograniczyć do naświetlenia spraw ogólniejszych. Czytanie tych dokumentów (z podziękowaniem zwracam je w załączeniu) na pewno odniosło taki skutek, jaki Pan przewidział. Nagle przypominają mi się rzeczy, o których od lat nie myślałem. Może więc ostatecznie będę mógł trochę Panu pomóc.

(12) Spisane wypowiedzi ustne.

Strefa niebezpiecznej omylności policji? Tak, to jest określenie w stylu Srinivasa-sana. Chce pan sporządzić mapę stref takiego niebezpieczeństwa? Nie tylko? Ro-

288

zumiem. Dobrze, skoncentrujmy się więc na omówieniu moich stosunków z Reidem. Ale musi pan zadawać pytania.

No cóż, wynotowałem parę nieścisłości Reida, ale w końcu pojąłem, że abstrahując od jego prostego żołnierskiego nastawienia, które na papierze wzbudzało we mnie taką samą wrogość jak wtedy, gdy spotykaliśmy się twarzą w twarz, on jakoś potrafił nadawać wszystkiemu, co się działo, pozory swoistej logiki. I przypomina mi się coraz żywiej to uczucie, jakiego doznawałem w tamtych dniach, uczucie, że właściwie nie wiem, co z czego wynika, w jakiej kolejności następują wydarzenia, doprowadzając do sytuacji jako tako logicznej, chociaż wcale w niej logiki nie ma.

Ilekróć Reid wchodził do mojego biura z tą miną mówiącą, że jest ze wszech miar gotów zmobilizować nas wszystkich na zwycięstwo, czułem się tak, jakbym miał na wędce rybę i jeszcze nie wiedział, czy to płotka, czy wieloryb. Wystarczyło, by Reid wkroczył albo zatelefonował, on czy bodaj któryś z jego oficerów, a ja już zatracałem kierunek, znów użyję tu metafory, jak człowiek pływający środkiem rzeki i nagle szturchnięty przez kogoś, kto zgoła mylnie go informuje, że nie tędy trzeba płynąć. Reid miał talent do dławienia w ludziach wszystkich instynktów poza instynktami najprostszymi, dlatego też kiedyś straciłem panowanie nad sobą i powiedziałem mu dosyć niegrzecznie, żeby dał mi spokój. O tym w swoich pamiętnikach nie wspomniał, ale miał skórę nosorożca,

więc być może mój wybuch gniewu znaczył dla niego tyle co ukłucie komara. Wiem, z jego pamiętników można wnosić, że nie był pozbawiony wrażliwości, ale on rzeczywiście był wrażliwy tylko w kwestiach dużej wagi i zdolny tylko do wspaniałych wzruszeń. W codziennym obcowaniu z ludźmi używał, można by powiedzieć, młota oburęcznego do wbijania szpilek.

Od pierwszej chwili, kiedy poznałem Reida, wiedziałem, że trzeba sporego nakładu energii i cierpliwości, żeby go pohamować. Jak się często zdarza w przypadkach oficerów odkomenderowanych od biurka, Reid wyrobił sobie szczególne pojęcie o tym, co zawsze nazywał swoim zadaniem czy też swoją rolą — jak gdyby to było coś ustalonego raz na zawsze, niezmiennego, i miało bezwzględne pierwszeństwo przed wszystkim innym. Pomyślałem wtedy, w czasie naszego pierwszego spotkania, że on, mając takie pojęcie o swojej roli, odgrywał ją nieugięcie *in toto*, choćby niektóre jej aspekty okazały się niedorzeczne. Pamiętam, jak mówiłem żonie, że gdyby Hindusi nie wszczęli buntu, Reid musiałby sam wynaleźć jakiś bunt do stłumienia, żeby mieć poczucie całkowitego wypełnienia swojej powinności. Żona uważała, że powinienem być wobec niego wyrozumiały, bo jego syn — wtedy już o tym wiedzieliśmy — zaginął w Birmie. Chyba tak samo jak Reid miałem nadzieję, że ten biedny chłopiec się odnajdzie, i chyba bardziej niż Reida zmartwiła mnie wiadomość, że jest w niewoli u Japończyków.

Powiedziałbym, że moje stosunki z Reidem były dosyć typowym przykładem konfliktu pomiędzy wojskowym i cywilem, może więc obaj zawiniłiśmy jednakowo, odnosząc się do siebie nawzajem według utartego szablonu.

Tak, zupełnie słusznie pan mnie poprawia, nie chcę przez to powiedzieć, że cywil

289

był zawsze postępowy, a oficer był zawsze reakcjonistą. Wpadłem we własną pułapkę, prawda? Zaraz spróbuję sformułować to w sposób właściwy. Otóż ten dramat Reida był dramatem konfliktu pomiędzy Anglikami, którzy lubili i podziwiali Hindusów i uważali ich za zdolnych do stanowienia o sobie, a Anglikami, którzy Hindusów nie lubili czy też lekali się ich, czy też pogardzali nimi, albo, co zgoła nie lepsze, nie widzieli w nich poszczególnych ludzi, uważali, że żyją na marginesie brytyjskiego życia, brytyjskiej pracy w Indiach, poza tym że mogą być służącymi czy żołnierzami, czy też malowniczymi cętkami w krajobrazie. Na ogół władze cywilne były o wiele lepiej poinformowane o sprawach hinduskich niż władze wojskowe. W późniejszych fazach naszej administracji bardzo rzadko się zdarzało, by cywil przejawiał taką prostotę, jeśli chodzi o politykę, jak Reid.

Wykazać panu dokładnie słabość jego analizy, analizy sytuacji politycznej w Indiach od początku lat trzydziestych? Nie, użyłem niewłaściwego słowa, to nie była analiza, to było tylko jego nastawienie. Każdy z nas miał jakieś nastawienie, ale jego wydawało mi się dosyć dziecinne. Podchodził emocjonalnie, zgoła nie analitycznie. Zawsze mnie jednak uczono, że polityka to ludzie, a przecież mnóstwo Anglików myślało tak samo jak Reid, czuło to samo co Reid. Dlatego więc nawet wtedy, gdy on mnie strasznie irytował gadaniną, że Hindusi i Anglicy muszą się pogodzić, aby pokonać Japończyków, nie mogłem nie uznać siły jego postawy. *Ostatecznie Japończycy rzeczywiście walili do drzwi. Wprawdzie Reid mówiąc o pogodzeniu się Hindusów i Anglików miał na myśli to, że Hindusi powinni się wstrzymać z wysuwaniem żądań politycznych, podczas gdy Anglicy zachowują status quo i nie będą musieli się z nimi godzić — trzeba jednak było przyznać, że jest to sytuacja kłótliwych współlokatorów, którzy przez, okno widzą dobierających się włamywaczy czy też bandę chuliganów gotowych podpalić dom. Gospodarz domu obejmuje wtedy komendę, uważając to za swój obowiązek, i nie pozwala na głupie domowe swary.*

Ale chociaż, sytuacja mogłaby się wydawać jasna — ot, kwestia zaprzestania kłótni i zjednoczenia się przeciwko japońskim napastnikom — to jednak jasność jej zależy od charakteru kłótni w domu, prawda? Na ogół nie lubię analogii, ale rozwińmy tę jeszcze trochę. Wyobraźmy sobie, że ludzie w tym domu stanowią dosyć różnorodną gromadę i że najmniej do powiedzenia mają ci, do których ten dom pierwotnie należał. Obecny samozwańczy właściciel od lat im mówi: „W końcu się wyprowadzę, oddam wam dom, kiedy tylko zobaczę, że już nauczyliście się dbać, żeby dach nie przeciekał, żeby fundamenty się nie osuwały, żeby wszystko było w dobrym stanie.” Albowiem takie jest jego zadanie: uczyć bliźnich, jak mają korzystać ze swoich zdolności i swego mienia. On to powtarza od tak dawna, że sam w to święcie wierzy, ale rządzi tym domostwem, słowa zachęty przeplata w sposób dosyć dezorientujący stosowaniem środków represyjnych, żeby „rodzinnie” wydawało się, że ogólnie biorąc on żartuje i że rozumie tylko język, jakiego sam używa — połączenie nacisku fizycznego i moralnego. I te obietnice, że się wyniesie, powtarza od tak dawna, że w suterenie już się utworzyły frakcje, z których jedna ma nadzieję odziedziczyć dom, a druga woli odebrać dom siłą. Niekoniecznie cho-

290

dziło mu o to, by te frakcje się utworzyły, ale fakt ich istnienia raczej go cieszy. Odmawiaj ludziom czegoś przez czas dostatecznie długi, a naturalnie zaczną się kłócić ze sobą, nie będą zgodni co do tego, czego właściwie chcą. Więc on bardzo lubi poufnie rozmawiać z wysłannikami to jednej, to drugiej frakcji, przy czym argumenty frakcji mniejszości służą mu jak lewarki do podważania żądań wysuwanych przez frakcję większości. Wkrótce już z przyzwyczajenia zamyka na klucz zbyt wrzaskliwych członków czy to jednej frakcji, czy drugiej, i wypuszcza ich dopiero wtedy, gdy urządzają strajk głodowy, tak jak kiedyś strajkował Gandhi.

Nam w Indiach zawsze chodziło o to, co dawało się z nich wyciągnąć. Nikt już temu nie zaprzecza, myślę jednak, że sprawa indyjsko-brytyjska ma dwa główne aspekty, których wolimy nie rozpamiętywać czy też w ogóle nie dostrzegać. Aspekt numer jeden: z początku rzeczywiście mogliśmy eksploatować Indie, bo pierwsza konfrontacja, że użyję wyrażenia Reida, była konfrontacją cywilizacji starej i zmęczonej, podupadającej pod

rządami Mogolów, z cywilizacją stosunkowo ekspansywną, rozwijającą się coraz bardziej od czasów Tudorów. Anglicy skłonni są uważać Indie za nabytek wiktoriański, ale to był nabytek elżbietański. I wystarczy rozważyć różnicę pomiędzy ludźmi z epoki Wiktorii a ludźmi z epoki Elżbiety, żeby wyrobić sobie pojęcie o zmianach, jakie zaszły w naszym podejściu do tej zdobyczy, i tym samym pojęcie o drugim aspekcie sprawy, o którym zapominamy czy też który ignorujemy — o niejasności jej sensu moralnego.

Problem natury moralnej ostatecznie musi powstać i narastać, i w końcu wysunąć się na pierwszy plan we wszelkich długotrwałych związkach między istotami ludzkimi, zwłaszcza jeśli nie są sobie równe. Brzemie moralnego przywództwa spada naturalnie na ten naród, który stoi wyżej. Ale podobnie jak naród nadmiernie obdarzony władzą może tłumaczyć, że owa władza jest zesłana przez Boga, i prawić o moralności, o szczególnej potrzebie podnoszenia poziomu biednych prostaczków — tak samo naród zbyt długo, jak się to teraz określa, upośledzony odwołuje się do swojego boga. Niemal w tym samym czasie, kiedy Anglicy rozbudowywali swoje teorie o Brzemieniu Białych, którym trzeba pomagać w dźwiganiu ciężaru odpowiedzialności, hinduiści i muzułmanie pilnie przyglądali się swoim religiom nie po to, by znaleźć wyjaśnienie, dlaczego ich kraj jest w niewoli, lecz po to, by im wskazały drogę do wyzwolenia. Mnóstwo bzdur, wie pan, opowiada się o niezgodzie społecznej w Indiach, jak gdybyśmy przez te stulecia na próżno wyczekiwali, żeby oni rozstrzygnęli swe spory. Ale niezgoda społeczna stała się rzeczywiście problemem dopiero w dziewiętnastym wieku, gdy zabrali się do roboty reformatorzy i odnowiciele hinduizmu i islamu — bardzo podobnie, jak to czynią nasi reformatorzy i odnowiciele badając, jaką pociechę i podporę i jakie sposoby osiągania postępu mogą podsunąć stare filozofie. Myślę, że to sami Anglicy, chociaż zrobili to bezwiednie, niezamierzenie, wytworzyli rozłam pomiędzy Indiami muzułmańskimi i Indiami hinduistycznymi. Nie tak dawno w Kenii oskarżaliśmy wniebogłose o barbarzyństwo Kikujów, którzy wszczęli ten swój bunt Mau Mau. Człowiek, kiedy się go długo bije po twarzy, szuka pomocy w swojej pamięci plemiennej i u plemiennych bogów. Hinduiści uciekli się do swoich bogów, muzułmanie do

291

swoich. To, że Gandhi utożsamiał się z wyrzutkami hinduizmu, nie wypłynęło z uświadomienia sobie różnic społecznych. Niedotykalność była pierwotnemu hinduizmowi obca. Dopiero tu próba powrotu podległego ludu do źródła swoich natchnień religijnych spowodowała, że niedotykalność uznano za ofiarę na rzecz przebudzenia religijnego, a zagada niestosowania przemocy wyłoniła się jako główny jego dogmat.

To, że muzułmanie ze swojej strony badali islam, było bardziej niebezpieczne, bo Mahomet nawoływał do wojny z niewiernymi. Myślę, że Anglicy chyba przewrotnie upodobali sobie koncepcję tego niebezpieczeństwa. Zawsze mnie zastanawiał takt, że na ogół większość Anglików wolała mieć do czynienia z muzułmanami niż z hinduistami. No, ale nas zawsze w gruncie rzeczy żenowała słabość chrześcijaństwa. Podobną słabość widzieliśmy w hinduizmie, natomiast religia Allacha wydawała nam się jakąś wschodnią wersją kingsteyowskiej teorii krzepkiego chrześcijaństwa.

W tamtych czasach ogromnie intrygował mnie Gandhi. Na ogół nie dowierzam wielkim ludziom. Myślę, że to słuszne. Z pewnością nie dowierzałem Gandhiemu, ale nie tak, jak, na przykład, nie dowierzał mii Reid. Ja nie dowierzałem Gandhiemu, bo wydawało mi się niepojęte, żeby ktokolwiek mający taką władzę i wpływ mógł nie ulegając zahamowaniom wynikłym z własnego autorytetu podejmować właściwe decyzje oparte na właściwych przesłankach. Jednocześnie czułem, że Gandhi apeluje do mojego sumienia, nawet w chwilach kiedy żywiłem największe wątpliwości co do jego zamysłów.

Jest jedna opowieść o Gandhim, której wówczas nie znałem i która później szczególnie mnie zainteresowała. Może pan też ją, słyszał?

Tak? No właśnie. Nie uważa pan, że w tym tkwi istota rzeczy? Dla mnie to podstawa do zrozumienia tego człowieka. To, że został za młodu wykluczony ze swojej społeczności tylko dlatego, że wyraził zamiar wyjazdu do Anglii na studia prawnicze! I czy pan wie, że przywódcy jego społeczności ogłosili z góry, iż każdy, kto go odprowadzi, każdy, kto będzie mu życzył szczęśliwej podróży, zapłaci grzywnę. Chyba wysokości jednej rupii za odprowadzenie do portu i jednej za życzenia. I niech pan pomyśli, jak długo on od swego pierwszego wyjazdu do ostatecznego powrotu przebywał za granicą! Ciekawe, co myślał o Indiach, kiedy w końcu wrócił po tych wszystkich latach spędzonych w Anglii i w południowej Afryce. Nie sądzi pan, że musiało ogarnąć go przygnębienie? Chociaż wrócił jak bohater z racji tego, czego dokonał dla Hindusów w południowej Afryce, gdzie po raz pierwszy wprowadził satjagrahę, bierny opór. Chcę przez to powiedzieć, że Indie stanowczo nie są, jak by się wyraził generał Reid, „zdrowotne”. Może Gandhi raz spojrzął i pomyślał: „Dobry Boże, czy ja właśnie do tego tak pragnęłam wrócić?” Mówię o tym, bo za chwilę dojdziemy do ważnego zagadnienia. Wątpliwości na forum publicznym.

Chyba nie od rzeczy będzie też wspomnieć, że Gandhi wrócił do Indii akurat w czasie, kiedy na początku pierwszej wojny światowej przyjazna współpraca Hindusów z Brytyjczykami była u szczytu ostatniej znakomitej fazy. Z południowej

292

Afryki do Anglii, o ile dobrze pamiętam, przypłynął w sierpniu roku 1914, akurat wtedy, gdy wypowiedzieliśmy Niemcom wojnę. Wykazał studentom Hindusom w Londynie, że krytyczna sytuacja Anglii nie stanowi dla Indii korzystnej szansy — zdrowy pogląd, który w dwadzieścia pięć lat później zapożyczył od niego Nehru — i przez wszystkie lata wielkiej wojny popierał w Indiach werbowanie młodych Hindusów do wojska. Na ogół Indie dokładały wszelkich starań, żeby nam w prowadzeniu tamtej wojny nie przeszkadzać, tylko pomagać. Czuły w

powietrzu nadzieję wolności, pełnego czy bodaj częściowego samostanowienia o sobie dzięki *temu*, że pomagają Brytanii pokonać jej nieprzyjaciół, *co* zresztą wtedy, nawet gdyby nie miały takiej nadziei, chyba chętnie by robiły. To w roku 1917... czy tak?... rzeczywiście wyraźnie oświadczyliśmy, że naszym zamierzeniem wobec Indii jest nadanie im praw dominium? Gandhi wrócił do Indii w zimie, zdaje się, roku 1915 i raczej „krzyżował szpady”, jak powiedziałby Reid, z ludźmi w rodzaju Annie Besant. Ale już wtedy był dosyć zagadkowy, w swoim pierwszym przemówieniu publicznym powiedział, że wstyd *mu*, że musi mówić po angielsku po to, by go rozumiało audytorium złożone z Hindusów. A przecież większość przywódców indyjskich chlubiła się swoją angielszczyzną. Skrytykował swego przedmówcę, pewnego radzę ubolewającego nad ubóstwem Indii, i sarkastycznie zwrócił uwagę słuchaczy na wspaniałość otoczenia — właśnie położono kamień węgielny pod nowy uniwersytet... w Benaresie? Tak. Uniwersytet Hinduski w Benaresie. Następnie powiedział, że trzeba jeszcze mnóstwo uczynić, zanim Indie będą mogły pomyśleć o samorządzie. To było tak, jakby trzepnął po twarzach zadowolonych z siebie polityków! Następnie wskazał detektywów rządowych w tłumie i zapytał, dlaczego Hindusom się nie ufa. Tym z kolei zrobił afront władzom. Zaczął mówić o młodych anarchistach indyjskich i powiedział, że sam jest anarchistą, ale nie takim, który wierzy w skuteczność stosowania przemocy, chociaż bez przemocy — przyznał — anarchiści by nie zdołali doprowadzić do odwołania decyzji o oddzieleniu Bengalu. Jakaż mieszaniną pojęć to się wydawało! Pani Besant próbowała mu przerwać, ale studenci wołali, żeby mówił dalej. Przewodniczący zebrania poprosił go o wypowiedzianie się jaśniej, a on wtedy powiedział, że chce rozwiać te straszne podejrzenia, jakie otaczają każdy ruch powstający w Indiach. Niech zapanuje miłość i zaufanie, swoboda wyjawiania tego, co się ma na sercu, bez lęku przed konsekwencjami. Większość członków prezydium odeszła — przypuszczam, że czuli się skompromitowani czy też obrażeni, czy może tylko wprawieni publicznie w zakłopotanie — więc przestał mówić, a później wkroczyli Brytyjczycy. Policja kazała mu wyjechać z miasta.

Z pewnością tak samo byłoby tu, w Anglii, gdyby w czasie zebrania politycznego albo w czasie dyskusji w telewizji ktoś dobrze znany stanął na mównicy czy przed kamerą i rzeczywiście powiedział wszystko, co myśli na dany temat, nie przejmując się tym, że chwilami sam sobie przeczy, i na pewno nie dbając o swoją reputację, gotów tylko w szczerym twórczym wysiłku przedrzeć się przez nastrój z góry ustalonych uczuć i reakcji, jaki zazwyczaj panuje w każdym dużym zgromadzeniu ludzi. W Indiach ów nastrój zawsze miał szczególną siłę, bo Hindusi w normalnych

29.1

okolicznościach są najbardziej układnymi ludźmi świata (i prawdopodobnie dlatego, kiedy im się dokuczy, stają się bardzo historyczni i krwiożerczy). Przypuszczam, że tę wrodzoną układność potęguje w nich powszechne używanie obcego języka. Nieraz się zastanawiam, czy wszystko nie ułożyłoby się dla nas nieskończenie lepiej, gdyby każdy z urzędników naszej administracji w Indiach musiał się wykazywać znajomością języka hindi, a także głównego języka danej prowincji, i gdyby na każdym szczeblu zarządzania były to języki urzędowe. Gandhi miał rację, kiedy powiedział, że wstyd mu przemawiać do studentów Hindusów po angielsku. A musiał przemawiać po angielsku nie tylko dlatego, że ta młodzież stała się młodzieżą akademicką dzięki angielskim szkołom, ale też i dlatego, że prawdopodobnie był to jedyny język, jaki znali wszyscy. Rzeczywiście nie robiliśmy nic, by scalić poszczególne społeczności, poza tym że budowaliśmy im linie kolejowe, żeby mogły szybciej dostarczać swoje bogactwa do naszych kieszeni.

Gandhi, wie pan, zawsze wydawał mi się unikatem w życiu publicznym, jedynym mężem stanu przejawiającym wysoce rozwiniętą zdolność do odruchowego myślenia głośno, przy czym rzadko kiedy mogły to zdławić inne instynkty. Jestem pewny, że to był ostatecznie powód braku zrozumienia, z jakim się spotykał. Od ludzi na forum publicznym wymaga się tak zwanej obecnie projekcji, rzucania obrazu, który w myśl ideału powinien być niezmienny. Otóż obraz rzucany przez Gandhie-go wciąż się zmieniał. Fazy, jakie Gandhi przechodził w samych tylko latach 1939—1942, były dość zmienne, żeby historia opatrzyła go etykietką „polityk raczej niekonsekwentny” albo „krzykacz wiecowy”, albo nawet „*enfant terrible*”. Ale ja myślę, że on w gruncie rzeczy usiłował ujawnić pierwiastek wątpliwości co do pojęć i postaw, wątpliwości, które żywimy my wszyscy, tylko wolimy się z tym nie zdradzać.

I czy nie sądzi pan, że po części źródła tego można by się doszukać w jego przygnębieniu wtedy, dawno, w dziewiętnastym wieku, kiedy mógł wyjechać z ojczyznoego kraju tylko jako „wykluczony”. Nie sądzi pan, że pierwiastek wątpliwości odezwał się w nim wtedy tak samo dobitnie jak później, w momencie powrotu? On musiał zadawać sobie pytanie: „Czy postępuję słusznie?” Ostatecznie to był wtedy młody chłopak, chyba dziesięcioletni. Wyjechać na studia prawnicze do Anglii mógł tylko za cenę publicznego wykluczenia ze swojej społeczności kastowej. Kasta prawdopodobnie miała dla niego w tamtych czasach jakieś znaczenie rzeczywiście religijne. Wyjazd do Anglii miał znaczenie tylko na płaszczyźnie jego dążeń doczesnych. Nie ma ludzi bez dążeń, ale myślę, że niewiele jest takich, których okoliczności zmuszają do takiego powątpiewania o potencjale dobra zawartym w ich dążeniach, jakie ogarnęło Gandhiego. W końcu uznałem, że on przez cały czas wypracowuje sobie na forum publicznym osobiste zbawienie. Oczywiście rodzaj wątpliwości, jakie człowiek żywi co do samego siebie, swoich postępów, swojego sposobu myślenia, odgrywa dużą rolę w aktualnych jego poczynaniach, ale zawsze jest to rola utajona. Kiedyś należy ją ujawnić. Gandhi nigdy nie bał się powiedzieć, że zmienił zdanie albo że się pomylił, albo że zastanawia się

Co by było — tak sobie myślę — gdybym ja publicznie przedstawił moje wątpliwości co do racji uwięzienia przywódców Kongresu w sierpniu roku 1942? Bóg raczy wiedzieć. Na pewno nie byłem jedynym administratorem okręgowym, który uważał to za ostatnie ze wszystkich możliwych roztropnych posunięć, ani też jedynym, który pisał długie poufne memoranda w tej sprawie do swojego komisarza nadokręgowego. Ale nie odważyłem się wstać i publicznie poddać krytyce to, co polecono mi zrobić.

Czasami żałuję, że wtedy, 9 sierpnia, nie pojechałem z megafonem na plac przed Mostem przy Bramie Mandir i nie powiedziałem zgromadzonym tam ludziom: „Słuchajcie, rząd każe mi uwięzić X, Y i Z, bo Indyjski Kongres Narodowy aprobował rezolucję Mahatmy wzywającą nas, żebyśmy opuścili Indie i zostawili je Bogu albo anarchii, czyli z naszego punktu widzenia Japończykom. Ale jeśli aresztujecie tych ludzi, kto wam będzie przewodził? Czy będziecie radzi, że się ich pozbyliście? Czy może poczujecie się zagubieni? Kongres mówi o odmowie współdziałania bez uciekania się do przemocy, ale jak to rozumieć? W jaki sposób możecie odmawiać współdziałania nie stawiając nam oporu, kiedy będziemy usiłowali zmusić was, żebyście z nami współpracowali? A będziemy usiłowali, bo wierzymy, że walczymy o nasze życie. Kiedy zaczniecie się bronić przed nami, jak się obronicie nie stosując przemocy? Gdybym opuścił teraz ten megafon i tą ręką uderzył w twarz kogoś z waszych młodych, co byście zrobili? Co on by zrobił? Jeżeli on nie zrobi nic, a ja uderzę go po raz drugi, co wtedy? Co będzie, jeżeli go uderzę jeszcze raz i jeszcze, i twarz mu rozkrwawię? I on umrze? Czy będziecie tylko stać i patrzeć? Mahatma, zdaje się, to zaleca, ale czy w y to zalecacie?”

Oczywiście nie pojechałem z megafonem na plac przed świątynią. Pomimo wszystkich swoich wątpliwości uwięziłem X, Y i Z. I myślę, że to był błąd. Ci, którzy kazali mi ich uwięzić, prawdopodobnie wątpili tak samo, zanim wprowadzili taką politykę, ale z chwilą kiedy została przyjęta, żaden z nas nie miał urzędowej alternatywy, musieliśmy się zastosować.

Przypuszczam, że prawdziwą anarchią w życiu publicznym jest bezczynność wynikająca z pierwiastka wątpliwości, w przeciwstawieniu do czynu, który wynika z pierwiastka zdecydowania. I naturalnie pomiędzy wątpliwościami, decyzją, czynem i jego następstwami rozciąga się chyba coś, co Srinivasan nazywa strefą niebezpiecznej omyłności. No cóż, to nie jest rewelacyjne odkrycie. Wiemy o tym wszyscy. Ale Gandhi miał odwagę, żeby działać w strefach takiego niebezpieczeństwa otwarcie, prawda? To pan chciał powiedzieć? Jesteśmy mądrzy po fakcie, ale w tamtych czasach jakoś nikt nie wykazał, że on właśnie tak robi. Jeżeli wysunął się poza uznawaną linię, zamykano go, ale później go zwalniano, kiedy tylko się wydawało, że ze swymi zdolnościami będzie więcej wart dla naszej polityki, chodząc na luźnej smyczy.

My sami sprawiliśmy, że stał się siłą szkodliwą dla naszej polityki, to dla mnie jasne ponad wszelką wątpliwość. Nie trzeba było zaraz po wielkiej wojnie

295

uciekać się do środków represyjnych z Ustawy Rowlatta, wtedy gdy on i wszyscy Hindusi mieli konkretne powody, by spodziewać się jakichś większych postępów na drodze do samorządu w nagrodę za współpracę, której nam nie skąpili podczas wojny z Niemcami. Czy myśmy oszaleli? Czy może zgłupieliśmy? Czy po prostu byliśmy przewrotni? Czy przerażeni? Czy też zwyczajnie pewni siebie po zwycięstwie. Gruboskórni, zdecydowani nie dawać nic. Po cóż, do diabła, ogłaszaliśmy w roku 1917, że naszym zamierzeniem wobec Indii jest nadanie im statusu dominium, skoro już w kilkanaście miesięcy później wprowadziliśmy na płaszczyźnie prowincji prawo aresztowania i procesy bez przysięgłych za przestępstwa polityczne na mocy Ustawy o obronie Indii, pozornie, żeby rozprawić się z tak zwanymi anarchistami, ale w praktyce, żeby podległy karze wszelkie przejawy wolnej woli i niezależności przekonań. Jakież to było dominium?

No cóż. pamięta pan rezultat: rozruchy, a potem generał Dyer w Amritsarze i znów nieufność, lęk, podejrzania. I raptem Gandhi wyłania się jako ten Mahatma, jedyny człowiek, który może znaleźć rozwiązanie — tylko że teraz to miało być rozwiązanie hinduskie, już nie brytyjskie. Przepraszam. Wciąż jeszcze diabli mnie biorą, kiedy myślę o roku 1919. I wciąż jeszcze po tych wszystkich latach jest mi wstyd.

Nie, ja wtedy byłem za młody. Przyjechałem do Indii jako „młody cywil”, jak myśmy siebie nazywali w tamtych czasach, w roku 1921. Niewiele miałem w głowie. Owszem, obkułem się, zdałem egzaminy, przeczytałem te wszystkie mity i legendy. Nade wszystko chciałem być w Indiach, objąć podokręg. siedzieć pod starym drzewem pipal i pykać fajkę, czuć się obiecującym administratorem, który doprowadzi młodych i starych do porządku, a potem pozostanie w pamięci ludu mądrym Białym Sahibem, aż sam zacznie być legendą i jeszcze w pół wieku po jego śmierci będzie się opowiadało, jak to on wnosił do tych wiosek spokój i dobrobyt.

Ale naturalnie od razu musiałem spojrzeć prawdzie w oczy. Po prostu nie urodziłem się do sprawowania władzy patriarchalnej. Moi zwierzchnicy byli ostatnimi przedstawicielami takiego gatunku. Nie lubiłem mojego pierwszego szefa. Zapewne zgoła bez powodu. Ale też nie cierpiałem Indii w ogóle — prawdziwych Indii, istniejących poza mitem i pykaniem fajki. Nie cierpiałem tej samotności i tego brudu, i zapachu, i tej miny świadomej wyższości, z którą musiałem paradować, bo inaczej jakżebym przeżył dzień? Nie cierpiałem Hindusów — byli najbliższą tarczą w strzelnicy, w nich więc wycelowałem swoje humory, a oni mogli się odwzajemniać tylko w sposób bardzo subtelny, za co nie cierpiałem ich tym bardziej.

Aż tu pewnego dnia. dobrze to pamiętam, objeżdżałem okręg z urzędnikiem ziemskim, od wioski do wioski, konno, w dawnym stylu. Miałem absolutnie dosyć tych wiejskich rachmistrzów, którzy się płaszczyli, tych tahsildarów, którzy się płaszczyli i rozzuchwalali jednocześnie, i bardzo mi się nie podobał mój starszy kolega, który najwyraźniej czuł się bogiem spacerującym wśród ludzi, kiedy prawą ręką dawał, lewą zabierał. Coś tam zawiodło w zorganizowaniu obozu. Utknęliśmy w zapadłej wsi i musieliśmy nocować w lepiance z mułu. Omal

nie płakałem ze złości, tak byłem sfrustrowany, przeświadczony, że po prostu się nie nadaję. Mój

296

kolega dalej zgrywał się na Chrystusa wśród Apostołów i popijał z wioskową starszą grog, a ja leżałem sam w tej lepiance. Miałem okropne kłopoty z żołądkiem, patrzeć nie mogłem na jedzenie, a coś dopiero mówić o picciu grogu. Leżałem na fcarpai bez moskitiery i nagle zobaczyłem w drzwiach niemłodą Hinduskę. Stała tam i patrzyła na mnie. Kiedy napotkała mój wzrok, złożyła dłonie w namaste i odeszła. Po chwili wróciła z miską jogurtu i łyżką. Natychmiast zmobilizowałem w sobie godność. Ruchem ręki odprawiłem tę kobietę, ale ona najspokojniej w świecie podeszła do mnie i zaczęła mnie karmić jogurtem łyżką po łyżce, zupełnie tak, jakby była moją matką czy ciotką i chciała, żebym się wzmocnił. Milczała, a ja nie zdołałem nawet spojrzeć na nią, widziałem tylko jej czarne ręce i ten biały jogurt. Potem usnąłem. Kiedy się obudziłem, już o wiele zdrowszy, nie wiedziałem, czy mi się to wszystko nie przyśniło, dopóki nie zobaczyłem miski z nie dojedzonym jogurtem, która stała na mosiężnej tacy, nakryta płótnem. Przy misce leżał kwiat. Był już poranek, mój starszy kolega chrapał w drugim łóżku. Czułem się tak, jakbym dzięki jakiejś zwykłej sobie, niemłodej Hindusce odzyskał człowieczeństwo. Jogurt i kwiat nie były daniną, były dowodem sympatii, dość serdecznej, by mógł zawierać odrobinę bardzo życziwej krytyki, dać mi do zrozumienia, że moja niedyspozycja to nic poważnego, bylebym wiedział, że naprawdę nie mam tu wrogów. Pamiętam, jak stałem w otwartych drzwiach i oddychałem głęboko, jak rozpoznawałem tę wonność zapachów Indii. Przygotowali dla mnie mosiężne kotły z gorącą wodą na kąpiel. Przed kąpielą usiadłem na starym drewnianym krześle i nai, golibroda, mnie ogolił. Bez mydła, tyle że chlusnął mi w twarz trochę ciepłej wody i wklepał palcami. Skrobał brzytwą po całej twarzy, nawet po powiekach. Wstrzymałem oddech, myślałem: on mnie zaraz skaleczy, osłepi. Ale było to golenie sprawne i delikatne, jak pudża wczesnym rankiem; potem wydawało mi się, że mam nową twarz. Wszedłem do komórki kąpielowej i czerpałem gorącą wodę z mosiężnych kociołków, które tam na mnie czekały. Brooke znalazł właściwe określenie: błogosławieństwo gorącej wody. Później rozglądałem się wśród kobiet, ale nie mogłem poznać, która z nich weszła wieczorem do lepianki i nakarmiła mnie jak własnego syna. Na łęku mojego siodła leżał jeszcze jeden kwiat. To mnie zakłopotало. Ale też sprawiło mi wielką przyjemność. Spojrzałem na starszego kolegę. On nie miał żadnego kwiatu i nawet nie zauważył, że ja mam. Kiedyśmy odjeżdżali, obejrzałem się i pomachałem ręką. Ci ludzie nawet nie drgnęli, nie pomachali rękami do mnie. Ale czułem, że życzą mi wszystkiego dobrego i że jest w tym wyzwanie, żeby mi się dobrze wiodło, do czego sam też powinienem się przyczyniać. Nigdy o tym nie zapominam. Przypuszczam, że tę miskę i tę łyżkę, z których jadłem, musieli jednak wyrzucić, bo stały się nieczyste.

Nie. Istotnie przez cały czas służby pracowało się na ogół w jednej prowincji, ale tamta wioska nie należała do okręgu, w którym ostatecznie zostałem komisarzem. Ale dlaczego pan o to pyta? Myślał pan, że była w okolicy Dibrapuru?

297

(5) Dziękuję za przysłanie mi zredagowanego maszynopisu z nagrania naszej rozmowy. Stwierdzam, że usunął Pan sporo niekonsekwencji i powtórzeń, ale nie zdołał Pan zatuszować tego, że wciąż odbiegałem od tematu. Oczywiście miał Pan rację kończąc tę rozmowę w momencie, kiedy wreszcie doszliśmy do sprawy Di-brapuru, którą należy omówić gruntowniej, niż zrobiłbym to wtedy.

Nie wiem o Marii Tudor i o utracie Calais, jak Pan to ujmuje, ale z pewnością pamiętam Dibrapur. Panowała tam straszna nędza, jak w każdym rejonie, od którego coraz bardziej oddala się dawne źródło jego bogactwa. W dziesiętnastym wieku Dibrapur był siedzibą zarządu okręgu. Nie przypominam sobie dokładnie, kiedy zaczęto w tamtych okolicach wydobywać węgiel, ale stopniowo pokłady się wyczerpały, po czym dobrobyt i bogactwa odziedziczył sąsiedni okręg. Jeszcze najmowano ludzi z Dibrapuru do pracy, ale coraz mniej.

Można przyjąć, że wszędzie na świecie, w okręgach objętych nędzą, uczucia i postawy bywają skrajne. Pod jednym względem Reid miał słuszość: jakaś zorganizowana siła działała w Dibrapurze, chociaż nigdy dokładnie się nie dowiemy, w jakim stopniu to zostało zaplanowane, a w jakim było inteligentnym wykorzystaniem okazji. Bezsprzecznie jednak Reid się mylił twierdząc, że to robota podziemia Kongresu. Dowodzi tego, moim zdaniem, świadectwo Widjasa-gara. Podejrzewam, że właśnie ja miałem rację wierząc, że Kongres może powściągnąć każdą siłę indyjskiego nacjonalizmu. Większość Hindusów (z wyjątkiem młodych szaleńców, takich jak Widjasagar) zawsze respektowała władzę — jakże inaczej moglibyśmy, w liczbie kilku tysięcy, rządzić milionami? Kongres był władzą zakulisową. Gdybyśmy nie zdelegalizowali podstawowych organizacji Kongresu i nie uwięzili jego przywódców z centrum i prawie wszystkich prowincji, nie doszłoby, jestem tego pewny, do takiego buntu, jaki wybuchł. Gandhi, wie Pan, nie spodziewał się, że zostanie aresztowany w tym czasie. Z politycznego punktu widzenia to „Opuszczenie Indii” było, powiedzmy, latawcem, który wzleciał z jego rąk. Z punktu widzenia moralnego to był apel, krzyk w ciemnościach. Ale też jestem pewny, że nawet wtedy, gdy już w miasteczkach takich jak Dibrapur wybuchły rozruchy, wystarczyłoby dla ich zdławienia poprosić kogoś takiego jak Sriniva-san, na przykład, żeby tam pojechał, porozmawiał z tymi ludźmi i namówił ich do spokojnego uchylania się od współpracy, do strajków, hartalu i tak dalej. Naprawdę wierzę, że Hindusi są z natury przeciwni stosowaniu przemocy. To by tłumaczyło ich historię, kiedy wdają się w jej stosowanie. Tracą wtedy wszelki umiar, jak gdyby zwariowali, bo cokolwiek niszczą, niszczą zarazem swoją wiarę. My natomiast jesteśmy z natury skłonni do

stosowania przemocy i musimy dokładać wszelkich starań, żeby utrzymać się w korbach. To dlatego zawsze na początku naszych wojen oddychamy z ulgą i mówimy: „No, teraz wiemy, jak stoimy”, czy coś w tym rodzaju. Następnie, jeśli chodzi o Hindusów, o hinduistów w każdym razie, trzeba pamiętać, co głosi ich religia: ludzkość jako taka jest złudzeniem. Nie twierdzą, że liczba hinduistów, którzy w to wierzą, jest większa niż liczba chrześcijan wierzących w to, że Chrystus był Synem Bożym albo że należy brać dosłownie Jego zalecenia, byśmy nadstawiali drugi policzek. Otóż kiedy my się bijemy, zabijamy,

298

wysadzamy w powietrze, chrześcijański ideał przecież wywiera wpływ na nasze chrześcijańskie sumienie, to znaczy wiemy, że czynimy źle — podobnie Hindusi, kiedy zaczynają się bić, żywią w zakamarkach świadomości przekonanie, że te bitwy nie są zupełnie realne. Według mnie to po części tłumaczy, dlaczego nieuzbrojony tłum hinduski nigdy nie bał się zmierzyć z naszą policją i wojskiem. Oni sami dla siebie nie byli realni. Nasi żołnierze i policjanci nie byli realni. Kule wcale nie wylatywały z luf, a jeśli ktoś jednak od kul umierał, to na jakimś świecie, który też był tylko złudzeniem. Zgadzam się: istotnie brak w tym wyjaśnienia, dlaczego oni pomimo wszystko uważali, że na nie istniejącym świecie w ogóle warto przeciwstawiać się owym żołnierzom.

Ale oczywiście dla mnie ludność w podokręgu Dibrapur była realna. To byli kiepscy rolnicy i biedni sklepikarze. Kiepscy rolnicy nie ze swojej winy. Rozkwit kopalń węgla przed wielką wojną powodował stopniowe ogołacanie coraz większych połaci ziemi, nie uprawiano pól, rodziny się rozłączały. W niejednej wiosce nie widziało się wcale młodych mężczyzn, bo wszyscy młodzi odeszli na tereny górnicze w sąsiednim okręgu. Zna Pan takie fakty. Usiłowaliśmy coś zaradzić — pamiętam, jak rozmawiałem o tym z panną Crane, której podlegała między innymi szkoła niedaleko Dibrapuru — ale napotykalismy na mnóstwo apatii, a także niechęci. To był najtrudniejszy podokręg. Naczelnik tego podokręgu, młody Hindus, nadzwyczaj zdolny i inteligentny, miał dużo problemów, ale też i dużo zdrowego rozsądku. Nie miał natomiast rozsądku facet, który w czasie buntu mianował się komisarzem okręgowym, ziemianin, jeden z miejscowych tahsildarów. Zawsze nam sprawiał kłopoty. Relacja Reida pozostawia w umyśle czytelnika niejaki wątpliwości co do postawy, jaką po wybuchu buntu rzeczywiście zajął ten Hindus, naczelnik podokręgu. O ile wiem, już po wszystkim ludzie rozpowiadali, że ten nieszczęśliwy załamał się u mnie w biurze, godzinami płakał i błagał, żebym mu darował karę. Nic podobnego. Omawialiśmy sytuację, on i ja, zgoła beznamiętnie i byłem zadowolony, że z wyjątkiem poświęcenia życia — czego przecież po nikim zdrowym na umyśle bym się nie spodziewał — mój naczelnik podokręgu zrobił wszystko, co mógł w tych okolicznościach. Chociaż, na swoim stanowisku tak zwanego sędziego był poniekąd więźniem, zdołał dosyć długo powściągać samozwańczego komisarza. I z pewnością ocalił sporą sumę pieniędzy dla skarbu. Pogłoska o jego placzu chyba zrodziła się z tego, że przy pożegnaniu ze mną miał łzy w oczach, co ludzie chyba zauważyli, kiedy wychodził z mojego bungalowu. Nie byłem wobec niego wyrozumiały, byłem po prostu, mam nadzieję, sprawiedliwy, a Hindusi nigdy się nie wstydzą reagować na sprawiedliwość w sposób, w jaki Anglik raczej by sobie nie pozwolił zareagować.

Ale wybiegam naprzód. Wiem, że nasz system wywiadu okazał się zawodny, bo nie wykryliśmy zawczasu tych, którzy nagle wyłonili się jako miejscowi przywódcy w Dibrapurze i którym na kilka dni udało się odciąć to miasteczko. Być może użyłem określenia „igły w stogu siana”, kiedy rozmawiałem z Reidem o takich ludziach, ale właściwie nie pamiętam, czy tak powiedziałem. Policjanci w podokręgu Dibrapur okazali się słabszego ducha niż policja gdzie indziej — co było raczej do

299

przewidzenia, zważywszy, jak ciężkie mieli zadanie. Niektórzy z nich uciekli, paru przeszło na stronę rebeliantów. Pan wie, wszystko działo się w dosyć szybkim tempie, nasza policja, zawsze niezbyt liczna, rozmieszczona była nieproporcjonalnie w stosunku do obszaru i liczby ludności. W tamten wieczór 11 sierpnia zgodziłem się, żeby Reid wysłał tam żołnierzy, bo miałem nadzieję, że ich bezzwłoczne pojawienie się w takim właśnie momencie podzielał hamująco, jak zwykle widok wojska.

Reid raczej bagatelizuje wysiłki władz cywilnych tamtego dnia, żeby dostać się do Dibrapuru z policją i sędziami, i nic nie pisze o barykadach na głównej szosie. Tam żaden most nie wyleciał w powietrze, ale policja z Majapuru napotkała na wiele ściętych drzew, które prawie zupełnie zamykały przejazd, przy czym im bliżej Dibrapuru, tym mniej okoliczni chłopcy kwapili się do pomocy przy ich usuwaniu. W tamtą noc dostałem wiadomość z Tanpuru, że jedna ciężarówka z policjantami „zniknęła”. Jak się dowiedzieliśmy później, policjantów zamknięto w kotwali w jednej z wiosek pod Dibrapurem. Wszystkie druty pomiędzy Dibrapurem i Tanpurem były oczywiście zerwane.

Wiadomość o wysadzeniu mostu na bocznej trasie, tej trasie Reida, z pewnością zapowiadała trudności, a przecież trochę mnie ubawiła. Reid tak fachowo i mądrze klarował mi przedtem, dlaczego wybrał tę boczną trasę, a tu raptem groziła mu utrata dwóch trzytonowych ciężarówek, jednej półtoratonówki i radia. Był wściekły. Rozbawienie jednak nie zachwiało mojej decyzji. Poprosiłem o wycofanie żołnierzy z bocznej szosy, bo przypuszczałem, że skoro rebeliantom nie brak inicjatywy i środków, żeby wysadzać mosty (zajęcie samo w sobie nieszkodliwe, po prostu sprawa zniszczenia mniej więcej tony cegieł i zaprawy murarskiej), ich spotkanie z żołnierzami, bardzo już zyrutowanymi, mogłoby się skończyć rozlewem krwi, czemu właśnie chciałem zapobiec.

Wiem, moja decyzja może budzić zastrzeżenia, ale raz ją podjąłem, więc to, że trwałem przy niej, było chyba słuszne. Gdyby nie nacisk z góry, żeby w pełni korzystać z pomocy wojska, na pewno zostawiłbym Dibrapur i niechby „się dusił we własnym sosie” jeszcze dłużej. Ten Davidson z wywiadu miał rację, kiedy sugerował

Reidowi, że ja chcę rozszerzać pacyfikację z Majapuru na zewnątrz. Ale Reid był w gorącej wodzie kąpany. Nie zamierzam się tym usprawiedliwiać, chociaż ta jego cecha wywierała wpływ na moje decyzje, które jeszcze teraz budzą we mnie pewne wątpliwości. Kiedy wciąż ma się pod ręką kogoś takiego jak Reid, raczej trudno jest się skoncentrować. Myślę jednak, że opierałbym się jego zrzęczeniu, gdyby nie nacisk również ze strony władz prowincji. Rzeczywiście niełatwo opisać nastrój panicznego pośpiechu, narastający w miarę jak coraz więcej meldunków świadczyło o tym, że rebelia wymyka się nam z rąk. Tak czy inaczej, byłem pod naciskiem ze strony Reida, ze strony władz prowincji, i w dodatku pod naciskiem własnych wątpliwości. Więc ustąpiłem Reidowi w sprawie Dibrapuru. O batalii, jaką tam stoczył, w żaden sposób nie da się powiedzieć, że miała przebieg nie kontrolowany. Co do tego nie wysuwam żadnych zastrzeżeń ani zarzutów. Ale nie sądzę" żeby charakteryzowała ją jakaś specjalna powściągliwość, i nadal uważam tak,

300

jak uważałem wtedy, że nie doszłoby w Dibrapurze do zabijania mężczyzn, kobiet i dzieci, gdybyśmy pozwolili temu miasteczku „dusić się we własnym sosie”, aż ci ludzie sami się uspokoją (Hindusi zawsze uspokajali się szybko) na tyle, żeby uznać powrót do szeregu (to jest właściwe określenie) za rzecz normalną.

Może niesprawiedliwie, właśnie na podstawie akcji żołnierzy Reida w Dibrapurze (której dokładnego opisu nie podaje on w swojej książce), uważano później, że Reid byłby nazbyt kontrowersyjnym dowódcą okręgu w fazie pacyfikacji (żargon urzędowy zamiast „bądźmy znów przyjaciółmi”). Mój komisarz nadokręgowy poprosił mnie, żebym poufnie wypowiedział się o Reidzie. Skargi na nas bardzo prędko, jak Panu wiadomo, docierały do „góry”. Wyraziłem opinię, że Reid w żadnej chwili nie przekroczył kompetencji i przez cały czas pomagał mi przezwyciężyć wątpliwości, jakie miałem przy wypełnianiu moich obowiązków. Dodałem, że gdyby nam nie polecono w pełni wykorzystywać wszystkich dostępnych środków, tylko pozwolono kierować się własnym rozeznaniami, to rzeczywiście użylibyśmy mniejszych sił z takim samym rezultatem, o ile nie lepszym. I że nie widzę powodu, dla którego Reid miałby ponosić winę za panikarzy w kwaterze głównej prowincji. Ten mój komentarz nie podobał się chyba nikomu od komisarza w górę. Przez jakiś czas sam spodziewałem się przeniesienia, ale na szczęście, czy też na nieszczęście, wszystko skrupiło się na Reidzie — o ile to nieprawda, że wpływowi przyjaciele uznali za wskazane wyznaczyć mu po śmierci żony „rolę bardziej aktywnej”. Dostyc przecież łatwo, zwłaszcza kiedy się szuka kozła ofiarnego po akcji, w której się brało udział, natrafić na jakiś szczególnie incydent i wykazać, że winowajcę się znalazło, chociaż w istocie władze po prostu zbywają sprawę wzruszeniem ramion, po czym dopiero wyłaniają się względy czysto osobiste, które ją sprowadzają do przewidzianego wzorca przestępstwa i kary.

(6) Dziękuję za odpowiedź na mój list z uwagami o nagraniu naszej rozmowy. Rzeczywiście nie podoba mi się owo: „Tak, to ty zrobiłeś” — „Nie, to nie ja”, co słyszy się aż nazbyt często. Reid miał swoje poglądy i podejście, ja miałem swoje. Zrozumiałe, że z czasem coraz mniej namiętnie uzasadnia się własny punkt widzenia i wytyka się błędność cudzego, a jednak przykro mi, że raczej, które zanotowałem sobie w ciągu tych paru ostatnich dni, żeby móc polemizować ze specyficznymi twierdzeniami w pamiętnikach Reida, teraz wyłaniają się już tylko marginesowo. Pozwolę sobie pomimo to przytoczyć jedną z nich i rozwiać pojęcie, jakie, być może, Reid pozostawił Panu o Menenie, jakoby przychylnie usposobionym do rebeliantów. Otóż Menen, sędzia okręgowy, nie był przychylnie usposobiony do niczego z wyjątkiem należytej procedury prawa, w którym zresztą. Bóg świadkiem, nie pokładał szczególnej wiary, ale wobec którego uznawał swoją zaprzysiężoną powinność. Mogłoby też się Panu wydawać — co trochę mnie martwi — że zgadzałem się z Merrickiem albo że wolałem nie wiedzieć, jak się traktuje podej-

.101

rżanych z Bibighar. Chyba wolno mi powiedzieć coś o tym, jeżeli zamierza Pan opublikować świadectwo Widjasagara. Widjasagar zalicza się do ludzi jawnie naruszających prawo.

W swoim świadectwie Widjasagar jest wyraźnie daleki od podawania nazwisk współników. Jak więc możemy, Pan i ja, polegać na jego oświadczeniu, że Kuinar nie był z nim w zмовie? Obraz Kumara wyłaniający się z pamiętnika panny Man-ners (a raczej z tego krótkiego fragmentu, który dał mi Pan do przeczytania) sam przez się nie stanowi dowodu, że Kumar nie brał udziału w takiej działalności, jaką zajmował się Widjasagar. Czytając świadectwo Widjasagara można sobie wyobrazić, że Merrick miał powody, by rzeczywiście nie wierzyć Widjasagarowi, kiedy go przesłuchiwał. Trapi mnie coś innego: otóż mogłoby się wydawać, że ja wtedy czy też później wiedziałem, jak Merrick traktuje tych podejrzanych o gwałt. Owszem, przyznał mi się, że przesłuchując ich „naginał przepisy”, żeby ich zastraszyć, zmusić do mówienia prawdy — że groził im, na przykład, chłostą i że w jednym przypadku kazał podejrzanego chłopca „przygotować jak gdyby do kary”. Tak chyba się wyraził. Nie pytany sam mnie o tym poinformował rankiem nazajutrz po aresztowaniach. Dlatego więc, kiedy Menen podszedł do mnie później i oznajmił, że krąży pogłoska, jakoby tych chłopców katowano, mogłem powiedzieć, że chyba wiem, skąd to się wzięło, i że już ostrzegłem Merricka, żeby przestał „się zgrywać”. Poważniejsza według mnie byia druga pogłoska, jakoby zmuszano ich do jedzenia wołowiny. Merrick obiecał to sprawdzić i jak dowiedziałem się od niego później, wcale tak nie było, chociaż taka rzecz mogłaby się zdarzyć przez pomyłkę,

wskutek zamiany posiłku przysłanego dla policjantów muzułmanów, którzy pilnowali aresztantów. Reid miał zupełną rację: konieczność stłumienia rozruchów odwróciła naszą uwagę od podejrzanych o gwałt i w końcu niemożliwością się stało znalezienie konkretnych dowodów na poparcie tego oskarżenia. Menen rzeczywiście się przejął pogłoskami o chłości i wmuszaniu wołowiny. Udzieliłem mu pozwolenia na przesłuchanie samych chłopców w tej sprawie. Wysłał do nich adwokata. Jak zameldował później ten adwokat, żaden z nich, nie wyłączając Kumara, nie skarżył się, że bito go czy zmuszano do zjedzenia wołowiny. I żaden z nich nic o tym nie mówił Jackowi Poulsonowi, którego zadaniem było ich przesłuchać, kiedyśmy przygotowywali akt oskarżenia o przestępstwa polityczne. Ale od tamtego czasu mężczy mnie myśl, że powinienem był wejrzeć w owe pogłoski głębiej. Prawie na pewno tych chłopców źle traktowano. Nie sądzę jednak, żeby doszło rzeczywiście do pomyłki sądowej. Merrick, rzecz jasna, uważając ich za winnych napaści na dziewczynę, którą lubił, trochę przeholował pod wpływem chwilowego impulsu. Dość szybko pojęliśmy, że oskarżenie ich o ten gwałt po prostu się nie klei, niemniej dowody ich działalności politycznej wystarczały, żebyśmy uznali za słuszne podciągnąć ich oskarżenie pod Ustawę o obronie Indii. Sprawę zreferowano komisarzowi nadokręgowemu, a nawet gubernatorowi. Nie pamiętam szczegółów materiału dowodowego, ale był to materiał dostatecznie obciążający. Nadal więc uważam, że tych pięciu wcześniej aresztowanych chłopców dopuściło się przestępstwa. Tylko Kumar jest dla mnie zagadką. Jeżeli traktowano go tak źle, jak

302

mówił „informator” Widjasagara, to dlaczego nie powiedział o tym adwokatowi preyslanemu przez Menena? Dlaczego nie poskarżył się Jackowi Poulsonowi w czasie urzędowego przesłuchania? Można zrozumieć milczenie tamtych chłopcowi, jeżeli Widjasagar nie kłamie, pisząc o pogroźkach policji. Ale Kumar już ucierpiał, co zapewne mógł udowodnić, i był przecież innego kalibru niż tamci. Może jakieś światło rzucają na to pozostałe części pamiętnika panny Manners, których mi Pan nie pokazał.

Przypuszczam, że milczenie Kumara właśnie w tej sprawie miał Pan na myśli, kiedy (Pan napisał w liście do mnie: „Kumar ostatecznie uznał, że utracił wszystko, nawet swoją angielskość, i że wobec tego pozostaje mu tylko w każdej sytuacji, choćby najbardziej przykrych, milczeć, bo może dzięki swemu milczeniu odzyska choć trochę dawnego szacunku dla samego siebie.”

Sądząc z tego, co mi Pan opowiedział z „odtworzonych” dziejów Haiiego Kumara, jak również z tego, co przeczytałem w udostępnionych mi fragmentach pamiętnika Daphne Manners, rozumiem, że Kumar mógł reagować w taki sposób, ale jeśli „informator” Widjasagara nie kłamał i rzeczywiście w noc aresztowania bito Kumara trzcina, „aż jęczał”, nadal wydaje mi się, że Kumar nawet powinien był skorzystać ze sposobności, żeby się poskarżyć, kiedy adwokat przysłany przez Menena zapytał go bez ogródek, czy to prawda. Ujawnienie, że niesprawiedliwie i okrutnie został zbit w czasie policyjnego przesłuchania, nie byłoby przecież sprzeniewierzeniem się pannie Manners, która prosiła, „żeby nic nie mówił”. To znaczy, istnieje chyba jakaś granica każdego milczenia?

No, ale w gruncie rzeczy moje obiekcje co do Pańskich wniosków chyba wypływają z tego, że nie bardzo mam ochotę przyjąć te nie potwierdzone dowody postępowania Merricka i przyznać, że wówczas nic nie podejrzewałem. Jeśli chodzi o dane, które Pan przytacza „z urzędowego źródła” — ogółem po powstaniu w całych Indiach, wyłączając Zjednoczone Prowincje, 958 wyroków chłosty — nie wnoszę żadnych uwag poza tym, że była to zgodna z prawem kara za branie udziału w rozruchach. Gdyby Kumara aresztowano w czasie rozruchów, może też podlegałby karze chłosty. Pan zapewne chciał wykazać, że kara tego rodzaju „wisiła w powietrzu”. Merrick więc skorzystał ze sposobności, żeby „nagiąć przepisy”, i uszło mu to bezkarnie.

Po tej wypowiedzi już będę się ograniczał, tak jak Pan mnie prosi, do naświetlenia ogólniejszego. Zanim jednak ostatecznie załatwię kwestię owego: „Tak, ja to zrobiłem. Nie, nie ty”, zaznaczę — może zbyt — że niepewność otaczająca wydarzenia i postęпки to wcale nie to samo co „strefa niebezpiecznej omylności”. Jaka rozciąga się pomiędzy wątpliwościami, decyzjami i postępkami. Weźmy na przykład sprawę wmuszania wołowiny — może tak było, a może nie. Natomiast usiłując nakreślić „strefę niebezpieczeństwa”, czyż nie zajmujemy się faktami, które chociaż teraz są nie do stwierdzenia, kiedyś były dla kogoś niepodważalne?

Zastanawiam się głęboko nad tą prawdziwą „strefą niebezpieczeństwa” i muszę przyznać, że nie ogarniam tych zagadnień na tyle, by wystąpić z czymkolwiek

30.1

bodaj trochę zbliżonym do przesłanki, która by mogła stanowić dla Pana punkt wyjściowy. Już ja wolę wrócić do dawnych argumentów i kontrargumentów. Wz-źmy na przykład nieciekawą relację Reida o projekcie Federacji z roku 1935 i jefeo komentarz, że „to prowadziło tylko do szarpaniny i dobijania się o władzę”.

Niedoświadczonemu czytelnikowi będzie się wydawało, że wysunęliśmy Wielkoduszną propozycję, a potem musieliśmy siedzieć i patrzeć z przerażeniem; na nieporadność Hindusów, nie dość dojrzałych, żeby zrozumieć te sprawy czy też skorzystać z takiej sposobności. Rzeczywiście, mogę jedynie odwołać się do wersji alternatywnej, która wyjaśnia, dlaczego Hindusi jako politycy odrzucili Federację, i ukazuje w tym naświetleniu, że zaproponowaliśmy Hindusom konstytucję mającą przedłużyć, a może nawet utrwalić na zawsze nasze wpływy i władzę, choćbyśmy mieli być już tylko „arbitrami imperialnymi”.

Podobnie — znów uznając komentarz Reida za podstawową niejako „nornię” — można by jego niedbały wniosek, że Misja Crippsa zawiodła wskutek nieprzejednania Hindusów, w końcu obalić argumentem równie pobieżnym, że wydelegowanie misji było posunięciem typowo Churchillowskim, mydleniem oczu, żeby po klęsce

w Azji pozyskać zycżliwość i uległość mas za granicą, ale same te zabiegi sprowadzały się tylko do powtórzenia półgębkiem dawnych obietnic i jeszcze dawniejszych zastrzeżeń.

Nie o to jednak nam chodzi, prawda? Chociaż kusi człowieka możliwość zbitcia ukutej przez generała Reida, na pozór niezachwianej teorii o prostym skutku wynikłym z prostej przyczyny, bo to by przywróciło równowagę i pozwoliło przeciwstawić tak samo niedokładny obraz tyrańskiej władzy imperialistów uciskającej kolorowych poddanych.

W istocie wcale nam nie chodzi o szczegółową, cios po ciosie, relację z, walki na ringu politycznym, która doprowadziła do tej akcji. Naprawdę człowiek by nie zdołał jej zrelacjonować, gdyby się ograniczał do wyliczania ciosów. Było ich tyle, że życia by mu na to nie starczyło. Żeby przygotowanie jakiegokolwiek relacji uczynić zadaniem rozsądnym, musiałby zająć stanowisko wobec dostępnych materiałów. Zajęcie stanowiska jest jak przesiewanie. Tylko to, co ma znaczenie z danego punktu widzenia, przedostaje się przez sito. Resztę się wyrzuca. Czyli do-rzeczność i prawdziwość przesianego materiału zależy od dorzeczności i szczerości zajmowanego stanowiska. Mam rację? Zgadając się z tym wracamy od razu na grunt naszych osobistych preferencji — nawet uprzedzeń — które mogą mieć coś wspólnego z tak zwaną „prawdą”, ale też mogą być od niej bardzo dalekie.

Niemniej próbuję sobie wyobrazić (jak doradza mi Pan pomocnie w swoim liście), że zabieram się do napisania historii stosunków brytyjsko-indyjskich. Musiałbym zająć jakieś stanowisko wobec mnóstwa materiałów, które miałbym przed sobą. Jakie to było?

Myślę, że proste — niemal dziecinne. Oparłbym się na przesłance, że Hindusi chcieli być wolni i że my chcieliśmy, żeby byli wolni, tylko że to się nie zbiegło w czasie: oni zapragnęli wolności, zanim uznaliśmy czy też zgodziliśmy się, że należy im tę wolność dać. W takiej sytuacji konflikt powstał jednak nie tylko z, bra-

304

kii synchronizacji, ale i dlatego, że z czasem same te dwa życzenia, ich i nasze, przestamy się pokrywać. Hindusi to tylko ludzie, im dłużej odmawialiśmy Indiom nie-poc\ległości, tym bardziej chcieli ją uzyskać na swoich własnych warunkach, wobec czego my też, będąc tylko ludźmi, z tym większym uporem obstawaliśmy przy warunkach, które uważaliśmy za wskazane stawiać. W miarę jak rozwijał się ten konflikt, coraz, trudniejsze były owe warunki możliwego porozumienia z jednej i z drugiej strony. Aż stało się to kwestią, czyja moralność jest wyższa, a więc przetrwa przeważa. I właśnie dlatego w końcu wygrali oczywiście Hindusi.

Kiehy już ująłem to w takie proste słowa (a i one tworzą sito, przez które można by przesiać bardzo dużo szczegółowego materiału), przypomniało mi się, jak Pan w czasie naszej rozmowy mówił o „moralnym biegu historii”, i rozumiem, że rozpęd teipu biegowi nadają głównie nasze sumienia i że właśnie „niebezpieczna strefa” jest naturalnym terenem działalności naszych sumień, z naszym udziałem czy bez naszego udziału, zwykle bez. Kłopot polega na tym, że przymiotnik „niebezpieczna” zawsze nasuwa na myśl coś raczej złowrogiego, jak gdyby „niebezpieczeństwo” było u podstaw nierozdzielnie związane z „krzywdą”. Słowo „niebezpieczeństwo” rzeczywiście ma taki wydźwięk, ale chyba nie wtedy, gdy pamiętamy, że ma ono oznaczać tylko nasz lęk przed następstwami w życiu osobistym, niebezpieczeństwem, jakie nam samym by groziło, gdybyśmy przez cały czas szli za głosem sumienia.

Przypominam sobie, jak Pan w toku naszej rozmowy wspominał o „pauzach w rytmie”, mając chyba na myśli nie zapisane chwile historii. Chciałbym tę teorię odnieść do jakiegoś szczególnego wydarzenia w moim życiu, zobaczyć siebie raczej po stronie słuszności niż po stronie niesłuszności, chciałbym też pod kątem tej teorii rozpatrzeć jakieś wydarzenia w życiu Reida. Ale nawet usiłując to zrobić, powracam znów w świat wydarzeń możliwych do zapisania. I kiedy próbuję rozciągnąć tę teorię na wydarzenia w życiu każdego, kto miał choćby pośrednio, choćby z daleka coś wspólnego z tą akcją, mój umysł po prostu nie ogarnia wszystkich uczuć, dążeń i reakcji, które doprowadziły, powiedzmy, do poszczególnych posunięć składających się na możliwy do opisanego układ ogólny. Może jednak umysł potrafi rozpoznać skumulowaną bezosobową sprawiedliwość? Taką sprawiedliwość, jakiej znaczenie leży nie tylko w jej kursie przyjętym wyraźnie i nieodwracalnie, ale również i w tym, że grożą jej niebezpieczeństwa, które w przyszłości mogą odwrócić raz jeszcze bieg historii.

III

(Załącznik do „Władzy wojskowej i władzy cywilnej”)

ŚWIADECTWO S. W. WIDJASAGARA

Mając lat szesnaście oblałem egzamin i wyszedłem z rządowego gimnazjum w Majapurze ze słowami potępienia z ust rodziców i bez żadnych widoków na przyszłość. Prawie przez rok prowadziłem haniebne, niegodzliwe życie, chodziłem z ladacznicami i podkopywałem sobie zdrowie. Stałem się rzeczywiście takim nie-poniem, że ojciec wyrzucił mnie z domu. Matka dała mi potajemnie sto rupii, które miała z oszczędzania w gospodarstwie domowym przez wiele miesięcy. Żałuję, że nawet ten dowód uczucia i matczynego zaufania przetrwonilem na pijaństwo i łajdactwo się. Przez wiele tygodni byłem u wrót śmierci, w bardzo nędznym otoczeniu. Niestety, gdy zacząłem wracać do zdrowia, znów stały się dla mnie ważne tylko kobiety i alkohol. Często zanosilem modły o przewodnictwo duchowe i dyscyplinę wewnętrzną, lecz wystarczyło, bym zobaczył ładną dziewczynę, a od razu szedłem za nią i przy ludziach proponowałem jej niemoralne rzeczy, tak że moja reputacja fatalnie na tym cierpiała i nikt przyzwoity nie zbliżyłby się do mnie, chyba że chłopcy mojego pokroju, których rodzice się odrzekli, albo tacy, którzy nie wiedzieli, że lepiej się z mną nie zadawać, dopóki ktoś ze

znajomych czy sąsiadów im tego nie wyjaśnił.

Tak postępując ukończyłem siedemnaście lat. I wtedy nagle poczułem obrzydzenie do mojego sposobu życia, zaprzagnąłem się poprawić zarówno moralnie, jak fizycznie. Wróciłem do ojcowskiego domu, by błagać o przebaczenie. Matka i siostra płakały, gdy wróciłem, lecz ojciec był dla mnie surowy, kazał mi się wytłumaczyć, z popełnionych niegodziwości. Powiedziałem, że mogę się tłumaczyć tylko obłędem i że ufam, iż z łaski Boga i na skutek mojego własnego postanowienia już wyszedłem z tego obłędu. Ojciec widząc, jak jestem zasmucony i pokorny, jeszcze raz otworzył przede mną ramiona. I tak zacząłem nowe, uczciwe życie; z pomocą i rekomendacją ojca dostałem posadę w kantorze. Całe moje miesięczne wynagrodzenie dawałem matce, tyle że brałem od niej kilka ann na kieszonkowe wydatki. Gorzko ubolewałem nad swoim brakiem odpowiedzialności i złym postępowaniem, które doprowadziło mnie do zasłużonego oblania egzaminu w gimnazjum. Nocami czytałem w sypialni prawie do rana, dopóki matka nie ubłagała mnie, bym dbał o zdrowie i nie narażał się na to, że kiedyś zasną przy pracy, bo wtedy stracę posadę.

M)6

Więc postanowiłem, że już nigdy nie sprawię rodzicom kłopotów, sporządziłem tabelkę z równym podziałem godzin przeznaczonych na naukę, na sen i na ruch dla zdrowia, i przypiąłem tę tabelkę do ściany nad moim łóżkiem. W pogodne wieczory przechadzałem się po Przedłużeniu Cilijanwala Bagh, by popatrzeć na piękne domy naszych zamożnych sąsiadów. Widziałem tam wiele dziewcząt; niejednej wpadłem w oko, lecz zawsze się wycofywałem, zanim pokusa, by którąś zagadnąć albo pójść za nią, stawała się zbyt silna. Omijałem także ulice, na których (mógłbym się spotkać z moimi dawnymi kompanami, a zwłaszcza uliczkę zamieszkaną przez wiele prostytutek, które wdzięczyły się w oknach na piętrze i mogły doprowadzić do zguby każdego niewinnego, prawego młodzieńca, gdyby przypadkiem się znalazł w tej okolicy.

Teraz zdecydowanie prowadziłem tryb życia zdrowy dla ciała i budujący dla ducha, toteż nawet na przechadzkę szedłem z książką, siadałem nad rzeką i uczyłem się, tylko czasami spoglądając na czarne warkocze i jedwabne sari dziewczyn w pobliżu. I właśnie wtedy przypadkiem zetknąłem się z panem Francisem Narajanem, który był nauczycielem w szkole misji chrześcijańskiej i dobrze znaną postacią w Majapurze, gdyż zawsze jeździł na rowerze i rozmawiał, z kim popadło. Gdy wdał się w rozmowę ze mną, opowiedziałem mu mimo woli o swojej nagannej przeszłości i o poprawie, i o nadziejach na przyszłość. Dowiedziawszy się, że jestem skromnym biuralistą i że serdecznie żałuję oblania egzaminu, obieca! o mnie pamiętać, jeżeli usłyszy o odpowiedniej wolnej posadzie. Lecz nie spodziewałem się, by mi coś dała ta miła znajomość, i dalej dokładałem starań w wypełnianiu codziennych obowiązków, w poprawianiu swego charakteru i w pilnej nauce. Już mi się spieszyło do poszerzania wiedzy, toteż chciwie patrzyłem na książki w Księgarni Majapurskiej niedaleko świątyni Tirupatiego, gdy tamtędy co dzień wracałem z pracy. Ojciec był kierownikiem w biurze przedsiębiorcy budowlanego. Ja pracowałem w kantorze kupca, który był znajomym pracodawcy ojca i miał dwie córki na wydaniu. Pewnego dnia wstąpiłem jak zwykle do Księgarni Majapurskiej, by wertować tam literaturę. Udawałem, że tylko oglądam książkę *Deklaracje samorządu z roku 1917*, a naprawdę czytałem rozdział po rozdziale. Już interesowałem się sprawami politycznymi. Gorąco pragnąłem mieć ten tom, ale był za drogi na moją kieszeń, chociaż wiedziałem, że wystarczyło, bym poprosił, a matka dałaby mi na to pieniądze. Gdy tamtego wieczora stałem i czytałem następną rozdział, zobaczyłem, że ani księgarz, ani subiekt chwilowo nie patrzą na mnie, więc niewiele myśląc wyszedłem z tą książką pod pachą. Owładnęła mną radość, lecz się bałem, że idą za mną i złapią mnie jak pospolitego złodzieja. Wędrując ulicami nierozważnie znalazłem się w mojej dawnej dzielnicy. Ktoś z kawiarni zawołał do mnie i gdy się obejrzałem, zobaczyłem, że to jeden z moich dawnych znajomych. Był młody, lecz starszy od nas, przebywał i rozmawiał z nami, lecz nie brał udziału w naszych pijaństwach ani innych złych rzeczach. Nazywał się Moti Lal. Wyciągnął mi książkę spod pachy, spojrzął na tytuł i powiedział:

— Wreszcie stajesz się dorosły.

Zaprosił mnie na kawę do kawiarni. Przyjąłem jego zaproszenie. Pytał, co ro-

307

biłem przez te wszystkie miesiące, więc mu wyjaśniłem. On także był biuralistą, pracował w magazynie Romeśa Canda Gupty Sena. Zapytałem, czy widuje któregoś z moich dawnych kompanów, powiedział, że oni stali się tak samo szacowni jak ja.

Wtedy nagle zrozumiałem, że moje dawne życie nie było takie haniebne, jak mi sumienie mówiło. Na pewno to niegodziwie pić tyle nielegalnego alkoholu i chodzić z niemoralnymi kobietami, lecz teraz rozumiałem, że myśmy tak postępowali, ponieważ rozpierała nas energia, która musiała mieć jakieś ujście. To odkrycie przydało mi męstwa, więc wróciłem do Księgarni Majapurskiej, oddałem skradzioną książkę jej prawowitemu właścicielowi i powiedziałem, że zabrałem ją przez roztargnienie. Po tym fakcie księgarz pozwolił mi przesiadywać godzinami w pokoju za księgarnią i czytać nowe książki, które przychodziły z Kalkuty i Bombaju.

Miałem osiemnaście lat, gdy pan Narajan, nauczyciel z misji, przyszedł do mnie do domu i powiedział, że redaktor naczelny „Mayapore Gazette” szuka energicznego młodego człowieka z dobrą znajomością angielskiego na stanowisko gońca i początkującego dziennikarza. Pan Narajan zwierzył mi się, że sam zamieszka tam w rubryce „Aktualności” artykuły podpisane Przechodzień, by dorobić do swojej pensji nauczyciela. Ojciec odradzał mi zmianę zatrudnienia. Tłumaczył, że z czasem, jeśli się przyłożę sumiennie do pracy, będę miał dzięki swojej pilności i staraniom widoki na kierownicze stanowisko w kantorze i nawet, kto wie, na ożenek z którąś z córek

pracodawcy. Od kilku miesięcy ojciec bardzo podupadał na zdrowiu. Codziennie chodził do biura, nigdy nie spóźniał się nawet o minutę, często pracował po godzinach, tak że potem w domu matka narzekała, ponieważ kolacja dla niego się przypaliła albo wystygła. Odkąd ustosunkowałem się bardziej po męsku do własnego życia, nabrałem szacunku dla ojca, chociaż przedtem go krytykowałem. Żywiłem do niego synowskie przywiązanie i wiedziałem, że mnie kocha. Nie chciałem mu dawać powodów do niezadowolenia, ale z drugiej strony chciałem objąć tę posadę, na którą pan Narajan już mnie polecił redaktorowi naczelnemu. Na szczęście ojciec w końcu udzielił mi zgody. Lękałem się bardzo jego śmierci — umarł pół roku później — i za nic bym mu się nie sprzeciwił u schyłku jego życia, bo i jakże by to było, gdyby odszedł ze świata nie mając przy sobie syna, który by odprawił obrzędy pogrzebowe. Dlatego lękałem się, że wybuchnę gniewem, będzie kłótnia i ojciec znowu wyrzuci mnie z domu. Lecz chwała Bogu ustąpił. Ostatecznie zacząłem pracować w „Mayapore Gazette”.

Po śmierci ojca stałem się „głową domu”, więc na mnie spadała powinność wydaną za mąż mojej jedynej żyjącej siostry, która miała wtedy szesnaście lat. Wypełnienie tej powinności zabrało mi sporo czasu w latach 1937z38. Potem już mieszałem sam z matką. Matka wciąż mnie namawiała do ożenku. Byłem wówczas dosyć nieuświadomiony pod tym względem. Lękałem się, że po moich doświadczeniach z ladacznicami nie nadaję się na męża i ojca, chociaż dzięki woli boskiej nie zaraziłem się nieuleczalną chorobą. Ponadto, odkąd ojciec zmarł, poświęciłem się całkowicie pracy politycznej i reporterskiej, ponieważ wszedłem już na dzień nikarską niwę.

308

Moje obowiązki wymagały, bym codziennie był w dzielnicy administracyjnej, gdzie mieściła się redakcja „Mayapore Gazette”. Poznawałem dobrze życie po drugiej stronie rzeki. Za moich szkolnych czasów także co dzień przechodziłem na drugą stronę, do gimnazjum rządowego, lecz teraz, jako „terminujący reporter” pana Lakszminarajana, dowiadywałem się rzeczy przedtem mi nie znanych i nawet niezbyt dla mnie ciekawych. Miałem już pojęcie, na przykład, o administracji utrzymującej prawo i porządek i o życiu towarzyskim Anglików w Majapurze.

W tych warunkach, będąc tylko młodym Hindusem skromnego stanu, cierpiałem wiele poniżeń w towarzystwie i zgorzkniałem, ponieważ pamiętałem, jak mój ojciec musiał wciąż się wyliczać z każdego pensa i lękał się opuścić bodaj jeden dzień pracy. Zaprzyjaźniłem się z kilkoma moimi rówieśnikami, a także znów z Moti Lałem. Rozmawialiśmy do późnej nocy o tych wszystkich sprawach często u mnie w domu, gdy matka już spała. Lecz dopiero wtedy, gdy pan Lakszminarajan zatrudnił na moje miejsce Harięgo Kumara, krewniaka bogatego kupca, Romesa Canda Gupty Sena, u którego kiedyś pracował także Moti Lal, dopiero wtedy, gdy zacząłem pracować na nowej posadzie w redakcji „Mayapore Hindu”, związałem się z grupami młodych, czujących się tak samo jak ja na tym świecie źle urządzonym, na tym świecie, gdzie ich ojcowie lękali się opuścić dzień pracy i nawet politycy-Hindusi żyli na innej płaszczyźnie niż my. Postanowiliśmy czuwać w pogotowiu, by skorzystać z każdej sposobności, która przybliży chwilę naszego wyzwolenia.

Tymczasem Anglicy prowadzili wojnę z Niemcami, rządy kongresowe ustąpiły i mogliśmy tylko przewidywać, że nasz kraj jeszcze raz będzie dźwigał nieproporcjonalny udział w kosztach wojny, do której przystąpiliśmy nie z własnego wyboru, która nie dawała nam żadnych widoków, tylko same czcze obietnice. W tamtych czasach musieliśmy zachowywać ostrożność, by unikać aresztowania, chyba że oczywiście ktoś z nas decydował się narazić na areszt i specjalnie naruszał przepisy. Musieliśmy także być ostrożni w dobieraniu sobie przyjaciół czy nawet przypadkowych znajomych. Niejeden na pozór niewinny człowiek był szpiclem i paru moich przyjaciół policja aresztowała właśnie w wyniku donosów ludzi tego rodzaju, którzy czasami chcieli załatwić stare oorachunki, więc nawet zmyślali różne rzeczy. Moti Lal także został aresztowany, lecz on za to, że wbrew zakazowi z paragrafu 144 przemawiał na zebraniu uczniów. Wysłali go do więzienia, ale udało mu się zbiec.

Gdy Japończycy najechali na Birmę i pokonali Anglików, czuliśmy, że w końcu zaświta nam wolność. Ani ja, ani moi przyjaciele nie baliśmy się Japończyków. Wiedzieliśmy, że potrafimy narobić kłopotu im także, jeżeli uderzą na Indie i będą nas traktowali tak samo źle jak Brytyjczycy. Wielu z naszych żołnierzy, których oficerowie brytyjscy zostawili na pastwę losu w Birmie i na Malajach, a Japończycy wzięli do niewoli i później uwolnili, utworzyło Indyjską Armię Narodową i dowództwo nad nią objął Subhas Chandra Bose. Gdyby Japończycy wygrali wojnę nasi towarzysze z Indyjskiej Armii Narodowej byłiby uważani wszędzie za bohaterów, a tak, skoro Japończycy nie wygrali, wielu z nich zostało surowo ukaranych

309

przez Brytyjczyków, przy czym nasi „narodowi przywódcy” stali z założonymi rękami i nic nie robili, by ich ratować.

¹ W tamtych czasach wiedzieliśmy, że tylko młodzi, gotowi walczyć na śmierć i życie, mogą kiedyś uczynić Indie mocarstwem. Nie rozumieliśmy chaotycznych posunięć naszych przywódców. Niestety, trudno nam było utworzyć coś więcej niż małe zgrupowanie. Pocięliśmy się tylko tym, że z chwilą gdy naród powstanie przeciwko ciemności, my, młodzi, będziemy mogli się połączyć i wszystkim przyświecać przykładem odwagi i zdecydowania.

Tak wyglądała sytuacja w czasie buntu w roku 194?. Wraz z kilkoma towarzyszami byłem gotów ponieść wszelkie ofiary. Po aresztowaniu policja przesłuchiwała mnie przez długie godziny, chcąc, bym podał informacje

o „systemie działania podziemia”, lecz jeżeli istniał taki system, to ja o nim nic nie wiedziałem, tyle że znałem młodych, takich jak ja, gotowych wysunąć się na czoło w walce z wrogiem. Tamtego dnia, w którym nas aresztowano, 11 sierpnia, zamierzaliśmy pójść do gromadzących się tłumów i nawoływać je, by pomaszerowały do dzielnicy administracyjnej. Wiadomość o naszym planie obiegła szybko całe miasto. Tłum, który zbierał się tamtego poranka na Przedłużeniu Ćilijanwala Bagh, rozpędzili policjanci, którzy wyrastali wszędzie jak grzyby po deszczu. Mnie i moich towarzyszy nie było tam, gdyż przez cały poranek drukowaliśmy ulotki nawołujące ludzi, by pomogli uwolnić chłopców niesprawiedliwie oskarżonych o napaść na jakąś Angielkę. Jedną ulotkę przekazaliśmy posterunkowi policji przy świątyni Tirupa-tiego, owinęliśmy w nią kamień i towarzysz, którego wybraliśmy do tego niebezpiecznego zadania, wrzucił go przez otwarte okno, po czym od razu uciekł, przez nikogo nie widziany. Rozeszliśmy się do domów czy też do swoich miejsc pracy. Lecz już w godzinę później okręgowy nadinspektor policji z wieloma policjantami zjawił się w redakcji „Mayapore Hindu”, w której ja pracowałem. Aresztowali mnie i innych z zespołu redakcyjnego, gdyż w pokoju od tyłu znaleźli starą ręczną prasę drukarską. Powiedzieli, że się jej używało do drukowania literatury wywrotowej.

To była nieprawda. O ile wiedziałem, tylko ja jeden z tych aresztowanych zajmowałem się taką działalnością, lecz zaprzeczyłem temu. Między aresztowanymi był redaktor naczelny, który powiedział policji, że ja rano nie byłem w redakcji i że tej ręcznej prasy używa się wyłącznie w niewinnych celach reklamowych. O tym, że tak powiedział, dowiedziałem się dopiero później, ponieważ trzymali nas osobno. Jak dowiedziałem się także później, tamci wszyscy zostali wypuszczeni, tyle że zakazano wydawać „Mayapore Hindu” i redakcję zamknięto. Nadal nic nie mówiłem, gdyż miałem nadzieję zataić prawdę o naszej prasie drukarskiej i nazwiska moich współników. Przewieźli mnie z kotwali do aresztu w komendzie policji, w dzielnicy administracyjnej. Tam trzymali także tych chłopców aresztowanych dwa dni wcześniej w pobliżu Bibighar, lecz żadnego z nich nie widziałem. Zamknęli mnie w oddzielnej celi i po przesłuchaniu przewieźli do więzienia na ulicy Więziennej. Byłem tam, gdy tłum przypuścił atak na więzienie, pokonał strażników i policję w bramie i wdarł się do środka. Uwolnił kilku więźniów, ale

310

na moje nieszczęście z innego „bloku”. Wkrótce potem przyjechało wojsko i nasza przelotna nadzieja wolności rozwiązała się. W tej akcji padło ofiarą wielu niewinnych ludzi, co władze usiłowały ukryć, podając bardzo niskie liczby zabitych i rannych.

Z kotwali do aresztu w dzielnicy administracyjnej przewieźli mnie późno po południu 11 sierpnia i przesłuchiwał mnie osobiście sam okręgowy nadinspektor policji. Zadawał pytania bardzo chytrze, lecz ja się zawzięłem, by nic nie wyjawić. Wiedziałem, że w każdym wypadku czeka mnie więzienie, gdyż on ma informację o mojej działalności. Znał nazwiska wielu z moich przyjaciół i nawet przypadkowych znajomych, aż się zastanawiałem, kto jest szpiclem w naszym środowisku. Raz po raz pytał mnie o Moti Lala. A także o Kumara i tamtych chłopców aresztowanych po napaści na Angielkę. Na próżno bym się wypierał znajomości z Moti Lalem i prawie wszystkimi tamtymi, gdyż on miał nawet zanotowane, kiedy i gdzie widziano niektórych z nas razem, poczynając od jednego wieczora w lutym, gdy piliśmy w kilku i Hari Kumar tak się upił, że musieliśmy go odprowadzić do domu, tylko że znowu wyszedł, jak dowiedzieliśmy się później, i włożył się pijany, aż policja wzięła go na przesłuchanie. Wtedy, w lutym, pili z nami także dwaj inni chłopcy z tych aresztowanych później za „gwałt”, więc się zastanawiałem, czy to nic Kumar, wypuszczony wtedy po przesłuchaniu, zgodził się nas szpiegować i czy nic jemu zawdzięczamy teraz nasze nieszczęście. Potem wstydziałem się takich myśli, lecz chcę być uczciwy, więc przyznaję, że przez jakiś czas podejrzewałem Kumara.

Żaden z tych aresztowanych za „gwałt” nic był moim współnikiem w nielegalnej działalności, lecz okręgowy nadinspektor policji miał także w aktach nazwiska trzech chłopców, którzy byli moimi współnikami i tamtego poranka razem ze mną drukowali ulotki na tajnej prasie. Przejęliśmy tę prasę, gdy Moti Lal został aresztowany, i ukryliśmy ją w domu jednej prostytutki. Sami policjanci często przychodzili do tego domu, ale za bardzo byli zajęci czymś innym, by zauważyć jakikolwiek dowód, że tam się drukuje nielegalną literaturę.

Gdy okręgowy nadinspektor policji wymienił nazwiska paru chłopców, z którymi drukowałem ulotki tamtego poranka, powiedziałem (gdyż tak uzgodniliśmy na wypadek aresztowania), że od dwóch czy trzech dni ich nie widziałem. I nie przyznałem się do niczego. Powiedziałem, że tamtego poranka poszedłem do pracy później, gdyż nie czułem się dobrze, a zresztą wolałem się nie narażać podczas tych wszystkich zamieszek w mieście.

A naprawdę to po wyjściu stamtąd, gdzie była nasza tajna prasa drukarska, po zabranii ulotek, które wydrukowałem i które moi towarzysze mieli następnie rozdáwać, wróciłem przez ostrożność do domu i powiedziałem matce, by mówiła, że nie czułem się dobrze i dlatego dopiero teraz wychodzę do pracy. Matka bała się, gdyż był to dowód, że robię coś nielegalnego, lecz zgodziła się skłamać, jeżeli ją zapytają. Po raz pierwszy zaniedbałem obowiązki w redakcji na rzecz mojej działalności politycznej, więc taka ostrożność była konieczna. Gdy okręgowy nadinspektor policji zapytał mnie, gdzie byłem tamtego ranka, wiedziałem już, że redaktor naczelny albo któryś z moich kolegów z redakcji „Mayapore Hindu” wspomniał, że nie było mnie w pracy, lecz powiedziałem, że czułem się niedobrze.

311

Miał minę zirytowaną, z której wynnioskowałem, że już kazał przesłuchać matkę. Modliłem się, by moi prawdziwi współnicy zeznawali sprytnie, jeżeli ich także już przesłuchiowano.

Bałem się przesłuchiwania, gdyż słyszeliśmy, jak okropnie traktują chłopców aresztowanych za napaść na

Angielkę. Właśnie dlatego, że to słyszeliśmy, czym prędzej wydrukowaliśmy ulotki. Rozprowadziliśmy je w ciągu dnia. Informację o strasnym znęcaniu się policji nad tymi chłopcami podał nam ktoś, kto rozmawiał z jednym dyżurnym w komendzie policji. Ten ktoś powiedział, że policja biła ich wszystkich, aż tracili przytomność, a potem cucila i zmuszała do jedzenia wołowiny, żeby się przyznali. Lecz myśmy wierzyli, że oni nie są winni, i podejrzewaliśmy, że historia o napaści na Angielkę jest bardzo przesadzona albo nawet sfabrykowana, gdyż ten chłopiec, Kumar, przyjaźnił się z tą Angielką i dlatego Anglicy go nienawidzili. Nie wiedziałem, co Kumar robił tamtego wieczora, lecz wiedziałem, że tamci, inni aresztowani, jak powiedział mi jeden ich znajomy, pili samogon w starej chacie i pojęcia nie mieli o żadnej „napaści”, dopóki policja tam nie wtargnęła, by ich aresztować. Ten znajomy także z nimi pił i szczęśliwym trafem odszedł na chwilę przed wtargnięciem policji, a potem obserwował wszystko z ukrycia. Przypuszczał, że wydał ich dróżnik przy Moście Bibighar, który wiedział, że oni nieraz piją samogon w tej starej chacie, i czasami pił razem z nimi, gdyż go częstowali, by nikomu nie mówił o tym nielegalnym samogonie. Wiem, że to prawda, gdyż ja także czasami tam piłem. Lecz nie tam piliśmy tamtego wieczora w lutym, gdy Hari Kumar był z nami i tak się zalał. Na picie samogonu musieliśmy znajdować różne miejsca, by zmylić policję. Nie stać nas było na legalny alkohol i dlatego piliśmy samogon.

Podczas przesłuchania okręgowy nadinspektor policji zapytał:

— Czy to nieprawda, że jesteś bliskim przyjacielem Kumara i że wieczorem 9 sierpnia ty, Kumar i inni twoi przyjaciele popijaliście w chacie za Mostem Bibighar i że odszedłeś od nich, gdyż zaczęli sprośnie mówić o wypadzie do dzielnicy administracyjnej na dziewczynki?

Zrozumiałem, że w ten sposób nadinspektor daje mi szansę, bym zasłużył sobie na jego łaski złożeniem fałszywych zeznań. Chociaż bardzo lękałem się bicia, powiedziałem, że to nieprawda i że faktycznie znam Hariego Kumara i paru chłopców, których wymienił, lecz w nocy 9 sierpnia pracowałem do późnej nocy w redakcji „Mayapore Hindu”, gdyż musiałem przygotować do druku wiadomości o wybuchu zamieszek tamtego dnia w Dibrapurze i Tanpurze. i że mój redaktor naczelny z całą pewnością to potwierdzi. Mówiłem prawdę. Nadinspektor się rozgniewał, gdyż wiedział, że tak jest. Powiedział:

— Pożałujesz swojego kłamstwa, zanim z tobą skończę.

Potem zostawił mnie samego. Rozejrzałem się, którądy by uciec, lecz nie było nawet okna, bym mógł spróbować odzyskać wyteknioną wolność. Pokój oświetlała jedna żarówka. Stało tam biurko i krzesło, na którym przedem siedział okręgowy nadinspektor policji, i stołek, na którym ja siedziałem. W kącie stał żelazny kozioł.

Gdy zdałem sobie sprawę, że nie ma drogi ucieczki, zacząłem się modlić o siłę.

312

by przetrwać tortury nie zdradzając nazwisk moich współników. Myślałem, że lada chwila przyjdą po mnie i że nadinspektor już rozkazuje im wszystko przygotować. Lecz on wrócił sam, znów usiadł przy biurku i zaczął zadawać te same pytania. Nie wiem, jak długo to trwało. Chciało mi się jeść i pić. Po jakimś czasie, gdy nie zdołał usłyszeć ode mnie nic nowego, znów wyszedł. Dwaj policjanci zabrali mnie do ciężarówki i przewieźli do więzienia na ulicy Więziennej. Po drodze miałem nadzieję, że mnie odbiją nasi ludzie, ale ciężarówka jechała bardzo szybko i nic się nie wydarzyło. Pozostawałem w więzieniu przez tydzień, a potem zabrali mnie do sądu i oskarżyli o drukowanie i publikowanie pism wywrotowych. Jakiś szpicel zeznał, że widział, jak wrzucałem ulotki do kotwali, co nie było prawdą, lecz nie mogłem tego udowodnić. Tę nielegalną prasę drukarską już znaleziono, także przy pomocy jakiegoś szpicla, i aresztowano wszystkich moich współników. Dostałem wyrok: dwa lata ciężkiego więzienia. Wysłali mnie do więzienia niedaleko Dibra-puru i zamknęli w brudnej celi. Byłem pewny, że okręgowy nadinspektor policji wydał rozkaz, by mnie tam specjalnie źle traktowali. Z początku nie mogłem jeść obrzydliwej stawy, jaką mi dawali, więc nękał mnie głód. Któregoś dnia straciłem panowanie nad sobą i izucilem talerz na podłogę. Nazajutrz zabrali mnie z celi i powiedzieli, że za naruszenie przepisów więziennych otrzymam piętnaście razów trzcina. Wprowadzili mnie do małej izdebki, w której zobaczyłem taki sam żelazny kozioł jak tam, gdzie mnie przesłuchiwał okręgowy nadinspektor policji. Pokazali mi trzcinę do chłosty. Miała około czterech stóp długości i pół cala grubości. Rozebrali mnie, przechylili na tym koźle, związali mi nogi w kostkach i ręce w przegubach i wykonali „wyrok”. Pod koniec już nie wytrzymałem tej męki i zemdlałem.

Potem przewieźli mnie do innego więzienia. Nie pozwalali mi kontaktować się z nikim, nawet z rodziną. Któregoś dnia powiedzieli mi, że moja matka nie żyje. Płakałem i błagałem Boga o przebaczenie cierpień, które jej wyrządziłem przez tę pracę dla sprawy wolności, będącą przecież moim obowiązkiem. Nie czułem urazy o to, że mnie karali, gdyż byłem winny tych wszystkich „przestępstw”. Lecz według mnie to nie były przestępstwa i dlatego kara nie była dla mnie karą, tylko częścią ofiary, do jakiej złożenia zostałem powołany.

Już kończyłem odsiadywać swoje dwa lata, gdy do mojego więzienia przenieśli jednego z chłopców oskarżonych o napastę na Angielkę. Każdy z nich siedział przedem w innym więzieniu, ponieważ władze kazały trzymać ich oddzielnie, bez wątplenia po to, by nie dobrało się dwóch, którzy by mogli mówić innym więźniom, że ukarano ich niesprawiedliwie. Gdy zobaczyłem tego chłopca, wykrzyknąłem ze zdumienia. Myślałem, że już dawno ich wszystkich skazano na śmierć. W więzieniu słyszałem nawet, że zawiśli na szubienicy. Lecz ten chłopiec mi powiedział, że nie mieli przeciwko nim żadnych dowodów. Że według niego to wszystko było „upozorowane” i prawdopodobnie nikt nikogo nie zgwałcił w Bibighar. Ostatecznie władze wtrąciły ich do więzienia jako element niepożądany, znany z działalności wywrotowej albo podejrzany o takową. Nie mogliśmy często rozmawiać; on za bardzo bał się mówić na temat pogłosek, które słyszałem, o torturowaniu i pohańbieniu.

• Gdy wyszedłem z więzienia, nie miałem już domu. Musiałem często zgłaszać się na policję. Mój dawny pracodawca, pan Lakszminarajan, znalazł dla mnie mieszkanie i dał mi pracę, tak że mogłem utrzymać się przy życiu. Miałem zdrowie nadszarpnięte, ważyłem tylko 97 funtów i nękał mnie kaszel. Z czasem zdołałem częściowo odzyskać zdrowie i siły.

Jeśli chodzi o chłopców aresztowanych za napaść w Bibighar, to spotkałem tylko jednego z nich, gdy wrócił na stałe do Majapur. Był to ten sam, którego przewieźli do mojego więzienia. Dowiedziałem się, że wrócił do domu, więc odwiedziłem go i zapytałem:

— Dlaczego bałeś się mówić mi za dużo?

Nawet teraz wolał zachować ostrożność. Powiedział, że wiele wycierpiał i boi się policji, która go obserwuje. Brytyjczycy jeszcze byli u władzy, wygrali wojnę i zastanawialiśmy się nad przyszłością raczej bez nadziei, chociaż ludzie powtarzali sobie, że tym razem Brytyjczycy rzeczywiście są gotowi odejść.

Ten chłopak, rozmawiając ze mną pewnego wieczora w Majapurze w końcu roku 1946, nagle rzekł:

— Powiem ci.

Długo mi opowiadał. Tamtej nocy, gdy aresztowano jego i czterech innych pijących samogon w chacie, zabrano ich prosto do komendy policji i zamknięto razem w *jednej celi*. Wtedy *sądzHi*, że wstali przyłapani *nu picciu nielegalnego* alkoholu, więc śmieli się i żartowali. Potem zobaczyli, jak prowadzi Hariego Kumara. Miał twarz pokaleczoną i z sińcami. Myśleli, że to policja tak go poturbowała. Jeden z nich zawołał: „Cześć, Hari”, ale Kumar nie zwrócił na to uwagi. Potem już żaden oprócz tego mojego informatora nie widział Kumara. Mój informator opowiedział mi to wszystko poufnie, więc wołę to uszanować i nie zdradzać jego nazwiska. W obecnych czasach o wszystkich tamtych rzeczach się nie pamięta; żyjemy innym życiem. Nasza młodzież obecnie nie interesuje się takimi sprawami. Więc będę nazywał tego mojego przyjaciela „Sarma”, co nie jest nazwiskiem ani jego, ani żadnego z tamtych chłopców. Sarma, dzielny, silny jak ja, był za młodu „wielkim kobieciarzem”, lecz także zawrócił ze złej drogi. Zamknęli go wraz z kompanami w celi, a potem zabierali ich kolejno. Gdy jeden po drugim wychodził i nie wracał, ci pozostali już nie śmieli się i nie żartowali. Poza tym od przepicia cierpieli na ból głowy i zasychało im w ustach. A potem został tylko Sarma. Wtedy dwaj policjanci sprowadzili go na dół i kazali mu się rozebrać. Gdy stanął nagi, jeden z policjantów zastukał do drzwi w drugim końcu pokoju i otworzył je. Wszedł okręgowy nadinspektor policji. Sarma czuł się strasznie upokorzony tym, że musi stać tak nieskromnie, i to w obecności białego. Policjanci trzymali mu ręce z tyłu. Nadinspektor podszedł, trzcinką podniósł jego obnażone genitalia i przyjrzał im się uważnie. Sarma nie rozumiał, dlaczego spotyka go taki wstyd. Zapytał: „Co pan robi, panie nadinspektorze?” Nadinspektor nie odpowiedział. Obejrzał odzież Sarmy, także trzcinką przetrząsając jego rzeczy, a potem wyszedł. Później Sarma oczywiście pojął, że nadinspektor szukał dowodów zgwałcenia pani, która krwawiła. Po jego wyjściu policjanci kazali Sarmie włożyć kalessony, lecz reszty odzieży

314

nie oddali. Przez inne drzwi wyprowadzili go z pokoju do celi, w której zastał wszystkich tamtych chłopców, także w samych kalessonach. Kumara z nimi nie było. Chłopcy próbowali znowu żartować, pytali się, dlaczego sahiba tak interesują pewne części ciała, ale w tym wypadku nie było się z czego śmiać. Potem znowu policjanci zabierali jednego po drugim i żaden nie wracał. Sarma znowu był ostatni. Wprowadzili go do tego pokoju, w którym przedtem kazali mu się rozebrać i w którym teraz okręgowy nadinspektor policji siedział za biurkiem. Myślę, że to w tym samym pokoju przesłuchiwał mnie dwa wieczory później. Sarmie jednak nie dali stołka, by usiadł. Kazali mu stać przed biurkiem. Zaczęło się przesłuchanie. Sanna nie rozumiał pytań, ponieważ myślał, że jest oskarżony tylko o picie samogonu. Lecz nagle okręgowy nadinspektor policji zadał pytanie:

— Skąd wiedziałeś, że ona będzie w Ogrodzie Bibighar?

Wtedy Sarma pojął, że coś może się kryć w tym gadaniu nie wiadomo o czym, gdyż padło słowo „ona” i to się łączyło z upokorzeniem, jakie go spotkało. Ale nie miał pojęcia, czego chcą się od niego dowiedzieć, dopóki nadinspektor nie powiedział:

— Prowadzę śledztwo w sprawie zbrodniczej napaści na młodą Angielkę, doko nanej dziś wieczorem, na dziewczynę, która myślała, że twój przyjaciel Kumar jest także jej przyjacielem.

Padają wiele pytań, takich jak: „Kiedy Kumar wam zaproponował, byście z nim poszli? Czy ona tam już była, gdy przyszliście? Długo czekaliście na nią? Który z was pierwszy ją zniewolił? Przewodził Kumar, wam by się nawet nie śniło pójść do Bibighar, prawda? Czy to ty musiałeś stać na czatach i dlatego nie mogłeś się z nią zabawić? Byłoby niesprawiedliwie, gdybyś cierpiał teraz za tamtych, jeżeli tylko stałeś naczalach. Więc ile razy ją wzięłeś? Ile razy wziął ją Kumar? Dlaczego się boisz? Mężczyzna, który sporo wypił, nabiera chętki na kobietę, no, nie jest tak? Dlaczego masz sobie za złe rzecz zupełnie naturalną? Nie należało pić tego samogonu, lecz piłeś, no i stało się. Nie możesz się zachować jak mężczyzna, przyznać, że wypięś za dużo i to cię rozpałiło? Nie jesteś cherlakiem, świetny, zdrowy z ciebie chłop. Dlaczego wstydzisz się swoich naturalnych popędów? I mnie tak samo ponosi, jeżeli wypiję za dużo. Nie ma śladów kiwi na tobie ani na twojej bie-liźnie. Ona nie byta dziewicą, prawda? A ty ją wzięłeś pierwszy, bo najbardziej się rozpałiłeś i nie mogłeś czekać. No, nie tak było? A może przezornie sprąłeś plamy z bielizny albo przebrałeś się, gdyż wiedziałeś, że popełniłeś coś złego? Gdy wiedziałeś, że będziesz musiał do odpokutować, jeżeli dasz się złapać. No i dałeś się złapać, więc musisz

odpokutować. Bądź mężczyzną, przyznaj, żeś zasłużył na karę. Jeżeli się przyznasz, będziemy wobec ciebie łagodni, ponieważ ja rozumiem takie rzeczy. I ona nie była dziewicą, prawda? Szła z każdym, kto mógł ją zaspokoić. Lubi brązowoskórych. To nam powiedział młody Hari Kumar. Czy nie jest tak? Nie jest tak?"

Właśnie to, Pan rozumie, Sarma dobrze pamiętał: jak w końcu okręgowy nadinspektor policji tylko powtarzał: „Czy nie jest tak? Nie jest tak?“, i uderzał trzcinką

315

w biurko, gdyż gniewało go, że Śarma wciąż odpowiada, że *śfm-mi b-ń ħćitmk* inspektor mówi. Potem rzucił trzcinkę na biurko i powiedział:

— Widzę, że tylko w jeden sposób można cię złamać.

I zawołał policjantów, którzy stali za drzwiami, a ci zabrali Śarmę i przeprowadzili go przez sąsiedni pokój do następnego. Tam było jeszcze słabsze oświetlenie, lecz Sarma zobaczył Kumara. Kumar był nagi, przywiązany do jednego z żelaznych koźłów. W takiej pozycji trudno oddychać, sam tego doświadczyłem. Sarma opowiadał, że nie wiedział, od jak dawna Kumar jest tak przywiązany, ale słyszał jego rżenie. Z początku nie poznał, że to Kumar, tylko widział krew na jego pośladkach. Lecz potem wszedł okręgowy nadinspektor policji i powiedział:

— Kumar, tu jest twój znajomy. Przyszedł posłuchać, jak się spowiadasz. Po wiedz tylko: „Tak, to ja zorganizowałem gwałt“, a odwiążemy cię od tego urzędnika i już nie będziemy bili.

Sarma opowiadał, że Kumar tylko „jakoś dziwnie prychnął“, więc okręgowy nadinspektor policji wydał rozkaz, policjant podszedł z trzcina i smagnął Kumara kilka razy. Śarma krzyczał do Kumara, że nic nie wie i nic nie powiedział. I wrzasnął: „Dlaczego tak męczycie tego człowieka?“ Lecz policjanci dalej bili Kumara, aż jęczał. Sarma nie mógł patrzeć na tę straszna karę. Potem zabrali go i zamknęli samego w celi. Mniej więcej po dziesięciu minutach przyprowadzili go z powrotem do tego pokoju, w którym przedtem widział Kumara. Koziół nie był teraz zajęty. Ściągnęli z Śarmy kalesony i przywiązali do koźła. Położyli mu na pośladkach coś, co, jak się zorientował, było mokrą szmatą, i uderzyli go dziesięć razy. Opowiadał, że to strasznie bolało, nie mógł pojąć, jak Kumar tyle tego wytrzymał. Położyli tę mokrą szmatę, by nie poprzecinać mu skóry tak, że ślady zostałyby na zawsze. Gdy skończyli bić, zabrali go z powrotem do celi. Później umieścili go w innej celi, w której byli tamci chłopcy. Kumara z nimi nie było. Powiedział chłopcom, jak policja obeszła się z nim i z Kumarem. Tamtych nie bito, lecz bali się, że przyjdzie kolej i na nich. Najmłodszy się rozplakał. Oni wcale nie rozumieli, co się dzieje. Już był wczesny poranek. Okręgowy nadinspektor policji przyszedł do celi z dwoma policjantami. Powiedział, że zaraz zobaczą, jaką miazgę może zrobić z pośladków bicie trzcina, choćby tylko dziesięć uderzeń przez mokrą szmatę. Wydał rozkaz, i policjanci przytrzymali Śarmę i obnażyli go. Nadinspektor powiedział, że jeżeli któryś z nich kiedykolwiek i komukolwiek w czasie „rychłego przesłuchania, procesu i odbywania kary“ choćby tylko napomknie o biciu czy brutalnym traktowaniu, spotka ich wszystkich jeszcze surowsza kara. I dodał, że od Śarmy mogą usłyszeć, jak to jest, ponieważ Sarma sam tego doświadczył i widział, jak doświadcza tego ktoś inny.

W pół godziny później dostali posiłek. Byli głodni, zmęczeni, przestraszeni. Zaczęli jeść. Po kilku kęsach zwymiotowali. „Baranina“ z curry okazała się wołowiną. Dwaj strażnicy muzułmanie, którzy stali i patrzyli na nich, zaśmiewali się i powiedzieli:

— Wykluczycie się z kasty. Nawet Bóg odwrócił od was swoje oblicze. -.

Część siódma OGRÓD BIBIGHAR

Daphne Manners (Pamiętnik dedykowany jej ciotce, lady Manners) Kaszmir kwiecień 1943 r.

Przepraszam, Ciociu, za to całe zmartwienie i kłopotliwą sytuację, w jakiej Cię postawiłam. Zaczęłam już raz przepraszać w październiku zeszłego roku, kiedy ciocia Lili przywiozła mnie do Rawalpindi, ale nie chciałaś słuchać. Więc przepraszam teraz nie za swoje postępowanie, tylko za następstwa, które to moje postępowanie pociągnęło dla Ciebie. Przecież Ty, Ciociu, niczym sobie nie zasłużyłaś na to, by ze mną być na wygnaniu. Ale też chcę podziękować za Twoją serdeczną troskę o mnie, za to, że z taką godnością podjęłaś się opieki nade mną i nigdy nie dajesz mi odczuć, że ta odpowiedzialność jest dla Ciebie, Ciociu, ciężarem, chociaż ja wiem, że na pewno jest, tak samo tutaj, gdzie nie widuje się prawie nikogo, jak w Pindi, gdzie tyle Twoich dawnych przyjaciół się od Ciebie odsunęło. Czasem próbuję sobie wyobrazić, że jestem na Twoim miejscu, wczuć się w sytuację ciotki „tej Manners“. Wiem, że ludzie tak myślą i mówią o mnie i że to rzutuje na Ciebie. I te wszystkie cudowne rzeczy wypracowane przez Ciebie i Stryja Henry'ego, żeby ułatwić Anglikom życie w Indiach, poszły w niepamięć. Właśnie dlatego przepraszam. Przepraszam za to, że przeze mnie ludzie, którzy krytykowali Ciebie i Stryja, mają ostatnie słowo, bo pozornie stanowią dowód, że wszystko, co Ty i Stryj popieraliście, było niesłuszne.

Straszne jest to, że jeśli kiedykolwiek będziesz czytała ten pamiętnik, mnie tu nie będzie, te przeprosiny nie wydadzą się ludzkie i bezpośrednie. Jeżeli przebrnę przez to, co mnie czeka, będziemy prawdopodobnie żyć w takim układzie, w jakim żyjemy teraz — poruszać możliwie jak najmniej tematów, które mogłyby nam przypominać prawdziwy powód naszego pobytu tutaj. I wtedy nie przeczytasz tego pamiętnika, bo piszę go tylko, żeby się zabezpieczyć na wypadek wieczystego milczenia. Piszę, bo mam przecucie, że nie przebrnę, a bardzo bym nie chciała kipnąć wiedząc, że nie uczyniłam żadnego wysiłku, żeby wyjaśnić Tobie, Ciociu, tę historię, przerwać milczenie, które najwyraźniej uznałyśmy zgodnie za dobre dla żywych, chociaż nie dla zmarłych.

Wybacz tę ponurą nutę! Nie jestem w ponurym nastroju, jestem po prostu przygotowana. Może wciąż przygotowana, odkąd ten doktor w Londynie powiedział, żebym się nie przemęczała i żebym przestała prowadzić ambulans w czasie zaciemnienia. Podejrzenie, że muszę wtłoczyć tyle mojego życia, ile tylko się da, w czas możliwie najkrótszy, chyba tłumaczy to, co

319

robię, a co ludzie postawieni na wygonnym torze sześćdziesięciu lat życia uznaliby za pochopne i nierozważne.

Jeżeli się nie mylę i moje przeczucia nie są tylko chorobliwą fantazją, byłoby dziwne, prawda, że ktoś, kto wygląda tak zdrowo i silnie, może mieć rzeczywiście tak słaby organizm! Kiedy mama umarła, bałam się, że zachoruję na raka. Od tamtego czasu boję się, że mój słaby wzrok i sporadyczne bóle głowy to objawy guza mózgu. Wszystkie takie wymyślne choroby dotyczą również chłopów indyjskich, ale oni to tylko statystyka w rejestrach, wskaźniki urodzeń i śmiertelności i wykresy spodziewanego przyrostu naturalnego. Często wołałabym czuć i uważać, że jestem tak samo bezimienna, dotknięta nieszczęściem przez Boga, a nie czymś, o czym lekarze wiedzą wszystko, co potrafią wytłumaczyć i na co potrafią przygotować.

Ale pozwól, Ciociu, że Ci powiem. Przypuszczam, że z medycznego punktu widzenia tylko jedna rzecz we mnie jest rzeczywiście nie tak, jak trzeba, i że to może jest tylko nie tak jak trzeba dla mnie. boja nie mam wszystkich klepek w porządku. Na przykład ten doktor w Pindi, doktor Krisznamurti, mówi o cesarskim cięciu. Powiedziała, że nie chcę w ten sposób. Może jestem po prostu głupio uparta, ale nie masz pojęcia. Ciociu, jak bardzo mi zależy na tym, żeby to się odbyło normalnie. Nie chcę, żeby mnie rozkrojono i wydarto to dziecko ze mnie. Chcę je wydać na świat. Chcę, żeby miało życie ode mnie bez cesarskiego cięcia, bez pomocy lekarzy, którzy uratują życie jemu czy mnie, czy nam obojgu. Chcę dać z siebie wszystko, żeby z czystym sumieniem dokończyć to, co z czystym sumieniem zaczęłam. Myślę, że doktor Krisznamurti prawie to rozumie. Patrzy na mnie tak dziwnie. I to jest jeszcze coś, za co jestem Ci wdzięczna. Ciociu — to, że Tobie na myśl nie przyszło czynić rozróżnienie pomiędzy lekarzami angielskimi i hinduskimi, już nie mówiąc o tym, że nie sprzeciwiłaś się, bym była pod opieką lekarską Hindusa. Dawno temu (no, wydaje się, że dawno, ale to nie mogło być dużo dawniej niż rok temu) pisałam z Majapuru do Ciebie, jak bardzo się cieszę, że mam szczęście być z kimś takim jak Ty, a nie z kimś w rodzaju państwa Swinson. (Zawsze ich pamiętam jako pierwszych „kolonialistów” w moim życiu. Ależ mnie przyprawili o wstrząs!) Gdybym była ich bratanicą, to choćby nawet ukryli mnie gdzieś głęboko, dopuszczaliby do mnie tylko białego lekarza. Ale może gdybym była bratanicą Swinsonów, sama za nic bym nie chciała zwrócić się do doktora Krisznamurtego. Czy też w ogóle nie znalazłabym się w sytuacji, którą Swinsonowic bez wątpienia nazywają „bagnem”.

Dosyć to dziwny zbieg okoliczności, w Majapurze był również jakiś doktor Krisznamurti, kolega pani doktor Anny Klaus. Zapytałam naszego doktora Krisznamurtego, czy nie jest krewnym tamtego w Majapurze. Powiedział, że chyba jest, jeżeli sięgnie się dość daleko wstecz w genealogię jego rodziny. Powiedziałam mu, że się cieszę, iż on się nazywa Krisznamurti, bo to jest ogniwo łączące mnie z Majapurem. Był zdumiony i zakłopotany, a może zgorzony tym, że wymówienie nazwy Majapur przychodzi mi tak lekko. Przewycięzył zakłopotanie, jakie w nim wywołał fakt, że musi mnie dotyczyć, ale nie przewycięzył zakłopotania

320

wobec tego, co ja reprezentuję chyba tak samo dla Hindusów, jak dla Brytyjczyków. To właśnie — czymkolwiek to jest — co ja reprezentuję, już przeszło z fazy czysto pojęciowej w fazę rażąco fizyczną. W Pindi widziałam, że nawet te nieliczne osoby, które odwiedzają nas — a raczej Ciebie, Ciociu, pomimo mojej obecności — wciąż patrzą na moją talię. Teraz oczywiście zniekształcenie z powodu tego nieznanego dziecka (nieznanego, niechcianego, kochanego tylko przez mnie) najbardziej rzuca się w oczy. Gdybym wychodziła z domu, z ogrodu, uważałabym za konieczne brać ze sobą mały dzwonek, jak trędowaci, żeby ludzie zdążyli się wycofać na czas, dopóki nie przejdę, i zachować czystość! Gdyby napastnikami z Bibighar byli mężczyźni mojej rasy, litowano by się nade mną. Ludzie religijni prawdopodobnie podziwialiby mnie za to, że nie chcę poronić. Ale to nie byli mężczyźni mojej rasy. Więc nawet Hindusi w Pindi odwracali wzrok, kiedy się zjawiałam w dzielnicy administracyjnej, jak gdyby się bali, że jakaś straszna kara przejdzie ze mnie na nich.

Nawet Ty, Ciociu, wyraźnie starasz się nie spuszczać wzroku poniżej poziomu moich oczu.

Oczywiście nie byłam dziewczcą. Anna Klaus mówiła mi później, że pytano ją o to i udzieliła odpowiedzi. Chciała, żebym wiedziała, że taka kwestia powstała i została wyjaśniona. Nie wymagała komentarza. I ja nie komentowałam. Ale Ciebie informuję. Ciociu, żeby nic było żadnych niedomówień. Moim pierwszym kochankiem był jeden z przyjaciół Dawida, mojego brata. Drugim ktoś, kogo poznałam w Londynie, w okresie kiedy byłam kierowcą ambulansu. Miałam dwóch kochanków — ale, rozumiesz. Ciociu, niekochanych. Żyliśmy ze sobą, ale bez miłości, chociaż przez pewien czas wydawało mi się, że w tym pierwszym jestem zakochana.

To dopiero Hariego pokochałam naprawdę. Niemał ponad wszystko w świecie chcę mówić Ci o nim, choćby tylko: „Och, lak. Iłari powiedział coś takiego”, albo: „Widziałam to kiedyś, kiedy byłam z Harim.” Byle tylko wypowiadać przy kimś jego imię, wprowadzać go z powrotem w zwykły świat mojego życia. Ale nie mogę. Wiem, że wtedy natychmiast miałabyś twarz bez wyrazu, a nie zniosłabym takiego wykluczenia Hariego przez Ciebie. On już jest dostatecznie wykluczony. Jeżeli płacę — a płacę czasami — to dlatego, że ja też go

wykluczyłam, i zdaję sobie z tego sprawę. Zastanawiam się, czy Ty, Ciociu, wiesz, gdzie on jest? Często wydaje mi się, że większość osób, które zaliczam do przyjaciół, wie, ale mi nie powie. Nie mam jednak wam tego za złe. Wy milczycie, bo uważacie, że tak będzie lepiej dla mnie, ja milczę, bo uważam, że tak będzie lepiej dla Harięgo. Bóg świadkiem, były już nieraz romanse pomiędzy ludźmi ciemnoskórymi takimi jak Hari i ludźmi takimi jak ja, i nawet doprowadzały do małżeństwa, i rozdziły się dzieci, szczęśliwe albo nieszczęśliwe. Ale ten nasz romans jakoś nigdy nie miał żadnych widoków. Zrezygnowałam z nadziei, że kiedykolwiek jeszcze Harięgo zobaczę.

321

Zwłaszcza dlatego dziecko, które noszę, jest dla mnie tak niezmiernie ważne. Chociaż nie mogę mieć pewności, czy jest jego. Ale myślę, że tak. A nawet jeżeli nie, to przecież jest moje. Może będzie miało skórę tak ciemną jak Hari, może prawie tak jasną jak ja, a może ni to ciemną, ni to jasną. Ale bez względu na kolor skóry, on czy też ona jest z mojego ciała i krwi, jest darem, który po swojemu prześladnie składam na ołtarzu przyszłości.

Od paru dni nic nie napisałam w tym pamiętniku. Przeważnie piszę nocą, opatulona w Twoją baranicę, przy dogasającym ogniu w kominku. To jest kraj takich cudownych kontrastów. Dziś wieczorem w Majapurze będzie straszny upał. Tam siedziałabym pod wiatrakami wentylatora i wszystkie okna byłyby pootwierane, a tutaj, gdybym podeszła do tego małego zakratowanego okienka i wyjrzała zza kretonowych zasłon, zobaczyłabym góry w śniegu. A przecież za kilka tygodni zaroi się w dolinie od ludzi na urlopie. Będą pływać w jeziorach, tłoczyć się w swoich śnikarach na rzece. Czy przeniesiemy się wtedy do Srinagaru, Ciociu, zamieszkamy na barce, którą będziemy przystrajając kwiatami, i pozwolimy, by naft przepowiedano przyszłość?

Aksamitki. Bhallu nie cierpiał, kiedy wkraczałam w jego prawa i zrywałam aksamitki wczesnym rankiem, żeby wstawiać je do wazonu na tacy ze śniadaniem dla Lili! Bhallu krzywo na mnie patrzył, odkąd podeptałam jeden z jego klombów przy ścinaniu aksamitek tamtego dnia, kiedy Hari po raz pierwszy przyszedł do Domu MacGregora. Ponieważ nigdy nie rozmawiamy o Harim, nie wiem, co wiesz o nim. Ciociu, od Uli. Tak czy inaczej, wkrótce po moim przyjeździe do Majapuru ktoś ją zapytał, w istocie zapytała ją Anna Klaus, czy ona zna niejakiego Kumara vel Coomera, jak czasami się pisało, i czy mogłaby zapytać sędziego Menena, jakiego przestępstwa dopuścił się pan Kumar, że policja zabrała go w sposób tak brutalny, podinspektor wymierzył mu przy świadkach policzek i poddano go „przesłuchaniu”. Lili nie mówiła mi o tym dużo, ale widziałam, że jakoś zainteresowała się młodym Hindusem, który popadł w kłopoty tylko dlatego, że odpowiadał zuchwale czy coś takiego. To, że nie mówiła mi dużo, było w jej stylu, dobrze znanym nam obu. Tak jak w Lahaurze, na przykład, w czasie naszej podróży do Majapuru, kiedy siedziała w przedziale idealnie spokojna i udawała, że nic się nie dzieje, chociaż te dwie wredne Angielki oskarżyły ją o podwędzenie czegoś z ich bagażu. Trudno jest, jak wiesz. Ciociu, wyciągnąć Lili na rozmowę o sprawach, z którymi Hindusi muszą się pogodzić, ale to nie znaczy, żeby te sprawy jej nie bolały ani też żeby ona, jeśli może pomóc komuś w kłopotach takim, w jakim był Hari, siedziała z założonymi rękami i nie robiła nic.

Właściwie nie znałam całej historii „aresztowania” Harięgo, dopóki on sam mi

322

o tym nie powiedział dużo później, w pewien wieczór, kiedy wybraliśmy się do świątyni Tirupatiego. Do tego czasu ja nawet nie wiedziałam, że policjantem, który wziął go na przesłuchanie, był Ronald Mer-rick. Okropnie się tym przejęłam. Poczulałam, że wszyscy rozmyślnie zataili to przede mną — ciocia Lili. Anna Klaus, sędzia Menen, nawet siostra Ludmiła, zwłaszcza siostra Ludmiła, bo to wszystko stało się w „Azylu” w jej obecności. Przejęłam się okropnie, bo spotykałam się z Ronaldem tak samo jak z Harim i wydawało się, że wszyscy, których lubię i którym ufam, tylko obserwują mnie i czekają, co będzie dalej. Potem zrozumiałam, że się myliłam. Zachowywali się tak, jak chyba zawsze ludzie w Indiach się zachowują, kiedy dwie osoby różnych ras próbują wyjść sobie naprzeciw ze swoich zamkniętych kręgów. W tych kręgach plotki nigdy nie ustają i wszyscy nawzajem znają swoje sprawy. Ale na zewnątrz grunt wydaje się tak niepewny, że wystarczy, jeśli ktoś na nim stanie. Najlepiej zapomnieć o wczorajszych nieporozumieniach czy krzywdach. Są nauczką, ale trzeba tę nauzkę zachować dla siebie i mieć nadzieję, że inni też się czegoś nauczyli. Najważniejsze to nie schodzić z tego gruntu, a jednak z chwilą gdy się zaczyna mówić o czymkolwiek poza dniem dzisiejszym, powiększa się tylko tę okropną możliwość, że się ucieknie, pomknie z powrotem do tego bezpiecznego małego kręgu, gdzie można się nagadać do woli. bo tam każdy udaje, że myśli tak samo.

Ale kiedy usłyszałam od Harięgo, że to Ronald Merrick osobiście zatrzymał go i przesłuchiwał, i siał, i patrzył, jak ten podinspektor daje mu po twarzy, poczułam się wystawiona na pośmiewisko. Zawsze myślałam, że Ronald jest zbyt wielką figurą, żeby osobiście zajmować się tak drobną miejscową sprawą jak aresztowanie i przesłuchiwanie „podejrzanego”. Wściekłam się na Ronalda, bo ostrzegając mnie przed zadawaniem się z Harim (zaledwie parę dni wcześniej) nie raczył nadmienić, że to on sam Harięgo aresztował i przesłuchiwał. Byłam

wściekła na wszystkich, a najbardziej chyba na siebie. Jednak Hari, na podstawie tego, co mu powiedziałam w tamten wieczór, mógł myśleć, że gniewam się tylko na niego, a nawet zarzucam mu fałsz, czyli cechę typowo hinduską w oczach przeciętnej, gruboskórnej, raczej rzeczowej Angielki. Przypuszczam, że moja reakcja wydawała się Hariemu też typowa, typowa jako reakcja wzgardliwej angielskiej mem. Kiedyśmy się rozstali, chciałam to omówić z ciocią Lili. czekałam na jej powrót z brydża, ale zrobiło się późno, więc poszłam spać. Czekałam wieki cała i myślałam o tych przyjęciach w Domu MacGregora, na których bywał Ronald Merrick, i o wizytach Hariego (ale nigdy nic zdarzyło im się w Domu MacGregora spotkać). Przypomniłam sobie, że Ronald był na kolacji w tamten wieczór wkrótce po moim przyjeździe do Majapuru (pamiętasz. Ciociu, napisałam Ci w moim pierwszym liście z Majapuru o tym, że ma być na kolacji okręgowy nadinspektor policji, więc muszę się przebrać w paradne łaszki) — chyba w parę zaledwie dni po tym telefonie Anny Klaus z prośbą, żeby Lili porozmawiała z sędzią Menenem o „panu Kumarze czy Coomerze”, bo wiedziałam, że Anna Klaus zadzwoniła w tej sprawie w pierwszych dniach mojego pobytu u Lili. Może gdybym była bardziej zadowolona, pytałabym o Hariego, kto to jest i co mu się przytrafiło. Ale nie pytałam. Lili wtedy, gdy miała

323

Ronalda i jeszcze kilka osób na kolacji, musiała wiedzieć, że Ronald jest winny aresztowania Hariego. i prawdopodobnie wiedziała, że patrzył spokojnie, jak ten podinspektor bije Hariego po twarzy. A jednak, o ile mi wiadomo, nic nie powiedziała o tym Ronaldowi. Ani też, przynajmniej w mojej obecności, nie poruszyła tego tematu z Harim przy tych paru okazjach, kiedy on był w Domu Mac-Gregora.

Zastanawiałam się dlaczego. I dlaczego nigdy nie opowiedziała mi wszystkiego. Ale zastanawiając się nad tym pojęłam, że przecież nikt, inny z tych, którzy znali tę historię, też nu nic nie mówił. Wiedziała tylko, że po pierwszej wizycie Hariego Lili zaczęła odnosić się do niego z rezerwą. Wyczuwałam, że go nie lubi. To sprawiło, że wołałam nie mówić jej zbyt dużo o moim tak zwanym przez Ronalda „zadawaniu się z panem Kuma rem”. Wyczułam rozciągłość milczenia, które otacza to „zadawanie się”, i pojęłam, że automatycznie sama do tego przyczyniam. Bo ja też, milczałam — tylko Tobie. Ciociu, zwierzyłam się z „oświadczyń” Ronalda — i to było milczenie tego samego rodzaju.

Właśnie wtedy uświadomiłam sobie, że naprawdę kocham Hariego i chcę, żeby był przy mnie zawsze. I wtedy zaczęłam się o niego bać. Wydawało się, że wszyscy wokół mnie zmówili się, żeby mi nic nie powiedzieć, tylko czekać, nieomal wstrzymując oddech, i może nie mają nic przeciwko temu, żeby Hari po prostu mi się podobał, ale boją się następstw i zarazem boją się, że on mnie wcale nie obchodzi, że tylko ot, tak sobie, chcę zrobić coś niekonwencjonalnego, co oczywiście, bardziej zaszkodziłoby jemu niż mnie. Ta zmowa jednak wynikała zarówno z sympatii, jak z lęku. Odnosiłam wrażenie, że oni uważają mój romans z Harim za logiczny, ale przerażający rezultat wysiłków, jakie czynili, żeby wyrwać się ze swoich odrębnych małych grup i nauczyć się żyć razem — przerażający, bo nawet oni nie mogą w spokoju ducha patrzeć na pogwałcenie najbardziej podstawowego prawa, które mówi, że chociaż białemu mężczyźnie wolno kochać się z czarną dziewczyną, związek czarnego mężczyzny z białą dziewczyną jest nadal tabu.

Potem, nazajutrz, rano, zachwiałam się w decyzji omówienia tego wszystkiego z I.iii. Po części dlatego, że właściwie nie było co „omawiać”, a po części dlatego, że się bałam. Nie wyobrażałam sobie swojej rozmowy z I.iii na len lemat, bo mówienie o tym byłoby wprowadzaniem aspekt ó w n i e m a j ą c y e h n i c w s p ó l - n e g o z m o i n 1 1 c z u c i e m d o H a r i e g o. Ale myśląc o moim uczuciu i patrząc w lustro, kiedy kładłam się spać, zadałam sobie pytanie: „No, tylko czy on mnie kocha? Czym ja jestem? Pospolite toporne dziewczuszyko o białej skórze.” Mama słusznie mi zarzucała niezdarność. tatuś i Dawid odnosili się do mnie dobrotnie, jak zawsze odnoszą się ojciec i brat, kiedy dziewczyna jest przyzwoita, ale poza tym niewiele ma walorów.

Przepraszam. Ciociu. Nie zabiegam o Twoją dobrotność. Stwierdzam tylko fakt i wyjaśniam, jakie straszne miałam wątpliwości. Nawet podejrzewałam, że może to, co ludzie mówią, jest prawdą: kolorowy, który chodzi z białą, czyni to w jakimś specjalnym celu.

.124

Kiedy poznałam Hariego, wydał mi się okropnie „zjezony”. Czuł się nieswojo. Miał przyjść ze swoją ciotką Salini, ale przyszedł sam. Później ciocia Lili powiedziała, że jej to nie dziwi, bo pani Salini należy prawdopodobnie do tych żenująco nieśmiały kobiet indyjskich, które albo nigdzie nie bywają, albo warzą nastrój wszędzie, gdzie bywają. Co Lili wtedy mówiła o „panu Kumarze”. rzeczywiście zapomniałam. To było któregoś dnia w marcu, kiedy zdecydowała się wydać popołudniowe przyjęcie. Przy sporządzaniu listy gości powiedziała:

— I zaprosimy młodego pana Kumara, żeby zobaczyć, jak on wygląda.

— Jakiego pana Kumara? — zapytałam.

— Och — odpowiedziała — nie pamiętasz? To ten miody człowiek, o którym miałam porozmawiać z sędzią Menenem, bo aresztowano go przez pomyłkę. —

I po chwili dodała: — Tylko, na miłość boską, nie rozmawiaj z nim na ten temat.

Znasz mnie. Ciociu. Jakoś zawsze mam skłonność do wypowiadania się bez ogródek. Dawniej byłam o wiele gorsza, bo strasznie nieśmiała, wciąż myślałam o mojej niezdamości i wydawało mi się, że jedyny sposób, żeby nie wyglądać na ciurnię, to zagadywać ludzi, mówić wszystko, co tylko mi przyjdzie do głowy, a to najczęściej okazywało się galą.

Lili zaprosiła mnóstwo osób, ale większości ich nie pamiętam. Była doktor Anna Klaus, wiem, bo właśnie wtedy ją poznałam, chociaż już widywałam ją przedtem, jak rozmawiała z doktorem Mayhewem. Kiedy przyjechała do szpitala ogólnego w Majapurze na jakąś konsultację. I była siostra przełożona. I był Wassi (advokat, pan Srinivasan. znajomy Lili, który znał też ciotkę Hariego i jego „wujka”). Miał być również naczelny redaktor Hariego z „Mayapore Gazette”, pan Lakszmina-rajan, ale się nie pokazał, bo pewnie usłyszał, że Hari jest zaproszony, i uznał, że nie wypada, żeby on i ktoś z młodszych pracowników redakcji byli razem na tym przyjęciu! Przynajmniej tak powiedział mi później Hari. Wiem, że państwo Wbite zajrzeli na pół godziny, i przyszło leż kilku nauczycieli z gimnazjum i z technikum.

Hari zjawił się późno. Nie miał ochoty przyjść, ale uznał, że powinien. Wstydił się swojego ubrania. Nie znał nikogo z nas oprócz pana Sfiniwasana, który go nie lubił i którego on nie lubił. Ale twierdząc, że nie znał nikogo, nie miał racji. Znał sporo ludzi, bo musiał ich znać jako reporter „Mayapore Gazette”. Kiedy witał się z ciotką Lili, wyrwało mu się niepotrzebnie, że już ją zna. bo na wystawie kwiatów, gdzie dostała drugą nagrodę za swoje róże. miał z nią krótki wywiad. Stałam przy niej i słyszałam, jak o tym mówił. Powiedział to lak. jak gdyby ona powinna pamiętać, że kiedyś z nim rozmawiała. Ciocka Lili udawała, że pamięta, ale widziałam, że nie znosi, kiedy się ją zmusza do udawania, i jeśli to robi. to tylko ze względu na niego — by nie było mu przykro, że go sobie przypomina. On też ją przejrzał i natychmiast, jak ja to określałam. „zjeżył się”.

Oczywiście i tu popełniłam galę. Mówi! po angielsku jak Anglik. Więc palnęłam:

- Gdzie się pan nauczył angielskiego tak dobrze? Spojrzał na mnie i odpowiedział:
- W Anglii.

Więc oczywiście brnęłam w popłochu dalej. Wyraziłam zdumienie i zainlere-

.125

sowanie. wychodziłam z siebie, żeby okazać życzliwość, ale mogłam tylko sprawić wrażenie wścibskiej. Potem Lili mnie zabrała i wciągnęła w rozmowę z innymi gośćmi, a kiedy znów go zobaczyłam, stał sam na skraju gromadki nauczycieli. Podeszłam do niego i powiedziałam:

— Pozwoli pan, że pokażę mu ogród.

Ściemniało się już i przecież byliśmy nie gdzie indziej, tylko w ogrodzie, więc powiedziałam to straszliwie głupio. Ale właśnie dopiero wtedy zobaczyłam, jaki on jest przystojny. I wysoki. Od tyłu Hindusów, z którymi rozmawiałam, byłam wyższa o pół głowy i to potęgowało we mnie histerię na przyjęciach, gdzie i bez tego czułam się niezdarna i okropnie skrępowana.

Ale Hari pozwolił, żebym pokazała mu ogród. Dlatego pamiętam, że tamtego dnia rano naraziłam się Bhallu, podeptałam klomb, żeby dostać się do aksamitek. Pokazałam ten klomb Hariemu. Zapytałam, czy miał ładny ogród, kiedy mieszkał w Anglii. Odpowiedział, że chyba tak, chociaż nigdy na swój ogród nie zwracał szczególnej uwagi. Wtedy zapytałam:

— Pan jednak tęskni do tego wszystkiego, prawda?

— Już nie — odpowiedział natychmiast.

Potem jakoś się odsunął i powiedział, że czas na niego. Więc wróciliśmy do gości, którzy już się rozchodzili. Pożegnał się z Lili, podziękował jej dosyć szorstko i uklonił mi się odchodząc. Pamiętam, że później, kiedy odszedł i kilka osób zostało na kolacji — sami Hindusi — nagle olśniło mnie, że pomimo koloru skóry on wcale nie jest Hindusem w takim sensie, jak ja to rozumiałam.

Po odejściu wszystkich gości jeszcze napiłyśmy się z Lili do poduszki. Lili zapytała:

— No, czego zdołałaś się dopatrzeć w młodym panu Coomerze’

— Myślę — odpowiedziałam — że to strasznie smutny człowiek

Odpowiedziałam od razu, a przecież wydawało mi się, że do tej chwili wcale o nim nie myślałam. Lili powiedziała tylko:

— Wypijmy do dna i pędźmy do łóżek.

Cieszę się, że zapisuje to wszystko, bo nawet gdybyś Ty, Ciociu, nigdy nie miała tego przeczytać, to mi pomaga lepiej wszystko zrozumieć. Chyba czuję do Lili żal o jej niechęć do Hariego. Nie, muszę być uczciwa, nie „chyba”, tylko na pewno. Wiem, że tak. I myślę, że to żal niesłuszny. Przeżywając na nowo moje pierwsze spotkanie z nim, wczuwam się w sytuację Uli, odpowiedzialnej za mnie wobec Ciebie, Ciociu. Ona widziała, jak odeszliśmy od gości, żeby przejść się po ogrodzie, i nie wytłumaczyła sobie tego mylnie. Zareagowała na ten cichy dzwonek ostrzegawczy, którego w swoim życiu nauczyła się nie lekceważyć. Pamiętając, jaka Lili jest cudowna, na pewno nie mam racji, kiedy myślę, że ona mogła rzeczywiście żywić niechęć do Hariego za krytyczne stanowisko, jakie zajął wobec niej w tym pierwszym nieistotnym momencie ich znajomości. I ostatecznie Lili też jest kobietą.

Przecież musiała jakoś odczuć obecność Hariego. Więc kiedy zobaczyła, że odchodzimy we dwoje (tylko na dziesięć minut), nie mogła nie zaniepokoić się o mnie, o to, że jego obecność może mnie poruszyć za bardzo.

Kiedyś myślałam, że Lili po pierwszej pełnej najlepszej intencji próbie przygarnięcia go do tak zwanego towarzystwa w Domu MacGregora najwyraźniej „odstawiła” go dlatego, że ją irytowała jego arogancja, czy w każdym razie dlatego, że znów zbudziło się w niej to kultuństwo, jakie ku naszemu zdumieniu przejawia czasami, kiedy ludzie nie nazbyt dokładnie przestrzegają uznanych przez nią osobiście form towarzyskich. Wiem, jak bardzo Lili starała się Hariemu pomóc, chociaż dla niej był kimś nieznanym, i wiedząc to myślę teraz, że zirytował ją tylko brak najmniejszego bodaj objawu wdzięczności. On nawet nie powiedział przy pożegnaniu — a powiedzieć by potrafił, bo nasz język i idiomy, i modulację miał niemal we krwi — „Dziękuję pani za przyjęcie i za w s z y s t k o.”

Może ta jawna beczelność sprawiła, że Lili zaczęła mieć do niego zastrzeżenia, ale nie wątpię, że gdybyśmy, Hari i ja, tylko z uśmiechem minęli się z daleka, pierwszą rzeczą, jaką by powiedziała po tym przyjęciu, byłoby coś w rodzaju: „Biedny pan Kumar. Trochę brak mu ogłady. Musimy się postarać, żeby schował kolce. Ostatecznie to nie jego wina, że się jeży.” Ale ona zrozumiała, że kolce Hariego to nic w porównaniu z ewentualnym niebezpieczeństwem, które może czyha na mnie, na niego, jeżeli len niezręczny, chociaż niewinny spacer po ogrodzie rozwinie się w zażyłość, którą ona, kobieta znająca życie, uważała za prawdopodobną.

Czy to teraz powróciły te moje sny? Pamiętasz, Ciociu? Kiedyś napisałam Ci o tych snach. O snach, które miałam po wyjeździe do Indii, a potem znowu, kiedy z Pindi przyjechałam do Majapuru. Śniły mi się twarze obcych ludzi. Majaki urojone, odtworzone nie wiadomo z czego, ale z przerażającą dokładnością, jak prawdziwe. Obce twarze, które musiały mi się śnić, bo na jawie czułam się otoczona obcymi.

Przez pierwsze dwa tygodnie w Majapurze, kiedy wszystko było dla mnie nowością i zaczynałam poznawać to nowe otoczenie, nie miałam takich snów. Ale jak napisałam w tamtym liście do Ciebie, potem nowość spowszedniała, wszystko budziło we mnie strach. Chciałam spakować walizki i wrócić do Pindi — rzecz ciekawa, bo przedtem w Pindi, kiedy ogarnęła mnie taka nostalgia, chciałam spakować walizki i wrócić do Anglii. I podobnie jak w Pindi Ty, Ciociu, chyba odgadywałaś, co ja przeżywam, Lili w Majapurze też chyba to odgadywała. He jednak z mojego niepokoju, który bardzo starałam się ukrywać. Lili przypisywała rozmyślaniom o panu Kumarze? Jak dalece naprawdę ten niepokój wypluwał z myśli o nim?

Właśnie w tym okresie zламalałam przysięgę, że moja noga nie postanie w klubie, skoro Lili nie może tam wejść ze mną. Moje koleżanki ze szpitala ogólnego w Majapurze wciąż mnie tam ciągnęły. A tak łatwo mi się z nimi rozmawiało. Oddychałam z ulgą, kiedy wychodziłam z Domu MacGregora, wsiadałam na rower i jecha-

327

łam do szpitala, gdzie nie musiałam uważać, co mówię i jak mówię, mogłam osunąć się w fotel, narzekać, że jest upał, wyrażać się po swojemu słowami, minami, gestem bez potrzeby kontroli, wiedząc, że na pewno dobrze mnie rozumieją. Cóż za luksus zachowywać się zupełnie naturalnie. Odwzajemniać się, jeżeli ktoś jest cięty albo wredny. Używać sobie w ciętości i wredności, dawać ujście nastrojom.

Tak więc zaczęłam bywać z paroma z nich w klubie. Zwykle przyjeżdżali po nie młodzi oficerowie z koszar około pół do szóstej. Nie łączyły ich żadne poważne uczucia. Po prostu chłopcy i dziewczęta zbierali się razem w czasie wolnym od zajęć służbowych i może gdzieś spali ze sobą, jeżeli się dało. Jeździliśmy do klubu tongami albo ciężarówkami wojskowymi, wtedy gdy ci chłopcy mogli „skom-binować transport”, jak to określali. W klubie spotykaliśmy się wszyscy w cocktail-barze albo w palarni, albo na tarasie. Albo w pokoju gier, gdzie był patefon i mnóstwo starych płyt z muzyką do tańca — Victor SyWester, Henry Hall — i trochę nowych: Dinah Shore. Vera Lynn i zespół „Inkspots”. Przeważnie wymykałam się o pół do siódmej i wracałam tongą do domu. Czułam się okropnie winna z powodu bywania w klubie, bo powiedziałam Lili, że noga moja tam nie postanie. Lili zawsze mówiła:

— Nie bądź niemądra, oczywiście, że powinnaś tam bywać.

Przyznalam się natychmiast, ledwie wróciłam z klubu za pierwszym razem, chociaż w drodze powrotnej wymyślałam różne przyczyny, dla których wracam później. Ale odkąd się przyznałam, następne wypadki stały się o wiele prostsze. Czułam się coraz mniej winna i w klubie było mi coraz bardziej swojsko. Kilka razy zostałam na kolacji, tylko dzwoniłam do cioci Lili w ostatnim momencie.

A potem, pewnego dnia, jeden z tych chłopców, trochę wstawiony, uparł się, żeby pójść ze mną do telefonu, i przy telefonie powiedział:

- Ona nie jest twoją ciotką, prawda?
- Nie — odpowiedziałam. — A bo co?
- No, nie wyglądasz tak, jakbyś miała w sobie domieszkę smoły. Założyłem się o to.

Wtedy takie różne drobiazgi nagle ułożyły mi się w obraz — och, nie tyle to, co mówili ci chłopcy, dziewczęta, ile to, co mówiły, a raczej czego n i e mówiły miejscowe panie. Te ich miny, kiedy na pytanie, gdzie mieszkam, odpowiadałam: „W Domu MacGregora.” I te podchwytliwe pytania niektórych cywilów o Ciebie, Ciociu, i o Stryja Henry'ego, zadawane jak gdyby (teraz zdaję sobie sprawę) po to, by sprawdzić, czyja naprawdę jestem bratanicą dawnego gubernatora, a nie jakimś bękartem z rodziny Lili.

Ale jeszcze coś, Ciociu — myślę, że takie rzeczy sływałyby po mnie jak woda, gdyby przez cały czas pod spokojną przyjemnością przebywania z tymi chłopcami i dziewczętami nie czaiła się mrowiąca, niemal paraliżująca nuda. W gruncie rzeczy nie znośiłam tego, że po kilku głębszych wszystko, co tam mówili, było

naładowane jakimiś sztubacko, pensjonarsko sprośnymi insynuacjami.

Po pewnym czasie rozumiałam, że ta koleżeńska swoboda wcale nie jest swobodą, bo z chwilą kiedy poznaliśmy się lepiej i musieliśmy w duchu przyznać, że

328

właściwie nic nie mamy ze sobą wspólnego poza tym, co narzuciły okoliczności, samo to koleżeństwo zaczęło się wydawać narzucone. Byliśmy wszyscy w nim uwięzieni i prawdopodobnie wszyscy go nienawidziliśmy, ale nie odważaliśmy się z tego więzienia wyrwać. Doszło do tego, że tylko siedziałam tam, przysłuchiwałam się rozmowie i myślałam: „Nie, nie jest tak, jak trzeba. A ja nie mogę tego czasu tracić. Nie mogę tego czasu marnować.”

Po raz pierwszy przyznałam to sama przed sobą w sobotę, wtedy gdy poszliśmy do klubu wieczorem prosto z zakończenia Tygodnia Wojny na placu ćwiczeń. Czy to był przypadek, że w tamto popołudnie zobaczyłam znów Harięgo, po raz pierwszy odkąd poznałam go na przyjęciu u Lili? Chyba nie. Te dwie sprawy się łączyły: drugie spotkanie z Harim i rozglądanie się po klubie; przysłuchiwanie się rozmowie, myśl: „Nie mogę tego czasu marnować.” I oczywiście wtedy był też w klubie ten „drugi”, czyli Ronald Merrick. Może i to nie było zbiegiem okoliczności.

Wybrałam się na zakończenie Tygodnia Wojny w sobotę po południu koło godziny czwartej, jak zwykle z tymi dziewczętami ze szpitala i paroma podporucznikami z Pułku Berkshire. Poszliśmy zobaczyć defiladę i orkiestrę wojskową. Odbływały się tam finałowe mecze bokserskie i walki zapaśnicze. W meczach bokserskich występowali prawie sami Anglicy, ale do walk zapaśniczych stawali sami Hindusi z jednego z pułków indyjskich. Któraś z dziewcząt powiedziała:

— Och, nie, ja bym za nic nie mogła patrzeć na to.

Oglądaliśmy więc tylko bokserów, patrzyliśmy, jak ci młodzi żołnierze najpierw się poszturchują, a potem grzmocą, aż krew im leci z nosów. Później weszliśmy do herbaciarni w namiocie. Defilada miała się zacząć o pół do szóstej. Nigdy nie widziałam czegoś takiego jak ta herbaciarnia. Wszędzie kwiaty. Długie stoły na kozłach nakryte olśniewająco białymi obrusami. Posrebrzane czajniki. Torty mrożone, torty z kremem, galaretki, biszkopty w winie i z kremem. Jeden z naszych chłopców zagwizdał i powiedział:

— Jakiś hinduski kupczyk się wysadził i zbija na tym forszę.

I oczywiście tak pewnie było, i natychmiast to przekreśliło myśl, że tylko Anglicy mają używanie, chociaż nie usunęło obrazu, jaki stanął mi przed oczami — obrazu ludzi w kraju biegnących do sklepów po swoje żalosne małe racje żywnościowe na kartki. I nie odpędziło myśli o tych wszystkich tutaj, którzy do tego namiotu nie mają wstępu, nie dlatego, że ich nie stać na wykupienie kart konsumpcyjnych, ale dlatego, że to jest namiot „tylko dla oficerów i ich gości”. Wypatrzyłam kilka Hindusek, żon oficerów indyjskich, cała jednak masa twarzy była biała — z wyjątkiem tych za stołami, gdzie służba biegła tam i z powrotem, usiłując podawać wszystkim jednocześnie. „Dla oficerów” było oczywiście grzecznym sformułowaniem „dla Europejczyków”, bo do tego namiotu wchodziło mnóstwo cywilów i ich żon — wyłącznie jednak białych cywilów, takich jak komisarz okrę-

329

gowy i ci, których poznałam na przyjęciach u Lili, dyrektorzy z British-Indian Electrical, nauczyciele.

Komisarz stał i rozmawiał z dowódcą brygady. Kiedy ich mijaliśmy, zatrzymał mnie.

— Dzień dobry, panno Manners — powiedział. — Zna pani chyba pana generała Reida.

Dlaczego byłam taka zadowolona? Dlatego, że chłopcy z naszej paczki prawie stanęli na baczność, a dziewczęta zaniemówiły z wrażeń. Okazało się, że ten generał stacjonował przedtem w Pindi i miał przyjemność poznać w tamtejszym towarzystwie Ciebie, Ciociu, i mnie, ale oboje przypominaliśmy to sobie mgliście. Zapytał o Twoje zdrowie, a potem komisarz okręgowy zapytał:

- Co słychać u Lili?
- Wszystko świetnie — odpowiedziałam.

I poczułam, że jakoś zostałam oczyszczona i że już nie jestem w naszej małej paczce „przyplątana” dziewczyną, która mieszka „u tej Hinduski”. Okazało się, że „ta Hinduska” to nie byle kto i sam komisarz jest z nią po imieniu. Potem jednak diabli mnie brali, że komisarz nie zapytał: „A gdzie Uli?” Z całą pewnością wiedział, że w tym namiocie jej nie ma, a więc chyba nie ma jej też na placu ćwiczeń, bo ona by nie poszła na herbatę do „tamtego” namiotu.

W każdym razie przedstawiłam tym panom moją paczkę, co sprawiło, że dzień jej się raczej udał, a i mnie pomogło, kiedy później w drodze przez plac ćwiczeń na defiladę zobaczyłam Harięgo. Podeszłam do niego i rozmawiałam z nim może pięć minut, a oni czekali tam, gdzie ich zostawiłam, i byli gotowi czekać, bo teraz nie wiedzieli, czy Hari nie jest jakąś figurą, skoro już gawędziłam z komisarzem i z generałem. Kiedy wróciłam, jeden z tych podporuczników zapytał:

- Kto to jest?
- Och — powiedziałam tylko — chłopiec z Chillingborough.

Mogło się wydawać, że znam go od czasów szkolnych, że jest kolegą mojego brata czy kuzyna. To im

zamknęło usta, bo nikt z nich nawet się nie otarł o kogoś z tak eleganckiej szkoły. Zachowałam się wprost bezwstydnie. To znaczy, jak snobka. Ale walczyłam ich bronią, a nie swoją. To znaczy bronią, której oni używali w Majapurze, chociaż na pewno nie w kraju. Cieszyło mnie przelotne uczucie, że chwilowo przewróciłam ich świeatek do góry nogami.

Hari był na zakończeniu Tygodnia Wojny jako reporter „Mayapore Gazette”. Nie od razu go poznałam — po części dlatego, że bez okularów nie widzę ludzi wyraźnie, ale przede wszystkim dlatego, że wyglądał inaczej niż wtedy u Lili. Musiałam spotkać się z nim kilkakrotnie, żeby pojąć, że po tamtym przyjęciu wydał pieniądze na nowe ubranie — węższe, bardziej dopasowane spodnie, już nie luźne białe pantalone, jakie noszą „babu”. Chociaż był na tamtym przyjęciu taki nieporadny, myślę, że spodziewał się następnych zaproszeń, więc żeby czuć się lepiej.

330

zdobył się na ten wydatek. Kiedy spotkałam się z nim już po raz któryś, **powifhi** działał:

— Przecież pan palił. Widziałam pana z papierosem wtedy u nas.

Przyznał, że palił, ale rzucił palenie. A ja pomimo to nie skojarzyłam sobie tego nowego ubrania z oszczędzaniem na papierosach ani nie rozumiałam, co takie ubranie znaczy dla niego, jaką nadzieję obudziło w nim zaproszenie otrzymane od Lili.

Mieszkał w Anglii prawie od urodzenia, ściśle mówiąc, odkąd jego ojciec sprzedał swoją ziemię w Zjednoczonych Prowincjach i wyjechał z nim, dwuletnim dzieckiem, do Anglii na stałe. Matka umarła wydając go na świat, a ojciec po przyjeździe do Anglii odciął się od całej rodziny z wyjątkiem najmłodszej siostry — tej właśnie ciotki Salini — którą, kiedy miała lat szesnaście, wydano za męża za jednego z Gupta Senów, brata bogatego baniji w Majapurze. Ojciec Hariego zbił w Anglii wielki majątek, ale potem stracił wszystko i umarł, zostawił syna bez domu i bez grosza. Tak więc Hari przed samym ukończeniem szkoły w Chillingborough został zupełnie sam. Ciotka Salini pożyczyła pieniądze od swojego bogatego szwagra, żeby opłacić przejazd Hariego do Indii. Przez jakiś czas Hari pracował w kantorze „wuj” na bazarze, ale ostatecznie dzięki doskonałej znajomości angielskiego dostał posadę w „Mayapore Gazette”. Ciotka Lili coś niecoś mi o tym opowiadała (jej powiadział Wassi) i przez wieki całe myślałam, że skoro ten „wuj” jest taki bogaty, pieniądze nie są dla Hariego żadnym problemem, więc jeśli on pracuje w redakcji, to dlatego, że lubi tę pracę, a nie z konieczności. Minęło też trochę czasu, zanim zrozumiałam, że wszystkie jego plany i plany jego ojca w stosunku do niego runęły, bo „wuj” Romeś nie chce wydać ani grosza na jego studia, tylko zapędził go do pracy, a ciotka Salini rzeczywiście nie ma własnych pieniędzy. A potem naturalnie też trzeba było czasu, żeby dzwonek mi brzęknął, czyli żebym pojęła, że angielskie wychowanie Hariego nic w Indiach nie znaczy, bo on mieszka u ciotki na Cilijanwala Bagh — po niewłaściwej stronie rzeki.

Tamtego dnia, kiedy podeszłam do niego na placu ćwiczeń, powiedziałam:

— Pan Kumar, prawda?

Biali w pobliżu wyraźnie zwrócili na nas uwagę. On milczał, poda! mi rękę dosyć niechętnie. Mylnie to sobie wytłumaczyłam.

— Jestem Daphne Manners — powiedziałam. — Poznaliśmy się u Lili Chatterjee.

Powiedział, że owszem, pamięta, i zapytał, jak Lili i ja się miewamy.

Gawędziliśmy tak przez chwilę, a raczej gawędziłam głównie ja, przy czym czułam się coraz bardziej i bardziej jak córka dziedzica, łaskawa dla syna dzierżawcy we włościach jej ojca, bo wydawało mi się, że on chce, żebym tak się czuła. Nie wiedziałam dlaczego. Na koniec powiedziałam:

— Niech pan przyjdzie kiedyś wieczorem. To dom otwarty.

Podziękował mi z wyrazem twarzy mówiącym, że na pewno nie przyjdzie, dopóki nie zostanie specjalnie zaproszony, a i wtedy chyba nie, bo uważa to zaproszenie za zdawkową formułkę grzecznościową.

Tak więc wróciłam do mojej paczki i przez godzinę siedziałam z nimi, patrzy-

331

łam na defiladę, słuchałam orkiestry. Wieczorem w klubie zostałam na kolacji i rozmawialiśmy o tym maszerowaniu i mustrze. Wszyscy oficerowie byli szalenie z siebie dumni z powodu meczów bokserskich i idealnego wykształcenia Pułku Berkshire. Niemal się czuło, że wszędzie powiewają Hagi. Potem zjawił się Ronald Mer-rick i od razu podszedł do mnie, co wcale nic było rzeczą zwykłą. Od czasu kolacji, na której był u ciotki Lili, kiedy to nie przypadliśmy sobie szczególnie do gustu, raz czy dwa razy zamieniliśmy w sumie parę słów przy cocktailu, tylko żeby formom stało się zadość. W klubie zawsze był czymś zajęty, sztywny, najbardziej *lubit siedzieć w palarni z męszysznami, wdawać się tam w dyskusje. Miał* opinię raczej kłótliwego i poza tym, że kilka panien polowało na niego w celu matrymonialnym, nie cieszył się zbytnią sympatią. Ale w tamten wieczór podszedł prosto do mnie.

— Podobala się pani defilada? — zapytał. — Widziałem panią na placu ćwiczeń.

Usiadł i pił z nami. i ni stąd, ni zowąd wystąpi! z tym prawie zaproszeniem, żebym kiedyś wieczorem posłuchała u niego płyt z marszami Sousy. Po jego odejściu dziewczęta zaczęły mi dokuczać, opowiadać stary kawał o policjancie, któremu lepiej nie ufać. Jedna z nich powiedziała:

— Najwyraźniej Daphne ma to, na co pan Mertick bierze. Ja próbuję złowić tę rybę już od wieków.

Jeden z chłopców podchwycił słowo „bierze” i posypały się zarty, już nie na mój temat. Jak w każdą sobotę były tańce i zwykłe wygłupy w basenie pływackim. Na tarasie nie tylko czuło się te powiewające flagi, ale widziało się je wszędzie. Dziesiątki małych flag wisały na sznurach pomiędzy kolorowymi żaróweczkami. Panował nastrój: „my im pokazemy”. Chłopiec, z którym tańczyłam, powiedział, że Tygodniem Wojny daliśmy wiele do myślenia tym cholernym Hindusom. Potem zaczął się zalecać, aż musiałam go usadzić. Odeszłam od niego do damskiej toalety, usiadłam tam i podsłuchiłam pieprzną rozmowę za drzwiami. Nie — myślałam — nie jest tak, jak trzeba, nie jest. Później w coctail-barze, przy ogłuszającym dudnieniu muzyki, myślałam: Nie mogę tego czasu marnować. Nie mogę tego czasu marnować.

Czułam się rak, jak gdyby cefuo był statkiem transoceanicznym, jakimś „Tita-nikiem”, który w blasku wszystkich swoich świateł, przy dźwiękach wszystkich swoich orkiestr płynie w ciemność, a na mostku kapitańskim nie ma nikogo.

Ciociu, przyrzeknij mi. Jeżeli to dziecko będzie żyło, a Ty nie będziesz mogła znieść go przy sobie, postarasz się dopilnować, żeby pieniądze, które zostawię, poszły na zapewnienie mu przyzwoitego startu w życiu. Rozglądam się i głowie, gdzie można by znaleźć miejsce dla niego, jeżeli ono będzie żyło, a ja nie. Nie ośmielam się mieć nadziei, że Twoje, Ciociu, przywiązanie do mnie obejmie to, co będzie tylko w połowie z mojego ciała i krwi, a w połowie z ciała i krwi kogoś nie znanego Tobie — może kogoś nie znanego i mnie, kogoś podłego. W istocie przywykłam do myśli, że nie zechcesz wziąć tego dziecka pod swój dach. Proszę Cię,

332

Ciociu, nie martw się tym. To nieuniknione, że dziecko tak bardzo źle poczęte powinno trochę cierpieć za m oje błędy. W każdym razie bądźmy szczerze — Ty, Ciociu, prawdopodobnie nie będziesz żyć tak długo, jak długo ono by Ciebie potrzebowało, gdyby dane mu było właśnie pod Twoim dachem podrosnąć na tyle, by sobie w pełni uświadomić swoje istnienie. Myślę o Lili. Ale też, nie wiem. Może kiedy ono dorośnie, będzie jakoś w sposób widoczny podobne do Hariego. Mam taką wielką nadzieję. Bo to będzie moje oczyszczenie. Śnią mi się koszmary o tym, jak dziecko rośnie, niepodobne do nikogo, czarne, niegodne odkupienia stworzenie zesłanym przez Boga, jeżeli jest jakiś Bóg, a nawet jeżeli nie ma, ono musi zasługiwać na taką porcję naszego błogosławieństwa, jakiej możemy udzielić.

Przypuszczam, że to biedactwo, jeżeli mnie tu nie będzie, żebym mogła je wychować, znajdzie się z konieczności w jakimś sierocińcu. Czy nie mógłby to być poniekąd mój sierociniec? Jest pewna kobieta, zwana siostrą Ludmiłą. Pytałam ją kiedyś, czy potrzebuje pieniędzy. Odpowiedziała, że nie, ale przyrzekła, że mnie zawiadomi, jeżeli kiedykolwiek będzie ich potrzebowała. Może kiedy się zestarzeje (nie wiem, ile ma lat), zaczniesz się o tych, którzy się rodzą, tak jak teraz troszczy się o tych, którzy umierają. To logiczne.

Przez „przyzwoity start w życiu” rozumiem nie tyle świetne wychowanie czy wykształcenie, ile coś znacznie prostszego: ciepło, wygodę, dostatek, życzliwość i uczucie. Och, to wszystko, czym ja zostałam obdarowana tak rozrzutnie.

Jeżeli to będzie chłopiec, proszę. Ciociu, daj mu na imię Harry albo Hłari, jeżeli skórę będzie miał dość ciemną, by szanować laką pisownię. Jeżeli dziewczynka — nie wiem. Nie zdecydowałam się jeszcze. Nie myślę o tym dziecku: ona. Ale jeśli to będzie dziewczynka, nic dawaj jej. Ciociu, na imię Daphne. Dafne uciekając przed Apollinem została zamieniona w krzak wawrzynu! Ze mną jest na odwrót, prawda? Wrosłam niezdarne korzeniami w ziemię, a wydawało mi się, że biegam wolna, gonię boga słońca. Kiedy miałam kilkanaście lat, mama raz powiedziała:

— Och, na litość boską, przestań podrygiwać!

To mnie zdumiało, a potem zabolalo, bo z racji mojego wysokiego wzrostu wyobrażałam sobie, że jestem pełnym wdzięku stworzeniem typu Diany długonogiej, smukłej, strzelistej, mknącej poprzez knieje! Biedna mama! Miała straszny talent do oblewania ludzi zimną wodą. To Dawid mi wyjaśnił, dlaczego mama tak postępuje. Po prostu nigdy nie wiedziała, czego właściwie chce, więc uważała, że wokół niej zawsze wszystko idzie na opak, i musiała mieć o to pretensję do każdego, ktokolwiek był pod ręką, najczęściej do tatusia, ale często też i do mnie. Dawida uwielbiała i pewnie dzięki temu przejrzał ją lepiej niż tatuś i potrafił mi wyjaśnić, jak to z nią jest. Do niego nigdy nie miała pretensji.

Może właśnie dlatego, że po latach wygodnego życia w Anglii wciąż, jeszcze mówiła o Indiach, jakby dopiero co z nich uciekła, zaczęło mi być Indii żal, a potem pokochałam je, stały mi się potrzebne do szczęścia jako takie, ale też i ze względu

333

na tatusia. Kiedy już byłam dosyć duża, żeby zrozumieć, tatuś pokazywał mi mapy i fotografie i opowiadał o tej ziemi, na której się urodziłam, rzeczy w moim przekonaniu cudowne, tak że po przyjeździe tu wciąż szukałam moich Indii, jak mi się wydawało, dobrze znanych, bo przez tyle lat wyobrażałam je sobie — jakiś miraż rozdygotany na horyzoncie, w powiewach wonnego, gorącego wiatru z da

lekich wzgórz...

To dziwne, że przed przyjazdem do Indii, chociaż wie się o tych deszczach, myśli się, że Indie to jedna ogromna, nieskończenie sucha, wyprazona mogolska pustynia, a na niej gdzieniegdzie rozsiane, otoczone murem miasteczka, w których wszystkie domy są z kamiennymi łukami zdobnymi w wypukłe desenie z prostokątów i wyglądają jak meczety. Przez okno pociągu — tego pociągu na przykład, którym po przyjeździe z Anglii jechałam pierwszy raz do Pindi — widzi się od czasu do czasu skrawki takich Indii, jakie widziało się przedtem w wyobraźni. Cieszę się, że przyjechałam przed deszczami, a nie w połowie pory deszczowej. Lepiej jest najpierw poznać wyczerpanie wskutek upałów, upałów kwietnia i maja, kiedy kwitną szkarłatne kwiaty gul mohar, „płomienie puszczy” (to drzewo wydaje się uschnięte, martwe, bezduszne, zanim tak cudownie zakwita), a potem dopiero poczuć radość pierwszych szalonych burz i smagającej ulewy, i raptownej eksplozji zieleni. To są moje Indie. Indie w deszczu.

Oprócz imienia Hari jest nazwa, której też nigdy nie wypowiadam: Bibighar. Więc chociaż znasz. Ciociu, Majapur i kiedyś może byłaś w tym ogrodzie, nie wiem, czy go pamiętasz. To jest sama zieleni. Nawet w najupalniejszych miesiącach przed okresem deszczów ma się tam wrażenie wszechobecnej zieleni, tylko trochę spło-wiałej i przywędłej. Wciąż zielone są te dzikie gąszczy i bujnie rozrośnięte drzewa, i zarośla z drózkami, z niespodziewanymi polankami, tam gdzie sto lat temu prawdopodobnie były paradne klomby i fontanny. Jeszcze widać resztki starego domu, właśnie Bibighar. Część fundamentów pokrywa mozaikowa podłoga, na którą wchodzi się po schodkach; pewnie były tam drzwi frontowe. Wokoło tej mozaiki postawiono filary i położono na nich dach, tworząc coś w rodzaju altany czy pawilonu. Robotnicy z zarządu miejskiego co kilka miesięcy przycinają krzewy i pnącza. Mur na tyłach skruszał i wali się tak, że ogród właściwie łączy się z nieużytkami. W wysokim murze od frontu jest łukowate wejście, ale już bez bramy. Więc ogród zawsze stoi otworem. Mało kto jednak wchodzi. Dzieci wierzą, że w Ogrodzie Bibighar straszy. Tylko odważniejsze bawią się tam ran i kiedy jest ładna pogoda, zamożni Hindusi czasem urządzają sobie pikniki. Ale na ogół nie ma nikogo. Pałacik Bibighar wybudował jakiś radża — tak mi powiedziała Lili — a zburzył go ten sam MacGregor, który dawniej był właścicielem Domu MacGregora (stąd ta

334

nazwa) i którego żona Janet, a raczej jej duch, podobno zjawia się ze swym martwym niemowlęciem na werandzie. To Lili pierwsza pokazała mi Bibighar. Hari słyszał, że jest taki ogród, ale nawet nie wiedział gdzie i nie kojarzył go sobie z tym długim murem na ulicy przy Moście Bibighar, dopóki ja któregoś dnia go tam nie zaprowadziłam. Za pierwszym razem, kiedy byłam w Ogrodzie Bibighar z Uli, bawiły się tam jakieś dzieci, ale uciekły na nasz widok. Pewnie myślały, że jesteśmy dzienna zmianą duchów. Później już nigdy nie widziałam tam nikogo.

Często bywaliśmy, Hari i ja, w Bibighar i przesiadywaliśmy w pawilonie, bo to było w Majapurze jedyne miejsce, gdzie mogliśmy będąc razem zachowywać się zupełnie naturalnie. Ale i tak mieliśmy uczucie, że musimy ukrywać się przed wścibstwem, rozbawieniem, dezaprobatą ludzi. Kiedyśmy tam wchodzili pod łukiem bramy, ogarniało nas uczucie, że zaraz się ukryjemy, a potem, kiedy wstawaliśmy, żeby wrócić do dzielnicy garnizonowej, czuliśmy się tak, jakbyśmy mieli wyjść z kryjówki, by stawić czoło wszystkiemu. Nawet wtedy, gdy siedzieliśmy tam, nieraz stawaliśmy się czujni, bo co by to było, gdyby ktoś przyszedł, zobaczył nas razem, chociaż nie robimy nic, tylko siedzimy ze zwieszonymi nogami na krawędzi tego mozaikowego podium, jak dzieci na murku. Ale przynajmniej mieliśmy pewność, że nie przyjdzie tam nikt biały. Bo biali nigdy nie wchodzili do Ogródu Bibighar. Zawsze się wydawało, że ten ogród to teren wyłącznie indyjski, tak jak plac ćwiczeń rzeczywiście jest terenem wyłącznie angielskim.

Może, Ciociu, myślisz, że jeśli chciałam się spotykać z Ilarim i on chciał się spotykać ze mną, to przecież nie była żadna zbrodnia i mogliśmy w innych miejscach spokojnie spędzać czas we dwoje. Tak. Ciociu, ale gdzie? W Domu MacGre-gora? Owszem. U niego w domu, na Cilijanwala Bagh? Owszem. A gdzie poza tym? Ciociu, gdzie poza tym? Wszędzie ludzie by się na nas gapili, onieśmielali nas, wszędzie musieliśmy być przygotowani na obelżywe uwagi czy ordynarne awantury. Klub odpadał. Jest w Majapurze jeszcze jeden klub, tak zwany Klub Maja-purski, ale Hari nie zabrałby mnie tam, bo wtedy n a m nie by się gapili banijowie z nogami podciągniętymi na fotele, jak powiedział. Kawiarnia Angielska odpadała, chińska restauracja odpadała — raz lam weszliśmy i Ilariego zatrzymano, nie pozwolono mu wejść ze mną na piętro. Byłam tam przedtem z pewnym angielskim oficerem, więc automatycznie, bez namysłu ruszyłam po schodach na górę. Musieliśmy siedzieć na dole i widziałam, jak szepczą o mnie ludzie idący do sali na górze i jak patrzą na mnie ciekawie, niespokojnie żołnierze brytyjscy, którzy lak jak Hindusi mieli prawo wstępu tylko do tej dolnej sali. Nawet biedne zapchłone kino w

dzielnicy garnizonowej odpadało, bo nie odważyłabym się wprowadzić Hariego na szacowny mały „balkon”, a on by nie chciał, żebym siedziała na drewnianej ławce na parterze. Nie zabrałby mnie też, do hinduskiego kina naprzeciwko świątyni Tirupatiego, chociaż go o to prosiłam. Powiedział:

335

— Co, mamy siedzieć przez cztery godziny *Ramajany*, zatykając sobie nosy, polując na pchły i pocąc się niemilosiernie?

Ciociu, w Majapurze nie było takiego miejsca, gdzie moglibyśmy pokazać się we dwoje bez uprzednich specjalnych zabiegów i przygotowań. Spędziliśmy kilka wieczorów w Domu MacGregora, kiedy ciocia Lili wychodziła na brydża, i dwa wieczory u jego miłej ciotki Salini, ale przyjaźni pomiędzy dwojgiem ludzi nie można rak ograniczać, prawda? Kiedy w dodatku my naszą przyjaźń musieliśmy mozolnie budować.

I oczywiście to była przyjaźń z mojej inicjatywy. Jak wiedziałam, Hari nigdy by tak po prostu „nie wpadł” i wizytą do domu otwartego. Powiedziałam Lili, że spotkałam go na placu ćwiczeń i że prosiłam go, by przyszedł, kiedy zechce. Teraz w retrospekcji wydaje mi się, że Lili zareagowała tak, jakby podświadomie była zadowolona, ale bała się następstw dla mnie, czy też jeśli się nie bała, to miała sporo zastrzeżeń. Opowiedziała mi o nim więcej. Może usiłowała mnie ostrzec, w rezultacie jednak dołała oliwy do ognia mojej reformatorskiej gorliwości. O tym, że Hari był w Chillingborough, powiedziała mi też Lili, jeszcze zanim spotkałam go na placu ćwiczeń. Sam na pewno mi o tym nawet nie napomknął na pierwszym przyjęciu. Ale poza tym szczegółem nie pamiętam dokładnie, kiedy i jak dowiedziałam się jego historii. Wiem tylko, że podchodząc do niego na placu ćwiczeń uważałam, że spełniam dobry uczynek. Teraz mnie to oburza. Wolałabym zapomnieć, że kiedykolwiek zrobiłam choćby mimo woli łaskę mężczyźnie, w którym się zakochałam.

Kiedy dwa tygodnie minęły, a Hari się nie pokazał, napisałam do niego kartkę. Ciocia Lili dała mi jego adres — miała zapisany w notesie. Jak wiesz, zawsze grałam w brydża beznadziejnie, a Lili właśnie wybierała się do White'ów jako czwarta do brydża z sędzią Menenem, którego żona była wtedy chora i leżała w klinice Greenlawns. Czyli miałam zostać sama w sobotni wieczór. Po tym powiewaniu flagami na zakończenie Tygodnia Wojny klub mnie nie pociągał. Nic wiedziałam, co chcę robić. Pomyślałam o Harim. W ogóle myślałam o nim często. Rano napisałam do niego kartkę i wysłałam służącego na Cilijanwala Bagh. Służący wrócił i powiedział, że Kumara sahiba nie było, ale że zostawił liścik. Więc nie wiedziałam, czy Hari przyjdzie wieczorem, czy nie przyjdzie, co sprawiało, że milcząca dezaprobata Lili była dla mnie jeszcze gorsza, a decyzja, żeby wszystko mieć przygotowane, jeszcze bardziej niezłomna. Kazałam kucharzowi zrobić kolację dla dwóch osób. Pilaw z kury ze stertą ryżu z szafranem i marynowaną cebulą, góry przepysznych gorących ćapati, mnóstwo mrożonego piwa, a na koniec melba z mango. Sprawdziłam, co jest w barku, posłałam chłopca do sklepu po jeszcze jedną butelkę dżinu Carew's. Potem sama poszłam do dzielnicy garnizonowej i w Ośrodku Sportowym kupiłam kilka świeżo sprowadzonych płyt i pudełeczko igieł gramofonowych, bo Lili nie bardzo umiała zmieniać igły, mieszała stare z nowymi i właściwie wciąż uży-

336

wała tych samych. Miałyśmy walizkowy patefon Decca, który kupiła, kiedy ostatnio była w Kalkucie. Potem doprowadziłam Bhallu do szału „podrygując” w ogrodzie, zrywając naręcza kwiatów! Byłam w siódmym niebie. Czułam się trochę jak Czo Czo San przed przybyciem Pinkerlonaf Lili wyruszyła do White'ów pół do siódmej, kiedy byłam jeszcze w kąpielni. Weszła do sypialni i zawołała:

- Daphne, już wychodzę, wrócę chyba koło północy. Baw się dobrze.
- Och! — wykrzyknęłam — będę bawić się dobrze. Pozdrów tam wszystkich ode mnie.
- Mam nadzieję — powiedziała Lili — że on jest na tyle dobrze wychowany, że przyjdzie.
- Oczywiście! — wrzasnęłam. — Przyjdzie! Już by przysłał kartkę, gdyby nie mógł przyjść.

Biedna Lili. Naprawdę myślała, że Hari nie przyjdzie. Ja też tak myślałam. Włożyłam tę piekielną stalowoniebieską sukienkę, która w świetle elektrycznym sprawia wrażenie brudnozielonej, ale właściwie było mi wszystko jedno, jak wyglądam. Wiedziałam, że w żadnym razie nie wydam się bodaj trochę inna, niż jestem. I rozpierała mnie radość, cieszyłam się, że raz wyjątkowo nie obchodzi mnie mój wygląd, chcę po prostu*być sobą.

I Hari się zjawił: punkt o pół do ósmej przyjechał tongą. Żeby dostać tongę, musiał dojść do dworca, bo po tamtej stronie rzeki są tylko riksze. Albo może przyjechał z bazaru w dzielnicy garnizonowej, prosto z zakładu krawieckiego Darwaza Canda, gdzie czekał, aż mu wykończą tę nową koszulę, w której pachniał świeżą, nie praną bawełną.

Pisząc ten liścik pozwoliłam sobie na małe szachrajstwo, bo nie napisałam wyraźnie, że będę sama. Zapraszałam przecież młodego Hindusa — może w rodzaju takich, którzy uważają, że nie wypada jeść kolacji sam na sam z kobietą, a choćby nawet on nie miał nic przeciwko temu, ciotka chyba by go nie puściła, gdyby wiedziała, że Lili nie będzie w domu.

Siedział jak na szpilkach czekając, kiedy pokaże się Lili. Byliśmy na werandzie, Radżu podał trunki. Z

pewnością to właśnie wtedy Hari podziękował za papierosa i powiedział, że rzucił palenie. Nie palił, więc tym bardziej siedział jak na szpilkach, a ja nagle zrozumiałam, jaką zastawiłam pułapkę na samą siebie. On prawdopodobnie pomyśli, że Lili wyszła, bo nie spodobał jej się pomysł zaproszenia go na kolację, albo, co równie niedobre, że zaprosiłam go potajemnie na wieczór, kiedy jej nie będzie, bo wiem, że jej by się to nie podobało. Żeby nie komplikować sytuacji, szybko powiedziałam mu prawdę: w sobotnie wieczory Lili zawsze gra w brydża, a ja brydża nie cierpię i chciałam spokojnie zjeść kolację z kimś, z kim mogę porozmawiać o Anglii, ale oszukałam go w moim liście, nie mając pewności, czy jemu i jego ciotce nie wyda się dziwne, że dziewczyna zaprasza chłopca na wieczór, kiedy będzie w domu sama.

337

W pierwszej chwili był wyraźnie zdumiony. Chyba już od czterech lat nikt z Anglików nie rozmawiał z nim w taki sposób, do jakiego on przywykł w Anglii i jaki uważał za zupełnie naturalny. Zrobiło mi się przykro, że o tym wiem, ale wiedziałam, po cóż więc miałabym udawać, że nie wiem?

Nawet w ten pierwszy wieczór musieliśmy się wysilać, żeby zwyczajnie po ludzku prowadzić rozmowę, chociaż był to prawdopodobnie jedyny wieczór, kiedy spotkaliśmy się nie czując bezpośrednich presji i dezaprobaty z zewnątrz. Widziałam, jak Hari w ciągu tych paru minut uświadamiania sobie, że Lili wyszła, zaczyna się odprężyć, zapominać o sobie, patrzeć na mnie, zwracać na mnie uwagę. Wypiliśmy po trzy dżiny z wodą sodową, a potem weszliśmy do domu i jedliśmy kolację, siedząc blisko siebie przy jednym końcu stołu. Po namyśle uznałam, że chociaż byłoby mi przyjemniej, gdybym po prostu kazała Radżu przynieść kolację i odejść, żebym ją mogła podawać sama, Hari lepiej będzie się czuł, jeżeli oboje będziemy uniżenie obsługiwani. Radżu oczywiście starał się Hariego zlekceważyć, zwracając się do niego w hindi, ale wkrótce zrezygnował, bo stwierdził, że Hari mówi w tym języku nie lepiej niż ja. Ucieszyłam się, że on również, z chwilą kiedy zażartowaliśmy z jego kulawego hindi, stał się swobodny i zaczął pałaszować. Jak ja! Oboje opychaliśmy się jak smarkacze. Na przyjęciach Lili zauważyłam, że Hindusi jedzą raczej wstrzemięźliwie, jak gdyby było nietaktem jeść z apetytem » *towar ćwie dum*. *Wciąż wyprawiałam Radżu r. jadalni pa* następnie *gorące* ćapati, aż Hari śmiał się ze mnie, wcale nie zdając sobie sprawy, ile sam tych ćapati zjadł. Później jadłam taką samą kolację u jego ciotki Śalini. Stwierdziłam wtedy, że ich kuchnia różni się od naszej, i zrozumiałam lepiej, dlaczego Hari tak wcinał, jakby od tygodni nie jadł porządnego posiłku. Nigdy nie mogłam jeść nic gotowanego w ghi, bo natychmiast odzywał się woreczek żółciowy, a właśnie ghi było w niektórych potrawach u pani Gupta Sen.

Ale za bardzo wybiegam naprzód. Kiedy już najedliśmy się do syta, przeszliśmy do salonu. Radżu przyniósł nam koniłek i kawę, a Hari czynił honory domu przy patefonic. Przez cały czas kolacji rozmawialiśmy o „kraju”. Byliśmy prawie w tym samym wieku, toteż przypominały nam się te same rzeczy z tych samych okresów naszego życia. Na przykład widok R 101 pełzającego po niebie. Aeroplany i Jim Mollison, i Amy Johnson, Amelia Harhart zaginiona na morzu Timor: takie filmy jak *Deszcz i Mula Hari*. I krykiet, i Jack Hobbs, Wimbledon i Bunny Austin, i Betty Nuttall, wyścigi samochodowe i sir Malcolm Campbell, Arsenal i Alce James, koncerty w biednym, starym zbombardowanym Queen's Hall — chociaż Hari nigdy tam nie był, bo tak naprawdę nie interesował się muzyką poza jazzem i swingiem.

Kiedy zaczął nastawiać płyty, widać było, jak go cieszą, ale też sprawiły, że nagle stracił pewność siebie. Nastawiając trzecią płytę z kolei, jakieś nagranie orkiestry Victora Sylvestra, zdobył się na odwagę i powiedział:

— Prawie zapomniałem tańczyć, nigdy zresztą dobrze nie tańczyłem, ale czy mogę panią prosić?

Powiedziałam, że tańczę podobno jakikolwiek słoń w drewniakach, może jednak razem damy jakoś radę. Więc wstaliśmy, objęliśmy się do tańca. Z początku za daleko odsu-

338

wat się ode mnie i oboje patrzyliśmy wciąż na swoje nogi, przeproszaliśmy się co chwila, traktowaliśmy to strasznie serio. Kiedy płyta się skończyła, on pewnie myślał, że ja usiądę albo zaproponuję, żebyśmy wyszli na werandę, nie tylko dlatego, że źle nam się tańczyło, ale i dlatego, że w jego przekonaniu, jeśli w ogóle zgodziłam się z nim zatańczyć, to tylko przez delikatność, chcąc w miarę możliwości ukryć wstręt, jakim mnie przejmuje sama myśl o tym, że obejmuje mnie Hindus.

Tymczasem ja poprosiłam, żeby znalazł jedną taką płytę: *W nastroju*, muzykę, która, jak chyba nie wiesz, Ciociu, jest szybka i fatwa, absolutnie naturalna, i czekałam na niego, znów zmusiłam go do tańca. Patrzyliśmy już nie na nogi, tylko przed siebie. Trzymał mnie bliżej i czuliśmy, że tańczymy coraz swobodniej.

Jeżeli kiedykolwiek będziesz to czytała. Ciociu, mnie tutaj nie będzie, więc piszę bez obawy, że spojrzysz na to krytycznie. Mogę się oszukiwać, że przeżywam to na nowo tylko dla kogoś, kto wie, jak daleka od pełnego doskonałego odtworzenia musi być taka relacja. Ten pamiętnik ma zabezpieczyć mnie przed wiecznym milczeniem, ale jednocześnie może jest nagrodą pocieszenia, żebym mogła znów mieć Hariego przy sobie, żeby to się utrwaliło bardziej niż wspomnienia nie ujęte w słowa, chociaż i tak niekonkretnie. W końcu z tych dwóch możliwości lepsze jest to niż same tylko myśli nie pozbierane, nie zatrzymane na papierze. Och, tym skrzypiącym starym piórem mogłabym wyczarować teraz postać Hariego, która może Ciebie, Ciociu, bardziej by zadowoliliła, ale którą w za dużym albo w za małym stopniu oddałabym sprawiedliwości jemu, takiemu, jakim był rzeczywiście. Mogłabym to zrobić, gdybym nie napisała o niepewności, jaką czułam wtedy, o tym, jak bardzo byliśmy oboje

niezręczni: gdybym zbujała, że od chwili, kiedy po raz pierwszy objęliśmy się do tańca, czuliśmy do siebie nieskomplikowany, wyraźny, czarowny pociąg zmysłowy. Ale to ani przez moment nie było nieskomplikowane. Chyba że przeciwstawne komplikacje wzajemnie się niwelują. Komplikacja z jego strony: na pewno zdawał sobie sprawę, że posiadaniem białej dziewczyny mógłby utwierdzić swoje ja. Komplikacja z mojej strony: dziwny, niemal podniecający lęk przed kolorem jego skóry. Czymże innym tłumaczyć fakt, że przy drugim tańcu wpatrywaliśmy się (uporczywie) on w moje, ja w jego ramię, jak gdybyśmy bali się spojrzeć sobie prosto w oczy.

Po raz trzeci już nie zatańczyliśmy, ale kiedyśmy siedzieli na werandzie, nie było między nami owego dystansu, jaki niewątpliwie dałby się wyczuwać, gdybym wcale nie chciała z nim zatańczyć albo gdybym usiadła po tej pierwszej niezgrabnej, obojętnej „szuraninie”. To, że odsunęliśmy się od siebie na odległość dwóch naszych foteli, było wspólnym wycofaniem się z niebezpiecznego gruntu — wycofaniem się w samych siebie, ale też i w inne niebezpieczeństwo, bo żadne z nas nie mogło wiedzieć, czy drugie o tym niebezpieczeństwie wie, czy rozumie, jaką rolę w tym, co czujemy do siebie, może odegrać pociąg do niebezpieczeństwa.

I tak właśnie zastała nas Lili, kiedy wróciła. Siedzieliśmy rozgadani, kończąc ten wieczór najwyraźniej niczym nie zakłócony, skoro wciąż jeszcze rozmawialiśmy swobodnie i tak dobrze ukrywaliśmy swoje napięcie, że nawet nie mieliśmy pewności, czy ono jest obopólne.

Po powrocie Lili on został nie dłużej niż dziesięć minut, a przecież przez ten czas, kiedy rozmawiali ze sobą, widziałam, jak znów przyobleka się warstwa po warstwie w swoją zbroję i jak Lili, z lekką oziębłą na początku, staje się życzliwa, a potem znów oziębła — aż wydawało się, że w jednej sekundzie, zanim uzbroił się całkowicie, zobaczyła w nim ten właśnie słaby punkt, którego się bała. więc zamknęła swoje drzwi nie po to, by mu je zatrzaskać przed nosem, tylko po to, by mnie oddzielić od niego, trzymać nas osobno dla dobra wszystkich.

Zwykle się nie wyczuwa, jak ludzie wzajemnie oddziałują na siebie, jeżeli kogoś z tych ludzi się nie kocha. W tym wypadku przypuszczam, że kochałam ich oboje.

Tydzień Wojny świętowaliśmy pod koniec kwietnia, więc tamta kolacja z Harim w Domu MacGregora musiała być na początku maja. Parę dziewcząt ze szpitala wyjechało w maju na krótki urlop do takich miejscowości jak Dardżiling. W Ma-japurze panowały straszne upały. Księżyc wytaczał się na niebo dziwny, koślawy, co powodują, jak wiem od Ciebie, Ciociu, cząsteczki pyłu w atmosferze. Urlopow dawano niewiele ze względu na te wszystkie kryzysy polityczne, które raz po raz. doprowadzały do stanu wrzenia. Siostra przełożona powiedziała, że mogę wziąć dwa tygodnie urlopu, i chyba Lili chętnie zabrałaby mnie na jakiś czas w góry, ale uważałam, że nie mam prawa do urlopu tak szybko po rozpoczęciu pracy. Radziłam Lili, żeby wyjechała sama i zostawiła mnie na gospodarstwie, ale ona słyszeć o tym nie chciała. Więc pociłyśmy się obie, jak pocili się właściwie wszyscy od komisarza okręgowego w dół. Zrobiło się za gorąco, żeby urządzać przyjęcia — tyle, że parę razy nas zapraszano na kolację i parę razy goście byli na kolacji u nas.

Nazajutrz po swojej wizycie Hari przysłał liścik z ceremonialnym podziękowaniem za miły wieczór, a w kilka dni potem dostałam zaproszenie od pani (iupta Sen na kolację w jej domu na Ćilijanwala Bagh w następną sobotę. Lili też została zaproszona, ale powiedziała, że to tylko *pro forma*, a zresztą znów ma brydza, więc nie może tam pójść. Kiedy odpisałam, że dziękuję za zaproszenie i przyjdę, dostałam jeszcze jeden liścik od Hariego. Pisał, że ponieważ do ich domu trudno trafić (domy nie są kolejno ponumerowane, a Ćilijanwala Bagh to w rzeczywistości nie jest jedna ulica, tylko cały system ulic), sam po mnie przyjedzie tongą około godziny siódmej piętnaście, jeżeli ta godzina mi odpowiada. W dopisku wyraził nadzieję, że ten wieczór nie będzie dla mnie zbyt nudny, chociaż on nie ma patelony ani niczego takiego. Zapytałam Lili, czy jej zdaniem to nie jest aluzja do tego, bym zabrała tam nasz patefon i trochę płyt. ale powiedziała, że popełniłabym nietakt — pani Gupta Sen nie tylko mogłaby nie życzyć sobie patefonu w swoim domu (zwłaszcza że mamy płyty z muzyką europejską, zapewne rażącą jej uszy), ale uznałaby to

340

prawdopodobnie za obrazę, wytykanie niedociągnięć jej gościnności. Więc uwierzyłam Lili na słowo i myślę, że miała rację.

Ciotka Sali ni okazała się bardzo miła i świetnie mówiła po angielsku. Powiedziała, że uczył ją ojciec Hariego, kiedy była mała. i jak to dobrze, że teraz, mając Hariego u siebie, może odświeżyć swoją angielszczyznę, poprawić akcent. Pokazywała mi zdjęcia Hariego z Anglii, które przysyłał jej od czasu do czasu jego ojciec, czyli jej brat Dalip. Było kilka zdjęć zrobionych w ogrodzie; zobaczyłam dom, w którym oni mieszkali w Berkshire, dom wyglądający jak mały dwór. Były też zdjęcia Hariego z przyjaciółmi. Anglikami nazwiskiem Lindsey.

Dosyć się denerwowałam przed tą wizytą na Cilijanwala Bagh, w dodatku Hari spóźniał się z przyjazdem po mnie. Siedziłam na werandzie Domu MacGregora i czekałam. Lili już wyruszyła na brydza. Radziła mi, żebym przed przybyciem Hariego wypila ze dwa głębsze, na wypadek gdyby pani Ciupią Sen okazała się abstynentką. Lekko się wstawiłam, bo w ciągu tych dwudziestu chyba minut czekania wypilałam za dużo. Hari był strasznie zakłopotany tym, że się spóźnił, myślał pewnie, że uznam to za uchybienie typowo hinduskie. Wyjaśnił mi, że miał trudności ze znalezieniem tongi. bo wszystkie wożą dziś ludzi do kina (Odetchnęłam z ulgą, kiedy wsiadając do tongi rozpoznałam w małej płóciennej torbie na siedzeniu kształty butelki dżinu i butelki z sokiem cytrynowym czy limonowym. Już prawie o zmroku przejechaliśmy przez Mosl Bibighar. To właśnie wtedy, gdyśmy jechali wzdłuż muru Bibighar, zapytałam Hariego, co myśli o tym ogrodzie. Trochę się pośmieliśmy, bo

nawet nie wiedział, o jaki ogród chodzi ani że ogród jest za tym murem.

— Ja jestem w Majapurze od czterech miesięcy — powiedziałam — a pan tu jest od czterech lat, a jednak wiem lepiej niż pan.

Skręciliśmy w bok z Przedłużenia Cilijanwala Bagh. Ulice były źle oświetlone i niósł się okropny zapach od rzeki. Zastanawiałam się, w co ja się, na Boga, pakuję, i muszę przyznać, że serce mi zamierało. Zaczęło bić trochę żywiej, kiedy zobaczyłam domy w dzielnicy, do której wjechaliśmy — stłoczone, ale nowoczesne i „cywilizowane”, prosto spod ekierki i cyrkla. Hari mówił naszymu „stangretowi”, którego jechać, i bawiło mnie to, że duka językiem hindi: „Daninę ki taraf aur ek dam sidhe ki rasta”¹, nie lepiej niż ja. Pokpiwałam z niego i stopniowo się rozkrochmalił.

Ale kiedyśmy podjechali pod jego dom, znów zeszytywniał, skrzepowany, bo brama była zamknięta. Zawołał służącego — bez skutku, a Hindusowi na koźle tongi najwyraźniej nie chciało się ruszyć. Więc wysiadł i sam otworzył bramę. „Aleja wjazdowa” przed gankiem oświetlonym jedną żarówką bez klosza miała zaledwie kilka jardów długości. Mogliśmy doskonale przejść tych parę kroków, co chyba byłoby lepsze, bo „stangret” zaczął się pieklić, że ma za mało miejsca, żeby zakręcić, ale nie wypadło mi zabierać głosu. Ponieważ Hari kaleczył język hindi na sposób angielski, bez trudu zrozumiałam ciąg dalszy. Chciał zamówić tongę na moją drogę

Na piawo, a dalej zupełnie prosto.

341

powrotną o „gjarah badže”¹, ale musiał obiecać temu człowiekowi sowitą zapłatę, żeby go zobowiązać, nie dając na razie ani grosza.

Nagle rozzłościła mnie okropna sytuacja, w jakiej postawił Hariego ten sakramencki woźnica tongi. Już chciałam się odezwać: „Och, niech pan powie temu głupcowi, że wołę wrócić piechotą niż go fatygować”, ale w porę się powstrzymałam, bo w ten sposób przejąłabym inicjatywę, co pogorszyłoby całą sprawę. Więc kiedy Hari dopiął swego i ów człowiek niechętnie zgodził się podjechać o jedenastej, powiedziałam tylko:

— Ilez oni robią szumu.

Zupełnie tak, jak gdybym była do tego przyzwyczajona. Ale Hari prawdopodobnie wiedział, że nie jestem, więc w rezultacie mogłam się wydawać mem zwiedzającą slumsy, trochę rozbawioną kosztem Hariego. Kiedy pojęłam, że tak to wyszło, zapragnęłam wsiąść z powrotem do tongi, wrócić do domu i wyłopac całą szklankę nie rozcieńczonego dżinu.

Weszliśmy na ganek przygnębieni, nieomal rozdygotani, w przewidywaniu katastrofy, a jeśli nie katastrofy, to strasznej nudy, skrzepowania, zakłopotania. Ale dzięki Bogu była ciotka Salini. Wkroczyła do ciasnej sieni jak radźpucka księżniczka z miniaturowej, ładnie, bardzo dyskretnie umalowana, w sari koloru biadolila, zupełnie prostym, zwyczajnym, bawełnianym, ale świeżusieńka, tak że wyglądała cudownie. Podała mi rękę, mój nieśmiały wysiłek, żeby ją powitać złożeniem dłoni w namaste, wydał się niemądry.

— Proszę, niech pani wejdzie — powiedziała. — Najpierw pani się czegoś napije.

Wprowadziła nas do saloniku. W tym pokoju niedużym, ale nie zagraconym, a więc pięknie przestronnym, było parę kilimów, tapczan i jeden mały wiklinowy fotelik. Posadziła mnie w tym fotelu, podczas gdy Hari, jak powiedziała, „pełnił honory” przy stoliczku z trunkami — mosiężnej tacy z Benaresu na rzeźbionym hebanowym stojaku inkrustowanym masą perłową. Na tacy stały trzy szklanki i butelki, które Hari wyjął ukradkiem z płóciennej torby. Rozmawiając z ciotką Salini dostrzegłam fizyczne podobieństwo pomiędzy nią i Harim, chociaż oczywiście ona była maleńka. Czulałam się przy niej duża, niezdarna, ubrana nieodpowiednio, zbyt obnażona. Hari był w szarym bawełnianym ubraniu, ale wkrótce musiał zdjąć marynarkę, bo wentylatory obracały się wolno.

Kiedy wypiliśmy po jednym — a tym razem stwierdziłam, że naprawdę potrzebne mi są dwa — ciotka Salini zapytała:

— Wejdzimy dalej?

I wstała, poprowadziła mnie do przyległej, małej jak skrzynka jadalni. Kazała służącemu włączyć wentylatory. Zaczęliśmy jeść.

Zadała sobie mnóstwo fatygi z nakryciem stołu, żebym czuła się dobrze. Stół zdobita waza z wodą, na której unosiła się gałązka obsypana kwieciami. Pod naszymi talerzami leżały ręcznie plecione maty. Każdą potrawę zapowiadała, ale wię-

¹ o godzinie jedenastej

342

kszości nazw nie pamiętam, a niektóre z nich były dla mnie za trudne. Kiedy wjechało główne danie — kura z tanduri — zwróciła się do Hariego:

— Czy nie mamy mrożonego piwa?¹

Hari wstał i wyszedł na dość długo, po czym wrócił z piwem w butelkach. Służący podał kufle. Wtedy zapytała:

— Czy nie mamy jakiegoś dzbana, Hari!'

Więc on kazał służącemu pójść po dzban i wyszedł z tymi butelkami. Służący przyniósł piwo przelane z butelek do dzbana. Inni służący patrzyli zza drzwi i przez okratowane *otwory okienne* w ścianie *sąsiedniego pokoju*. Ciotka Salini nic nie piła, nawet wody. Hari i ja mieliśmy to piwo dla siebie. Dostałam stary kufel zdobiony w rzymskie „klucze”, Hari miał kufel mniejszy i grubszy. Przejmował się, za bardzo się przejmował pewnymi nieistotnymi brakami na tym stole, nie takim, przy jakim jadał dawniej, myślał, że ja też przywiązuję do tego wagę. Ale pod koniec kolacji, kiedy patrzyłam na niego, nie zdając sobie z tego sprawy, napotkałam jego wzrok i wtedy chyba zrozumiał, że wszelkie „niedociągnięcia” wzbudzają we mnie tym cieplejsze uczucie swojskości. tym większą serdeczność wobec niego i jego ciotki, ludzi tak mile mnie fetujących z jakąś bezwiedną nadzieją, że kiedyś odrębność naszych zwyczajów nie będzie znaczyć nic, czyli akurat tyle, ile rzeczywiście znaczyła dla mnie w tamten wieczór.

Po kolacji ciotka Salini pokazała mi zdjęcia. Marzyłam o papierosie, ale nie śmiałam otworzyć torebki. Nagle zapytała:

— Hari, nie mamy papierosów Virginia dla panny Manners?

Jakże była wyczulona na każdą zmianę nastroju gości. Jaka wyrozumiała dla ich upodobań, na przykład picia i palenia, które osobiście uważała za odrażające. Myślę, że Hari też się zdumiał widząc, jak świetnie ona potrafi podejmować u siebie Angielkę, chociaż — dowiedziałam się o tym później — jeszcze nigdy nie była w żadnym angielskim towarzystwie. Hari mi zaimponował, bo nie nalegał, żebym piła i paliła, tylko zostawiał inicjatywę ciotce w jej własnym domu, a tego na pewno by nie zrobił nieczuły zarozumialec, starający się na każdym kroku zadokumentować swoje angielskie wychowanie. Drugą miłą rzeczą było to, że sam też zapalił, żebym *się nie* czuła jedyną osobą zanieczyszczającą. } powietrze w (ym pokoju. Ażnie zaciągnął się ani razu i zostawił nie dopalonego papierosa w popielniczce. Bał się, że znów nabierze chęci do palenia.

Niezupełnie tak, jak trzeba, wypadło umożliwienie gościowi skorzystania z ubikacji! Kiedy wstaliśmy od stołu, Hari odszedł na chwilę. Chyba poprosił przedtem ciotkę Salini, żeby mi pokazała, gdzie jest ten przybytek, ale ostatecznie ona jakoś nie mogła się na to zdobyć. W czasie mojej następnej wizyty u nich przezwyciężyła zakłopotanie, wtedy jednak, w tamten pierwszy wieczór, Hari chyba się zorientował, że nie poszłam do toalety, i to mu raczej popsulo humor. Około godziny pół do jedenastej mnie też zaczęło to psuć humor. Zastanawiałam się, czy oni w ogóle mają klozet w ich przekonaniu dość przyzwoity, żeby nie wstydzić się go przede mną. Okazało się, że jest ubikacja na parterze, tak samo jak zapewne była jakaś ubikacja na górze. Bez sedesu, ale ciotka Hariego zadbała o to, by na małym zy-

343

delku stał nocnik, którego zresztą nie odważyłam się użyć. Był też stolik, najwyraźniej nie zawsze tam stojący, a na stoliku miska, dzbanek z wodą, mydło, ręczniki, małe lusterko. Kiedy usłyszeliśmy, że tonga podjeżdża, i Hari wyszedł przed dom, po prostu wstałam i zapytałam ciotkę Salini:

— Czy mogę upudrować nos?

Wtedy zaprowadziła mnie na korytarz przy kuchni, otworzyła drzwi, zapaliła światło.

— Proszę — powiedziała. — To tutaj. Niech pani zapamięta!

Parę karaluchów biegało po podłodze, ale nie przejęłam się tym. Lili szaleje, gotowa do morderstwa, ilekroć karaluch bodaj mignie jej gdzieś daleko, ale ja, chociaż po przyjeździe do Indii na widok robactwa w takich miejscach jak łazienki i ubikacje nieruchomiałam ze zgrozy, teraz już się nie przejmowałam.

Przy pożegnaniu z ciotką Salini chciałam się pochylić i pocałować ją, ale nie zrobiłam tego w obawie, że może by ją to uraziło. Hari uparł się, że mnie odwiezie tą zamówioną tongą, nie chciał jednak wejść ze mną do Domu MacGregora, żeby napić się na dobranoc. Myślę, że dokładał starań, żeby nic nie wytworzyło nastroju: „Uff, już po wszystkim, teraz możemy odetchnąć.” Więc od razu odjechał, a ja sama wypijałam dużą szklankę chłodnego nimbu i czekałam na powrót Lili.

Nazajutrz posłałam do ciotki Salini jednego ze służących z podziękowaniem i ogromnym bukietem kwiatów zagrabionych w ogrodzie. Bhallu był na mnie bardzo zły, więc dałam mu dziesięć rupii i prosiłam, żeby nie poskarżył się pani, bo mi narobi kłopotu. Uśmiechnął się od ucha do ucha, stary szelma. Owinął mnie sobie koła palca. Chyba i ja jego owinęłam koło palca — w każdym razie byliśmy współwinowajcami, bo Lili zawsze, kiedy ktoś mieszkał w jej domu, płaciła wszystkim służącym dodatkowo i rozumiało się samo przez się, że goście nie powinni dawać jej służbie napiwków. Już nigdy nie skarżył się Lili, że zrywam kwiaty, tylko weszło mu w zwyczaj koło pierwszego każdego miesiąca, po wypłacie, salutować i uśmiechać się, dopóki nie dałam mu kilku rupii. Za pierwsze pieniądze, które ode mnie dostał, sprawi) sobie nowe *ćappale* i wyglądał bardzo elegancko, ale, rzecz dziwna, jeszcze bardziej niż przedtem był podobny do żółwia — w szortach khaki, z gołymi guzowatymi nogami i w tych ogromnych wojskowych sandałach kłapiących po żwirze. Widać było, że wolałby chodzić boso, ale te *ćappale* świadczyły o pozycji. Bhallu pracował kiedyś u pułkownika Jamesa w Madrasie i domostwo tego pułkownika stało się dla niego wzorcem życia pakka, chociaż chyba wiedział, że ogród MacGregora jest o wiele świetniejszy niż wszystkie inne ogrody, których kiedykolwiek doglądał. Może dlatego wmawiał sobie, że to jest jego ogród, i dbał o tę swoją własność raczej na cześć i chwałę pułkownika Jamesa niż na cześć i chwałę Lili.

Plotkuje, prawda, Ciociu? Odwlekam chwilę, kiedy będę musiała napisać o tym, o czym rzeczywiście chcesz wiedzieć. A jednak nie plotkuje, bo nie da się od spraw złych i tragicznych oddzielić spraw dobrych i radosnych. A rozumiesz, Ciociu, chociaż może to tak nie wyglądało dla tych, którzy patrzyli i czekali, mnie rozpieła radość.

I właśnie wtedy spójrzałam na Majapur innymi oczami. Majapur już nie był tylko Domem MacGregora, tą trasą na bazar w dzielnicy garnizonowej, trasą do szpitala, trasą na plac ćwiczeń czy do klubu. Rozciągnął się na drugą stronę rzeki, a więc we wszystkich kierunkach po tej ogromnej łówninie, w która kiedyś wpatrywałam się z balkonu mojego pokoju, to wkładając okulary, to zdejmując, tak jak Lili mi doradziła, żebym ćwiczyła wzrok. Miałam uczucie, że Majapur się powiększył i tym samym mnie uczynił mniejszą. Moje życie rozdzieliło się na trzy życia. Jedno toczyło się w szpitalu, i to obejmuje również klub, towarzystwo, w którym tam bywałam, te wszystkie bzdurne rozrywki, a właściwie nie rozrywki, tylko niewybredne spędzanie czasu, w sposób najłatwiejszy — z tym, że to jest łatwe chyba wyłącznie dla tej gorszej strony natury. Drugie moje życie toczyło się w Domu MacGregora, gdzie mieszkalam z Lili i obracałam się wśród Hindusów i Anglików, którzy dokładali wszelkich starań, żeby ze sobą współpracować. Ale obracałam się wśród nich nieśmiało, nieomal tak, jakbym chciała trzymać się od nich z daleka. Wkraczając do klubu, musiałam niejako się deklarować. W Domu MacGregora było cicho i zdecydowanie neutralnie. Dopiero przy Harim poczułam, że mam wreszcie jakiś własny teren, na którym może się nauczę mówić swoim normalnym głosem. Wydawało mi się, że Majapur jest większy, a ja mniejsza chyba dlatego, że moja przyjaźń z Harim — to jedyne, co mi pozwalało czuć się znów kimś — była zamknięta w ciasnych napierających granicach. Tylko malejąc mogłam się w nią wcisnąć. Uwięziła mnie, ale zarazem stałam się wolna, mniejsza wobec wszystkiego, co majaczyło na zewnątrz, ale nie mniejsza wewnątrz, w tym rzecz — stąd moja radość.

Wiedząc, jakiego trzeba wysiłku, żeby się wcisnąć w tę ograniczoną, niebezpiecznie małą przestrzeń, czasami bałam się tak jak w tamten wieczór, kiedy Ronald Merrick „oświadczył mi się” i odwiózł mnie do Domu MacGregora. Chciałam zawrócić ze schodów, zawołać Ronalda, ale bałam się, że zobaczę ducha Janet MacGregor. Te jego oświadczyzny po kolacji u niego i powrót do Domu MacGregora, i ten strach — to było w połowie czerwca. Deszcze się spóźniały. Wszyscy byliśmy wyczerpani fizycznie i psychicznie. Prawdopodobnie tym da się wytłumaczyć również mój lęk w tamten wieczór. I uczucie, jakiego doznawałam — że Ronald reprezentuje coś, czego ja w pełni nie rozumiem, ale czemu prawdopodobnie powinnam ufać. Straszny ciężar leży mi na sercu, jeśli chodzi o Ronalda. Mam wrażenie, że Ty, Ciociu, i inni tak samo jak może wiecie, co się dzieje z Harim, wiecie też pewne rzeczy o Ronaldzie, których nikt nie będzie omawiał w mojej obecności. Myślę o Ronaldzie często. On jest jak mroczny cień na samej krawędzi mojego życia.

Ciociu, czy Ronald Merrick skrzywdził Harięgo w jakiś szczególny, potworny

sposób? Chyba tak. Nikt o tym nie mówił, w każdym razie mnie nikt nie mówił. A ja nie miałam odwagi o to wypytywać. Sama należałam do zmywy trzymającej mnie w Domu MacGregora jak w więzieniu po tamtej nocy w Bibighar. Wysłałam tylko dwa razy — raz, żeby odwiedzić ciotkę Salini, która zresztą nie chciała mnie widzieć. I drugi raz, już w przeddzień wyjazdu z Lili do Pindi, pojechałam do „Azylu” pożegnać się z siostrą Ludmiłą. Ona też miała wyrzuty sumienia z powodu Ronalda Merricka. Najwidoczniej myślała, że jeśli znam Ronalda, to tylko z daleka, i nie przypuszczała, że mogę nie wiedzieć, kto wziął Harięgo na przesłuchanie wtedy rano z „Azylu”. No, ale ja .-.ic bałam wypytywać. Już nie ufałam nikomu. Ulałam tylko własnemu milczeniu. I milczeniu Harięgo. Ale pamiętałam, jak po Bibighar ten jeden jedyny raz stanęłam na chwilę z Ronaldem twarzą w twarz i on nie spojrzął mi w oczy — wtedy, gdy zastępca komisarza przyjechał z sędzią Mcnenem i jakimś młodym naczelnikiem podokręgu, Anglikiem, na coś w rodzaju „śledztwa” i Ronald zeznawał, a ja ich wszystkich wprawiłam w zakłopotanie czy może nawet rozgniewałam odpowiedziami na ich pytania.

Zanim napiszę, Ciociu, co rzeczywiście stało się w Bibighar, muszę coś napisać o Ronaldzie, a także coś o siostrze Ludmile. Myślę, że Ronald naprawdę zwrócił na mnie uwagę dopiero tamtego dnia, w sobotę kończącą Tydzień Wojny na placu ćwiczeń: zwrócił na mnie uwagę, bo widział, jak podchodzę do Harięgo i jak rozmawiamy — widziało to zresztą mnóstwo innych Anglików. Jeżeli on już uznał Harięgo za element potencjalnie wywrotowy (nic by nie mogło być dalsze od prawdy, ale Ronald miał przecież swoje obowiązki), to zapewne pod tym kątem patrzył, jak ja podchodzę do Harięgo — patrzył jako policjant, ale też i jako Anglik, który nie chce, żeby młode Angielki zadawały się z „podejrzanyymi” Hindusami. To znaczy, można było wytłumaczyć, dlaczego on, ledwie mnie w tamten wieczór zobaczył w klubie, podszedł prosto do mnie i zapytał:

— Podobała się pani defilada? Widziałem panią na placu ćwiczeń.

A dotychczas tylko kłaniał mi się z daleka i od czasu do czasu stawał mi coś w klubowym barze, jeżeli okoliczności go do tego zmuszały.

Ronald prawdopodobnie myślał, że powinien ostrzec mnie dla mojego dobra, ale też — skoro jest policjantem — nie było poniżej jego godności zobaczyć we mnie ewentualne źródło informacji o Harięgo. Czy pamiętasz, Ciociu, napisałam Ci, jakie wrażenie odniosłam — że nigdy nie ma prawdziwej szczerości pomiędzy Ronaldem i ludźmi, z którymi on rozmawia? Ronald traktował swoją pracę bardzo poważnie, chyba uważał, że musi wciąż się „wykazywać”, toteż nic nie przychodziło mu naturalnie, nic nie przychodziło mu spontanicznie ani łatwo, ani radośnie.

Zastanawiam się tylko, w jakim stopniu — kiedy już uczyni! to posunięcie, czyli zbliżył się do mnie, żeby mnie dla mojego dobra zawrócić z drogi — w jakim stopniu szczerze i zgoła nieoczekiwanie zainteresował się mną samą? Z pewnością od tamtej chwili zaczął zwracać na mnie uwagę. I chociaż wtedy tego nie doceniałam, widzę teraz, że stał się moim nowym kontaktem z takim światem, jaki reprezentował klub, małym światkiem z powiewającymi flagami, któremu jednak nadał trochę subtelności tymi obrazkami Henry Moore'a, muzyką Debussy'ego. Jedynym

346

constansem dla mnie była Lili i Dom MacGregora, wariantami zaś: Hari po jednej stronie i Ronald po drugiej. Ci dwaj wydawali się tak dalecy od siebie, że chyba nigdy nie mówiłam o jednym w obecności drugiego. Ale oni wcale nie byli od siebie dalecy. I właśnie dlatego tak się rozgniewałam, dlatego czułam się taką idiotką, kiedy odkryłam prawdę, że oni są — czym? — wrogami od tamtego dnia w „Azylu”, kiedy Hari dostał po twarzy i zabrali go, a siostra Ludmiła patrzyła, jak się to wszystko działo.

Ona ubierała się tak jak te siostry miłosierdzia w ogromnych roztrzepotanych płóciennych kornetach. Widziałam ją przedtem parę razy na bazarze w dzielnicy garnizonowej. Miała skórzaną torebkę przymocowaną łańcuszkiem do paska w talii i szedł za nią służący uzbrojony w kij. Za pierwszym razem byłam zjedna z dziećmi ze szpitala.

— A któż to taki? — zapytałam.

Zostałam poinformowana.

— To ta zwariowana Rosjanka, która zbiera zwtoki. Wcale nie jest zakonnica, chociaż tak się ubiera.

Zainteresowałam się nią tylko przelotnie. W Indiach jest sporo dziwaków obu kolorów skóry, ale i tak właściwie nic mnie wtedy nie obchodziło, bo to było w tym okresie fatalnego nastroju, niechęci do całego otoczenia. W kilka tygodni później zobaczyłam ją znowu i wspomniałam o niej Lili, która powiedziała:

— Ona nie robi nic złego. Anna Klaus pomaga jej czasami i lubi ją. Mnie jednak przyprawia o dreszcze tym wyszukiwaniem i zbieraniem umierających.

Ciocia Lili nic znosi wszystkiego, co jest nędzne, co może przerażać, prawda? Opowiadała mi, że kiedyś w młodości, kiedy po raz pierwszy pojechała do Bombaju i zobaczyła slumsy, płakała. Myślę, że zamożni, uprzywilejowani Hindusi, tacy jak Lili, mają jakieś głęboko zakorzenione poczucie winy, które zagrzebują pod warstwami pozornej obojętności, bo sami niewiele mogą zrobić, żeby złagodzić tę okropność, tę nędzę. Dają pieniądze na cele dobroczynne i pracują społecznie, ale z pewnością czują, że to jest tak, jakby usiłovali garstką chrustu zatamować rzekę. Jeśli chodzi o Lili, myślę, że dołącza się do tego strach przed śmiercią. Opowiadała mi, jak w Paryżu była kiedyś ze studentem medycyny w kostnicy i później miała koszmarne sny: tamte trupy podnosiły się i opadały z powrotem. Dlatego też nie cierpiała zegarów z kukułkami, kiedy Nello się nimi popisywał w pokoju muzealnym w Domu MacGregora. W tym pokoju, Ciociu, gdzie umieścił w szklanej gablocie starą wrzoścową fajkę Stryja Henry'ego, tę, którą Stryj Henry mu dał, żeby lepiej go naśladował.

Raz zaprowadziłam Hari'ego do tego muzeum. Właśnie wkroczyliśmy w nową fazę naszej znajomości — już wiedzieliśmy, że lubimy być razem, wobec czego nie mogliśmy nie zdawać sobie sprawy, że właściwie nie mamy gdzie się spotykać poza jego domem i domem Lili. Przesiadywanie w Bibighar zaczęło się trochę później.

347

Wtedy, gdy zaprowadziłam go do muzeum Nella, żartowaliśmy ze wszystkiego, ale już czuliśmy, że fałszujemy prawdę, czuliśmy, że musimy udawać, ukrywać się, kupować sobie czas, kupować odosobnienie za cenę ciosów zadawanych naszej dumie. Rozglądając się po tym pokoju pomyślałam: Hari i ja jesteśmy też eksponatami. Moglibyśmy stać tutaj na małym cokole z plakietką: „Typowe przeciwieństwa: Hindusi i Angielka — circa 1942 r. Proszę nie dotykać.” I wszyscy, którzy w dzielnicy garnizonowej gapią się na nas, ale ostentacyjnie odwracają wzrok, kiedy my patrzymy na nici, mogliby przychodzić tutaj, żeby gapić się do upojenia Hari chyba też pomyślał coś takiego. Potem już nigdy nie wchodziliśmy do muzeum Nella. Powiedziałam wtedy:

— Chodź, Hari... straszna i li martwota i czuć stęchlizną.

Odruchowo wyciągnęłam rękę i nagle sobie uprzytomniłam, że z wyjątkiem obejmowania się w tańcu i przypadkowych zetknięć, takich jak przy wsiadaniu do tongi, nie dotykamy się nawet jak przyjaciele, a cóż dopiero jak mężczyzna z kobietą. Chciałam opuścić rękę, bo im dłużej trzymałam wyciągniętą, im dłużej on się wahał, czy ją ująć, tym większego ten gest nabierał znaczenia. A przecież to nie miało nic znaczyć, naturalny, serdeczny, koleżeński odruch. Kiedy Hari w końcu ujął mnie za rękę, zapragnęłam, żeby mnie pocałował. Bo tylko pocałunek nadałby temu sens. Bez pocałunku trzymanie się za ręce wydawało się niedorzecznością, było czymś niepełnym. Nie byłoby takie, gdyby on ujął mnie za rękę od razu. Ledwie wyszliśmy z pokoju, puścił mnie. Poczulałam się odrzucona, wykluczona, zdana na samą siebie, tak jak kiedyś w szkole, kiedy ja jedna przyznałam się do drobnego niemądrego przewinienia, które popełniło kilka z nas, i ostatecznie wyszłam nie na bohaterkę, tylko na idiotkę, lego właśnie rodzaju przeżycia z Harim — to, że teraz po raz znajdowałam się nagle na lodzie — sprawiały w sumie, że czasami ogarniały mnie wątpliwości, jak wtedy, w ów wieczór, gdy wchodziłam na górę po oświadczeniach Ronalda Merricka: Prawdopodobnie nie powinnam się przyjaźnić z Harim Kumarcem. To znaczy,

coś mi o tym mówiło, jeszcze zanim Ronald to powiedział. I dołączyło się to do innego nie dokończonego podsumowania, i zadawałam sobie pytanie: No, ale co Hari rzeczywiście do mnie czuje?' Do grubokościstej białej dziewczyny, o której niewiele da się powiedzieć dobrego?

Potem zaczęły się deszcze. Świeże, czyste, szalone, lejące jak z cebra. Przeobraziły ogród. Majapur — cały krajobraz. Zmyły z nieba tę straszną złowieszczą bezbarwność. Budziłam się w nocy drżąc z zimna, bo temperatura spadała, i słuchałam, jak deszcz smaga drzewa, jak cudownie dudni i huczy burza, patrzyłam, jak cały pokój rozjaśnia się niczym od wybuchu, meble nagle rzucają fantazyjne cienie, czarne postacie skamieniałe w wymyślnym płasie — w połowie tajemnego odczyniania nocnych szatańskich cza rów. do którego powrócą, kiedy tylko to niespodziewane światło zgaśnie, żeby wy parę minut później znów rozbłysnąć, zdemaskować je i unieruchomić.

348

W ostatni wieczór przed deszczami wybrałam się na Ćilijanwulu Bagh. Tak jak przez dwie poprzednie noce niebo rozjaśniały błyskawice i grzmiało z daleka. To było pod koniec czerwca, w tydzień, może niecały tydzień po kolacji z Ronaldem Merricka. po tym jak Ronald powiedział na schodkach Domu MacGregora: „Do niektórych myśli trzeba się przyzwyczajać.” Siedząc przy stole z Harim i ciotką Salini zrozumiałam, że moje życie jakoś zatraciło dlii mnie realność, nie niosło mi żadnej przyszłości, takiej, jaką bym chciała i mogła mieć. Dlaczego? Jedną ręką sięgałam przed siebie po omacku, drugą, wyciągniętą do tyłu, czepiałam się rzeczy bezpiecznych, znanych i pewnych. Tak się wysilałam? I dawałam, że moich rąk nie dzieli żadna odległość, gdy tymczasem wcale tak nie było.

Tonga podjechała o jedenastej i kiedy wracałam do Domu MacGregora, nagle zobaczyliśmy tę kobietę w blasku błyskawicy — te szerokie białe skrzydła kornetu. Jakiś mężczyzna siedł przed nią, drugi za nią niósł coś. co wyglądało jak słupek, ale było zwiniętymi noszami. Jechaliśmy okrężną drogą, bo nie chciałam, żeby ten wieczór szybko się skończył, więc poprosiłam:

— Pojedźmy przez bazar i koło świątyni.

Hari się zgodził, a mnie natychmiast zaczęły dręczyć wyrzuty sumienia na myśl o tych dodatkowych rupiach, które będzie musiał zapłacić za kurs. Już wiedziałam, że Hari nie ma rupii do wyrzucania. A przecież nie ośmieliłabym się zaproponować mu bodaj najmniejszej pożyczki. Wtedy, gdyśmy się wybrali do chińskiej restauracji, palnęłam zupełnie bez zastanowienia:

— Zamówimy sałatkę chińską i każde z nas zapłaci za siebie.

Twarz mu się ściągnęła jak Ronaldowi Merrickowi, kiedy dostał ode mnie kosza. W chińskiej restauracji nie było przyjemnie. Najpierw ja najwyraźniej obraziłam Hariego tym, że chciałam za siebie płacić, potem oboje nas obraził restaurator, nie pozwalając Hariemu wejść do sali na górze.

Zapytałam:

— To jest ta zwariowana Rosjanka, która zbiera zwłoki, prawda?

Ona już się oddalała, skręciła w boczną uliczkę.

Hari sprostował, że nie jest obłąkana i chyba nie jest Rosjanką. Nazywamy ją — powiedział — siostrą Ludmiłą.

Kiedyś napisał reportaż o „Azylu”, ale jego naczelny nie chciał tego zamieścić w „Mayapore Ciazetle”. bo uważał, że można się w tym dopatrzeć pielensji do Brytyjczyków, obojętnych na fakt, że ludzie umierają na ulicach. Hari wcale tak nie myślał, ale przerobił ten reportaż. Wyraźnie zaznaczył, że w ogóle nikogo to nie obchodzi — nawet samych umierających — nikogo z wyjątkiem siostry Ludmiły. Naczelny jednak tego też nie chciał zamieścić. I owidział, że siostra Ludmiła -się wygłupia. Zapytałam Hariego, czy mogłabym zobaczyć „Azyl”. Obiecał, że mnie lani wprowadzi, jeżeli rzeczywiście mi na tym zależy, ale uprzedził, że siostra Ludmiła może mnie potraktować jak wścibskiego intruza. Ona raczej stroni od ludzi i interesuje się naprawdę tylko tymi, którzy umierają, a nawet nie mają łóżka, żeby umrzeć przyzwoicie, chociaż prowadzi także wicczoiową przychodnię lekarską, bo wielu nie stać na opuszczenie pracy, żeby pójść do przychodni

349

Otwartej w dzień, i wydziela ryż za darmo w niektóre dni tygodnia, głównie matkom i dzieciom. Zapytałam, w jakich okolicznościach ją poznał. Odpowiedział po prostu: — Przypadkiem.

Miała drewnianą figurkę Siwy tańczącego w obręczy kosmicznego ognia i oprawiony w ramkę werset z Biblii: „Kto skąpo sieje, ten skąpo i zbiera, kto zaś hojnie sieje, ten hojnie też zbierać będzie. Każdy niech przeto postąpi tak, jak mu nakazuje jego własne serce, nie żałując i nie czując się przymuszonym, albowiem radosnego dawcę miłuje Bóg.” Wydawało się, że jest jakiś związek pomiędzy tym wersetem chrześcijańskim i figurką hinduistyczną, bo ten tańczący Siwa się uśmiecha. I jest w tej figurce nastrój radosnego ruchu. Nieruchoma pozostaje tylko jego prawa stopa (nawet tę prawą nogę Siwa ma zgiętą w kolanie, sprężystą), mocno, zdecydowanie postawiona na kulącym się małym demonie. Lewą nogę Siwa wyrzuca przed siebie, jedną parę rąk

rozklada powściągliwym, a przecież zachęcającym gestem, drugą parą rąk trzyma tę obręcz ognistą z daleka od siebie, ale tylko dlatego, żeby lepiej płonęła. I oczywiście jest skrzydlaty, co nadaje całej tej figurce powiewność, lotność, aż się myśli, że z nim, z tańczącym Siwą można by skoczyć bezpiecznie w ciemność.

To były jedyne ozdoby jej „celi” o pobielanych ścianach: Siwa i werset z Biblii. Przy pożegnaniu podarowała mi ten werset. Powiedziała, że zna go na pamięć. Ale zawsze jakoś krępowałam się pokazać Ci to. Ciociu, i zresztą nie uważam, żebym zasłużyła na taki prezent od niej. Jest w mojej dużej walizce, tej zapinanej na pasy.

Cóż za niezwykła kobieta! Często wieczorem myślę o niej — że już się przygotowuje do wyruszenia na swój conocny obchód zaułków, ciemnych, ślepych uliczek i nieużytków pomiędzy świątynią i Mostem Bibighar. Z czasem zaczęłam regularnie raz na tydzień przyjeżdżać do „Azylu” i pomagać jej w wieczornej przychodni. Nie tylko dlatego, że to było jeszcze jedno miejsce spotkań z Harim. Kiedyś zapytałam, czy mogę pójść z nią w nocy na obchód. Roześmiała się.

— Nie — powiedziała — to jest tylko dla tych, którzy nie mają, do ofiarowania nic innego.

Myślałam, że chodzi o pieniądze, o to, że ja mogłabym ofiarować pewną sumę, ale zapewniła, że pieniędzy ma dość. Przynajmniej jednak, że zwróci się do mnie, jeśli kiedykolwiek zabraknie jej pieniędzy, a ja będę nadal chciała jej pomóc.

Polubiłyśmy się. Może z punktu poczułam do niej sympatię, bo ona lubiła Hariego i nie widziała niestosowności w tym, że się spotykamy. Pozwalała nam siedzieć w kancelarii albo w jej pokoju. O zmroku wracałam na rowerze do Domu MacGregora. Hari mnie odwoził, ale nieczęsto tam wstępował. W te dni, kiedy miałam być w „Azylu”, zawsze brałam rower i wyjeżdżałam do szpitala wcześniej, żeby nie spotkać ciężarówki (czasem to był mały samochód), którą pan Merrick co dzień po mnie przysyłał. A wieczorem po pracy zostawiałam u portiera w szpitalu wiadomość dla kierowcy, że albo już mnie nie ma, albo że pracuję dłużej. Cza-

350

sami jednak pozwalałam się odwiedzić kierowcy pana Merricka do Domu MacGregora — góra i dopiero stamtąd jeździłam na rowerze do „Azylu”. Nie chciałam, żeby w szpitalu wiedziano, że pomagam siostrze Ludmile w jej przychodni. Nie robiłam tego często, ale przypuszczałam, że to jest wbrew szpitalnym przepisom czy czemuś tam. Któregoś wieczora spotkałam w przychodni Annę Klaus. Poprosiłam ją:

— Niech pani mnie nie wyda.

Anna Klaus parsknęła śmiechem i powiedziała, że ludzie prawdopodobnie i tak o tym wiedzą, bo w takim mieście jak Majapur nie sposób zachować cokolwiek w sekrecie.

Wiedzieli jednak nie wszyscy ci, którzy chcieliby wiedzieć. To znaczy, ci z naszej strony rzeki, tacy jak Ronald Merrick. Taiłam to przed Ronaldem, bo o tej części mojego życia wolałam nie mówić nikomu. Ronald był inną częścią mojego życia, Uli jeszcze inną. Nawet nie wiedziałam, że podzieliłam życie na takie komory, hermetyczne szufladki, a raczej nie uświadamiałam sobie tego w pełni. Podświadomie, owszem, wiedziałam, i zdawałam sobie sprawę z kręactwa, jakiego to wymagało, ale nie uświadamiałam sobie tego w pełni — nie widziałam tego wówczas w dość jasnym świetle, żeby nazwać moje postępowanie kręactwem. Przynajmniej do tamtego wieczora, kiedy byłam z Harim w świątyni i dowiedziałam się, że Ronald go aresztował. Poczułam się oszukiwana przez wszystkich, ale później pojąłam, że ja sama oszukuję wcale nie gorzej. Złękałam się i zrozumiiałam, że ten lęk był we mnie od początku, jak gdybym wdrapała się na drzewo i drżała, co będzie, jeżeli ktoś odpiłuje konar, na którym siedzę. Ironia losu, prawda? Bo ja przecież sobie wmawiałam, że postępuję jak, jak powinniśmy postępować wszyscy — właśnie! Ale chociaż, siedziałam na tym konarze, jedną ręką dla pewności obejmowałam pień.

Chyba myślałam, że to, co robię, jest swego rodzaju przygodą. Wieczór w Domu MacGregora z Lili i w towarzystwie „mieszanych”, następny wieczór w klubie z Ronaldem albo z tymi dziewczętami i chłopcami, parę godzin w przychodni siostry Ludmiły, a w niedzielę przed południem spacer z Harim do Bibighar. To były przygody, prawda? W każdą z tych „przygód” wkraczałam bez zastanowienia, ale właściwie celowo — rzucając wyzwanie pozostałym. Naruszałam wszelkie istniejące zasady. Dziwna rzecz, ludzie nie bardzo wiedzieli, którą zasadę naruszam, w jaki sposób i kiedy. Tak byli ogrodzeni swoimi zasadami, że mogli śledzić mnie tylko do pewnego punktu, widzieć z daleka, że coś tam naruszam, zanim znikalam im sprzed oczu i stawałam się chwilowo niewidoczna. Toteż kiedy wracałam, kiedy już byłam z powrotem wśród nich, wiedzieli za mało, żeby móc rzeczywiście oskarżać mnie o cokolwiek innego niż ogólnikowo o to, że jestem... jaka? Niezdecydowana? Krnąbrna? Niezrównoważona? Dostatecznie zła, oczywiście, ale ludzie przecież lubią dokładniej określać cudze niezdecydowanie i brak równowagi, a jeśli tego nie potrafią, to ze strachu przed owym utajonym prawdziwym obliczeni danej osoby usiłują jeszcze raz ją sobie podporządkować.

Żeby kogoś odrzucili — a być odrzuconym to chyba jeden z najłatwiejszych sposobów wyróżnienia się — musi ów ktoś wystąpić od razu z czymś, w czym oni zobaczą bezpośrednio i bez cienia wątpliwości przeciwieństwo wszystkiego, w co, jak im się wydaje, święcie wierzą. Żeby kogoś przyjęli, muszą widzieć i słyszeć, że wszystko, w co, jak im się wydaje, wierzą, ten ktoś wyraźnie popiera. Osobie, która nie czyni ani tego pierwszego, ani tego drugiego, prawdopodobnie nigdy nie wybaczą.

Ale. Ciociu, to było strasznie trudne dla mnie. Ja szczerze lubiłam niejedną z tych dziewcząt i niejednego z tych chłopców, z którymi bywałam w klubie. I szczerze lubiłam Ronaldą, kiedy był wobec mnie tak dalece, jak potrafił, swobodny i naturalny. Lubiałam go nawet wtedy, gdy był trudny i „oficjalny”, bo wydawało mi się, że wiem, dlaczego on tak się zachowuje. I kochałam Lili, nawet kiedy była po swojemu najbardziej pełna rezerwy, kiedy ta

stara radźpucka krew dochodziła w niej do głosu i niejako nakazywała jej unosić, stąpając po ziemi, skraj spódnicy. To znaczy, skraj sari! Lubiłam wesołość Anglików, zanim zaczęli przejawiać kompleksy, stawali się ordynarni, gwałtowni. Lubiłam prostą, prawie dzieciinną wesołość Hindusów i ich powagę, zanim stawała się pruderyjna i zjeżona na wzór dąsów europejskich. Z Harim nie mogłam skojarzyć takiego słowa jak „lubie”, bo to „lubienie” beznadziejnie obciążało mój pociąg fizyczny do niego, oczywiście zamieniając je w „kochanie”, co mnie jednak nie znieczulało na jego głupi upór i zjeżanie się. Te wypowiedzi na papierze mogą przedstawiać mnie jako wzór szlachetnej tolerancji, dopóki się nie pamięta, jak okropnie to wszystko zagmatwałam.

*

Nie cierpię automatyczności wrażeń, jakie odnosimy w pierwszej chwili patrząc na rzeczy, budowle czy ludzi. Na przykład: „To jest indyjskie. To jest brytyjskie.” Kiedy zobaczyłam Bibighar po raz pierwszy, pomyślałam: Jakie to indyjskie. Nie indyjskie w takim sensie, w jakim bym coś określiła, zanim przyjechałam do Indii, ale indyjskie tak, jak już to określenie rozumiałam wtedy. Jednak mówiąc coś takiego w takich okolicznościach chyba reaguje się na urok obiektu, który się widzi, który wygląda obco, ale w swojej istocie stanowi przejaw czegoś ogólnego, powszechnego. Niestety, nie znajduję odpowiednich słów, żeby sformułować tę myśl należycie. Na przykład Taż Mahal jest „typowo indyjski”, prawda? Materiał do ilustrowanej książki o Mogołach. Ale przemawia do serca tym, że świadczy o pełnej uwielbienia miłości mężczyzny do żony, o uczuciu ani indyjskim, ani nie indyjskim, tylko ogólnoludzkim, tutaj wyrażonym na sposób indyjski. Tego właśnie rodzaju wrażenie zrobił na mnie Ogród Bibighar. Wyczuwało się tam coś, co kiedyś poszło niedobrze i jeszcze nie zostało naprawione, chociaż dałoby się naprawić, gdyby tylko było wiadomo jak. Można to sobie wyobrażać o każdym domu czy ogrodzie, ale mnie się to nasunęło właśnie tam. Czując, że owo coś nadal istnieje, powiedziałam: „Jakie to indyjskie”, bo po raz pierwszy w Majapurze znalazłam się w miejscu, które mi się takie wydawało. Zdumiona tym natychmiastowym wrażeniem uznałam, że natrafiłam na coś typowego, a tymczasem to było typowe, owszem, ale nie w odniesieniu do jakichkolwiek miejsc, tylko do ludzkich postę-

352

pków i pragnień, które pozostawiają swoje piętno w najbardziej niespodziewany, czasami mrozący sposób.

Zwykle bywaliśmy w Bibighar w niedzielę rano, ale pewnego dnia schroniliśmy się tam przed deszczem późno po południu. Szybko na rowerach wjechaliśmy tam z ulicy i po stopniach prowadzących z jednego poziomu starego trawnika na drugi wbiegliśmy do „pawilonu”, to znaczy na tę resztkę mozaikowej podłogi osłoniętą dachem. Staliśmy pod dachem, ja paliłam papierosa. To było w drodze na podwieczorek do ciotki Salini. W sobotę. W szpitalu pracowałam do południa i po obiedzie pojechałam na rowerze na bazar w dzielnicy garnizonowej, żeby się dowiedzieć, czy te moje straszne fotografie, prezent urodzinowy dla Ciebie. Ciociu, są już gotowe w drogerii u Gulaba Singha, gdzie ten człowieczek, fotograf Subhas Cand, ma „kątem” zakład fotograficzny. Zobaczyłam Hariego, który właśnie wychodził z redakcji „Mayapore Gazette”, i zawołałam go.

— Chodź — powiedziałam — pomożesz mi wybrać zdjęcia dla cioci Ethel. Jeżeli wyszłam jako tako, mogę ci dać jedno.

Więc poszliśmy do Subhasa Canda i obejrzelśmy odbitki.

— Boże! — wykrzyknęłam.

Ale Hari powiedział, że wszystkie są dosyć dobre, i pomógł mi wybrać najlepsze, żeby fotograf je powiększył do rozmiaru gabinetowego, dla Ciebie, Ciociu. Potem zaciągnęłam go do sklepu Darwaza Canda i tam wybrałam dla Ciebie ten kupon na suknię. O tej porze prawie nie było klientów. Ci, którzy byli, gapili się na nas jak zwykle nieprzyjemnie. Potem spojrzałam na zegarek, zobaczyłam, że już jest czwarta, więc zaprosiłam Hariego do Domu MacGregora na podwieczorek, ale on powiedział:

— Nie, pojedziemy do ciotki Salini.

Nie byłam u niego w domu od tamtego wieczora przed samym początkiem deszczów. Powiedziałam, że bardzo chętnie, ale przedtem powinienam się przebrać.

— A po co? — zapytał. — Chyba że chcesz powiedzieć lady Chatterjee, dokąd się wybierasz.

Ale Lili wtedy po południu była na zebraniu Komitetu Szpitala Kobiecego, a że i tak miałam wrócić przed wieczorem, nie musiałam zostawiać dla niej wiadomości, gdzie będę.

Więc ruszyliśmy od razu na Ćilijanwala Bagh przez Most Bibighar. On nie chciał jechać ze mną przez Most przy Bramie Mandir, bo tamta trasa biegła potem przez cały bazar. I kiedyśmy przejeżdżali koło Ogrodu Bibighar, zaskoczył nas deszcz. Lunęło raptownie jak zawsze, więc schroniliśmy się tam. Myśleliśmy, że ta ulewa potrwa najwyżej dwadzieścia minut. Lało jednak i lało, i rozszalała się burza.

Powiedziałam Hariemu, jakie wrażenie sprawia na mnie Bibighar. To była dziwna rozmowa — siedzieliśmy na kamiennej mozaice i krzyczeliśmy do siebie, bo inaczej w tym huku byśmy się nie słyszeli, albo milkliśmy, przeczekując grzmoty. Poprosiłam, żeby też zrobił sobie zdjęcie, ale powiedział, że jest okropnie niefortogeniczny.

353

Nie bądź niemądry — powiedziałam. — A te fotografie, które pokazywała mi twoja ciocia Salini?

Powiedział, że „był wtedy młodszy”! Zapytałam, czy jeszcze dostaje listy od przyjaciół w Anglii, tych Lindseyów, ale tylko wzruszył ramionami. Zawsze się zjeżał, ilekroć ciocia Salini o nich wspominała. Pomyślałam, że przestali do niego pisać, a on wziął to sobie do serca. Ale sądząc z pewnego pytania, jakie zadała mi siostra Ludmiła, kiedy się z nią widziałam ostatnim razem, myślę teraz, że chodziło o coś jeszcze, o coś w związku z tym chłopcem, synem państwa Lindseyów, o którym ciocia Salini zawsze mówiła: największy przyjaciel Hariego „w kraju”.

W każdym razie utknęliśmy w Bibighar i zaczęło się ściemniać. Podwieczorek nam przepadł, pamiętałam, że muszę wrócić o siódmej, żeby się przebrać przed kolacją, bo ciocia Lili zaprosiła sędziego Menena z żoną dla uczczenia powrotu pani Menen z kliniki. Miałam lekkie dreszcze, tak jakbym się przeziębila. Chciałam, żeby Hari mnie rozgrzał. Anglik chyba przytuliłby mnie do siebie, ale on siedział w odległości kilku stóp ode mnie i nawet mu się nie śniło przysunąć. Denerwowałam się, zapagnęłam ująć go za rękę, wtulić policzek w jego dłoń.

Wyjechaliśmy z Ogrodu Bibighar w tamten wieczór jak kochankowie, którzy się pokłócili. Ale nie byliśmy kochankami i nie było żadnej kłótni. Znów pomyślałam: Nie jest tak, nie jest tak, jak trzeba, bo z tego nic nie wychodzi.

Odwioził mnie do domu. Chociaż nazajutrz była niedziela, żadne z nas nawet nie napomknęło, że moglibyśmy się spotkać. Wróciłam do Domu MacGregora na kilka minut przed ciocią Lili i siedziałam w wannie, kiedy usłyszałam, jak ona woła Radżu z podestu schodów. Poczułam się tak, jakbym się znalazła wśród dobrze znanych swojskich odgłosów po bardzo długiej nieobecności.

Potem znów nie widziałam Hariego przez tydzień z górą. Parę wieczorów spędziłam w klubie: jeden z Ronaldem, jeden z moją paczką, a resztę z Lili. Ale przez cały ten czas myślałam o Harim. Chciałam się z nim zobaczyć, nic jednak w tym celu nie robiłam. Zupełnie jakbym siedziała na plaży, patrzyła na morze i chciała wejść do wody, ale się bała. Dobrze — mogłam sobie obiecywać — kiedy ten obłok przeleci i znów wyjrzy słońce, wejść do wody. Obłok przelatuje, słońce przygrzewa miło, a morze wydaje się lodowate.

Mówiłam sobie: rzecz w tym, że my nie mamy dokąd chodzić, nie mamy takich miejsc, gdzie nie gapiono by się na nas, gdzie nie narażalibyśmy się na przykre sytuacje. W klubie kobiety traktowały mnie zdecydowanie ozięble. To właśnie wtedy, gdy się biedziłam, usiłując znaleźć dla nas jakieś miejsce, przyszła mi na myśl świątynia Tirupatiego.

Zapytałam ciocię Lili, czy w ogóle wpuszczają tam Anglików. Powiedziała mi, że nie ma pojęcia, ale chyba żaden Anglik o to nigdy nie pytał, bo Majapur nie jest ośrodkiem turystycznym, a świątynia Tirupatiego nie jest słynna. Obiecała jednak porozmawiać z którymś z nauczycieli z gimnazjum czy z technikum, bo jeśli jakiś

354

Anglik zwiędzał tę świątynię, to najprawdopodobniej musiał to być nauczyciel, ktoś, kto się interesuje kulturą i sztuką. Nie była pewna, czy mogą tam wchodzić młode Angielki. Powiedziałam, żeby sobie nie zawracała tym głowy, bo zapytam Hariego.

— Tak — odrzekła — przypuszczam, że mogłabyś go o to zapytać.

Minę miała taką, jakby była gotowa ze swojej strony zapytać o moje spotkania z Harim, więc żeby zmienić temat, zaczęłam opowiadać, co robiłam tego dnia w szni-talu.

Napisałam do Hariego tylko tyle: „Bardzo bym chciała zwiedzić świątynię Tiru-patiego. Czy moglibyśmy kiedyś wybrać się tam razem? Najlepiej wieczorem, bo ta świątynia zawsze wygląda bardziej interesująco o zmroku.”

W dwa dni potem Hari zadzwonił do mnie rano z redakcji. U ciotki Salini nie było telefonu. Właśnie miałam wyjść do szpitala. Powiedział, że jeśli rzeczywiście chcę zwiedzić świątynię, to on zwróci się do swojego wuja. Wuj jest jednym z tych ludzi, którzy płacą kapłanom mnóstwo pieniędzy w nadziei, że się tym zasłużą, skoro na zasłużenie się czymkolwiek innym nie mają czasu. Przynajmniej tak Hari to ujął. Powiedziałam, że chcę rzeczywiście i jeżeli on to załatwi na wieczór sobotni, moglibyśmy przedtem zjeść kolację w Domu MacGregora, a potem jeszcze wrócić na muzykę z płyt. Rozmawiał ze mną dość chłodno. Nawet myślałam, że postąpiłam nietaktownie prosząc, żeby mnie zabrał do świątyni. Niemniej umówiliśmy się warunkowo na najbliższą sobotę, kiedy, jak wiedziałam, Lili miała wyjść na brydża. Chociaż nie było mowy o tym, czy spotkamy się przed sobotą, przypuszczałam, że on może we wtorek wieczorem zajrzy do „Azylu”. Nie zajrzał. Odezwał się dopiero w piątek wieczorem.

Ale przedtem spotkałam się z Ronaldem w klubie i zostałam tam z nim na kolacji. Odwożąc mnie z klubu samochodem do Domu MacGregora zapytał, czy pozwolę się zaprosić na kolację w sobotę. Powiedziałam, że nie mogę, bo mam nadzieję, że będę wtedy zwiedzać świątynię. Kiedy zatrzymał samochód przed domem, na ganku nie było nikogo, ani śladu Radżu; ale nie wysiadł, żeby pomóc mi wysiąść. Tylko zapytał:

— Kto cię tam wprowadzi? Pan Kumar?

Przyznałam, że tak. Milczał przez chwilę, a potem wystąpił z ostrzeżeniem, z którym, jak się wyraził, nosił się od pewnego czasu: Ludzie mówią, że ja'chodzę z Hindusem, a to jest zawsze niebezpieczne, a już szczególnie niebezpieczne w obecnych czasach, zwłaszcza że ten ktoś, o kim mowa, nie cieszy się zbyt dobrą reputacją i próbuje wygrywać fakt, że przez ileś tam lat mieszkał w Anglii, co najwyraźniej w jego własnym mniemaniu

czyni go „Anglikiem”.

Potem dodał:

— Wiesz, co czuję do ciebie. Dlatego, że to czuję, dotychczas nic ci nie mówiłem.

Ale moim obowiązkiem jest ostrzec cię przed zadawaniem się z panem Kumarem.

Właśnie wtedy parsknęłam śmiechem i powiedziałam:

- Och, przestań się zachowywać jak policjant.
- No, to jest po części sprawa policyjna — odpowiedział. — Kumar był swego

355

czasu podejrzany i nadal jest, ale oczywiście ty na pewno wszystko wiesz o tym.

Powiedziałam mu, że ani o tym wiem, ani mnie to interesuje, bo poznałam Harie-go na przyjęciu w Domu MacGregora i skoro Lili uważa, że może zapraszać go do swojego domu, zupełnie mi to wystarczy. I powiedziałam, że będę wdzięczna ludziom, jeżeli przestań;) mi dyktować, z kim mam się przyjaźnić, a z kim nie, i że ja osobiście nie przywiązuję wagi do koloru skóry, a widocznie tylko kolor skóry Hariego, to, że on jest Hindusem, tak wszystkich bulwersuje.

— Najstarsza sztuczka świata — powiedział Ronald — mówić, że kolor skóry nie ma znaczenia. Owszem, ma znaczenie. Zasadnicze. Znaczenie jak diabli.

Ruszyłam się, żeby wsiąść z samochodu. Spróbował mnie przytrzymać za rękę.

— Niedobrze to sformułowałam — dodał. — Ale inaczej nie potrafię. Sama myśl o tym mnie oburza.

Nie wiem, dlaczego zrobiło mi się go żal. Może z powodu jego uczciwości. To była uczciwość dziecięca. Taka egocentryczna uczciwość, jaką przejawia dziecko. Nazywamy to niewinnością. Ale to jest nieświadomość, a także okrucieństwo.

— W porządku. Ronald — uciełam. — Rozumiem.

Puścił moją rękę, jak gdyby go sparzyła. Wsiadłam, zamknęłam drzwiczki samochodu i powiedziałam:

— Dziękuję za kolację i za odwiezienie.

Ale wydało mi się to nie na miejscu. Wszystko, cokolwiek bym powiedziała innego, też byłoby nic na miejscu. Odjechał, a ja weszłam do domu.

W piątek wieczorem Hari przysłał chłopca z wiadomością, że może mnie wprowadzić do świątyni nazajutrz wieczorem pomiędzy godziną dziewiątą trzydzieści a dziesiątą trzydzieści. Odesłałam tego chłopca z zaproszeniem na kolację między siódmą trzydzieści a ósmą.

W sobotę Hari zjawił się punktualnie, jak gdyby chciał naprawić dawniejsze spóźnienia. Przyjechał riksą, co tłumaczyło jego punktualność, ale prawdopodobnie miało zaznaczyć, jak dalece jego życie różni się od mojego. Jakoś ta różnica stała się motywem przewodnim tamtego wieczoru. On rozmyślnie starał się zrażać mnie do siebie, jestem tego pewna. Na przykład zaczął znów palić lanie indyjskie papierosy, nie biri, ale mocno pachnące, w sumie paskudne. Z trudem wypaliłam jednego i skończyło się na tym, że on palił swoje, a ja swoje. Przywiózł dwie płyty w prezencie dla mnie. Chciałam nastawić je zaraz, ale powiedział:

- Nic. Dopiero kiedy wrócimy ze świątyni. — I popatrzył na zegarek. Była za kwadrans ósma.

Zaproponował, żebyśmy już zaczęli jeść.

- Nie chcesz dopić tego do końca? — zapytałam.

Odpowiedział, że nie, ale że poczeka, aż ja dopiję, co znaczyło, że nie chce nawet poczekać. Więc kazałam Radżu ponaglić kucharza i przeszliśmy do jadalni. Tam zaczął narzekać, że wiatraki wentylacyjne kręcą się za szybko. Kazałam Radżu zmniejszyć prędkość obrotów. Zrobiło się bardzo gorąco. Kiedy zaczęliśmy jeść

356

kolację, nie używał widelców, nabierał wszystko kawałkami ćapati. Wzięłam z niego przykład. Zawołał do Radżu:

— Chłopcze, przynieś wody!

Zachichotałam, bo mi to przypomniało, jak wtedy w restauracji w Delhi, pamiętasz. Ciociu, siedzieliśmy niedaleko tej bogatej rodziny hinduskiej i jak mnie gorszyła arogancja tego Hindusa, kiedy mówił do kelnera: „Chłopcze, przynieś to. Chłopcze, przynieś tamto.” Ale Ty, Ciociu, powiedziałaś, że to nie jest arogancja, **lecz** dosłowny przekład na angielski języka, którego używa pakka sahib mówiąc: „Bera, pani lao.” Myślałam, że Hari zabawia się w parodiowanie bogatych Hindusów z burżuazji mówiącej po angielsku, i zastanawiałam się, ile wypit, zanim przyjechał do mnie tą riksą. Po jedzeniu usta i palce mieliśmy dosyć zatłuszczone. Radżu, który zauważył, co się dzieje, chociaż tego nie rozumiał, przyniósł serwetki i miseczki z ciepłą wodą. Obmyliśmy ręce i twarze. Spodziewałam się niemal, że Haricmu będzie się odbijało i zażąda wykałaczki. W pewnym sensie to było naśladowictwo doskonale. Normalnie Hari uśmiechał się do Radżu, ale teraz, poza tym że mówił: „Chłopcze, zrób to i to”, traktował go jak powietrze. Zaczęłam się zastanawiać, czy Hindusi przejęli ten zwyczaj od Anglików, czy Anglicy od Hindusów, czy też może to pozostałość z jakiegoś okresu, kiedy pomiatano służącymi wszędzie, zwyczaj, który zachował się tylko w Imperium, wśród sahibów i mem--sahib, i nowoczesnych Hindusów, pragnących zadawać szyku.

I oczywiście Hari robił coś jeszcze. Zachowując się jak indyjski pan i władca, bardzo grzeczny na pozór, ale w gruncie rzeczy samolubny i agresywny, ustalał wszystko według własnego, niekoniecznie mojego, uznania — skrócił czas aperitifów przed kolacją, przyspieszył kolację, a teraz chciał wcześniej wyruszyć do świątyni. Ostatecznie jednak wyruszyliśmy późno, bo ni stąd, ni zowąd, kiedy już mieliśmy wyjść, oznajmił, że lepiej będzie przedtem posłuchać płyt, żeby się wprawie w odpowiedni nastrój — dziwne jakieś nawiązanie do tamtej płyty z muzyką taneczną. To mnie nagle ostrzegło, że Hari jest w humorze raczej wisielczym.

I nawet nastawianie patefonu musiało być farszą przedstawiającą typowego nowoczesnego Hindusa. Kazał Radżu wynieść pateloni na werandę, ale zaraz go odepchnął! mówiąc, że sam nakręci to „diabelstwo”. po czym wysiał go na poszukiwanie igieł, które przez cały czas leżały w przegródce patefonu. czyli tam, gdzie powinny się znajdować. Z rozmysłem, chociaż niby to przez niezdarność, zarysowałam pierwszą z płyt, a potem udawałam, że nie zauważa straszego chrobotu, kiedy igła wskakiwała w tę ryś. Wybrał muzykę indyjską, coś okropnie trudnego, ragę wieczorną, która ciągnęła się i ciągnęła. Nie przypuszczałam jednak, że ja tę muzykę instynktownie pokocham. Kiedy zobaczyłam, że słucham oczarowana, zdjął płytę, zanim się skończyła, i nastawił drugą. Ta druga wzruszyła mnie i podnieciła jeszcze bardziej. Dziwna rzecz, widziałam, że jego ta muzyka rzeczywiście wściekle drażni, i widząc to wreszcie zrozumiałam: przecież on wcale ze mnie nie żartuje. Poczulałam się zagubiona, bo rozumiałam też, że on na swój sposób usiłuje zrazić mnie do siebie akurat tak, jak chcą tego wszyscy z Ronaldem na czele, a ponieważ dosyć mnie lubi, więc jest pewny, że to, czego on nic cierpi — ta muzyka i jedzenie palcami —

357

we mnie też wzbudza wstręt. Odkrycie, że nie budzi to we mnie wstrętu, a wprost przeciwnie, szalenie mi się podoba czy też że po prostu mi nie przeszkadza, wytworzyło jeszcze jedną przepaść między nami, na domiar złego nie dającą się wytłumaczyć — bo niby dlaczego ja, biała, lubię to, co czarne, a on, czarny, właśnie tego nie znosi, czy może brak mu cierpliwości albo chęci, żeby to polubić. W rezultacie nawet czerń jego skóry wydawała się nieprawdziwa, jak gdyby był aktorem umalowanym do odegrania jakiejś roli.

Tej drugiej płyty jednak nie zdjął w połowie. Kiedy się skończyła, uznałam, że czas, bym ja objęła prowadzenie.

— Powinniśmy już wyjść — powiedziałam.

Zawołałam Radżu, żeby mi przyniósł szalik. W porę sobie przypomniałam, że wchodząc do świątyni będę musiała nakryć głowę. Hari miał parasol, na wypadek deszczu. Jechaliśmy riksą i nie mówiliśmy prawie nic. Po raz pierwszy jechałam takim środkiem lokomocji. Ten biedny chłopiec radził sobie jak mógł z ciężarem dwóch osób: zamiast siedzieć na siodełku, stał i przynosił cały swój ciężar z pedału na pedał. Ale jechało się przyjemniej niż tongą, bo widzieliśmy drogę przed nami. W tondze siedzi się tyłem do kierunku jazdy (pewnie dlatego, żeby się nie czuło zapachu, jeżeli koń puszcza wiatry) i zawsze wtedy ogarnia mnie uczucie, że się ociągamy, że chcę zatrzymać wszystko, co mam przed oczami. W rikszy na odwrót: czuję, że posuwam się naprzód, że drogę przed sobą znam lepiej, więc nie będę bała się wysiąść, kiedy dojadę do celu.

U wejścia do świątyni czekał na nas jakiś człowiek, pracownik świątyni mówiący trochę po angielsku. W lukowato sklepionej bramie zdjęliśmy pantofle i Hari wpłacił pieniądze, które dał mu wuj. Nie mogłam dojrzeć ile, sądząc jednak z uwagi, jaką nam okazywano, domyślałam się, że sporo, więcej niż Hari dostał od wuja kiedykolwiek przedtem.

Ty, Ciociu, znasz świątynię. To dziwne, prawda, pomimo panującego na zewnątrz hałasu wchodzi się tam, jakby się odeszło gdzieś daleko — nie w ciszę, ale w okolicę odciętą od świata, zastrzeżoną dla ludzkiej działalności, która nic musi się wywodzić z żadnych innych ludzkich poczynań. Taka właśnie cisza jest w kościołach, ale to dlatego, że w kościołach zwykle nie ma ludzi. W tej świątyni nie było cicho. Nie było bezludnie. Ale doznawało się wrażenia odcięcia od świata. Spod łuku bramy wchodziło się w samotność. Cieszyłam się, że mam przy sobie Hariego, bo moja skóra się bała, chociaż ja nie bałam się wcale. Zdumiał mnie widok ludzi pod drzewami na dziedzińcu. W sposób typowy dla indyjskich chłopów siedzieli w kucki, prawie nie dotykając posładkami ziemi, nie podpierając się, trzymając dłonie oparte na zgiętych kolanach. Plotkowali. Zgorszyło mnie to, ale zaraz sobie uprzytomniłam, że prawdziwą świątynią jest budynek pośrodku dziedzińca, a ci ludzie zachowują się podobnie jak nasi wierni przed kościołem w poranki niedzielne, kiedy po nabożeństwie zatrzymują się, żeby pogawędzić.

358

Pod murem wokoło dziedzińca były kapliczki z figurami przedstawiającymi różne aspekty hinduskich bogów. Niektórzy bogowie nie spali i byli oświetleni, inni spali w ciemnościach. Te figury wyglądają jak lalki i mają w sobie to, co pu-rytanie nazywają krzykliwością rzymskiego katolicyzmu, prawda? Wydaje się, że są odbiciem tego, ale świadomie, jak gdyby głosiły morał — niedorzeczność faktu, że tym biednym prostaczkom trzeba przedstawiać wyobrażenia. Hari powiedział:

— Przewodnik pytał, czy chcielibyśmy uczcić Pana Wenkateśwarę pudzą.

Najświętszy przybytek! Ogarnęło mnie podniecenie. Nie spodziewałam się, że będzie mi wolno tam wejść, i do głębi teraz sobie uświadomiłam, jaki uczyniono dla mnie wyjątek. Co chwila raptownie dzwijał dzwonek u wejścia do tej środkowej świątyni. Mężczyźni i kobiety czekali. Nasz przewodnik

— co wcale mi się nie spodobało — przepchnął się do przodu, żeby wyprowadzić nas przed nich. Porozmawiał ze stojącym przy wejściu i patrzącym na nas kapłanem. Potem wrócił i zaczął mówić coś Hariemu długo i zawile. Byłam zaskoczona tym, że Hari najwyraźniej wszystko rozumiał. Kiedy odpowiadał przewodnikowi na pytanie, pojęłam, że nauczył się języka hindi lepiej, niż gotów był się do tego przyznać, i dopiero tutaj, w świątyni, nie mógł dalej udawać. Odwrócił się do mnie i powiedział:

— Muszę zadzwonić, żeby uprzedzić boga, że jesteśmy tutaj. Kiedy dzwonek zadzwięczy, postaraj się wyglądać tak, jakbyś się modliła. Diabli wiedzą, co nas tam czeka.

Narzuciłam na głowę szalik. Kapłan nie odrywał od nas wzroku. Dzwonek na łańcuchu przymocowanym do dachu zwisał nad schodkami, po których się tam wchodziło. Zobaczyłam teraz wąski korytarzyk i jasno oświetloną grootę, i to bożyszcze o czarnym obliczu, w pozłacanych szatach ze srebrnymi ozdobami. Hari pociągnął za sznur poruszający serce dzwonka, a potem złożył ręce. Więc ja też złożyłam ręce i przymknęłam oczy. Czekałam tak, dopóki nie usłyszałam:

— Już wchodzimy.

Hari wszedł pierwszy. W korytarzu było ogrodzenie ze zwyczajnych stalowych prętów. Z kilkoma innymi osobami zajęliśmy miejsca przy tych prętach — podobnie jak przy balustradce komunijnej w kościele, z tą jednak różnicą, że pręty tworzyły prostokąt i ludzie stali, a nie klęczeli. W tym ogrodzeniu było miejsce dla kapłana, który stał przy grocie, kiedyśmy się ustawiali, a potem podszedł z pozłacanym pucharem. Wyciągnęliśmy ręce jak po hostię i wtedy nalał każdemu w dłoń trochę czegoś wodnistego. Najpierw podszedł do Hindusów, żebyśmy wiedzieli, co mamy z tym zrobić. Podnieśliśmy ten płyn do ust. Był słodko-kwaśny i trochę palił. Może dlatego, że zaschło nam w ustach. Potem musieliśmy unieść dłonie nad głowy, tak jakbyśmy czynili znak krzyża. Po chwili kapłan znów podszedł ze złotą czarką, trzymał ją nad naszymi głowami i intonował modlitwy za każde z nas. Z boku stała pozłacana taca, na którą odstawił czarkę. Na tacy tworzyły krąg kopczyki kolorowego proszku i płatki jakichś kwiatów. Kapłan wetknął palec w proszek i pomazał nam czoła. Płatki okazały się girlandą z róż. Włożył mi ją na szyję. Wydawało się, że to wszystko razem trwało parę sekund. Wychodząc Hari zostawił pieniądze na tacy, którą trzymał stojący przy drzwiach inny kapłan.

359

Kiedy dopełniałam obrzędu, nic nie odczuwałam. Ale po wyjściu stamtąd wargi nadal mnie piekły i prześladował mnie ten kwaśno-słodki zapach. Podejrzywałam, że piliśmy krwi moc. Ludzie gapili się na nas. Czułam się zabezpieczona przed ich wrogością — jeżeli to była wrogość, a nie po prostu ciekawość — zabezpieczona tym znakiem na czole i girlandką z płatków czerwonych róż. Zachowałam te płatki, Ciociu. Są w walizce w białej papierowej torbie, razem z wersetem od siostry Ludmiły. Suche teraz i brązowe. Najlepszy powiew by je rozkruszył.

Jeszcze jedno pozostawało do zrobienia, jeszcze coś mieliśmy zobaczyć — figurę śpiącego Wisznu. Pan Wenkateśwara, bóg tej świątyni, jest jedną z manifestacji Wisznu, chociaż ta czarno-srebrno-złota figura, moim zdaniem, zgoła nie sprawia wrażenia podobizny tego, który podtrzymuje świat. Wisznu ma swoją grootę za główną świątynią. Jest ona wbudowana w jej zewnętrzną ścianę. Wchodzi się tam i skręca za róg, żeby zobaczyć tego boga śpiącego na kamiennym łożu. Tylko po trzy, cztery osoby mogą wchodzić na raz. Weszliśmy. Wewnątrz było chłodno. Grootę oświetlały lampy oliwne. Widok tego boga rzeczywiście wywołał we mnie wstrząs. Spodziewałam się, że to będzie coś małego, miniatura jak wszystkie inne. A tymczasem zobaczyłam leżącą postać wielkości naturalnej. Postać, która wprost przytłaczała wrażeniem swojej siły, potężniejszej we śnie niż na jawie. I jakież piękne rzeczy mu się śniły. Aż się do nich uśmiechał!

Stałabym i patrzyła na niego przez wieki, ale Hari szturchnął mnie i szepnął, że ludzie czekają, żeby wejść. Musieliśmy się przepychać wśród tych czekających, kiedy wracaliśmy na dziedziniec. Poszliśmy do drugiej bramy — z której schodki prowadziły w dół, do rzeki. Pudzę należy zakończyć kąpielą, ale tylko jeden człowiek kąpał się wtedy. Wypatrzyliśmy go, jak stał w wodzie po pas. Jego głowa lśniła, ogolona. W pobliżu bramy była szopa z podwyższeniem. Tam pracowali świątynni fryzjerzy, żeby nabożni wyznawcy mogli składać bogu w ofierze swoje włosy.

— Pójdziemy już po pantofle? — zapytał Hari. Miał dosyć.

Chyba ja także miałam dosyć, bo nie było dla mnie miejsca w scenerii tego kultu. Czułam się tak, jakbym wtargnęła na prywatny, zamknięty teren. Więc wróciliśmy przez dziedziniec i odebraliśmy pantofle. Jeszcze więcej pieniędzy przeszło z rąk do rąk. Przypuszczam, że wszystkie trafiają do kieszeni kapłanów. W bramie nieomal przejść nam nie dali żebracy. Nasz chłopiec z riksą czekał i zobaczył nas zanim my zobaczyliśmy jego. Podjechał wymuszając drogę, dzwoniąc i krzycząc, tak się bał, że jakiś inny chłopak zabierze mu nas sprzed nosa swoją riksą. Wokoło znów był zgiełk i brud. Z kawiarni po drugiej stronie ulicy dolatywała muzyka. Na stopach miałam piach, który mi zgrzytał w pantoflach. Przed tą wyprawą celowo nie włożyłam pończoch.

Wróciliśmy do Domu MacGregora, usiedliśmy na werandzie. Poprosiłam Hariego, żeby wysłał naszego

rikszarza na tyły domu, to dadzą mu coś do jedzenia. Ten chłopiec mógł mieć najwyżej siedemnaście lat — był wesoły, miły, wyraźnie

360

uszcześliwiony tym, że najęto go na cały wieczór. Sama poszłam za dom i zawałam Radżu, żeby przyprowdził go do mnie. Zjawił się natychmiast jak wyczarowany z powietrza, jak gdyby oczekiwał wezwania. Dałam mu dziesięć rupii. Majątek. Ale zasłużył na nie. I w ten sposób uzupełniłam moją pudżę. Radżu chyba miał mi to za złe. Może zażądał prowizji od tej sumy albo dał chłopcu skromniejszą kolację czy też nie dał mu kolacji wcale. W końcu to się już staje nie do zniesienia — ta obojętność Hindusów wobec siebie nawzajem; lepiej nie wiedzieć, co się dzieje.

Zaczął padać deszcz, przeszliśmy z werandy do pokoju. Hari był już w innym nastroju. Wydawał się wyczerpany, jak gdyby nie podołał nie tylko czemuś, czego zamierzał dokonać w ten wieczór, ale w ogóle niczemu z tego, na czym mu zależało. Chciałam to zbadać, nie bardzo jednak wiedziałam, jak zacząć. I kiedy wreszcie zaczęliśmy rozmawiać na ten temat, z punktu popełniłam błąd pytając:

- Próbowałeś mnie do siebie zrazić, prawda? Udał, że nie rozumie.
- Zrazić cię? — zapytał. — Jak to zrazić?

Ręce mi opadły. Wykrzyknęłam, tak jakbym się rozgniewała:

— Och, zrazić, zrazić, zrazić mnie do siebie jak wszyscy!

Zapytał, kto to są „wszyscy”.

— No, wszyscy — odpowiedziałam. — Pan Merrick na przykład. Jego zdaniem jesteś słabą lokatą.

Wzruszył ramionami.

— No cóż, pan Merrick chyba powinien wiedzieć.

Powiedziałam mu, że plecie bzdury, bo tylko on sam wie, jaką jest lokata.

— Ale o czym tu właściwie mowa? — zapytał. — Co to znaczy, lokata? Dobra lokata, słaba lokata? Niby czym ja jestem, koniem wyścigowym? Jakimiś akcjami, w których warto czy nie warto lokować pieniądze?

Nigdy przedtem nie widziałam go w gniewie. On też nigdy przedtem nie widział mnie rozgniewanej.

Wściekaliśmy się oboje i dlatego nie pamiętam dokładnie, co mówiliśmy; doprowadziło to do tego, że zarzuciłam mu bezpodstawne krytykowanie człowieka, którego pewnie w życiu swoim nie spotkał. I nie pamiętam samej tej chwili, kiedy doznałam olśnienia, że rozmawiamy jak gęś z prosięciem, że przecież to Ronald aresztował Harięgo, tylko nikt mi o tym nie mówił, to Ronald stał i patrzył, jak jego podwładny bije Harięgo po twarzy. Pamiętam tylko, jak powiedziałam coś w rodzaju:

— Chcesz powiedzieć, że to był Ronald?

A on się zdumiał. Jeszcze mam przed oczami to zdumienie, kiedy wreszcie do niego dotarło, że ja naprawdę nie wiedziałam.

Gdybym wtedy opanowała gniew. Nó, usiłowałam, bo gniewałam się nie na nie' go, tylko na Ronalda, na wszystkich innych, na siebie samą w nie mniejszym stopniu. Zapytałam:

— Więc gdzie to się stało?

I znowu zobaczyłam jego zdumienie.

— No, w „Azylu”, oczywiście — powiedział.

361

To był jeszcze jeden cios. Poprosiłam, żeby mi o tym opowiedział.

Upił się. Nie chciał powiedzieć dlaczego. Pijany powędrował na to straszne śmie--tnisko nad rzeką i wpadł ciorowu. Stamtąd zabrała go siostra Ludmiła ze swoimi, pomocnikami. Myśleli, że jest pobity albo chory, konający, dopóki nie przynieśli: go do „Azylu”. Tam odespał pijaństwo, a rano przyjechała policja, Ronald i kilku jego ludzi, szukając zbiegłego więźnia, który przypuszczalnie wrócił do Majapuru, bo to jego rodzinne strony. Owego zbiega nie było, ale był Hari. Chyba możesz sobie, Ciociu, wyobrazić, jak Hari zareagował, kiedy ktoś taki jak Ronald próbował go zastraszyć. Podinspektor Ronalda uderzył go za „odszczekiwanie”, a potem policjanci popędzili go szturchańcami, bili go i kopali, kiedy wsiadał na tył ich ciężarówki.

Kłopot polegał na tym, że Hari znał owego zbiega poszukiwanego przez policję. To wyszło na jaw, kiedy Ronald przesłuchiwał Harięgo przy tym podinspektorze w kotwali. Ale znał go tylko z biura swojego wuja, gdzie ów człowiek kiedyś pracował. Kłopot polegał też na tym, że Hari wcale nie chciał ułatwić policji ustalenia swojego nazwiska. Coomer. Kumar. Powiedział, że „jedno i drugie jest dobre”. Ostatecznie Ronald wyprosił podinspektora z pokoju i rozmawiał czy też starał się rozmawiać z Harim sam, co prawdopodobnie było trudne, bo Hari już poczuł do niego antypatię. Nie wiem, dlaczego Hari się upił. Może za dużo już spadło na niego, więc w końcu mu się wydawało, że już w nic nie wierzy i nic go nie obchodzi. Był przekonany, jak powiedział, że i tak go zamkną, więc nie liczył się ze słowami. Sądząc ze sposobu, w jaki opowiadał mi to wszystko, usiłował pomóc mi znaleźć usprawiedliwienie dla Ronalda — usprawiedliwienie, którego nic potrafił znaleźć sam. Ronald pytał go, dlaczego się upił i gdzie. A on nie chciał powiedzieć gdzie, bo uważał — i powiedział Ronaldowi — że to nie jest sprawa policji.

Chętnie jednak wyjaśnił dlaczego. Wyjaśnił, że się upił, bo nienawidzi tego całego cholernego, cuchnącego kraju, ludzi, którzy w nim żyją, i ludzi, którzy nim rządzą. Powiedział nawet: „To odnosi się do pana także,

Merrick." Znał nazwisko Merricka, bo często bywał jako reporter w sądzie. Merrick tylko się uśmiechnął, kiedy usłyszał: „To odnosi się do pana także.” Potem pozwolił mu odejść i nawet przeprosił go — z sarkazmem, oczywiście — za „sprawienie subiekcji”. Po powrocie do domu Hari dowiedział się, że siostra Ludmiła zaalarmowała jakichś ustosun-i kowanych ludzi, żeby wniknęli w sprawę jego „aresztowania”, ale to go tylko roz- bawiło — jeżeli „rozbawiło” jest trafnym słowem, kiedy naprawdę był rozgoryczony. Powiedział, że rozbawiło go zaproszenie na przyjęcie u Lili. a później rozbawiła go mina Merricka patrzącego, jak ja witam się z nim, z Harim, w tamtą sobotę na placu ćwiczeń. Nie wiedziałam, że Ronald widział mnie wtedy, ale to pasowało do całości. Hari myślał, że ja od początku znałam tę historię i że tylko przez łaskawość odeszłam od białych oficerów i białych pielęgniarek, żeby rzucić mu okruczności pociechy.

- Więc teraz — zapytałam — bawi cię to, że się spotykamy?
- Tak — powiedział — możesz to ująć w ten sposób. Jeżeli chcesz. Ale jesteś bardzo dobra i czuję do ciebie wdzięczność.

362

— Ani mi w głowie było coś takiego jak dobroć — powiedziałam.

I wstałam. On wstał także. Wystarczyłoby, żeby mnie dotknął, a te wygłupy od razu by się skończyły, ale nie zrobił tego. Bał się. Zbyt jasno sobie uświadamiał tę ważkość, która by uczyniła jego dotknięcie gestem wyzwania o znaczeniu „zasadniczym”, jak je określił Ronald kilka wieczorów przedtem. Na to nie miał odwagi, a tym samym pozbawił odwagi mnie. Wyzwanie powinien rzucić najpierw on, żeby to było ludzkie, żeby było takie, jak trzeba.

— Dobranoc, Hari — powiedziałam.

Och, nawet tym „dobranoc” pozostawiałam mu drogę otwartą, podczas gdy „do widzenia” drogę by zamknęło. Ale nie mogę go winić. Miał istotne powody, żeby się bać. Powtarzałam je sobie na górze, w swoim pokoju, kiedy siedziałam i czekałam na Lili, zdecydowana, że omówię z nią wszystko. Ale słyszałam, jak riksza odjeżdża, i czułam się tak, jakby to moje zdecydowanie też odjeżdżało. Zaczęłam się martwić, martwić o niego, bo wiedziałam, że jest człowiekiem, któremu strasznie trudno byłoby się ukryć, a on właśnie to chce zrobić. Ukryć się. Zniknąć w morzu brązowych twarzy.

Ronald Merrick wybrał trafne określenie — Hari i ja z a d a w a I i ś m y się ze sobą. Moglibyśmy być sobie obcy, wrodzy, moglibyśmy być kochankami, ale w żadnym razie nie moglibyśmy być przyjaciółmi, ponieważ nasza przyjaźń, zbyt często wystawiana na próby, nie mogłaby przetrwać. Nieustannie musieliśmy pytać się w duchu, czy warto? Nieustannie musieliśmy badać, dlaczego chcemy być razem. Z mojej strony motywem był pociąg fizyczny. Za mało miałam pewności siebie, by myśleć spokojnie, że Hari czuje pociąg fizyczny do mnie. Ale to w niczym nie zmieniało mojego uczucia. Byłam w nim zakochana. Pragnęłam jego obecności, wmawiałam sobie, że gwizdzę na opinię. Nie obchodziło mnie, co on robi ani co ludzie tacy jak Ronald Merrick myślą, że on robi czy też potrafi robić. Chciałam chronić go przed niebezpieczeństwem. Gdyby miało mu pomóc to, że już nie będziemy się spotykać, byłam gotowa pozwolić mu odejść, pozwolić, żeby się ukrywał. Ale byłam też zakochana, więc oszukiwałam się, że owo „już nie” ma granicę w czasie, że podlega czarodziejskiemu zaklęciu. Aż raptem straciło swoją moc postanowienie, że to on musi zrobić następne posunięcie.

Nazajutrz rano, kiedy Lili zapytała, jak było w świątyni, ćwierkałam z ożywieniem, jak gdyby nic się nie stało. Kilka razy omal nie wyrwało mi się pytanie: „Czy wiedziałaś, że właśnie Ronald aresztował Harięgo!” Ale nie chciałam usłyszeć od niej: „Tak.” Nie chciałam utorować drogi do rozmowy, w której Lili musiałaby wyznać, na przykład, że od początku żywi co do Harięgo wątpliwość i żałuje swego pochopnego wystąpienia w obronie człowieka, którego wtedy nie znała, i że teraz, odkąd dowiedziała się o nim więcej, uważa, że Ronald podejrzewa go słusznie, krótko mówiąc, bynajmniej nie przynosi Ronaldowi ujmy fakt, że wziął Harięgo na przesłuchanie.

Lili oczywiście pierwsza — wiedziałam — mogłaby się zorientować, że coś zaszło między Harim i mną, jeżeli dni będą mijać bez wiadomości od niego, bez naszych spotkań. Uświadomiłam sobie, że zachowując milczenie pomagam Hariemu,

36.1

odciągając skierowaną na niego uwagę. Ale pojęcia wtedy nie miałam, że w gruncie rzeczy tylko folgowałam swojej nie zaspokojonej namiętności — osnawałam go ochronną pajęczyną, która oddzielała oii niego nawet mnie. Nie czułam, że mnie oddziela. Poczułam to dopiero później.

Zajmowałam się swoją pracą, swoimi codziennymi sprawami. Nic, ani słowa od niego. Żeby uniknąć pytań Lili, gdyby zdecydowała się mi je zadać, prawie co wieczór chodziłam do klubu. Ludzie to widzieli. Byłam rada z tego, że widzą. Skoro jestem w klubie, to oczywiście nie jestem gdzieś z Harim. Ronald za pierwszym razem, kiedy go tam zobaczyłam, podszedł do mnie i zapytał:

— Podobało ci się w świątyni?

Wzruszyłam ramionami.

— Och, owszem — powiedziałam. — Trochę lo jednak granda. Tylko by brali pieniądze.

Uśmiechnął się. Nie wiedziałam, czy jest zadowolony, czy zakłopotany. Ani też czy się połapał, że udaję. Ale potem doszłam do wniosku, że choćby się połapał, to i tak nie zrozumie, co się za tym kryje. Nienawidziłam go w tamten wieczór. Nienawidziłam go, a uśmiechałam się do niego. Prowadziłam grę. I znów stwierdzałam: jakież to łatwe, jakie proste. Udawanie, że się dostosowuję. Bo przez cały ten czas nie było do czego się dostosować poza

jednym jedynym pojęciem, szaradą opartą na zwrocie: wyższość białych.

I przez cały ten czas tęskniłam do Hariego. Wydawało mi się, że Hari wygląda zza ramienia każdego mężczyzny o różowej twarzy, i widziałam na każdej różowej męskiej twarzy wysiłek wmawiania sobie i innym, że świat się kończy na nas. Świat mały, nienawistny, zamknięty, który lada chwila eksploduje jak proch sprasowany, gotowy do wystrzelenia.

Rozmyślałam o tym, że ta cholerna sprawa: m y w Indiach, już ma temperaturę zapłonu. Musi mieć, bo jest oparta na przemocy. Kiedyś może dziwny tu siły nie tylko fizyczne, ale i moralne. Tylko że owa moralność skisła. Właśnie. Widać to na naszych twarzach. Kobiety wyglądają gorzej niż mężczyźni, bo dla nas, kobiet, świadomość własnej wyższości fizycznej jest niezgodna z naturą. Biały mężczyzna w Indiach może czuć swoją przewagę fizyczną, nie stając się przy tym bezpłciowy. Ale co się dzieje z kobietą, jeśli ona sobie mówi, że dziewięćdziesiąt procent mężczyzn, których widzi, to wcale nie mężczyźni, tylko stworzenia jakiegoś niższego gatunku, przede wszystkim wyróżniające się kolorem skóry? Co się dzieje, kiedy my. Angielki, tak pozbawiamy płci cały naród, traktując go jak naród eunuchów? Bo przecież właśnie to robimy, prawda?

Bóg wie, co się dzieje. Co się będzie działo. To wszystko chyba tylko pogarsza się z roku na rok. Nieuczciwość jest z obu stron, bo to zagadnienie moralne skisło tak samo z ich strony, jak z naszej. Wracamy do zasadniczej kwestii, kto skacze, a kto mówi: „Skacz.” Można temu nadawać najrozmaitsze, jakie tylko się chce, wyszukane nazwy, nawet: „największy eksperyment rządów kolonialnych i wpływu cywilizacji od czasów przedchrześcijańskiego Rzymu”, że zacytuj Ci, Ciociu, słowa naszego starego przyjaciela, pana Swinsona. To się zamieniło z ich strony w ordy-

364 narną szamotaninę w walce o wydarcie nam władzy i tak samo ordynarne kołtuństwo \ naszej strony. Im większa jest ich szamotanina, tym większe jest nasze kołtuństwo. Iyie da się już tego ukrywać, bo zagadnienie moralne, jeśli w ogóle kiedykolwiek istniało, już nie istnieje. To my jesteśmy winni, że nie istnieje, bo chociaż naszym obowiązkiem było je poszerzać, myśmy je zawężali i zawężali, bo nigdy nasze słowa nie miały pokrycia w naszym postępowaniu. Nie miały pokrycia, bo właśnie tu, gdzie powinny w sposób jak najbardziej widoczny mieć pokrycie, górę brał w nas stary, pierwotny dziki instykt, który nakazywał atakować i niszczyć wszystko, czego nie rozumieliśmy, a to tutaj wyglądało na coś innego niż. rzeczy nam znane, < i rzeczywiście było inne. I Bóg wie, o ile stuleci trzeba się cofnąć, żeby wyśledzić źródło wyraźnego lęku ciemnoskórych przed ludźmi o .skórze jaśniejszej. Boże, dopomóż nam, jeżeli kiedyś oni przestaną się lękać. Może lęk nie jest właściwym słowem. Przynajmniej w Indiach. lęk to uczucie pierwotne, a ich cywilizacja jest przecież bardzo stara. Więc może ująć to inaczej: Boże, dopomóż nam, jeżeli kiedykolwiek zmęczenie Hindusów w przejdzie w lęk. Ale zmęczenie to też nie to. Może brak w naszym języku słowa na określenie tego, co oni czują. Może to słowo jest ukryte w kamiennej figurze śpiącego Wisznu, który wygląda tak, jakby miał się zaraz zbudzić i wśród radosnych grzmotów burzy zabrać swój lud w niepamięć-tliwość.

Czy na tym polegała różnica pomiędzy moimi uczuciami i uczuciami Hariego? Na tym, że on mógł czekać, a ja nie mogłam? W końcu nieznośne stało się dla mnie milczenie, bierność tej rozłąki, sztuczność mojej sytuacji. Napisałam do niego. Wcale nie byłam zdolna do samozaparcia. To jest chyba wada anglosaska. Nieustannie chcemy dowodów — natychmiast! — dowodów świadczących, że istniejemy, że się oznaczyliśmy i możemy nosić na szyjach tę oznakę, która nas określa, więc na pewno nie giniemy w tej strasznej ciemnej dżungli bezimiennosci.

Ale moje zniecierpliwienie łączyło się z anglosaskim planowaniem, z przezornością, z akceptacją faktu, że Czas odbywa biegi na pewne ustalone dystanse, dla których zdefiniowania wynaleziono zegar i kalendarz. Im dalej jesteśmy od równika, tym bardziej odczuwamy rytm dnia i nocy. odczuwamy, jak ten rytm się wydłuża i skraca, jak zaznacza pory roku, tak że sam Czas rozwija w nas jakąś szczególną cechę, sprawiającą, że jesteśmy posłuszni jego nedorzecznym, ale drobiazgowym wymogom. Cidybym była Hinduską, napisałabym w moim liściku do Hariego: „Dziś wieczorem, proszę.” Ja jednak zaproponowałam spotkanie za kilka dni. Trzy czy cztery. Zapomniałam, za ile. co dowodzi, że nieważna była rzeczywistość ich liczba, nieważna proponowana data — chociaż datę pamiętam. Pamiętają chyba wszyscy. Dziewiątego sierpnia. Napisałam do Hariego, że przykro mi z powodu wszelkich nieporozumień i chcę z nim porozmawiać. Napisałam, że będę dziewiątego wieczorem w „Azylu”, że mam nadzieję spotkać się tam z nim.

Nie dostałam odpowiedzi, ale kiedy ten dzień nadszedł, wstałam rano szczęśliwa

365

nieomal zawrotnie. W porze śniadania zadzwonił telefon. Myślałam, że to Hari; więc popędziłam i podniosłam słuchawkę, zanim Radżu zdążył podejść. To nic był Hari. To pani Śriniwasan telefonowała do Lili. Wysłałam Radżu do sypialni Lili, żeby ona tam podniosła słuchawkę telefonu przy łóżku. Kiedy przyszłam dp niej przed wyjściem do szpitala, powiedziała:

— Aresztowali Wassiego.

No cóż, znasz. Ciociu, te sprawy. Byłyśmy na to przygotowane, ale kiedy to się naprawdę stało, doznałyśmy wstrząsu. W szpitalu dziewczęta zachowywały się tak, jakby zamknięcie Mahatmy, jego kolegów i członków Kongresu w całym kraju było ich osobistym posunięciem, dzięki któremu jeszcze żyjemy. Rok temu chyba

większość z, nich pojęcia nie miała, co to w ogóle jest Kongres. Nastrój w szpitalu w tamten poranek panował taki jak w klubie na zakończenie Tygodnia Wojny. Jedna z dziewcząt powiedziała:

— Zauważyłyście? Salowi mają nosy spuszczone na kwintę.

To było jak hasło. Wszystkie na wyścigi zaczęły wynajdywać nowe sposoby upokarzania personelu hinduskiego. I jakoś troszeczkę inaczej odnosiły się do mnie, jak gdyby chciały dać mi do zrozumienia, że od miesięcy stawiam na niedobrego konia.

Dopiero po południu ogarnął je strach. Najpierw rozeszła się pogłoska o rozruchach w podokręgach, potem potwierdziła to wiadomość, że zastępca komisarza wyjechał w teren z patrolem policyjnym, żeby zbadać, dlaczego nie ma łączności z miasteczkiem Tanpur. Zbierało się na deszcz. Za kwadrans piąta ogarnęła nas wszystkie panika, bo pan Poulson przywiózł tę nauczycielkę z misji, pannę Crane. Z początku myślałyśmy, że ją zgwałcili, ale kiedy spotkałam pana Poulsona na korytarzu przed gabinetem siostry przełożonej, opowiedział mi, jak to naprawdę było. Na pannę Crane wracającą z Dibrapuru napadła jakaś banda. Jej samochód spalili i zamordowali przy niej jednego z podległych jej nauczycieli — Hindusa. Doznała szoku i strasznie się przeziębiła, bo siedziała na poboczu szosy w ulewnym deszczu, czuwając nad zwłokami zamordowanego. Znałam pannę Crane z przyjęcia u komisarza okręgowego, więc siostra przełożona pozwoliła mi pójść do niej. Jęczała w malignie, nie poznawała mnie. Myślałam, że umiera.

— Przykro mi. Przykro mi, że już za późno — mamrotała. I coś jeszcze, że za dużo ćapati, nie zje ich sama, i pytała, dlaczego ja z nią nie jem, dlaczego chodzę głodna.

Trzymałam ją za rękę, usiłowałam się z nią porozumieć, ale wciąż powtarzała:

— Przykro mi, już za późno.

Potem powiedziała nagle:

— Nazywam się Edwina Crane i moja matka umarła tak dawno, że tego nie pamiętam.

Potem bredziła o naprawie dachu, o tym, że nic nie może poradzić.

— Nic — mówiła raz po raz. — Nic nie mogę poradzić.

366

Padał deszcz, kiedy wyszłam ze szpitala.¹ Nie zobaczyłam nigdzie ciężarówki kni kierowcy Ronalda. Zresztą na pewno policja była tego dnia zajęta. Ale miałam rower, nieprzemakalną pelerynę i ceratowy marynarski kapelusz. Rano powiedziałam Lili, że wpadnę do klubu, a potem umówiłam się tam z dziewczętami, ale od łóżka panny Crane odeszłam dość późno, więc pojechałam prosto do „Azy-lur. Pojechałam ulicą Szpitalną i Wiktorii i przez Most Bibighar. Deszcz i krążące pogłoski najwidoczniej sprawiły, że ludzie woleli siedzieć w domach, bo na całej trasie nie spotkałam prawie nikogo. Dojechałam do „Azylu” za kwadrans szósta. Padało już trochę mniej.

Nigdy, Ciociu, nie opisywałam Ci „Azylu”, prawda? Z Przedłużenia Ćilijanwala Bagh skręca się na piaszczystą drogę, która biegnie skrajem nieużytków nad rzekę, gdzie w okropnych, nędznych szałasach mieszkają najbiedniejsi niedotykalni. Tą piaszczystą drogą dochodzi się do otoczonej murem posesji mierzącej prawie akr. Są tam trzy stare budynki z początków dziewiętnastego wieku. W jednym mieści się kancelaria, w drugim przychodnia i cela siostry Ludmiły, a trzeci, największy, to właśnie dom dla chorych i umierających. „Azyl” na zewnątrz wygląda dosyć smętnie i przeważnie czuje się tam zapach rzeki. Ale wewnątrz, w budynkach, jest czysto, schludnie, wszystko wyszorowane, pobielone.

Ona ma jednego głównego pomocnika, niemłodego Goańczyka nazwiskiem de Souza, i kilka osób, które najmuje dorywczo. Zawsze się zastanawiałam, skąd bierze na to pieniądze.

Nie zastałam Hariego. Wszłam najpierw do kancelarii. Pan de Souza powiedział mi, że siostra Ludmiła jest u siebie, bo w przychodni, jak dotąd, nie ma pacjentów, pewnie z powodu pogłosek o rozruchach. Przeszłam przez podwórze do budynku przychodni i zapukałam do drzwi pokoju siostry Ludmiły. Ostatnio widziałam się z nią przed zwiedzaniem świątyni. Ona wiedziała, że wybierałam się do świątyni z Harim. Poprosiła, żebym weszła, opowiedziała swoje wrażenia.

Deszcz przestał padać i chyba po dziesięciu minutach pokazało się słońce, jak często się zdarza pod koniec deszczowego popołudnia, ale oczywiście już zachodziło. Zapytała:

— Czy Hari ma tu być dzisiaj?

Powiedziałam jej, że nie jestem pewna. Wtedy zapytała mnie o wrażenia ze świątyni. Sama nigdy tam nie była. Opowiedziałam jej, jaką pudzę odprawiliśmy dla uczczenia Pana Wenkateśwary i o posągu śpiącego Wisznu. Chciałam ją zapytać o tamtą noc, kiedy znalazła Hariego pijanego w rowie na nieużytkach za „Azylem”, ale nie zapytałam. Minuty płynęły, a on się nie zjawiał. Myślałam: To wszystko odchodzi, odchodzi, zanim czegokolwiek dotknę, cokolwiek zrozumie. Patrzyłam na wyrzeźbionego w drewnie tańczącego Siwe. Nieomal się poruszała. W końcu nie mogłam już na niego patrzeć, bo jego widok mnie obezwładniał. Czułam, że jeszcze chwila, a zatracę się zupełnie.

Odwróciłam się od niej. Zawsze siedziała na tym twardym drewnianym krześle,

¹ Tu zaczyna się fragment pamiętnika udostępniony do przeczytania Robinowi White'owi (przyp. aut.).

wyprostowana, z rękami splecionymi na kolanach, ale tak, że na palcu widać było jej ślubną obrączkę. Nigdy nie widziałam jej z gołą głową, więc nie wiem, czy ma obcięte włosy. Kiedy bywałam u niej przy innych okazjach, surowa prostota jej pokoju zawsze jakoś symbolizowała dla mnie poczucie bezpieczeństwa. W tamten wieczór jednak pomyślałam: Nie, to nie pokój, to ona sama w sobie ma bezpieczeństwo. Czułam, że i to ode mnie odchodzi. Tak dużo chciałam o niej wiedzieć, ale zadałam jej tylko jedno jedyne pytanie osobiste. Ona mówi po angielsku świetnie, a przecież z wyraźnym obcym akcentem. Zapytałam ją, skąd tak doskonale zna angielski.

Odpowiedziała:

— Mąż mnie nauczył. Nazywał się Smith.

Słyszałam o niej wiele różnych opowieści — na przykład, że Uciekła z klasztoru nowicjatu i teraz ubiera się jak zakonnica w nadziei, że tym sobie wyjedna przebaczenie boskie. Wątpię, czy to prawda. Chyba wszystkie opowieści o niej są zmyślane. Prawdą jest tylko jej miłosierdzie. Takie miłosierdzie, że nawet moja ciekawość kładła uszy po sobie. Kiedy z nią rozmawiałam, nie czułam w niej żadnej tajemnicy. Ona sama w sobie była całym potrzebnym mi wyjaśnieniem. Rzadko spotyka się takie osoby, prawda, Ciociu? Mało kto prawdę swojego życia objawia w tym, czym jest i co robi, a nie w tym, co zrobił i czym był kiedyś, ani też w tym, co mogą myśleć o nim ludzie.

Siedziałam u niej godzinę, dopóki nie zapadł zmierzch. Pocieszałam się w duchu, że Hariego pewnie coś zatrzymało w redakcji, ale wiedziałam, że to nie tłumaczy jego milczenia. Zastanawiałam się, czy nie został znów aresztowany, ale doszłam do wniosku, że to nie jest prawdopodobne. Aresztowano tużów z miejscowej organizacji Kongresu, takich jak Wassi. Chciałam wpaść do ciotki Salini, ale kiedy w końcu wsiadłam na rower i wyjechałam z „Azylu” na Przedłużenie Ćilijanwala Bagh, rozmyślałam się i skręciłam w stronę Mostu Bibighar. Myślałam, że znów zacznie padać, więc włożyłam pelerynę i kapelusz zamiast przytroczyć je do bagażnika, a było strasznie parno. Przejechałam przez most i tor kolejowy. Zatrzymałam się pod latarnią, zdjęłam pelerynę i położyłam na kierownicy. To właśnie ten postój sprawił, że kiedy znów ruszyłam, skręciłam na drugą stronę jezdni, żeby zajrzeć w bramę Bibighar. Coś mnie tknęło, że Hari jest w Bibighar, siedzi sam w pawilonie, nie spodziewa się mnie, ale myśli o mnie, zastanawia się, czy przyjadę.

Wjechałam w otwartą bramę i zboczyłam ścieżką do miejsca, gdzie zwykle zostawialiśmy nasze rowery, bo mogliśmy oprzeć je o mur w miejscu widocznym z pawilonu. Roweru Hariego tam nie było. Spojrzałam na pawilon w mroku. Z początku nic nie zobaczyłam, ale po chwili dojrzałam coś, rozjarzające się oczko; ktoś palił papierosa. Odległość pomiędzy ścieżką przy murze i pawilonem wynosi chyba ze sto jardów. Można dojść do pawilonu przez zapuszczony trawnik, wznoszący się szeregiem niskich stopni. Właśnie dlatego zostawialiśmy rowery pod murem, że nie chciało się nam ich taszczyć po tych stopniach. Można też dojść do pawilonu ścieżką, która biegnie naokoło. Nie miałam pewności, czy to Hari jest w pawilonie, więc podjechałam na rowerze ścieżką.

Zobaczyłam stojącego mężczyznę.

368

- Hari? — zapytałam. — To ty?
- Tak — odpowiedział.

Zgasiłam latarkę, oparłam rower o drzewo i podeszłam. Machinalnie zabrałam z roweru pelerynę.

- Nie dostałeś mojej kartki? — zapytałam.

To było niemądre pytanie. Przemilczał je. Sięgnęłam po papierosa, ale nie miałam w paczce już ani jednego. Poprosiłam, żeby mnie poczęstował. Ale kiedy zapaliłam, zakrzusilałam się, zaczęłam kaszleć, więc tego papierosa wyrzuciłam. Usiadłam na mozaice. Ponieważ dach wystaje poza krawędź podwyższenia, mozaiką jest zawsze sucha. Peleryna nie była potrzebna. Położyłam ją obok na ziemi. Po cieszczu, jeżeli jest się wśród drzew, ma się wrażenie, że wciąż jeszcze pada. Woda kapie z liści i z dachu. Hari też usiadł i znów zapalił.

— Daj mi jeszcze jednego — poprosiłam.

Podsunał mi otwartą paczkę. Jedną ręką sięgając do niej, drugą przyciągnęłam jego rękę, w której trzymał swego papierosa, i przypaliłam od niego. Teraz już się nie zaciągałam. Po chwili Hari zapytał:

- Co chcesz udowodnić? To, że się nie wzdragasz przed dotykaniem mnie.
- Myślałam, że te bzdury mamy już za sobą — odpowiedziałam.
- Nie — powiedział. — Nigdy nie będziemy mieli tego za sobą.
- Mamy — powiedziałam. — Ja mam. Zresztą to i tak nigdy nie było przeszkodą. Przynajmniej dla mnie.

Zapytał, dlaczego przyjechałam do Bibighar. Wyjaśniłam, że czekałam godzinę w „Azylu” i wstąpiłam po drodze, bo przyszło mi na myśl, że on może tu być. Po chwili powiedział:

— Nie powinnaś jeździć dziś sama. Odprowadzę cię do domu. Wyrzuc to pa skudztwo.

Pochylił się ku mnie, ujął mnie za przegub ręki, zabrał mi papierosa i cisnął w trawę. Nie mogłam tego znieść — tego, że Hari jest przy mnie tak blisko, a wiem, że go utracę. Przecież ujął mnie za rękę niecierpliwym gestem kochanka. On też musiał tak to odczuć. Chciałam go zmusić siłą woli, żeby nie puścił mojej ręki. Przez sekundę bałam się, chyba dlatego, że on chciał, żebym się bała. Ale już zaraz całowaliśmy się. Luźna, wyrzucona na spódnie koszula mu się podwinęła, trzymałam dłoń na jego nagich plecach, a potem oboje straciliśmy opamiętanie. Nie było nic z delikatności w sposobie, w jaki mnie wziął. Uniósł mnie i położył na mozaice. Rozdarł mi bieliznę, napierał z całej siły. Ale to już nie byłam ja i nie był Hari. Przyjmując go, krzyknęłam. I

wtedy to byliśmy my.

Przyszli, kiedy leżeliśmy na pół drzemiąc, słuchając rechotania żab; on trzymał mi rękę na piersi, a ja przesuwałam palcami po jego czarnych włosach, żeby wytropić cud jego czarnego ucha. Pięciu ich było czy sześciu. Weszli na mozaikę. Twarze z mojego koszmaru.

369

Nie twarze. Czarne postacie w białej bawełnianej odzieży, cuchnącej, szmatławej. Rzucili się wszyscy na Hariego, odciągnęli go ode mnie. A potem spadła na mnie ciemność. Poczułam dobrze znany zapach, było mi gorąco, duszno. Coś zakrywało mi głowę. Kiedy zaczęłam się szamotać, myślałam tylko o tym czymś, co mnie dusao. Znałam to, ale zarazem nie znałam tego, bo mnie dusiło. Potem — pewnie wtedy, gdy ten, który mnie obezwładnił i narzucił mi to na głowę, podniósł się — przez chwilę czułam tylko swoją odsłoniętą nagość. On prawdopodobnie się podniósł, bo tamci skończyli rozprawiać się z Harim i przyszli mu pomóc. Czułam napór na kolana i na kostki, i na przeguby — nastąpiła chwila strasznego rozwarcia, bezbronności, a potem pierwsze straszne zwierzęce dźwięczenia, akt miłosny bez jednego zbawczego ułamka sekundy, w którym byłaby miłość.

Już mi się nie śnią twarze. Teraz w koszmarnych snach zwykle jestem niewidoma. Taki sen zaczyna się od figurki Siwy. Widzę go wzrokiem pamięci. Siwa nagle wychodzi z obręczy kosmicznego ognia i kładzie się na mnie, unieruchamiając mi ręce i nogi w ciemnościach. Nie wiadomo kiedy wyrasta mi dodatkowa ręka, żebym mogła z nim walczyć albo go objąć, ale on wciąż ma jedną rękę wolną, którą mnie przypiera, nowy fallus wyrasta mu w miejsce już wyczerpanego. Taki sen kończy się tym, że odzyskuję wzrok i widzę wyraz twarzy Siwy, wyraz rozgrzeszenia i zachęty. Budzę się wtedy przypominając sobie, jak po ich odejściu stwierdziłam, że trzymam moją nieprzemakalną pelerynę, i oddychałam świadoma błogosławieństwa, jakim jest możliwość napełnienia płuc powietrzem, i myślałam: „To jest moje, to moja peleryna chroniąca mnie przed deszczem, moja przez cały czas, cząstka mojego życia.” Trzymałam tę pelerynę, jak gdybym uczepiła się deski ratunku. Przytuliłam ją do siebie, okryłam się nią. Myślałam, że jestem sama. Wydawało mi się, że Hari odszedł z nimi, bo był jednym z nich.

Ale nagle go zobaczyłam. Zarys jego postaci. Leżał tak, jak ja leżałam, na mozaice. Związali mu ręce i nogi w kostkach, zakneblowali usta pasami, które, o ile dobrze widziałam, oddarli ze swojej odzieży, a potem rzucili go w takie miejsce, że musiał mieć oczy zamknięte, jeżeli nie chciał widzieć, co się dzieje.

Jak niemowlak porachkawałam po mozaice i zaczęłam się szamotać z tymi supłami, szamotać się dlatego, że były bardzo zaciśnięte i prawie nie do rozplatania, i dlatego, że jednocześnie usiłowałam okrywać się peleryną. Najpierw wyciągnęłam mu knebel z ust, bo mogło mu być trudno oddychać, potem wreszcie zdołałam rozplatać te sznury na jego kostkach i na rękach. Kiedy to zrobiłam, on nadal leżał tak, jak go zostawili, więc po chwili wzięłam go w objęcia, bo nie mogłam tego znieść. Nie mogłam znieść jego płaczu.

Płakał chyba ze wstydu, płakał zdruzgotany tym, co mnie spotkało, i swoją bezradnością. Powiedział coś, ale nie dosłyszałam, za bardzo byłam oszołomiona.

370

Zawsze jednak przypomina mi się to jako nieartykułowane błaganie, żebym wybaczyła.

Nagle zrobiło mi się bardzo zimno. Poczułam, że się trzęsę. Teraz o n obejmował m n i e i przez jakiś czas tulił mi się do siebie jak dwoje dzieci przestraszonych w ciemnościach. Ale nie mogłam zapanować nad dreszczami. Narzucił mi pelerynę na ramiona, otulił mnie. Wstał, odszukał moje rzeczy. Po omacku brałam je od niego. Powiedział:

— Obejmij mnie za szyję.

Dźwignął mnie i zniósł ze schodków wolno, stopień po stopniu. Myślałam o tych wszystkich stopniach, które są jeszcze między pawilonem i bramą, a potem o rowerze. Przypuszczałam, że Hari przeniesie mnie na przełaj, ale skierował się na ścieżkę. Kiedy mijał miejsce, gdzie zostawiłam rower, powiedziałam:

- Zaczekaj, jest gdzieś tutaj.
- Nie zrozumiał
- Mój rower — wyjaśniłam.
- Postawił mnie na ziemi, ale nie puścił. Powiedział, że nie widzi roweru. Oni

pewnie ukradli rower albo ukryli. Powiedział, że wróci rano i jeszcze poszuka. Zapytałam, co z jego rowerem. Ale on swój rower zostawił w warsztacie na bazarze do reperacji. Zostawił wczoraj. Dźwignął mnie znowu i ruszył ścieżką. Czułam, że jestem bardzo ciężka. Poprosiłam, żeby mnie puścił. Zrobił to, ale zaraz podniósł mnie znowu. Dopóki byliśmy w ogrodzie, pozwalałam się nieść. Gdybym go poprosiła, żeby zaniósł mnie do Domu MacGregora, myślę, że jakoś by zdołał. Ale kiedy dotarliśmy do bramy i znów — jak gdyby po to, by zaczerpnąć tchu — postawił mnie na ziemi, uprzytomniłam sobie istnienie świata poza tyńni ogrodem. Po drugiej stronie

bramy zaczynało się to, co każda inna biała dziewczyna określiłaby mianem bezpieczeństwa. Dla mnie też w pewnym sensie to było bezpieczeństwem. Ale nie było bezpieczeństwem dla niego. Kiedy chciał mnie znów dźwignąć, odepchnęłam go, tak jak się odpycha dziecko, które sięga po coś, co parzy. Widząc tę bramę, wyobraziłam sobie, że on mnie już niesie w tamtą stronę, w blask światła dzielnicy garnizonowej.

— Nie — powiedziałam — muszę wrócić cio domu sama. Nie byliśmy razem.

Wcale się z tobą nie spotkałam.

Spróbował ująć mnie pod ramię. Odsunęłam się od niego.

— Nie. puść mnie — powiedziałam. — W ogóle nie było ciebie nigdzie w pobliżu.

O niczym nie wiesz. Nie wiesz. Nie mów nic.

Nie chciał słuchać. Chwyił mnie, żeby przyciągnąć do siebie, ale mu się wyrwał. Przeraziła mnie myśl, co z nim będzie, co mogą z nim zrobić. Przecież nikt by mi nie uwierzył. A on powiedział:

— Muszę być z tobą. Kocham cię. Proszę, pozwól mi być z tobą.

Gdyby tego nie powiedział, może bym ustąpiła. To, czy on miał rację, a ja się myliłam, i czy jedynym właściwym wyjściem z sytuacji byłoby rzeczywiście trzymanie się prawdy, dręczy mnie bez przerwy. Noszę to w sobie — drugie brzemię tak samo ciężkie, chociaż nie tak widoczne jak płód. I można się dziwić, dlaczego

371

wtedy, gdy mi powiedział, że mnie kocha, nie zmieniłam raptownie decyzji, nfc ustąpiłam. Ale nie taka jest prawda, przynajmniej dla mnie. Jego wyznanie mnie oszołomiło. Wpadłam w jeszcze większą panikę, bo... Co oni mogliby z nim zrobić, gdyby i m powiedział: „Kocham ją. My się kochamy”?

Rzuciłam się na niego z pięściami, nie żeby uciec, tylko żeby jego zmusić ,do ucieczki. Usiłowałam wbić mu do głowy rozsądek, rozum, chytróść. Powtarzałam:

— Wcale się nie widzieliśmy. Ty byłeś w domu. Nic nie mów. O niczym nie wiesz. Przyrzeknij mi.

Byium wolna, rusz, yłam biegiem, nic czekając nu jego przyrzecz.cnic. W bramie dogonił mnie i przytrzymał. Znow poprosiłam, żeby innie puścił.

— Proszę cię, puść mnie, nie mów nic, nie wiesz o niczym, dla mojego dobra.

Bo tylko w ten sposób mogłam wymóc na nim, żeby nic nie mówił i udawał, że o niczym nie wie, dla swojego własnego dobra.

Na sekundę przytuliłam się do niego — po raz ostatni. A polem wyrwałam się znowu, wybiegłam z bramy i pędziłam, pędziłam w świetle latarni, w ciemności, wdzięczna za tę ciemność, pędziłam przed siebie, byle dalej. Nagle przystanęłam, oparłam się o mur. Chciałam zawrócić. Chciałam się przyznać, że nie potrafię zmierzyć się z tym sama. I chciałam, żeby on wiedział, że ja widzę całkowitą niesłuszność taktyki, jaką obrałam. Ale on by nje zrozumiał, co ja czuję, o co mi chodzi. Byłam strasznie obolała. I wyczerpana. I bałam się. Zanadto się bałam, żeby zawrócić.

Powiedziałam sobie: „Nic nie mogę zrobić, nic, nic, nie.” I zastanowiłam się, gdzie ja to już słyszałam. I ruszyłam znowu biegiem po tych prawie nie oświetlonych ulicach, które powinny poprowadzić mnie do domu. ale prowadziły w nieznane, prowadziły w bezpieczeństwo, które nie było bezpieczeństwem, bo tam dalej rozciągała się równina, otwarta przestrzeń, aż myślałam, że jeśli będę biegła dostatecznie długo, wybiegnę poza krawędź świata.

Wtedy wydawało mi się prostą rzeczą mówić: Hariego tam nie było; sądziłam, że samym powtarzaniem tego usuwam go gdzieś, gdzie nic mu grozić nie może. Teraz dla odmiany zbyt łatwo jest zakładać, że chroniłaby go tylko prawda, jakkolwiek nieprzyjemnie byłoby nam tę prawdę wyznać i jakkolwiek niebezpieczne byłoby to dla niego. No cóż, gdyby Hari był Anglikiem — na przykład tym młodym podporucznikiem, który zalecał się do mnie na balu na zakończenie Tygodnia Wojny — wyjawienie prawdy narzuciłoby się samo i chyba wcale nie chciałabym kręcić. Ludzie pojęliby, co robiliśmy, podporucznik i ja, w Ogrodzie Bibighar, ale solidarnie stanęliby przy nas, czyniąc wszystko, żeby sprawiedliwości stało się zadość. A potem — po uczynieniu zadość sprawiedliwości czy też po wy-

Tu kończy się fragment pamiętnika udostępniony do pizcczylania Robinowi White'owi (pivyp. ant.).

372

czepaniu wszelkich środków, żeby to jakoś załatwić, gdyby sprawców nie dało się schwytać — wykonaliby pełny obrót i postawiliby sprawę jasno: teraz wypada wam. podporucznikowi i tobie, panno Manners. zwłaszcza lobie, wynieść się stad.

Ale Hari nie był Anglikiem. I oczywiście wiele osób twierdziło, że nigdy by do tego wszystkiego nie doszło, gdyby był — i te osoby chyba miałyby rację, bo podporucznik i ja, chcąc być sami, nie musielibyśmy wchodzić do Ogrodu Bibighar, a już z pewnością nigdy nie znaleźlibyśmy się tam o zmroku. Podporucznik uwiódłby mnie pod budą ciężarówki na klubowym parkingu albo za kabinami nad basenem pływackim, albo w swoim pokoju w kwaterze dla oficerów niezonatych, albo nawet w mojej sypialni w Domu MacGregora w któryś z wieczorów,

kiedy Lili wychodzi na brydża. I wiele osób by twierdziło, że nawet gdyby podporucznik kochał się ze mną w Ogrodzie Bibighar. to i tak nie napadłaby na nas banda chuliganów. Hindusów. I te osoby również miałyby prawdopodobnie słuszość, chociaż wychodziłyby z niezupełnie słusznego założenia. Obdarzyłyby podporucznika jakąś cechą nadludzki, dzięki której on by uziemił szybko i skutecznie bandę cholernych czarnuchów, gdy w istocie banda cholernych czarnuchów szybko i skutecznie uziemiłaby się sama ze strachu przed białymi. Pannę Crane tamci chuligani uderzyli parę razy. ale zamordowali Hindusa, nauczyciela, który z ni;) jechał. Mnie napadli, bo widzieli mnie w objęciach Hindusa. Już nie byłam dla nich tabu.

Myślę, że Hari zdawał sobie z tego sprawę. Myślę, że właśnie to rozumiał, tego się wstydził i właśnie to miałam mu wybaczyć. A ja widziałam tylko niebezpieczeństwo, jakie by groziło jemu, czarnemu, gdyby mnie wyniósł za bramę prowadząc;) w świat białych.

Szukam jakiegos porównania, żeby przedstawić tę sytuację jaśniej, ale żadnego nie znajduję, żadnego porównania tu nie ma. Sytuacja jedyna w swoim rodzaju: Hindus niesie dziewczynę. Angielkę, którą posiadał i którą potem na jego oczach gwałcili inni Hindusi, niesie ją z powrotem tam, gdzie będzie bezpieczna. To przecież samo przez, się jest porównanie. Mówi wszystko, co trzeba powiedzieć, prawda.' Jeśli to rozwiniemy, jeśli sobie wyobrazimy, jak on mnie niesie przez całą drogę do Domu MacGregora i oddaje pod opiekę Lili. wzywa lekarza, wzywa policję, odpowiada na pytania, traktowany jako mój wybawiciel, nedorzeczność, nieprawdopodobieństwo tego staje się nie do zniesienia. Natychmiast nasuwa się taka scena: ktoś, Ronald, powiedzmy, odwołuje Hariego na bok i Hari musi przyznać: „Tak. myśmy się wtedy kochali.” Wyrozumiałego przytaknięcia, na które Ronald powinien się zdobyć, nie będzie, chyba że wybieliłoby się Hariemu skórę, aż wyglądałby jak biały, i to biały wstrząśnięty do lego stopnia, że wszyscy inni biali nie mogą mu nie współczuć, choćby skądinąd ganili jego postępowanie.

Więc ja właśnie dlatego sprzeciwiałam się Hariemu. Dlatego rzuciłam się na niego i wbijałam mu do głowy:

— Nie widzieliśmy się. Ty nic nie wiesz.

Bardzo łatwo powiedzieć: „Nie widziałam się z Harim. Nie widziałam się z Harim.

373

odkąd byliśmy w świątyni.” Tak powiedziałam Lili, kiedy leżałam na kanapie w saloniku. A ona wreszcie zrozumiała, co się stało, i zapytała:

— Czy to był Hari?

Wtedy wyrecytowałam tę kwestię może zbyt płynnie, ale z wyraźną kropką na końcu.

— Nie. Nie widziałam się z Harim. Nie widziałam się z nim, odkąd byliśmy w świątyni.

— Więc kto to był? — zapytała.

Nie mogłam spojrzeć jej w oczy.

— Nie wiem — powiedziałam. — Nie wiem. Pięciu czy sześciu. Nie widziałam.

Było ciemno. Nakryli mi głowę.

„Więc jeżeli ich nie widziałaś, skąd możesz mieć pewność, że nie było wśród nich Hariego Kumara?” Takie pytanie wymagałoby odpowiedzi, prawda? Lili takiego pytania nie zadała. Zadała inne:

- Gdzie?
- A ja odpowiedziałam:
- W Bibighar.

I wyłoniło się jeszcze jedno pytanie: Co ja robiłam w Bibighar? Nie zostało zadane. Wtedy nie. Lili o to nie zapytała. Ale ta pułapka już się zatrzaśniwała. Od chwili kiedy wróciłam, kiedy potknęłam się i upadłam na schodkach werandy.

Uderzyłam się okropnie w kolano. Chyba zemdlałam na kilka sekund. Kiedy się ocknęłam i próbowałam wstać. Lili przyglądała mi się, jak gdyby mnie nie poznawała. Pamiętam, że zawołała: „Radżu.” Pewnie wzywała go na pomoc czy może on wyszedł na werandę za nią. Potem pamiętam, jak już w saloniku dostałam koniak. Radżu i Bhallu najwidoczniej mnie tam wnieśli. Pamiętam, jak Bhallu stał na dywanie, tym razem boso, nie w tych wojskowych trepach, ćappalach. Pamiętam jego bose nogi. I bose nogi Radżu. Czarne ręce. I czarne twarze. Kiedy wypiliśmy koniak. Lili kazała im zanieść mem-sahib na górę. Podeszli do mnie. aleja nie mogłam tego ścierpieć, zaczęłam krzyczeć, żeby Lili kazała im odejść. Właśnie wtedy Lili pojęła, co się stało. Kiedy znów otworzyłam oczy, byliśmy same. Wstydziłam się na nią spojrzeć. Wtedy zapytała:

— Czy to był Hari?

A ja miałam odpowiedź przygotowaną.

Wciąż jeszcze wstyd mi, że krzyczałam, kiedy Bhallu i Radżu podeszli do mnie. Krzyczałam, bo oni byli czarni. Wstyd mi, bo to świadczyło, że chociaż pokochałam Hariego, nie wypędziłam z siebie głupiego pierwotnego lęku. Hari był dla mnie wyjątkiem. To nie znaczy, że pokochałam go pomimo koloru jego skóry. Właśnie kolor jego skóry stanowił część uroku. Myślę, że kochając go i czując do niego pociąg fizyczny, nadawałam jego czerni specjalne znaczenie czy też cel. Wyodrębniałam jego czerni zamiast się z nią utożsamiać w jej naturalnym kontekście. Był w moim uczuciu do niego pierwiastek zadowolenia z siebie i szczególnego samousprawiedliwienia. i domieszka dumy, bo oto miłość pomogła mi zburzyć osobistą i społeczną zapórę między nami. Ale tak mi się tylko wydawało. Miłość

wcale nie zburzyła zapory. Nie, to niezupełnie ściśle. Po części ją zburzyła. Na tyle, że zrobiło mi się wstyd wtedy i jest mi wstyd nadal. Na tyle, że poprosiłam Lili o ponowne przywołanie Radżu i Bhallu, żeby pomogli mi wejść na górę. Podziękowałam im i usiłowałam okazać, że mi jest przykro. Nazajutrz rano na mojej tacy ze śniadaniem były kwiaty z ogrodu, które, jak Lili mi powiedziała, Bhallu ściął dla mnie.

Zanim pomogli mi wejść na górę, Radżu zadzwonił po doktor Klaus. W drodze do mojego pokoju Lili powiedziała:

— Anna przyjedzie. Już dobrze, Daphne. Anna przyjedzie.

I czekała ze mną w moim pokoju. Usłyszałyśmy, jak podejżdza samochód czy ciężarówka.

— To na pewno ona — powiedziała.

W parę minut później ktoś zapukał do moich drzwi.

— Wejdz, Anno — zawołała.

Nie chciałam widzieć nawet Anny, więc kiedy drzwi się otworzyły, odwróciłam głowę. Usłyszałam, jak Lili mówi:

— Nie, nie, pan nie może tu wejść.

Wstała i wyszła zamykając drzwi za sobą. Kiedy wróciła, powiedziała mi, że to był Ronald i że Ronald przyjeżdżał już przedtem, szukał mnie.

— To bardzo uprzejmie z jego strony — powiedziałam — ale ja wróciłam, więc powiedz mu, że wszystko jest w porządku.

Lili zaprotestowała.

— Ależ, kochanie, przecież nie jest.

Potem zaczęła mnie znów pytać, żeby przekazać moje odpowiedzi Ronaldowi, bo to były pytania Ronalda. W Bibighar, ale o której godzinie?. Ilu mężczyzn? Jak bym ich określiła? Czy żadnego nie rozpoznałam? A może bym rozpoznała choć jednego? W jaki sposób wróciłam?

Zostawiła mnie na kilka minut. Słyszałam, jak rozmawia z Ronaldem na korytarzu. Kiedy przyszła z powrotem, bez słowa usiadła na krawędzi łóżka i ujęła mnie za rękę. Po chwili usłyszałyśmy, jak Ronald odjeżdża. Jechał bardzo szybko. Nie patrząc na nią zapytałam:

— Powiedziałaś mu, że to nie był Hari?

Przytaknęła, więc wiedziałam, że Ronald o to zapytał. Fakt, że oboje pochopnie posadzili Hariego o współudział, umocnił mnie w postanowieniu, że będę kłamać jak najęta.

Pozostawało tylko czekać na Annę. Kiedy Anna weszła, byłam rada, że traktuje mnie jak okaz, jak przypadek kliniczny. Po badaniu poprosiłam, żeby Lili kazała któremuś ze służących przygotować dla mnie kąpiel. Bo przyszło mi na myśl, że jeśli tylko poleżę przez godzinę w ciepłej wodzie, może poczuję się czysta. Anna udawała, że się zgadza, ale dała mi mocny środek nasenny. Pamiętam, jak zapadłam

375

w sen myśląc, że szumi ulewny deszcz. Specjalnie odkręciła krany, żeby szum wody pomógł mi szybciej zasnąć. Obudziłam się rano. Siedziała przy łóżku.

— Była tu pani przez całą noc? — zapytałam.

Nie była oczywiście, tylko przyjechała wczesnym rankiem. Zawsze ją lubiłam, ale od tamtego dnia trochę się jej bałam, bo ona należy do osób, które miały ciężkie przejścia. Czasem chcemy z takimi osobami nawiązać kontakt, zapytać o to, co przeżyły, a przecież się wahamy. Nigdy nie pytałam Anny o Niemcy. Teraz nie było już potrzeby. Znalazłyśmy coś, co nas łączyło. I dlatego mogłyśmy się do siebie uśmiechnąć, z daleka, przelotnie, jak gdyby związek między nami był prawie niedostrzegalny.

Piszę Ci prawdę, Ciociu, tak, jak umiem. Przykro mi, że nie mogłam opowiedzieć Ci tego wcześniej. Nie cierpię kłamać. Ale myślę, że kłamałabym znowu. Nic z tego, co się działo po Bibighar, nie jest dla mnie dowodem, że nie miałam racji walcząc o Hariego powtarzaniem, że się z nim nie widziałam. Wiem, bo czuję, że on cierpiał. Wiem, że został ukarany, ale nie pozwalałam sobie przypuszczać, że ta kara jest sroższa z powodu moich kłamstw, niż byłaby, gdybym powiedziała prawdę.

Kiedy pomyślę, jak ludzie się wysilali, żeby udowodnić, że ja kłamię, i wplątać Hariego, drżę ze zgrozy. Bo co mogłoby go spotkać, gdyby bodaj raz mi się wyrwało, że byliśmy w Bibighar razem?

Ale to mi nie pomaga żyć ze świadomością, że tamci chłopcy zostali ukarani niesprawiedliwie. Jak można karać niewinnych? Wiem, ostatecznie skazano ich na więzienie rzekomo za przestępstwa nie mające związku z tą napaścią. Kurczowo tego się trzymam w nadziei, że to prawda. Ale gdyby nie ta napaść, przebywaliby dziś na wolności. Na pewno to nie byli oni. Wiem, mówiłam, że nie widziałam napastników, i rzeczywiście ich nie widziałam. Ale odniosłam jakieś wrażenie. Mogłam określić ich odzież, zapach, zorientowałam się, że to mężczyźni już nie pierwszej młodości, chuligani ze wsi, którzy przyszli do Majapuru rozrabiać. Sądząc z tego, co ludzie mówili, ci aresztowani chłopcy nie wydawali się chuliganami.

Dowiedziałam się o ich aresztowaniu dopiero pod koniec następnego dnia. Anna i Lili już wiedziały. Ronald

przyjechał jeszcze raz poprzedniej nocy i oznajmił, że ma „sprawców pod kluczem”. Ja wtedy spałam, a rano mi nie powiedziały, bo jednym z aresztowanych był Hari. Około pół do pierwszej po południu Lili przysłała do mnie z Anną. Powiedziała:

— Jack Poulson musi z tobą porozmawiać, ale niech rozmawia przy Annie.

Prosiłam ją, żeby też została. Nie chciała jednak, powiedziała, że lepiej, by Anna i Jack byli ze mną sami. Wszedł Jack Poulson. Wyglądał trochę jak chrześcijański męczennik, który ostatecznie nie zgodził się wyprzeć Boga. Przywitaliśmy się, oboje zażenowani. Anna stała w otwartych drzwiach balkonu, stanął przy niej i stał tam, dopóki nie poprosiłam, żeby usiadł. Przeprósł za to, że musi zadawać

376

pytania, i wyjaśnił, że pan White zlecił mu „zebranie materiału dowodowego”, bo to sprawa nie tylko policji, ale całej placówki jako takiej.

Miałam czas, żeby się zastanowić, żeby się martwić o pytania, których Lili nie zadała mi poprzedniego wieczora, ale które się nasuwały i miały wymagać odpowiedzi. Co ja robiłam w Bibighar? Skąd wiem, że Hariego nie było wśród napastników, jeżeli ich nie widziałam? Musiałam przebrnąć przez tę indagację tak, by nie wplątać Hariego, więc z konieczności wyobraziłam sobie dokładnie, jak to się stało, jak musiałyby się stać, gdyby Hariego tam nie było.

Przygotowałam taką wersję: po odwiedzeniu panny Crane pojechałam ze szpitala do „Azylu”. Nie omieszkłam poprosić Jacka Poulsona, żeby w miarę możliwości za bardzo tego nie zaznaczał, bo ja tam jeżdżę i pomagam w przychodni, a jestem pewna, że przepisy szpitalne nie pozwalają na to nikomu z personelu, nawet wolontariuszkom. Uśmiechnął się, tak jak chciałam. Ale zaraz spoważniał. Zmuszona jego milczeniem, mówiłam dalej bez pomocy pytań i tak doszłam do trudnej części mojej wersji.

Wyruszyłam z „Azylu” o zmierzchu. Wobec pogłosek o rozruchach wydawało się jasne, że nikt w ten wieczór nie przyjdzie do przychodni. W całym mieście panowała nienaturalna cisza. Ludzie sami sobie narzucili godzinę policyjną. Ale mnie to bynajmniej nie przerażało, na odwrót, napawało pozornym poczuciem bezpieczeństwa. Raz wyjątkowo miałam Majapur dla siebie. Pedałowałam do rogu Przedłużenia Cilijanwala Bagh, a potem przez Most Bibighar i przejazd kolejowy.

W tym momencie Jack Poulson zapytał:

— Minęła pani kogoś w pobliżu przejazdu?

Zastanowiłam się nad tym (jeszcze nie wiedziałam o aresztowaniach). Jak dotąd, mówiłam prawdę, ale musiałam osądzić, jak daleko mogę się w tym posunąć. Na razie jednak nie widziałam w mówieniu prawdy nic niebezpiecznego. Mogłam opowiedzieć dokładnie, jak jechałam przez most i przez tory.

— Nie — odpowiedziałam — nie minęłam nikogo. Na przejeździe było zielone światło... i o ile sobie przypominam, paliło się światło w domku dróżnika. Dolały tam głosy, a właściwie płacz dziecka. Mieli tam chyba jakieś domowe zmartwienie i wszyscy byli przejęci. Tak czy inaczej, jechałam dalej. Pod latarnią naprzeciwko Bibighar zatrzymałam się i zsiadłam z roweru.

Jack odczekał chwilę.

— Po co? — zapytał.

Wyjaśniłam mu:

— Zatrzymałam się pierwotnie po to, by zdjąć pelerynę. Włożyłam ją, kiedy odjeżdżałam od siostry Ludmiły, bo myślałam, że znów będzie padać, ale nie padało, a wie pan, jak gorąco jest w nieprzemakalnej pelerynie, kiedy nie pada.

Jack przytaknął, a potem zapytał, dlaczego zatrzymałam się pod tą latarnią. Pomyślałam: pewnie ktoś mnie tam zobaczył albo starają się ustalić, czy ktoś mógł mnie zobaczyć. Nie trapiłam się tym, bo nadal mówiłam prawdę. Ale byłam ostrożna i cieszyłam się, że połowiczne kłamstwo, które miałam teraz powiedzieć, jest bliższe prawdy niż wersja, którą przedtem przygotowałam i odrzuciłam — że za-

377

trzymałam się przy Bibighar, żeby włożyć pelerynę, bo zbierało się na deszcz czy leż już zaczęło kropić, i że wobec tego zdecydowałam się schronić na chwilę w Bibighar. Odrzuciłam tę wersję, ponieważ to, że ani nie kropało, ani nie zbierało się na deszcz, każdy mógłby udowodnić. Więc powiedziałam:

— Tak, zatrzymałam się pod latarnią, żeby zdjąć pelerynę. I mój ceratowy kapelusz. Włożyłam kapelusz do kieszeni peleryny, pelerynę położyłam na kierownicy.

Pan Poulson zapytał:

— Ale co to znaczy, że pierwotnie zatrzymała się pani, żeby zdjąć pelerynę?

To był pierwszy punkt rzeczywiście niebezpieczny. Znów byłam rada, że odrzuciłam myśl o melodramatycznym ataku nieznanego napastników, którzy mnie obezwładnili i powlekli do Bibighar.

Powiedziałam:

— Wyda się to panu strasznie głupie, a jeśli nie głupie, to szalone, lekkomyślne.

Teraz, kiedy naprawdę skłamałam, pogratulowałam sobie. Dziwna rzecz, ale ta wersja leżała w moim charakterze. Typowy pomysł niemądrej, niezdarnej, podrygującej dziewczyny, Daphne Manners. Spojrzałam Jackowi Poulsonowi prosto w oczy i palnęłam:

- W dzielnicy garnizonowej ożyło tak cicho i pusto, że pomyślałam: kto wie, może zobaczę te duchy.
- Te duchy? — zapytał. Usiłował mieć urzędową minę, ale był wyraźnie zaciekawiony, tak jak zaciekawiona rzekomo byłam ja w poprzedni wieczór.

- Właśnie — powiedziałam — te duchy Bibighar. Nigdy jeszcze tam nie zaglądałam o zmroku. — Znow niebezpieczny punkt, ale jakoś przeleciało. — A słyszałam, że tam podobno straszy. Więc powiedziałam sobie: Śmiało! na szali honor pułku! I przeszłam przez jezdnię Zawsze można tam wejść, bo nie ma bramy. Pomyślałam że to będzie niezły dowcip, kiedy powiem Lili: „No, usadziłam duchy Bibighar. Wezwij Janet MacGregor.” Poprowadziłam rower ścieżką do pawilonu, postawiłam, zgasiłam latarkę i weszłam na to podwyższenie z mozaiki.

Ale pan Poulson nigdy nie był w Bibighar. Poszedł tam dopiero później, żeby dokonać wizji lokalnej. Więc musiałam mu wyjaśnić, co to za podwyższenie i co to za mozaika.

— W każdym razie — powiedziałam — usiadłam na podwyższeniu i zapaliłam papierosa. — Znow za późno ugryzłam się w język. Jeżeli zostały jakieś niedopałki po nocnym deszczu, nie były to niedopałki papierosów angielskich. — I czekałam na duchy. Mówiłam sobie takie rzeczy jak: „No, duchy, pokażcie się!”, a potem zaczęłam myśleć o panie Crane, zastanawiać się, czy nie jestem straszną idiotką. Chyba rzeczywiście miałam jakieś zaćmienie umysłowe, no bo siedzieć tam, i to właśnie wczoraj! Ale ja nie traktowałam poważnie tego, co się dzieje gdzieś na krańcach okręgu, pan rozumie? Przypuszczam, że oni mnie obserwowali. Nic nie słyszałam poza kapaniem i rechotem, to znaczy poza kapaniem wody z liści i z dachu i rechotem żab. Podeszli raptownie. Jak gdyby się wzięli z powietrza, znikąd.

Pan Poulson znow miał wyraz twarzy chrześcijańskiego męczennika.

378

— I pani ich nie widziała? — zapytał.

Tu znow musiałam się mieć na baczności. Odpowiedziałam:

— No, przez sekundę może ich widziałam. Ale to się stało tak szybko. Tak niespodziewanie. Byłam sama i po chwili ni stąd, ni zowąd otoczona.

Oczywiście teraz nastąpiła ta część zeznania, którą Jack Poulson chciał usłyszeć, ale która była dla niego tak bardzo zenująca, że z trudem spoglądał na mnie, kiedy opowiadałam. Wciąż zerkał na Annę, szukając w niej oparcia, a ja się wtedy zastanawiałam, dlaczego ona tam stoi i niby słucha, ale wpatruje się w ogród, wyłącza się z tego przesłuchania, jest bezosobową bryłą, która się uaktywni i znow będzie Anną Klaus dopiero wtedy, gdy głos jej pacjentki zdradzi oznaki wyczerpania.

Jack Poulson powiedział:

— Przepraszam, że nękam panią takimi pytaniami. Ale czy zapamiętała pani coś charakterystycznego dla tych ludzi, bodaj dla jednego z nich. Coś, co pomoże pani ich zidentyfikować?

Zagrałam na zwłokę.

— Chyba nie — odpowiedziałam po dłuższej chwili. — To znaczy, oni wszyscy wyglądają tak samo, prawda? Zwłaszcza po ciemku. — I zdawałam sobie sprawę, że to jest komentarz, który można by uznać za brak delikatności i który ponadto nie leży w moim charakterze.

Zapytał, jak byli ubrani. Dobrze pamiętałam ich białe bawełniane łachy. Wiesz, Ciociu, chłopskie dhoti i koszule pod samą szyję, brudne i cuchnące. Ale dzwonki alarmowe znow zadzwoniły mi w głowie. Ujrzałam niebezpieczeństwo grożące Hariemu, gdyby tych mężczyzn kiedykolwiek schwytano. Myślę, że gdyby zabrano mnie o zmroku do Bibighar i skonfrontowano z nimi, rozpoznałabym ich. Można rozpoznać człowieka, nawet kiedy wydaje się, że nie ma po czym, nawet jeśli się uzmysłowiło jakieś jego cechy tak przelotnie, że to prawie nie jest wrażenie, w każdym razie nie jest to nic takiego, co warto byłoby opisywać. Bałam się konfrontacji. Bałam się, że będę musiała powiedzieć: „Tak, to są ci”, bo oni wtedy, broniąc się, powiedzieliby, że zostali sprowokowani, padliby na kolana i wrzeszczeli, i błagali o łaskę, przysięgaliby, że to by im w ogóle przez myśl nie przeszło, gdyby ta b i a l a j u ż nie obcowała cieleśnie z Hindusem.

Pułapka czekała zastawiona. Ciociu. Wystarczy zacząć kłamać, a kłamaniu nie będzie końca. Kłamstwem wpędziłam się w sytuację, z której jedynym wyjściem była prawda. Nie miałam odwagi powiedzieć prawdy, więc mogłam tylko gmatwać sprawę, intrygować ludzi, wzbudzać nienawiść do siebie — tak — i w napięciu nerwów zaznaczając uparcie, że Hariego tam nie było, wykluczać go. Chodziło mi o to, by oni nie mogli oskarżyć, osądzić i ukarać tych, którzy na mnie napadli, o to, by wiedzieli, że główny świadek oskarżenia storpeduje ich poczynania.

Ale oczywiście zapominałam — czy też się z tym nie liczyłam — że oni mogą oskarżać i karać na mocy samych podejrzeń. W pewnej chwili zrozumiałam, jaki obrót mogłoby to przyjąć, i omal nie powiedziałam prawdy. Cieszę się, że nie po-

379

wiedziłam, bo wówczas chyba by jakoś udowodnili, że Hari jest formalnie winny gwałtu, skoro tam był i taktem, że kochał się ze mną, pociągnął innych do wzięcia z niego przykładu. Moje kłamstwa chroniły go przynajmniej

przed karą za gwałt. Chroniły też przed karą za gwałt tamtych niewinnych chłopców. Nie pytałam, jaka jest kara za gwałt. Śmierć przez powieszenie? Wyrok dożywotni? Ludzie mówili, że powinno się ich powiesić. Albo zabić strzałem z armaty po przywiązaniu ich do lufy — tak przecież robiliśmy z rebeliantami w dziewiętnastym wieku.

Więc na pytanie Jacka Poulsona, jak napastnicy byli ubrani, odpowiedziałam, że nie jestem pewna, ale potem uznałam, że bezpieczniej będzie powiedzieć zgodnie z prawdą: „Jak chłopci”, niż pozostawić wrażenie, że byli w europejskich koszulach i spodniach jak Hari.

Pan Poulson zapytał:

— Jest pani tego pewna?

To była raczej woda na mój młyn, bo zapytał tak, jakby moje zeznanie przekreślało wersję, którą sobie wykoncypował czy też inni wykoncypowali dla niego — obraz z Harim pośrodku. Teraz więc odpowiedziałam, że jestem absolutnie pewna: jak chłopci albo jak robotnicy rolni.

— I taki — uzupełniłam — zalatywał od nich zapach. — Co również nie mijają się z prawdą.

— A alkohol? — zapytał. — Czy od kogoś z nich zalatywało alkoholem?

Pomyślałam o tamtej chwili, kiedy siostra Ludmiła znalazła Hariego nad rzeką.

Wydawało się bezpieczniej znów powiedzieć prawdę.

- Nie przypominam sobie, bym czuła zapach alkoholu.

- Pan Poulson zaczął się kajać:

- Przykro mi, że muszę panią poddawać lej indagacji.

Powiedziałam mu, że nie szkodzi, wiem, że to jest konieczne. Po raz pierwszy w czasie tego przesłuchania popatrzyliśmy na siebie dłużej niż przez sekundę.

— Jeszcze tylko kwestia roweru — powiedział. — To bardzo ważne. Mówiła pani, że zostawiła go przy ścieżce niedaleko pawilonu. Czy z peleryną na kierownicy?

Nie mogłam od razu zgłębić, jakie to ma znaczenie. Zakładałam, że on wie o pelerynie, bo powiedziałam Uli i Annie, że nakryli mi nią głowę. Wszystkich takich szczegółów dowiedział się od Lili i od Anny. Nie zadał mi ani jednego pytania o sam gwałt. Biedak! Chyba wolałby umrzeć niż rozmawiać ze mną o tym, nawet jako sędzia. Badał sprawę zgwałcenia Angielki i po prostu nie zdołałby zachować, jak przystało na sędziego, obojętności. Zdecydowałam się powiedzieć mu prawdę o pelerynie.

— Nie, jestem pewna, że zabrałam ją do pawilonu. To laki. Myślałam, że moja zaika będzie wilgotna, ale nie była, więc nie siedziałam na pelerynie, tylko miałam ją przy sobie.

To mu najwyraźniej wystarczyło. Później, kiedy ta cała historia z rowerem eksplodowała mi w twarz, zrozumiałam, dlaczego on pytał o to. Chciał ustalić, w jakim momencie napastnicy natknęli się na rower. Gdybym zostawiła pelerynę na kie-

3K0

rownicy, byłoby wiadomo, że znaleźli rower, zanim napadli na mnie, bo przecież użyli tej peleryny. Skoro nie zostawiłam jej na kierownicy, byłoby możliwe, że natknęli się na rower dopiero odchodząc. A to by świadczyło, że odeszli ścieżką, a nie przez wyrwę w murze na tyłach ogrodu. Nie mogły jednak pozostać żadne ślady stóp — ścieżki wysypane są żwirem, a zresztą padał deszcz i policja przeszukiwała ogród po ciemku, wszelkie więc dowody tego rodzaju do niczego by nie prowadziły.

Teraz Poulson zapytał:

— Nagle panią otoczyli, powiedziała pani. Czy to znaczy, że weszli na podwyższenie ze wszystkich stron?

I znów alarm. Jeżeli przytaknę: „Tak, ze wszystkich stron”, następne pytanie będzie właściwie twierdzeniem nie do obalenia. „A więc wcale nie odniosła pani wrażenia, że ów człowiek czy owi ludzie zaskoczyli panią od tyłu?”

Pojełam, że trudno będzie zbić całkowicie założenie, że był tam ktoś, co najmniej ktoś jeden, kogo w ogóle nie mogłabym zobaczyć, zwłaszcza jeśli starał się nie pokazywać, w obawie że rozpoznałabym go. Hari, na przykład. Pawilon jest ze wszystkich stron otwarty, nie ma żadnej ściany. Spróbowałam zmniejszyć to niebezpieczeństwo.

— No, nie ze wszystkich stron — powiedziałam. — Z początku siedziałam na krawędzi podwyższenia. Potem wyrzuciłam papierosa i odwróciłam się, żeby wstać. Oni zaskoczyli mnie od tyłu. Nic wiem... może usłyszałam jakiś odgłos i dla tego zdecydowałam się już odejść. Było dosyć niesamowicie. Kiedy się odwróciłam, dwaj właśnie się prostowali na podwyższeniu, tamci trzej czy czterej wskazywali.

Czy krzyczałam? Nie, zanadto byłam zaskoczona, żeby krzyżeć. Czy któryś z nich coś mówił? Chyba jeden zachichotał.

Pan Poulson zakwestionował dokładność mojej relacji: „tamci trzej czy czterej”. Więc ilu ich było, trzech czy czterech? Wszystkich razem było pięciu czy sześciu? Powiedziałam, że nie mogę sobie przypomnieć. Że pamiętam* tylko to straszne zaskoczenie, raptowny napad gromady mężczyzn, no, kilku mężczyzn, wiejskich chuliganów cuchnących na milę. Powiedziałam, że poczułam się lęk, jakby mnie wrzucono do jakiegoś obrzydliwego przedziału trzeciej klasy w pociągu indyjskim. I że nie chcę już o tym mówić.

Wtedy Anna się ocknęła. Odwróciła się do nas.

— Tak, myślę, że na dziś wystarczy, panie Poulson — powiedziała lym swoim bezceremonialnym, niemieckim tonem.

Jack Poulson wstał natychmiast, dosyć rad, że ma to już za sobą, chociaż tylko na razie. Anna odprowadziła go do drzwi. Podeszła do łóżka na chwilę, zapytała, jak się czuję, a potem zostawiła mnie samą. Lili przyniosła mi drugie śniadanie: jogurt i owoce. Potem drzemałam prawie przez całe popołudnie. Kiedy się obudziłam, w pokoju była Lili i Radżu, który właśnie wychodził. Przyniósł podwieczorek. t Wypiłam herbatę.

381

Mój rower znalazł się w rowie przed domem Hariego na Ćilijanwala Bagh. Nie wierzyłam. Takie potworne mieszanie się w cudze sprawy. Wykrzyknęłam:

— Przecież jego tam nie było! To nie był Hari!

Lili chciała mi wierzyć. Staralam się nie wpaść w panikę. Jeżeli kogoś aresztowano, myślałam, to na pewno tych napastników, a oni już powiedzieli o Hindusie, w którego objęciach mnie tam zobaczyli. Będę musiała temu zaprzeczać, zaprzeczać bez końca i oby Hari dotrzymał słowa, nic nie mówił, udawał, że o niczym nie wie. Czułam, że milczaco dał mi słowo, kiedy mnie puścił. Zapytałam Lili, kogo, gdzie i dlaczego aresztowano. W końcu pojęłam, że Hari jest w areszcie, że w nocy aresztował go Ronald i że to Ronald znalazł mój rower przed domem Hariego.

— Kłamie — powiedziałam — znalazł rower w Bibighar i zawiózł przed jego dom, sam podrzucił w rowie.

Lili się zgorszyła. Wiedziała, że mogło tak być, ale nie dopuszczała takiej możliwości. Wołała być zdania, że angielski policjant nie zniżyłby się do tego. Są jednak tylko trzy ewentualne wytłumaczenia sprawy mojego roweru i tylko jedno z nich jest prawdopodobne. Zostawiłam rower przy ścieżce, oparty o drzewo. W ciemnościach. Można było nie dostrzec tam roweru, jeśli nie miało się latarki czy też jeśli się nie wiedziało, że tam stoi. Myślę, że kiedy Hari niósł mnie tamtędy, minęliśmy to miejsce, zanim powiedziałam: „Jest gdzieś tutaj”, i zanim postawił mnie na ziemi. Rowerem się nie zainteresował. Myślał tylko o doprowadzeniu mnie do domu. Chyba przeszło mu przez myśl, że gdyby miał rower, mógłby mnie odwieźć. Ale wtedy, właśnie w tej chwili, te moje słowa zabrzmiały jak kiepski żart, prawda? Ledwie spojrzał w tamtą stronę. Kiedy Ronald ze swoim patroliem wpadł do Bibighar, przypuszczalnie rower jeszcze stał tam, gdzie go zostawiłam, więc znaleźli go prawie zaraz. Ronald władował go na ciężarówkę, pojechał przed dom Hariego i wrzucił do rowu. Myślę, że Ronald należy do tych zwierzchników, którzy patrzą przez palce na niektóre wybryki swoich podwładnych i w zamian mogą liczyć na podrzucanie dowodów i milczenie. Pamiętasz, Ciciu, ten podinspektor uderzył Hariego w twarz i uszło mu to bezkarnie? W żaden sposób nie dałoby się skojarzyć Hariego z napaścią w Bibighar, gdyby nie było ogólnie wiadomo, że się spotykamy, i gdyby nie zazdrość, uprzedzenie, podejrzliwość Ronalda. Bo czymże innym Ronald mógł się kierować jadąc do domu Hariego? I dlaczego, kiedy tam przyjechał, poświęcił czas na szukanie roweru? Dlatego, że jeśli rower już był w rowie przed domem, trzeba było tam go znaleźć!

Jeżeli rower był w rowie, zanim Ronald tam przyjechał, to chyba możliwe, że znalazł go któryś z policjantów w czasie rewizji czy innej procedury, jaką w myśl przepisów oni przeprowadzają, kiedy przyjeżdżają, żeby aresztować podejrzanego. Ale przed tak zwanym śledztwem Ronald podobno mówił, że wszedł z policjantami

382

do domu, ponieważ przed domem znaleźli rower, i dopiero wtedy sobie uprzytomnił, że to jest dom Hariego. Skoro on tak z początku opowiadał ludziom, najwidoczniej nie rozumował spokojnie, bo przecież nie musiał Anglikom podawać żadnych powodów, dla których pojechał do domu Hariego. Zdaje mi się, że był tam dwa razy tamtej nocy. Prawdopodobnie miał jakieś zaćmienie umysłu, bo Lili powtórzyła mu moją wersję, że Hari nie był ze mną i nie ma z tym nic wspólnego. A on chciał, żeby to był Hari. Myślę, że kiedy składał należyty raport, musiał na coś innego położyć nacisk, oświadczyć, że pojechał do domu Hariego i wtedy znalazł rower, a nie na odwrót.

Udzielam Ronaldowi *beneficium dubitandi*. Kiedy dowiedział się w Domu Mac-Gregora, co mnie spotkało, pojechał do komendy, zebrał patrol i popędził do Bi-bighar. Nic tam nie znalazł, przeszukał okolice, aresztował tych chłopców, którzy pili samogon w chacie po drugiej stronie rzeki, ruszył prosto do domu na Ćilijanwala Bagh, gdzie zastał Hariego z twarzą pokiereszowaną i gdzie policjanci znaleźli rower. Pojechał na Ćilijanwala Bagh, ponieważ myślał, że ja kłamie, wiedział, że kłamie, i ponieważ było wiadomo, że chłopcy aresztowani w chacie za mostem są znajomymi Hariego. Ale główny powód stanowiła nienawiść. Ronald chciał udowodnić, że Hari jest winny. W takim razie pozostają tylko dwa inne możliwe wytłumaczenia sprawy roweru. Jedno: Hari wrócił po rower, kiedy odeszłam, znalazł go, przyjechał na nim do domu, a potem zdał sobie sprawę z niebezpieczeństwa, więc wepchnął go do rowu — co by znaczyło, że stracił głowę, bo gdyby sobie uświadomił to niebezpieczeństwo, nie zostawiłby roweru przed swoim domem. Drugie: któryś z napastników znał Hariego i wiedział, gdzie Hari mieszka, więc ukradł rower i podrzucił pod jego domem, zakładając, że policja będzie lam szukać, co by znaczyło, że ktokolwiek to był, wiedział też przedtem o moich spotkaniach z Harim. Z tego mogłoby z kolei wynikać, że ów ktoś przewidział nasze spotkanie w Bibighar w tamten wieczór. Ale nawet my sami nie wiedzieliśmy, że się spotkamy. Taki zbieg okoliczności, że jeden czy paru napastników rozpoznaje Hariego i ma dość szybki refleks, żeby zabrać rower i podrzucić przed jego dom, jest raczej nie do uwierzenia, prawda? I kto by

to mógł być? Któryś ze służących Lili? Któryś ze służących pani Gupta Sen? Ktoś, kto może umiał przeczytać mój liścik po angielsku z propozycją, żeby Hari spotkał się ze mną wieczorem 9 sierpnia w „Azylu”? Nie, to nie wytrzymuje krytyki. Nie wytrzymuje, nawet jeżeli myślisz, Ciociu, tak jak ja przez pewien czas myślałam, że to może być nieznan, ale bardzo sprytny czy też mający dużo szczęścia człowiek spośród tych pomocników siostry Ludmiły, których ona najmuje na parę tygodni, nigdy na dłużej, bo potem taki się nudzi i „chodzą mu po głowie różne głupstwa”. Tamtego dnia, kiedy byłam u niej, żeby się pożegnać, zauważyłam, że ma nowego chłopca. Mówiła, że wielu z nich po odejściu przysyła jej wiadomości o sobie i że tylko jeden wrócił do zebranych. Rzeczywiście przyszło mi na myśl, że może to ten, który później zaczął znów żebrać, był z nią i z panem de Souza wtedy w nocy, kiedy przynieśli Hariego do „Azylu”. Właśnie on mógł zainteresować się Harim, chodzić za nim, poznać jego tryb życia, nawet obserwować nasze wypadki do Bibighar. Ale po co? Taki chłopak po powro-

383

cie do swojej wsi mógłby opowiadać o Hindusie i białej dziewczynie i poprowadzić do Majapuru bandę chuliganów zachęconych pogłoskami o rozruchach i perspektywą grabieży. Mogło tak być, że szukając sobie miejsca na noc weszli od strony nieużytków do Bibighar i zobaczyli tam Hariego ze mną, patrzyli, jak się kochamy. Zanim napadli na mnie, patrzyli. Na pewno. Ale taki zbieg okoliczności jest nie do uwierzenia. Napadła na mnie banda chuliganów, owszem. Ale to Ronald Mer-rick podrzucił mój rower. Ja wiem. Nie sądzę, żeby Hari miał dużo przyjaciół, ale chyba nie miał też wrogów, z wyjątkiem Ronalda — przynajmniej takich, którzy by się posunęli do obarczenia go winą.

Jeżeli nie Ronald, to najwidoczniej sam Hari zabrał rower, a potem w panice zostawił go przed domem. Otóż wątpię, czy Hari wpadłby w panikę.

Ale ja wpadłam w panikę. Poprosiłam Lili, żeby mnie zostawiła samą. Chciałam się zastanowić. To stało się zupełnie jasne. Ronald przeszukiwał Bibighar, znalazł rower, wstawił go do ciężarówki, a potem przejechał przez most w stronę Cilijanwa-la Bagh, przesłuchał dróżnika, natrafił na chłopców, którzy byli „przyjaciółmi” Hariego, aresztował ich i pojechał dalej, do domu Hariego, podrzucił rower i wtargnął do tego domu. Kiedy aresztował Hariego, prawdopodobnie przeszukano jego pokój. Czy Hari zniszczył moją kartkę z propozycją spotkania w „Azylu”? O tej kartce wcale nie było mowy, więc najwidoczniej ją zniszczył. Może zdążył to zrobić, jeżeli nie wyrzucił jej przedtem. Natomiast była mowa o zdjęciu, które mu dałam. Ronald wziął je jako „dowód” — jedną z odbitek tej samej fotografii, którą Ci przysłałam, Ciociu, i którą Hari pomógł mi wybrać spośród próbnych odbitek u Sub-hasa Canda. W czasie nieurzędowego śledztwa w Domu MacGregora pan Poulson powiedział:

— Pan Kumar miał pani fotografię w swojej sypialni. Czy pani mu ją dała?

Wiesz, Ciociu, jak gdyby chciał ustalić, że Hari dostał jakiejś manii na moim punkcie i ukradł tę fotografię, żeby wpatrywać się w nią w nocy. A także jak gdyby dawali mi sposobność i myśleli, że z niej skorzystam, odwołam to, co powiedziałam, przejdę na ich stronę, odrzuć swoje niemądre pojęcie lojalności, załamie się i przyznam: byłam zaślepiona, Hari grał na moich uczuciach w sposób zimny i wyrachowany; jakaż to ulga powiedzieć w końcu prawdę, że odzyskałam rozum, już się Hariego nie boję, a tym bardziej nie jestem w nim zadowolona, że to Hari mnie zaatakował, zgwałcił, a potem jeszcze nikczemniej poniżył, rzucając na pastwę swoich znajomych, i usiłował mnie zastraszyć, groził mi śmiercią, w razie gdybym go wydała, i zaznaczył, że tę groźbę łatwo będzie wykonać, skoro lada moment Brytyjczykom zrobi się w Indiach gorąco. Och, wiem, tego oni pragnęli — może wbrew osobistemu rozeznaniu, ale pragnęli właśnie takiego naświetlenia sprawy ze względu na to, o co szła gra. Komisję prowadzącą owo prywatne śledztwo, czy jak to się tam urzędowo nazywało, stanowili: Pan Poulson, jakiś przerażony i zakłopotany młody Anglik, naczelnik podokręgu, nazwiska nie pamiętam, i sędzia Menen. Z nich trzech tylko sędzia Menen, który przewodniczył, przejawiał całkowitą obojętność. Ta jego obojętność wydawała mi się znuzeniem w poczuciu beznadziejności. A przecież fakt, że on jest, dodawał mi otuchy nie tylko dlatego, że to Hindus,

3X4

ale i dlatego, że nie byłoby go w tej komisji — to wiedziałam na pewno — gdyby istniał bodaj cień prawdopodobieństwa, że oskarżeni staną przed nim w sądzie okręgowym. Przypuszczam, że gdyby śledztwo doprowadziło do tego, na co komisja już nie liczyła, ale czego nadal chciała społeczność angielska, sprawę skierowano by do Sądu Najwyższego Prowincji.

Ale w tej relacji wybiegłam za daleko. Muszę jeszcze wrócić do tamtego wieczoru 10 sierpnia — kiedy wyprawiłam Lili z pokoju, bo wpadłam w panikę i musiałam się zastanowić, czym oni mogliby obciążyć Hariego, kim są ci inni aresztowani i co mogli już powiedzieć. A więc byłam głupia, tępo, bezmyślnie, typowo po angielsku zakładałam, że Hariemu włos z głowy nie spadnie, jeżeli ja powiem, że on jest niewinny. Uciekłam od Hariego przekonana, że samym tylko oddaleniem się mogę mu pomóc. Teraz zobaczyłam go znów, jak stoi przy bramie Bibighar. Ciociu, et) on zrobił? Wrócił, żeby poszukać roweru, i zabrał go myśląc, że pomaga m n i e? Czy ruszył do domu pieszo? Miałam krew na szyi i twarzy, kiedy wróciłam — tak mi powiedziała Anna. To musiała być krew z twarzy Hariego, przecież tuliliśmy się do siebie. W ciemnościach nie widziałam, jak bardzo ci napastnicy go poturbowali. Wcale o to nie zapytałam. Wcale o tym nie pomyślałam. Obmywał twarz wtedy, gdy Ronald wtargnął do jego pokoju. Oczywiście oni usiłowali udowodnić, że to ja go tak urządziłam, broniąc się przed nim. Ale ja już nawet o tym nie myślę. Dręczę się tylko, jak mogłam być takim potworem bez serca, jak mogłam go tak zostawić, żeby ze wszystkim musiał się zmierzyć sam. Nic nie mówił, zaprzecza! wszystkiemu, z tymi obrażeniami na twarzy, z których nie pozwoliłam mu się wytłumaczyć. Kiedy w czasie śledztwa była mowa

o jego obrażeniach, powiedziałam:

- Dlaczego mnie o to pytacie? Zapytajcie pana Kuniara. Ja nie wiem. Jego tam nie było.
- Pytano go. Nie chciał wyjaśnić — powiedział pan Poulson. Po czym zmienił temat.

Ronald też wtedy składał zeznanie. Nie odrywałam od niego wzroku, ale ani razu nie spojrział na mnie.

Powiedziałam:

— Może miał jakiś zatarg z policją. Nie byłby to pierwszy raz, kiedy pobił go po licjant.

Nic dobrego to nie dało. Nie powinnam była tego mówić. Wzbudziłam w nich współczucie nie tyle dla siebie, co dla RONALDA. Ale się tym nie przejęłam, bo i tak już zaczynałam nienawidzić siebie. Nienawidziłam siebie, odkąd- pojęłam, że Hari mi zawierzył i nie powiedział nic — dosłownie nic. Nic. Nic. Nic. Ani słowa, pomimo dowodów świadczących przeciwko niemu, dowodów, których nie wzięłam pod uwagę, kiedy uciekłam, kiedy go zostawiłam.

Bili Harięgo, prawda? Zadawali mu jakieś tortury? Ale on nie powiedział nic. nic. Kiedy go aresztowali, na pewno stał tam z tą twarzą pokiereszowaną i była w jego pokoju ta fotografia, i był ten rower przed domem, a on nie mówił nic. Któregoś dnia w okresie ciągłych przesłuchań Lili mi powiedziała:

— On nie chce podać alibi. Zaprzecza temu, że był wtedy w Bibighar. Powtarza.

.185

że nie widział się z tobą, odkąd byliście oboje w świątyni. Ale nie chce powiedzieć, gdzie był ani co robił po wyjściu z redakcji, dopóki nie wrócił do Domu koło godziny dziewiątej. Zdaje się, że wrócił do domu mniej więcej w tym samym czasie co ty, Daphne.

I oczywiście były inne rzeczy, których nie wzięłam pod uwagę, inne rzeczy, o których nie wiedziałam: pierwszy przyjazd RONALDA na Ćilijanwala Bagh, jego przyjazd do Domu MacGregora i przyjazd do „Azylu”. Zostawiając Harięgo w Bibi-ghar chyba zakładałam, że wystarczy, by udawał, że cały wieczór spędził w domu, i by ciotka Salini to potwierdziła, w razie gdyby kiedykolwiek to zakwestionowano, albo też wystarczy, by powiedział coś innego, cokolwiek uzna za lepsze i przekonywujące. Tylko że żadne słowa Harięgo nie byłyby przekonywujące. Gdybym dała mu szansę, gdyby mógł mnie wtedy uciszyć i powiedzieć to, co przecież pozwoliłabym powiedzieć Anglikowi: słuchaj, do licha, jeżeli nie byłem tu, w Bibighar, to gdzie ja, u diabła, byłem? Jak ja się wytłumaczę z tej spuchniętej wargi, podbitego oka czy przeoranego policzka?

Nie dałam mu tej szansy. Nawet tam, ogarnięta paniką, bazowałam na swojej wyższości, uprzywilejowaniu, i nie wątpiłam, że to ja wiem, co będzie najlepsze dla nas obojga, bo kolor mojej skóry automatycznie stawia mnie po stronie tych, którzy zawsze mówią prawdę. Ale mamy już daleko za sobą tę fazę kolonialnej prostoty. Stworzony przez nas system prawny to funkcjonujący błędnie robot. Nie potrafimy go wyłączyć. Pracuje dla nas, kiedy najmniej tego chcemy. Stworzyliśmy go na dowód, jacy jesteśmy sprawiedliwi, jacy cywilizowani. Ale to jest biały robot, nie odróżnia gwałtu od miłości. Przyjmuje jedno i drugie jako zbliżenie fizyczne będące zbrodnią, ponieważ istnieje tylko po to, by karać za zbrodnie. Ukaraliby Harięgo, a jeśli zbliżenie fizyczne dwojga ludzi odmiennych ras jest zbrodnią, Hari zostałby ukarany sprawiedliwie. Kiedyś może zjawi się ktoś, skrzyżuje przez pomyłkę jakiś drut czy zamontuje specjalny obwód, żeby robot stał się bezstronny, ślepy na kolor, i wtedy cały mechanizm prawdopodobnie eksploduje.

Kiedy Lili powiedziała mi o aresztowaniu Harięgo i zebrałam myśli, zadzwoniłam na Radżu. Powiedziałam mu, że chcę, by wezwano Poulsona sahiba. Panikę już opanowałam. Czułam tylko gniew, gniew nawet na Lili. Uważałam, że ona mnie zawiodła nie czyniąc żadnych starań, nie robiąc nic, żeby Harięgo wypuścili. Lili okazała mi mnóstwo cierpliwości, ale jak nigdy przedtem rozdzielał nas mur. Powiedziała, że wezwie pana Poulsona, jeżeli rzeczywiście chcę się z nim zobaczyć. Chyba przypuszczała, że zamierzam przyznać się do kłamstwa. Wiedziała, że ja kłamię. Ale z jej punktu widzenia prawda wcale nie byłaby lepsza. To ona zaprosiła Harięgo do domu, a Hari jest Hindusem. Jej rodakiem. Przez parę dni po Bibighar czułam się intruzem, jedną z tak zwanych przez nią jędz, która nie wiadomo dlaczego została wplątana w życie rodziny hinduskiej i woli przesiadywać sama w swo-

386

jej sypialni usiłując zachować bodaj resztkę swojej rasowej niepodzielności nietkniętą.

Pan Poulson przyjechał po kolacji. Lili przyprowadziła go na górę. Zapytała, czy chcę, żeby została. Powiedziałam, że może byłoby lepiej, gdybym porozmawiała z panem Poulsonem sama. Ledwie wyszła, zapytałam:

— Dlaczego nie powiedział mi pan, że wczoraj w nocy aresztowano Harięgoj Kumara?

Właściwie go lubiłam. W tamten wieczór budził we mnie pogardę, ale byłam gotowa gardzić wszystkimi. Zmieszał się okropnie. Wyjaśnił, że Harięgo *aresztowano*, bo dowody wyraźnie świadczą przeciwko niemu, chociaż ja jestem „przekonana”, że nie brał w tym udziału.

— Jakie dowody? — zapytałam. — Jakie dowody mogą zadawać kłam mojemu zeznaniu? Chyba wszyscy macie źle w głowach, jeżeli wam się zdaje, że możecie

cokolwiek zarzucić Hariemu!

Powiedział, że dowody wskazują na Harięgo i nie da się wykluczyć możliwości, że on tam był wbrew mojemu przekonaniu, że jego tam nie było. Sprostowałam, że to nie jest kwestia przekonania. Zapytałam:

— Czy pan naprawdę myśli, że gdyby Hari był wśród tych, którzy mnie zgwałcili, ja bym o tym nie wiedziała?

To go przeraziło. Bał się intymnych zwierzeń. Widząc jego reakcję, nagle pojąłem, jak należy rozegrać całą tę sprawę. Trzeba ich szokować tak, by drętwieli na myśl o tym, co mogłabym wyjawiać w sądzie. Zapytałam go o tamtych aresztowanych. Udawał, że nic o nich nie wie. Uśmiechnęłam się.

— Ronald, jak widzę — powiedziałam — wielu rzeczy nie podaje do wiadomości. Nic dziwnego. W końcu jest dosyć oczywiste, że to on podrzucił rower.

Lili zgorszyła się strasznie, kiedy jej to powtórzyłam, ale to jeszcze było nic w porównaniu ze zgorszeniem Jacka Poulsona.

— Na Boga! — wykrzyknął. — Skąd takie przypuszczenie?

Powiedziałam, żeby zapytał Ronalda. Wydawało się roztropniej zostawić Jacka Poulsona z twardym orzechem do zgryzienia. Zanim odszedł, a odszedł wkrótce mówiąc, „że rozmowa w tej chwili jest raczej bezowocna”, oświadczyłam:

— Harięgo tam nie było. Wątpię, czy był tam którykolwiek z tych aresztowanych. To normalne, prawda? Napadnięto na Angielkę i od razu wszyscy tracą po czucie proporcji. Jeżeli Ronaldowi czy komuś innemu się zdaje, że tylko po to, by kolonia angielska miała swój wielki dzień, ukarzenie pierwszych lepszych biednych cholernych Hindusów, jacy się nawinęli, i wszystko będzie dobrze, lepiej się zastańówcie. W sądzie to nie przejdzie, bo po prostu powiem tam wszystko, co mówię panu teraz. I może wiele z tego powiem już bez ogródek.

Wstał, wymamrotał coś, że mu przykro i że wszyscy rozumieją, jak straszne miałam przeżycie, i że z pewnością nikt niewinny nie zostanie ukarany.

— Więc dobrze — powiedziałam — zapomnijmy na razie o tym jednym niewinnym, którego zamknęliście. Czy pozostali choć trochę pasują do mojego opisu?

387

Odpowiedział, że nie wie. Nie widział ich. Ale nie dałam mu wykręcić się tak łatwo. Ryzykowałam, najwyraźniej jednak warto było ryzykować.

— Och, dosyć tego, Jack — obruszyłam się. — Pan wie doskonale. Nawet jeżeli pan ich nie widział, musi pan wiedzieć, co to za ludzie. Czy tacy, jak mówiłam? Cuchnący chłopcy? Bruдни robotnicy rolni? Czy to może tacy chłopcy jak Hari? Tacy, z jakimi pan Merrick, zdaje się, ma na pieńku?

Nie spudłowałam. On jednak nadal powtarzał uparcie, że nie wie. Powiedział, że jeśli się nie myli, to paru z nich jest znanych z „wywrotowej” działalności politycznej lub o nią podejrzanych. Podchwyciłam:

— Aha, chce pan przez to powiedzieć, że mają wykształcenie? Że nie cuchną gnojówką?

Potrząsnął głową nie zaprzeczając, ale też zamykając mi drogę do dalszej rozmowy.

Kiedy to rozpamiętuję, przykro mi, że narobiłam Jackowi Poulsonowi tyle kłopotu. Ale musiałam. Jestem prawie pewna, że odchodząc myślał: To nie przejdzie. Nie przejdzie z tymi, których Merrick ma pod kluczem. Nie wiem, co oprócz tego mówił w bungalowie komisarza okręgowego, dokąd chyba zaraz pojechał. Panu White'owi prawdopodobnie powiedział tylko: „Albo ona kłamie, albo Kumar jest niewinny, ale nawet jeśli kłamie i będzie kłamała dalej, to i tak trzeba będzie uznać Kumara za niewinnego, bo nigdy nie zdołamy udowodnić jego winy. To samo odnosi się do tamtych. Merrick się wygłupił.”

Robin White odciął się od tej sprawy na tyle, że zlecił Jackowi Poulsonowi zajmowanie się nią aż do momentu, w którym trzeba będzie podjąć ostateczną decyzję. Gdyby był taki jak jego poprzednik, pan Stead (którego ludzie w rodzaju Wassiego wprost nie cierpieli). Bóg raczy wiedzieć, co by się stało. Ale dla Robina White'a napaść na niemądrą młodą Angielkę nie miała zbyt wielkiego znaczenia w porównaniu z innymi sprawami, z którymi musiał się uporać. Nie wiem, czy pan Poulson kiedykolwiek powiedział mi o rowerze i oskarżeniu, jakie rzuciłam na Ronalda. Z pewnością trudno byłoby mu się na to zdobyć. W czasie śledztwa w ogóle nie było mowy o rowerze, a nazwisko Harięgo padło tylko wtedy, gdy Ronald składał zeznanie o aresztowaniach. Odpowiedział na pytania, które Jack Poulson starannie przygotował z góry. W istocie zeznanie o aresztowaniach wydało mi się niedorzeczne. Pan Poulson odczytał nazwiska aresztowanych i po prostu zapytał Ronalda, gdzie i kiedy ich aresztował i co oni wtedy robili. Już wiedziałam od Lili, że biedni chłopcy pili samogon w chacie niedaleko Mostu Bibighar, ale w czasie śledztwa znów oburzyła mnie niesprawiedliwość tego wszystkiego. Hari — jak powiedział Ronald — był w swojej sypialni, „obmywał twarz, bo miał ślady obrażeń”. Korciło mnie, żeby Ronaldowi przerwać, zapytać: „A co z tym rowerem?”, ale opamiętałam się w porę. Przemilczanie sprawy roweru to był dobry znak. Możliwe, że

odpowiedzi, że lepiej sprawy roweru nie poruszać nie tylko ze względu na Ronalda, ale i ze względu na dobro służby, flagę i tak dalej. Pozwoliłam sobie jednak skomentować obrażenia na twarzy Hariego, kiedy Jack Poulson mnie zapytał, czy nie przypominam sobie jakichś „cech” poszczególnych napastników. Wtedy właśnie palnęłam, że Hari prawdopodobnie miał zatarg z policją.

Po wysłuchaniu tak zwanych zeznań aresztantów, odprawili Ronalda i znów zaczęli roztrząsać moje oświadczenie i zadawać pytania. Podstawa do aresztowań była sak słaba, że chociaż niczego nie dowodziła, mogła równie dobrze dowodzić wszystkiego. Sędzia Menen milczał, to znaczy nie zadawał mi, jak dotąd, żadnych pytań, ale pod koniec zwrócił się cło mnie:

— Muszę się od pani dowiedzieć, dlaczego parę dni temu odmówiła pani ewentualnego zidentyfikowania aresztowanych.

Bo rzeczywiście, kiedy najgorsza faza rozruchów w Majapurze minęła i oni chcieli jakoś załatwić tę sprawę, żeby już z nią skończyć, nie zgodziłam się na konfrontację.

Odpowiedziałam sędziemu Menenowi:

— Odmówiłam dlatego, że to na pewno nie byli ci. Powiem to w sądzie, jeżeli będzie trzeba.

Sędzia Menen powiedział, że potrafi mnie zrozumieć, jeśli chodzi o konfrontację z „tym Kumarem”, ale fakt, że ja, główny świadek, uchylam się od próby zidentyfikowania tamtych aresztowanych, można by uznać za rozmyślne hamowanie postępowania prawnego. W rezultacie prokurator mógłby udowodnić oskarżenie wbrew zeznaniu głównego świadka, ponieważ wobec takiego rozmyślnego stawiania przeszkód może powstać kwestia, czy świadek w ogóle jest wiarygodny.

Z góry wzięłam to pod uwagę. Pan Poulson nieco się rozchmurzył. Jakoś nie przyszło mu na myśl, że sędzia Menen, Hindus, chyba nie powinien tak mówić do Angielki. Ustami Menena przemawiało Prawo. Był rad, że sprytny stary sędzia przyparł mnie do muru, przeraził konsekwencjami prawnymi, przypominając, że nawet głównemu świadkowi nie wolno hamować postępowania Korony, żeby sprawiedliwości stało się zadość. Aleja zobaczyłam w tym wyjście dla siebie. W istocie wątpiłam, czy sam sędzia Menen stoi na szczególnie prawnym gruncie. Powiedziałam:

— Jeżeli z takiego powodu moje zeznanie ma być uznane za niewiarygodne, to czy będzie mniej niewiarygodne, jeżeli odegrani farsę i będę się przyglądać tym ludziom, nie zamierzając powiedzieć, że ich rozpoznaję? Wolą panowie, żebyśmy odegrała tę farsę? Oświadczyłabym tylko, że ich nie rozpoznaję. Przyjrzenie się im chyba nie jest sarno w sobie sprawdzianem wiarygodności.

Menen wciąż miał twarz pokerzysty. Powiedział, że będą nadal wierzyć w moją prawdomówność, i przypomniał, że całe śledztwo oparte jest na tym założeniu. Wyłącznie to, że nie zgadzam się na konfrontację, może wzbudzić zastrzeżenia co do mojej wiarygodności.

— Z pani zeznania wynika — ciągnął — że zorientowała się pani, jacy ludzie na panią napadli. Że to byli chłopci albo robotnicy rolni. Mając to wrażenie w pa-

mięci, dlaczego nie zgadza się pani pomóc nam tak, jak pani może najlepiej, w zadecydowaniu, czy istnieją dostateczne podstawy, żeby trzymać tych ludzi w areszcie?

Patrzyłam mu w oczy. Ty także wiesz — pomyślałam — że to nie oni. Chcesz, żebym poszła do aresztu, spojrziała na nich i powiedziała: „Nie, to nie oni, jeśli w ogóle mogłam tamtych zapamiętać.” Albo może chcesz, żebym oświadczyła zupełnie jasno, nawet obelżywie jasno, że nie ma co się spodziewać postawienia tych chłopców w stan oskarżenia w mojej sprawie.

Ale nadal bałam się konfrontacji. Byłam pewna, że to nie oni, ale skąd mogłam wiedzieć? Wołałam nie stawać przed nimi. Bo gdyby to jednak byli oni, groziłoby niebezpieczeństwo — bardzo mgliste, niemniej niebezpieczeństwo — że na mój widok wpadną w panikę i zwałą winę na Hariego. I nie chciałam, gdyby to byli oni i gdybym ich rozpoznała, powiedzieć: „Nie, to nie ci.” Nie miałam pewności, czy mogę sobie zaufać, że nawet dla dobra Hariego potrafię tak postąpić. Nie chciałam skłamać. Hamować sprawiedliwość to nie to samo co starać się zapobiec nie-sprawiedliwości.

— Nie — powiedziałam — nie pomogę. Jeden z aresztowanych jest niewinny. Skoro oskarża się jednego niewinnego, nie interesuje mnie, czy pozostali są winni, czy niewinni. Odmawiam stanowczo. Nie chcę się do nich zbliżać. Zgwałcili mnie chłopci. Ci aresztowani to nie chłopci, więc prawie na pewno wszyscy są niewinni. Po pierwsze, wszyscy są hinduistami, prawda?

Pan Poulson potwierdził, że tak, oni wszyscy to hinduiści. Uśmiechnęłam się. Moim zdaniem ten numer przygotowałam świetnie.

— Więc jest jeszcze coś — powiedziałam. — Jednym z napastników był mużłamanin. Obrzezany. Jeżeli chcą panowie wiedzieć, skąd wiem, jestem gotowa panów poinformować, ale jeśli nie, wołałabym poprzestać na tym. Jednym z napastników był mużłamanin. Napadła mnie banda wiejskich chuliganów. I to już

wszystko. Nie potrafię powiedzieć nic więcej, niż powiedziałam. Wrażenie, które odniosłam, było dla mnie dosyć wyraźne, żebym miała pewność: „Nie, to nie ci”, ale nie dosyć wyraźne, żebym mogła stwierdzić: „To są właśnie ci.” Wiem tak niewiele, że mogli to być równie dobrze żołnierze brytyjscy z twarzami uczernionymi. Nie wyobrażam sobie, żeby to byli żołnierze, ale jeżeli takim sformułowaniem mogę panów przekonać, że wiem, iż został aresztowany co najmniej jeden niewinny, no to mówię: Mogli to być równie dobrze żołnierze brytyjscy z uczernionymi twarzami.

Pan Poulson i ten młody człowiek, którego nazwiska nie pamiętam, byli do głębi zgorzeleni. Sędzia Menen patrzył na mnie przez chwilę, a potem rzekł:

— Dziękuję, panno Manners. Nie mamy więcej pytań. Przykro nam, że musimy poddać panią temu przesłuchaniu.

Wstał, więc my wszyscy wstaliśmy także, zupełnie tak, jakby to była sala sądowa, a nie jadalnia w Domu MacGregora. Ale na tym podobieństwo do sądu się skończyło. Sędzia Menen nie wyszedł pierwszy, tylko lekkim ukłonem zaznaczył, że to jest mój przywilej. Kiedy podchodziłam do drzwi, Jack Poulson mnie wyprze-

390

dził, żeby otworzyć je przede mną. Zrobił to machinalnie, był jednym z trybów indyjsko-angielskiej maszyny. Ale poczułam zapach jego zgorzelenia. Gorzki. Jak gdyby przed chwilą gryzł jakieś aromatyczne, paralizujące ziele

Poszłam na górę i nalałam sobie dżinu. Myślałam: Już po wszystkim, wygrałam, Harięgo wypuszczą za parę godzin, najpóźniej jutro. Stałam na balkonie jak nieraz w ciągu poprzednich dwóch tygodni. Kiedy trwały rozruchy, słychać było krzyki, strzelaninę, warkot wojskowych ciężarówek, które jeździły po dzielnicy administracyjnej. Przez parę dni przy bramie Domu MacGregora stali policjanci. Mówili, że istnieje prawdopodobieństwo ataku na ten dom, ale myśmy bardziej się martwiły o Annę Klaus niż o siebie. W pewnym momencie rozruchów Anna Klaus nie mogła się wydostać z miasta krajowców, właściwie uwięziona w szpitalu kobiecym, i nie widziałyśmy się z nią przez dwa dni. Pani White prosiła Lili, żebyśmy się przeniosły do bungalowu komisarza okręgowego. Lili jednak nie chciała. Ja także. I wtedy zjawiała się ta nasza straż policyjna. Widok policjantów przy bramie sprawiał, że czułam się, jakbym i ja była uwięziona. Ronald trzymał się z daleka. Umył ręce od mojej sprawy. Miałam wrażenie, że poza nielicznymi wyjątkami cała społeczność europejska jest gotowa to zrobić albo już zrobiła. Nie przejmowałam się tym. Na tym etapie wydawało mi się, że wszystko dla nas, to znaczy, dla białych, zbliża się ku końcowi. Któregoś wieczora Lili mi powiedziała, że buntownicy wdarli się do więzienia. Pomyślałam: „No i jest rozwiązanie. Uwolnią Harięgo.” Nie wie-’ działałam, że jego tam nie ma. I myślałam: Hindusi przejmą władzę. Może mnie nie ukarzą. Może Hari przyjdzie tu, do Domu MacGregora. Ale nie potrafiłam sobie tego jasno wyobrazić. I oczywiście do niczego takiego nie doszło. Wystąpiło wojsko, słychać było strzelaninę i wszystko stało się dla nas kwestią czasu, a dla nich beznadziejnością. Robot znów funkcjonował.

Ale niepokoiłam się o Annę i o siostrę Ludmiłę. Tylko one dwie spośród wszystkich białych, których znałam, były po tamtej stronie rzeki. Anna, bo tam pracowała, siostra Ludmiła, bo tam pracowała i mieszkała. Siostra Ludmiła powiedziała mi później, że nie zwracała uwagi na godzinę policyjną i wychodziła z panem de Souza i chłopcami z noszami jak zawsze, co noc. Mieli mnóstwo roboty. Parę razy policja ich zawróciła, ale na ogół udawało im się przemykać. W „domu śmierci”, jak ludzie go nazywali, łóżka były wciąż zajęte. I co dzień rano policja przyjeżdżała do „Azylu”, co dzień rano przychodziły kobiety, których mężowie i synowie nie wrócili do domu.

Niepokoiłam się o Ciebie też, Ciociu, dopóki Lili mi nie powiedziała, że prosiła Robina White'a o zawiadomienie Cię drogą urzędową, że ja dobrze się czuję. Starali się zataić moje nazwisko w sprawozdaniach, które się ukazały w gazetach w całym kraju. Próżna nadzieja. Dzięki Bogu, że rozmawialiśmy przez telefon, zanim podano moje nazwisko. Ale i tak bałam się, Ciociu, że przyjedziesz do Ma-japuru. Bądź błogosławiona za to, że nie przyjechałaś, za to, że okazałaś mi zro-

391

zumienie. Gdybyś. Ciociu, przyjechała, nie zniósłabym tego. Musiałam sobie z tym poradzić sama. I błogosławiona niech będzie Lili za to, że zrozumiała. Z początku myślałam, że jej rezerwa wynika z dezaprobaty, a potem, że z tej dziwnej indyjskiej obojętności na ból. Ale oczywiście jej obojętność była w pełni „europejska”, w pełni cywilizowana, jak Twoja. Ciociu, i jak moja. Są takie rodzaje bólu. naszego własnego albo wyczuwanego u kogoś, które najlepiej zostawić w spokoju, i to wtedy nie jest brak serca, to jest delikatność. Rezerwa Anny była inna. Również europejska, ale żydowska samoobronna, uczulona, jak gdyby Anna nie chciała dopuścić do siebie myśli o bólu, bo gdyby zareagowała na mój ból. zaczęłyby znów reagować na to, co pamiętała z własnych przeżyć. W ten sposób zachowując dystans, mogła zbudować przyjaźń między nami. zaufanie, taki szacunek, jaki mogą czuć do siebie dwie osoby, które się rozumieją. Nie należy spodziewać się więcej. Ale uczucie wypływa z innego źródła, prawda? Myślę o przywiązaniu pomiędzy Tobą, Ciociu, i mną. Ono na pewno wynika nie tylko z

pokrewieństwa, bo podobne przywiązanie jest pomiędzy mną i Uli. Serdeczność, która nas ogarnia i trwa. ale która niekoniecznie znajduje wytłumaczenie, bo wcale nie ma w niej zaufania poza tym, że ufa się z miłości. Ufa się, kiedy się już pokocha.

Nigdy nie czułam tego do Anny. Ani też z pewnością ona nie czuła tego do mnie. Ale byliśmy dobrymi, rozumiejącymi się przyjaciółkami. Z biegiem czasu w człowieku rodzi się jakiś instynkt, jeśli chodzi o ludzi. Odbiegłam od tematu, musiałam to omówić, bo kiedy tak stałam na balkonie i piłam mój zasłużony dżin z sokiem limonowym. zobaczyłam, jak z domu wychodzą Ronald i pan Poulson i wsiadają do ciężarówki Ronalda. Sędzia Menen nie wyszedł z nimi. Został, żeby napić się z Lili.

Pomyślałam wtedy: Dziwne. Ronald i Jack Poulson to dla mnie tylko l u d z i e. W istocie nie żywiłam urazy do Ronalda, a cóż dopiero mówić o Jacku, który najwyraźniej gdzieś z Ronaldem jechał, żeby pogadać. Ale uznałam, że oni są poza kręgiem tych, których „warto znać”, jak ujęła to kiedyś moja mama. chociaż prawdopodobnie chciała przez to powiedzieć coś zupełnie innego. Wiem jednak dobrze, co ja chcę przez to powiedzieć. Ja ich już znałam. Wiedziałam, że nie kryją w sobie żadnych niespodzianek, ponieważ pracują dla robota. Co robot powie, oni powiedzą także i uczynią, co robot uczyni. Wierzą w to. w co wierzy robot, skoro właśnie tacy jak oni naładowali robota owymi przekonaniem. I dopóki nie przestanie funkcjonować, zawsze będą mieli słuszość, bo robot jest wzorem słuszości.

Nie ma w nich żadnej pasji tworzenia. Wszystko, cokolwiek uznają w sobie za twórcze, wygaśnie z chwilą, gdy znacznie odbiegać od tego. na co robot jest nastawiony. W czasie śledztwa trzeba było sędziego Menena, żeby się przedrzeć przez zapórę, którą wznosił robot — jeżeli przedrzeć się jest trafnym czasownikiem w odniesieniu do człowieka, który nawet wstając z fotela wygląda tak, jakby ćwiczył ruchy przemyślane i opanowane. Ale się przedarł. W jednej chwili był po ich stronie, po stronie robota, a w następnej przedarł się na drugą stronę. Byliśmy po drugiej stronie oboje. On mnie przeprowadził — czy też

.192

przyłączył się tam do mnie — mogło być i tak, i tak. Chyba więc to jak najbardziej w porządku, że później został u Lili. zaproszony na whisky, opuścił chłopców robota, żeby sami już bez niego biedzili się. w jaki sposób upozorować, że robot dopiął śledztwo na ostatni guzik. Musieli przecież zachować twarz, oni i robot.

Dziwne, że tak myślałam o panu Poulsonie. Państwo White bardzo go cenią. Jest jeszcze młody, a więc ostrożny, co może brzmi paradoksalnie, ale to nie paradoks, bo właśnie młody człowiek musi zarabiać na życie, utrzymywać rodzinę, myśleć o karierze. Chyba jednak zawsze trzeba czegoś w rodzaju tak zwanej sprawy Bi-bighar. żeby dało się odróżnić ludzi mechanicznych od ludzi, którzy potrafią kluczem francuskim sięgnąć w głąb mechanizmu. To jest jeszcze jedno sformułowanie mojej opinii o sędzim Menenie. Ciekawe, że jego klucz użyty w tym wypadku, klucz, który zatrzymał dochodzenie, był właśnie odpowiedni. Dopiero po latach doświadczeń człowiek wie dokładnie, jakiego klucza trzeba użyć i w jakiej chwili. Sędzia Menen chyba tak dobrze to wiedział, że dla własnej dodatkowej satysfakcji ostatecznie przekazał ten klucz mnie. żebym dokończyła dzieła za niego. Wiedział, że chcąc, by robot na jakiś czas się zaciął, trzeba się dostać prosto do serca mechanizmu, który go wprawia w ruch — do tego małego nacięcia w zębatach kole procedury sądowej, wmontowanej w robota z błogą nadzieją, że kiedy już raz zaczniesz się kręcić, zatrzyma się nie wcześniej, niż sprawiedliwości stanie się zadość. Docierając do serca mechanizmu, sędzia Menen odstąpił je, pokazał mi, jakie ono jest, i tym samym dał mi szansę, żebym je zatrzymała narzuceniem robotowi niemożliwego zadania — niemożliwego, bo czyż robot może zrozumieć sprawiedliwość i własne posunięcia i udowodnić, że jego sprawiedliwość dorównuje mojej czy też moją przewyższa? Ale robot zaciął się tylko chwilowo.

Na długo przed odejściem sędziego Menena wycofałam się z balkonu i wzięłam kąpiel. Byłam już ubrana do kolacji, kiedy przyszła Lili zapytać, jak się czuję i czy chcę zobaczyć się z Anną, która wstąpiła do nas w drodze ze szpitala kobiecego. Zapytałam:

— Czy sędzia Menen jest jeszcze?

Powiedziała, że odjechał jakieś dziesięć minut temu. Prosił, żeby mnie pożegnać. Po raz pierwszy zobaczyłam Lili wzruszoną. Dotychczas widywałam tylko jej rozbawienie, jej przekorę, dezaprobatę i obojętność. Chyba to sędzia Menen wzruszył ją czymś, co o mnie powiedział — czy raczej sprawił, że się wzruszyła, ledwie po rozmowie z nim zobaczyła mnie znowu. Nie wiem, co jej powiedział. Nigdy nie będę wiedziała. To typowe dla Lili. Typowe dla niego także. W jakiś strasznie angielski sposób Lili i ja schodziłyśmy sobie z oczu — odsunęłyśmy się od siebie o całe jardy — a jednak byłyśmy znów razem.

Zeszłam na dół i przywitałam się z Anną. Lili poprosiła Annę, żeby została na kolacji. Anna się zgodziła. Dla mnie to była cudowna niespodzianka, jakbym była dzieckiem i dowiedziała się w złocisty letni poranek o zaplanowanym pikniku. Lili wyszła, żeby posłać Radzu do kucharza z wiadomością, że kolacja ma być dla trzech osób. a ja przyrządziłam Annie cocktail.

— Wyglądasz lepiej — zauważyła Anna. — Proszę, pozostań taka.

.19.-!

— Myślę, że pozostanę. Myślę, że wygrałyśmy.

Powiedziałam „my”, bo Anna przez cały czas trwała przy mnie. Zanim stanęłam przed „komisją śledczą”, wiedziałam, że zapytano Annę bez ogródek: „Czy zdaniem pani doktor panna Manners przed napaścią była *intacta*?” I wiedziałam, co ona odpowiedziała. Kiedy oznajmiłam jej: „Myślę, że wygrałyśmy”, podniosła szklanke.

Ale to był dla mnie ostatni wieczór szczęścia. Potem czekałam pełna optymizmu, nie da się jednak powiedzieć, że szczęśliwa. W końcu nawet mój optymizm się rozwiął. Potrzebowałam Hariego. Potrzebowałam też Lili i Anny, i Ciebie, Ciociu, ale najbardziej ze wszystkich właśnie Hariego. Czyż nie postarałam się, żeby powstał wokół mnie mój własny zamknięty krąg? Krąg, w którym czułam, że jestem bezpieczna. Krąg bezpieczeństwa na ziemi niczyjej. Dokądkolwiek idziemy, cokolwiek robimy, otaczamy się taką złudną osłoną. Godziny mijały. Dni. Ponad tydzień. Nie wychodziłam z domu. Uciekałam do swojego pokoju, kiedy byli goście. A bywali często. Dom MacGregora stopniowo znów zapełniły vibracje, których źródło objawiło mi się dopiero teraz. I rozumiałam, że nieodłączne od tego źródła są: kompromisy, ufność i jakieś nie narzucające się zainteresowanie, jak gdyby ci ludzie próbowali uczyć się, a nie nauczać, i raczej wybaczać niż oskarżać. Jest takie stare niecne powiedzonko, prawda? „Kiedy gwałt jest nieunikniony, leż i odczuwaj przyjemność.” No, był niejeden gwałt. Nie mogę powiedzieć, Ciociu, że leżałam i odczuwałam przyjemność. Lili jednak usiłowała leżeć i znajdować przyjemność w tym, co my robimy z jej krajem. Nie twierdzę, że to jest nasza zła wola. Może to miłość. Och, gdzieś dawno i teraz, i w przyszłości, właśnie miłość, taka jak pomiędzy mną i Harim. Ale zawsze znajdują się tacy, którzy wszystko popsują, prawda? Państwo Swinson. Jędze, które jeżdżą aż do Lahauru, Ronaldowie Merrickowie. Ten niemądry człowieczek, który podsumował historię swojej niemądrej małej wyspy, kiedy z gwizdnięciem powiedział: „Jakiś dostawca zbija majątek.”

Któregoś dnia odwiedziła mnie Connie White. Przywiozła ze sobą Mavis Poul-son. Ale już po dziesięciu minutach zorientowała się, że przywiezienie do mnie tej cnotliwej, ciężarnej, nerwowej Mavis było błędem. Odprawiła ją. Jest żoną komisarza okręgowego, mogła sobie na coś takiego pozwolić, odważnie ryzykując tylko to, że Mavis przez parę dni nie będzie jej lubiła. Kiedy zostałyśmy same, powiedziała:

— Mąż nie wie, że jestem tutaj. Nie powiem mu, że byłam. I nie powinnam się wtrącać, wiem. Ale Hariego Kumara wywieźli. Jego i tamtych chłopców. Do więzienia gdzieś w innym mieście.

Nie doznałam wstrząsu. Byłam na to przygotowana. Dni milczenia Lili mnie przygotowały. Nie rozumiałam tego, ale to nie znaczy, że nie wierzyłam w taką możliwość. Zapytałam Connie, za co go uwięzili. Rozłożyła bezzadnie ręce wobec retoryczności zarówno mojego pytania, jak własnej odpowiedzi.

394

i. — Wszystkie akta już ma komisarz nadokręgowy — odpowiedziała. — Sprawa wymknęła się z naszych rąk. Ale chciałam cię zapytać, czy jest coś, co możesz powiedzieć mnie, a czego wolałaś nie mówić Jackowi czy Robinowi, czy Lili. Zdziwiłam się.

— Co takiego, na litość boską?

Znów rozłożyła ręce tym bezradnym gestem, zrozumiałam dla nas obu. Powiedziała, że prawdopodobnie tylko ja wiem co. Uznałam to za pułapkę. Uśmiechnęłam się.

— No, ty wiesz, jacy są mężczyźni — wyjaśniła. — Zawsze sobie powtarzają, że nie stać ich na luksus prawdziwej ciekawości, jeśli chodzi o bliźnich. Och, ja wiem, rozwiązują mnóstwo różnych złożonych problemów, żeby się dowiedzieć, czy aby na pewno składamy się z wody, gazu i czegoś tam i czy wszechświat nadal eksploduje i pędzi naprzód z prędkością iluś tam milionów lat świetlnych na sekundę. Jest to, przypuszczam, urzekające, tylko że dla nas nie ma żadnego praktycznego znaczenia, kiedy musimy obchodzić się ze służącą jak z jajkiem, żeby, hroń Boże, nie odeszła, co prawda ze skromną prędkością iluś tam ziemskich mil na godzinę.

Parsknęłam śmiechem. To było tak niedorzeczne. Przelewanie z pustego w próżne. Pogawędka. Wesołe żarty. Niech ją Pan Bóg kocha. Taką właśnie ona miała zbroję. Klucz — szczelinę w tej zbroi — stanowiło słowo „ciekawość”. Wiedziałam, co mi wypada powiedzieć: „A czego jesteś ciekawa?” Znów parsknęłam śmiechem. Chyba pomyślała, że brak mi piątej klepki. Podobno biedna panna Crane zbzi-kowała. Lili odwiedziła ją raz, kiedy jeszcze byłam w Domu MacGregora, czy może dwa razy, nie pamiętam. Nie rozmawialiśmy o tym wiele. Panna Crane zdjęła ze ścian wszystkie obrazy, chociaż nie zamierzała się przeprowadzać. Później popełniła sati. Z pewnością czytałaś o tym, Ciociu, w „Times of India”. Obie czytałyśmy. I przemilczałyśmy to obie. Może Lili, Ciociu, napisała Ci coś więcej o pannie Crane. Oczywiście to jest błędnie sformułowane: „popełniła sati”. Bo sati czy też sutee (tak się to pisze?) oznacza rodzaj łaski, jakiej dostępuje żona, prawda? Więc tego się nie popełnia. W to się wkracza. Przyzwoita wdowa po Hindusie staje się sati. Czy ja powinnam się stać sati, Ciociu? Czy Hari nie żyje? Chyba prowadzimy dostatecznie pustelnicze życie, by w każdym razie móc się uważać za sannjasinów. Ale nie. Ja jeszcze nie skończyłam ze światem. Nadal mam co najmniej jeden obowiązek do wypełnienia.

Poczuwałam się też do obowiązku wobec Connie White. Kiedy już przestałam się śmiać, zapytałam:

— Więc czego jesteś ciekawa?

Nie można nie zapłacić za dowcip. Trudno, trzeba uiścić nałożoną na dowcip cenę.

— No — powiedziała Connie — najwyraźniej to wszystko zaczęło się od pewnego człowieka, który nazywa się Moti Lal.

Nigdy nie słyszałam o Moti Lалу, ale jak się okazało, to właśnie Lal był poszukiwany wtedy, gdy Ronald aresztował Hariego po raz pierwszy. Moti Lal kiedyś

pracował u wuja Hariego. Zawsze przemawiał do grup uczniów gimnazjum i technikum i tło młodych ludzi, i do robotników. Próbował wciągnąć do organizacji personel w swoim miejscu pracy i dlatego stary Romeś Cand zwolnił go z posady. Poza tym Moti Lal dostał ostrzeżenie od władz z paragrafu 144 Kodeksu Postępowania Karnego. Myślę, że to była robota RONALDA. Ostrzeżenie, a raczej rozkaz powstrzymania się od działalności, która może zakłócić spokój publiczny w okręgu. Tak czy owak, podobnie jak wielu innych, zdecydowanych wciąż sprawić Brytyjczykom kłopoty, Moti Lal nie usłuchał, wobec czego został oskarżony z paragrafu 188 Kodeksu Karnego i skazany na sześć miesięcy więzienia. Pamiętam trąkotanie Connie dosłownie, bo ucpełam się tego w nadziei, że się dowiem, co mogli zrobić Hariemu. Nie dowiedziałam się, ale później znalazłam coś niecoś na ten temat w książkach prawniczych w bibliotece Lili.

Moti Lala wywieziono do więzienia w Aligarhu. Uciekł. Więc Ronald szukał go wtedy rano, gdy przyjechał do „Azylu” i Hari tam był, skacowany. Zapytałam Connie, co Moti Lal ma wspólnego z niewinnym człowiekiem uwięzionym za zbrodnię, której nie popełnił.

— Właśnie w tym sęk — powiedziała. — Hari Kumar dostał się do więzienia wcale nie za napaść. Były powody natury politycznej. Znał Moti Lala.

Znów się roześmiałam.

— Hari znał Moti Lala — zadrwiłam. — Ja znam Hariego. Dlaczego mnie nie uwięziono? Przypuszczam, że ci wszyscy chłopcy też znali Moti Lala.

Powiedziała, że doprawdy nie obchodzą jej tamci chłopcy. Policja miała ich w kartotece, Jack Poulson ich przesłuchiwał. Obaj, Jack i jej mąż, uważają, że to tacy chłopcy, którzy, gdyby nie zostali aresztowani w noc Bibighar, już w dwa dni później na pewno by siedzieli za zakłócanie porządku publicznego albo sabotaż. Zresztą, cokolwiek się myśli o tych aresztowaniach, czy były sprawiedliwe, czy niesprawiedliwe, oni w obecnych okolicznościach są „zwierzyną łowną”, więc bezpieczniej dla nich w zamknięciu.

— „Zwierzyna łowna”, dobre określenie — powiedziałam. — Raczej nie można by ich było teraz wypuścić. Aresztowani za najgorszą ze wszystkich zbrodni, wszyscy o tym wiedzą. I to samo odnosi się do Hariego. Tylko że dla niego to jest jeszcze bardziej niebezpieczne. Bo wszyscy wiedzą, że myśmy się przyjaźnili.

Przyznała, że dla Hariego to jest jeszcze bardziej niebezpieczne, a raczej było, dopóki nie ustalono, że nie brał udziału w napaści. Ale ostatecznie żaden z tych chłopców nie został oskarżony o napaść. Sprawa napaści jest wciąż jeszcze otwarta. Policja dalej się nią zajmuje. Mało jednak prawdopodobne, żeby kiedykolwiek schwytała sprawców, chyba że zaczęliby się chwalić po powrocie na wieś czy też gdzieś tam, skąd przyszli do Bibighar, albo nawet w więzieniu. Bo przecież niewykluczone, że znaleźli się wśród aresztowanych w czasie późniejszych rozruchów. Policja ma nadzieję, że nie wśród zabitych. Ona, Connie, osobiście nie sądzi, żeby byli wśród zabitych, ponieważ takie typy nie narażałyby życia sprzeciwianiem się wojsku. Jeżeli ich aresztowano, to razem z innymi mętami przyłapanymi na grabieży. Jeżeli ich nie aresztowano, to oczywiście mogą być Bóg wie gdzie i nie spo-

396

sób ich znaleźć, chyba że o nich doniesie ktoś, kto słyszał, jak się chwala, a ma z nimi na pieńku. No, ale w Indiach nigdy nie można polegać na uzyskanych w ten sposób zeznaniach.

Nie wiem, o co Connie chodziło: czy chciała mnie uspokoić wiadomością, że Hariego nie czeka kara za napaść, czy ostrzec, żebym miała się na baczności, bo domyślała się prawdy, a więc domyślała się też, że napastnicy mogliby oskarżyć Hariego i ja dlatego usiłuję nie dopuścić do ich aresztowania, czy też może wprost przeciwnie, chciała wprowadzić taki nastrój, żebym n i e miała się na baczności, żebym jednym nieostrożnym słowem zburzyła całą budowlę wzniesioną z kłamstw. Możliwe jednak, że o nic takiego jej nie chodziło. Kiedy się kłamie i kłamie bez końca, zaczyna się podejrzewać prawie każdego, że coś knuje, kręci i oszukuje. Myślę, że ona po prostu, tak jak powiedziała, była ciekawa i teraz uznała, że skoro mężczyźni załatwili już tę sprawę raz na zawsze po męsku, przysługuje jej, kobiecie, prawo do zaspokojenia ciekawości.

Mówiła dalej: Moti Lala w ogóle nie schwymano, przeszedł „do podziemia”. Ci chłopcy aresztowani przy picciu samogonu przysięgają, że nie widzieli Moti Lala, odkąd dostał wyrok więzienia. Jack Poulson jest zdania, że kłamie. *Niestety, w loku* tych wszystkich przesłuchań i badań Hari Kumar „stopniowo okazał się młodym człowiekiem, co do którego trzeba żywić najpoważniejsze podejrzenia” (znów usłyszałam wierne echo głosu pana Poulsona). Policja od kilku miesięcy miała go na oku. Już raz był przesłuchiwany, kiedy szukano Moli Lala. „Robił tajemnicę ze swojego nazwiska”, najpierw podał je w niewłaściwym brzmieniu — co samo w sobie jest przestępstwem, chociaż Ronald Merrick machnął na to ręką, bo przestępstwo w tym przypadku było tylko sprawą formy. Ale zaprotokołowano, że Hari powiedział: „Nienawidzę tego cuchnącego kraju, tych, którzy w nim żyją, i tych, którzy nim rządzą.” Hari pracował w tej samej firmie co Moti Lal. Był swego czasu kolegą młodego anarchisty nazwiskiem Widjasagar, którego aresztowano za rozpowszechnianie literatury wywrotowej i doręczenie policji ulotki z wezwaniem, żeby pomogła ludowi „uwolnić męczenników Ogrodu Bibighar”. Po aresztowaniu Hariego w związku z napaścią w Bibighar przeszukano jego pokój. Ku zdziwieniu policji nie było tam żadnej korespondencji poza jednym listem od kogoś z Anglii. Nie zidentyfikowano owego kogoś, bo podpisał się tylko imieniem, ale z listu wynikało, że jest w wojsku i że byt w Dunkierce, nazwał Dunkierkę „rzezią”. Prosił, żeby Hari pamiętał, że listy mogą być czytane, ponieważ wtedy, gdy był we Francji, jego ojciec już otworzył kilka i nie

przesłał mu ich, a potem się tłumaczył tym, że za dużo w nich „zapalczywego rozpolitykowania”. Nikt nie mógł zrozumieć, dlaczego Hari zachował len właśnie list spośród wszystkich, jakie na pewno dostawał od czasu do czasu od różnych osób. Oczywiście nie będzie się dochodzić, kim jest ten „dosyć zbuntowany” młody Anglik. Wystarczy fakt, że jego list świadczy w pewnym stopniu o podobnej, postawie samego Hariego. Raczej bez trudu znaleziono dowody na to, że młody, wykształcony Hari Kumar, pozornie spokojny i nie zaangażowany, jest w rzeczywistości jednym z przywódców grupy niebezpiecznych działaczy, których aresztowano w porę, pozbawiając sposobności do wystąpienia

397

jawnie przeciwko wojennej współpracy. Akta dotyczące Kumara i tamtych chłopców przesłano komisarzowi nadokręgowemu. Komisarz zaakceptował podjętą „bardzo niechętnie” decyzję Robina White’a, żeby ich wszystkich trzymać w odosobnieniu na mocy Ustawy o obronie Indii.

Kiedy Connie w swojej oracji doszła do tego punktu, zanosiłam się takim śmiechem, jakiego alternatywą jest tylko płacz. Wiedziałam, kim jest ten młody Anglik.

- Ależ to farsa! — wykrztusiłam — to absurd! Hari może udowodnić, że to śmieszna, potworna farsa!
- No właśnie, moja droga — powiedziała Connie — i mnie też to zdumiewa. Tamci chłopcy zaprzeczyli wszystkiemu poza tym, że się znają, co było raczej niezaprzeczalne. Krzyczeli, płakali, powtarzali uparcie, że jedyne ich przestępstwo to picie samogonu. I wiadomo było, że kłamią. Ale z Harim to zupełnie inna sprawa. Sam Jack Poulson go przesłuchiwał. Na żadne pytanie Hari nie odpowiedział. Ani nie zaprzeczał, ani nie potwierdzał. Na swoją obronę oświadczył tylko: „Nie byłem w Bibighar. Nie widziałem się z panną Manners, od czasu kiedy byliśmy w świątyni.” I to oczywiście wtedy, gdy oskarżyli go o napaść. Wszystkie inne pytania kwitował: „Nie mam nic do powiedzenia.” To nienaturalne. Według mnie to nienaturalne. O n i po prostu uznali jego milczenie za przyznanie się do winy. I ja bym chyba przyznała im rację, gdybym była mężczyzną. Ale jestem kobietą, jak ty. Myślę o Harim Kumarze, kiedy słucham, jak Jack opowiada o nim swojej żonie i jak mój mąż rozmawia o nim z sędzią Menemem. Myślę wtedy: „Coś tu nie tak. Mężczyzna milczy, jeżeli to, co mógłby powiedzieć, oznaczałoby dla niego stryżek. On walczy o swoje życie, walczy o swoją wolność. Walczy, bo jest mężczyzną.”

Siedziałyśmy na werandzie. Och, wszystko tam było — wiklinowe fotele, na stole taca z podwieczorkiem, zapach kwiatów, zapach Indii. Atmosfera pewności, nastrój wiecznego trwania, ale również jakieś dziwne uczucie, że to, co się dzieje, wcale się nie dzieje, bo zaczęło się źle i szło nie tak, jak trzeba, więc już się skończyło, przy czym nawet w tym Zakończeniu coś się wywróciło na opak. Dla mnie to zakończenie jest nierzeczywiste i dalekie, a przecież tak zamykające krąg, jak gdyby już przechodziło w jakiś początek. Cierpimy wskutek takiej ciągłej nadziei. Myślę, że Dom MacGregora został zbudowany na takich właśnie fundamentach. Schodki werandy, na których potknęłam się i upadłam, były w odległości zaledwie kilku stóp od naszych foteli. Nigdy nie widziałam ducha Janet MacGregor, ale czułam, że Janet na pewno widziała mojego.

Connie powiedziała:

— Chyba jestem bardzo niemądra, zastanawiam się jednak, wiesz... Gdyby Hari Kumar był Anglikiem, mogłabym zrozumieć jego milczenie lepiej, chociaż nawet wtedy to by musiało być milczenie narzucone mu przez kobietę.

Znów parsknęłam śmiechem. Śmiałam się, bo pojęłam, że tym razem naprawdę nic nie mogę zrobić — dla Connie, dla siebie ani dla Hariego, dla nikogo. Moje nogi, jak na urągowisko odsłonięte od kolan w dół, były anachronizmem. Żeby odegrać tę scenę bodaj w przybliżeniu stylowo, powinnam mieć długą suknię

398

z białego muślinu i mały płaski słomkowy kapelusik. Powinnam być świadoma podniosłości chwili. Powinnam móc powiedzieć: „Ależ Hari jest Anglikiem”, a potem wstać, otworzyć moją parasoleczkę i uwolnić się od towarzystwa pani Con-stance White tak, żeby ona zrozumiała, ale nic nie mogła odrzec, bo to jest świat, gdzie mężczyźni umierają pod gozmb niebem, a kobiety pływają w czterech ścianach, i gdzie królowa, mądra stara dama na tronie, z powodzeniem dokonuje trudnego wyczynu udowadniającego, że w jej świecie nawet sprzedajność umiera z braku odpowiednio cuchnącego powietrza.

No cóż, było świetnie, prawda? Ja siedziałam w jednym fotelu, Connie White w drugim i wystawiałyśmy na pokaz akry nagiej nieładnej skóry, pociłyśmy się pod pachami, gdy tymczasem Hari w jakimś obrzydliwym więzieniu poza zasięgiem i jej, i moim, też spocony, rozmyślał, co mu to dało, że postąpił tak, jak honor by nakazywał postąpić białemu, na którym dziewczyna wymogła przyrzeczenie, wymogła je dla jego dobra, owszem, ale i dla jej własnego dobra również. Bo go pragnęła. Chciała, żeby był przy niej, żeby znów się z nią kochał. Bo ta miłość była cudowna. Cudowna, bo on jest czarny. Pragnęłam go, czarnego, więc jego ciemna skóra stanowiła element tego, czego pragnęłam. Siedząc z Connie, zaśmiewając się, byłam przez chwilę samolubna i zawzięta i miałam w owej chwili nadzieję, że on cierpi tak strasznie jak ja, cierpi dlatego, że stawiał swoją cholerną nabytą angielską dumę wyżej niż pociąg fizyczny do mnie. Dobrze — myślałam — niech się teraz cieszy ze swojego głupiego szeregowania wartości. I myślałam: Jakież to typowe! Każe się Hindusowi nic nic mówić, a on to bierze dosłownie.

Później oczywiście rozumiałam, że on tego nic wziął tak dosłownie. Zinterpretował to w taki sposób z całym rozmysłem, żeby się ukarać. Żeby mieć nowy powód do szydzenia z siebie.

Kiedy Connie odjechała, niewiele mądrzejsza po tej wizycie, ale chyba pewna, że ja jestem niezrównowazona, poszłam do swojego pokoju i rozbeczałam się, bo nastrój facecji minął, melodramat eksplodował stając się nie

tragedią, tylko po prostu życiem i tym idiotycznym miotaniem się od jednej myśli do drugiej pod naporem prądów, które się krzyżują, ale dzięki którym jest się na powierzchni. Nigdy się nie tonie. Nigdy, nigdy, dopóki się nie umrze. Więc dlaczego mamy tak niedorzecznie bać się prawdy?

Lili przyszła, kiedy płakałam. Gotowa mnie pocieszać, ale też i dać mi klapsa za głupie histeryzowanie, usiadła na łóżku. Byłam znów dzieckiem. Szlochając krzyknęłam:

— Chcę, żeby on był tutaj! Chcę, żeby był! Sprowadź go, ciociu. Błagam, pomóż sprowadzić go z powrotem.

Nie powiedziała nic. Tak jak Hari. Oni chyba uważają, że w ogóle nie ma co mówić. To znaczy wtedy, gdy zamierzają budować, nie burzyć. Pod tym całym ich gadulstwem i gwałtownością jest jakaś głęboko zakorzeniona cisza. Siwa tańczy w niej. Wisznu w niej śpi. Nawet ich muzyka jest ciszą. Jak żadna inna muzyka, którą znam, wydaje się świadoma tego, że rozbija ciszę, i kończąc się, znów

399

zapada w ciszę, nieomal udowadnia, że wszelkie dźwięki stworzone przez człowieka są złudzeniem.

Cóż za dziwna koncepcja świata! Nigdy jej nie zrozumiemy. Podejrzewam, że nawet oni sami jej nie rozumieją. Czy właśnie po to, by zrozumieć, siostra Ludmiła wędruje po ulicach i zbiera umarłych i umierających? Może to tylko jedna z koncepcji, których początek dałoby się wytropić w zamierzchłej przeszłości, które powstały z dawno zapomnianych przemożnych, pierwotnych cierpień i bólów? Zadaję sobie to pytanie, bo w parę tygodni później, kiedy już wiedziałam, że jestem w ciąży, i poprosiłam Uli, żeby wezwała Annę Klaus, przyszło mi na myśl, że sama Anna stoi na granicy rzeczywistości i złudzenia, skoro została odarta ze wszystkiego i cierpiała, i dalej żyje. Anna jest wielką zwolenniczką usypiania pacjentów, wspaniale aplikuje środki uspokajające. Pamiętam, jak wtedy u mnie w sypialni, trochę profesjonalnie marszcząc brwi, przeglądała zawartość swojej czarnej torby, .takież bogactwo kompromisu kryje się w torbie lekarskiej! I wydawało się, że Anna jest daleko ode mnie, a przecież zabiera mnie ze sobą tunelami ciągnącymi się miliony mil, wyłożonymi białą glazurą, podziemnymi korytarzami ludzkiego poniżenia, gdzie nie dopuszcza się brudu, bo my, ludzie północy, umiemy już się obchodzić z cierpieniem, lak żeby było aseptyczne i niezaraźliwe. Z początku zlekłam się głupio, że ona przygotowuje dla mnie coś, co pozbawi mnie tego dziecka.

• Co to jest? — wykrzyknęłam. — Co to jest?

• Nie dziwacz — powiedziała. — Trzeba, żebyś dobrze przespiała noc. Przyszłe matki powinny oddawać się rozmyślaniom w spokoju, .lak zakonnice.

Więc leżałam i już się nie wtrącałam. Ale raptem musiałam zapytać:

— Anno, co ja mam robić? Nie mogę żyć bez niego.

Nie spojrziała na mnie. Odmierzała dawkę. Odpowiedziała tej buteleczce z lekiem, nie mnie. Ostatecznie tylko lekom mogła rzeczywiście ułać, tylko w leki mogła wierzyć, tylko leki mogła rzeczywiście kochać.

— Tego musisz się nauczyć — odpowiedziała. — Życ ograbiona.

Podala mi szklankę i czekała, dopóki nie wypiałam wszystkiego co do kropli.

Załącznik do części siódmej

III STY LADY MANNERS DO LADY CHATTFRJE

Śrinagar, 31 maja 1943 r.

Kochana Lili!

Przebaczyłaś mi, mam nadzieję, to, że wołałam, abys nie przyjeżdżała w zeszłym miesiącu, i że od tamtej pory poza dwiema moimi depezymi do Ciebie nie dawałam znaku życia. W depezy nadanej tydzień temu zapowiedziałam ten list. Jeśli zechcesz, przyjeźdź w przyszłym miesiącu, będę już w domku na jeziorze.

Obawiam się, że nastąpią nie kończące się komplikacje prawne. Biedna Daphne umarła nie zostawiając testamentu, chyba więc jej pieniądze podlegają ustawowemu powiernictwu na rzecz dziecka, o ile do tej części, którą Daphne odziedziczyła po swojej matce, nie będą sobie rościć prawa jej bliscy krewni. Żona George'a Manne'go miała zamężną siostrę, którą Daphne nazywała ciocią Kate i która poniosła śmierć w wypadku samochodowym. Jej mąż ożenił się ponownie, ale było dwoje czy troje dzieci z pierwszego małżeństwa — rodzeństwo cioteczne Daphne — ona mi nawet opowiadała, jak bawiła się z nimi w dzieciństwie. Przypuszczam, że skoro Daphne nie zostawiła testamentu, ci kuzyni mogliby wystąpić z jakimś roszczeniem. Nie bardzo wiem, co im przysługuje w tym wypadku, kiedy dziecko zmarłej jest nieślubne. Trzeba będzie w to wszystko wejrzeć i porozumieć się z kancelarią adwokacką w Londynie, która zawiaduje tymi pieniędzmi. Daphne szanowała swój nieduży spadek. Nigdy nie naruszała kapitału, tylko pobierała za pośrednictwem tutejszych banków nieduże sumy z odsetek. W każdym razie prosiłam pana Docher-ty w Pindi, żeby przygotował wszystko, co trzeba, do uporządkowania tych spraw, lecz dużo czasu upłynie, zanim będziemy wiedzieli, co prawnie należy się dziecku, i jeszcze więcej, zanim się zorientujemy, jaki użytek można z tego zrobić tutaj.

Tymczasem odpowiedzialność za tę małą spoczywa na mnie. Kiedy przyjedziesz, Lili, może będziesz mogła mi powiedzieć, czy Twoim zdaniem to jest dziecko Ha-riego Ku mara. Mam specjalny powód, dla którego chcę to wiedzieć. Nie chodzi o wniesienie jakiegokolwiek oskarżenia czy roszczeń prawnych. Nie ma żadnej kwestii ustalania ojcostwa, pan Kumar znajduje się poza zasięgiem zarówno naszych oskarżeń, jak naszej pomocy, i chcę, żeby to tak zostało. Lecz dając temu dziecku dach nad głową i kochając je ze względu na Daphne — i ze wzglę-

401

du na nie samo — wołałabym wiedzieć, do jakiego stopnia można przypuszczać, że jego pochodzenia nie otacza

aura zarówno watpliwoci, jak tragedii. Oczywicie nie musz zaznacza, e zaley mi na Twoim zdaniu, a nie na tym, by mnie uspokoia. Jeeli wic nie znajdziesz podstaw do wyrobienia sobie takiego czy innego pogadu, bardzo prosz, nie udawaj z dobrego serca, tylko po to, by mnie uspokoic.

Malutka jest miym, adnym niemowlciem. Skor bdzie miaa jasn, nie do jednak jasn, by uchodzi za biaa. Kiedy dorosnie, nie ulegnie pokusie obnoszenia faszywej twarzy. Przynajmniej to jedno zostanie jej oszczdzone — niedola i upokorzenie bdce udziaem wielu dziewczat eurazjatyckich. Zamierzam wychowa j na Hindusk i po czeci dlatego wybraam dla niej imi Parwati. Drugim powodem jest to, e Daphne chyba takie imi by si podobao. Parwati Manners. Poniej Parwati moe si zdecydowac zmienic nazwisko.

Nie miaa ochoty przyjc na wiat, lecz kiedy ju przysza, tak samo wyranie okazuje, e zamierza na wiecie pozostac. Doktor Krisznamurti znalaz mamk, adn mod dziewczyn z Kaszmiru, ktora utracia swoje pierwotne dziecko i bardzo serdecznie zajmuje si Parwati. Byaby z niej doskonaa aa, niestety, mowi, e nie wyjedzie ze rinagaru. Jej ma w sezonie wozi ludzi ikar. Obiecaam mu zatrudnienie, kiedy przenios si na jezioro. Moe jednak zdoam namowic ich oboje, eby pojechali ze mn we wrzeniu do Pindi. On wyglda mi na strasznego szelm, ale to urodziwa para i ona trzyma go w karchach. Wzrusza mnie ich widok, kiedy oboje czua si do Parwati tak, jakby to byo ich wasne dziecko. Wtedy, gdy ona karmi, on jest przy niej na warcie, urzeczony, a jednoczesnie zaenowany, ale te i bardzo dumny z takich moliwoci swojej ony i, przypuszczam, z roli, jak odegra w napenieniu jej piersi mlekiem yciodajnym dla cudzego niemowlcia. Poza tym myl, e pienidze, ktore ona zarabia, obojgu wydaj si rekompensat za mier ich dziecka, darem Allacha.

Daphne te. by si podobai. Daphne widziaa swoj cork tylko przez krotk chwil. Pord trwa czterdzieci osiem godzin. Ani Ty, ani ja nie miaymy dzieci, mona wic powiedziec, e wiemy o porodzie chyba nie wicej ni mczyni — *w kadym razie ci mczyni, ktorzy nie s lekarzami. Doktor Krisznamurti by cudowny.* Biedna Daphne, taka dua i silna, zdawaoby si, e moe rodzic dzieci tuzinami, a jednak miaa co nie w porzadku z miednic, co wpyno na pooenie podu. Doktor chcia j skierowa do szpitala, eby odwrocono dziecko, ale si nie zgodzia. Wic zaatwi to wszystko tutaj, w domu, sprowadzajc anestezjologa i dwie pielgniarki, i mnstwo sprzetu medycznego ju na par tygodni przed rozwianiem. Powiedzia mi, e odwro dziecko, ale ono moe natychmiast przyjc z powrotem pozycj, z ktorej zaczoby si wysuwac poladkami. Powiedzia, e ostrzeg Daphne i stanowczo jej radzi zdecydowac si na cesarskie cicie. Nie chciaa. Uwaaa, e jej powinnoci jest urodzic to dziecko zgodnie z prawem natury. Zawsze rozmawialimy, Krisznamurti i ja, zupelnie szczerze. Jakie to jednak smutne, e trzeba byo a takich okolicznoci, ebymy si zaprzyanili. Od razu na poczatku powiedziaam mu, co mowia Ci poufnie Twoja doktor Klaus — o ary-

402

tmii serca Daphne. Po zbadaniu jej powiedzia, e z samym sercem jeszcze nie ma zmartwienia, chocia przyzna, e prawdopodobnie z powodu tej arytmii lekarze w Londynie odradzali jej prowadzenie ambulansu. Dziwne, e ona sama nigdy o tym nie wspominaa. No, nie, wcale nie dziwne. Typowe. Zawsze wyjaniaa, e z powodu krotkowzrocznoci uznawaa za wskazane, jak raz si wyrazia, „porzucic sub”. Oto stan jej serca nie by komplikacj przy porodzie, tylko stanowi „mae dodatkowe obciaenie” — jak okreli to Krisznamurti.

W pewnej chwili w ciagu tych strasznych czterdziestu omiu godzin mylaam, e ona chce, eby dziecko umaro albo, jeli dziecko ma yc, chce umrzec sama. Dopiero poniej zrozumiaam. Ona tylko chciaa „zrobic to naleywie”. Dziecko rzeczywicie znw si odwrocio. Pewnie dlatego, e nie mogo si wydostac. Krisz-namurti przezornie sprowadzi z powrotem cae wyposaenie. Zamieni sypialni w sal operacyjn. Biedna Daphne bya nieprzytomna, nie wiedziaa, co si dzieje. To ja udzieliam pozwolenia na cesarskie cicie.

A zatem mam to na sumieniu. Naleao przewiec Daphne do szpitala. Krisz-namurti zadba o wszystko. Ona jednak umara na zapalenie otrzewnej. Przez kilka dni nie chciaam nawet spojrzec na to dziecko. Widziaam, jak Krisznamurti je wyjmowa. Pozwoli mi byc przy tym. Ubrali mnie, jak pielgniark przed wejciem do sali operacyjnej, w biay kitel, mask zasaniajac nos i usta. Musiaam zobaczyc ten aspekt ycia. Nigdy bym sobie nie darowaa, gdybym okazaa si zbyt boaliwa, eby na to patrzec. Kiedy si zaczo, mylaam, e nie wytrzymam. Wydawao mi si to takie sprone jak otwieranie puszki konserw, ktore zasadniczo sprone nie jest, ale moe byc, jeli puszka bdzie brzuch ludzki. Lecz potem, gdy ta puszka ju bya otwarta i zobaczyam, co oni wyjmuj, sama poczuam si nowo narodzona. To by cud i to mi uwiadomio, e aden cud nie jest piekny, bo dzieje si na paszczynie dozna, w odronieniu od ktorych takie sowa jak „piekno” w ogole nic nie znacj.

I nie mia te dla mnie adnego znaczenia fakt, e to dziwne ciako — wycignie z Daphne (moe lepiej powiedziec „pochwycone”, bo wydawao si, e oni doniemi w dugich gumowych rekawiczkach szukaj go, probuj zwabic, eby si wyonio) — najwyraniej ma inny kolor skory ni jego matka. Ronica bya nieznaczna, powiedziaabym, e w ogole bym jej nie dostrzega, gdyby niejedno szczegolne wspomnienie. Daabym sobie teraz wmowic, e fakt ronicy koloru skory nie znaczy dla mnie nic, poniewa ja tej ronicy wtedy nie zauwayam. Ale ja rzeczywicie j zauwayam. Owo szczegolne wspomnienie to myl, ktora mi wtedy przemkna przez gow: Tak... widz... ojciec by ciemnoskory. Lecz w tamtej chwili to nie wywoao adnej reakcji uczuciowej. Zauwayam to i zaraz o tym zapomniaam. Przypomniaam to sobie wtedy, gdy Daphne ju nie ya i usiowano pokazac mi jej dziecko, eby oderwac moje myli od niej. Ale odraciam je nie dlatego. Odraciam je, bowiem w takim stanie ducha, w jakim byam, uwaaam, e to ono zabio Daphne. Dopiero cechy indyjskie tego dziecka sprawiy, e nagle zrobio mi si go al i zaczam mylec o nim „ona”. Pomylaam: Biedna kruszyna, nie bdzie miaa czego oczekiwac od wiata.

Napisałam Ci, że Daphne widziała dziecko przez kłótkę chwilę, w przebiegu przytomności. Widziała je na ręku pielęgniarki stojącej tuż przed nią. Chciała go dotknąć, ale nie miała siły. A jednak się uśmiechnęła. I dlatego chcę, żebyś zobaczyła Parwati i osądziła, czy jest jakieś podobieństwo do Hariego Kumara. Niestety, podobieństwa do Daphne nie mogę się dopatrzeć — ale może ty je zobaczysz. Krewni zwykle ostatni widzą podobieństwo rodzinne.

Ucałowania Ethel

Kochana Lili!

Zdecydowałam się wyjechać z Pindi. Nie chcę mieszkać tutaj, gdzie ludzie wskutek jednego machnięcia piórem staną się wrogami Indii — kraju, któremu mój mąż starał się służyć — a możesz mi wierzyć, że pisząc „wrogami”, nie wyolbrzymiam sytuacji. Utworzenie Pakistanu jest ukoronowaniem naszych potknięć. Nie mogę tego znieść. Nie należało w żadnym razie pozbywać się Wavella. Jeśli coś usprawiedliwiała dwieście lat naszej władzy, to tylko zjednoczenie. A teraz dzielimy jeden złożony naród na dwa i wszyscy tam w kraju powtarzają w kółko, jaki świetny jest ten nowy wicekról, całą sprawę załatwił tak szybko! Oczywiście mają rację. Z tym, że on jest świetny w dwudziestym wieku, podczas gdy Indie nadal żyją w dziewiętnastym — i my je w dziewiętnastym wieku zostawiamy. W Delhi wprost oszołomi! wszystkich. To znaczy. Hindusów. Lecz Hindusi nie zdają sobie sprawy, że on ma być jedynie dekoracją na wystawie sklepowej — na wystawie, którą, odkąd wojna się skończyła, usiłujemy wciąż efektownie przystrajać. Sam sklep za tym oknem wystawowym pozostaje tak samo dziewiętnastowieczny, jak był — aczkolwiek radykalny, nowoczesny według kryteriów dziewiętnastego wieku. Hasło jest nadal wyspiarskie. Niepodległość Indii za wszelką cenę, nie dla dobra Indii, tylko dla naszego dobra!

Przenoszę się do rezydencji sir Roberta Conwaya w Gopalakandzie. Sir Robert to stary przyjaciel Henry'ego, jest doradcą maharadży. Również i maharadzów składa się teraz w ofierze — przeważnie sami są temu winni, lecz ten nóż obrzędowy dzierżą w rzeczywistości starzy fabianie i zaskorupiali działacze związkowi w Londynie, a nie Kongres. Może będziemy mogli spotkać się w Gopalakandzie? Mała Parwati przesyła Cioci Lili pozdrowienia — ja też ściskani Cię serdecznie.

Kochana Lili!

Czy możesz, przyjechać tu do mnie? Mieszkam w miejskim pałacu jego wysokości maharadży Gopalakandu, takim, jaki ten pałac jest. Niedobrze się czuję i mnóstwo spraw chciałabym z Tobą omówić. Chcę Ci także pokazać — i dać, jeżeli weźmiesz — pewne rzeczy pozostawione przez Daphne, jej notatki itd., listy i pamiętnik.

404

W moim nowym testamencie zabezpieczyłam Parwati i zrobiłam zapis na ufundowanie domu dziecka, tym samym spełniając życzenie Daphne. Wśród nazwisk kuratorów podałam też Twoje nazwisko i zaproponowałam, żeby ta fundacja nazywała się Dom Sierot Hinduskich imienia Mannersów — będzie to przypominać o mojej bratanicy, lecz bez zażenowania, jakie może w ludziach obdarzonych dobrą pamięcią budziłaby nazwa Dom imienia Daphne Manners. Zaproponowałam, żeby ten dom był w Majapurze. I właśnie chciałabym między innymi omówić z Tobą sprawę wykorzystania terenu znanego jako „Azyl”. Mówiłaś mi w zeszłym roku, że ta kobieta traci wzrok. Jeżeli przeznaczenie „Azylu” na dom dziecka będzie możliwe, trzeba zastrzec, by siostra Ludmiła miała prawo nadal tam mieszkać i żyć, że tak powiem, w zasłużonej chwale.

Po przeczytaniu pamiętnika biednej Daphne — o którym przez te wszystkie lata nigdy Ci nie wspomniałam, chociaż, chyba zawsze się domyślałaś, że coś takiego istnieje — zrozumiesz lepiej, dlaczego myślę tymi kategoriami. Druga sprawa, jaką musimy omówić, to przyszłość Parwati. Nie chcę tu wprowadzać makabrycznej nuty, lecz wkrótce nadejdzie chwila, kiedy zostawię ją samą na świecie. Nadal uważam, że nie trzeba nic robić, żeby odszukać człowieka, co do którego obie. Ty i ja, mamy pewność, że jest jej ojcem. Ilekroć ją widzisz, mówisz, że robi się coraz bardziej podobna do Hariego. To dla mnie pociecha, bo wiem, że mówisz prawdę, nie tylko by mnie uspokoić. Nie dałabym się jednak przekonać, że należy tego biednego chłopca odnaleźć i postawić w obliczu spoczywającej na nim odpowiedzialności. Nie wątpię, że zgodzisz się ze mną. Bez trudu mogłam doprowadzić do tego, kiedy był w więzieniu, i jeżeli żyje, chyba mogłabym do tego doprowadzić jeszcze teraz, chociaż na pewno zwolniono go dwa albo trzy lata temu. Chyba słusznie się domyślasz, że jego ciotka Śalini po wyjeździe z Majapuru w roku 1944 przeniosła się w swoje rodzinne strony w Zjednoczonych Prowincjach tylko po to, by on po wyjściu z więzienia miał dokąd wrócić, choćby na krótko. Oczywiście ktoś zna prawdę — być może ten Romeś Cand Gupta Sen. Twój przyjaciel, mecenas Sri-niwasan, mówił, że kiedy sam wyszedł z więzienia i pytał o panią Gupta Sen, Romeś Cand po prostu wzruszył ramionami i powiedział, że wróciła do swojej wsi, a on nie utrzymuje żadnych stosunków z rodziną Kumarów. Być może jednak Romeś Cand chciał zataić fakt, że wie, co się stało, i że to wcale go nie obchodzi. Ja osobiście przypuszczam, że Hari po wyjściu z więzienia pojechał do ciotki Salini, a potem przeniósł się gdzie indziej, może nawet zmienił nazwisko. Chłopiec uwięziony z powodów, jakimi oficjalnie umotywowano jego aresztowanie, na pewno miałby wielu przyjaciół w nowych Indiach. Myślę, że on wcale nie chciał mieć takich przyjaciół. Może nie żyje — padł przypadkowo ofiarą

tego strasznego rozlewu krwi pomiędzy muzułmanami i hinduistami, tej rzezi w zeszłym roku, która zaznaczyła koniec jednoczącego i cywilizującego okresu naszej władzy i wpływów.

Nie, moja kochana. Zostawmy biedaka Harięgo Kumara w spokoju, żeby sam trafił na swoją ścieżkę do zbawienia, jeżeli jeszcze żyje i jeżeli istnieje jakieś zbawienie dla takiego chłopca jak on.

Hari Kumar to pozostałość, niewypał naszego panowania, człowiek, jakiego

405

sami stworzyliśmy — przypuszczam, że mając jak najlepsze chęci. I chociaż obecnie wyłania się Nehru jako potencjalna siła moralna w sprawach świata, nie widzę w Indiach nic, co wytrzyma skutki rozłamu, który za naszym angielskim pozwoleniem Indie sobie narzuciły i za który my, Anglicy, ponosimy moralną odpowiedzialność. Pozwalając na rozłam stworzyliśmy precedens podziału akurat w chwili, kiedy potrzebna im była jedność. Dopuszciliśmy do tego — znów pełni jak najlepszych chęci — ponieważ już się zmęczyliśmy i zabrakło nam moralnych i praktycznych pretekstów, żeby wyteżać wzrok w przyszłość, spróbować dojrzeć, co będzie oznaczać abdykacja w kategoriach Indii, a nie naszych. Może ostatecznie nie mieliśmy żadnych swoich kategorii, bo nie dość mądrzy, nie potrafiliśmy ich sformułować w dwudziestowiecznej formie. Tak więc ten świat rozpadnie się na odizolowane małe ośrodki dogmatów i wzajemnego oporu, a obietnica, która zawsze zdawała się kryć pod najgorszym nawet aspektem naszego kolonializmu, wyparuje w historię jako mistyka imperialistów, głupia gloryfikacja wysoce praktycznej, zachłannej polityki.

Pamiętasz, jak kochany Nello z fajką Henry'ego w ustach chodził tam i z powrotem, parodiując Henry'ego, i tonem Henry'ego ryczał: „Polityka? Polityka? Polityka? Niech diabli porwą politykę! Co myślisz i czujesz, mój drogi? To jest ważne! Nie traćmy tego cholernego czasu na wyrabianie sobie mętnych poglądów o rzeczach prawdopodobnych. Rozważajmy same cholerne nieprawdopodobieństwa, a zobaczymy, do czego dojdziemy!”

Śmiałam się wtedy. Teraz, kiedy to wspominam, już się nie śmieję. Taka cudowna sposobność zmarnowana. To znaczy, dla nas, przez nas. Hindusi też to czują, prawda? Chociaż dumnie wypinają piersi i podnieceni wolnością siadają przy własnych biurkach, żeby opracować, konstytucję. Czyż ta konstytucja nie będzie poniekąd listem miłosnym do Anglików — takim, jaki pisze porzucona kochanka, gdy romans kończy się tym, co uchodzi za cywilizowane, godne, obopólne uznanie niezgodności charakterów? W świecie, który nagle stał się nudny, bo ten najdroższy kochanek, dzięki Bogu, odszedł, żeby darzyć zabójczym, nieobliczalnym, samolubnym uczuciem jakąś inną, próbuje się — prawda? — przeżywać znowu chwile rozkoszy, takiej jak tamta rozkosz, która może wcale nie była obopólna, ale którą, tak czy owak, się przeżywało. Jednak to przeżywanie ponowne nigdy nie jest możliwe. Musisz wtedy zadowolić się drugorzędnością, zadowolić się lekcją, której pozornie się nauczyłaś, i zapomnieć o *tamtej* lekcji, której miałaś nadzieję się nauczyć i może się nauczyłaś, a więc w rezultacie już nie uczysz się niczego, bo drugorzędność jest współczynnikiem świata, pierwsi lepsi głupcy mogą ją wykładać, pierwszy lepszy głupi naród może ją odziedziczyć.

Przeraza mnie myśl, że stopniowo, w miarę jak wspaniałości cywilizowanego rozrodu i uroczyste zapewnienia: „*pozostaniemy* przyjaciółmi”, będą przebrzmie-wać, wyłoni się prawdziwa animozja, ta, którą nasz naród i nasz naród przecież zdołały trzymać w ryzach, wtedy gdy był powód, żeby ją uważać za błędną, bo nie prowadzącą ani władców, ani podwładnych do niczego. Mam tu na myśli, oczywiście, pełną lęku antypatię pomiędzy czarnym i białym. A to jest namiętność już

406

pięciorzędna, jaka przystoi tylko narodowi prostackich sklepikarzy i narodowi brzuchatych banijów. Kiedyś, gdy kochany Nello parodiował Henry'ego — świetnie to pamiętam — jeden z adiutantów Henry'ego strasznie się zgorszył (nadzwyczaj dobrze wychowany pan, którego dziadek zbił majątek na butelkowaniu sosu czy czegoś tam — co nie znaczy, żeby mu to przynosiło ujmę, ale on jakoś nigdy nie wznosił się ponad *to*). Śmiałam się, a *ten* adiutant z miną zgorszona zwrócił się do mnie, jak gdyby chciał powiedzieć: „Wielkie nieba, lady Manners! Pani na t a-kie rzeczy pozwała w salonie sir Henry'ego!” A przecież chodziło mu tylko o to, że Nello ma brązową skórę, a biedny Henry białą, chociaż w istocie miał cerę szarą, pożółkłą, bo wtedy już był ciężko chory, bliski śmierci. Przypuszczam, że wszystko w końcu sprowadza się do tego, to jest ten ostatni podział, prawda? To znaczy kolor skóry, nie śmierć.

My, Ty i ja, zawsze starałyśmy się prowadzić domy otwarte. Ty w każdym razie — tak mi się zdaje — będziesz musiała prowadzić dom otwarty jeszcze długo. Ten Ust właściwie dotyczy tylko jednej sprawy. Lili, a mianowicie: gdy ja odejdę, czy dasz Parwati dach nad głową?

Serdecznie Cię pozdrawiam Kthel

A więc proszę sobie wyobrazić krajobraz równiny, który ustawia się prostopadle i wywraca, w zależności od skrętów i przechyłów nocnego samolotu Visco-unt 115 lecącego do Kalkuty. Krajobraz, jest ciemny, ale patrząc prosto w dół, widzi się światła skupione wokół jakiegoś punktu centralnego i kilka pomniejszych plejad poza ich obwodem. To teren lotniska i przedmieście zwane Banijagañdź. jak gdyby odcięte od miasta, bo — ogniwo łączące je z Majapurem — Wielka Magistrała jest nie oświetlona i tylko od czasu do czasu migają tam światełka wieczornego ruchu (miniaturowe reflektory, jak się wydaje nawet z tej wysokości, sunące szalenie szybko), i mniej więcej w połowie Magistrali stosunkowo mała, odosobniona, nowa kolonia Anglików wygodnie usytuowana blisko technikum, fabryki i lotniska, z, którego oni korzystają tak od niechcenia, jakby to był końcowy przystanek autobusu. W samolocie 115 jest oprócz odjeżdżającego obcego tylko jeden Anglik — ten

sam, który wtedy wieczorem w klubie spoglądał z drugiego końca sali na gości Srinivasana — może nawet nie dlatego, że był ciekaw, tylko po prostu chciał chwilami odrywać uwagę od pytań, jakimi zasypywali go tacy gadatliwi młodzi ludzie jak Desai i Surendranath, usiłując nadrobić czas, ich zdaniem, stracony przez ojców.

Ten drugi Anglik, podobnie oblegany w poczekalni lotniska, teraz w prawie pustym samolocie siedzi sam w odległości kilku foteli od obcego. Inni pasażerowie to hinduscy przemysłowcy, którzy lecą w interesach do zachodniego Bcngalu. Ci także siedzą daleko od siebie. Gdy oświetlony napis na ścianie („Proszę zapiąć pasy. Nie palić!”) zgaśnie, otworzą teczki, wyjmą pisma i zaczną je studiować. Podróż jest taka krótka; chwila wytchnienia tak cenna dla człowieka jak czas w bardziej intymnym otoczeniu poświęcony na czytanie porannej gazety, żeby wiedzieć, co się stało wczoraj, i osądzić, jak może to wpłynąć na ewentualne wydarzenia

407

dzisiejsze. Jeden z nich, ubrany w dhoti, siedział w poczekalni z nogami podwiniętymi na wyściełanym krześle. W samolocie nie może się tak rozsiąść — za mało miejsca (ku zadowoleniu obcego, bo kto wie, gdzie te nogi były w ciągu ubiegłych dwudziestu czterech godzin!).

Wydaje się, że samolotowi trudno nabrać wysokości. Przez owalne okno znów widać lotnisko, niewiele głębiej w dole niż przed chwilą, a potem znów ogniskują się światła Majapuru. Są trochę zamglone, może to sprawia podwójna szyba okna, ale przynajmniej dają się wpasować w układ znany i teraz już rozpoznawany.

Nawet łatwo wypatrzeć plac ćwiczeń: ciemną przestrzeń pomiędzy równo naniesionymi punktami świetlnymi, i ulicę Szpitalną, Klubową, Kościelną (nazwy jej nie zmieniono, chociaż ulica Wiktorii siała się ulicą Mahatmy Gandhiego) i Artyleryjską. Samolot się przechyla, skręcając na wschód, prawie tak jak skręca rzeka w dole, płynąca ku wybrzeżu, którego nie potrafiła sobie wyobrazić panna Crane. Panna Crane nigdy nie latała samolotem, więc też nigdy nie musiała się pogodzić z tym widokiem świata z wysokości Boga. Szkoda, być może, bo topografia — dla niej na ziemi tak majestatyczna — oglądana z tak wysoka i przy tej szybkości objawia się jako bezplanowe dzieło przypadku z deseniami wyrąbanymi w nim przez ludzi, którzy zaraz szli dalej.

Jarzeniówka oświetla teraz, wiernym drogę ze świątyni Tirupatiego do rzeki i z powrotem. Widać ją stosunkowo wyraźnie. Obcy (wraca tym samolotem do Kalkuty, żeby jeszcze raz obejrzeć niszczące pamiątki w zarządzie misji) przyjmuje za jeden punkt orientacyjny jarzeniówkę, za drugie światło neonowe nad domkiem dróżnika przy przejeździe u północnego końca Mostu Bibigliar i dzięki temu może w przybliżeniu ustalić położenie Ogrodu Bibighar i Domu MacGregora.

Ogród Bibighar jest ciemny (tak samo jak wtedy), ale Dom MacGregora jaśniej zgodnie z obietnicą Lili Chatterjee: zapalono wszystkie światła w pokojach, które są zamieszkane, i całą iluminację w ogrodzie, słabą, bo odległą w dole, ale nagle wypatrzoną z taką pewnością, że aż chce się dojrzeć tam samą Lili i można sobie wyobrazić, jak ona stoi z. Pa rwa t i przy schodkach werandy i patrzy w górę na migotliwe czerwone, zielone i bursztynowe światła tego mknącego w przestworzach komercyjnego wozu Dżaganątha. ¹

Taki więc jest ostatni obraz — Dom MacGregora, gdzie słyhać odgłosy obecności nie tylko Lili i Parwati: brzęk tłukącego się szkła, kroki w sportowych półbu-cikach po czarno-białych płytach hallu w stronę schodów i po schodach na pierwsze

¹ Dza g a n n i i t h — Wisziui jako Pan Świata; miejscem kultu Dżaganathii jest Pini nad Zatoka. Bengalska. Podczas obrzędowego przewożenia bóstwa olbrzymim wozem, do którego wrzegli się wierni, dochodziło do licznych samobójstw: śmierć pod kołami wozu Dżaganątha uważana była przez fanatyków za najbardziej zaszczytną. W języku angielskim Dżaganath symbolizuje (jako Juggernaut) niszczącego wszystko bezmyślnego molocho.

408

piętro, na korytarz, skąd szereg mahoniowych drzwi z mosiężnymi klamkami prowadzi do pokoi, które dają swoim lokatorom możliwość oglądania tego, co jest dla nich rzeczywistością, a dla innych snem, i szukania po swojemu ukrytego w tym znaczenia.

Owe odgłosy przypadkowy gość dzisiaj przypisze obecności Parwati, a nie jej matki. Ale Parwati stąpa lekko, niczego nie tłucze i nie łamie (z wyjątkiem może serca pewnego młodego człowieka). Ona to już inna historia, i dlatego jej obecność tutaj jest tymczasowa, chociaż harmonizuje z. Domem MacGregora. Nieśmiała Parwati sprawia wrażenie dziewczyny, która jeszcze nie stanęła ze światem twarzą w twarz, a cóż dopiero mówić o poddawaniu świata sile swojej osobowości. Gdy niespodziewanie zastawało się ją samą, stojącą w którymś z pokoi albo siedzącą w cieniu w ogrodzie i wróżącą sobie z płatków kwiatu, widziato się na jej twarzy wyraz wielkiego, ale dalekiego zadowolenia (dalekiego, bo płynącego ze źródła gdzieś daleko, w jakimś osobistym świecie, u granic dziewczęcej złudy i dojrzałego rozeznania). Wczesnym rankiem i wieczorem słyssało się, jak ćwicz śpiew, jak z powagą atakuje raz po raz trudne frazy i przyznaje się do niepowodzeń cichym okrzykiem irytacji. Wyjeżdżając z. Domu MacGregora gość unosi ze sobą obraz Parwati, dziewczyny, która uroczo harmonizuje z tą siedzibą, gdzie zawsze pozostanie zapowiedź dalszego ciągu opowieści, a nie epilogu, i obraz lady Chatterjee, wielkiej damy, która jest składnicą tradycji ze względu nie tyle na przeszłość, co na przyszłość.

— Czy ja wiem — mówi lady Chatterjee prowadząc gościa, żeby po raz ostatni rozejrzał się w tym starym ogrodzie, i ujmuje go pod ramię, przysłania wolną ręką oczy przed blaskiem popołudniowego słońca, gdy Sali już

czeka, gotów odwieźć go na lotnisko. — Składnica to raczej miejsce, gdzie oddaje się meble do przechowania, kiedy się jedzie na inną placówkę. Chyba Anglik mógłby powiedzieć, że całe Indie są takim miejscem. Wszyscy odjechaliście, ale zostawiliście tutaj dużo tego, czego nie mogliście zabrać tam, dokąd jedziecie. Jeśli teraz, tu wracacie, na ogół nie chce się wam nawet myśleć o tym, a cóż dopiero prosić o klucz, wejść i grzebać wśród tych starych pokrowców, żeby zobaczyć, czy wszystko to, co warto było, waszym zdaniem, oddać na skład, jeszcze jest. Jeszcze się nie rozpada. — Lady Chatterjee milknie i po chwili pyta: — Czy Parwati pożegnała się z panem należycie?

Tak, Parwati się pożegnała. Właśnie zbiega ze schodków werandy (spóźniona, bo jakoś wciąż żyje według czasu raczej majapurskiego niż środkowoindyjskiego) spiesząc na wieczorną lekcję do swojej guru, która śpiewała w Londynie, w Nowym Jorku i w Paryżu, a teraz uczy śpiewu tylko najlepiej zapowiadające się dziewczęta, utalentowane, dostatecznie gorliwe, by wytrzymać do końca trudy tej nauki, trwającej pełnych osiem lat. Kiedyś Parwati może też będzie śpiewała w stolicach Zachodu, a potem sama zostanie guru i zacznie wtajemniczać nowe pokolenie dziewcząt w techniczne zawłości tych pieśni, jedynej, jak określiła to jej matka. Angielka, muzyki, która przerywa ciszę i powraca w ciszę, gdy przebrzmiewa. Przed zakrętem alei Parwati w bladorożowym sari zatrzymuje się, odwraca i macha ręką. Gość macha do niej ręką w odpowiedzi, życząc przyjemnej wieczornej lekcji. Dwa razy

409

dziennie Parwati tak wybiega z domu, a w czasie między lekcjami zamyka się na całe godziny, żeby pilnie ćwiczyć. Nieraz przychodzi pewien młody człowiek taszcząc dwa bliźniacze bębny tabla, na których jej akompaniuje. Ale zwykle ona sobie akompaniuje sama szybkimi, krótkimi przytknięciami zwinnych palców w struny tanpury. Skórę ma jasnobrązową, a jej ciemne długie włosy przybierają chwilami w pewnym oświetleniu odcień rudawy, częściej spotykany na północy.

Dulija lc ao re morę babul ke kaharwa.
Cali hun sadžan ba ke des. Sanga ki sakha
saba bičhura gai hain apne ri apne ghar džaun.
O słuźdy ojca mojego, pałankin przynieście mi,
Wyruszam do krainy małżonka.
Daleko są już moje przyjaciółk wszystkie,
Odjechały do własnych domostw.

aćkan (h. aćkan) — wywodzący się z Azji Centralnej i Persji formalny, strój męski (obcisły kaftan z wysokim kołnierzem, rozszerzający się od bioder i sięgający nieco wyżej kolan) aja (h, aya) — opiekunka dzieci, niańka almira (h. almari, z port. almario) — szafa anna — do niedawna rupia dzieliła się na 16 ann

babu — Hindus (Bengalczyk) wykształcony w szkole brytyjskiej, w Indiach i fjrMWfcolony do pełnienia niższych funkcji w administracji kolonialnej (poczta, koleje, oświata)— urzędnik niższego szczebla, urzędas, urzędniczyzna

banija (h. baniya) — kupiec, kupczyk, szczególnie z Gudżaratu

banijan (*Ficus bengalensis*) — święte drzewo hindusów

bara (h. bara) — duży; starszy wiekiem lub stanowiskiem

betel — środek pobudzający używany w Indiach do żucia; jego składniki to nasiona palmy arekowej, tytoń, wapno — zawijane w liście pieprzu betelowego

bilajat (z ar.) — zagranica

biri (h. bTri) — krótkie cygaretki zwijane z liści tytoniu, szczególnie popularne wśród niższych warstw ludności Indii

bungalow (h. bangła, dosł. „bengalski” zdomz) — kryty dachówką lub strzechą jednokondygnacyjny dom mieszkalny, zazwyczaj otoczony werandą; rozplanowaniem i lekkością konstrukcji bungalow naśladuje pewien typ rezydencji wiejskich z Bengalu

ćapati (h. ćapati) — podpłomyki spożywane w Indiach zamiast chleba; ciasto zagniatą się

bez użycia drożdży ćappale (h. ćappal) — sandały, trepy ćarpai (h. ćSrpai) — typ łóżka indyjskiego: drewniana rama pokryta plecionką sznurkową,

wsparta na czterech nogach ćhota (h. ćhóta) — mały, młodszy wiekiem lub stanowiskiem ćilli — popularna w kuchni indyjskiej ostra przyprawa, której głównym składnikiem jest

papryka ókidar (h. ćaukidar) — wartownik, stróż

dal (h. dal) — łuskane nasiona roślin strączkowych, zwłaszcza soczewicy; nazwa potrawy przyrządzanej z soczewicy

411

darzi (h. darzi, czyt. dar-zi) — krawiec

dewanagari — jedno z pism północnoindyjskich, używane tradycyjnie do zapisywania tekstów sanskryckich; stosuje się je również w języku hindi i marathi

dhoti (h. dhoti) — rodzaj ubioru noszonego przez Hindusów w północnych i zachodnich Indiach; długi (około 3,5 m) płat tkaniny bawełnianej, zazwyczaj białej, owijany wokół bioder; koniec dhoti przekłada się pomiędzy nogami i zatyka z tytu za pas

dżawan (h. javan) — młodzieniec, junak; żołnierz (szeregowiec) w indyjskich jednostkach Armii Indyjskiej

dzi (li.)T) — odpowiednik angielskiego *sir*, dołączony jako sufiks do nazwisk lub terminów pokrewieństwa wyraża szacunek (szanowny, czcigodny, etc), niekiedy łączy się z nazwiskami w nierozdzielną całość, np. Chatterjee, Mukerji (Mukerdzi)

frangipani (*Plumeria rubra*) — drzewo ozdobne

ghi (h. ghi) — masło topione

gul mohar — drzewo ozdobne o dużych czerwonych kwiatach; kwitnie na początku indyjskiego lata

guru (s. guru — „ciężki; godny czci”) — nauczyciel, przewodnik duchowy, mistrz przekazujący nauki o treści religijnej; przywódca któregoś z hinduskich sekt religijnych

hartal (h. hartal) — dosł. „zamknięcie sklepów (w proteście przeciwko nadużyciom poborców podu.<k.ovivfchy”, sUajlt, sU&yk powsystcU

hinduslani — język potoczny używany na dużych obszarach północnych i środkowych Indii. Hindustani stał się podstawą dla urdu — języka państwowego Pakistanu i języka muzułmanów indyjskich, oraz. hindi — konstytucyjnego języka Republiki Indii.

holi — orgiastyczne święto wiosenne przypominające dyngus (pełnia księżycy na przełomie lutego—marca)

kazuaryna (*Casuarina equisetifolia*) — drzewo często sadzone ze względu na własności lecznicze i wartościowe drewno

khadi — samodział bawełniany

kotwali (h. kotval7) — posterunek, komisariat policji

lathi (h. lathi) — laska, kij, również (bambusowa) pałka policyjna

maharadża (s. roabaraja) — dosł. „wielki król”; w!, 'idca; książę udzielny

maharani (h. maharanT) — królowa, cesarzowa; częstokroć — małżonka maharadży

mem (h. mfm, z ang. *madam*) — pani; termin grzecznościowy używany w stosunku do kobiet

po pochodzenia europejskiego mem-sahib <ang. *madam*. ar.-pers. sahib — „pan”) — pani, jaśnie pani; termin grzecznościowy używany w stosunku do wysoko postawionych (przez wzgląd na pozycję męża) kobiet europejskich

nai (h. nai) — balwierz, fryzjer

namaste (z sanskrytu) — dosł. „pokłon tobie”; formuła powitalna lub pożegnalna, której towarzyszy modlitewne złożenie dłoni nimbu (nimbu) — rodzaj małej cytryny indyjskiej; sok z tej cytryny

412

ipakka mcm (h. pakka — „gotowany; dojrzały; twardy”, h. mim, z ang. *madam*; charakterystyczne jest potraktowanie rzeczownika mem, jako rzeczownika rodzaju męskiego!) — (˙ „stuprocentowa biała pani”; wyrażenie odnosi się do kobiet zachowujących — zgodnie ze stereotypem „godnej postawy białego człowieka” — dystans wobec Hindusów i wszystkiego, co indyjskie

pan (h, pan) — betel

pandit (s. pandita) — bramin o tradycyjnym wykształceniu

pankha (h. pankha) — wachlarz, wentylator; tui podwieszona u sufitu belka z. przyrrocoowa-rytm do niej pasem ciężkiego materiału, wprawiana w nich przez służbę pociągająciami sznura wyprowadzonego na zewnątrz pokoju przez otwór w ścianie

parda — zasłona; w ortodoksyjnych rodzinach hinduskich kobiety mogły rozmawiać z obcymi mężczyznami tylko przez zasłonę. Nazwa „parda” obejmuje dziś także i samą instytucję segregowania kobiet od mężczyzn

pars — wyznawca zoroastryzmu w Indiach

pipal (*Fkus religiosa*) — święte drzewo Hindusów

pudża (puja) — nabożeństwo, adoracja bogów, oddanie czci wyobrażeniom bogów w świątyni

radż (h. raj) — panowanie, władztwo, władza (Brytyjczyków w Indiach)

raga (h. rag) — w muzyce indyjskiej formuła melodyczna przekazana przez tradycję; raga jest rodzajem szkieletu melodycznego, wokół którego muzyk buduje właściwą kompozycję rakhi-bandhan — (ceremonialne) zawiązanie amuletu; święto, podczas którego zawiązuje się amulety (pełnia księżycy na przełomie lipca i sierpnia). Amulet, najczęściej barwiona nić bawełniana lub jedwabna, symbolizuje szacunek i zaufanie pokładane przez dziewczęta w wybranych przez nie młodych mężczyznach. Zawiązanie przez dziewczynę nici-amu-letu na przegubie chłopca oznacza, że zobowiązuje go ona do opieki i czuwania nad jej honorem.

sahib (h. z ar. sahib) — pan

sahib-log — sufix log (podstawowe znaczenie — „ludzie”) jest w hindi wykładnikiem liczby

mnogiej. Wyrażenie oznacza więc tu „sahibowie”, „sahibowie i ich rodziny”, „biali” sannjasa (s. samnyasa) — dosł. „odrzućcie, rezygnacja ze (świata), porzucenie (świata)”;

praktyki ascetyczne przypisane do czwartego stadium życia sannjasin (s. samnyasin) — osoba odrzucająca sprawy tego świata; osoba uprawiająca (po

porzuceniu domu) praktyki ascetyczne przypisane do czwartego stadium życia sari (h. sari) — rodzaj ubioru noszonego przez kobiety indyjskie, szczególnie hinduski; długi

(około 6 m) płat tkaniny bawełnianej lub jedwabnej drapowany wokół ciała; koniec sari

zarzuca się na głowę lub przerzuca przez ramię sati (s. sati — „wierna, oddana”) — obrzęd spalania się wdów wraz ze zmarłym mężem; kobieta, która spaliła się na stosie wraz ze swym mężem satjagraha — (słowo złożone z dwu członów: satya

— „prawda”, i agraha — „upieranie się

przy”, „trwanie w”). Satjagraha jest opracowaną przez Gandhiego taktyką walki bez

użycia siły; niezbędnym jej elementem jest konsekwentne trzymanie się prawdy w życiu

prywatnym i publicznym sikhowie — członkowie założonej przez guru Nanaka (1469—1538) wojowniczej wspólnoty

religijnej; sikhowie rekrutują się głównie spośród Pendzabczyków sipaje (h. sipahi) — żołnierze indyjskich

pułków Kompanii Wschodnioindyjskiej

ira — typ łodzi używanej na jeziorze Dal w Kaszmirze do poruszania się między łodzian mieszkalnymi i brzegiem tahsildar (ar.-pers. tahsildar — „poborca podatków z okręgu”) — naczelnik okręgu w strukturze administracyjnej Indii mogolskich i postmogolskich

tamarynda (*Tamarindus indica*) — strąki i nasiona tamaryndy używane są w kuchni indyjskiej

tanduri — potrawy (placki, drób, etc.) pieczone w piecu glinianym (tandur) nad żarem zwęglą drzewnego

tanpura (h. tanpura) — czterostronowy instrument muzyczny używany w klasycznej muzyce indyjskiej do podawania

podstawowego tonu i tempa melodii odtwarzanej przez wokalistę i towarzyszące mu instrumenty

tilak — znak kasty albo sekty nakładany (najczęściej czerwoną barwą) na czoło

tongą (h. tanga) — dwukołowa lekka bryczka kryta zazwyczaj daszkiem

wajśja (s. vaiśya) — kupiec, członek „stanu kupieckiego”. Wajśjowie, podobnie jak bramini — kapłani, i kszatrijowie —

rycerze, należą do „podwójnie urodzonych”, tj. tych, których życie regulowane jest sakramentami hinduizmu. Pozostałe

warstwy, tj. śudrowie — rolnicy i robotnicy najemni, oraz niedotykalni, do sakramentów tych nie mają dostępu

zamindar — właściciel ziemski, dziedzic

SPIS RZECZY

Część pierwsza

PANNA CRANE

• • 9

Część druga

DOM MACGREGORA

61

Część trzecia		
SIOSTRA LUDMIŁA	• •	107
Część czwarta		
WIECZÓR W KLUBIE	•	147
Część piąta		
MŁODY KUMAR	. . .	183
Część szósta		
WŁADZA WOJSKOWA I WŁADZA CYWILNA		
I. Władza wojskowa	• • •	247
II. Władza cywilna		285
III. Świadek S. W. Widjasagara	, . .	305
Część siódma		
OGRÓD BIBIGHAR	. . .	317
Załącznik do części siódmej	"•"	401
Słowniczek		411 . . .